

Krzysztof Kąkolewski

Mięso papugi

Warszawa: Wydawnictwo von borowiecki, 1997

Na dysk przepisał : Franciszek Kwiatkowski

Nie znał żadnego z pojęć ludzkich, by nazwać stan w jakim się znajdował. Nie wiedział gdzie jest i że jest. Nie orientował się gdzie był przedtem i czy był. Nie miał wspomnień, bo jeszcze nic się nie wydarzyło w jego życiu, które się dopiero zaczęło. Nie miał o czym myśleć. Rozmyślał nie mając ani jednej myśli, wspominał nie mając żadnego wspomnienia. Jedynym wspomnieniem był brak wspomnień. Obudziło go uczucie nudy, obejmującej wszystko, zalewającej zielonkawą płynną pustynią, na której dnie był zatopiony. Był tylko nudą. Przez bezmiar wód docierał monotony huk, nigdy nie ustępujący, gdzieś go przyzywający. Czasem, spłaszczony przez płyn, docierał inny dźwięk, budząc nadzieję, że ten stan nie będzie trwał wiecznie. Wszystko jest obmyślane tak, by ulżyć przetrwaniu tego stanu, a wyszedłszy z niego nie wiedzieć, co spotkało to coś, co nie wie, że czymś jest.

Był podzielony jest stalowymi kurtynami zapomnienia, ale pamięć Jaona zaczęła się nie tylko na długo nim go tak nazwano, w okresie bezimiennym, ale w tak nieprawdopodobnej chwili, że kwestionowano to z odcieniem niechęci, potem gniewu i obrzydzenia, aż zakazano mu o tym mówić. Że pamięć Jaona mogła być wcześniejsza od narodzenia, a nawet od poczęcia, nie chcieli słyszeć. Może to były wspomnienia śmierci? Może okres poprzedzający nasze istnienie nie różni się od tego, który następuje po nim? Gdy miał sześć lat, katechetka kazała dzieciom narysować jakąś scenę biblijną. Jaon narysował Jonasza w rybie przypominającej okręt podwodny. Od pyska ryby szedł korytarz do brzucha, a od brzucha do ogona. Ogon przypominał ster, skrzela - przewody wentylacyjne, a brzuch kajutę. Wewnątrz niej prorok siedział na krześle przy stoliku jedząc małą rybkę i czekał na koniec podróży, gdy opuści swój statek innym wyjściem. Katechetka podarła rysunek z nieświadomionego wstydu, czy poczucia, że to bluźnierstwo. W tym samym okresie upierał się, by stać przed sklepem z rybami w Pasażu Stirnera i czekał aż będą przenoszone akwaria, w których ryby poddawały się kołysaniu, zdziwione i szczęśliwe.

Tam, gdzie był, nie było nikogo, ale wokół był ktoś. Zabezpieczony w kokonie nieświadomości, w jajku niewiedzy, Jaon, jak dowiedział się potem, że robią to orły (wśród zwierząt uznawał tylko drapieżne) przebijał się od środka w nieznanym kierunku, ku czemuś, o czego istnieniu nie wiedział. Wołał drugą istotę, nie wiedząc, że wewnątrz niej jest. Wołał matkę nie wiedząc o jej istnieniu. Matka z drugiej strony dobijała się do niego:

- Jaki jesteś? Kim się okażesz? Kim będziesz? - pytała nie zdając

sobie sprawy z tego, że on odbiera dudnienie, słyszy pytający głos, jak w okręcie podwodnym, gdy rzucają bomby głębinowe. Całe miesiące nie mogła go zobaczyć. Pożerała ją ciekawość i obawa. Nie wiedziała kto to. Najbliższa istota na świecie nie była jej znana. Podobnie było nim poznała jego ojca: miała przeczucie że spotka go, ale nie umiała wyobrazić sobie jaką on postać przybierze. Odgadywała go we wszystkich spotkanych młodych mężczyznach, za każdym razem doznając zawodu. Tu osoba, której oczekiwała, była ukryta w niej samej i najbardziej niedostępna ze wszystkich na świecie.

Jedynym sposobem przeniknięcia jej tajemnicy, było określenie jej przez nazwanie. Chciała dowiedzieć się, jaki będzie, a zarazem nieświadomie przez imię określała, jakim pragnie go widzieć, czego od niego oczekuje; układała jego los. Jedno imię nie wystarczało. Nosił więc - poza przydomkami Najniewidzialniejszy, Najnieznanszy - imię Michał, wódz wodzów, pierwszy zwycięzca pierwszego zła, Archanioł, który pokonał bunt. Nie chciała by był wojskowym, ale aby pokonał bunt w sobie. Był Augustynem, który uchylił wrót wszechświata mówiąc "własna myśl jest faktem ze wszystkich najpewniejszym", miał szczęśliwą młodość. Był i genialny i szczęśliwy, i święty. Ryzykowała, że musi upaść nisko, by zrozumieć, że lepiej wyrzec się wszystkich majątków świata niż jednej myśli. Pociągała ją młodość św. Franciszka, wyzywająca, bogata, i tym bardziej szalone znalezienie prawdy, św. Antoni, jedyny który dokonywał cudów na jej oczach, odnajdując wszystko, nawet najdrobniejsze przedmioty i św. Krzysztof - obaj, którzy mieli Chrystusa na rękach. Dałaby mu trzydzieści imion. Wtedy prawo dopuszczało taką rzecz w Polsce. Pociągały ją: Dawid, Salomon, Samuel; chciała, by żywił się najdalszą tradycją, ale w przeczuciu niebezpieczeństwa, jakie mogło zaciążyć nad jej synem, odrzuciła tę myśl. Imię Jaon wymknęło się tym planom. Nigdy nie nazwała go żeńskim imieniem, wiedziała, że będzie chłopcem, tymczasem nosił z nią jej imię Julianna, był częścią kobiety, więc dziewczynką, małą Julią, tacy byli wobec świata i prawa. Nie zwracała się do niego żadnym z tych imion, z ostrożności, by nie wypowiedzieć go na głos, by za wcześnie niczego nie uczynić, z zabobonnego szacunku dla nienarodzonej istoty. Zaledwie ośmielała się mówić mu "ty". Jak dawniej nienawidziła mówić do siebie, tak teraz całe dni przemawiała, choć w pokoju była sama. Potrafił dać jej znak, że się nudzi? Czy wiedząc, że jest malusieńkim ślepcem, używała mu swoich oczu, by widział, co dzieje się na zewnątrz, opowiadała mu, co on wraz z nią robi:

- Syneczku idziemy ulicą. Ulica to dwa rzędy domów. Domy, to miejsca gdzie mieszkają ludzie. Twoja matka jest człowiekiem. Ty będziesz człowiekiem. Po obu stronach ulicy są drzewa. Nikt nie wie dokładnie czym są drzewa i do czego służą Bogu. Wydobywają się z ziemi, osiągają swój kształt i wydają na świat inne drzewa. Wyjaśnić można tylko to, co zbudował człowiek, ale co Bóg - nie. Człowiek budował z tworzywa boskiego i już tworzywa nie sposób określić.

Znajdował się w głębi dźwięku, przenikał go całego, stawał się nim i wibrował wraz z nim tymi wyrazami:

- Przyszliśmy już do naszego domu. Tu będziesz mieszkał. Na ścianie wisi ogromny kilim. Na przeciwległej, Matka Boska Rajska. Teraz zagramy w szachy. Biorę czarne figury. Ty dostajesz białe. Biorę na siebie ból i trud życia, ty dostaniesz niewinność i zwycięstwo. Wiem z góry. Wygrasz tę partię. Wychodzę pionkiem i ty wychodzisz pionkiem. Zabij mojego. Zmieć go z szachownicy - i dla podkreślenia jego zwycięstwa, zrzuciła pionka na ziemię i przydeptała go.

- Tą luką wyprowadź swojego hetmana i widzisz, mój król jest w szachu. Nie szukuję, a ty wygrywasz. Już przewyższasz mnie, bo ja ci każę siebie przewyższać, a ty jesteś posłuszny. Posługując się moim rozumem, pokonujesz mnie. Nie warto zabijać króla. Wszystko na świecie jest twoje, nawet przyszli twoi wrogowie będą do ciebie należeć; bo należą do świata. Dlatego nie trzeba zabijać - i wsypała figury do pudełka.

Jej umiejętność gry w szachy zadziwiająco szła na przód. Miała drugiego, dawniejszego partnera. Był nim przyszły ojciec Jaona. W narzeczeństwie rozegrali parę "groźnych partii", jakby nie chodziło w nich o szachy, tylko o nich, a figury po obu stronach oznaczały ich rodziców, znajomych, ich samych. Ojciec wygrywał z nią wszystkie partie. Tego wieczora przegrał siedem pod rząd.

- To czary! - spojrzał na nią podejrzliwie. Ponieważ nie odważyła mu się wyznać, że doskonali się, bo grywa z Jaonem (wtedy jeszcze bezimiennym), nie domyślił się, że pokonały go ich połączone siły. Ta wygrana była jednym ze źródeł wiary w przyszłość Jaona. Ledwie się zaznaczył już zwycięża. Gdyby powiedziała o tym mężowi, usłyszałaby, że kiedy Rosjanie schwytali go za linią frontu w 1916 roku i więzili samego w celi, też grał przeciw sobie. Zrobił szachy z chleba. Niemcy zaczęli nacierać i zapomniano o nim. Wtedy zjadał figurę po figurze, wyznaczając sobie jedną na każdy posiłek, bo nie wiedział kiedy i kto go odnajdzie.

Dopiero teraz poznała urok taksówek warszawskich, pachnących skórą i benzyną. Lubiła to i nie przyprawiało ją o mdłości. Musiała się strzec tylko woni przypalonego mleka. Jeździła do muzeum oglądać antyczne posążki pięknych chłopców. W bocznej galerii znalazła obraz, przed którym stała całe przedpołudnie. W mglistym wschodzie czy zachodzie słońca morze, plaża i niebo były przemienione w światło, rozbite na siedem barw tęczy.

Podszedł do niej jakiś mężczyzna, przyklęknął:

- Błagam niech pani mi pozuje.

- Oj, żeby nie wyszedł z tego portret innej osoby - odrzekła matka. - Nie usiedziałybym spokojnie, bo ten ktoś by mi przeszkadzał.

Mężczyzna zerwał się z klęcek i odszedł pośpiesznie. Był to autor obrazu, przed którym zatrzymała się matka Jaona. Przychodził przyglądać się swojemu dziełu, napawać się zachwytem zwiedzających. Dziwna odpowiedź nieznajomej przestraszyła malarza. Drżał o obraz. Odtąd matka Jaona, ile razy zjawiała się w galerii,

miała za sobą muzealnego detektywa. Nie tylko jej to nie przeszkadzało, ale rodziło wrażenie, jakby to była eskorta ze względu na jej dziecko, jakby ono już teraz zwracało na siebie uwagę.

Raz w tygodniu jeździła na uniwersytet mieszając się z tłumem młodzieży. Były to czwartki, gdy wykladał słynny profesor T.: Był przy Grecji.

"Wojny perskie - mówił - były dla Greków źródłem strat i lęków, ale także triumfów i upojeń; dały Maraton, Termopile, Salaminę i Plateje. Dały całą kfilozofię Greków. Z euforii zwycięstwa wyprowadzili myśl równie śmiałą jak wyzwanie pod Termopilami: Leukippos i Demokryt nie mając nawet szkła powiększającego, ujrzeli atomy." Potem profesor T. Mówił o Platonie, nazywanym tak dla potężnych barów; wykładając, przyglądał się słuchaczom przerzucając wzrok z jednego na drugiego i przez sekundę mówiąc do każdego z osobna, patrząc mu w oczy. Aż kiedyś zbiegł z katedry, podszedł do Julianny powoli wstającej z ławki i onemiałej na widok sławnego człowieka, zbliżającego się do niej:

- Miła pani, choć to nie wypada, spostrzegłem pani stan i odtąd staram się mówić lepiej niż kiedykolwiek, bo przejrzałem chyba pani intencje, do czego mój wykład ma posłużyć i komu.

Opowiadała Jaonowi o jego ojcu, by wiedział o nim wszystko, nim się poznają, o jego tajnej misji na tyłach frontu. "Wtedy Polski nie było - objaśniała. - Jak się narodziś zastaniesz wokoło Polskę. Twój tatuś był odważny do szaleństwa. Teraz w nadmiernym podziwie, szacunku dla nas, jakby niedowierzaniu, że taka rzecz jak my - mówiła o sobie i Jaonie w niej - jest możliwa; pokorny i ostrożny, otacza nas trwożliwym szacunkiem, jakby się nas bał. Troszeńkę nas unika pod pozorem, by ci nie przeszkadzać." Mówiła tak, bo to oddalenie było dla niej, przewrażliwionej, zapowiedzią innego, które miało nadejść.

Opowieść o tym, jak poznali się z ojcem, odkładała na potem, gdy już będzie wiodła z Jaonem długą, latami trwającą - dokąd syn nie pójdzie do szkoły - rozmowę i będą ksami całymi przedpołudniami. Wtedy też przygotowuje go na spotkanie ze swoją matką, a jego babką. Wiele dyskutowano o płodzie z doktorem. Przykładał do jej brzucha słuchawkę i mówił:

- Grzeczny. - Co? - wykrzyknęła przyszła matka Jaona - Na Marszałkowskiej kopnął mnie w wątrobę. Mały brutal! Nadchodził rotmistrz szwoleżerów, ukloniłam mu się nisko, a on odsalutował; przyznam, uszczęśliwiony, ale i tak zaskoczony, że nie zaczął mnie.

- Kawał chłopca - odrzekł szorstko doktor słuchając. - Zajmuje tyle miejsca co bliźniaki.

Urodzi pani stare dziecko. Podoba mi się mieszanka: ojciec atleta i przesubtelniejsza matka. Ale pani pragnienie kontaktu z dzieckiem jest nadmierne. Pani traktuje pępowinę jak linię telefoniczną.

- Czuję tam nieobojętny, niezbadany, nieopisany ogrom, bezdeń, jakbym mieściła w sobie wszechświat.

- Trzeba odpocząć i jemu dać trochę spokoju. Pani przedwcześnie go

budzi.

- Nic dla siebie, nic z egoizmu! Wszystko, by nie czuł się samotny, po to damę mu odczuć swoją obecność. On już umie mówić! Odpowiada mi ruchami. Ach, gdybym mogła usłyszeć jego głos! Doktorze, błagam, niech pan pozwoli mi na chwileczkę założyć stetoskop.

Speszona, jakby popełniała świętokradztwo przyłożyła słuchawkę do brzucha i podsłuchiwała dziecko. Słysząc było dwa życia: jej i jego, jak dwa walczące węże i zarazem upór, coś w rodzaju gniewu tej oddzielającej się cząstki. Odezwało się mlaskanie, tarcie, bulgotanie i coś jak ciche westchnienie, jakby słowa:

- Blublublublublu...

- Nie! - zerwała z uszu stetoskop.

- To jedyny okres w życiu gdy się nie umiera - objaśnił doktor.

- Kosztem przyśpieszenia pani zegara, jego zegar stoi. Umierać zacznie w chwili narodzin. Istota ludzka rozwija się i obumiera jednocześnie.

Matka Jaona zasłoniła uszy.

Kolega męża w banku potajemnie uprawiał astrologię. Wezwała go i poprosiła, by coś jej powiedział o nieznanym. Kiedy astrolog zaproponował, że może wywołać jego duszę, czekającą na narodzenie, by powiedziała kim jest, krzyknęła:

- Nie! Nie! Nie! - Może tak lepiej - odrzekł astrolog. - Wywołany przedwcześnie mógłby się zagubić i nie trafić na świat.

Codziennie wpadała do kościoła Zbawiciela, przy placu o tej samej nazwie. Pytała Boga, czy wolno jej pokazywać dziecku kościół, ołtarz, jak zwiedzającemu? Czy wolno modlić się za niego, ale i w jego imieniu? Czy może już przedstawić Bogu dziecko? Czy Stwórca wypada przedstawić Jego dzieło? I była zazdrosna o Boga, o jego udział w powołaniu Jaona na świat.

W miarę jak zbliżało się rozwiązanie, głos doktora był coraz bardziej niespokojny. Hodował Jaona jak owoc i bał się, by nie spadł za wcześnie, by jak ryby nie trzymać go na powierzchni morza i by jego mózg ani przez ułamek sekundy nie był pozbawiony tlenu. Matka dopominała się o Jaona, że już chce go mieć i narzucała swą wolę doktorowi.

- To on wydaje pani rozkazy! - krzyczał doktor, wskazując na jej rozdęty brzuch oskarżycielskim głosem. - Znudziło mu się doczekać swej pory? Pcha się? Sam chce decydować o swoich narodzinach? Może i począł się sam z siebie?

Starcie woli Jaona i doktora skończyło się przymuszeniem Jaona do pozostania. Dosięgnięto go zastrzykiem poprzez matkę.

Siedemdziesiąt dwie godziny nie był wypuszczany na świat. Trzy dni i trzy noce był w zamknięciu.

- Zmienił pozycję, przetoczył się! Jaki to złośnik! - rozpaczął doktor. - Cóż to za straszny człowiek! Obrzął się. Odtrąca świat.

Odmawia opuszczenia łona matki. - Bezczelny. Ukarzemy cię. Nie będziesz żył - krzyczał doktor chcąc przeniknąć do Jaona. - Nie chcesz żyć? Nie chcesz?

Wezwany na konsultację profesor uśmiechnął się:

- Panie doktorze, dość tego. Trzeba ratować tę kobietę.

Dano jej narkozę.

- Nie pozwolę, by umarł nim się narodzi - ten głos doszedł od matki Jaona. Przebudziła się - On ma żyć. Nie ja. Jeśli pan mnie ocali, zgnoję pana w więzieniu.

- Pani jest nieprzytomna. Nie ma pani prawa mieć krzty

świadomości. Pani się to śni - krzyknął profesor.

Doktor czuł się winien. Błagał profesora, którego sam wezwał, by usłuchał matki Jaona.

- Dziecko jest pod narkozą. Broni się przed urodzeniem jak przed śmiercią. Co z niego będzie? - mówił profesor.

Jaon został skazany na śmierć nim się urodził, ale matka ocaliła

mu życie, oddając swoje, a potem go urodziła. Stawka została

zdwojona. To go zobowiązywało żyć podwójnie. Dwa życia otrzymał w darze. Nie dano mu klapsa.

- To dziecko ma już rok - krzyknął profesor i wyszedł cały we krwi do łazienki.

Położna upuściła igłę, którą miano dać zastrzyk matce Jaona.

Rzuciła się po następną, ale rozwścieczony, wpół obłąkany ze zmęczenia doktor podniósł igłę z ziemi:

- To nie ma znaczenia. Ona tego nie przeżyje.

Jaon miał zostać sierotą. Oddalając się, myślała, że niemowlęciu

ta zamiana - jego życie za jej życie - nie wyjdzie na korzyść.

Wyobraziła sobie jego byt bez niej, tułaczkę. Bezsilność ojca,

obojętność stryja, biedę wuja. Nie pozna nigdy jej, swojej matki.

Jaka szkoda. - "Jakie moje zdjęcia zostają?" - zastanawiała się.

Zdjęcie z wycieczki, gdy mając szesnaście lat, obejmuje jodłę jak

przyjaciółkę i patrzy w obiektyw pytająco i czule, nie wiedząc

jeszcze, że patrzy w odległą przyszłość, w oczy swojego dziecka,

które narodzi się dwadzieścia lat później. Miała umrzeć nie

zobaczywszy Jaona, nie przywitawszy się z nim i nie pożegnawszy!

- Pan jest przyjacielem naszego rodu? - szeptała. Obraża się pan

na noworodka? Karze pan jego matkę?

- Moja rola już dawno skończona - krzyknął doktor. To tylko pani duch mówi.

- Złości się pan na umierającą? Rozkazuję panu mnie uratować.

Wystarczy mi dziewięć lat! Aby doprowadzić dziecko do dziewiątego roku życia!

- Niech pani zamilknie. Nie wolno tracić sił.

Jaon usłyszał ogromny huk świata. Przerażliwe światło zacierało

kontury. Głosy podływały i odpływały. Potem nagle zasłona

rozdarła się. Przejrzenie było jak oślepienie. Wynurzył się przed

nim świat. Ujrzał trzy cienie. Trzy kształty pochylone nad Jaonem

tworzyły jeden. Jaon nie znał bowiem jedności, ani liczby trzy.

Pierwsi ludzie pochyleni nad balią, w której kąpali Jaona zlewali

się w jedno, ogromne, nienazwane bóstwo. Nie wiedział, że to są

istoty i kim są te istoty. Po lewej panował nadmierny blask,

rażący, po prawej, jak kotara, zielonkawa ciemność z której

przyszedł. Czas płynął od prawej do lewej spychając kotarę coraz

głębiej, dalej, rozszerzając wielkie, wypukłe osoby.

Świat tworzył się na jego oczach z sekundy na sekundę.

- Synu nie obrażaj matki. Nie możesz tego pamiętać. To byłoby chorobliwe, wstrętne. To jest fikcja, fantazja, na którą pozwalasz sobie lekceważąc matkę. Nabrałabym obrzydzenia do ciebie. Jego pamięć ją gniewała, bo wydawała jemu nieprzygotowaną, gdy sądziła, że jest nieświadomy. Obnażała się przy nim, odsłaniała piersi, mówiła niekontrolowanie słowa miłości nie przeznaczone dla istoty rozumiejącej, dwa nagie ciała, podobne do siebie, ledwie rozdzielone, żyjące - jak myślała - jedną myślą, jedną pamięcią, mającą siedlisko w niej. Oznaczałoby to, że Jaon jest skażony nadmiarem, którego dla niego nie chciała.

- Zakazuję ci upierać się, że to pamiętasz - skończyła spór matka. Świat rozszerzał się z niezwykłą szybkością, rozwijał, rósł, dzielił się na światy, mnożył. Trzygłowy olbrzym, który w Jaonie budził cześć jako pierwszy kształt jaki ujrzał, zaczął pękać; ukazały się luki i rozdzielił się na osoby, które miały się okazać matką, babką i jej służącą Maniunią. Bliskość ich była ogromna, były prawie nim, ale radość sprawiło mu poczucie, że jest osobny. Wróciła nuda; wożono go na płask, leżącego. Nie wiedział znów gdzie jest, pod nieruchomym błękitem, który zmuszano go kontemplować. Parasolowate, rozpląszczone gałęzie wrastające w niebo, przesuwające się przed oczyma w szybkim - jak mu się wydawało - ruchu, bez końca; rozdzielające i łączące się harmonijnie druty tramwajowe, w końcu żyrandol, iskrzący się kryształowymi pryzmatami. Ten blask, rozbity, zielonkawo - fiołkowo - różowy nauczył go miłości do kryształów, lodu i brylantów.

- Znowu się obraża. Nie chce wstawać. Nie chce chodzić. Nie chce mówić - rozpaczano.

Wreszcie powstał i nie chciał więcej wsiąść do wózka. Pokochał od razu samochody. Uwieszony między matką a Maniunią, pół siedł, pół był niesiony. Nie wołał matki. Miał poczucie, że się wyodrębnił, ale że matka dalej zostaje z nim połączona - i teraz ona jest jego częścią. Jeszcze dobrze nie znał matki ani Maniuni, gdy poznał rybę. We trójkę wędrowali pasażem Stirnera, gdzie można było kupować wszystko. Matka wybierała mięso, owoce, jarzyny, ryby, kazała je ważyć, pakować i nieść Maniuni.

Z magazynu za sklepem rybnym bił lodowaty chłód. Było tu pierwsze morze, jakie poznał Jaon. Na całą ścianę wymalowana była scena z połowu wielorybów. Spiętrzona fala stała po horyzont, aż sklep wydawał się pochylony w bok. Towarzyszył temu syk powietrza doprowadzanego rybom. Terkot maszynki tłoczącej wydawał się terkotem silnika stateczku wielorybniczego. Widać było wierzchołek góry lodowej - i z działka wystrzelono harpun. Wisiał dym prochu, lina była napięta, harpun zanurzał się w ciele i dziki ból emanował z ogromnego wieloryba.

Środek sklepu zajmowało akwarium. Klienci wybierali dla siebie ryby wskazując je palcem, a sprzedawca łowił je na ich oczach w siatkę. Jaon podszedł do szklanej tafli prześwietlonej silnym światłem przestrzeni wodnej. Do brzegu akwarium podpłynęła ryba,

zatrzymała się i robiąc niewidzialne ruchy płetwami i ogonem, przyglądała się Jaonowi. Jaon przystawił twarz do szkła i patrzył rybie w oko, pomarańczowo-niebieskie, równie ciekawe jak jego. Oko patrzyło w oko, z tamtego oka przelewało się w jego oko światło głębin, jakieś wspomnienie Jaona. Jaon nie znając słów, nie umiając określić tego, co chce wypowiedzieć, chciał, by tej ryby nie złapano, by zawsze tu na niego czekała. Wybuchnął płaczem, bo nikt go nie rozumiał. Ryczącego wyniesiono go razem z paczką żywych ryb rzucających się w szarym papierze. Kątem oka zobaczył błysk brylantów u jubilera po przeciwnej stronie pasażu. Do domu doszedł spokojny. Ciemne, ogromne mieszkanie rodziców, dotąd płaskie, jak namalowane tło, w którym się poruszał, wyłoniło się przed nim z niezwykłą wyrazistością. Był rybą w niewidzialnej wodzie. Za pierwszym przedpokojem był drugi, udający hall. Tu Jaona rozbierano z czapeczki, szala, rajtuz, przed czterometrowym lustrem, od podłogi do sufitu. Ledwie go uwolniono, Jaon podszedł do lustra i ujrzał chłopczyka, który szedł ku niemu jakby chciał się z nim zderzyć. Jaon zatrzymał się, spojrzał po sobie i przekonał się, że jest tak samo ubrany, że to jest on sam. Wyodrębnił siebie ze świata. Przyłożył najpierw usta, całując siebie w lustrze, potem oko, aż poczuł zimno na gałce oka jednocześnie z zielonością źrenicy tak bliską, że zalała cały świat. Wcisnął oko patrząc i jednocześnie oglądając siebie. Przyłożył ucho, ale nie było nic słychać. Więc zaczął zgniatać nos, licząc, że wejdzie w siebie; dwa ciała: zimne i ciepłe przeniknęły się na moment, a on próbował objąć lustro, ale pełnej jedności nie osiągnął.

- Zaziębisz się - krzyknęła matka. - To lustro to kawał lodu!

Weszła Maniunia i Jaon, jak uczeń w szkole językowej, nie robiący miesiącami postępów, który nagle odważył się powiedzieć coś w obcym języku, wyrzekł wyraźnie:

- Maniunia jest służba!

- Przemówił! - krzyknęła matka i chwyciła go na ręce, i z wdzięcznością objęła także Maniunię, i we trójkę szaleni, śmiejący się, zaczęli się kręcić w kółko po przedpokoju.

Drżałam, że jest niemową. A on cały czas umiał mówić, wszystko rozumiał, tylko milczał. Maniuniu, ale co oznacza, że wybrał te pierwsze słowa? O tobie?

Tak Jaon poznał taniec. Zapach ciała Maniuni, zawsze trochę spotniałej, przesiąkniętej wonią smażenia cebuli, uderzył w jego nozdrza jednocześnie jeszcze silniej niż obraz ich trojga, pojawiających się to niknących w lustrze, w miarę jak się kręcili. Teraz budzenie było czym innym niż dawniej. Było krzykiem codziennym, każdorazowym, do odrębnego życia, jakim był dzień z dziką nadzieją na wszystko. Świat wyłaniał się co dzień wyraźniejszy i bardziej nie wyjaśniony. Jaon otwierał oczy i widział uchylone drzwi swego pokoju. Jego przyjście na świat przemeblowało dom i zmieniło przeznaczenie pokoi. Świat zaś objawiał się gęstwą nóg stołów, foteli i krzeseł z czarnego dębu w cienistym jadalnym. Jego część mieszkania była pusta. Ojciec był w

biurze, matka spała jeszcze w gabinecie ojca. Daleko za oboma przedpokojami znajdowała się kuchnia ze staromodną wnęką na łóżka służących. Wyprawy Jaona w głąb domu, ku terenom Maniuni, zaczynały się natychmiast. Maniunia przygotowywała wiadra do palenia w piecach. Obowiązywała cisza. Jaonowi wolno było tylko szeptać. Gdy na parapetach gruchały gołębie, Maniunia otwierała okno i przepędzała je, by nie obudziły pani:

- Urodziłeś się i teraz twoja mama jest tobą zmęczona.

Przekradali się przez pierwszy i drugi przedpokój. Za drzwiami gabinetu trwała cisza. Najmniejszy dźwięk nie wydobył się stamtąd.

Przerażony, że matki nie ma w pokoju, że znikła, biegł za Maniunią. Ranek był ciemnawy. Niebo widziane przez firanki wielkiego pokoju było zamglone. Na ścianie przeciwległego domu poblask zielonkawego neonu, który włączono mimo dnia. Maniunia nie zapalała światła. Zostawiła otwarte drzwiczki pieca. Ogień obejmował stos sosnowych szczapek. Patrzyła w płomień, a Jaonowi kazała odwrócić wzrok. Kaktusy, drzewko pomarańczowe i cytrynowe, chińska róża stojąca rzędem w donicach wzdłuż okien i drzwi balkonowych, rzucały cienie. Matka, stęskniona za Jaonem wpadła, biegła ku niemu. Porwała go wysoko:

- Więc ty naprawdę istniejesz Jaoniku? To nie sen? Śnił mi się! - wołała do Maniuni.

- To ważne! To pierwszy sen o nim?

- Nie. Setny, tysięczny. Dwadzieścia lat przed tym, nim się urodził, już spotkałam go w śnie.

- Śnił się pani, jaki jest? - Nie powiem, nie powiem! - wołała radośnie matka. - Był przystojny.

Na jej szlafroku z grubego jedwabiu były kwiaty, na których siadały motyle. - "Więc dzień trwa od snu do snu? A sen od dnia do dnia?" - myślał Jaon, ale nie umiał tego powiedzieć. Zasadzono go do śniadania na jego miejscu, po prawej stronie matki, zajmującej szczyt pustego dwunastoosobowego stołu, nakrytego na jednym końcu. Miał kubek z ludzką twarzą, o prawdziwym, wypukłym nosie i wybałuszonych oczach. Jak ludożerca, z czaszki wypijał kakao. Nastrój świąteczny narastał. Matka, Maniunia i Jaon szykowali się do wyjścia po sprawunki. Ubierano Jaona. Matka zakładała kołnierz z lisa. Pozwoliła Jaonowi powąchać futerko, pachnące perfumami i włożyć palce między jego szczęki, by poczuć ostre zęby na palcu. Maniunia zachowała tajemnicę, że wczoraj wyciągnął z szafy lisa, włożył mu sznurek w zęby i lis gonił go po całym domu. Jaon uciekał ciągnąc za sobą lisa. Chował się w jamie pod kanapą, za nim wpadał lis. Lis też utrzymał tajemnicę. Cztery zwierzęta zamknięte były w szafie: lis, skunks, bóbr i opos. Gdy otwierał drzwi, zwierzęta nieruchomiały i udawały martwe. Czekwały, aż Jaon zamknie szafę, by ożyć. Teraz Jaon spieszył się do ryby. Ryba, miała nad lisem, jego Niedźwiedziem Białym i misiem przewagę, której Jaon nie umiał sobie uświadomić.

- Mamo, co teraz będziemy robili?

- Wiesz przecież. Mama pójdzie do miasta i może cię zabierze.

- A potem?

- Przyjdzie tata i zjemy obiad.
- A potem?
- Maniunia poda kolację.
- A potem?
- Będzie noc. Pójdiesz spać.
- A potem?
- Będzie następny dzień.
- I co będziemy robili?
- Pójdziemy do miasta albo na spacer.
- A potem?
- Będzie obiad, kolacja i noc.
- A potem?
- Znów dzień.
- A potem?
- Następny dzień.
- A potem?
- Będzie następny dzień.
- Zawsze mamó? - zapytał z niedowierzaniem Jaon, choć zmiana pytania oznaczała, że ustępuje.
- Zobaczysz, będziesz mnie co dzień pytał: "a co będzie potem", a ja ci będę odpowiadać: "będzie następny dzień".

Jaon poczuł się pokonany. Przytulił się do nóg matki:

- Do rybek.

Najpierw poszli do tego sklepu choć nic nie kupowali.

- Przepraszam, ale mój syn - powiedziała matka Jaona - upiera się, by wchodzić do pana sklepu!

- Niech przychodzi codziennie! Ile razy się zjawi, mam tłum klientów. Jest moim szczęśliwcem. Będzie pani dostawać rabat.

- Nie chcę rabatu. Kto przynosi szczęście, oddaje innym własne.

Gdy ryba nareszcie go dostrzegła i podpłynęła, Jaona oderwano od szyby akwarium.

- Czemu rybki nie mają rąk? - dopytywał się Jaon.

Do następnego sklepu mama Jaona weszła i nie siliła się nawet, by udawać, że chce coś kupić. Były tam dwa lustra naprzeciw siebie. Matka, nie rzuciwszy okiem na półki, okręcała się wokół swojej osi i wyszła, a za nią mały pochód: Jaon i Maniunia.

Były dwa rywalizujące ze sobą sklepy mięsne obok siebie. Maniunia błagała panią:

- Wejźmy do jednego i drugiego.

- Maniuniu - odpowiadała matka - czy to ładnie męczyć ludzi?

- Taniej pani policzają, a mnie tak ciekawi, który... - i tu nie mogąc wymówić słowa zbankrutuje, błagalnie popatrzyła na Jaona, ale i dla niego to słowo było za trudne.

- Obawiam się, że oba sklepy zbankrutują - odpowiedziała matka.

Jaon nie wiedział, skąd się bierze mięso. W obu sklepach było w najlepszym gatunku, oddzielone od kości, pocięte na kawałki. Było produkowane w fabryce? Jaon jeszcze nic nie wiedział o kościach, ani o krwi. Jeden sklep mieli Żydzi, drugi chrześcijanie. Matka Jaona kupowała u Żydów. U chrześcijan miała uczucie, że ulega przymusowi, prowadzono bowiem kampanię przeciw handlowi

żydowskiemu. Jaon jeszcze o tym nie wiedział, ale też wolał chodzić do sklepu żydowskiego, bo tam w osobnej gablocie były dla dzieci małe wędliny z marcepanu. Jaon żądał kiełbaski i prosił, by mu pocięto na bardzo cienkie plasterki. Do tego był chleb z marcepana. Chleb i kiełbasa smakowały jednakowo.

Następny był sklep z pasmanterią. Dwie stare kobiety powitały matkę Jaona jak znajomą. Prosiły, by wybierała towary siedząc.

- Mam wyrzuty sumienia. Tyle drę pończoch - skarżyła się matka - a lubię tylko jedwabne. W innych czuję się przygnębiona. Poproszę trzy - nie, może cztery pary, cielistych.

Pończochy były bardziej cieliste niż ciało.

- Starsze panie prowadzą handel resztkami materiałów z fabryki bez zezwolenia - cichcem wyszeptła Maniunia.

- Skąd wiesz - mówiła cicho matka.

- Na naszej klatce służące wiedzą wszystko.

- Maniuniu, na litość boską, trzymaj się od nich z daleka.

- Co pani kupiła?

- Cudną szmatkę. Krepa chińska.

Matka weszła za kotarę oddzielającą sklep od zaplecza i Jaonowi kazała zostać. Wyszła podniecona. Miała w ręku paczkę. Maniunia przyczepiła sobie do guzików trzy paczuszki. Teraz zbliżyli się do damskiego salonu fryzjerskiego i Jaon napierał się, by stanęli przed witryną. Były tam dwa popiersia: brunetki i blondynki, umieszczone tak nisko, że ich głowy były na wysokości głowy Jaona. Zaglądał im w oczy o długich rzęsach, nie zmieniające wyrazu, nieustannie, jednakowo rozmarzone, słodkie, przyzywające:

- Mamo, gdzie jest reszta tych pań? - spytał Jaon, bojąc się, że przecięto je na pół i cierpią.

- Nie ma syneczku reszty. Te panie są z wosku - odpowiedziała matka.

- A my z czego jesteśmy mamo?

- Z ciała, kochane dziecko.

- A kto robi ciało?

- Bozia - odpowiedziała matka, a Maniunia kiwnęła głową z uznaniem.

Jaon siłą wciągnął matkę do sklepu o nazwie "Ze wszystkim". Tam, w skrzynkach obok siebie, leżały figi, orzechy kokosowe, ananasy, banany, karczochy. Stały w rzędach, w odwiniętych workach różne gatunki fasoli, kasz, ryżów i mąki, różnobarwne - od ciemnobrązowych do fioletowych. Z każdego wystawała deseczka z ceną. Jaon prosił, by matka kupowała wszystkiego po trochu w maleńkich torebkach, by mógł założyć sklep i sprzedawać Maniuni. Państwo Łatyńscy, w szarych fartuchach, pełni powagi, poruszali się powoli. W sklepie poza nimi trojgiem nie było klientów. Weszli do bocznej sali z herbatą, oddzielonej od sali kawy - bo tam był elektryczny Murzyn kiwający głową. Maniunia nosiła czasem czarne, murzyńskie pończochy. Była tam też papuga z czekolady, naturalnej wielkości. Ara, o upierzeniu złoto - granatowo - zielono - srebrzystym:

- Mamo, kup mi papugę. Tylko chcę, by była w klatce.

Nadeszła pani Łatyńska, trochę urażona.

- Proszę kilo herbaty "Kwiat Cejlonu" - powiedziała matka.

- Tyle nie mogę sprzedać, bo mi się kończy - odrzekła pani Łatyńska; zważyła piętnaście deko i podała Maniuni, która i tę paczkę zawiesiła na guziku. Pani Łatyńska czekała, aż wyjdą, jakby byli natrętami.

Jaon chciał jeszcze iść do sali z dziczyzną, ale matka zawróciła go i wyprowadziła ze sklepu:

- Im żal jest sprzedawać towary - powiedziała matka. -

Mają wszystko i boją się, że ktoś im to zdekompletuje. Może długo marzyli, by mieć ten sklep? Raz pani Łatyńska nie sprzedała mi grapefruitów, bo trzeba by było zepsuć dekorację.

Dalej było Oko Opatrzności nad optykiem i zegar, na którym widać było upływ czasu: wskazówka minut posuwała się skokami, w sposób widoczny, nieustannie, niezmordowanie. Jaon jak zahipnotyzowany patrzył na to emanowanie czasu.

- Mamo, czy jest drzewo kaszowe? - pytał Jaon. Choć wiedział, że nie ma, za każdym razem pytał:

- A kluskowe?

- Nie ma synu - wzdychała matka.

- A chlebowe?

- Jest...

- A kopalnie cukru?

- Dość.

- Mamo, kup mi człowieka - naprzykrzał się Jaon. - Albo daj mi Maniunię.

- Maniuni nie dostaniesz - odpowiadała matka.

- Mamo, czy każdy na świecie jest czyimś dzieckiem?

- Tak.

- Pani Łatyńska też? A gdzie teraz mieszka babcia?

- Kiedyś ci powiem.

- Pojedziemy tam?

- Nie. Nie zobaczysz babci. Babcia bardzo cię kochała.

- To było dawno?

- Niedawno.

- To dlaczego mnie już nie kocha?

- Bo jej nie ma - matce załamał się głos. Już mnie nie pytaj - wyszeptała. - Minęliście się na tym świecie. Babka znała cię, choć ty jej nie znasz. Większość przestrog, które kieruję pod twoim adresem synu, pochodzą od niej, bo kierowała je do mnie, gdy byłam mała, a ja ich nie zapomniałam.

Zbliżała się godzina, gdy trzeba było stawiać obiad, bo ojciec miał niedługo przyjść z biura. Listopadowe słońce było za domem.

Chmury wysyłały światło. Paliły się neony i nie gaszono oświetlenia witryn, z nich też brała się jasność. Prószył leciutko śnieg, ledwie dostrzegalny, ale nadający przestrzeni inny wymiar i załamujący światło. Wczesne popołudnie przypominało wieczór, uroczystszy niż wszystkie, jakie dotąd Jaon przeżył. Od wilgotnych chodników biła poświata, a niebo było ciemne. Wróble oblepiały drzewa i gwałtownie ćwierkały. Pachniało spalinami i nawozem

końskim, w obie strony jechały dorożki z podniesionymi budami. Przeszedł ktoś palący cygaro. Zapachniały mandarynki wystawione w skrzynce na ulicę. Z barów uderzał zapach świeżych potraw. Czerwone kokosowe chodniki sięgały daleko na ulicę i zapraszały. Pod markizami stały drzewka cytrynowe i chronili się posłańcy, wąsaci, w okrągłych czapkach.

- Zaczynają się najkrótsze dni roku - powiedziała matka.

Z restauracji wyszedł kelner i podał kopertę posłańcowi, który poprawił czapkę i ruszył biegiem. Sypnęło białymi krupami jak manną. Pociemniało; zadarł głowę w górę i chwycił ustami śnieg, coraz gęstszy, aż stali się biali, jak trzy bałwanki.

Powitanie ojca każdego dnia było uroczyste, jakby wracał z daleka. Maniunia co chwila biegła do okna, by wypatrywać. W pewnej chwili krzyknęła przeraźliwym głosem:

- Pan idzie!

Matka uchyliła drzwi na klatkę schodową, Jaon stał w drzwiach do drugiego przedpokoju. Ojciec podniósł w górę matkę i pocałował, a potem uniosł Jaona i pocałował. Maniunia odebrała od niego teczkę i płaszcz.

- Mam wielkiej wagi nowinę - powiedział ojciec. - Dyrektor Woynicki z żoną złożą nam wizytę. Dziś mieliśmy dłuższą rozmowę. Pod koniec, gdy wychodziłem z jego gabinetu, dotknął mojego ramienia i powiedział: "Opowiadałem o panu w domu. Żona interesuje się państwem, a ja stwierdziłem, że nie mam zaszczytu znać pana żony. Czy nie zrobimy państwu kłopotu, gdybyśmy pewnego dnia, po uprzednim umówieniu się, złożyli państwu wizytę?"

Matka porwała Jaona i uniosła w górę.

- Tryumf! - krzyknęła.

- Jako prawdopodobny termin tej wizyty ustaliliśmy następną sobotę, o pią tej. Państwo Woyniccy wybierają się do nas z córeczką, rówieśnicą Jaona. Liczę na to, że dzieci się zaprzyjaźnią, bo Nika, jak ją nazywają, jest też jedynaczką. Woyniccy boją się, by nie czuła się samotna i nie rosła w odosobnieniu.

- Obawiam się ich zetknięcia. Ani jedno, ani - jak mówisz - drugie nie zna dzieci.

Maniunia weszła, otworzyła kredens i zaczęła nakrywać do stołu.

Jaon myślał, jak zniesie tak długie oczekiwanie na Nikę.

Wieczorem nie mógł usnąć. Matka śpiewała mu. Nie chciał kołysanki, więc matka układała mu piosenkę:

"... i jechali ułani.

Koło domu ślicznej Hani.

Lecz kwaterę wyznaczył im sierżant wąsaty

Z daleka od jej chaty

W nocy kuna, śpiew daleki, za walką tęsknota

Rankiem wśród pól pędzą ułani.

Tłum wyległ i pragnie im w dani

Święte przekazać myśli i wolę,

Że dla Boga, Polski i siebie

Chcą zachować swą ziemię i rolę.

Piosenka oddalała się wraz z ułanami, błysnęła jeszcze w kurzu szabla, czy ostroga. Obudziwszy się, Jaon stwierdził, że przespał sporo. Była już bitwa:

Wziął komendant lornetkę, patrzy w odległe dale

Widzi błysk, ruch

To wróg! To wróg!

Pędźcie i wyjdźcie na tył olszynki,

Tam uderzajcie jakby w naszą stronę,

Gnając wroga na jego koni ogonach

Na nasze bagnety.

Cofną się nasze pikiety,

Które wpuszczą go, a potem zamkną

I nie wypuszczą

Aż ostatnia uleci z nich dusza.

Jaon widział tę duszę, jak ulatuje. Z chińskiej krepki kupionej u starszych pań za kotarą już jest uszyta suknia; bez ciała w środku, pusta, błyszcząca i przezroczysta zarazem, mieniać się wzlatywała wyżej i wyżej. Krzyknął i obudził się. Matka klęczała przy jego łóżku i przypatrywała się mu.

- Mamo czemu nie śpiewasz?

- Ułani zwyciężyli. Są zmęczeni, zmorzył ich sen - głos matki stał się ściszony, niewyraźny, pochyliła głowę, oparła o brzeg łóżka Jaona i głęboko usnęła. Jaon leżał nieruchomo i cicho, by jej nie zbudzić. Czy obudził się jeszcze raz tej nocy, czy między tym a następnym przebudzeniem był jeszcze cały dzień, zapomniany? Matki nie było. Spod drzwi do wielkiego pokoju sączyło się światło.

Słyszał przytłumione głosy rodziców. Matka mówiła:

- Wczoraj na spacerze miałam dziwną rozmowę z naszym synem. Pytał mnie: "czy ja jestem ja, czy ja jestem on. Bo wy mówicie o mnie on". My rzeczywiście przy nim, nie doceniając, ile on już rozumie, mówimy o nim "On", jakby mogło chodzić o Jego Majestat, a my jakbyśmy byli jego dworzanami. Parę razy próbował zresztą powiedzieć o sobie "on", ale go napomniałam.

- Co odpowiedziałaś? - odezwał się ojciec.

- Jesteś Jaon. Przeraziło mnie, by nie był dla siebie dwoma osobami.

- Ładnie brzmi. Jak Jazon - odrzekł ojciec. - On nie wie, że jest czymś oddzielnym od świata, bo właściwie on jeszcze nie czuje, że się urodził. Dla niego on sam, misie, twoje lisy i ryby to jedno.

- Ale zdobywca Złotego Runa, Jazon, jaka to miła postać! Choć działał podstępem, był nie lojalny... - i matka jeszcze raz zmieniła temat:

- Czy tych Woynickich zostawimy na kolację?

Ojciec musiał kiwnąć głową, bo mówiła dalej:

- Dzikizna i drób? Indyk i zając? Bażanty byłyby za wystawne?

Indyk, zając i bażant, duże jak ludzie, szły koło siebie

ulicą Marszałkowską, ale Jaon nie wiedział dokładnie, jak

wyglądają, więc czuł, że są podobne do papugi, misia i lisa.

Potem

papuga-bażant, nie rozpościerając skrzydeł, oderwał się od ziemi i

już było rano. Jaon był sam w pokoju z zasłoniętymi kotarami, z przepełniającym go uczuciem, o którym później dowiedział się, że jest szczęściem. Chciał krzyknąć, ale w porę przypomniał sobie, że matka śpi. "Mamo, gdzie ja byłem, gdy to widziałem" - chciał zapytać. Jaon wybiegł do wielkiego pokoju z zamiarem zapytania Maniuni. Ale widać zasnął, bo piec był już gorący i Maniuni nie było. Pobiegł do kuchni.

- Mama pozwoliła ci tu być? - zapytała Maniunia.

- Chciałem o coś zapytać, ale zapomniałem o co - powiedział Jaon i w tej chwili w drzwiach kuchni ukazała się mama. Zaabsorbowana myślą, która widać ją obudziła, nie zauważyła niestosowności, która się wydarzyła: Jaon w kuchni.

- Maniuniu, szukujemy przyjęcie, które będzie miało wielkie znaczenie dla twoich państwa.

- Wyprawa na zająca! Wyprawa na zająca! - krzyczał Jaon. Zając tu będzie! Pozna się z misikami.

- Nasz mały bzdury - powiedziała matka.

W chwili gdy byli gotowi i Jaon stał niecierpliwym między matką a Maniunią przed drzwiami mieszkania, zabrzmiał gwałtownie naciśnięty dzwonek. Maniunia podskoczyła:

- Boże, kto to?

Bała się dzwonek. Raz gdy dzwoniło na nią z pokoju upuściła talerz. Nie umiała też szybko otwierać i sprawnie odsuwać rygli. Zniecierpliwiony gość zadzwonił znów. Był to żebrak. Gdy zobaczył przed sobą dwie kobiety i dziecko, stojące za drzwiami, całkowicie ubrane, też drgnął:

- Padam z głodu. Zemdlałem, polali mnie wodą. Nic nie dali.

Przekląłem ich - uniósł się - Bóg słyszał. Wie, co z nimi zrobi. Stali na przeciw siebie, obserwując się. Maniunia cofnęła się do kuchni, wyniosła gruby kawał chleba i podała żebrakowi.

- Co? - krzyknął żebrak. Bogaci rzucają zuchelek, co spadł ze stołu? A co zjem za godzinę? - wrzeszczał i cisnął chlebem w Maniunię.

Matka gwałtownie zatrzasnęła drzwi.

- Boję się teraz wyjść - powiedziała.

- Ten nie bierze chleba. Musi być co najmniej pięć groszy - powiedziała Maniunia.

- Czemu nie mówiłaś? Skąd brałaś pięć groszy?

- Dawałam od siebie.

- O głupia, głupia, kochana Maniunia - powiedziała matka. Wychył się przez okno i zawołał dozorcę. Nie powinien go tu wpuszczać.

Maniunia pobiegła do okna, uszczęśliwiona, że odegra ważną rolę, ale cofnęła się. Bała się wysokości:

- Żebrak ucieka - powiedziała.

- Maniuniu, powiedz, dozorca dostaje w łapę od żebraków?

- Pani nie kazała rozmawiać ze służącymi, ale powiem. Bez zgody dozorczy, nie prześlizgnąłby się. Pół dnia obchodzi taki wielki dom. Gdy kogoś nie ma, czeka na strychu i wraca. Jego rejon jest od kościoła do pomnika. Obchodzi dwa domy dziennie. Gdy spotkał u nas na podwórzu innego żebraka, walnął go. Tamten upadł. Składa

kapitał na książeczkę. Więc dlaczego dawałaś mu pięć groszy?

- Żeby nie przeklinał.
- Boisz się.
- Może i dozorca się go boi?
- Zabraniam ci dawać mu grosza. Ile mu dałaś? Ile razy? Zwrócę ci tę sumę.
- Mamo, dlaczego ja jestem? - przerwał Jaon - Skąd się wzięłem?
- Urodziłeś się. Bo rodzice chcieli cię mieć - poprawiła się. Chcieli byś istniał.
- Co to znaczy?
- Twój rodzice wzięli ślub i postanowili cię mieć.
- Po co?
- Dla ciebie. Żebyś był szczęśliwy.
- To ja nie jestem twój, tylko swój?
- Mama ci dała cię w prezencie - wtrąciła się Maniunia.
- Jakbyś zgadła Maniuniu - pochwaliła ją matka. - Ale nie, żeby bawił się sobą, jak misiem czy lalką.
- Skąd wiedziałaś, że to ja się urodzę?
- Nie wiedziałam, że to ty. Nie znałam cię przedtem.
- Jak mnie nie znałaś, to jak mogłaś chcieć mnie mieć, jeszcze wcale nie byłaś moją mamusią?
- Byłam zawsze, nawet jak nie wiedziałam, czy będziesz istniał.
- Nawet jak byłaś mała jak ja, już byłaś moją mamusią?
- Nawet wtedy.
- Gdzie ja byłem przedtem?
- Nie wiem syneczku.
- Nie wiesz? A gdybyście mnie nie mieli, co byłoby ze mną?
- Nikt nie wie.
- A dlaczego nie urodził się mój braciszek, tylko ja?
- Bozia chciała żebyś to był ty.
- Co robi braciszek, który się nie urodził? Mamusiu, dlaczego ktoś jest sobą? Czemu ja jestem ja, a nie jestem tobą?
- Nie wiadomo syneczku.
- Dzieci się biorą z małżeństwa?
- Można to tak określić.
- Po co ludzie mają dzieci? Żeby one miały dzieci?
- Kto wie, czy tak nie jest?
- Czym się różnią dziewczynki od chłopców?
- Nie widzisz, że dziewczynki są ubrane w sukienki, a chłopcy w spodenki?
- Woleliście bym był chłopcem i ubraliście mnie w spodenki?
- Wyglądałaś na chłopczyka.
- Mamo, błagam, nie ubierajcie mnie nigdy w sukienkę.
- Dobrze, dziecko.
- A dlaczego ci państwo, co przyjdą wolą mieć dziewczynkę?
- Synu, tylko nie ośmielaj się pytać ich, gdy przyjdą.
- Mamo czesz się tak - wykrzyknął Jaon i zaczął ciągnąć matkę do fryzjera z woskowymi głowami na wystawie.
- Moja pani to męczennica - jęknęła Maniunia, a Jaon teraz parł ku modystce, która ustawiła w oknie na drewnianych manekinach głów

kapelusze z woalkami: - Mamo, gdzie są twarze tych pań? Mamo, noś to na buzi - nalegał Jaon myśląc o woalce. - Wtedy jesteś najładniejsza.

- Bo już nie jestem taka młoda i woalka przesłania mi twarz.

Szkoda, że nie poznałaś matki dwadzieścia lat temu.

- Dlaczego cię wtedy nie poznałem?

- Rodzice nie mogli cię mieć.

- Czemu, mamo?

- Byli za biedni...

- ... dziecko można mieć gdy się ma tyle pieniędzy, co tatuś?

- ...ale czy byś mnie znał, jaką jestem?

Rodząc cię, narodziłam się powtórnie - odpowiedziała matka Jaona, odpowiadając sobie, nie jemu.

- Mamo, powiedz, co ty mówisz?

- Zapamiętaj moje słowa, by kiedyś je zrozumieć.

- Jaon, nie męcz mamusi - wtrąciła się Maniunia.

- Milczał dwa lata, teraz chce sobie wynagrodzić. Niektóre słowa wymawia dla samej przyjemności wymawiania ich - odrzekła matka.

- Mlllleko. Mmlleko. Inaczej się mówi, inaczej smakuje.

Doszli do sklepu państwa Łatyńskich. Zobaczywszy całą trójkę, pani Łatyńska zrobiła minę pełną niezadowolenia. Matka i Maniunia weszły do bocznej sali, gdzie rzędami wisiały, głowami w dół, zające. Każdy miał na pyszczku papierowy tamponik. Przez niektóre przesiąkła krew, skrzepla, prawie czarna.

- Mamo, co im się stało? - krzyknął Jaon.

- Czułam, że tak będzie. Zawsze bałam się tej chwili - powiedziała matka ni do siebie, ni do Maniuni i zwróciła się do Jaona:

- To są zajączki na pieczeń.

- Ale im się coś stało. Nie ruszają się.

- Pani sobie życzy? - wtrąciła się pani Łatyńska zirytowanym głosem.

- Teraz rozmawiam z synem - i zwróciła się do Jaona:

- Synku. One nie żyją. Musisz się dowiedzieć, że jest śmierć.

- I co z nimi będzie?

- Zajączki będą zjedzone.

- My je zjemy?

- Jednego. Gdy przyjedzie do ciebie dziewczynka, której na imię Nika.

- Nie chcę jeść zajączka, jak on nie żyje.

- Jadłbyś żywego? Jego by bolało.

- Kto zrobił to zajączkowi?

- Pan myśliwy. Musiał zabić zajączka, byśmy go mieli jak przyjdą rodzice Niki i Nika.

- To zabijemy pana myśliwego.

- Człowieka nie wolno zabijać.

- A twój lis przedtem żył?

- Żył.

- Mamo, ale ty nie umrzesz?

- Nie mogę ci tego obiecać.

- Obiecaj! - krzyknął Jaon, przerażony.
- Nie mam nad tym władzy. Nie ode mnie to zależy.
- A od kogo?
- Tak chce Bóg.

Jaon myślał do tej chwili, że rodzice byli jego bogami, tajnymi królami świata, którzy ukrywają się wśród zwykłych ludzi, by wypróbować, czy będzie dzielny. Matka zaniepokojona jego milczeniem, dodała:

- A jak wyobrażałeś sobie Jaoniku? Że twoja matka i ojciec żyją od początku świata? Jakże byliby starzy. Gdyby ci, którzy się narodzili nie umierali, nie byłoby miejsca ani dla twoich rodziców, ani potem dla ciebie.
- Więc z życia nie ma innego wyjścia tylko trzeba umrzeć przez śmierć? - nie rozumiał jeszcze Jaon.
- Każdy to musi przejść synku.
- Więc wszyscy umrą?
- Wszyscy. Teraz ci powiem. Kiedyś pytałeś o babcię, gdzie jest. Teraz domyślasz się?
- Nie, mam.
- Nie ma jej już na świecie.
- Babunia nie żyje, tak samo jak zajaczek?
- Tak samo.
- Więc jak ktoś jest małym dzieckiem, to kiedyś też umrze? To po co go rodzić?
- Synku, drżałam przed tą rozmową.
- Wstydzisz się, że urodziłaś mnie i przez to muszę umrzeć? Nie przejmuj się mam, mnie jest tak dobrze, tak się cieszę. A człowiek może urodzić się drugi raz?
- Niektórzy mówią, że tak. Ale ma innych rodziców. Nie byłbyś moim synem.
- To nie chcę. Nie chcę obcej pani - przeraził się Jaon.
- Dostyc, moje kochane dziecko. Musimy kupić zajaca.
- Nie kupuj zajaca.
- Dobrze, nie kupimy.
- To poproś, by sprzedali papugę.

Matka pokręciła głową; gdy wychodzili, pani Łatyńska zawołała za nimi:

- Czym więc można służyć?
- Matka, nie zatrzymując się, lekko odwróciwszy głowę powiedziała:
- Może zdecyduje się pani sprzedać papugę?
 - Nie ma mowy. I proszę nie przychodzić do tego sklepu. Pani się u nas nie podoba. Pani chce nam udowodnić, że jesteśmy złymi kupcami. Niech pani znajdzie lepszych.
 - O, to nie będzie trudno - rzekła matka pogodnie.
 - Żeby mieć takiego smolucha służącą, taką nedorajdę! - krzyczała za nimi pani Łatyńska, by dotknąć matkę Jaona, obrażając Maniunię. Maniunia rozplakała się.
 - Pani musi się za mnie wstydzić - szlochała.

Jaon chwycił rękę Maniuni i przycisnął do ust. To dopiero przeraziło Maniunię. Wyrwała rękę:

- Paniczowi nie wolno całować w rękę służącej. Pani wyrzuci mnie ze służby. Niech jeszcze zobaczy to sklepikarka, to nas obgada na całą ulicę.

Jaonowi stały łzy w oczach. Maniunia ukłękła przy nim i pocałowała go w rękę. Matka pocałowała rękę na głowie Maniuni.

- Mamo, skąd się wzięła Maniunia? - spytał Jaon.

- Maniunia pracowała u twojej babki. Gdy twoja babka zachorowała, poprosiła mnie, abym po jej śmierci wzięła ją do nas.

Pod wieczór Jaonowi wydało się, że powraca do czegoś, co już przeżył, a co go strasznie męczyło, poczuł dojmującą nudę, senność, kontury się zatęrzyły i wszystko oddaliło. Rodzice byli odlegli, poruszali się podobnie do rybek w basenie.

- Jesteście wieloryby - powiedział i poleciał w dół z falą.

Zbudził go krzyk matki:

- Jaonie, Jaonie! - wołała go, by wracał.

- Jezu! - krzyczała - on ma 41 stopni gorączki!

- Jaonie - błagała go - oddaj mi chorobkę; oddaj. Ja będę chora za ciebie.

Pojawiła się znów trzecia osoba. Był to wielki, ogromny olbrzym. Odchyłał mu powieki, zaglądał w oczy i w głąb Jaona, przez usta. Oczy olbrzyma były dobre, tylko za blisko patrzyły. Nie chciał Jaona porwać, ale ocalić.

- Mamo - powiedział Jaon. - Ktoś tam czeka na mnie, by się urodzić?

- Synu, źle zrozumiałeś. Bozia nie dałaby się urodzić nikomu, kto czekałby na śmierć małego chłopca.

Jaonowi żal było rozstawać się z matką. Zapomniał o ojcu. Było mu żal, że nie będzie dorosły, nie pozna życia mu przeznaczonego. Tak krótko tu był i wróci skąd przybył. Co tam jest, co go czeka? Nie pamiętał. Raj? Będzie to ogród, ten z obrazu, który wisi nad jego łóżkiem? Wystarczy przekroczyć ramę i znajdzie się tam. Rama jest niższa od progu, ale nie miał siły.

- Jak z kupką? Czy jadł? A jaki był przebieg wczorajszego dnia? - słyszał głos. Był ranek. Olbrzym widać cały czas tu był.

Przyniesiono mu fotel. Siedział w nim rozwalony, bez krawata, z rozpiętym kołnierzykiem.

- Byliśmy na zakupach. Chciałam kupić zająca, ale nie kupiłam.

- Dlaczego?

- Jaon prosił, by tego nie robić.

- Uwaga - krzyknął doktor. - Mały się budzi. Hej, młody panie? Jak sny? Męczyły cię?

- Ktoś zajrzał do okna. Stał na podwórku, a sięgał głową tak, że widział mnie w pokoju.

- Które u państwa piętrowe? - spytał doktor i usiadł na łóżku Jaona, aż się ugięło.

- Trzecie - odrzekła matka.

- Chłopcze, usiądź i otwórz japkę. Aha - spojrzał Jaonowi w gardło, zajrzał w oczy, znów z bardzo bliska. Jego oko wydawało się ogromne. Podniósł Jaonowi koszulę i przyłożył duże, zimne ucho do pleców. Przesuwał nim w różne strony. Ucho miało na sobie

włoski.

Olbrzym przesiadł się na fotel, wyjął cygaro i zapalił.

- Wiemy skąd się wzięła choroba, a nie wiemy jaka to choroba.

Wyrodzi się nam z tego może śliczna anginka - powiedział radośnie.

- Dajmy chłopcu blok rysunkowy i kredki.

- Co rysować? - spytał Jaon.

- Jak pan zagląda do okna - powiedział olbrzym.

I co jeszcze? - zapytał Jaon.

- Konia i krowę.

- Koń jest mężem krowy? - zapytał Jaon.

Nie dostał odpowiedzi. Doktor wstał, przepuścił przed siebie rodziców Jaona; gdy wyszli, zamknął za sobą drzwi. Mówił cicho, nie tak jak rodzice. Raz tylko jego głos podniósł się rozkazująco: "mniej zabawek, mniej prezentów, mniej informacji". Potem poszedł, a po nim ojciec, do banku. Dzień był ciemnawy i Jaon użył niebieskiej i brązowej kredki, by oddać kolory czubków drzew za oknem, i nieba, z którego powoli odpływało światło. Bał się usnąć, ale widocznie musiał przespać cały dzień, bo usłyszał głosy rodziców.

- ...trzeba go powstrzymać w rozwoju. Na wiadomość o śmierci omal nie umarł - szeptęła matka. - Doktor kazał sobie powtórzyć rozmowę w sklepie Łatyńskich. Powiedział, że pytania Jaona są za wczesne.

- Jako dorosły człowiek potępi cię, że hamowałaś jego rozwój. Zresztą, jak to zrobisz?

- Lepsze byłoby zapalenie opon mózgowych? Drżałam, że to już się stało, gdy Jaon w chwili przytomności opowiadał swój sen. To scena z maligny.

- Nadmierna ostrożność powoduje, że spotyka nas to, czego chcieliśmy uniknąć - odrzekł ojciec. - Żeby Jaon nie nabrał wyobrażenia, że jest ważny dla świata, jak dla nas i nie zaczął bać się o siebie. W lecie, gdy trzymałem go na rękach na balkonie, nie chciał wychylić się w dół.

- Zaraziła go Maniunia. Boi się "przepaści" - jak mówi - "to grzech, by ludzie mieszkali nad ludźmi i chodzili im po głowach".

- Zabobonna służąca, rozmowy o śmierci, nasz lęk o niego... Pan Woynicki, gdy odwoływałem wizytę i przekładałem na następny tydzień, powiedział: "Niech nasze dzieci jak najszybciej się ze sobą zetkną. Nika jest też ciągle wśród dorosłych. Jest tak poważna, aż jej nam czasem żal".

Jaon chciał natychmiast wyzdrowieć. Wstydził się, że będąc mężczyzną, jest chory i Nika o tym wie. Przez to jej nie zobaczy. Przeradzało się to w tęsknotę za nieznaną istotą, małą dziewczynką. Zarazem czuł, że musi się z nią liczyć, jak ojciec liczył się z panem Woynickim. Już trochę bał się jej ojca. Czy pan Woynicki go polubi? Co będzie mówił o nim Nice? Czy będzie go chwalił?

- Panna Nika podobno jest śliczna. Pewnie czeka, aż Jaon wyzdrowieje, by przekonać się, jaki panicz jest. Trzeba szybko wstawać - przykazywała Maniunia.

Ale to wywołało nawrót gorączki. Jaonowi zobojeźniała Nika, aż do

chwili, gdy obudził się całkowicie zdrowy i z za drzwi usłyszał głos matki:

... żeby Jaon nie rozchorował się znów w dniu wizyty państwa Woynickich. Co wtedy zrobimy?

- Pamiętasz angaż do banku, z podpisem Woynickiego? - odrzekł ojciec. - Maszyna o dużych czcionkach, bezdrzewny papier, czarno - złote litery nadruku, kilka zdań, to nazwisko "Woynicki", które wydało się nam piękne, tajemnicze; jego niewyraźny podpis. Oboje wiedzieliśmy, jak list odczytać, co jest napisane między wierszami. On otworzył drogę do życia Jaonowi. Bez pisma obiecującego mu dobrobyt, nie ośmielilibyśmy się go mieć.

- Najdroższy! Najmilszy! Było dziewięć dni do objęcia stanowiska. Powiedziałam, że jedziemy na ten krótki czas na wakacje. Czułam, że matka odda nam salonik i będziemy tam królami. Może tam, w domu rodzinnym, wtedy, pamiętasz? W nocy z 22 na 23 lipca 1931 roku. Odtwórz wszystkie okoliczności. 22 rano: odpust na świętej Magdaleny, tłumy, spotykamy znajomych, kupujemy co popadnie, trąbki odpustowe, obwarzanki, dziecinny popychany zegarek. Jaon go gdzieś ma. Jeździmy na karuzeli, szaleni, potem wszyscy na bryczki, powozy i linijki, by zdążyć na przyjęcie do Palm, do Magdy Walickiej. Ta kawalkada pojazdów w płytkich wąwozach i tunelach leśnych, w zielonym świetle! Pani Magda witająca nas konno na granicy mająteczku, szampan na ganku, przed domem kapela, tańce.

- Powrót przy księżycu. Około pół do trzeciej przed domem twojej matki. Księżyc nie zaszedł, a słońce było już blisko. W saloniku było ciemno, bo okiennice były zamknięte.

- Kocham cię za to, że tak wszystko pamiętasz - odezwała się matka.

- Dyrektor Woynicki, niedostępny, tajemniczy, szara eminencja. Nie było mowy, by złożyć mu pierwszą wizytę. Za wielki dystans. Okazuje się ojcem małej Niki i Jaon nas łączy. Odnoszę wrażenie, że i pan Woynicki niepokoi się zetknięciem dzieci.

Rano nocne rozmowy rodziców wydawały się Jaonowi głosami olbrzymów ze snu; przypomnieć sobie nie mógł nic, ale tym bardziej, wydawały mu się ważne. Bał się, by się nie rozchorować z ciekawości i niecierpliwości, niepokojem, jak wypadnie spotkanie z Niką.

Nie chciało mu się wierzyć, wydawało się to wprost niemożliwe, gdy wyczekiwanego dnia Maniunia krzyknęła od kuchennego okna:

- Jeden pan, pani i dziewczynka idą przez podwórze do naszego wejścia.

Otworzono na oścież drzwi na schody. Zawiało zapachem innych mieszkań, dywanami, kurzem, gotowanym mlekiem, naftaliną i spalonym gazem. Matka wyszła przed próg mieszkania. Za nią stał ojciec, Jaon, w głębi Maniunia.

- Żebyś się tylko nie zakochał w tej dziewczynce - ostrzegła go Maniunia.

Pierwszym wrażeniem Jaona było, że Nika jest podobna do niego, prawie taka jak on. Miała zadarty nosek, jakie mają tylko dzieci, zielone oczy, za duże w stosunku do buzi i jasnobłond włosy. Miała

w nich różową kokardę nieprawdopodobnej szerokości, na nóżkach białe pończochy i czarne lakierki zapinane na pasek. Sukienka, zgodnie z modą dziecięcą, krótka.

- Dużo o tobie słyszałam - powiedziała Nika, jak osoba dorosła patrząc mu w oczy.

Widząc, że Jaon stoi bez ruchu, niemy, patrząc na nią, dodała:

- Pokaż swoje zabawki.

Poszli do jego pokoju. Niedźwiedź Biały i Niedźwiedź Brunatny, miś Karolinka, pluszowa małpeczka Wanda i celuloidowa laleczka Justysia, usadzeni rzędem, czekali na Nikę.

- Masz laleczkę - wykrzyknęła radośnie Nika. - Można się nią bawić? Jak jej na imię?

Wzięła laleczkę i poprawiła na niej sukienkę:

- Widać, że tatuś nie umie ubrać dziecka. Ale mamusia wróciła i zajmie się biedactwem. Kochane maleństwo. Bez mamy. Czy nie jest ci smutno z samymi zwierzątkami? Nie masz innej laleczki, żeby z nią porozmawiała? - pocałowała Justynkę w policzek.

- Mam misia Karolcię.

- Karolinka jest misiem - dziewczynką? Jak przyjdiesz do mnie, musisz zabrać Justysię i Karolcię do moich laleczek na wizytę. Zabierz też misia którego najbardziej lubisz.

- To Niedźwiedź Biały. Jest starszy ode mnie, bo dostałem go przed urodzeniem. Wszystkie misie, małpka i laleczka muszą go słuchać. Nawet ja czasem go słucham.

- Jest stary jak na misia. Chciałam zabrać Beatę ale mama nie pozwoliła. Dopiero jak będziemy u was z drugą wizytą, będzie wypadało. Moi rodzice mówią, że zbyt kocham laleczki, bo nie znam dzieci. Teraz znam ciebie. Znam jeszcze jednego chłopca. Mieszka w naszym domu, ale on wstydzi się bawić lalkami.

Maniunia przybiegła po dzieci. Proszono do stołu. Ogromny stół był rozsunięty. Dzieci siedziały osobno, przy końcu stołu nakrytym specjalnym obrusikiem z małymi łyżkami, widelczykami, talerzykami. Dorosli mieli przysunięty bar na kótkach. Na pustej części stołu między dziećmi a dorosłymi stały półmiski z przystawkami.

Jaonowi wydawało się, że Nika nie jest podobna do ojca. Ten niski, o dużej głowie mężczyzna jest ojcem tej dziewczynki? - zastanawiał się Jaon. Pan Woynicki wziął do ręki kieliszek napełniony białym winem i powiedział:

- To zaszczyt dla banku, że praca u nas pociągnęła pana, bohaterskiego żołnierza czasów wojny i wybitnego prawnika - powiedział zwracając się do ojca Jaona. - Praca u nas, to przyjęcie klauzuli klasztornej - zwrócił się z uśmiechem do matki Jaona. - Tyle, że zalecane jest szczęście rodzinne. Nasz bank staje się bankiem banków. Polska złotówka, o którą się opieramy, jest silna. Panu, panie Józefie chcemy zlecić badanie próśb kredytowych zagranicznych firm w Polsce. Panie jeszcze nie wiedzą, ale to delikatna sprawa. Za pomyślność państwa domu - podniósł kieliszek i umoczył w nim usta, po czym postawił.

Dzieci miały w kieliszkach swoje winko: sok z jabłek i pomarańczy, i też spełniły toast; podobnie maczając usta w różowawym płynie.

Teraz odezwał się ojciec Jaona:

- Bank stał się przedłużeniem mojej rodziny, nową rodziną, którą wybrałem i która, chcę, by mnie wybrała. Za pomyślność naszych gości - podniósł kieliszek.

- Jesteśmy spokrewnieni przez bank - uzupełnił Woynicki. Zbliżenie polskofrancusko - belgijskie jest pożądane i oczekiwane przez koła rządowe. Jednak niektóre spółki zamiast inwestować swoje kapitały w Polsce, zwracają się do polskich instytucji kredytowych o pożyczki. Bank obawia się, że staniemy się stroną słabszą, a wtedy oni wysną z nas krew.

Na stole pojawił się zając, kupiony w tajemnicy przed Jaonem. Jaon zamknął oczy. Zarazem nie obchodziło go to. Dziewczynka siedziała obok niego. Połączono ich dając wspólne miejsce, małe nakrycia, nie wtrącano się do ich rozmów. Zaczynała je zawsze Nika pytając o coś Jaona:

- Czy tam, gdzie wyjeżdżacie na lato z rodzicami jest rzeka?

- Warszawa uważa bank panów za instytucję drapieżną - odezwała się matka Jaona.

- Ciekawe! - zawołał radośnie pan Woynicki.

- Daje kredyty, a potem zabiera pod ich zastaw wielkie posiadłości, stając się posiadaczem ogromnych dóbr.

- A potem, parcelując je, zarabiamy dwa razy tyle, czyniąc nowych dłużników z tych, co kupili, którym jeszcze raz wszystko możemy zabrać - wyjaśnił pan Woynicki. - Szanowna i droga pani. Nie królowie, a banki rządzą światem i wypowiadają wojny. Niewidoczne, bo kto zwraca uwagę na tablicę na naszym budynku? Niewidoczne, bo tego chcą. Nie udzielam wywiadów. Moje nazwisko jest prawie nieznane. Banki wiedzą to, o czym nikt nie wie. Niemcy staną się bardzo potężne w latach 1938-1941. Na ten czas może przypaść wojna.

- To, co pan powiedział, jest tajemnicą? - spytała matka Jaona.

- W zależności od tego, z kim się mówi, rzecz pozostaje tajemnicą lub nie - odrzekł pan Woynicki.

- Sądzi pan, że dzieci rozumieją, o czym mówimy? - spytała matka Jaona.

- Ja rozumiem! - wykrzyknął Jaon. - Chcę wojny!

- Jeśli zapytała pani przy nich, to dlatego, że wie pani dobrze, że rozumieją i chciała raczej usłyszeć coś od nich, a nie ode mnie. Takie są teraz dzieci, a przede wszystkim nasze dzieci.

- Ty mój synu - matka zwróciła się do Jaona - nie wiesz, czym jest wojna, więc nie mów głupstw.

Jaonowi stanęły łzy w oczach. Uwaga matki spotkała go przy Nice i jej ojcu. Chciał się zerwać i uciec od stołu, ale bał się, że matka zatrzymałaby go siłą. Dusił złość i łzy. Wtedy odezwała się Nika:

- Możemy już iść bawić się?

- Niech idą, dobrze? - zwróciła się pani Woynicka do matki Jaona.

Nika wstała, dygnęła i wsunęła w rękę Jaona rączkę małą, delikatną. Zarazem Jaonowi wydawało się, że ściska go mocniej niż wypada i daje tym jakiś znak.

- Musimy wykopać twoją laleczkę - powiedziała Nika. - Idź do łazienki i przynieś wody - rozkazywała. - Są dziewczynki, które tylko na niby kąpią lalki.

Jaon, niezauważony, przebiegł przez wielki pokój i ubłagał zajętą Maniunię, by naląła wody do salaterki. Maniunia sama ją przyniosła z obawy, że Jaon rozleje.

- To jest wanienka - oświadczyła Nika, pokazując salaterkę. - Czy ty kiedy rozbierasz laleczkę? - zapytała.

- Nie - rzekł zawstydzony Jaon. - Dam ci laleczkę. Weź ją sobie.

- Nie. Laleczka by płakała, że jej nie chcesz. Będę musiała przychodzić do ciebie opiekować się nią. A teraz połóżmy ją spać. Nika zaczęła powoli zdejmować sukienkę z lalki, złożyła na pół i ułożyła z boku. Poza tym lalka miała tylko majteczki. Nika długo gładziła jej główkę, potem szybko zdjęła majteczki i włożyła do salaterki, dbając, by główka lalki się nie zamoczyła.

- No, dość tego, malutka, kochana, woda wystygła - przemawiała do lalki. - Mogłabyś się przeziębić. Daj ręcznik - zwróciła się do Jaona.

Jaon rzucił się do szafy i wyciągnął ręcznik kąpielowy, największy jaki był.

- O taki chodziło - pochwaliła Nika. Zawinęła laleczkę w rożek ręcznika. Udawała, że nie widzi, że ze środka celuloidowego ciała wylewa się woda.

- Nie masz nocnej koszulki dla twojego dziecka? - spytała Nika. Musimy ją położyć golusienką. Nie masz dla niej łóżeczka? To będzie spała przy tobie.

Nika podeszła do łóżka Jaona, odchyliła pledzik i położyła laleczkę, po czym troskliwie ją okryła i pogładziła po głowie.

- Raniuteńko, jak wstaniesz, obudzisz ją, powiesz jej dzień dobry i ubierzesz ją w majteczki i sukienkę - przykazała Nika. - Teraz zgaś światło, żeby mogła usnąć.

Jaon zgasił światło i odnalazł Nikę. Jego ręka natrafiła w ciemności na miękką sukienkę i Jaon aż odskoczył.

- Może ona jest chora i my czuwamy nad nią? - powiedziała w ciemności Nika.

- Żeby nie umarła? - odezwał się Jaon.

- Trzymaj mnie za rękę. Będziemy się martwić o dziecko i dodawać sobie otuchy.

Ręka Niki znalazła się w jego ręce i Jaon odczuł coś, czego nie spodziewał się zaznać. Siedzieli tak długo, bez ruchu, aż Nika osunęła się bezwładnie na Jaona, a potem na jego łóżeczko. Jej rączka rozwarła się. Spała. Jaon wstał i podszedł do okna.

Szczęśliwy, patrzył, jak gasną okna w przeciwległej oficynie. Tak zastali go rodzice i państwo Woyniccy. Najpierw ich głosy zabrzmiały ostro, groźnie, gdy zobaczyli, że światło jest zgaszone. Kiedy zobaczyli go wyglądającego przez okno, a Nikę uśpioną, pani Woynicka ucałowała Jaona w głowę. Nikę, śpiącą, ojciec odniósł na rękach do taksówki.

Jaon słyszał krzątanie w wielkim pokoju, sprzątanie, zsuwanie stołu i wołał co chwilę matkę. Gdy przyszła wreszcie, prosił, by

mu śpiewała.

Czy który z ułanów poległ? Matka nie śpiewała o tym. Łącznik wpadł na spienionym koniu z małą karteczką ściśniętą w dłoni. Rotmistrz odjeżdża na bok i czyta ją skupiony, a potem podrywa rozkazem w niewiadome strony. Wyjeżdżają w las, ciemny i głęboki. Żołnierze nie wiedzą, że wąskim zagonem wchodzą na odsłonięte tyły, na teren wrogi. Bez dźwięku jada ułani, tylko leśna ścieżka prowadzi ich w kraj nieznany, rozmawiając cicho, by nie usłyszał ich wróg. Ale to przecież głos mamy Jaona, wymawiający zniżonym głosem jego imię:

- Czy Jaon tam naprawdę śpi, nigdy nie wiem. Gdy wchodzę ma zawsze zamknięte oczy.

- Niepotrzebnie kazałaś usunąć próg.

- Jeśli jesteś niespokojny, poczytam ci - odezwała się matka.

- Skarciłaś ostro Jaona, gdy powiedział, że chce wojny - rzekł ojciec. - Ja poczułem to samo, co on.

- Jezus Maria! - krzyknęła matka.

- Kiedy Woynicki nazwał mnie żołnierzem, ogarnęła mnie rozpacz.

- Jesteś nim.

- Uważasz tak tylko ty i pan Woynicki. Czytał moje akta, gdzie jest odpis rozkazu w mojej sprawie. A mnie co wieczór ogarnia rozpacz. Dlaczego w marcu 1920 roku wykonałem rozkaz zamiast zdezerterować, pod obcym nazwiskiem uciec na front? Koledzy ginęli, a ja mieszkałem na wygodnej kwaterze.

- Twoja misja była tysiąc razy potrzebniejsza. Dałeś Polsce nawet to: poświęciłeś własną chwałę.

Jaon usłyszał straszny, przerażający szloch. To nie matka płakała, a ojciec - mężczyzna. Potem Jaon usłyszał głucho uderzenie.

- Nie, nie - wołała matka - Wstydz się. Tak nie można. Przestań. Samemu nie wolno siebie bić. To grzech.

Jaon usłyszał, że rodzice walczą ze sobą.

- To zastrzelę się - jęczał ojciec.

- Pistolet jest zamknięty, a klucz schowany - odrzekła matka.

Jaon boso podbiegł do drzwi. Położył się na ziemi. Chciał zobaczyć coś przez szparę. Cienie walczących rodziców przysłaniały ją to odsłaniały.

- Odbiorę ci ten klucz - szeptał ojciec. - Znajdę pistolet.

- Nie znajdziesz.

- Śląsk stał się dla mnie strasznym, mrocznym wspomnieniem. Te hałdy, czarne od sadzy uliczki, wieże kopalń, płonące huty. Boję się tego widoku. A teraz znów dostaję zaszczytą i poufną misję. Znowu tam!

- Przypomnij sobie! Jeszcze w 1916 roku byłeś na Tyłach armii rosyjskiej, narażony każdej chwili na rozstrzelanie. Ja ci muszę o tym mówić?

- Spółka Vaucaire jest potęgą. Mogę niczego się nie dogrzebać, oszukają mnie i gdy to wyjdzie, zwolnią mnie z banku.

- Damy sobie radę, bo mamy Jaona. Po wypowiedzeniu jego imienia Jaon usnął jakby wezwany od strony snu, tam też była matka i przywoływała go.

Obudziło go radosne wrażenie, że w domu jest ukryty pistolet i że

będzie wojna. Cichutko wchodził do wielkiego pokoju. Okazało się, że zasnął. Matka piła już herbatę i z uśmiechem patrzyła na niego jak wchodził. Padł jej w ramiona. Nic, najmniejszego śladu tego, co tu się działo w nocy. Rodzice nieraz już mu się śnili, we snach sprawdzał, czy mu się nie śnią i widział najdrobniejsze szczegóły ich twarzy, a potem budził się i ich nie było. Pistolet, misja za frontem, to był sen - pomyślał.

- Mamo, kiedy przyjdzie Nika? - spytał Jaon.

- My pójdziemy do państwa Woynickich i to już w przyszłą sobotę. Skoro tak szybko może nastąpić nasza rewizyta, oznacza to, że będziesz Nikę widywał często. Jedz śniadanie, a twoja mama się ubierze.

Maniunia weszła trzymając w ręku papierek. W środku była moneta.

- Ci państwo co byli wczoraj, są bardzo dobrzy. Dali mi pięć złotych.

- Pokazała matce Jaona srebrną monetę na papierku. - Niech jeszcze dziesięć razy przyjdą, a będę miała cielę.

- Maniuniu, ty w sklepie nie umiesz liczyć! A swoje pieniądze dodajesz i mnożysz. Masz kogoś upatrzonego?

- Nie znam nikogo.

- Po co ma kogoś znać Maniunia?

- Twoi rodzice też musieli się poznać.

- To wy nie znaliście się? - wykrzyknął Jaon.

- Nie.

- A jak poznaliście się?

- W ogrodzie na plebanii w Marzeniowie, gdzie mieszkałam z twoimi dziadkami, i gdzie byłeś ledwie się urodziłeś, i babcia zdążyła cię zobaczyć. Szłam od furtki między rabatami lewkonii.

- Dlaczego szłaś? Lewkonie to kwiaty lwów? - spytał Jaon.

- Przyszłam do prałata, by o coś zapytać.

- O co?

- Musisz wiedzieć?

- Muszę.

- Poszłam spytać o radę. Chciałam wstąpić do klasztoru.

- Co to jest klasztor?

- Tam służy się tylko Bogu. Nie widuje się nikogo i nie wychodzi.

- Dlaczego chciałaś wstąpić do klasztoru?

- Zobaczyłam ogromny dom mający czterysta lat, z zamurowanymi oknami. Zakonnice były tam odcięte od świata. Nie wpuszczano nikogo.

- Chciałaś mieszkać tam?

- Nie wiedziałam, że istnieje twój ojciec, a naprzykrzał mi się pewien pan. Twój dziadek, a mój ojciec chciał, bym za niego wyszła za mąż, a ja nie chciałam.

- Byłaś niegrzeczna?

- Byłam grzeczna. Nie sprzeciwiałam się decyzji twojego dziadka, tylko chciałam zamiast mężowi służyć Bogu. Nie miałam powodu być posłuszna panu, który chciał się ze mną ożenić.

- To on by był moim tatusiem?

- Właśnie tego nie chciałam. Byłbyś inny, nie tak kochany, bo ten

pan był inny. Chciałam iść do klasztoru, by nie rozgniewać twojego dziadka.

- A nie powiedziałaś temu panu, że nie chcesz go?

- Mówiłam. Powiedziałam, że nie ma środków, których nie zawaham się użyć, by uniknąć związku z nim. "Gdybym była mężczyzną wyzwałabym pana na pojedynek, albo obiłabym. Wstydzę się pana natręctwa. Pan mi przeszkadza".

- Co to jest pojedynek?

- Dwóch panów strzela do siebie, gdy jeden drugiego obraził.

- Z pistoletów?

- Nie przerywaj, jak chcesz, bym opowiadała. Był słoneczny, letni dzień, a ja szłam smutna na plebanię. Przedtem modliłam się w kościele. Wyszedłam z ciemnego kościoła na przeraźliwie jasną przestrzeń. Od kościoła schodziło się długo w dół, schodkami do plebanii. Potem była furtka i dróżka między kwiatami. Zamiast księdza wyszedł mi na przeciw młodzieniec ostrzyżony krótko, z cieniem wąsów nad wargą.

Spytał czym może mi służyć. Pomyślałam, że to młody ksiądz, który wyszedł bez sutanny. Zrobiło mi się strasznie żal, że

jest księdzem. Powiedziałam, że przyszedłam do księdza prałata. -

"Jest za granicą, w Rzymie". Odpowiedział młodzieniec i dodał: -

"A my odnajmujemy plebanię na lotnisko". Jak to się stało, że zapomniałam iż ksiądz wyjechał do Rzymu? Polska była w niewoli i ksiądz naraził się kazaniem Rosjanom. Chcieli go aresztować, ale w końcu pozwolili mu opuścić kraj. Od chwili, gdy zobaczyłam twojego ojca nie było już odwołania. - "Tylko on" pomyślałam. Nikt i nic nie mogłoby nas rozłączyć - bo, jak okazało się potem, twój ojciec pomyślał to samo. Zapytał mnie jeszcze o coś, to były chyba słowa: - "A może ja mogę w czymś pani pomóc?" - "W tej sprawie, w której przyszedłam nic mi pan nie może pomóc".

- I wtedy ja się urodziłam?

- Dziecko, co ty wygadujesz! - wykrzyknęła matka. - Wracając do domu zastanawiałam się, jakie zrzędzenie losu spowodowało, że zobaczyłam tego młodego chłopca, kim jest i czy go jeszcze zobaczę. Jeśli chodzi o mnie, to wiedziałam: i chęć wstąpienia do klasztoru i dziwne zapomnienie, że ksiądz nie ma, mnie tam zawiodły. A on, skąd tu trafił i dlaczego? Ale czy nie jesteś za mały, by tego słuchać? Pomyśl: nigdy, ja i twój ojciec nie poznalibyśmy się.

- To ja bym się nie urodził?

- Byłoby to niemożliwe. Wiesz, co się okazało? Twój ojciec jest nadludzko odważny. W czasie wakacji opuszczał się szybami nieczynnych kopalń i wędrował chodnikami, z których wydobyto węgiel. Twoi drudzy dziadkowie, rodzice twojego ojca, mieszkali niedaleko Katowic, gdzie jest dużo kopalń. Bali się, że twój ojciec zginie. Ojciec twojego ojca w tym czasie chciał kupić kopalnię. Chciał wydobywać węgiel. Bał się włożyć wszystkie oszczędności, bo zapowiadano, że węgiel stanieje. Pewnego dnia zwiedzał kopalnię, która była do sprzedania. Oprowadzał go dyrektor kopalni. Wrócili czarni od węgla. Była specjalna łazienka

dla dyrekcji. W jednej części kąpał się twój dziadek, w drugiej, za cienką ścianą, ten dyrektor. Kobieta obsługująca łazienkę nalewała szampana. Rozmawiali przez to przepierzenie. Dyrektor czekał, aż dziadek wyrazi decyzję kupna kopalni. Kiedyś więcej powiem ci o takiej pani, która pracuje w łaźni. Nie cieszą się dobrą opinią. W gorącej parze podawała ręczniki i myła plecy. Chciano, by wino i obecność takiej pani skłoniła dziadka do szybszej decyzji. Wnętrze kopalni przypominało dziadkowi jego zmartwienie z twoim ojcem. Zaczął się zwierzać dyrektorowi. Ten odpowiedział mu, że ma dom w cudownej okolicy, takiej, że trudno uwierzyć, jak jest piękna. Są tam góry, które można bezpiecznie zwiedzać. Można wynająć dom na lato.

- I co? - spytał Jaon.

- Rodzice twojego ojca przyjechali w nasze strony na wakacje. Resztę wiesz. Za dużo ci nagadałam. Jestem zła na siebie. Za późno iść na spacer.

Gdy ojciec wszedł, matka, jak mała dziewczynka, okręciła się wokół niego. Maniunia podała rosół z makaronem. Jaon dostał przez pomyłkę dużą łyżkę. Była ciężka. Czuł dumę, że jest całkowicie dorosły.

- Nie wiem, czy to nie za wcześnie dla Jaona, ale opowiedziałam mu, jak się poznaliśmy - odezwała się matka.

- Niech wie o nas wszystko - powiedział ojciec. - Ach synu, byłem przygnębiony, że zgodziłem się wyjechać w miejsce, gdzie nic mnie nie czekało. Dzwon kościelny budził mnie przed świtem i cały dzień bił: Anioł Pański, msze, pogrzeby, śluby, chrzciny, nieszpory. To było jak ostrzeżenie, że życie szybko mija. Całe dni leżałem w ogrodzie plebanii i czytałem książki teologiczne z biblioteki księdza, lub wisiałem na drążku, głową w dół, jak nietoperz, by straszyć służbę.

- Ach, o tym nie wiedziałam - radośnie przerwała matka.

- I nagle, pewnego poranka, gorącego, smutnego i beznadziejnego, zobaczyłem, że wśród kwiatów szła ku mnie prześliczna panna w sukni lekkiej, zwiewnej, różowej...

- Tatusiu, jak wybuchnie wojna, będziesz walczył? - spytał Jaon.

- Boże, on wszystko pamięta - zawołała matka. - Jedno słowo pana Woynickiego!

Zbliżały się święta. Jaon wiedział, że dwa, czy trzy razy już je przeżył, ale o tym, jak o wszystkim, nawet o nim samym, opowiadała mu matka. Zaczął się okres oczekiwania na podarki, przylot Aniołka i przyjście Jezusa, mniejszego niż Jaon.

- Na widok choinki Jaon powiedział pierwsze w życiu słowo "pka" - przypomniał ojciec.

- Nie wołał "mama" - ze smutkiem rzekła matka.

- Skąd je wziął? Co w jego języku oznaczało?

- Mam pewną hipotezę. Choinka świeciła mocno, zabawki odbijały światło, wydało mu się to cudem, chciał wypowiedzieć swój zachwyt, umiał go sformułować, ale nie znał słów. Słyszał ciągle, jak wołamy radośnie, cieszymy się, że Jaon "zrobił swoje": "kupka, kupka". Biedna główina wychwyciła tylko końcówkę. Znaczyło dla

niego "piękne".

- Mój Boże, gdyby pierwsze słowo potraktować jako wyrocznie,
zapowiada coś dobrego - westchnęła matka.

Z oczekiwania na święta, Jaon zapadł na nową chorobę. Trzy dni nie
robił kupki. Matka ciągle pytała "czy nie ma na co ochoty". "Kupka
dziecka cenniejsza jest matce niż złoto - szeptała do Maniuni. -
Czy nie przekazałam mu skłonności z czasów młodości? Byłam
niemądra. Przedkładałam piękno nad wszystko.

Wypróżnianie się uważałam za nieestetyczne, wstydziłam się, że mu
podlegam i wstrzymywałam się przed wychodzeniem za swoją potrzebą.
Piękno omal mnie nie zabiło".

Do łazienki matka przyniosła nocniczek z gorącą wodą na dnie:

- Natęż wszystkie siły. Całą wolę.

- Co to jest wola?

- Gdy sam zmuszasz się do czegoś. No stękaj: eee, eee, eee, eee! -
stękała matka. - Ale ty też stękaj. Ja za ciebie kupki nie zrobię.

- Ale ty mammo wyjdź.

Gdy wróciła po chwili, jej twarz posmutniała. Kupka nie powstała.
Matka dała mu rozmoczonych suszonych śliwek.

- Mammo, czy to smaczne?

- Nie synku, to lekarstwo. Nie wszystko je się dla smaku. Nie
wszystko robi się dla przyjemności. Czasem trzeba znosić ból dla
własnego dobra.

Nocnik stał cały czas w łazience i Jaon czuł wobec matki
obowiązek, który musiał wypełnić. Natęzał się, jęczał, nie
wiedząc, że matka podsłuchuje pod drzwiami, aż nagle kupka,
ogromna, cuchnąca, wyszła z niego, zapełniając nocnik. Wstał
dumny, patrzył na swoje pierwsze świadome dzieło. Była
żółtobrazowa, jak kredki. Włożył wskazujący palec, by sprawdzić
jej konsystencję, gdy wpadła matka.

- Wstrętny chłopaku - chwyciła go za rękę i zaciągnęła pod kran
nie bacząc, że nogi ma spętane opuszczonymi spodenkami. - Nie
brzydzisz się takiej ohydy?

Jak to dobrze, że nie włożył palca do ust, by spróbować smaku.

Matka by go zbiła. Zdziwiło go, że coś tak cennego jak kupka jest
zarazem obrzydliwe.

- Nie dotykać bo śmierdzi? - spytał.

- Nie używa się słowa "śmierdzi".

- Nie dotykać bo pachnie śmierdzeniem? - dopytywał Jaon.

- Kupki ani ognia nie wolno dotykać.

- Mammo, ty i tata też robicie kupkę?

- Milcz.

- Dlaczego oglądasz moją kupkę?

- Patrzę, czy nie ma robaków.

Jaon zamilkł.

- Coś mojego gadułek zatkało? - matka zmieniła front.

- Mammo, zwierzę może żyć we mnie?

- Malutkie tak. Duże się nie zmieści.

- Mammo, skąd się we mnie wzięła kupka?

- Syneczku, więc nie stać cię na to, by się domyślić? - zasmuciła

się matka.

Nie wiedział, czego od niego znów chce.

- Syneczku, pomyśl, rano jesz talerz kaszki na mleku, potem ziemniaczki z masełkiem, mięsko, chlebek z serem. Gdzie to by się w ciągu lat w tobie zmieściło?

- Ależ mamó - rzucił się z gniewem Jaon. - Mówiłaś, że z tego rosnę, przybywa mi sił, a jestem większy o trzy centymetry więc... Poczul olśnienie i wstyd, że nie doszedł, czym jest śmierdząca masa, że był łatwowierny. Więc matka troszeczkę kłamała?

Wytarła mu rękę, podtarła go, wzięła nocnik i szła z nim przez przedpokoje ku ustępowi, z którego Jaonowi jeszcze nie wolno było korzystać. Kroczył za nią i wykorzystał chwilę, by skręcić do kuchni.

Rzucił okiem na pocięte tasakiem mięso. Dotknął go z obrzydzeniem. Wolał przesunąć dłonią po rozwałkowanym cieście. Wydawało mu się, że przez skórę ręki czuje jego smak, gdy będzie ugotowane.

Maniunia raz dała mu pocałować ciasto. Teraz odwróciła się od niego udając, że go nie widzi, bo musiałaby go przepędzić zgodnie z rozkazem pani. Jaon czuł, że lubi, gdy jest w kuchni. Nie uważała, by siedzenie w kuchni było czymś złym.

Gotowało się w kilku garnkach, buchała para, ciemno buzował ogień pod płytą paleniska, a osobna kuchenka gazowa nastawiona była na cztery płomienie.

Uczucie upokorzenia, że nie zgadł czym jest kupka, nie opuszczało go.

Płomień gazowy nie robił wrażenia, że jest ogniem. Wolał odbłask z pieca kuchennego, węgiel z czarnego stawał się czerwony, a potem niknął. "Czy poczuję jego dotyk jak kupki? Czy będzie śmierdziało?" Było dwoje drzwiczek, jedno nad drugimi; dolne uchylone. W tym momencie Maniunia przyszła mu z pomocą. Wiedział, że matka zakazuje Maniuni gotować pranie i jedzenie jednocześnie. Odsunęła wielki kocioł (ukradkiem gotowała tam bieliznę), bojąc się, że pani podążając za Jaonem odkryje przestępstwo. Fajerki pozostały odsunięte. Ogień wydobywał się nad płytę. Jest miękki czy twardy? Jak woda da się utrzymać w dłoni, ale gdy ją zgnieść, ucieknie? Patrzył, aż płomień zmienił kolor na biały, a potem na czarny.

Maniunia bała się ognia, ogień bolał? On jest mężczyzną, chwyci go w rękę i utrzyma. Chciał poznać dotyk ognia.

Kształt ognia znikł gdy włożył weń rękę. Nie poczuł nic, wszystko znikło z oczu, przestał widzieć. Coś niespodziewanego, nieznanego, więcej niż ból ogarnęło go, jakby cały wszedł w ogień. Cofnął rękę i natychmiast włożył powtórnie. "Nie jestem tchórzem" - pomyślał i podłoga zachwiała się, przybliżyła się do niego i uderzyła go od dołu z wielką siłą.

Śmierdziało przypalonym mięsem, jak wtedy gdy Maniunia zagadywała się w pokoju z matką Jaona, a zarazem Jaon czuł, że leży w wodzie.

- Mokry - powiedział o sobie Jaon.

Matka poderwała go z wściekłością. Rozbierały go szybko. Matka zaczęła sparzoną dłoń smarować białkiem, a potem polewać olejem

Inianym.

- Czy nie trzeba lekarza? Ciągłe go wzywamy, wstydę się za ciebie Jaon. Jak mu powiedzieć, co się stało? Na całe życie zostanie ci blizna. Wiesz, że byłeś zemdlony? Że mogłeś upaść twarzą na odkryte palenisko? Czy wiesz, że tylko małe dzieci wkładają rękę w ogień? Jaon, ja będę cię bić - wykrzyknęła matka. - Za karę nie dostaniesz prezentów.

Pełen niepokoju, czy matka nie spełni groźby, szedł na spacer. Na ręce miał wielki kawał plastra, jakby raniono go na wojnie.

Czy Aniołek prezenty przynosi z nieba? Jaon widział w sklepie takie same, jak te co dostał w zeszłym roku. Więc Aniołek kupuje je zwyczajnie, jak człowiek? Czy bierze wszystko bez pieniędzy? Wchodzi do wszystkich sklepów, czy tylko do zaufanych? Może występuje pod postacią człowieka?

Łatyńscy dekorowali wystawę na oczach przechodniów. Grube pięty Łatyńskiej w szarych pończochach znalazły się przed oczyma Jaona.

Czy takiej osobie mógł ukazać się Aniołek? Jakby w odpowiedzi na tę myśl Łatyńska zaczęła rozciągać anielskie włosy na towarach.

Potrąciła papugę. Ptak zakołysał się, jakby wzlatywał.

Łatyńska dostrzegła Jaona, tupnęła gniewnie, każąc odejść.

Próbował skrócić w stronę sklepu z zabawkami, na próżno, matka szła dalej. Chwyciwszy ją za rękę, ciągnął ją w tę stronę. Chwilę trwała próba sił, którą Jaon przegrał, szarpnięty silnie.

- Nie wierzę sobie! Walczysz z matką?

"W jaki sposób rodzice porozumiewają się z Aniołkiem? -

zastanawiał się Jaon - jak można go odnaleźć bez ich udziału?"

Domyślał się, że nawet jego rodzice, nie wiedzą, gdzie jest niebo, inaczej wszyscy by tam poszli, niemożliwe więc, by poczta mogła dostarczyć list. Ale Aniołek wszystko widzi.

Gdy wrócili, rzucił się ku toalecie matki. Skoro ma pisać do nieba, może więc wziąć papier i kopertę mamy. Nie zastanawiał się, czy umie pisać. Wiedział, że Aniołek odczyta wszystko. Na kopercie narysował niebo w formie zawirowanej spirali chmur i gwiazd.

"Aniołku, co tam chodzisz w raju - zaczął. - Przynieś mi zabawki, miej na tyle łaski. Pułki wojska, nawet dywizję, ile możesz, i samochód pancerny". Gdy skończył, spostrzegł, że list napisał na kopercie. "Najwyżej Aniołek nie będzie miał kłopotu z otwieraniem. Przeczyta list przelatując". Otworzył podwójne okno w wielkim pokoju i przyłożył list do zewnętrznej szyby. Ledwie matka weszła, zawołała:

- A co to za koperta? Kto pozwolił ci się rządzić w rzeczach matki? To ty coś znowu zmalowałeś? List? To ma być list? Dlaczego między oknami? Do kogo ten list? Jaon opuścił głowę.

- Nie chcesz to nie mów. Czy dobrze, że udajesz, że piszesz? Będzie ci trudno nauczyć się naprawdę. Zresztą nie wiem. Pisz, może tak jest lepiej?

Cały dzień list leżał między oknami. Ale Aniołek nie musiał brać listu. Mógł go czytać niewidzialny w chwili, gdy Jaon go pisał, zza jego ramienia.

Rano pierwszą myślą Jaona było biec do okna. List znikł. Jaon

biegł

przez wszystkie pokoje, zakręcając w kuchni, tam i z powrotem, szalał. Czy dostanie prezenty?

Drzewo weszło do ich domu na dwu nogach. Kazano mu stać na balkonie. Gdy Jaon podbiegł kolejny raz by przyglądać się przez szybę choince zobaczył, że coś leży na parapecie między oknami. Był to list, inny, w niebieskiej kopercie.

- Do mnie! Do mnie! - krzyczał Jaon. Otworzył okno, wyjął list, podbiegł do mamy. - Czytaj mi! Czytaj! Aniołek zrzucił mi list.

Matka spojrzała na kopertę i powiedziała zdziwiona:

- Rzeczywiście! Adresowany do ciebie. A listonosza jeszcze nie było. - Rozdarła kopertę. - Tak, to do ciebie! - "Kochany Jaoniku.

Choć na wielką zuchwałosc pozwoliłeś sobie, pisząc do Swojego Anioła Stróża, odpisuję Ci, bo liczę, że w przyszłości okażesz podobną odwagę nie w tak błahych sprawach jak zabawki, ale w wielkich sprawach obrony Boga, ojczyzny, Twojej rodziny.

Rozważyłem na małej wadze anielskiej twoje dobre i złe uczynki.

Lewa szalka, piszę to z bólem, opadła niżej. Częściej byłeś niegrzeczny, niż grzeczny. Nie umiesz zastanowić się, nim coś uczynisz. Dlatego prezenty by cię ominęły, gdyby nie to, że na drodze niebieskiej, na wysokiej, ciemnej chmurze ujrzałem lecącego nad światem, na potężnym koniu, przy mieczu i z lancą (na jej końcu czerwieniła się krew Złego Ducha, którego nią przygniół), mojego wodza Archanioła Michała. Zacząłem machać rękami i skrzydłami. Święty Michał ściągnął wodze koniowi - Chodzi o małego Jaonika, którego jestem patronem. Św. Michał powiedział: Aniele Stróżu, Jaonowi dasz prezenty, ale dodasz różgę. Anioł Stróż."

Jaon zaczął podskakiwać i krzyczeć:

- Będą prezenty, będą prezenty.

- Nie zwróciłeś uwagi na nic poza tym? - spytała matka.

W wigilię ojciec wrócił z banku wcześniej, wniósł z balkonu choinkę i przystawił do niej rozkładaną drabinę. Jaon podawał mu zabawki, a ojciec je wiesział. Była to praca na wiele godzin. O zmierzchu Maniunia zaczęła nakrywać stół. Rodzice rozmawiali o wuju Rudolfie. Czy się zjawi, jak zawsze w ostatniej chwili przed wieczerzą? Ale czas pociągu stamtąd już minął. Co się stało? Nie wiedzieli.

- Jaoniku, idź teraz do gabinetu. Tu przewietrzemy.

Jaon wszedł na parapet okna w gabinecie. Pierwsza gwiazda już świeciła. Może Aniołek skorzysta z otwartych drzwi balkonu wleci i zostawi prezenty? Okna w całym domu były żółtawe w porównaniu z barwą śniegu. Gołębie spały. Niebo i przestrzeń nad podwórzem były puste. Anioł nie zjawiał się. Ale nagle, w przeciwległej odcynie z samej góry ruszyła winda, oświetlona, w której nie było nikogo. Jaon przywarł do szyby, śledził jak ukazywała się między piętrami. Zjechała na sam dół, światło zgasło. Nikt z niej nie wysiadł, nikt nie wsiadł. Mógł przyjechać nią z nieba, niewidzialny dla ludzkich oczu Anioł. W tym momencie zapukano w ścianę. Jaon wpadł do dużego pokoju. Było tu chłodno, pachniało lasem. Pod choinką piętrzyły się prezenty.

- Aniołek przyleciał windą - zawołał Jaon.

- Jezu! - krzyknęła Maniunia. - Zawsze się boję jechać windą, że spadnę, albo wylecę za wysoko!

Wojsko leżało w pudełkach jak w koszarach po capstrzyku. Zrobił pobudkę i ustawiał je w szyku. Nakręcany francuski samochód pancerny, miniatura ostatniego modelu, pomalowany na pustynny kolor ochronny, z działem na amunicję z kapiszonów.

- Synu, nie wzięłeś różeczki.

- Ja nie prosiłem o różeczkę.

- Ale ją dostałeś.

Różeczka, była to długa laska z cieniutkiego pędu bambusa. Psuła wszystko. Wyniósł ją do swego pokoju, chciał rzucić na ziemię, ale przedtem spróbował czy jest giętka. Gięła się wpół, a nawet dalej. Jaon nacisnął mocniej, aż trzasnęła mu w rękach. Wtedy cisnął ją pod swoje łóżko.

Zaczęła się kolacja wigilijna. Ojciec brał opłatek, łamał się z matką, Jaonem, Maniunią, a potem łamała się matka z Jaonem i Maniunią. Na końcu Jaonowi i Maniuni został kawałeczek opłatka i wolno było Jaonowi pocałować Maniunię. Po podaniu wszystkich dań, została z nimi, ale nie chciała usiąść do stołu. Stała oparta o framugę. Śpiewała kolędy silnym falsetem, który nadał pieśniom coś prawdziwie stajennego, pasterskiego. Przy "Lulajże Jezuniu" rozplakała się.

- Za matką płaczesz, czy że ciotka Dziurzyna jest daleko?

- Za moją matką i za pani matką, której śpiewałam tę kolędę - odpowiedziała Maniunia.

W drugi dzień świąt obudziły go głosy z dużego pokoju. Jeszcze jeden głos, poza głosami rodziców. Szczelina pod drzwiami była silnie oświetlona. "Ach, to stryj" - odgadł Jaon. Zapomniał, że ma stryja. Ciągłe poznawał nowych ludzi i zapominał o nich. Nie miał czasu o nich myśleć: wuj Rudolf, stryj Hieronim. Jego rodzice mieli braci, a on nie miał.

- Przestańcie nazywać go Jaonem - złościł się stryj.

- Nie podnoś głosu łaskawie, bo go obudzisz - powiedział ojciec.

- Czekają was szalone, szalone kłopoty z tym dzieckiem - mówił stryj. - Jak mogliście pozwolić, by mówił własnym językiem?

Zamiast dać mu klapsa, wsłuchiwaliście się w jego słowa.

Rozmawiacie z nim z taką powagą.

- Z tobą nie, kochany szwagrze - odpowiedziała matka. - Stawiasz się na jednym poziomie. Złosisz się na wspomnienie o Jaonie.

- Nie martwcie się mną. Wasz niby jedynak ma cechy zuchwałego najstarszego dziecka i najkapryśniejszego najmłodszego.

Wychowujecie go na kogoś wielekroć zamożniejszego od was. Patrzy na świat z wyżyn, których może nigdy nie osiągnie. Co zrobi, gdy spadnie na niego los biedaka, a to możliwe, bo wszystkich do siebie zraża.

- Jak ciebie, kochany szwagrze? - spytała matka. - Niepokoi cię biedaku wszystko co się kręci niżej, pod twoimi nogami? Psy, koty, dzieci?

Stryj nie panował nad sobą:

- Rok temu się krzywił, że nic mu nie przyniosłem na gwiazdkę! To jest faszyzm dziecięcy. Utwierdzają was Woynicy kultem swojej córeczki. Przekleństwo zbyt szczęśliwego dzieciństwa będzie go ścigać do grobu. Widzę go, jaki będzie, gdy was zabraknie - wiecznego sierotę, nienawidzącego ludzi, nie lubianego, pysznego, pogardliwego, zgorzkniałego.

- Jeśli myślisz, że w jakimś stopniu zaczarujesz przyszłość tego dziecka, to się mylisz. Tu jestem ja, między tobą a nim i odbijam te zatrute myśli.

- Od jego urodzenia staliście się zabobonni. Nigdy więcej nie powiem słowa o tym chłopcu. Dla mnie przestaje istnieć.

- Nie mów tak, kochany. Sami nie wiemy, co z nim począć. Milczał tyle czasu, a teraz jednocześnie z mówieniem zaczyna pisać. Podpisuje swoje rysunki, od prawej do lewej, swoim pismem. Wydaje coś w rodzaju nieustannej gazety. Muszę chodzić do lustra, odczytywać ją. I co byś zrobił?

- Powiedziałem, że na jego temat nie powiem słowa.

- "Powiedziałem... że nie powiem" - przedrzeźniał go ojciec.

- To ja już pójdę - powiedział stryj.

Słychać było odsuwanie ciężkich krzesel i wszyscy wyszli, ale za chwilę wrócili.

- Niepotrzebnie się uniosłem - mówił stryj.

- Nic się nie stało. Jesteś bratem - odrzekł ojciec Jaona.

- Jestem nieznośny, bo mam do was prośbę. Trudno mi ją wypowiedzieć

- zająknął się. - Bracie, bądź mi przyjacielem. Chcę przyjść do was ze znajomą. Jest piękna. Dużo jej opowiadałem o was. Chcę was poznać. Nazywa się Świdwińska.

- Lepiej było nie wypowiadać tego życzenia, drogi bracie - odezwał się ojciec. - Przychodząc z nią do nas, zmieniasz jej stanowisko w swoim życiu. Coś jej przez to obiecujesz, czy nawet dajesz, wprowadzając do rodziny. A my nie chcemy być do tego użyty.

- Boicie się mojej żony.

- Z nią się też liczymy. Przecież nikt inny tylko ty wprowadziłeś ją do naszego domu. Musielibyśmy jej o tym powiedzieć, a tego przecież nie chcesz.

- Wy nie lubicie mojej żony - wybuchnął stryj z hukiem, powtórnie odsunął krzesło. Znowu wszyscy wyszli do przedpokoju.

Gdy rodzice wrócili do dużego pokoju, Jaon zawołał:

- A ja nie śpię! A ja nie śpię! A ja nie śpię!...

Matka stała i patrzyła na niego: "Kiedy się obudził? Co słyszał? Czy wszystko słyszał? Czy obudził się w tej chwili?"

- Zaśpiewać ci o ułanach?

- Chcę więcej o bitwie - odparł Jaon.

- Są jeszcze w marszu - surowo odpowiedziała matka. - Na tyłach wroga.

Jaon ujrzał jakieś miejsce, obce, groźne na tyłach wroga i już spał.

Cały dzień Jaon drżał, że po jego przyznaniu się, że nie śpi, rodzice przeniosą się do gabinetu. Ale nie wiedział, że i oni

chcieli być w jego pobliżu.

Następnego dnia rano matka powiedziała:

- Dziś jest ważny dzień. Pierwszy raz się rozstajemy. Zostawiam cię pod opieką Maniuni. Masz jej słuchać. Maniunia będzie przygotowywać obiad w kuchni, a ty będziesz się bawił w swoim pokoju. Wolno ci, w razie czego, na Maniunię zadzwonić, ale nie wolno ci dzwonić dla zabawy. Twoja matka idzie do fryzjera. Teraz, przez ciebie mogę się czesać tylko w warkocz. Od twojego urodzenia nie ścinałam włosów i mam tak długie, jak w dniu, kiedy poznałam twojego ojca. W sobotę idziemy na wizytę do Niki i państwa Woynickich. Twoja matka chce ładnie wyglądać.

Gdy matka wyszła Jaon przekradł się do kuchni:

- Maniuniu, mnie nie wolno być w kuchni. Chodź do pokoju, baw się ze mną.

- Pani mnie wyrzuci.

- Chodź, błagam Maniuniu. Nie rób obiadu - prosił Jaon.

Maniunia wytarła ręce ścierką i powiedziała:

- A, najwyżej utłukę korzenie innego dnia.

Jaon rzucił się do jej ręki. Była gruba jak kawał mięsa, twarda, szorstka i gorąca.

- Mówiłam, nie wolno mnie całować w rękę - powiedziała Maniunia, wyrwijając dłoń, ale pochyliła się i pocałowała Jaona w usta.

Biło od niej gorąco, gorzkawy zapach. Była w czarnych pończochach, "murzyńskich", jak je nazywał w myśli Jaon. Dostała pończochy po jego matce. Zwijała je w rurkę nad kolanem i dalej widać było białą jak mąka nogę. "Co u Maniuni jest pod spódnicą?" - pomyślał Jaon i wsunął gwałtownie rękę. Zaskoczyło go, że noga Maniuni była zimna jak zlodowaciała, pokryta gęsią skórą. Sunął ręką w górę, patrząc na twarz Maniuni, która zmieniła się. Coś nieprzytomnego, jak obłok przepłynęło jej przez twarz, chwyciła rękę Jaona, wyrwała spod spódnicy i uderzyła z całej siły. Jaon krzyknął i rozplakał się, i jednocześnie wybuchnęła płaczem Maniunia.

- Mnie nie wolno panicza bić. Pani mnie wyrzuci.

- Przepróż mnie, przepróż - mówił Jaon. Na samą myśl o przeprosinach zrobiło mu się słabo.

Wzięła go na rękę, przycisnęła silnie, chwilę oboje płakali.

- Przez Jaona odejdę. Taki jest niegrzeczny - powiedziała Maniunia tonem kapryśnym, nadąsanym, który mimo groźby zawartej w słowach, ucieszył go.

- Niech mnie Maniunia zbije - żądał Jaon. - Proszę, niech Maniunia mnie zbije.

Położył się na łóżku Maniuni, by go zbiła.

- Chodźmy na pokoje - powiedziała Maniunia.

Tam nastrój zmienił się. Sami w domu, szaleli z radości. Gonili się naokoło stołu, potem Maniunia kazała Jaonowi tańczyć ze sobą. Trzymała go za obie ręce i walcowała, dostosowując się do kroków Jaona i nucąc melodię, którą śpiewała mu matka:

"Śpiewaj, ach śpiewaj walczyku ty

Miłość opiewaj i złote sny".

Gdy zdyszała się, usiadła na fotelu zajmowanym zawsze przez matkę

Jaona i powiedziała:

- Ach Jaoniku, jak się Jaonik zakocha. To jest więcej niż sen. Wtedy kocha się wszystko, nawet brudne garnki.

- A Maniunia jest zakochana?

- W tobie Jaoniku. I jeszcze w kimś - dodała szybko.

Jaonowi zrobiło się przykro. Maniunia zauważyła to:

- Gdybym była zakochana tylko w tobie, ile lat przyszłoby mi czekać, aż dorosniesz! Zresztą niech tamten będzie zazdrosny o ciebie.

- Co to znaczy zazdrosny? - spytał Jaon.

- Lepiej, jak nigdy się nie dowiesz - odpowiedziała Maniunia. A teraz muszę iść do kuchni. Miałam obrać ziemniaki, nastawić marchew, a Jaon mnie odciąga od obowiązku. Pani mnie wyrzuci.

- Nie. Nie. Nie - błagał Jaon i uczeplił się ręki Maniuni, nie puszczając jej z pokoju.

Twoja babcia mówiła służącym wierszyk: "Dzisiaj, ach dzisiaj ja wszystko zrobię, a jutro, ach jutro odpocznę sobie".

Na co Jaon, nie wypuszczając ręki Maniuni, zmusił ją, by znów z nim tańczyła i śpiewała:

"Jutro, ach jutro ja wszystko zrobię,
tylko, ach dzisiaj odpocznę sobie".

Maniunia podchwyciła te słowa i tańczyli w kółko śpiewając piosenkę leniuszków.

- Teraz cię nauczę chowanego - powiedziała Maniunia. - Ty w nic nie umiesz się bawić. Zastoń oczy. Ja się schowam.

Jaon nie chciał chować głowy w dłonie i nie patrzeć, gdy Maniunia szukała kryjówki. Potem nie chciał się chować. Upierał się, że będzie szukać. W kolejnej rundzie Jaon przeszukał pokoje, szafy, zajrzał do kredensu, za wannę, przeszukał wnękę w kuchni, wyjrzał na balkon, co było zabronione, i Maniuni nie znalazł.

- Maniuniu - krzyczał. - Nie bawię się! Wychodź!

Maniunia zniknęła bez śladu.

- Maniuniu, wychodź, bo mama cię wyrzuci - wrzeszczał Jaon. - Masz mnie słuchać.

Wtedy Jaon przeraził się, że Maniunia wypadła przez okno, albo poszła i zostawiła go samego.

- Mamo, wracaj! Maniuni nie ma! - ryczał.

Ale ani jednej, ani drugiej nie było. Teraz bardziej przerażało go, że nie ma matki. Rzucił się jeszcze raz do kuchni, była pusta, obca, jakby nigdy żadna ludzka istota nie była w tym wnętrzu. Jaon poczuł, że jest sam, zupełnie sam na świecie. Pobiegnął z powrotem. W wielkim pokoju nacisnął dzwonek i trzymał go bez przerwy, ale Maniuni nie było. Może matka i Maniunia nie żyją? Tak wygląda śmierć, nagłe zniknięcie. Jaon zawył z przerażenia. Jednocześnie rozległ się dzwonek do drzwi.

Maniunia skoczyła skądś z góry, prosto na Jaona - była na pawlaczu w drugim przedpokoju i popędziła do drzwi otwierać pani.

- Zdawało mi się, że słyszę głos Jaona - powiedziała matka. - Co z obiadem?

Matka weszła do kuchni:

- Nie. Nie do wiary. Kartofle nie obrane, marchew nie nastawiona. Co panna Mania sobie myśli? - matka, gdy była gniewna, używała oficjalnych zwrotów.

- Mamo - powiedział Jaon, patrząc matce w oczy - to ja kazałem Maniuni bawić się ze mną. Powiedziałem jej, że jest służącą i musi mnie słuchać. A gdy mnie nie słuchała, płakałem.

- Nie chodzi tu o ciebie. Chodzi o drugą osobę, której lekkomyślnie zaszkodziłeś. Musisz zostać ukarany. Chodź ze mną do swojego pokoju.

Gdy weszli tam, matka powiedziała:

- Otwórz szafę. Nie, nie tę część.

Teraz Jaon otworzył część bieliznianą. Jeszcze przed godziną szukał tu Maniuni.

- Tak, te drzwi; skoro połamałeś różeczkę, wybierz jeden z pasków twojego ojca. Zobaczmy jaki wybierzesz.

Jaon przełamując strach i upokorzenie wybrał wojskowy pas ojca.

- Bogu dzięki nie ten z wężowej skórki. Umiesz być odpowiedzialny, a czy odważny, zobaczymy.

- Mamo - odezwał się Jaon tchórzliwie - ja już prosiłem Maniunię by mnie zbiła.

- I co? - spytała matka niespokojnie jakby przestraszyła się o niego.

- Nie chciała.

- Zdejmij spodnie i podejdź - zniecka chlasnęła go paskiem po pośladkach.

Jaon zawył.

- Zabolało? - spytała matka. - To dobrze. Załóż spodnie i schowaj pasek - rozkazała i wyszła.

Obiad spóźnił się o pięć minut, ale ojciec to zauważył. Wyjął swój złoty, cienki jak listek zegarek, otworzył go i odsunął na odległość dewizki od oczu:

- Zapomnieliście o mnie - powiedział ze smutkiem w głosie.

- Nie, mój drogi - powiedziała matka - ani na sekundę nie zapominamy o tobie. Jesteś naszym panem.

- Są naciski - powiedział ojciec nie krępując się Jaonem - byśmy dawali kredyty międzynarodowym spółkom.

- I co pan Woynicki? - spytała matka.

- Jest niezłomny. Jeśliby miał odejść, musiałbym odejść wraz z nim.

- To bardzo piękne: zwierzchnictwo i przyjaźń - powiedziała matka Jaona.

- Mojemu bratu to by się nie podobało.

- Ale gdy Woynicki zostanie prezesem, ty będziesz generalnym dyrektorem?

- Nie wiem, moja żono. Tak samo, jak nie mam pewności, że jak Jaon dorośnie, ożeni się z Niką Woynicką.

- Cicho! - krzyknęła matka.

Mama znów obudziła się wcześnie. Od rana przeglądała się w wielkim lustrze w przedpokoju.

Na podwórko zajechała taksówka. Szofer zatrąbił. Jaon wyrwał się

pierwszy. Usiadł przy kierowcy i nieznacznie, potajemnie dotknął lewarka biegów. Zapomniał, że jedzie do Niki i chciał, by jazda była jak najdłuższa.

Nika dygnęła przed nim, jakby był dorosły. Czekał, czy weźmie go za rękę. Bardzo tego pragnął. Dlatego nie ruszał się z miejsca w przedpokoju.

- Chodź - powiedziała Nika i nastąpiła wyczekiwana chwila szczęścia. Rączka Niki, czysta, delikatna, poszukała jego dłoni i pociągnęła ją. Nika prowadziła go przez korytarz, do uchylonych drzwi jasnego i wielkiego pokoju. U Jaona w pokoju były dorosłe meble, u Niki dziecięce, malowane na biało. Ogromny tłum lalek patrzył ze wszystkich miejsc. Każda buzia była inna. Miały różne wyrazy twarzy: wyniosłe, pogardliwe, słodkie, proszące.

- Nie zabrałeś ani misia, ani laleczki na wizytę? - spytała Nika z żalem w głosie. - A ja polubiłam Karolcię. Największa lala, to Beata. Najbardziej ją kocham i ona bardzo mnie kocha. - Lalka była tak duża, jak Nika. - Przywitaj się.

Rączka lalki była mniejsza niż Niki i zimna. Potem, prowadząc za rękę, przedstawiła mu kolejne lalki: Felicję, Krysie, Irenkę, Ludkę, Wacę, Lidkę, Klarę, Hanię, Darię, Romkę, Joasię, Wiktorie i trzy laleczki bez imion.

- Teraz pójdziemy do ich domu - powiedziała Nika i poprowadziła go do mieszkania lalek, zajmującego cały róg pokoju Niki.

Był tam salon umeblowany miniaturami starych mebli, jadalny, dziecinny, gościnny, nawet pokój dla służby, gdzie była laleczka służąca w białym fartuszkach i czepeczku, miniatura pokojówki państwa Woynickich, i kuchnia wyposażona we wszystko, jak kuchnia dorosłych. Były dwa serwisy. Nika nalała do maciupieńkiej filiżaneczki czegoś, co nazywała herbatą i poprosiła, by Jaon wypił.

- Ale nie łykaj. Woda nie jest przegotowana. Jaon, powiedz, czy lalka Felicja może być siostrą twojej laleczki? Jej tak smutno, że nie ma siostry, tylko same koleżanki i przyjaciółki. Zgodzisz się? Dobrze? - dopytywała się, a gdy Jaon kiwnął głową, zrobiła ruch, jakby chciała go objąć za szyję i pocałować, ale powstrzymała się. Przesłano po dzieci pokojówkę. Po obiedzie u lalek nastąpił obiad z dorosłymi. Nakryty osobno stoliczek był przeznaczony dla nich.

- Jaon jest już najedzony, jadł z lalkami wykwinny obiad oświadczyła Nika.

- To dziecko podchwytuje każde słowo i zaraz używa.

- Mamusia powiedziała kucharce, że dziś ma być wykwinny obiad - oświadczyła Nika.

- Milcz ukochane dziecko. Nie wszystko należy powtarzać. Rodzice nie mają tajemnic, ale nie można być papłą - skarciła ją pani Woynicka.

Pokojówka zawiązała dzieciom serwetki pod szyją i zaczęła obsługiwać gości.

- Spółka "Vaucaire" z Katowic - zaczął pan Woynicki oświadczyła, że chce budować zakłady, gdzie znalazłoby zatrudnienie tysięcy pięciuset bezrobotnych, ale pod warunkiem otrzymania naszych

kredytów. To bluff, ale świetnie pomyślany. Uczyni rząd ślepym. Musi pan ich przygwoździć. Chciałbym, żeby pan już we wtorek znalazł się w Katowicach. Miejscowy oddział banku nie tylko nie udzieli panu pomocy, ale musi się pan strzec w rozmowach z nimi. Im bezgranicznie imponuje potęga koncernu, ich cadillaki. Prezes ma dwa identyczne, jeden służbowy, drugi prywatny. Od czego pan zacznie, panie Józefie?

- Mój ojciec miał kopalnię między Katowicami a Będzinem. Jego przyjaciele żyją i wiedzą wiele. Mam też swojego przyjaciela, kolegę z konspiracji w POW - to mówię panu w najgłębszej dyskrecji - który obecnie pracuje w Drugim Oddziale Sztabu Generalnego, w katowickiej ekspozyturze.

- Jakie to szczęście, że pana mamy. Pewnie mi pan nie odpowie na moje pytanie. Ale słyszałem, że choć Polska jest niepodległa, POW się nie rozwiązało i istnieje w konspiracji, bo nie ufacie instytucjom państwa, uważając je za słabe i zawodne.

- Jesteśmy w kontaktach jako starzy żołnierze - odrzekł ojciec.

- Dostanie pan przed wyjazdem dossier sprawy i teczkę z wycinkami prasowymi o Spółce "Vaucaire". Pańska misja nie będzie wyraźnie określona. Dopiero gdy pan uzna to za właściwe, wyjawi pan cel swojego przybycia.

Dzieci nie rozmawiały ze sobą. Słuchały ojców. Jaon był szczęśliwy, że Nika wie, że jego ojciec był, a może dalej jest żołnierzem. Jego ojciec odrzekł:

- Nie chciałbym, by moje zachowanie robiło wrażenie tajemniczego, czy żeby wyszło na jaw, że na początku coś ukrywałem i byłem wobec kogokolwiek, nawet przeciwnika, nielojalny. I tak drugiego dnia będą wiedzieli.

- Wspaniale, wspaniale - odrzekł pan Woynicki.

- Dzieci, wy sobie rozmawiajcie - zawołała pani Woynicka przez długość stołu. - Nasze tematy są dla was za poważne.

Jaon wychodził od państwa Woynickich smutny. Na coś miał nadzieję, a tego zabrakło. Pierwsze spotkanie z Niką dało mu więcej szczęścia. Tylko gdy przyszli, było pięknie, bo Nika wzięła go za rękę i prowadziła do swojego pokoju. Ale tam, w domu Nika wydawała mu się odcięta od niego, zamknięta w bezgranicznej wierze w to, że lalka Beata odżywia się herbatą, bardziej dziecinna niż on.

Wróciwszy do domu Jaon podbiegł do swojej gromadki, by ją pozdrowić

od laleczek Niki, ale misie, małpka i lalka wydały mu się nudne.

Po zorganizowanym i zamkniętym świecie lalek Niki, przy którym mieszkanie państwa Woynickich wydawało się tylko powiększeniem mieszkania lalek, jego przyjaciele wyglądali jak zbieranina i byli, co gorsza, nieprawdziwi. W dodatku miś Karolinka zsuwała się z oparcia kanapy i zjeżdżała w dół, nic nie robiąc sobie z rozkazów Jaona.

- Musisz mnie słuchać - rozkazał Jaon i umieścił misia Karolinę na miejscu między Niedźwiedziem Brunatnym a małpką Wandą. Ale rano, gdy się obudził miś Karolcia kpiła z niego. Jej oczka, odbijające światło zza story, patrzyły na niego kpiąco. Dawniej

bardziej ją lubił. Teraz drażniła go.

- Czy Nika Woynicka mnie lubi, mamó? - spytał matkę przy śniadaniu.

- Czemu miałaby cię nie lubić? - odrzekła matka. - Od każdego oczekujesz, że cię bardzo polubi. Czy to nie za dużo? Czy sam nie za bardzo polubiłeś Nikę? Poznasz jeszcze wiele dzieci, zostaw sobie trochę uczuć dla nich.

Maniunia, która podawała jajecznicę i słyszała słowa matki, powiedziała:

- A ja ośmielę się przy nim powiedzieć, że bardzo lubię Jaonika. Czy będę tak lubiła własne dzidzi?

- Ja cię kocham Maniuniu - wykrzyknął Jaon, ale matka przerwała mu.

- Maniuniu, Jaon miałby zabierać ci uczucia przeznaczone dla twoich dzieci? Mylisz się. Tylko lepiej je wychowasz. Może mniej im będziesz pobleżać, niż ja Jaonikowi.

- O, pani dobrze wie, co robi - powiedziała ni to przymilnie, ni z przekonaniem Maniunia.

Matka powstała energicznie.

- Idziemy na spacer.

W Łazienkach mieli swoje alejki. Matka spotkała znajomych z parku: generałową Ihnatowiczową i prałata Juścińskiego. Oboje byli w wieku niewyobrażalnym dla Jaona. Generałowa powiedziała mu:

- Jestem dwadzieścia jeden razy starsza od ciebie, przeżyłam dwadzieścia jeden takich żyć, jak ty. Ale czy ty wiesz, ile to jest dwadzieścia?

- Siedem, to wiem ile jest - odrzekł Jaon.

Z prałatem Juścińskim matka rozmawiała jak z ludźmi, których znała sprzed urodzenia Jaona. Jaon odczuwał to jak rozmowę przeciw sobie. Czasy, gdy go nie było, wydawały mu się tajemnicze, piękniejsze, opromienione jakąś jasnością - może tym, że nie mógł ich oglądać. Zarazem przestraszało go, że nikt go nie znał, nie wiedział, że się urodzi i nie tęsknił za nim. A może nawet mama zdradziła go nie myśląc o nim? Jaon pobiegł na przód, a potem wrócił. Pani Ihnatowicz mówiła:

- ... z przerażeniem słyszę, że zostawiła pani synka pod opieką służącej. Dlatego powiem pani o swojej tragedii. Lubiłam moją służącą. Była w wieku mojej córki. Pewnego dnia, gdy córka ubierała się w przedpokoju, dziewczyna pociągnęła za dywan i moja córka upadła na plecy. Odtąd jest sparaliżowana. To była zbrodnia, nie zamierzona moim zdaniem, ale podświadomie upragniona. To miał być kawał, żart, podcięcie nóg, ale służąca zazdrościła mojej córce. Była między nimi przepaść, którą chciała wyrównać. Teraz moja córka ma czterdzieści lat. Śledzę każdy krok tamtej osoby. Moje życie upływa na opiece nad zmarnowanym istnieniem ukochanego dziecka.

Prałat Juściński powiedział:

- Znamy tylko cię czasu Bożego. Zdażymy ujrzeć maleńki ułamek, fragment poczynań Bożych, jeszcze mniejszy niż fragment wszechświata, który oglądamy. Przypomnij sobie generałowo, co mi sama mówiłaś, że ta nieszczęsna dziewczyna, by odkupić swoją winę

ofiarowała się do śmierci opiekować twoją córką, ale ty tę ofiarę odtrąciłaś.

Matka skinieniem głowy pożegnała generałową i prałata. Nie zwrócili prawie uwagi na odejście jej i Jaona. Matka widać sądziła, że Jaon przejął się, bo powiedziała:

- Na każdym spacerze, gdy biegniesz przodem, ona to opowiada, by uzyskać jeszcze raz pocieszenie prałata.

Wszedłszy do domu Jaon uprzytomnił sobie, że na spacerze zapomina o domu, zabawkach, Maniuni, nawet o ojcu. To wszystko na jakiś czas przestaje istnieć, a potem Jaon, trochę zawstydzony swoim zapomnieniem, odzyskuje wszystko, od nowa z wielką radością.

Jednak miś Karolcia rozdrażniła go. Ucieszyło go, że jest jak żywa i sama zmienia miejsce, ale złościła go jej krnąbrność. Nawet w spojrzeniu odrobinę zezujących oczków odbijała się niegrzeczność.

Jaon musiał pierwszy raz uderzyć misia. Wymierzył Karolinie klapsa, ale jej spojrzenie czarno - brązowych oczek nie przestało być niegrzeczne. Musiał jeszcze raz uderzyć. Ale miś nie zapłakał.

Zrobiło mu się żal krnąbrnej, upartej Karolci:

- Biedna dziewczynko - misiu - powiedział i pocałował ją w pyszczek.

Wybaczył jej wszystko i pozwolił siedzieć, tam gdzie chciała.

Ojciec szykował się do wyjazdu. Miał odjechać nocnym pociągiem, wagonem sypialnym, kiedy Jaon będzie spał. Mimo to przyszedł stryj Hieronim, bo Jaon słyszał rozniewany głos:

- ... wasza przyjaźń z Woynickimi ma brzydki rys wyrachowania. On cię wykorzysta do swoich celów.

- To ty, drogi bracie - odparowywał ojciec - przywiązujesz wagę tylko do pieniędzy i stosunków.

- Ale więcej pieniędzy i lepsze stosunki masz ty.

- Bo mniej się o to staram. Przyjaźniłem się z tobą, ale czy to dalej potrwa? Ty się zmieniasz.

- Jeśli nie okażecie mi serca w tych ciężkich chwilach, nie wybaczę wam.

- W tej sprawie ci nie ulegniemy.

- Przyjmijcie ją samą. Złoży wam wizytę beze mnie.

- Nie.

- Ach, pełni zadowolenia z siebie ludzie. - Zmienił temat. - Co porabia Julianno twój brat Rudolf?

- Niezbyt go lubisz? - spytała matka.

- Samo pytanie o niego uważasz za oznakę niechęci do niego? Tak z nim źle?

- Wiesz, że jest kryzys. Jest dalej bez pracy - odrzekła matka.

- I nawet wy nie jesteście w stanie nic dla niego załatwić? - nalegał stryj.

Zapadło milczenie. Stryj ponowił:

- Żyje z waszej pomocy?

- Może nie życzyłby sobie, by o tym mówić?

- Szczególnie ze mną? Może już przyjął oświadczyń tej bogatej Leny?

Pytanie zostało bez odpowiedzi.

- ... Wasza Maniunia już nie poda mi herbaty? Śpi? Przewracacie jej w głowie. Jak zapanuje bolszewizm, przekonacie się, zostanie komisarzem i podpisze rozkaz powieszenia was na drzewie na podwórku.

- Biedny Hieronimie - zawołał ojciec. - Ona nie umie pisać. Zresztą o niczym się nie przekonam, bo gdy bolszewizm zapanuje, nie będę żył.

- Mężu - skarciła go matka. - Przepróż! Zadałeś mi ból.

- Panna Świdwińska cały czas czeka na dole w taksówce - wykrzyknął stryj. - Nie zrobicie jej takiego afrontu i przez to najstraszniejszej obelgi wymierzonej we mnie.

- Sam postawiłeś ją w niezręcznej sytuacji - odrzekł ojciec.

- Jeśli nie pozwolicie, by weszła choć na chwilę, noga moja nie postanie w tym domu.

- Chyba jest ci potrzebne udratyzowanie twojego romansu, podniesienie temperatury uczuć, jacy to jesteście zewsząd wygnani, samotni i nieszczęśliwi - powiedziała matka Jaona.

- Wypraszam sobie nazywanie tego romansu - krzyknął stryj. Nie powiedział nic więcej i wyszedł bez pożegnania.

- Ty się zbieraj - powiedziała matka. - Odwiozę cię na dworzec. Jaon pomyślał: zostanie bez matki, z Maniunią w drugim końcu mieszkania, ale postanowił znieść to dzielnie. Ojciec uchylił drzwi, by na niego spojrzeć. Jaon zacisnął powieki, by rodzice myśleli, że śpi. Pożałował tego, gdy usłyszał, że wychodzą. Był gdzieś, w miejscu, gdzie urodziło się kilkanaście małych kurczaków: niebieskich, czerwonych, czarnych, zielonych. Nie kury, a ludzie byli ich rodzicami, straszni, skurzali, okoguciali. Nigdy przedtem ich nie widział. Chcieli zabić i zjeść te kurczaki, które były ich dziećmi. Zerwał się, wrzeszcząc pobiegł do gabinetu, gdzie spała matka. Przyjęła go spokojnie:

- Synku, nie wiesz, że matki nie wolno budzić?

- Mamo, gdzie ja byłem?

- Byłeś we śnie.

- Nie czułem, że usypiam. Mamo, ludzi, którzy tam byli, nie ma. Czy kiedyś ich poznam? Mamo, raz śniła mi się babcia, której twarzy nie pamiętam, czy to była moja babcia? Czy ona na czas mojego snu ożyła?

- Nie. Była tylko w twoim śnie. Mój Boże, że też nie zjawiła się w moim! Nie widziałam twojego snu, więc nie wiem, czy miała twarz taką, jak wtedy, gdy żyła. Przecież widziałeś ją na fotografii.

- Pokaż mi, to zobaczę.

- Rano synku, rano, teraz uspokój się. Tatuś teraz jedzie pociągami przez lasy, pola, daleko, śpi i śni o nas. Wróć do siebie i też śpij.

Rano ledwie otworzył oczy spojrzął, gdzie jest miś dziewczynka - Karolinka. Znowu nie było jej w miejscu, gdzie kazał jej siedzieć.

- Ach ty, ty bezczelna - wykrzyknął i uderzył ją w pupcię. A Karolinka znowu nie płakała.

- No, znowu zostawiam cię z Maniunią - oznajmiła matka przy śniadaniu. - Idę do modystki i krawcowej. Jaon jest już za duży,

żeby go tam ciągnąć.

- Są rozebrane panie? - spytała Maniunia.

Gdy matka wyszła, Maniunia powiedziała:

- Tylko Jaon, żadnych tańców! Żadnego wkładania rączki pod sukienkę. Jak patrzę na panią, to serce mi się kraje, że jej nie powiedziałam, a powinnam. Obiecuj, że więcej nigdy tego nie zrobisz, nawet nie pomyślisz o tym. Inaczej ostatni raz zostaję z tobą - To niech będzie ostatni raz - powiedział Jaon i patrząc zuchwale w oczy Maniuni, dotknął jej nogi. Tego dnia Maniunia nie miała pończoch.

- Nie wierzę sobie, paniczu Jaonie, że panicz się ośmiela - krzyknęła Maniunia.

Chwyciła jego rękę w żelazny uścisk i zatrzymała.

- Wie panicz Jaon, co zdarzyło się Puławskiej? Jeden pan włożył służącą rękę pod fartuch, jak stała na parapecie i myła okno. Poślizgnęła się, poleciała z siódmego piętra na bruk i zabiła się.

- I co jeszcze było? - pytał Jaon zmienionym głosem.

Jego ręka tkwiła uwięziona w dłoni Maniuni.

- Jedna pani na Wilczej jechała windą, która nie miała drzwi, wychyliła się, ucięło jej głowę, która stoczyła się szybciej schodami, niż reszta zjechała w windzie.

- I co jeszcze było, Maniuniu? - pytał Jaon. - Co Maniunia robi w czasie wychodnego?

- Jestem w kinie. Choć nie powinnam, bo to kosztuje 50 groszy.

- Co jest w kinie? - pytał Jaon. Jego ręka dalej tkwiła jak w kleszczach w ręce Maniuni.

- W kinie panicz przyjechał samochodem na stację benzynową. Pracowała tam dziewczyna. Zobaczywszy go, straciła głowę i zamiast benzyny wlała mu wodę. Samochód nie chciał ruszyć, panicz się gniewał, ale od tego zaczęła się miłość. Potem panicz porzucił dziewczynę, wtedy ona mu wlała, tam gdzie trzeba lać wodę - benzyny, samochód ujechał kawałek i rozsadziło go na kawałki, i młody pan zginął. Teraz niech panicz sam grzecznie weźmie rączkę.

- Nie. Niech mnie Maniunia zbije.

- Jeśli natychmiast panicz nie będzie grzeczny powiem mamie.

Odepchnęła jego rękę. Jaon obraził się i poszedł do swojego pokoju. Słyszał, że Maniunia kręciła się po wielkim pokoju, a potem poszła do kuchni, głośno zamykając za sobą drzwi. Jaon cicho uchylił drzwi balkonu: chciał być podwójnie niegrzeczny. Przyszli wybawiciele! Rozległ się dźwięk bębenka, czyneli i stukanie kastanietów. Grała trąbka, piszczała małpka, machała rączką widzom wyglądającym z okien. Dziecko o siwych włosach, ze zmarszczkami na twarzy wyznaczało radosny rytm na policyjnym gwizdku. Kobieta i mężczyzna byli ubrani w obcisłe czerwono-złote stroje. Rozłożono błyskawicznie materac, pięć razy większy, niż te w domu. Półnagi siłacz kręcił nad głową łańcuchem. Buchnął ogień.

- Państwo szanowni, którzy jesteście w oknach, przywołajcie tych, co są w głębi waszych mieszkań. Cyrk Altembasa, jeden z największych cyrków Europy, pozbawiony został miejsca pod słońcem. Naszą areną stało się wasze gościnne podwórze. Widownią są

niezliczone okna. Nasze wozy zlicytowano, wędrujemy pieszo, nasze kochane, genialne zwierzęta zabito. Została małpka. Ale nasza sztuka stała się jeszcze doskonalsza. Bilety zastępują wasze gorące serca. Gdy skończymy, ciskajcie w nas monetami. To da nam przeżyć do jutra, a naszej sztuce przejść do wieczności.

Jeden z cyrkowców odbił się i fiknął koziołka. Jaon poczuł przemożną chęć opuszczenia na sznurku swojej małpki, by poznała tamtą małpkę, ale zaczęło się widowisko. Stare dziecko gwizdało i piskliwym głosem oznajmiało artystów. Pólnagi pan połykał ogień. Pomarszczone dziecko wołało:

- Jego najlepszy przysmak. Inni jedzą kiełbasę, on pochłania płomienie. Gdy strawi je, dają mu nadludzką siłę. Oto nabiera powietrza w pierś, natęża siły i łańcuch pęka.

Ktoś stanął za nim z tyłu i chwycił go za pasek. To była Maniunia.

Wychylała się przez niego, cofała i krzyczała:

- A to ci dopiero!

- "Fruwająca para narzeczonych". Poznali się, gdy wstąpili do cyrku, w locie, jako dzieci pokochali się i zaręczyli. Nie mają na to, by się pobrać.

Fruwające małżeństwo wirowało na trapezie, wlatywało, tworzyło figury, porywało w górę olbrzyma, on chwycił pomarszczone dziecko i tworzyli piętrową piramidę, która biegła przez podwórko. Jaon zdziwił się: "Może oni zaglądali w nocy do okna! Więc najpierw wszystko pojawia się w snach?"

- Teraz - krzyczało pomarszczone dziecko i przyprawiło sobie nos -

był numer "i na srogiego lwa bez obrazy wsiedziesz", panna

Rosalinda jechała na lwie. Ale z naszym ukochanym lwem nas

rozdzielono. Błagaliśmy, by umieszczono go w ogrodzie

zoologicznym. Nie było miejsca! Ryczał przejmująco na pożegnanie.

Więc będę tańczył z małpką fokstrota, bo cyrkowiec śmierć przyjaciół czci śmiechem, byście byli weseli i nie widzieli jego łez.

Pozostała część zespołu grała na hałaśliwych instrumentach.

Dziecko tańczyło z małpką.

- Co to za chłopczyk? - spytał Jaon Maniunię. - Zawołaj go tu!

- To karzeł.

- Chcę być karłem - powiedział Jaon.

- Niech cię Bóg broni i Święta Maryja - wykrzyknęła Maniunia i odciągnęła go od brzegu balkonu, od widoku karła.

Karzeł ukłonił się małpce, a potem publiczności, zdejmując sobie z głowy włosy. Jaon krzyknął:

- To go boli!

- Nie. On tak może - powiedziała Maniunia.

Sypnęły się pieniądze brzękając o asfalt podwórka. Małpka skuliła się, bała się lecących monet. Jaon rzucił się w głąb mieszkania.

Szkatułka z pieniędzmi była w szufladzie biurka. Chwycił największy banknot i zawrócił. Cyrkowcy kłaniali się i wywracali koziołki. Nim Maniunia zdążyła krzyknąć, Jaon wyrzucił banknot przez balkon. Cyrkowcy zamarli. Teraz oni nie wierzyli sobie, przyglądając się kolorowi papierka, który mieniając się opadał

powoli. Rzucili się w stronę, gdzie zniżał się banknot, jeszcze niepewni. Skupili się w miejscu, w którym miał spaść, stawali na palcach i wyciągali ręce w górę. Wydłużeni do maksimum tracili równowagę, ich osiem rąk drgało. Fruwający narzeczony podskoczył, ale nie dosięgnął pieniędzy. W tym momencie ktoś otworzył bramę i powiało od niej. Banknot pożegłował nad podwórkiem. Tego dnia był wiatr. Fruwający narzeczony rzucił się za nim. Biegł z podskokami, chcąc go dosięgnąć, ale banknot płynął zwycięski, nieosiągalny. Doleciawszy do przeciwległej oficyny, wznoszony prądem powietrza, jak na niewidzialnym sznurku zaczął się unosić w górę. Cyrkowiec dopadł rynny i zaczął się na nią wspinać. Banknot leciał równoległe do rynny. Cyrkowiec zatrzymywał się, wyciągał rękę, na próżno, banknot go mijał. Cyrkowiec więc przegonił go, pokonawszy, zawisnięciem w tył nad przepaścią i dzikim skokiem, występ dachu, czekał na górze z otwartymi dłońmi na pieniądze. Właśnie wtedy banknot dostał się w falę wiatru idącego nad domem. W ułamku sekundy nabrał szybkości i poszybował najpierw między kominami, a potem uniósł się w niebo. Cyrkowiec zsunął się po piorunochronie, jakby sam był piorunem, ale koledzy go wyprzedzili, już byli w bramie, zostawiając małpkę i karzełka.

Długo ich nie było widać, a gdy wrócili dawali Jaonowi na balkonie rozpaczliwe znaki, że pieniądze odleciały. Popędził w głąb mieszkania, dopadł szkatułki i wyjął nowy banknot. Ale w tym momencie Maniunia porwała go na ręce i wniosła w głąb mieszkania. Wyrwała Jaonowi z ręki banknot i włożyła sobie za bluzkę. Gdy do drzwi zadzwoniła matka, Maniunia czekała na nią z grobową miną i pieniędzmi w ręku:

- Żeby tylko nie było na mnie, że zginęły pieniądze. Niech Jaon potwierdzi co zrobił. Rzucił cyrkowcom sto złotych, chciał rzucić drugie, ale mu zabrałam - wręczyła matce banknot.

- Maniuniu, dobre dziecko, dzięki ci.

- Pani się nie gniewa?

- Gniewam się na Jaona. Zawiodłam się na moim dziecku - z jej głosu biła surowość. - Wie, czym jest pieniądz, skoro tak postąpił. Ale rozporządził nie swoimi pieniędzmi, a rodziców.

- Mamusia będzie mnie biła! - spytał Jaon.

- Tak synku. Wiesz, co masz zrobić. Przynieść pas.

- Ale niech Maniunia wyjdzie.

Gdy Maniunia zrobiła ruch ku drzwiom:

- Nie ma powodu, by Maniunia wychodziła.

- Ja proszę, żebyś nie musiała zostawać.

- Jaon i Maniunia nie będą mi tu rządzić - krzyknęła matka.

Przynieś ten pas, co wtedy.

Jaon zawrócił z oficerskim pasem ojca.

- Opuść spodnie i połącz się - nakazała matka. Dziś jest chłosta publiczna, na leżać, na goło, trzy razy.

Jak zapowiedziała, uderzyła trzykrotnie. Gdyby nie było Maniuni, może bolałoby go. Jaon nie czuł bólu tylko wstyd i gniew na matkę.

- Nie myślałam, że państwo biją dzieci - powiedziała Maniunia i wyszła.

Jaon poszedł do swojego pokoju pograć się w rozpacz. Był sam na świecie, ojciec wyjechał, matka zabiła go, Maniunia nie odważyła się wyjść. Miał tylko misie, małą i laleczkę. Dlaczego bił biedną Karolcię? Chwytał ją w objęcia, tulił i przepraszał:

- Ukochana, malutka dziewczynko-misiu, byłem bardzo niedobry i niesprawiedliwy dla ciebie, a ty jedna chcesz mnie pocałować - i całował ją w pyszczek.

Liczył, że wejdzie mama lub Maniunia, ale w tej części mieszkania trwała cisza. Zapomniały o nim, skazały go na to, że siedzi sam w pokoju. Miał tylko misia, który wybaczył mu, że był dla niego niedobry. Tylko Karolcia go kochała. Matka zabiła go o marne sto złotych. Wypadł z pokoju. W dużym matki nie było. W gabinecie leżała na kanapie i czytała książkę.

- Mamu oddam ci te sto złotych.

- Skąd je weźmiesz?

- Pożyczę od Maniuni.

- Maniunia przez rok jeszcze nie złożyła tyle oszczędności. Ale czy ty wiesz, co to jest rok? - powiedziała smutno matka i dodała

- Bardzo mi się nie podoba, to co powiedziałaś o pieniądzach.

Jesteś mały, a próbujesz być przewrotny. Teraz nie pozwolę ci wyjść z pokoju. Będziesz w areszcie domowym aż do odwołania. Obiad dostaniesz u siebie. Marsz do swojego pokoju.

Przed pięcioma minutami był szczęśliwy, ale o tym nie wiedział, myślał, że mu jest źle. Teraz dopiero dowiedział się, czym jest nieszczęście. Dobiegł do Karolci, ale ona bezradnie wytrzeszczała brązowo-czarne ślepki. Mogłaby się stać jego najukochańszym misiem, ale nie umiała go pocieszyć. Pocziwa i głupia. Zabawki nadawały się do zabawy.

Maniunia wchodząc do jego pokoju z obiadem na tacy, zawołała:

- Proszę do mnie nic nie mówić. Pani zakazała rozmawiać z paniczem

- i postawiła jedzenie. Była to zupa pomidorowa z makaronem.

- Nie będę jadł - powiedział Jaon.

- Tylko panicz sobie pogorszy - powiedziała Maniunia szeptem. -

Panicza mama może wybaczyć, jak będzie porządnie zjedzone. Zaraz przyjdę po talerz i przyniosę drugie danie.

Zupa w pokoju, gdzie sypiał, wydawała mu się wstrętą. Była częścią kary. To, że matka zrezygnowała z namawiania go do jedzenia i obiad, zawsze tak ważny, zszedł na dalszy plan, ostrzegało go, że sprawa jest poważna. Bał się nudy, ale gdy Maniunia przyniosła gulasz z kaszą gryczaną, nienawistną Jaonowi i zabrała nietkniętą zupę, nie odzywając się do niego, wiedział, że nie będzie jadł. Nie umiał sobie wyobrazić, do czego to doprowadzi. Nigdy nie wyjdzie z pokoju? Umrze z głodu? Mama się go wyrzeknie? Rodzice rozmawiali o takim wypadku. Tamten syn ukradł pieniądze w banku, gdzie pracował. Jaona kradzież przerażała bardziej niż morderstwo.

Przystawił sobie krzesło do okna, ukląkł na nim i patrzył. Czuł zimno szyby na czole, widział asfalt podwórza, czubki drzew, które rosły w ogrodzie na środku. Odnaleźć cyrk i z karzełkiem wykrzykiwać prośbę o pieniądze i chwytać w locie lecące monety?

Spotkać się z takim chłopczykiem, jak on, który rzuci banknot, potem ucieknie i przyłączy się do nich. Przyszliby tu wzruszyć i matkę i Maniunię. Czy by coś rzuciły? Mało dzieci było w tym domu: dziewczynka, starsza od Jaona i chłopczyk z pierwszego piętra. Rzadko pokazywał się na balkonie. Na znaki Jaona nie odpowiadał, tylko chował się w głąb mieszkania. Nie oglądał cyrkowców, żebraków i grajków, którzy przychodzili na podwórze. Jaon patrzył w okna mieszkania chłopczyka. Przeciwległa ściana zarośnięta była dzikim winem, które rozrastało się jak ogromne spłaszczone drzewo. Nie widać było nikogo. Może chłopczyk z przeciwka tak samo jest za firanką i obserwuje Jaona? Nagle okno się otwarło i, choć było to surowo zakazane, służąca pośpiesznie wytrzepała ścierkę i szybko zamknęła okno. Jaon zaczął chodzić wokół pokoju. Maniunia nie przychodziła po nie zjedzone drugie danie. Nagle jego stosunek do kaszy zmienił się. Co zawiniła biedna? Jakby wołała go, żeby nią nie gardził, nie nienawidził jej, nie pozwalał, by się zmarnowała. Matka i Maniunia pamiętały, przygotowały, przyniosły, a on odrzuca ich dobroć. Żałował ich, żałował siebie, rozpaczał nad kaszą. Już wystygła. Myślał, czy by jej nie zjeść, dla niej samej, by ją pocieszyć. A potem pomyślał, że nie zmarnuje się, jeśli zrobi z niej wystawny obiad dla misiów, małpki i lalczki.

Jego pokój, nim się urodził, był sypialnym rodziców. Sekretera matki, która służyła jej za gotowalnię, była tu dalej. W szufladzie było pudło z żyletkami ojca. Jaon wyjął żyletkę, odciął pęd kaktusa, jak dziki człowiek. Kaktusy były prawdziwie pustynne. Matka wykrywszy, że Maniunia podlewa je co dzień zabijając je gorliwością, opowiadała jej o upałach, suszy i piaskach, w których rosną. Na parapecie okiennym Jaon posiekał na drobne kawałeczki kaktus, który zapachniał dalekimi krajami. Jaon wziął z porcelanowych pudełek trzy odcienie silnie pachnącego pudru, odsypał na kaszę, dodał sałatkę z kaktusa, wymieszał. Był kucharzem dzikich niedźwiedzi. Misie rozkoszowały się, mruczały, małpka piszczała, tylko lalce ze zdziwienia znieruchomiała celuloidowa buzia, że kazał jej jeść pokarm dzikich zwierząt. Prosilili, by i Jaon raczył z nimi ucztować.

Spojrzał na tłumek rozpieszczonych żarłoków zgromadzony na uczcie i pomyślał o krzywdzie jaką zrobił kaktusowi. Jakby mu obciął nos, czy ucho. Trzeba karmić, pożywić osłabionego, ratować, pomóc mu przeżyć. Resztę kaszy gryczanej wrzucił do doniczki. Lepiej kaktusowi by smakowała czekolada, ale da mu jutro.

Obudziło go wymówione za drzwiami jego imię:

- Nie wolno mi odwiedzić Jaonika w celi? Surowe więzienie, bez odwiedzin? - pytał głos kobiecy.

To stryjenka! Jaon zapomniał, że istnieje. Przychodziła zawsze późno, gdy Jaon już leżał. Znał ją jako głos. Bywali goście, których nigdy nie widział. I oni nie znali Jaona. Nie pamiętał, jak wygląda stryjenka. Wyższa od jego mamy? "Aha, mama się gniewa"

- przypomniał sobie. Następne słowa były ciekawe:

- Mój mąż krytykuje Jaonika, jakby był dorosły. "Jaon jest uprzejmy, ale niegrzeczny".

- Tu twój mąż ma rację - odrzekła matka Jaona.
- Mówi też o nim: "To drapieżnik z kokardką na szyi".
- No, gdyby Jaon usłyszał, byłby uszczęśliwiony. O niczym nie marzy, jakby był lwem.
- ... ale dodaje o was: "Ich pierwszych rozszarpie i pożre. Czy innych się odważy, taki jest ugrzeczniony? Jeśli ktoś nie zeżre, to tylko z uprzejmości". "Nie obgaduj dziecka" - mówię. - "On nie jest rozpieszczony. Jest chowany surowo, posłuszny. Przez swoje posłuszeństwo narzuca swoją wolę. Z nim nie można rozmawiać jak z dzieckiem. Uznali go swoim cesarzem. On ich - czyli rodziców - skáže na ścięcie za nieposłuszeństwo jego rozkazom".
- Nie spytałaś, czy ja chcę słuchać, czy opinia Hieronima ma dla mnie znaczenie?
- Domniemujesz, że mam zamiar skłócić was z moim mężem? Wiesz, co jeszcze mówi? Że zbyt dużo opowiadasz Jaonowi o swojej matce, uczysz dziecko miłości do osoby nieżyjącej, której nie zobaczy.
- Hieronim jest nieszczęśliwy.
- Myślisz, że przeze mnie?
- Sam siebie unieszczęśliwia.
- Jego pocieszeniem, złudzeniem, że wszystko się zmieni jest pani Świdwińska. Że gdy rozwiedzie się ze mną i ożeni z nią, stanie się cud.
- Czułam, że do niej dojdiesz. Ale on mówi o niej jako o pannie.
- Jest jeszcze pan Świdwiński. Mój mąż ją od niego kupuje. Załatwił posadę panu Świdwińskiemu, bodaj czy nie lepszą od tej, jaką sam zajmuje, natomiast rozwód nadszarpnie jego pozycję i może stracić, co ma. Ale pani Świdwińska dotąd nie złożyła pozwu. Korzysta tymczasem, że jej mąż zdobył intratne stanowisko i nie chce palić za sobą mostów, bo nie wie, co ja zrobię. Zresztą i Hieronim dotąd nie złożył pozwu przeciw mnie.
- Jaka jest ta Świdwińska? - spytała matka cicho, jakby wstydząc się swojego pytania.
- Nosi suknie, które łatwo podnosi wiatr, jest powabna, wie o tym i umie jeszcze zwielokrotnić wrażenie przez nieuchwytną atmosferę, jaką wokół siebie stwarza. Używa silnych perfum. Nie ma honoru. Nie zna wstydu - stryjenka zaczęła szlochać.
Jaon usiadł na łóżku: stryjenka płakała jak dziecko mniejsze od niego. Płacz dorosłych śmieszył go, a po chwili przestraszał. Jeśli nawet dorosli płaczą, to nie są potężni, a on nie jest bezpieczny.
- W tajemnicy przed Hieronimem poprosiła mnie o spotkanie. Popęłniłam nieodwracalny błąd, godząc się. Przecież ja dla niej, która mi tak zagraża, czuję litość. Spotkanie odbyło się w "Europejskim". Jaka ona prześliczna. Same najdelikatniejsze barwy. Pod wpływem jej widoku, powiedziałam głupstwo, choć pożałowałam, nawet przeprosiłam ją, było za późno. Wstała: - "Już nie powiem z czym przyszłam. Tylko sobie panią obejrzę". Spojrzała na mnie i odeszła. A mnie zrobiło się lepiej, że jej słodycz, subtelność jest jak łudzące upierzenie drapieżnego ptaka.
W tym momencie stryjenka dodała niespodziewanie:

- A może ty ją znasz? Hieronim ją tu przyprowadził?
- Próbował, i na tym się skończyło.
- Czyli tu nie była?
- O to pytanie za dużo, bratowo - odpowiedziała matka oschle.
- Pytam, bo to osoba niebezpieczna. Jej pojawienie się zagraża także wam. Atmosfera, którą rozsiewa. Taka pokusa może oddziaływać. Powinniśmy częściej same ze sobą rozmawiać. Przyszłam, bo nie ma Józefa. Wiem, kocha cię bezgranicznie. Ale wy jesteście z innej epoki.
- Bratowo, jesteś przedenerwowana. Co jej powiedziałaś?
- Że się godzę, by była jego stałą przyjaciółką, co gorsza wyraziłam się "kochanką". Zaczęłam mówić nim ona się odezwała!
- Bez potrzeby dałaś zgodę na coś, co i tak, bez pytania ciebie o zdanie, robią - odezwała się matka. - Okazałaś słabość, w dodatku zadałaś sobie trud, by ją obrazić.
- Wiem, że siedziała i marzyła o was w taksówce pod waszym domem.
- Przyszłaś, by ustalić jeszcze jeden szczegół? Może i przesiaduje w taksówce, gdy Hieronim nas odwiedza, ale daruj, skąd ja to mam wiedzieć? A ty powiedz mi, skąd wiesz o jakiejś taksówce?
- Pokojówka podsłuchiwała, gdy rozmawiał z nią przez telefon.
- Ty ją opłacasz? Ogromny błąd; tak samo ciebie sprzeda, a może już sprzedaje.

Boże, już trzecia. Jutro Jaon nie będzie miał się z kim bawić, gdy ty biedna będziesz odsypiać tę noc.

Jaonowi zrobiło się żal dziewczyny w zwiewnej sukience, marznącej w taksówce na ich podwórku. Chciałby, żeby ta pani, czy panna do nich przyszła. Zapragnął ją poznać. To zaraz się stało. Szła ku niemu, w silnym wietrze, który porywał jej sukienkę. Pod nią miała zrolowane czarne pończochy, jak Maniunia, całe w oczkach spod których przeświecało ciało. Chciał dotknąć nóg tej pani i zobaczył, że trzyma za ręce dwie dziewczynki w jego wieku.

- Ja już nie żyję - powiedziała pani. - Ale zostawiam ci je obie. Weź je na własność.

Jaon ucieszył się z prezentu, dwie żywe laleczki, prześliczne i przyciągnął je do siebie, ale przekonał się, że ich oczy to szklane paciorki. Obudziło go to! Już rano! Karolcia zsunęła się z kanapy. Głupi miś! Przypomniawszy sobie coś gorszego: był pogniewany z matką. Na zawsze? Może nawet jeśli będzie ją przeproszał, nigdy nic do niego nie powie? Co z nim stanie się dalej. Może będzie musiał sobie iść? Uchylił drzwi do dużego pokoju. Zobaczył matkę. Patrzyła na drzwi. Rzucił się do niej. Upadł na klęczki i chował głowę w jej sukni. Owładnęła nim ciemność, ciepło dawno zapomniane i zapach perfum matki.

Weszła Maniunia i aż klasnęła w ręce:

- Bogu dzięki! Wszystko znów dobrze?

Jaon drżał, by matka nie zajrzała do jego pokoju, i nie zobaczyła potrawy dla zabawek i dla kwiatów. Liczył, że sprzątnie to Maniunia i nie powie matce.

Poszli we trójkę na zakupy. Chciał, by podążali za ogromnym panem, dwa razy wyższym niż wszyscy, w cylindrze i tablicą na plecach.

- Co on taki? - spytał Jaon.
- Idzie na szczydach. Nieszczęśliwy człowiek, musiał się nauczyć tak chodzić. Jest bezrobotny i musi być żywą reklamą.
- Patrzy tymi wielkimi oczyma?
- Synku, on ma oczy tam, gdzie brzuch; w miejscu, gdzie dopina się jego frak patrzy przez małą dziurkę.
Jest brzuchomówcą? - spytał Jaon.
- Ma tam oko, a nie ucho.
- To jest pan, który zaglądał do okna, gdy spałem?
- To był pan ze snu.
- Co to jest sen, mamo?
- Nie wiadomo. To nie jest zbadane.
- Mamusiu, a dlaczego nie można uciec ze snu?
- Nikt tego nie wie.
- Nawet ty nie wiesz? Sen jest jakimś miejscem?
- Dlaczego o to pytasz?
- Śniły mi się córeczki jednej pani, ale nazwiska nie pamiętam.
- To była pani ze snu? I miała nazwisko we śnie?
- Jej córeczki miały szklane oczka. Zaraz je spotkamy.
- Nie. Nie spotkamy.
- Ale ja chcę je spotkać. Mamo, patrz! Pan żebrak, który był u nas.
- Jezu! Przez ten czas stracił nogi.
- Niech pani nic, a nic nie wierzy - odezwała się Maniunia stłumionym głosem. - Przestał chodzić po mieszkaniach, bo się dorobił i odkupił najdroższe miejsce przed kościołem. Nogi na dzień mu przywiązują. Jedna kobieta umie to robić.
- Skąd wiesz?
- Na całej ulicy wiedzą - odrzekła Maniunia.
Żebrak poznał ich. Patrzył w ich kierunku wyzywająco. Matka szepnęła:
- Niech Maniunia wydzieli mu pięć groszy.
- Nie posłucham. Będziemy mu musieli dawać co dzień. Niech się pani nie boi go.
- Maniuniu! - wykrzyknęła matka bezradnie i z gniewem.
Głowa żebraka z góry okazała się łysa. Była tuż nad chodnikiem, niżej niż głowa Jaona. I ta głowa ruszyła obok nich. Żebrak odepchnął się od trotuaru rękami, na których miał skórzane kopyta. Platforma, na której siedział potoczyła się ze zgrzytem na małych żelaznych kółkach. Łysa głowa toczyła się między nogami przechodniów szybciej, niż oni szli. Prześcignawszy ich, żebrak zahamował i zakręcił ze zgrzytem w miejscu, zagrządzając im drogę.
- Przepuść! - wrzasnęła Maniunia.
- Nie dali biedakowi! Przepędzili! Rzucili chlebem skamieniałym, aż zranili w czoło - głos żebraka dochodzący z ziemi zwracał powszechną uwagę.
Wyciągnął spod siebie spleśniały, zeschnięty bochenek chcąc cisnąć nim w matkę Jaona. Maniunia pchnęła nogą platformę żebraka. Potoczył się w tył, wytrzeszczając oczy z przerażenia. Maniunia pogoniła za nim i kopnęła wózek. Żebrak wjechał między nogi przechodniów. Teraz żebrak odepchnął się i jechał ku Maniuni.

Uniósł kopyto chcąc uderzyć ją w nogę. Maniunia uskokczyła i wparła nogę w wózek. Żebrak zaparł się oburącz. Nastąpiła próba sił.

Oboje zczerwienieli, zsinieli. Zaczął zbierać się tłum:

- Co za potwór - powiedział ktoś w twarz Maniuni. - Co ci zrobił kaleka, ty potworze?

Matka Jaona chwyciła Maniunię za ramię i szarpnęła. Szybko odeszli, Jaon szedł tyłem, odwrócony twarzą ku żebrakowi i trzymany za rękę.

Maniunia wróciła z pakunkami do domu, a Jaon z mamą skręcili do parku.

- Mamo! Potwór, olbrzym i smok, jakie są między nimi różnice? - dopytywał się Jaon. - Smok jest zwierzęciem? A hipopotam?

- Synu, synu, błagam cię.

- Kto jest mniejszy: karzełek czy krasnoludek?

- Synu, błagam, daj spokój.

Gdy znaleźli się w parku Łazienkowskim, matka zwolniła kroku i powiedziała:

- Synu, pytaj teraz.

- Mamo, czy życie jest długie?

- Synku, dni są długie, ale życie jest krótkie.

- Mamo, dlaczego mi się zdaje, że całego mojego życia minął rok, tak krótko, nic nie pamiętam, a wiem, że jestem dużo starszy? To życie też zapomnę?

- Może zapomnisz.

- A ty zapomniałaś?

- Ja nie zapomniałam.

- To opowiedz.

- A co ci opowiedzieć.

- Jak poznawaliście się z ojcem.

- Już ci opowiedziałam.

- To co było dalej?

- Wybuchła wojna. Moskale uciekali. Ten ksiądz wrócił przez Szwajcarię. Pobiegliśmy z twoim ojcem, który miał urlop z legionów, prosić księdza, by dał nam ślub. Ujrzał nas, wykrzyknął: "Perła i diament". Perła to ja, diament twój ojciec. "Jaki klejnot wydacie na świat" - spytał. Odpowiedziałam śmiało, bez namysłu: "Brylant". Chciałam, byś, jeśli się kiedyś urodzisz, po ojcu odziedziczył twardość materiału, którym można rysować lustra, a ode mnie wziął kształt, bo podobałam się ludziom. Wyznałam księdzu, że chciałam zostać zakonnicą, a ksiądz odrzekł: "Lepiej dla twoich dzieci. Pragnienie służenia Bogu stanie się nieskalanym powietrzem, którym będą oddychały, źródlaną wodą, którą będą piły".

- Mamo, a gdzie są inne twoje dzieci?

- Zdecydowaliśmy się mieć tylko ciebie.

- Twoje dzieci to byliby moi bracia i siostry? A ma się jedną żonę?

- Kiedyś się dowiesz - odrzekła matka i po chwili zastanowienia dodała. - Może jesteś za mały, ale może zapomnę, albo nie będę miała okazji ci tego powiedzieć - lzy stanęły jej w oczach. - Nie

będziesz miał nigdy innego świata, tylko ten, więc kochaj go.

Mówisz tak, że nie rozumiem - powiedział Jaon.

Z daleka ukazała się generałowa Ilnatowiczowa i prałat Juściński.

- Mamo, to ksiądz, co dawał wam ślub?

- Nie. Księżę prałacie! - zawołała matka na przywitanie. - Czy znał ksiądz prałata Foycika?

- Jakżeby nie. Poległ jako kapelan 102 pułku w 1920 roku. Gdybym był zdolny do zazdrości, zazdrościłbym mu. Najlepsi polegli. A my zostaliśmy.

- Proszę nie mówić tego mojemu mężowi.

- A dlaczego? - wtrąciła się generałowa.

Matka wzrokiem pokazała na Jaona.

- Jaoniku, biegnij przodem. Udawaj konika. Prędej! Wierzgaj! - nakazała mu. Od drzwi ojciec Jaona krzyczał:

- Powrót taty - obejmował ich, całował i wykrzykiwał: "Tato nie wraca, we łzach go czekam i trwodze. Rozlały rzeki. Pełne zwierza bory. I pełno zbójców na drodze".

Jaonowi serce ścisnęło się. Nie myślał o ojcu, poza chwilą w areszcie i poza drugą chwilą, gdy matka przypomniła mu go, rozmawiając z generałową.

Za ojcem wszedł taksówkarz w skórzanej kurtce i skórzanej czapce niosąc konia. Miał nogi, kółka i bieguny.

- Z prawdziwym siodłem - zawołał ojciec i ku zgorszeniu taksówkarza siadł na koniu i bujając się gwałtownie, przejechał kawałek. Nie mógł zmieścić nóg w srebrzonych strzemionach. - Jak straszliwie za wami tęskniłem!

- Wolałbym żywego konia - powiedział Jaon ostrożnie.

- Jak będziesz starszy, dostaniesz - powiedział ojciec.

- Mów! Jak? - pytała go ściszone głosem matka.

- Zwycięstwo.

- Woynicki już wie?

- Nikt nie wie.

- Mów!

- Wykąpię się. Opowiem przy kolacji.

Maniuni kazano rozłożyć stół, jakby miało być dwadzieścia osób na kolacji i przykryć białym obrusem. Strzelił korek szampana.

Usiedli we trójkę na swoim końcu stołu i kazali Maniuni usługiwać.

Ojciec polecił jej wyjąć z kredensu kieliszek i nalać sobie.

- Wino! Gazowane! Bąbluje! - cieszyła się Maniunia. - W kryształach!

Poza wódką i piwem nic nie piłam - wychyliła jednym haustem. Co zostało w kieliszku, odlała na dywan i speszyła się.

- Ja państwu tego nigdy nie zapomnę - powiedziała Maniunia.

Drzwi się za nią zamknęły i ojciec zaczął:

Gdy wysiadłem z pociągu, podszedł do mnie szofer w liberi i i

powiedział, że jest wysłany, by mnie zawieźć do hotelu. Skąd

wiedział jak wyglądam? Odepchnął tragarza, wyrwał mu walizkę.

Spytałem, kto go wysłał. On na to, że jest willa do mojej

dyspozycji i mamy tam pojechać. Mówię: "Dobrze, jedźmy tam".

Szofer prawie podskoczył z radości. Wyprowadził mnie bocznym

wyjściem prosto na czarnego chryslera, zdjął czapkę, otworzył

drzwiczki. Papiery miałem w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Pędziliśmy przez tak mi bliski krajobraz: hałdy, zapadające się łączki, usychające drzewa. Tłumy szły do pracy. Czasem ocierali się o karoserię. Willa to wschodni pałac z atrium, fontanną, basenem pływackim. Kilka osób służby w liberjach i białych kurtkach wypadło mi na przeciw. Porwali walizkę, ale płaszcza nie dałem z siebie zdjąć. Obszedłem willę i kazałem się wieźć do hotelu.

- Nie ma takiego rozkazu - odrzekł szofer.

Wyszedłem zostawiając im walizkę. Po chwili dogonił mnie chrysler.

Widać szofer porozumiał się z kimś telefonicznie. Wsiadłem.

Walizka leżała na przednim siedzeniu. Przed hotelem kierowca otworzył mi drzwiczki samochodu i zaniósł walizkę do recepcji.

Otworzyłem ją w pokoju i stwierdziłem, że była przetrząsana.

Powstrzymałem się od telefonowania z hotelu. Poszedłem do kina na ranny seans. Z hallu kina zatelefonowałem do przyjaciela z POW.

"Nie mogę się z tobą spotkać"

- powiedziałem - "bo może jestem śledzony". Poprosiłem go o informacje o Spółce "Vaucaire", oraz by odnalazł przyjaciela mojego ojca i zapytał go o to samo, o co ja go pytam. Potem poszedłem do banku. Dyrektor napadł na mnie:

- Pana przyjazd jest brakiem zaufania do mnie, czy posuniętą do absurdu ostrożnością Warszawy? Pana przyjazd zepsuje nam stosunki z największą przemysłową potęgą w Europie, jaka godzi się rozmawiać z Polakami.

- Są tak przeczuleni, że obrazi ich przyjazd skromnego urzędnika?

- Pan jest wysłannikiem dyrektora Woynickiego.

- To nazwisko budzi w nich niechęć?

- Jest na odwrót. Spółka "Vaucaire" budzi niechęć w dyrektorzce Woynickim. Błagam, by nie psuł pan lat naszych wysiłków.

- Wiedzieli, że przyjadę, znali mój wygląd.

- Proszę szukać w centrali - odrzekł dyrektor i dodał - Powiem panu to, co jest tajemnicą. Spółka "Vaucaire" chce produkować broń dla Polski. Może bezpłatnie kopiować francuskie i belgijskie typy uzbrojenia.

Podano mi dossier. Wszystko było w porządku, zebrane z pedanterią.

To mnie speszyło. Gdyby nie szofer, straciłbym pewność siebie.

Zresztą i w tej sprawie za chwilę był telefon do dyrektora. Spółka "Vaucaire" prosiła, by mi przekazał przeproszenie: "Takie są zwyczaje w Belgii i Francji. Przedstawiciele wielkich banków wita się, jak królów. Oni nie czują się tym dotknięci, ponieważ nie może to mieć wpływu na tok ich urzędowania".

Zacząłem sprawdzanie w hipotece, urzędzie skarbowym, w bankach.

Zdziwił mnie brak zadłużenia spółki w Polsce, mimo że występowała

ogólna tendencja do zaciągania kredytów. Nie było śladów transferu

kapitałów z Belgii i Francji. Czyli to przedsiębiorstwo obywa się

bez pomocy kredytowej? Dlaczego zdecydowano się zwrócić do naszego

banku o ogromną pożyczkę, częściowo w obcych dewizach? Gdy szedłem

tam obawiałem się, by nie musieć biec do ustępu. Bałem się tak,

gdy Rosjanie w 1915 roku, rewidując mi kieszenie, znaleźli szkic

ich pozycji. Dyrektor oddziału polskiego Spółki "Vaucaire" uściskał mi rękę i śmiał się rubaszenie.

- "Pan jest bezcenny. Proszę zrezygnować z pracy w banku. Mam gotową umowę" - zamachał papierem. - "Konsultant Międzynarodowej Spółki "Vaucaire". Cztery tysiące złotych miesięcznie, trzy razy tyle ile pan ma. Raz na tydzień w Katowicach, w poniedziałek. Samochód jedzie po pana i odwozi. W wolne dni ma pan inne konsultacje w Warszawie. Pomożemy w znalezieniu. Po trzech latach robi się z pana bogaty człowiek."

- "Żeby móc podjąć tak ważną decyzję, wolałbym najpierw poznać stan przedsiębiorstwa. Chciałbym zacząć od protokołu posiedzeń dyrekcji".

- "O, panie! Pan chce mnie zawieść? Tak się nie robi. Pan ma kontrolować stan przedsiębiorstwa, a nie pracę dyrekcji".

- "Miło mi, gdy mi nadmiernie ułatwiacie mój pobyt. Ale w razie jakichkolwiek utrudnień, uważam swoją misję tu za zakończoną" - powiedziałem.

Protokoły były ciągnięte równo, jednym charakterem pisma. Chcąc się czegoś chwycić pomyślałem, że zostały napisane niedawno, za jednym zamachem, i są fikcją. Głównym tematem była walka z Urzędem Skarbowym o zmniejszenie podatków; posługiwano się argumentem zagranicznych inwestycji. Nie kłamano wręcz, ale napływ kapitałów dopiero zapowiadano. Wieczorem wpadł po mnie do hotelu stary przyjaciel z POW. Wyszliśmy na przechadzkę.

- "Vaucaire usadowiła się w Polsce, wykupując za grosze zbankrutowane przedsiębiorstwo Żelazo i Stal i jeszcze ograniczyło w nim produkcję. Wytwarzają rzeczy drugorzędne, proste narzędzia rolnicze, nawet wozy konne w niewielkich ilościach. Starają się o zamówienia na produkcję broni. Mają opinię mocno zadłużonych".

- "U kogo?" - wykrzyknąłem.

- "Za dużo wymagasz. Ale możemy dojść przez eliminację: Bank Węglowy, Bank Ziemi, Bank Wspólny".

Przypomniałem sobie, że jeden z banków w Katowicach zwracał się do nas o pomoc w rozbudowaniu swej działalności, nawet za cenę przejścia kontroli. Dołączona była lista renomowanych firm, którym bank udziela kredytów. Czy tam nie było "Vaucaire"? Na drugi dzień rano zatelefonowałem do Warszawy. Tak, "Vaucaire" jest na liście, którą dołączył Bank Wspólny. I już mam wszystko. Bank Wspólny, zagrożony upadłością z powodu niewypłacalności Spółki "Vaucaire", wycofał swój zapis z hipoteki tej spółki, byśmy jej udzielili kredytu. To jedyna szansa, by był spłacony - naszymi pieniędzmi. Możliwe, że Spółka "Vaucaire" jest gigantycznym gangiem, rabującym wielkie sumy, ucharakteryzowanym na przedsiębiorstwo przemysłowe, które potem ogłosi upadłość.

- Tatusiu, idę jutro z tobą do biura i będę pracował.

- Syneczku, tatuś nie lubi nawet gdy go się odwiedza w banku. -

Matka zwróciła się do ojca. - Powiem przy Jaonie, żeby było jeszcze absurdalniej. Była nasza bratowa. Skarciła nas, że "absurdem jest rozmawianie przy dziecku o sprawach dorosłych".

- Zastanawia mnie w naturze ludzkiej, że wiemy jak inni mają

postępować, a nie wiemy, jak sami żyć. Ja na przykład widzę jak na dłoni jej błędy, przez które traci Hieronima.

- No, Jaonik spać - wykrzyknęła matka.

Jaon wsiadł na konia i bujając się przejechał wokół stołu.

- Pierwszy i ostatni raz - powiedziała matka. - Zniszczyłbyś doszczętnie posadzkę.

Następnego dnia Jaon zasnął. Nie budzono go. Matka odprowadziła ojca do biura. Nie spali podobno całą noc, rozmawiali. Matka wróciła i uczestniczyła w śniadaniu Jaona, pijąc herbatę. Jaon dopytywał się, czy może jeść śniadanie siedząc na koniu, jak ułan, który dostał mleko od dziewczyny przed chatą.

- Może wtedy wypije - szepnęła matka Maniuni i powiedziała głośno.

- Ułan zmęczony walką, spragniony po gonitwie za wrogiem, w gorącym słońcu, wychyla dzban mleka.

Jaon olśniony nagłą myślą, rzucił się do gabinetu ojca i matka wiedziała, co to za myśl. Za chwilę był z powrotem z szablą ojca, podciągnął sobie rapcie i siadł na konia. Galopował, aż zamknął oczy od pędu.

- Szabli nie wolno ci wyciągać z pochwy - powiedziała matka.

- Lepiej toto schować - powiedziała Maniunia.

- Pij mleko - rozkazała matka.

Jaon pił chciwie. Nieprzyjaciel czaił się za linią pierwszego przedpokoju. Matka wszystko zepsuła:

- Zostajesz, czy idziesz ze mną do miasta?

Dwie radości zderzyły się ze sobą. Jaon posmutniał. Zszedł z konia i poddał się Maniuni, która ubrała go. Krzaki bzu na podwórzu miały pąki. Dozorca kopał ogródek. Czuć było zapach świeżej ziemi. Dużo okien było otwartych. Błyskały odbite na ścianach refleksy szyb. Ktoś cicho grał na skrzypcach. Przez bramę wiał ciepły wiatr. Jaon chwycił się mocno rąk swoich opiekunek. Zapomniał o koniu. Poznawał nagle napływy bezprzyczynowego szczęścia. Pierwszy raz doznał go rankiem w listopadzie, gdy Maniunia paliła w piecach, a matka jeszcze spała, było ciemnawo i paliły się neony. Teraz ulice były pełne ludzi, którzy zrzucili płaszcze i szli do figury.

Jeśli żebrak ich zaczepi, kopnę go myślał Jaon, zarazem wstydząc się swojego pomysłu. Żebrak, gdy go mijali, miał nieruchomą twarz.

- Uczy się udawać ślepego - powiedziała głośno Maniunia.

Doszedłszy do sklepu Łatyńskich, odwrócili głowy na znak bojkotu.

W tym momencie wahadłowe drzwi wychyliły się gwałtownie. Pani Łatyńska wybiegła, trzymając cukrowego zajączka z kokardką.

- Chciałam najuniżej przeprosić za mój nietakt i niegrzeczność.

Zapraszamy do naszego sklepu. Przepraszam też pannę służącą. Są państwo oczekiwani w naszym sklepie - i wyciągnęła rękę z zajączkiem w stronę Jaona.

Jaon spojrział na matkę pytająco, czy może przyjąć zwierzątko.

- Niech pani pozwoli przyjąć chłopczykowi zajączka - wołała pani Łatyńska. - Papuzkę sprzedam państwu. Czeka na zmianę dekoracji, by pofrunąć do chłopczyka.

Weszli do sklepu, pani Łatyńska przytrzymała drzwi:

- Proszę pani - mówiła niepowstrzymanie - instalujemy czekoladową grę dla dzieci. Będzie sto brązowych medali, dziesięć srebrnych i jeden złoty. Brązowy medal - można będzie wybrać cukierków, ciast, czekolad za złotówkę, srebrny medal - za dziesięć, złoty medal - upoważnia do odbioru w towarze lub gotówce stu złotych, słyszy pani? Stu złotych!

- Sądzi pani, że mój syn będzie dla pani idealnym typem gracza? - spytała matka.

- To dziecko szczęścia - odrzekła uprzejmie pani Łatyńska.

Pani Łatyńska zachwalała indory:

- Taki indor to prawie wieprzak, tyle ma mięsa na sobie, najdelikatniejszego dla żołądeczka dziecka. Sprowadziliśmy z Paryża karczochy. Wszyscy kupują.

Jaon skierował się ku szybie, by od strony sklepu przyjrzeć się papudze i śledzić, jak obraca się lekko w przeciągu.

Paczuszkę cukierków kupowała śliczna młoda pani. W klapie kostiumiku miała bukiet fiołków. Równie fiołkowe, ogromne oczy skierowała na Jaona. Jaon, jak zahipnotyzowany podszedł do niej. Wyciągnęła do niego rękę, a on do niej.

- Chodź chłopczyku - powiedziała i wzięła go za rękę.

Wyszli ze sklepu. Jaon dziwił się, że matka ani Maniunia nie wołają go. Nie chciał robić przykrości ślicznej pani i wołać ich. Uczucie szczęścia sprzed chwili przeszło w upojenie, zdziwienie, ciekawość. Co zrobi śliczna pani? Gdy dojdą za róg ulicy, będzie go całować? Tymi usteczkami, którymi powtarzała:

- Chodź, chodź tu chłopczyku.

Czy pozwoli pocałować się w oczy i zgodzi się ich nie zamknąć? Co teraz będzie? Gdzie Jaon się teraz znajdzie? W jakimś pałacu?

Przeszli na ukos jezdnię. Samochody i dorożki zatrzymywały się, przepuszczały ich. Za nimi ktoś krzychał przeraźliwie:

- Dziecko! Gdzie moje dziecko? Mój synek! Zginął!

Czyżby jego matka tak krzychała na ulicy? Ktoś wołał:

- Jakaś pani z chłopczykiem przeszła jezdnię. O, widać ich jeszcze!

- Wezmę cię na ręce - powiedziała pani, porwała go w górę. Była silna i ślicznie pachniała. Jej buzia, delikatna jak buzia Niki czy lalki, znalazła się przy nim. Pachniała innym pudrem niż mama, pachniały też kwiatki i oczy tej pani. Gdy go niosła, szła szybko i Jaonowi było niewygodnie, czuł gwałtowne wstrząsy, kiedy stąpała.

- Zatrzymać kobietę, która niesie dziecko - krzyczano za nimi.

- Urowadzono dziecko. Urowadzono chłopczyka!

Pani przytuliła go lekko i postawiła na ziemi. W tej samej chwili Maniunia czerwona, z dzikim wyrazem twarzy rzuciła się ku ślicznej pani, ale spostrzegła Jaona.

- Ta pani weszła w pasaż Stirnera - poinformował ktoś. - Biegnie.

- Jeszcze chwila synku, a nigdy byś już nie zobaczył matki. Jak mogłeś mały zdrajco pójść bez chwili wahania z kimś obcym? Nie

pomyślałaś o mnie? Choćby o Maniuni? - pytała matka.

Weszli do apteki. Matce podano szklaneczkę z kroplami na uspokojenie serca. Pachniały gorzko.

- Wiesz, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz? Jak długo byś to pamiętał? - pytała go matka. - Czy pomyślałaś, że zacząłbyś zupełnie inne życie, musiałbyś zapomnieć o mnie, ojcu, Maniuni?

Jak dorośniesz zrozumiesz, co mogło się stać. - Podeszła do telefonu wiszącego w aptece i zatelefonowała do ojca:

- Wróć, jak możesz najwcześniej z biura. Wydarzyło się coś dziwnego - powiedziała. - Wszystko już dobrze. Naprawdę. Ojciec dogonił ich, gdy szli przez podwórko. Płaszcz miał przewieszony przez ramię.

- Cokolwiek się stało, wspomniała, że zatelefonowałaś. Wyrwałem się, a w banku szaleństwo w związku ze Spółką "Vaucaire". A co u was?

- Niezwykle przystojna i dobrze ubrana młoda kobieta wyprowadziła Jaona ze sklepu Łatyńskich i usiłowała się zgubić w tłumie.

Jeszcze sekunda, a nie wiem, czy byśmy ją dopadły. Gdy zobaczyła pościg, zostawiła Jaona na trotuarze.

- A Jaon?

- Był zadowolony. Nie rozumiał, co z nim robią.

- Ta pani mu się podobała? - ojciec obracał w żart wydarzenie. - Jak więc wyglądała?

- Widziałam ją od tyłu, z daleka. W szaroniebieskim kostiumiku, chyba w pepitkę. Gdy nadbiegałyśmy nie odwróciła się, tylko pośpiesznie odeszła. Może Łatyńska maczała w tym palce? Już tam nie zachodziłam. Dziś wyszła przed sklep i zaprosiła nas do środka. Tam była już ta osoba.

- Czy Łatyńska odwracała twoją uwagę od Jaona?

- Czy można by to tak określić? Zwracała moją uwagę na towary.

- Jeśli to była kobieta, która wie, że nie może mieć dzieci?

Zobaczywszy Jaona, oszalała na jego punkcie, śledziła was. Przekonała się, że bywacie w sklepie Łatyńskich.

- Ale ostatnio właśnie tam nie bywaliśmy - zaoponowała matka.

- Trzeba Łatyńską delikatnie wypytać, kim była ta klientka.

Zorientować się, czy wie, czy chce mówić.

Wtrąciła się Maniunia:

- To sprawa żebraka. On ma oko na wszystko. Ze wszystkimi mętami żyje dłoń w dłoń. Mógł wystawić Jaona. Dziś odwracał od nas oczy.

- Teraz będzie nas dręczyć, co to znaczyło - powiedział ojciec.

- Obyśmy się nie dowiedzieli - odrzekła matka. - Jak coś poważnego, to jeszcze da znać. Kim była ta pani jest mniej ważne. Niepokoi mnie Jaon. Może to głupie, co pomyślałam - wahała się matka. - Czy to nie była panna, czy pani Świdwińska, rozgniewana na nas, że jej nie przyjmujemy?

- I do czego dążyłaby? Jak postępowałyby dalej?

- Odprowadziłaby Jaona, że niby znalazła go na ulicy i zyskałaby tym naszą dozgonną wdzięczność. Mając nas po swojej stronie, mogłaby wygrać sprawę Hieronima.

- To byłoby szaleńcze ryzyko ze strony panny Świdwińskiej.

- Ale ona szaleje. Uparła się zdobyć twojego brata.

- Jaon jest niebezpiecznym świadkiem. Powiedziała by, że ona wyprowadziła go ze sklepu.

- Więc mogła to być przyjaciółka panny Świdwińskiej. Ten typ kobiety. Tak sobie ją wyobrażałam.

- Nie. Jaon może być upostaciowaniem marzeń o dziecku. Może twoje i moje marzenia wcieliły się, spełniły się za dokładnie - ojciec po raz pierwszy zdradził swoje uczucie, przyciągnął do siebie Jaona i przycisnął mocno. - Taką trochę szaloną kobietkę, może bardzo bogatą, nieszczęśliwą, ogarnia pokusa, by mieć go na własność. Kaprys, poczucie bezkarności. Wszystko dotąd jej uchodziło. Może żart? Może mężatka chciała przyprowadzić go zakochanemu do szaleństwa mężowi i powiedzieć: "Moje nieślubne dziecko, które ukrywałam przed tobą?"

- Dobrze. I co Jaon? Po pewnym czasie chyba by sobie o nas przypomniał?

Wywiezionoby go. Ta kobieta mogłaby tłumaczyć, że za rodziców bierze swoich opiekunów, którym oddano go na wychowanie.

- Jezu! Co by z nim zrobili? Wiódlby życie zupełnie inne, spotkałby go inny los, niż mu przeznaczony?

- O tym porozmawiamy wieczorem.

Czekał z niecierpliwością, aż go położą spać. Ledwie Maniunia dociągnęła na nim kołderkę i odeszła, głosy odezwały się. ... Łatyńska nawet jeśli ją zna, powie ci, że nie. Czekał, czy sama do tego nawiąże. Jeśli nie, to będzie jakiś znak.

- Co w banku?

- Woynicki ma potężnych przeciwników. Chcą zamknąć oczy na matactwa Spółki "Vaucaire" i dać jej pieniądze. Uważają Woynickiego za małego bankowego dusigrosza, a mnie za jego giermka. Coś w rodzaju Don Kichota i Sandra Pansy. Są gotowi wykorzystać moje odkrycie, by spółkę przycisnąć. Gdybym raport wręczył nie Woynickiemu, byłby mi policzony za wielką zasługę. Znalazłem się w oku cyklonu. Cokolwiek zrobię, będzie złe.

- Tak bywa w ważnych sprawach. A tego pragniesz, niebezpieczeństwa.

- Czy on nie słyszy naszych rozmów?

- Mężu, on uważa sny za rodzaj drugiego życia, którym jest obdarzony. Czeka na moment zaśnięcia. Sądzi, że przenoszony jest do innego świata i wędruje po tej krainie, przygląda się dziwom, tak jak tu się przygląda. Czasem zdaje mi się, że patrzeniem jest zdolny zniszczyć jakiś przedmiot.

- Wczorajsze wydarzenie wskazuje, że jest nadmiernie ufny.

- Zapominamy, że to małe dziecko. Nikogo nie uważa za obcego, ponieważ świat uważa za swoją własność, za prezent, który mu zrobiliśmy w dniu narodzin. My też jesteśmy ufni. Nieufność to cecha tchórzy, którzy boją się, by ich nie oszukano.

- Jaon uważa wszystko za możliwe. Żyje za intensywnie. Traktowanie go jak dorosłego, powoduje, że nasze wyjaśnienia narastają w tempie geometrycznym. Znalazł się we wszechświecie, zamiast tylko na ziemi.

- W najważniejszych odpowiedziach zasłaniam się tajemnicą. Obiecuję powiedzieć mu później.

- Przez to nie zna kłamstwa tylko tajemnicę. To go cieszy. Wszystko wydaje mu się tajemnicą.

- A jest inaczej, mężu?

- Zna ludzi nieskalanych kłamstwem, jak my. Tym go oszukujemy, jak najgorsi kłamcy.

- Cofnijmy się do jego choroby. Musiałam mu odkryć prawdę o śmierci i tego samego wieczora umierał. Pytał mnie, czy spotka Boga. "W raju - powiadał - są kobiety, dziecko i anioł. Ale dalej, za murem raju jeszcze coś jest".

- Trzeba zabrać obraz z nad jego łóżka. Mnie drażni, że postacie w raju są w ubiorach z różnych epok.

- Majaczył, ale był w tym sens: "Szkoda, że byłem tu tak krótko". Drżałam, że to zapalenie mózgu, małego mózdzku, który nie zniósł tego ogromu. Co to za tajemnicza choroba, którą przeszedł, nie nazwana nawet przez wielkiego doktora Niedźwieckiego. Nie poznawał nas. Trzeba go chronić przed widokiem pożarów, krwi, szpitali, cmentarzy, osób nieżywych. A będzie trzeba odkryć przed nim tajemnicę płci.

- Moja najmilsza, bo dla ciebie to dalej tajemnicze, nie nazwane. Dalej jesteś dziewczynką z prowincji.

- Więc powiedz, co podejrzewasz.

- Próba porwania Jaona mogła zostać dokonana na rozkaz Spółki "Vaucaire".

- Ich boję się mniej niż maniaczki, która zapragnąwszy go mieć, nie ustąpiłaby. "Vaucaire" straci nadzieję na pożyczkę i staniesz się dla nich kimś obojętnym. Będą próbowali oszukać inny bank.

- Gdy goniałś tę kobietę z Maniunią, jak było?

- Przebijałam się przez tłum. Szli w przeciwną stronę niż ja.

- Nie odniosłaś wrażenia, że to był sztuczny tłum, który zastępował ci drogę?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Mogli być tak idealnie zgrani, że robili wrażenie przypadkowych przechodniów.

- Gdybyś sobie to uprzytomniła, miałoby to duże znaczenie. Samotna kobieta, która przypadkowo zobaczyła Jaona, czy panna Świdwińska nie wynajęłaby sztucznego tłumy.

- Dać znać policji?

- Policja będzie chciała się dowiedzieć wszystkiego o nas. Mamy jej mówić o sprawach mojego brata, czy tajemnicach banku?

- Mam żal do Jaona, że natychmiast o mnie zapomniał - poskarżyła się matka i dodała. - A jutro możemy wyjść bez obawy?

- Mam pewien pomysł: zadeszujemy do twojego brata. Damy mu pistolet, będzie chodził z wami po mieście.

- I co? Ma strzelać do kobiety? Ach wy chłopczykowie.

- Ale pistolet mi oddaj. Chcę pokazać strzelnicę Jaonowi. Tamte sceny się nie powtórzą.

- Oddam ci pistolet, ale miejsca, gdzie jest ukryty, nie zdradzę. Na rano go będziesz miał.

Jaon usypiał z poczuciem szczęścia, że w domu jest prawdziwy

pistolet. Obudziły go radosne krzyki. Światło. W szparze płonęło światło. Wskoczył z łóżka. Nim jeszcze zobaczył, co się stało, jego zobaczono. Wuj Rudolf rzucił się ku niemu i uniósł w górę.

- To niesamowite - mówiła w tym czasie matka. - Kiedy ty pewnie szedłeś na stację, myśmy mówili, że dobrze byłoby gdybyś przyjechał.

- Naprawdę? Ukochani, jedyń, jakich mam - wołał wuj, trzymając Jaona pod sufitem. Pachniał perfumami tylko silniejszymi niż matki. - Jaon to jedyne moje dziecko. Nigdy nie będę miał innego, niepotrzebne mi, skoro jest on; będę zawsze go kochał.

Opuścił go na ziemię. Był ciągle w meloniku na głowie, zarośnięty, w zabłoconych lakierkach.

Co tam u was? - spytała matka.

- Nie ma już "nas". Dom pusty. - Tylko ja jeden, osierocony, zrozpaczony. Boże! Czasem po trawniku przesunie się z wiatrem, sięgająca ziemi gałąź wierzby płaczącej, a ja myślę, że to..., że to... przeszła... - wujowi załamał się głos. - Czasem wydmię firankę, albo nagle przeciąg otworzy drzwi. Może to ona wraca, myślę. Przyjechałem, by wam to powiedzieć.

- Zostaniesz ile zechcesz. Zajmiesz gabinet.

- Bóg zapłać. Miałem trochę strasznych przeżyć. Będę mógł czytać wasze książki?

- Jakże inaczej?

- Na czas mojej klęski przyjechałem. Przeboleć. Zamknę się. Nie będę wychodził, chyba że z nim - wskazał na Jaona - na spacer.

- Co ci, bracie? Mów.

- Zrozumiałem, że odrzuciłem miłość Leny ze strachu. Nie jestem w stanie utrzymać żony.

- Przedtem mówiłeś, że odrzucasz Lenę, bo jest bogata. Czy mam do niej zatelefonować?

- Nie, siostró. Jeszcze zimą Lena była u mnie. Przyjechała wieczornym pociągami. Na stacji nie było dorożek. Szła ścieżkami w głębokim śniegu. Od kiedy mi zabraliście Maniunię, jestem sam w domu. Ona nie miała noclegu. Cieszyłem się szalenie. Napaliłem w saloniku, okryłem ją dwoma kołdrami, starym futrem ojca, skórą niedźwiedzia i sam poszedłem spać do kuchni: Nie rozbierałem się, czułem, że ona też nie śpi. Piłem, przyznaję się, piłem i zastanawiałem się, czy wszystkiego nie zmienić, nie iść do niej. Nagle poprzez cały dom usłyszałem jej wołanie. Znać ten dom, jak w nim wszystko słycać. Pobiegłem tam. Ona powiedziała: "Sam tam siedzisz, marzniesz, pijesz? Daj i mnie kieliszek". Pobiegłem, przyniosłem, wyciągnęła rękę spod stosu okryć. Nie miała nic na ręce. Jej rzeczy, bielizna chyba była wepchnięta pod poduszki. Bransolety, łańcuszki, pierścionki leżały przy kanapie... Było to jakieś podkreślenie, że nie ma nic na sobie...

- Jaon, przywitałeś się z wujkiem, teraz do łóżka.

- ... Ach, przerywasz w najważniejszej chwili. Raziło mnie to złoto. Ona zauważyła moje spojrzenie, sięgnęła, wsunęła to pod kołdrę jakimś nieprzyzwoitym gestem.

- Czepiasz się tej wspaniałej i dobrej kobiety?

- Boję się. Boję się wszystkiego. Nadaję się tylko do tego by marzyć. Gdy wyjechała, całowałem przedmioty, których ona dotykała. Strasznie było w domu po jej wyjeździe.

- Wypędziłeś ją. Maniunię zabraliśmy, bo prosiła o to nasza matka. Jak mogłam was zostawić pod jednym dachem?

- Gdzież ona się podziewa? Pójdę się z nią przywitać.

- Zostaw bracie. Zbyt się ucieszyła zobaczywszy ciebie.

- Wszystko jest za małe, za malutkie dla mnie, albo mnie przerasta - powiedział wuj Rudolf.

- To ty, bracie siebie pomniejszasz.

- Ze strachu, by być prawie niewidzialnym.

- Pozujesz na dotkniętego nieszczęściem. Musisz zmądrzeć. Jeśli tak, to trzeba zaczynać od dziś, natychmiast, od tej chwili. Jedź do Leny. Maniunia zawoła ci taksówkę.

- Siostro, ja mam dwadzieścia groszy. Mam jeszcze sto złotych. Na czarną godzinę. Gdyby zagroził głód.

- Mój Boże - wykrzyknęła matka. - Straciłeś posadę?

- Sam rzuciłem. Józefie, przebac. Włożyłeś tyle wysiłku, by mnie tam umieścić.

- O co poszło? - pierwszy raz odezwał się ojciec.

- Strzeliłem w pysk prezesa.

Ojciec Jaona wybuchnął śmiechem.

- Boże - powiedział wuj - jak tu u was zacisznie, spokojnie.

Nigdzie nie czuję się jak u was, bezpieczny jak w zamku. Te

ogromne okna, firanki, południowe rośliny i przy tym ciemność.

Ciemność! - wykrzyknął radośnie wuj, odnalazłszy słowo, którego potrzebował. - Czy Maniunia może mi podać jajecznicę i kieliszek

wódki? Taki jestem szczęśliwy. Piję tylko, gdy jestem szczęśliwy.

- Sam powiedziałaś, że jest świt - odezwała się matka i dodała. - A więc pij co chcesz. Zadzwoń po Maniunię - po chwili ciszy

wykrzyknęła. - Maniuniu! Ty jesteś przemieniona?! Nie wstydz się,

chodź! Warkocze? I to jak upięte! Podaj kieliszek wódki na tacy, a potem jajecznicę. Z ilu bracie? Proponuję z dwunastu jajek.

- Tak, z dwunastu - wykrzyknął wuj. - Z trzynastu. Z czternastu - poprawił.

- Czemu nie przyjechałeś, gdy skończyły ci się pieniądze? - pytała matka.

- Musiałem zostać, by wyjazdu nie uznano za ucieczkę przed konsekwencjami mojego czynu.

- Sądziłeś, że prezes wyzwie cię na pojedynek? I walczyłybyś szpadą twojego ojca? - śmiał się ojciec Jaona.

- Józefie! Choćby zawiadomił policję! Niechby wyzwiał mnie na pięści! Już nie ma honoru.

- Nie pomyślałeś, że dla niego znaczysz tak mało, że nie poczuł się znieważony i to było dla ciebie obraźliwą odpowiedzią? - odezwał się ojciec Jaona.

- Nie mów! - wykrzyknęła matka. - Mój brat wszystko traktuje

poważniej niż Jaon.

Widocznie weszła Maniunia, bo matka zawołała:

- Zniszczysz sobie dziecko najlepszą sókienkę na wychodne. Nawet

nie masz fartucha!

- Czy mogłabyś siostró poprosić Maniunię, by podała karafkę. Nie chcę cię fatygować, byś dzwoniła za każdym kieliszkiem.

- Maniu, podaj karafkę - powiedziała matka.

- Panno Marianno, zabierze mnie pani na wychodne? - spytał wuj.

- Mowy nie ma - ucięła matka.

- Zabierzemy Jaona jako przyzwoitkę. Panno Marianno, chodzi pani do sali tańca? Do lunaparku? Będziemy jechali w przepaść, aż do utraty tchu - zawołał wuj.

- Maniuniu, możesz wrócić do kuchni - powiedziała matka.

- Walnąłeś tego, z którym załatwiałem twoją sprawę? To chciałbym wiedzieć - powiedział ojciec.

- Odwlekam chwilę, gdy wam opowiem przyczynę. Teraz wydaje mi się błaha, a ja sobie wariatem, narwańcem - rzekł wymijająco wuj.

- Szukałeś pozoru, by uwolnić się od biura? - spytała matka.

Widać dlatego że myśłami odszedł daleko, wuj zaczął innym tonem:

- Wyobraźnia niszczy życie. Rodzi nieuzasadnione nadzieje, a po latach, gdy nic się nie spełni, rozpacz. W końcu nie wiem, jaka jest rzeczywistość, nawet nie wiem, czy mnie kochacie. Ja sobie to wyobraziłem. Wyobrażam sobie też wszystkie niebezpieczeństwa, które wam grożą i mnie, i zamartwiam się, a potem dzieje się coś innego, a ja już nie mam siły tego przeżywać, martwić się tym. Zabijają mnie wieczory w pustym domu, gdy wy jesteście daleko, a gdy jestem z wami, wspominam to wyobrażenie o was, jacy byliście w moich myślach.

Jaon poruszony smutkiem głosu wuja pojawił się bezszelestnie w wielkim pokoju. Wuj spostrzegł go i wyciągnął do niego ręce:

- Wuj ci się przyda. Będiesz wiedział, jaki masz nie być w przyszłości.

- Czy nie byłoby dobrze, byś się przebrał z tego wieczorowego stroju? - powiedziała matka do wuja.

- W walizce mam książki i listy od Leny. Nie chciałem ich zostawić w domu. Mam też mój jasiek bez którego nie mogę usnąć.

- No to przymierzmy parę garniturów Józefa.

- Jak zawsze! Tużurek, w którym jestem też dostałem od was, pamiętasz? Lakierki od Józefa, także dęciak. Jestem przebrany za Józefa, ale nie mogę stać się ani odrobinę podobny do niego.

Matka weszła do pokoju Jaona, gdzie stały szafy i wróciła z naręczem ubrań.

- Będę szczerą Rudolfie, klapy odrobinę się poszerzyły w tym sezonie. Będziesz modny modą o rok spóźnioną.

- Gdy wrócę tam, gdzie kiedyś nazywaliśmy to "do nas", będę o rok wyprzedzał modę.

Maniunia, nie wołana, weszła przyglądać się przebieraniu się wuja Rudolfa. Wiosenny, jasny, zatańczył przed nimi stukając obcasami i czubkami butów. Maniunia przyciągnęła do siebie Jaona, i mocno tuliła.

- Błagam - powiedział wuj - przyjeźdźcie w tym roku na wakacje. Dom tęskni za wami. Tak rozpaczliwie opuszczony. Już myślałem, by go podpalić, tak jest tragiczny.

- Bracie, jesteś tam zbyt samotny.
- Nie znośmę prezesa, nie polubiłem kolegów. Tylko główna buchalterka mnie nie nienawidziła.
- "Nie nienawidziła" to twoje ulubione określenie ludzi, którzy cię kochają. - Zwróciła się do Maniuni. - Maniuniu puść Jaona, dobrze?
Maniunia uwolniła Jaona. Nie obrażona, odezwała się:
- Ja bym tam na pani miejscu jechała na wakacje do nas na wieś. Jajka po groszu. Ciotka Dziurzynna będzie posługiwać za wikt. Naniesie wody, zagrzeje, narąbie drewno.
- Na całe lato wynajmiemy powóz u Janusa - wtórował wuj Rudolf.
- Bracie, ty jesteś nieutulony.
- Siostrzyczko! Jak bóstwo nadajesz sens życiu nas wszystkich. Jaon syn bogini! W całym wszechświecie nie mógł wybrać lepszych rodziców. "Gdzie wybiera się rodziców?" - myślał Jaon. Ale już szli na spacer. Poszli na prośbę wuja w nowym kierunku - na lotnisko. Wuj chciał patrzeć na startujące i lądujące samoloty. Ale poza tymi, co stały pod hangarami, żaden nie przyleciał.
Ojciec, wróciwszy z biura, jeszcze w płaszczu, oznajmił:
- Jutro przychodzą państwo Woynicy z wizytą do nas, a Nika do Jaona.
Wuj drgnął, jakby go te słowa dotknęły.
- Pozwolicie, że do nich nie wyjdę - odezwał się. - To by zepsuło wizytę. Macie swoje sprawy. To jest osobistość na szczytach władzy.
- Nie, bracie. Nie.
- Dobrze, powiem otwarcie: to ja nie chcę ich widzieć. Nie chcę nikogo poznawać. Zamknę się w gabinecie.
- Dzieci biegają po całym domu. Jaon utrzyma dyskrecję, ale Nika cię odkryje.
- Dajcie mi na kino.
- Jak chcesz bracie. Będziesz chodził po ulicach ze łzami w oczach, że wyrzucono cię na ulicę jako niewygodnego gościa.
- Już to pomyślałem i wasza dobroć nie zmieni faktu, że tak będę czuł. Widzicie, jestem uciążliwym gościem. Gdybym nie czuł się tak źle w starym domu, poprosiłbym was o datek na przeżycie i wyjechał bym dziś wieczornym pociągiem.
- Jaon nie powinien tego słuchać - ucięła matka i zwróciła się ku ojcu. - Co w banku?
- Bank odrzucił wniosek Spółki "Vaucaire" o pięć milionów kredytu długoterminowego, wyrażając gotowość udzielenia krótkoterminowej pożyczki w wysokości pół miliona złotych. Z tego, w telefonicznej rozmowie, zrezygnowała Spółka "Vaucaire".
- Co pan Woynicki?
- Jest bardzo milczący.
W nocy matka i ojciec rozmawiali bardzo cicho. Bardziej bali się, że ich głos dotrze do gabinetu oddzielonego przedpokojem, niż do pokoju Jaona. Jaon musiał podnieść się, by słyszeć. Od jakiegoś czasu nie zaciągano już siatek po bokach łóżeczka. Był dumny, że staje się dorosły.

-... jak zorganizujemy Rudolfowi jutrzejszy wieczór, gdy będą Woyniccy. Wysłać go do Hieronima? Ale to by zakrawało na złośliwość. Mam potworny pomysł. Zawiadomić Lenę, by siedziała w "Małej Ziemiańskiej". Od jednego ze stolików widać naszą bramę. Usiadłaby tam i zobaczywszy Rudolfa wyszłaby z kawiarni. Będzie to przypadkowe spotkanie, które rozstrzygnie jego los.

- Rudolf zauważy, że ten przypadek jest nadmiernie przypadkowy. Poza tym nie wiesz, jak Lena przeżyła odtrącenie w zimie.

Gdy pani Woynicka, pan Woynicki i Nika z lalkami Eulalią i Wirginią w obu rękach wkroczyli, Nika odnalazła go wzrokiem, nie patrząc na nikogo, nawet na nieznanego jej wuja Rudolfa, który zgodził się zostać na chwilę, być przedstawionym, a potem pod pozorem ważnych interesów opuścić towarzystwo.

Poszli z Niką do jego pokoju.

- Poznajcie się! Przedstawiam: to Eulalia i Wirginia. Dygnijcie. Przywitajcie się - dokonywała prezentacji Nika.

Przystawili z Jaonem do siebie Niedźwiedzia Białego i Eulalię tak, by dotknęli się ustami.

- Całują się - skomentowała to Nika. - Musisz bardzo polubić moje laleczki, musisz je kochać, jak swoje dzieci - rzekła do Jaona. - A to miś Karolinka?

- Kto wie, czy nie będziemy musieli jej zbić.

- Za co? - spytała na poły radośnie, na poły z żalem Nika.

- Za niegrzeczność - odrzekł Jaon.

- Jest niegrzeczniejsza niż dzieci? - zawołała Nika, przejęta.

- Jest coraz nieznośniejsza - odparł Jaon, naśladowując intonację dorosłych.

Gdy wyciągnął rękę po Karolinkę, wydawało mu się, że rozżalone szklane oczka mówią: "Nie bij mnie przy Nice. Nie pozwól jej mnie uderzyć. Jestem twoja, nie jej". Ale nie myślał ustępować.

Nika pytała:

- To mogę ją zbić?

Bij! Bij! Bij! - wykrzykiwał Leon. Wziął Karolinkę z kanapy.

Karolinka była lekka, malutka, bezwolnie poddała się. Przekazał ją Nice. Chciał, by biła Nika. Nika przybliżyła misia do twarzy i patrząc w szklane ślepka mówiła:

- Nie kochasz dostatecznie twojego pana? Coraz nieposłuszniejsza?

Jesteś jeszcze małym misiem. A co będzie potem? Pan cię odda obcym. Co tak patrzysz? Nic ci nie pomoże, malutka - odwróciła

Karolcię pupcią do góry, tu plusz był rzadszy, bo naciągnięty i pupcia robiła żałosne wrażenie. - Nie mam serca cię bić, ale muszę

- i wymierzyła jej klapsa.

W tym momencie otworzyły się drzwi i Maniunia zawołała:

- "Dzieci proszone są na kolację!"

Zostawili Karolcię.

- Nasze dzieci - wykrzyknęła na ich widok pani Woynicka, jakby Nika i Jaon byli rodzeństwem. - Patrzcie państwo, jest

podobieństwo. Te zadarte noski, te oczyska, bardzo jasne włoski, cieniutkie jak druciczki.

- Dzieci, teraz dacie dowód swojej grzeczności. Zjecie marchewkę.

Wiem, że oboje jej nienawidzicie.

Nika podsunęła Jaonowi widelec z ogromną porcją marchewki i Jaon, przezwyciężając wstręt, przełknął. Otworzyła usta i Jaon podał jej swoją porcję. Wzięła do ust, wydawało się, że wypluje. Wpatrywała się w Jaona, pragnąc by dodał jej odwagi. Trzymała długo marchew w ustach, aż pani Woynicka krzyknęła:

- No, połknij, połknij!

Nika połknęła z przerażoną miną, zerwała się od stołu i rzuciła do przedpokoju, pędziła przez pierwszy i drugi przedpokój, dopadła drzwi ustępu, ale nie wytrzymała i zwymiotowała marchewkę. Rdzawy płyn rozprysnął się na białej powierzchni. Nika zasłoniła usta.

Jaon otworzył jej drzwi. Nikę chwycił gwałtowny skurcz i atak choroby. Wyrzucała z siebie obiad, śniadanie, aż wydawało się, że się dusi. Matka Jaona i pani Woynicka odsunęły go od Niki. Wrócił do wielkiego pokoju.

- Są sytuacje, które przypominają tamę w Holandii - mówił pan Woynicki. - Od człowieka, który zauważy przeciek, włoży tam palec, dłoń, całą rękę w końcu czyniąc z siebie żywą część zapory, samotnie czekając aż zauważą jego nieobecność i odnajdą go, zależy byt kraju. Sprawa "Vaucaire" jest precedensem. Jeśli koncerny zorientują się, że banki w Polsce dla rozkręcenia koniunktury staną

się uległe, uznają nas za kraj łatwych kredytów, wzmogą naciski. Złoty ulegnie rozmyciu, pieniądz od nas ucieknie, i po dwu latach fałszywego boomu, wszystko runie. Pana się u nas zaczynają bać, uważając za zbyt prostoliniowego, jak na bank. Jeśli się utrzymam z moją linią, prezes ustąpi. Spyta pan, czy ja zostanę prezesem? Mogę odpowiedzieć, że jeśli tak, pan zostanie dyrektorem generalnym. Najcenniejsze z pana podróży do Katowic jest to, że dyrektor naszej ekspozytury wygadał się, że "Vaucaire" chce produkować uzbrojenie dla Polski. Czy nie chodzi tu o przeniknięcie do Ministerstwa Spraw Wojskowych? Wniosek musi już być w Departamencie Uzbrojenia. Pójdzie pan tam ze specjalnym pełnomocnictwem. Przejrzy pan ofertę Spółki "Vaucaire": Przy okazji zbada pan, czy Departament Uzbrojenia wie, kto za Spółką "Vaucaire" stoi. Czy nie Niemcy? Może pan zapytać wprost. Rozumie pan moją myśl? Jeżeli będziemy musieli opuścić bank, nie przyjmę posady bez sprowadzenia pana. Jak, w razie czego, długo pan przetrzyma?

- Nie długo. Wydajemy dużo.

Weszła matka Jaona i pani Woynicka z Niką na rękach.

- Nika musi odpocząć - powiedziała matka Jaona.

Nikę niesiono do pokoju Jaona. Przez uchylone drzwi zobaczył, że pani Woynicka chciała położyć ją na łóżeczku Jaona, ale zawahała się i zaniósła na kanapę. Przykryła Nikę kocem. Jej rączka wysunęła się spod niego i dawała niewyraźny, niejasny znak Jaonowi.

Rano zerwał się i popędził przez wielki pokój, gdzie spała matka - bo rodzice oddali swoje kanapy z gabinetu wujowi - wpadł do pierwszego przedpokoju. Maniunia z tacą w ręku wychodziła z

gabinetu, gdzie spał wuj Rudolf. Maniunia przelekła się widoku Jaona.

- Maniuniu - powiedział idąc za nią w kierunku kuchni. - Kocham Nikę Woynicką!

- Mnie już nie kochasz? - spytała Maniunia.

- Ciebie też kocham. Ale ty kochasz wuja Rudolfa?

- Cicho! - wykrzyknęła Maniunia. - Skąd ci to przyszło do głowy? Nie mów nikomu. To byłaby moja zguba - pociągnęła go do kuchni. - Mów, skąd wiesz? - szeptała. - Pamiętaj, dziś przyniosłam twojemu wujkowi tylko śniadanie, jak muszę rano wydać je wszystkim, każdemu osobno, najpierw twojemu ojcu, potem tobie, na końcu twojej mamie.

Zawrócił cichutko do swojego pokoju. Dopiero zauważył, że Karolcia dalej leży na podłodze. Jakby błagała o jego dobroć i litość. -

"Leż za karę, aż ci nie przebaczę" - wyszeptał.

Następnego dnia Jaon odniósł wrażenie, że powtórzył się przyjazd wuja Rudolfa. Odgłosy z dalszej części mieszkania świadczyły, że znów o świcie przybył ktoś niespodziewanie. W hałasach przeważały głucho, dalekie okrzyki Maniuni. Jaon usnął i znów obudził się. Karolcia widać ubłagała matkę Jaona, by ją podniosła, bo miś siedział na kanapie. Co za nieposłuszeństwo! Złapał Karolcię i rzucił na ziemię. Ma teraz!

Rodzice siedzieli w wielkim pokoju, jedli wczesne śniadanie i naradzali się.

- Miała czelność powiedzieć, że przyjechała pilnować Maniuni - szeptała matka - bo "dowiedziała się, że pan Rudolf wyjechał do państwa". Od dawna, jakby sama określiła, "Maniunia prosiła za nią". Były umówione, że jedna ściągnie drugą

- Samozwańcza służąca? Bezpłatna? To wyzysk. Jest niepotrzebna - rzekł ojciec.

- "Dwie, a jedna, co wielmożnym państwu za różnica? - pytała mnie Dziurzyną. Za bardzo uniożona. Sypie jaśnie wielmożnymi. Chyba jest w biedzie. Powiedziała, że weźmie najcięższe prace. Maniuni to byłoby na rękę, jednak milczała. Połapała się, że Dziurzyną może wyprzeć ją z naszych łask, a szczególnie u kapryśnego Jaona?

- Żono, może polubię liczną służbę, jak było u nas w domu - odezwał się ojciec.

- Zostawiamy ją na próbę - odrzekła matka.

Dla Jaona to było święto - dwie nowe osoby w domu.

Pierwszą pracą Dziurzyny była wyprawa z Maniunią po łóżko dla siebie na Kercelak. Przywiozły je dorożką i wniosły po schodach.

Śpiwając, złożyły je i postawiły we wnęce obok łóżka Maniuni.

Dziurzynę zaprowadzono do łazienki i Maniunia myła ją dokładnie i uczyła posługiwać się kranami. W ustępie na widok spuszczonej wody Dziurzyną klaskała.

Wuj Rudolf całe dni był zamknięty w gabinecie. Usługiwała mu Dziurzyną, nie pozwalając Maniuni zbliżyć się do drzwi, za którymi słyhać było kroki wuja. Wuj prosił, by mu nie przeszkadzano, bo czyta i rozmyśla. Ale ta sama książka otwarta na tej samej stronie, leżała na kanapie, z której wuj nie pozwalał zabierać

pościeli. Popielniczki były pełne, okno zamknięte, czuć było dym papierosów.

- Jaoniku, dobrze mi u was. Dlatego musisz mnie zostawić samego.

- Wuju, powiedz, jak byłeś na wojnie. O świni - prosił Jaon przy kolacji, nie zdając sobie sprawy, że sprawia tym ból ojcu.

- Nie doszedł prowiant. Złapaliśmy świnię. Nikt nie miał odwagi jej zarznąć, mimo że zabiliśmy tylu ludzi. Sanitariusz wyciął jej kawał słoniny, zalepił plastrem i wypuściliśmy ją. Kwiczała boleśnie. Nikomu nie przyszło na myśl, że świnię można zastrzelić.

- Wuju, powiedz o tramwaju.

- Cofaliśmy się z Kijowa. Byliśmy ostatnim oddziałem. Mieliśmy kasę pułkową. Rosjanie oskrzydłali nas. Szli równolegle sąsiednimi ulicami i strzelali do nas z boków. Na przystanku stał pusty tramwaj. Jeden z żołnierzy wskoczył, ruszył korbą. Elektryczność, mimo walk, była. Wskoczyliśmy do tramwaju i z pełną szybkością ruszyliśmy z miejsca. Bolszewicy pokładli się i strzelali do pędzącego tramwaju. Potem mierzyli w druty i chcieli je przestrzelić. Była to linia podmiejska. Przegoniliśmy wszystkie cofające się oddziały. Zajechaliśmy na pętłę za miastem z takim pędem, że tramwaj wypadł z szyn i zarył się w piasek. Byliśmy ocaleni, a kasa nie wpadła w ręce wroga. Potem okazało się, że była pusta.

- Wuju, powiedz o czarnobrewej dziewczynie - napierał się Jaon.

- Nie możesz znać tej historii! - wykrzyknął wuj. - Tobie bym tego nie opowiadał. Słusznie Dziurzyną się ciebie boi i przez ciebie nie wchodzi "na pokoje", jak ona to nazywa.

Gdy Jaon obudził się w nocy, matka mówiła do ojca:

- Mam podejrzenia dotyczące całego towarzystwa z tamtej części mieszkania. Przyjrzałam się uważnie Dziurzynie. Ile może mieć? Ze czterdzieści, czterdzieści dwa - najwyżej. Ona też podkochuje się w Rudku. W tym świetle jej nagły przyjazd, że ona nosi mu śniadania

i obiady, a nie Maniunia, niepokoi mnie. Kiedy Lena się odezwie?

Tego ranka matka zauważyła, że miś Karolcia leży na podłodze:

- Co za bałagan? - spytała matka. - Zabierz to - powiedziała matka widząc w Karolci przedmiot.

- Mamo, to mój miś i mój pokój - zaoponował hardo Jaon.

- Dlaczego miś co dzień leży na ziemi?

- To najniegrzeczniejszy miś Karolcia.

- To niemądra zabawa! Rzucasz misia na ziemię? Nie miś, a ty jesteś niegrzeczny. Podnieś natychmiast, inaczej dostaniesz w skórę - matka mówiła ostro.

Jaon podniósł Karolcię i ukradkiem wgniół jej oko. Uciekła się pod opiekę jego matki! Przez Karolcię miał przykrość. Wstrętny miś! Umiejętnie udaje biednego misia. Gdy matka wyszła, Jaon nie ruszył Karolci tylko spojrzał na nią pełnym rozżalenia wzrokiem. Nie zasłużyła nawet na to, by ją zbić.

Udawali się wszyscy na spacer.

- Cały feudalny cyrk - wykrzykiwał wuj, gdy znaleźli się na podwórku. Z przodu szedł Jaon trzymany za rękę z obu stron przez

Maniunię i Dziurzynę, z tyłu matka Jaona i wuj. Maniunia miała minę, jak nieprzytomna i nie słyszała, co się do niej mówi.

Weszli do sklepu z zabawkami. Wuj kupił Jaonowi pułk żołnierzy abisyńskich w białych turbanach i 4 pułk piechoty z 1830 roku.

Pułk, to było pudełko z siedmiu żołnierzami i dowódcą na koniu.

- Na ich pamiątkę pułk, w którym walczyłem w 1920 roku, nosił numer czwarty - powiedział wuj.

Jaon poprosił jeszcze o pułk Legii Cudzoziemskiej.

- Ja tam wstąpię. Opuszczę Polskę, was - powiedział wuj otwierając pudełko. Wziął jednego z żołnierzy w kepi i spływając z niego na kark jedwabną osłoną, przybliżył do oczu jakby siebie chciał obejrzeć z zewnątrz i powiedział:

- To ja. Twój wuj, gdy tam już będę.

Ten żołnierz był najładniej pomalowany. Sztylpy miał brązowe, menażka na plecaku srebrzyła się aluminiowo.

- Jaon w to uwierzy i w końcu, by go nie zawieść, będziesz musiał jechać do Afryki - powiedziała matka.

- Tylko nie do Afryki! - wykrzyknęła przerażona Dziurzyną. Do oczu Maniuni napłynęły łzy.

- Do palm, do palm - napierał się Jaon.

Na końcu parku Łazienkowskiego była palmiarnia. Matka, by znowu nie ulegli woli Jaona, powiedziała:

- Nie ma mowy. Do palm pójdziemy w zimie.

Zawrócili. Z daleka zobaczyli generałową i prałata, którzy pomachali im.

Gdy znaleźli się w domu, trzeba było się śpieszyć z obiadem.

Ojciec mógł nadejść lada chwila. Maniunia raz po raz wyglądała przez okno.

- Jeszcze pan nie idzie - wykrzykiwała niepotrzebnie.

Jaon poszedł do swojego pokoju. Przewrotna Karolcia! Tym razem siedziała, udając grzeczną, na swoim miejscu na kanapie. Bicie nie pomaga.

- Ty Karolciu, wstrętna, obrzydliwa, ohydna - wymyślał misiowi.

Przybliżył twarz do oczek pluszowego zwierzątka, które jak zawstydzone patrzyło w inną stronę. - Mogę cię zmiażdżyć. Urwać ci głowę - krzyknął Jaon i rzucił Karolcię o ziemię. Poleciała w stronę jego łóżeczka, odbiła się od nogi i poleciała pod szafę. -

Tam będziesz! - wykrzyknął Jaon.

Rozłożył ołowianych żołnierzy. Na pomoc Abisyńczykom przyszli Czwartacy i bronili przed Legią Cudzoziemską całej pustynnej przestrzeni koło okna pokoju Jaona, a potem, pod wpływem wuja Rudolfa, żołnierze Legii przeszli na stronę Abisyńczyków i Polaków.

Jaon połączył siły, wyłonił wspólne dowództwo i wtedy zawołano go na obiad.

Wuj prosił, by rodzice pozwolili Maniuni podać nalewkę śliwkową.

Nastąpił moment milczenia i matka wydała rozkaz, którego wuj oczekiwał. W chwili, gdy wuj podnosił samotnie kieliszek z ciemnym płynem Dziurzyną zaanonsowała, że pan, który mówi, że jest bratem pana przyszedł z wizytą.

- Dostawić nakrycie - powiedziała matka.

Wuj opuścił kieliszek i spieszył się. Stryj Hieronim też zrobił dziwną minę, zobaczywszy wuja Rudolfa.

- Mam parę słów do ciebie bracie - powiedział do ojca.

Wyszli do pokoju Jaona. Wuj wypił kieliszek nalewki, szybko nalał następny, wypił i znów napełnił kieliszek. Gdy stryj Hieronim i ojciec wrócili, kieliszek wyglądał tak samo. Stryj jakby zapomniał, że zerwał z ojcem Jaona, usiadł przy swoim talerzu.

- No i co cię sprowadza Rudolfie? - powiedział ceremonialnie stryj.

- A ciebie co sprowadza? - spytał wuj Rudolf.

Mnie to, co omówiłem z moim bratem. Nie zmieniłeś zasad? - spytał stryj Hieronim.

- Chcesz zapytać czy dalej jestem bez pracy, czy dalej jestem kawalerem i dalej mieszkam w domu po rodzicach?

- O to mniej więcej chciałem zapytać, bo martwię się o ciebie, ale nie w formie jaką mi przypisujesz. Chciałem to wiedzieć ze względu na ciebie. Możesz u mnie otrzymać wysoko płatną posadę. Jedyną twoją umiejętnością będzie uczciwość.

- Ty, Hieronimie jesteś skoncentrowaną siłą - powiedział wuj Rudolf.

- A ja czystą słabością. Mnie nie zależy, by być silnym, a tobie zależy.

- Zależy mi, by ludzie mieli o mnie opinię jako o silnym człowieku. To ułatwia mi niejedno. Jaki jestem - nie interesuje mnie. Jeśli ciebie interesuje, jaki jesteś, mogę ci wyrazić współczucie, że tracisz czas.

- Od kiedy dzięki mojej siostrze spotkało mnie szczęście poznania cię, a nawet podniesiony zostałem do godności twojego powinowatego, która jest być może jedynym wyróżnieniem, jakie mnie w życiu spotkało, interesujesz mnie ty.

- Trochę mnie drażni, że jesteśmy na ty - rzekł stryj. - Pod wpływem nastroju wesela Julianny, niebacznie zbliżyliśmy się do siebie. Mam dla ciebie miłą propozycję: żebyśmy wrócili do formy pan, panie Rudolfie.

- Tu nie są sami dorośli - przerwała matka.

- Ach! - machnął ręką stryj Hieronim. Jego złość zwróciła się ku Jaonowi. Wasz papinek, wasz nieznośniaczek. Jak możecie ulegać mu i nazywać imieniem, które raczył sam sobie nadać. Kocha bardziej służącą Maniunię niż własnego ojca. Ojca mu za mało, ojca! Jak w dzieworódtwie jest tworem tylko matki. Jedyne, co dostrzega w życiu, to karły, żebracy, cyrkowcy. Świat jaonocentryczny, który stworzył, używając was tylko jako elementów konstrukcyjnych. Gdy jednego z was, nie daj Boże, zabraknie, rozpadnie się. Życie, z którym się zetknie, zmiążdży go.

- Mówić źle o dziecku to dziecinada - powiedziała matka.

- Jaon - wtrącił się wuj Rudolf - ma w sobie siłę waszej rodziny i nadludzką wrażliwość naszej. Będzie adwokatem broniącym najtrudniejszych spraw, albo architektem, który zbuduje wielkie miasto.

- Chyba z klocków - odparł stryj.
- Stryju, ty mnie nie lubisz - wykrzyknął Jaon, z odcieniem dumy.
- Stryj wysłał swojego syna do internatu. Stracił wiarę w niego - powiedziała surowo matka - i chce siebie pocieszyć, że będziesz niewiele wart.
- Twój stryj - wtrącił się wuj, zwracając się do Jaona - nie rozumie dzieci, bo jest nieszczęśliwym człowiekiem, ale nie wie o tym. Jest przekonany, że jest najszcześniejszy ze wszystkich ludzi.
- Sąd nade mną? - stryj podniósł się z krzesła.
- Znów chcesz z nami zerwać? Prosimy, pod warunkiem, że jeszcze raz wrócisz - rzekł ojciec Jaona.
Stryj wybuchnął śmiechem.
- Zamknąłem sobie drogę obrazy na was, bo panna Świdwińska jest ciąglą rzeczniczką mojego powrotu do tego domu. - "Nie dopuszczę, by moja osoba rzuciła cień na twoje stosunki z bratem".
- Panna Świdwińska dla nas nie istnieje - odezwała się matka Jaona.
- Przed chwilą twój mąż w rozmowie w cztery oczy zgodził się spotkać na terenie neutralnym z panną Świdwińską i wysłuchać jej - rzekł stryj.
- Mimo że pierwszy raz słyszę o pannie Świdwińskiej gotów jestem wystąpić w jej obronie. Nie Julianna i Józef narażają pannę Świdwińską na upokorzenie, ale pan, panie Hieronimie - wykrzyknął wuj.
- A gdybym poprosił pana do kawiarni naprzeciw i wyzwał pana na pojedynek? - Głos stryja zniżał się.
- Wynajmę czterech ludzi, którzy uczynią pana niezdolnym do stawienia się w terminie.
- Niech pan to powie pannie Świdwińskiej.
- Opowiem, że udzielam lekcji pewnemu panu nie pierwszej młodości i zyskuję jego wdzięczność - wyszeptał stryj.
- Grzęźnicie w tej rozmowie - odezwała się matka.
- Byłem nie zapowiedziany - stryj Hieronim zerwał się z krzesła.
- Józefie, widzę, że lepiej rozumiesz się ze swoim szwagrem niż z rodzonym bratem.
Pół godziny potem, gdy jeszcze siedzieli przy stole, Maniunia wniosła list, który doręczył posłaniec. Ojciec Jaona czytał na głos: "Drogi bracie Józefie, jestem ci bezgranicznie zobowiązany za wyrażenie zgody, by porozmawiać z p. Świdwińską. Ona ci też dziękuje, ale sprawa jest nieaktualna. Hieronim".
- Przypuszczam, że skłamał, że nie zgodziłem się - rzekł ojciec.
- Hieronimowi z jakichś względów, jest na rękę brak kontaktów między nami, a panną Świdwińską.
Rodzice i wuj poszli do teatru. Jaona zostawiono z Maniunią i Dziurzyną. Kazano im się przenieść do wielkiego pokoju i nie rozmawiać przy Jaonie o głupstwach. Chwilę nie wiedzieli, co robić, ale Dziurzyną przypomniała sobie wiersz:
"Dąb i grusza
W świat wyrusza,

Splecione gałęziami

Jak ramionami.

Grusza wykwiecona weselnie,

Dąb w świeżych pąkach

Trzyma się prosto, wyniośle i dzielnie".

Potem opowiedziała bajkę:

- "Pewna młoda staruszka

Na drewnianym kamieniu

Siedząc stała

i porannym wieczorem

Nic nie mówiąc rzekła..."

ale co, Dziurzyną nie pamiętała.

- Ciociu opowiedz o tej śmierci - prosiła Maniunia.

Dziurzyną zaczęła:

- Pewna pani nie młoda i nie stara, której wieku nikt nie znał, nawet ona nie wiedziała, kiedy się urodziła i kiedy umrze. Miała spadek do zostawienia. Siostrzeniec czekał jej śmierci, aż sam się zestarzał. Modlił się o śmierć dla niej, aż wymodlił. Nad kobietą stanęła śmierć z kosą, w białym prześcieradle. Poczuli, że umiera, ale myśli sobie: "Jeszcze mam obronę". Podniosła się, wyrwała śmierci kosę i ciach nią śmierć. Trysnęła krew i śmierć wydała straszny krzyk. Spod skrwawionego prześcieradła ukazał się siostrzeniec. Skonał na jej oczach, a ona wzięła po nim dwie morgi i sześć pretów.

- Ciociu opowiedz o tamtych - prosiła Maniunia - co jedli kolację na cmentarzu, a potem w grobowcu urodziło się dziecko.

- Za to pani by nas wyrzuciła. Chyba, że Jaon nie powie mamie?

- Nie wolno podmawiać Jaona, by nie mówił czegoś mamie - skarciła Dziurzynę Maniunia.

- To opowiem bajkę prawdziwą, taką która jest w książkach: Odbicie w lustrze, cień na ziemi i echo w powietrzu wiodły kłótnie, które jest prawdziwsze. - "To ja jestem prawdziwe" - mówiło odbicie. -

"Dzięki mnie ludzie widzą siebie w zwierciadle i dowiadują się jak wyglądają." - "Ja zawsze idę za swoim panem - mówi na to cień. -

On nawet się mnie boi, ale bardziej stracha się, że się ze mną rozłączy". - "Ale gdy mój pan sam całuje się w lustrze, łączy się ze mną odbiciem". Na to echo: - "Ja sięgam najdalej w świat.

Mojego pana słyszeć wiele mil, podczas gdy wy sięgacie pół metra od waszego pana." - "Ciało mojego pana to cień, który ja rzucam" -

broni się cień. - "Tyle razy pan się przejrzał w lustrze, że tam został i teraz jest mną" - rzekło odbicie. A w tym momencie pan położył się spać i znikło odbicie w lustrze, cień skurczył się do małego nic, a głos ucichł, wszystkie trzy uleciały wysoko do nieba, a Jaonik położył się spać, uśnie, a jego cień, odbicie i echo ulecą wysoko.

Po ułożeniu Jaona spać, służące nie wróciły do kuchni, tylko rozkoszowały się pobytem w wielkim pokoju. Co chwilę wyglądały, czy nie idą państwo i chyba otwierały tę część kredensu, gdzie są karafki.

Dziwnie było słyszeć ich głosy, a nie rodziców. Cicho szeptały,

jak dwie czarownice, a światło wydawało się szczeliną jaskini, skąd dochodził blask palonego przez nie ognia.

- O tym odbiciu w lustrze, to o panu Rudolfie, tak często się przegląda - wyszeptała Maniunia. - Tu jest to duże lustro. Dotąd to nie bardzo wiedziałam, jak wyglądam. Teraz człowiek ciągle się na siebie patrzy, a to grzech, zasłoniłam je, ale pani mnie wyśmiała.

- O paniczu Rudolfie przestań myśleć. Składaj na posag. A ty chodzisz do kina. W tancbudzie płacisz za siebie, czy kawalerowie płacą?

- Sama płacę. Ale nie tańczę. Stoję wysoko na balkonie i patrzę. Nie chcę tańca z obcymi.

- Ale stać w górze też się boisz?

- Tu po schodach prowadzi mnie Jaonik. Ja jego rączki się trzymam. I on boi się przepaści, a ja drzę, że on wypadnie przez okno. Jak im się tu nie sprzykrzy i nie wyskoczą z okna? I srają na nich ci, co są na górze. Srają w domu, gdzie jedzą! Pierwsze dni wychodziłam za swoją potrzebą za dom, ale złapał mnie policjant. Pani nic nie wie. Kiedyś te domy zaczną się walić jedno na drugie. Są za wysokie. Zobaczysz ciotko, całe miasto runie i pożar je ogarnie.

- Ile złożyłaś?

- Sześćdziesiąt złotych.

- To ledwie masz cielaka. Ciebie matka nie biła. Jedyne dziecko na wsi. Dobraliście się z tym Jaonikiem. Sprytny delikacik. Wiesz, że nie krwawię?

Najpierw myślałam, że noszę w sobie, ale rok, dwa, trzy to chyba za długo? Choć stare kobiety mówią, że może się zdarzyć. To już nic takiego jak Jaonik mieć nie będę. A ty jesteś czysta?

- Nietknięta! - krzyknęła Maniunia.

- Panicz Rudolf, jak tu przyjechał, dzieliła was tylko ściana.

- Nigdy w życiu! Panicz Rudolf całuje po cyckach. O tyle tylko prosi.

- I o nic więcej?

- Raz prosił.

- I co?

- Ciociu, co mnie tak pytasz?

- Bo zdaję sprawę twojej matce, która patrzy z nieba. Dokąd się nie ożeni, dla panicza Rudolfa prędzej taka, jak ja, co już nie krwawi.

- Panicz Rudolf mówił, że się nie ożeni - wyszeptała Maniunia i wrzasnęła. - Jezu! Państwo idą.

W tym momencie największego oczekiwania, radości, że rodzice wejdą, Jaon zasnął.

Wolno zadać pytanie? - powiedział przy śniadaniu do matki wuj Rudolf - jaki jest właściwie charakter stosunków waszych z braterstwem?

Widać Dziurzynie przykrzyło się siedzieć samej w kuchni, bo usługiwały obie: Maniunia i Dziurzyna i obie słuchały ciekawie, więc mama Jaona kazała im iść.

- Nie bywamy u nich, bo nie zapraszają nas. Hieronim, bywa tu

często, nigdy z nią. Czasem nie wiedzą o sobie: po południu wpada Hieronim, wieczorem jego żona. On zanudza nas panną Świdwińską, ona "swoim dramatem". Józef znika, kładzie się spać, ona tego nie zauważa. Kiedyś przysłała o siódmej wieczór i wyszła następnego dnia o dziewiątej rano. Myślałam, że zwariowała. Hieronim przychodzi na krótko, nie zabawi godziny. Odnosimy wrażenie, że zawsze panna Świdwińska jest w taksówce na podwórzu, albo w "Nowej Ziemiańskiej" na przeciw naszej bramy.

- Ja mu ją odbiję - powiedział wuj Rudolf.

- Nie spojrzysz na siebie, biedny bracie. Jeśli Hieronim się z nią ożeni i wprowadzi ją w swój świat, znajdzie tam kogoś możniejszego. Mężczyźni są dla niej szczeblami, po których pnie się. Świdwiński posłużył jej, by dostać się w pobliże Hieronima. Świdwiński, jako podwładny Hieronima, musiał się bardzo starać, by wprowadzić ją blisko Hieronima. On zaś, lata powstrzymywał się od odczuwania czegokolwiek, by nie rozpraszać się w swoich dążeniach, a gdy osiągnął to, czego pragnął, przysłała gwałtowna reakcja. Hieronim nie był dobry dla rodziców. Nawet Józef nie wie, czy wypędzili go, czy sam uniósł się gniewem i zerwał z domem, na znak obrazy. Spotkał swoją obecną żonę. Opłacała jego studia. Udawał kogoś pełnego wdzięku, bezinteresowniejszego niż ty i, ponieważ udawał, chwilami przewyższał ciebie. Pamiętam wieczór w Marzeniowie. Ty Rudolfie jak skowronek snuleś polne trele, on, słowik w ogrodzie, pełnym bzów, jaśminów i hortensji.

- To było, gdy Lena była pierwszy raz w Marzeniowie?

- Tak. Nazajutrz karawana bryczek i powozów miała wyruszyć przez lasy. Jaki to był beztroski dzień! Byłam przepętniona nadzieją. Akurat wyszedł doktor i potwierdził moje przypuszczenie, co do zjawienia się Jaona. Widziałam świat jego oczyma.

Po chwili milczenia matka dodała:

- Gdyby tego wieczora Lena nie wybrała beznadziejnej miłości do ciebie, wpadłaby w sidła Hieronima. Nawet nie ostrzegliśmy jej, bo nie podejrzewaliśmy, że przyjechał po zerwaniu z domem i szuka ofiary. Stąd było to maksimum, które z siebie dawał.

- Lena, pamiętam, mówiła, że sprzedaje kamienicę, bo czuje, że jest zbyt dziecinna i naiwna, by nią administrować. Miała na sobie coś w rodzaju mundurku szkolnego z marynarskim kołnierzem.

- Bracie, co się stało, że znieważyłś swojego przełożonego? Gnębi mnie to od pierwszego wieczora.

- Ten pan doszedł do wszystkiego morderczą pracą od tragarza na placu, a ja ruchem konika szachowego, czy polnego przeskoczyłem inne figury. Nienawidził mnie, jako kogoś mającego plecy. Był ordynarny wobec wszystkich, z wyjątkiem mnie, ale przy mnie był szczególnie niegrzeczny dla innych, by udowodnić, że boję się stanąć w ich obronie. Wybrał na szczególny przedmiot prześladowań osobę, o której wspominałem, która okazała mi trochę sympatii.

Posunął się do tego, że odezwał się do niej: - "Ty cycata jałówko!" - Była to aluzja do tego, że pani buchalter ma duże piersi, nie ma dzieci i żyje w separacji z mężem. Poprosiłem, by odwołał te słowa. Zerwała się, błagała, bym odwołał moje żądanie.

On nie przeprosił jej po to, bym go uderzył. Nie oddał mi, tylko otarł twarz. "Myślę, że po tym, co się stało pan zwolni się sam, a ja nie będę wzywał policji". Tak się mnie pozbył.

- Wuj, czy ty za wojnę masz order? - spytał Jaon, który wszedł bezszelestnie.

- Nie dostałem żadnego.

- To ja ci zrobię order - powiedział Jaon i zerwał się od stołu.

- Marsz z powrotem - zawołała matka.

- No pozwól mu - powiedział wuj. Jaon zawrócił i czekał w drzwiach.

- Zawsze marzyłem, że sam Marszałek mnie udekoruje. Bałem się, że się rozplączę. Na samą tę myśl, kiedyś pod kulami, płakałem. A teraz nasz wódz nie żyje i... - wuj nieoczekiwanie załkał.

- Co "i". Nie dokończyłeś Rudolfie.

- Ach - machnął ręką wuj.

- Dobrze, niech Jaon cię udekoruje, a w zamian weźmiesz go na spacer. Ostatnio czuję wielkie zmęczenie. Muszę dziś przeleżeć w łóżku. Położę się u Jaona i nie będziecie tam wchodzić - wstała i poszła do kuchni, by wydać rozporządzenia Maniuni i Dziurzynie. Jaon wyciął tępyimi nożyczkami, przydzielonymi mu przez matkę, nierówny krzyż z baretką, pokolorował na czerwono i zielono. Stał na stołku. Wuj zbliżył się. Jaon szpilką przyczepił order do

kłapy garnituru. Potem wuj podał Jaonikowi płaszczyk, zajrzeli do kuchni, by się pożegnać i wyszli. Szli trzymając się za ręce. Na ulicy przechodnie przyglądali się mężczyźnie udekorowanemu tekturowym orderem, prowadzącemu chłopca. W Łazienkach poszli do pawii. Jakaś młodzianka pani w małym kapelusiku z woalką przyglądała się pawiovi.

- Pokazał, jaki jest piękny - zwrócił się wuj do niej.

- Czy to ładnie odzywać się do nieznajomej? - skarciła go niezbyt groźnie. Po chwili zrobiło jej się żal ostrych, jak jej się wydawało, słów i powiedziała. - Pan sam wyprowadza chłopczyka na spacer?

- Z wielu różnych względów - powiedział smutnie wuj, udając że jest ojcem Jaona i to osamotnionym.

- Nie widziałam pana, choć przychodzę co dzień o tej porze - odezwała się nieznajoma i odeszła.

W domu Maniunia i Dziurzyna otworzyły im radosne i roześmiane. Wuj poprosił, by zajęły się Jaonem i wszedł do gabinetu. Maniunia i Dziurzyna stały smutne. Dziurzyna próbowała pocałować Jaona, ale Maniunia odciągnęła ją:

- Pani nie pozwala! Na tobie są zarazki.

- Miasto jest smutne - pożałowała się Dziurzyna. - Jakaś nuda ogarnia.

- Ja się nie nudzę - powiedziała Maniunia.

- Ja też - wtórował jej Jaon. - Nigdy!

- Bo ty ciągle się bawisz - odrzekła Dziurzyna.

- Ciotko Dziurzyno - odezwała się Maniunia - w mieście dzieciom za całą pracę jest zabawa. Przebierają lalki.

- Ja się lalkami nie bawię - oburzył się Jaon.
- Paniczu Jaonie - odezwała się Dziurzynna - nie ma o co się gniewać, lalka czy miś, co za różnica? Maniunia nie miała lalki i Jaon jest jej pierwszą lalczką.
- Zróbcie taką samą jak ja! - wykrzyknął Jaon.
- Można by takiego Jaonika zszyć z poduszek - odezwała się Dziurzynna.
- Zróbcie, zróbcie! - prosił Jaon. - Zróbcie mnie!
- Pani się nie będzie gniewać? - zastanawiała się Maniunia.
- A co, coś by? - zdziwiła się Dziurzynna.
- A, że to grzech - odrzekła Maniunia.
- Jak nie chce ci się czego robić, zaraz mówisz, że to grzech. Bacz, byś nie zgrzeszyła naprawdę.
- Zróbcie, zróbcie! - błagał Jaon. - Chcę mieć siebie! Siebie! Siebie! - i podskakiwał wokół służących.
- Trzeba by poduszek z wielkiego pokoju - oponowała Maniunia.
- Pójdziemy tam na paluszkach i po cichu, nie wydając głosu, weźmiemy - zapalała się Dziurzynna. - Pani nawet nie będzie wiedziała, że ktokolwiek jest w pokoju. A potem uszyjemy lalkę.
- Ciociu Dziurzyno, przy Jaoniku ciocia staje się jak dziecko. Pierwsza ruszyła Dziurzynna, za nią Jaon, za nim Maniunia. Gdy pochód dotarł, skradając się, do wielkiego pokoju, potrzebna była nowa wyprawa, po igły i nici do pokoju Jaona. Tam spała matka. Dziurzynna pokazała, jak otwiera się bezszelestnie drzwi. Była doświadczoną służącą, Jaon wszedł do ciemnego wnętrza jak duch. Spojrzał na matkę i zdrętwiał z przerażenia. Leżała na wznak z otwartymi ustami, nieruchoma, nie wydając dźwięku. Znieruchomiał i czekał, że coś jeszcze się wyjaśni, że matka poruszy się, zawoła go, coś powie. Położyła się, bo umierała. Nic mu nie powiedziała. Nie pożegnała się. Zostawiła go. Teraz na zawsze zostanie sam. Zapomniał o ojcu.
Matka krzyknęła:
- Kto tu? - Zerwała się zobaczywszy Jaona. - Miałam smutny sen.
- Że umarłaś? - spytał Jaon.
Matka zerwała się:
- Jak możesz tak mówić, bezlitosny chłopczyno.
- Mamo, mogę dla Maniuni i Dziurzyny wziąć nici?
- Coś raczą zacerować? To weź, Jaoniku i idź. Ja muszę mieć jeden dzień spokój od ciebie. Muszę wypocząć, jak po ciężkiej pracy, po tobie.
Jaon wziął pudło z szyciem i zaraz Dziurzynna zawróciła go jeszcze raz po jego rzeczy. Kazała mu wziąć ubranie, pończochy.
- Niedobre, niedobre dziecko - powiedziała matka, gdy zobaczyła, że Jaon znów wchodzi.
Bał się, że zwróci uwagę na to, co bierze. Wybrał swoje marynarskie ubranko. Dziurzynna go pochwaliła. Już dwie poduszki były zeszyte grubym ścięciem, tworzyły tułów Jaona.
- Tak Pan Bóg tworzył człowieka - szepnęła Dziurzynna.
Z małych wałków kanapy zrobiono nogi, a ręce powstały przez wypchanie rękawów szmatami. Jaon stał się większy niż w

rzeczywistości, starszy, potężny, krótkoręki. Zamiast twarzy widniała wypukłość poduszki z deseniem w czerwone i zielone jodły, tworząc fizjonomię pyzată, zarozumiałą i pustą. Przyszyły do twarzy czapkę marynarską. Nowy Jaon nie mógł stać.

- Bliźniak Jaona! - zawołała Dziurzyną, ale Maniunia zatkała jej usta.

- Wyrzucimy tego Jaona z balkonu - powiedział Jaon.

- Jak ja bym panicza Jaona zabiła, gdybym mogła - wyszeptala Dziurzyną.

- Ciociu, nie zniosę widoku, że coś leci z piętra - szeptała Maniunia przerażona. - Ja umrę. Odkąd nastałam tu, wyglądam, czy ktoś nie wypada z okna.

- Zróbmy przyjemność paniczowi Jaonowi - prosiła Dziurzyną.

- Zróbcie mi przyjemność - błagał Jaon obie.

- Ale ty, ciociu Dziurzyno, po niego zejdziesz na dół, żeby kto nie ukradł go.

- Zaraz polecę. I będę płakać, rozpaczać - powiedziała Dziurzyną.

- I ja! I ja! - szeptał Jaon.

- Nie będziesz mógł się pokazać - skarciła go Dziurzyną - bo przestaną wierzyć, że wypadłeś.

- Będą płakali przeze mnie? - dopytywał się Jaon.

- Będzie rozpacz - wahała się Maniunia - na całym podwórzu.

- Zobaczysz, jak się leci - namawiała ją Dziurzyną.

A niech to! - machnęła ręką. - Przecież Jaonikowi nic się nie stanie?

- Jaonik, żeby widzieć, musi wyjść na balkon na czworakach, położyć się na płask i wysunąć głowę przez balustradę. Ja muszę słyszeć, jak ludzie będą krzyczeć, więc ja schowam się za drzwi. Maniunia niby nieuważnie odwróci się od dziecka i wtedy wypchnie kukłę.

Jaon zaczął się czuć tak, jakby to jego miano wyrzucić z balkonu.

Gdy kładł się na kocu podłożonym przez Maniunię, wydawało mu się,

że balkon odrywa się i zaczyna lecieć w dół. Gdy obie służące weszły, balkon drgał lekko pod ich stopami. Żeby przepaść nie wdarła się i nie wciągnęła ich! Dziurzyną przypląszczyła go

szorstkim ruchem do balkonu. Wystawił głowę poza jego krawędź.

Wiało zimnym powietrzem, niżej ściany domu zwęzwały się, zbiegając się tam, gdzie była pomniejszona przestrzeń podwórka. Na klęczkach

kryjąca się Maniunia ziała w niego gorącym i niespokojnym

oddechem. Trzymała za nogi sztucznego Jaona i popychała go ku

balustradzie balkonu, a gdy się o nią oparł, zaczęła unosić go w

górze, aż pokazała się na zewnątrz balustrady głowa w marynarskiej

czapce, potem tułów i gdy wysunął się do połowy, przeraźliwy krzyk

rozległ się w przepaści podwórza. Wtedy pchnęła kukłę. Jaon zdążył

zauważyć, że rozruciła ręce, przekoziółkowała i upadła z

klapnięciem.

Teraz Jaonowi włosy stanęły dęba: a jeśli matka wyjrzy i zobaczy

go martwego na asfalcie! Poderwał się i skoczył do swojego pokoju.

Matka spała, tak samo na wznak, nieruchomo, cicho, groźnie, z

ustami otwartymi, jak do krzyku. Wrzaski na podwórku odciągnęły go

z powrotem. Służące uciekły z balkonu.

- Już go podnieśli! Odkryli, co to! - szeptały przerażone. - Co będzie? Chyba go niosą. Jaoniku - Dziurzyną zwróciła się do niego - to ty kazałeś nam wyrzucić. Powiesz tak - błagała i rozkazywała zarazem.

Zabrział dzwonek u drzwi, jeden, drugi, trzeci.

- Nie otwieramy. Pani nie usłyszysz w ostatnim pokoju - szeptała Dziurzyną.

- A co z rzeczami, które są na kukle? Otwieram - zdecydowała Maniunia i pobiegła do przedpokoju. Już walono pięścią w drzwi. Z pokoju Jaona zawołała matka:

- Czemu nie raczyście otworzyć? - i pojawiła się w szlafroku, rozgniewana. W tej samej chwili miała już ważniejszy powód do gniewu. Aż krzyknęła, gdy zobaczyła drugiego Jaona na rękach dozorca. Zerknęła szybko, czy nie śni, ale prawdziwy Jaon stał na środku wielkiego pokoju.

- Tak się nie robi! Pogotowie wezwano do pani Kąckiej! Jak ona umrze? Lokatorzy chcą państwa skarżyć do sądu. Właściciel wymawia państwu mieszkanie.

- Spokój! - krzyknęła na dozorcę matka. - Skąd pan ma kukłę w ubraniach mojego dziecka? Dlaczego pan tu wszedł? Proszę cofnąć się do przedpokoju.

Dozorca cisnął kukłę na podłogę, aż zachrząściła trawa morska w poduszkach, odwrócił się i wyszedł.

Matka wykrzyknęła:

- Zamknąć za nim drzwi! Nie wpuszczać do domu obcych. O karze dla was zdecyduje pan, jak wróci.

Rozległ się dzwonek. Maniunia, Dziurzyną i Jaon pobiegli do przedpokoju. Młoda kobieta w okularach chciała wejść. Maniunia zasłoniła sobą drzwi:

- Pani zakazała wpuszczać kogokolwiek.

- Jestem sekretarką pani Kąckiej. Zemdląła i dotąd nie odzyskała przytomności. Nawet nie wie, że ten chłopczyk żyje. To proszę przekazać pani domu. Do widzenia.

Wuj wyszedł z gabinetu dopiero, gdy ojciec wrócił. Matka powiedziała do ojca:

- Nie chciałam zatrwać ci obiadu, ale musisz wydać wyrok wobec trzech osób w tym domu, które zawiniły.

- Sędzia głodny będzie surowy - zauważył wuj.

- Julianno - odezwał się ojciec - błagam cię, cokolwiek się wydarzyło, rozwiąż tę sprawę we własnym zakresie. Nienawidzę spraw domowych. Nie jestem w stanie skupić na tym uwagi.

- Rudolfie, jak było?

- Usłyszałem potworny krzyk. Podbiegłem do okna...

- Rudolfie - powiedział ojciec - przerwij relację. Wszyscy żyjecie? Ty i Jaon wydajecie się rozbawieni? Tylko kobiety są przerażone. Jutro rano, jak mnie nie będzie, rozwiążecie sprawę, wydacie wyroki i przeprowadzicie egzekucję. Mnie o tym nie mówcie.

- Józefie, chodzi o to, czy pewne osoby pozostaną w naszym domu, a także o Jaona. Dla dzieci w jego wieku dzień to tyle, co dla nas

rok, a on w szczególności dotknięty jest brakiem poczucia, że czas istnieje.

- Dobrze. Porozmawiamy, jak wszyscy pójdą spać - odwlekał sprawę ojciec. - Mamy śmieszne zaproszenie od państwa Woynickich: Nika prosiła przez swojego ojca, by powiedział mi, że Jaon ma przynieść misie z wyjątkiem Karolci. Zaproszenie obejmuje także oczywiście Rudolfa.

- Józefie, czy zdajesz sobie sprawę, że wymieniałeś mnie jako zaproszonego po misiach? - z nieoczekiwaną goryczą powiedział wuj Rudolf.

- Ale nie zrobił przecież tego pan Woynicki! Nie wziął do serca, że nie byłeś obecny w czasie ich wizyty.

- Za wielka dysproporcja: ja i on. Przyjechałem, by odzyskać spokój. Obecność ludzi burzy go. Pan Woynicki widuje cię co dzień i może poznać twój garnitur.

- Do wizyty każę ci uszyć nowy.

- Jeśli będziecie nalegali, pojedę. Dom tam stoi opuszczony przez wszystkich.

- Jak chcesz Rudolffie - powiedział ojciec. - Są też szalenie ważne wiadomości polityczne.

Jaon wszystkimi siłami starał się nie usnąć, a jednak, mimo że tego dnia matka nie przyszła go uspić, zapadł nieoczekiwanie dla siebie w głęboki sen, w którym był pewien, że czyta gazetę, gdzie czerwony tytuł przez całą stronę obwieszcza: "Wybuchła wojna". "Więc ojciec będzie bohaterem" - pomyślał z dumą i zdał sobie sprawę, że to sen, nie ma wojny, jest pokój, a rodzice cichutko rozmawiają obok. Uczucie głębokiego szczęścia ogarnęło go i byłby znów usnął, gdyby nie usłyszał swojego imienia:

- ...tenor Jaona mnie męczy. Tak postępuje, by mu nic nie można było zarzucić. Jest grzeczno-niegrzeczny. Rudolf powiedział, że Jaon będzie adwokatem. Już jest szczwanym prawnikiem, znającym prawa tego domu. Nie łamie ich, tylko obchodzi. Potrafi rozłożyć morale dwu służących, nie ja, a on podporządkowuje je sobie. Stają się przy nim dziecinniejsze niż on. Czy Dziurzyną go lubi naprawdę? Wyrzucenie jego podobizny jest wieloznaczne.

- Ach, żono. Dziurzyną i jakakolwiek psychologia!

- Otóż nie. Patrz jak zalotnie wygląda. Podmalowuje się.

Rywalizuje z Maniunią o uwagę Rudolfa.

- Każ jej kupić bilet i wydal ją - Ona tam głoduje.

- Powiedz, że to ostatni wybryk.

- Zastania się poleceniem Jaona!

- Pragnie być zwolniona z jakiegokolwiek samodzielności, więc chętnie podda się dziecku.

- Martwi mnie pociąg Jaona do przepaści, jakby chciał instynktownie przełamać lęk.

- Zawdzięcza swój początek przepaściom! Gdybym nie wchodził w sztolnie kopalń, nie byłoby Jaona. On to czuje.

- On to nawet wie. Opowiedziałam mu.

- Zrozumiał?

- Tego nigdy nie jestem pewna.

- A zapamiętuje?

- Sądzę, że nawarstwia się w nim i kiedyś, gdy człowiek tak dokładnie przypomina sobie przeszłość, stanie mu to przed oczyma.

- Wiesz, jaki moment przeraził ojca? Jechał dorożką, zobaczył zbiegowisko. "Co się stało?" - pyta. - "Jakiś szaleniec wszedł na piec hutniczy". W tłumie mówiono, że "jeśli nie dostanie pracy, rzuci się w dół". Ojca coś tknęło.

Ktoś z gapiów miał teatralną lornetkę, dał ojcu i ojciec poznał mnie. Wszystko zawisło na włosku. Przecież ojciec mógł nie pić szampana, nie zwierzyć się wtedy w łazience dyrektorowi Czyżkowskiemu. Doznał niewytłumaczalnej potrzeby powiedzenia mu o swoim zmartwieniu. Gdyby tego dnia oprowadzał go kto inny, albo pan Czyżkowski nie wzbudził jego zaufania? Albo doradził mu kurort w Niemczech?

- Jaka jest przepaść? - spytała matka.

- Widzisz ją, patrząc w niebo. Tam masz miliony kilometrów, ale tego nie czujesz.

- Gdybym nie miała nadmiernie wrażliwego sumienia, co zarzucał mi spowiednik, nie przysłabym na plebanię - wróciła do tematu matka Jaona. - Przychodzi też mi myśl, że Czyżkowski miał dwie ładne córki. U nas tak bezgranicznie nie było nikogo interesującego. Może Czyżkowski wysłał was w swoje strony w nadziei, że ty, albo Hieronim, albo obaj, pożenicie się z jego córkami?

- Po przyjeździe złożyliśmy tam wizytę.

- Już nie umiem sobie wyobrazić nieistnienia Jaona. Jakby istniał zawsze, odkąd cokolwiek pamiętam, jeszcze przed moim urodzeniem.

- Jednak opierał się. Czuł obawę przed nieznanym? - spytał ojciec.

- Można czuć większy strach przed urodzeniem niż przed śmiercią. Szalony, obłądny tryumf, gdy wszedłem na wielki piec po idących na zewnątrz rurach, belkach, wiązaniach, zmylił mnie. Byłem czerwony od rdzy. Myślałem, że lęk przestrzeni jest wysublimowanym lękiem przed życiem. Gdy ostatecznie go pokonałem, usłuchałem ojca. Zgodziłem się wyjechać na lotnisko w wasze strony, które - sądziłem - są nudne i bez znaczenia, i dlatego nie zbuntowałem się przeciw rozkazowi w 1920 roku.

- O czymkolwiek byśmy nie mówili, zawsze wrócisz do tego. Wiem, że marzysz silniej niż małe dziecko, by była wojna. I ja, twoja żona pozwalałam ci zostawić nas i walczyć, ale nie po to, by wymazać z pamięci rozkaz generała Sosnkowskiego. Posłuszeństwo było bohaterstwem.

- Nigdy jeszcze nikt nie dostał tak wielkiego dowodu miłości - powiedział ojciec i zaszlochał. - Możesz oddać mi pistolet.

- Nie jest ukryty. Jest w jednej z moich torebek, tej dużej, marszczonej, zielonej. Nigdy nie uwierzyłam, że mając syna, byłbyś zdolny odebrać mu odwagę.

- Nie chcę, by Jaon cierpiał na lęk wysokości. Co do wojny, dowiemy się. W banku dyrektorzy korzystają z usług astrologa. Trzeba mu wypisać pewne dane. Potem przychodzi i mówi horoskopy. Jest bardzo kosztowny. Wolałbym teraz poplotkować. Czy mi się zdaje, czy Rudolf zamyka się, bo nakazuje sobie nie zawiadomić

pani Leny, że jest.

- Rudolf nie jest beztroski, jak dawniej.

- Przychodzi mi na myśl, że i tak byśmy się poznali, tylko dopiero trzy lata potem, w Krakowie, w 1914. Pamiętasz, u Łaszczów na przyjęciu zastaliśmy zarówno twojego brata Hieronima, jak mojego brata Rudolfa. Oni by się wtedy poznali, a potem my przez nich.

- Musielibyśmy się może rozwodzić, albo ty byłabyś zakonnica. Lub bez naszego małżeństwa wydarzenia dla Hieronima i Rudolfa ułożyłyby się inaczej i ominęłyby choćby jednego z nich przyjęcie u Łaszczów...

Po tych słowach Jaon usnął. Obudziły go głosy z wielkiego pokoju. Było rano, w wielkim pokoju płakały Dziurzyna i Maniunia. Usłyszał głos matki:

- O, chyba Jaon się obudził! Jaon proszę tu natychmiast przyjść!

Jaon w koszuli nocnej wybiegł do wielkiego pokoju. Maniunia i Dziurzyna stały przy drzwiach do przedpokoju.

- Stań przy nich - rozkazała matka. - Dlaczego kazałeś im wyrzucić swoją podobiznę?

- Chciałem, bym leciał - odrzekł Jaon. - Chciałem patrzeć, jak leci. Ale on za szybko poleciał.

- A więc, Maniuni wytrącam pięć złotych z pensji. Dziurzynę ostrzegam, że po następnym wykroczeniu odeślę ją do domu. Jaonowi wymierzę trzy uderzenia pasem. Za następnym wybrykiem będą uderzenia dodatkowe. Pięć, sześć, siedem. Rozważam, czy zabrać go pojutrze do państwa Woynickich. Proszę nie wychodzić do kuchni - krzyknęła na służące - egzekucja odbędzie się w obecności współwinnych. Maniunia i Dziurzyna odpowiadają za ból, który będę musiała zadać dziecku. Jaon, proszę przynieść pas.

- Niech pani mnie zbije za Jaona - powiedziała Maniunia.

- Cisza! - krzyknęła matka.

Jaon wrócił z pasem.

- Zadrzyj koszulę - powiedziała matka. Trzy razy chlasnęła go mocno i rozpłakała się.

- Wszyscy wyjść; wy do kuchni, a potem Maniunia pójdzie do mieszkania pani Kąckiej dowiedzieć się o jej zdrowie. Opowie tam, jak było. Jaon - do swojego pokoju! - Opanowała łzy.

Jaon wszedłszy zobaczył oczko Karolci, wytrzeszczone, smutne, wbite w niego.

- Karolciu! Tylko ty mnie żałujesz. A taki jestem niedobry dla ciebie.

Przytulił misia. Całował go, przeproszał. Futerko pachniało kurzem, było delikatne w dotyku. Uniósł łapki misia w górę i wyciągniętymi objął sobie szyję.

Zapukała Maniunia, wołając go przez drzwi na śniadanie. Dlaczego nie otworzyła? Wstydziła się, że widziała jego chłostę? Jego nadmierna powaga kazała jej zapomnieć, że nie jest dorosłym? Matki w wielkim pokoju nie było. Jaona obsługiwała Maniunia. Byli sami. Byli smutni i nie odzywali się do siebie. Wreszcie Jaon powiedział:

- Czy mama zbiłaby cię pasem?

- Dorosłych nie bije się pasem.

- Biedna Maniunia! - pocałował jej Jaon, chwycił za rękę, przytrzymał i przytulił do siebie. Maniunia przyciągnęła jego dłoń i ukradkiem, szybko pocałowała.

Jaon pociągnął ją za rękę, jej twarz znalazła się na wysokości jego twarzy i Jaon pocałował Maniunię, trafiając w kącik ust.

Maniunia ledwo dotykając wargami oddała pocałunek, a potem pocałowała Jaona równie lekko, aż łaskotając, jeszcze trzy razy w środek ust i za chwilę udzieliła mu jeszcze jednego, najdłuższego, najśłodszeo, najrozkoszniejszego pocałunku. Jaon zamknął oczy, ale już nic nie nastąpiło, więc je otworzył.

- Jaonikowi całować wolno tylko mamusię - powiedziała Maniunia. - Pani mnie wyrzuci. Ach, paniczu, kto mnie będzie całował, jak wrócę do siebie?

Sprzątała z hałasem po śniadaniu i wyszła. Przez ścianę słycać było, że wuj Rudolf chodzi tam i z powrotem po gabinecie. Przestał zabierać Jaona na spacer. Nawet kolację jadł w pokoju. Jaon nie widział go od wczoraj rana. Nawet nie otworzył drzwi matce, słycać było, jak przez drzwi matka namawia go, by z nimi wyszedł na zakupy i spacer.

Jaon prześlizgnął się pod jej ramieniem i wołał do dziurki od klucza:

- Wuju Rudolfie, chodźmy do pawi, tam będzie pani, co powiedziała, że codziennie przychodzi. Do pawi! Do pawi!

Wyszli sami. Żebrak był tam, gdzie zawsze, jak kamień, który nigdy się nie rusza. Posłańcy tkwili na ławeczce za restauracją.

Pułkownicy i majorowie z akselbantami przy orderach wyszli z ulicy Szóstego Sierpnia, gdzie było Ministerstwo Spraw Wojskowych i gdzie w tych dniach miał być jego ojciec w ważnych sprawach. Jakiś pan na koniu, w długich butach, jechał konno wśród samochodów.

Pani Łatyńska, zobaczywszy matkę Jaona, Jaona i służące, znów wybiegła przed sklep:

- Nie ukrywam. Jest źle. Kryzys nas przygniata. Gra nas ocali. Mały chłopczyk będzie grał?

- Nię chcę, by budziła się w nim żyłka hazardu - odpowiedziała matka. - Poza tym muszę pani powiedzieć wprost: on nie znosi czekolady.

- Mamo, chcę wygrać! Chcę wygrać papugę.

Pani Łatyńska odeszła. Żałowała Jaonowi papugi.

- Chodźmy pod żywe papugi, do sklepu ze zwierzętami - powiedziała matka.

Chcę tej papugi - upierał się Jaon. - Mamo, kto jada papugi? Czy Murzyni? Czy mięso papugi jest smaczne? Czy orły je lubią?

- Szkoda robić papużce to, co zrobiono zajęczkom. Papużki chcą żyć. Żyją dłużej niż ludzie i po krukach są najinteligentniejszymi ptakami.

Ach, gdyby nie usunięto progu, by wózek Jaona łatwiej przeprowadzać z jego pokoju, jakże opuszczony, samotny, nic nie wiedzący byłby Jaon! Gdy po paru godzinach snu obudził się, w błysku świadomości ogarnął swoje życie, dobroć rodziców, ich

czuwanie, potęgę, która pozwala mu znów usnąć bezpiecznie.

Słyszał:

- To niepokojące. Jaona nie interesuje żywa papuga, tylko czekoladowa. Nie chce jej jeść, bo nie lubi czekolady. Chciałam pójść z nim pod prawdziwe papużki, gdzie jest parka kakadu, to nie chciał.

- Może czekoladowa wydaje mu się bardziej jego, podatna na jego fantazję, posłuszna jego pomysłom, więc bardziej żywa.

- To nie nasza wina, że pierwszym lasem w jakim był, to gdy chował się za choinką?

- Żono, wielkość dżungli to sprawa wyobraźni. Ja odwrotnie, uważam to za właściwe otoczenie dla rozwoju dziecka - powiedział ojciec.

- Ja wzrastałem w szalonym bałaganie. Ojciec ciągle telefonował, skupywał akcje, wyjeżdżał do Charbinu, Lizbony, popadał w depresje, gdy wydało mu się, że źle ulokował majątek i w euforie, gdy widział, że wygrywa.

- My byliśmy zwrócenii ku przeszłości, ku czasowi przed konfiskatami majątków. Wtedy było życie. To, co nas spotkało było cieniem, który ciągnie się za tamtym, co było. Dopiero kiedy ciebie poznałam, zaczęłam żyć. Rudolf też ma ciągle wrażenie, że się łudzi, że żyje. Jaon jest ofiarą zderzenia naszych rodzin, jak innych ras.

- On swoje życie wymyśla - przerwał ojciec beztrąsko. - Czasem wydaje mi się starcem zaklętym w dziecko.

- Nosicielem największych sił w mojej rodzinie była moja matka, a w twojej twój ojciec. Gdyby poznali się w młodości i mieli dzieci, te siły zderzyłyby się bezpośrednio, a nie poprzez nas.

- Bylibyśmy wtedy rodzeństwem. Straszny grzech by nas czekał. Powiem ci coś! Podejrzywałem mojego ojca, że zakochał się w twojej matce w chwili, gdy oświadczył się o ciebie w moim imieniu. Czy atmosfera naszej miłości tak na niego oddziaływała?

- Moja matka wtedy, była niewiele starsza ode mnie, teraz.

- Miała jaśniejszą cerę i ciemniejsze włosy niż ty. Ale była surowsza, nie miała tej słodczy wszechobjmującej całą osobę, aż po aureolę włosów.

- Umiesz pięknie o mnie mówić. Niepokoję się, czy nie za bardzo zajmujemy się sobą? A on? Obawiam się, że będziemy musieli zahamować ten jego dziki rozwój.

- A ty z obawy przed uszkodzeniem jego umysłu, chcesz go sama zatrzymać? Zahamować jego życie? Uciszyć go? Uśpić? Oszalałaś? - Trzeba cofnąć go do lat, ile liczy według metryki. Może zapłacić za to w przyszłości, dostać schizofrenii, raka mózgu, zapalenia opon mózgowych. Przebaczyć! Pewne jego odezwania, czyny, niepokoją mnie. Może ugodzimy się tak: pošlemy go wcześniej do szkoły, a od jesieni zaczniemy uczyć go francuskiego?

- A wakacje? Zniesiesz wspomnienia w waszym domu?

- Zniosę, bo chcę, by Jaon poczuł jego atmosferę. Meble stoją na dawnych miejscach, jakby moi rodzice dopiero wstali i wyszli na chwilę. Przez nasze rozmowy jesteś niewyspany.

- Ale jakie są cudowne. Są treścią życia.

Rodzice ucichli, a Jaon przeniósł się od razu w ranek. Obudziło go przypomnienie, że idzie do Niki. Zerwał się. Misie miały być pierwszy raz z wizytą. Rano zapomniał, co było w nocy.

- Karolciu, ty nie będziesz wzięta na wizytę - powiedział surowo Jaon do misia-dziewczynki.

Karolcia patrzyła smutno i zarazem hardo.

- Znowu jesteś niegrzeczna. Nie chcę cię na przyjęciu. Ech, bezczelna - rozłościł się Jaon i chwyciwszy Karolcię za głowę, wymierzył jej dwa silne klapsy.

Wzrok Karolci się nie zmienił i prowokował Jaona do dalszych kar.

- Jak nie przestaniesz, to ja ci pokażę! - pogroził Jaon. Ale wiedział, że na nic napominać Karolcię. Jej zaciętość, a przy tym jej wierność, oddanie, to że pocieszała go w najcięższych chwilach, drażniły go.

- Ja cię nauczę - wrzasnął i rzucił misiem o podłogę.

Coś zgrzytnęło, rozprysło się. Karolcia leżała brzuszkiem do ziemi za nogą łóżka Jaona. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Karolcia jest bardzo biedna. Dotknął jej czubkiem buta. Nie ruszała się.

Czy jej się coś nie stało? Może umarła? Podły dla misia, obrócił go nogą i krzyknął: Karolcia nie miała jednego oczka! To wyzywające, niegrzeczne oczko, było stłuczone. W miejscu gdzie było, widniał miedziany sztyfcik, jak obnażony nerw wzrokowy. By oczko lepiej się trzymało, był rozwidlony. W rozwidleniu widniał okrusek brązowego szkła. Biedny nieszczęsny paciorek jej oczka! Musiała uderzyć nim o nogę łóżka. Ślepy miś! Miś, który go najbardziej kochał i którego on najbardziej kochał. Oślepił, oślepił ukochanego misia! Za to, że i tak go nie brał na przyjęcie? Misiu, misiu, misiátko, Karolciu - tulił ją do siebie, ale było za późno.

- Coś sobie zrobisz? - wpadła matka. - Nie! Nie! On się tak bawi, że aż jęczy! - gniewała się matka.

Jaon pokazał misia:

- Ona nie widzi nic!

- Ależ Jaoniku, widzi na jedno oczko, upewniam cię. Wstawimy jej nowe oczko. Pan w sklepie z zabawkami to potrafi. To chirurg misiów. Zrobi operację.

- Skąd weźmie oczko?

- W sklepie z zabawkami mają oczka.

- Chodźmy zaraz. Zatelefonujemy ze sklepu do Niki, by pozwoliła mi ją wziąć na wizytę. Nie zostawię jej samej.

- Naprawdę chcesz dzwonić w tej sprawie? Nie pomyślisz, że państwo Woyniccy będą zdziwieni takim telefonem?

Po chwili byli już na ulicy. Sklep, gdzie wuj Rudolf kupił Jaonowi wojsko, tylko w połowie był pełen zabawek. Druga połowa była poważna, przeznaczona dla dorosłych. Sprzedawano tam szczotki, froterki i wycieraczki do nóg. Jeden pan obsługiwał obie części. Wziął misia w rękę, sięgnął pod ladę, wyjął obcęgi i wyrwał sztyfcik pozostały po oku. Potem z półeczki za sobą wziął tekturowe pudełko pełne oczek na sztyfcikach i zaczął dopasowywać do oczka Karolci. Ale takiego, brązowo-czarnego nie było. Jaon

zaczął znów rozpaczać, ale nie okazał tego.

- Albo wstawimy misiowi takie jakie jest i będzie miał dwa różne oczka, albo wyrwiemy mu to, co ma i wstawimy oba jednakowe.

- Nie wyrywać! - krzyknął Jaon.

Pan kiwnął głową i jednym, wprawnym ruchem wsunął sztyfcik z nowym szkiełkiem. Różnie teraz patrzyły jej oczka: jedno, jak dawniej wyzywająco, drugie - żałośnie.

Nika powitała go w progu, ubrana w białą, bardzo krótką, według ostatniej mody dziecięcej, sukienkę. Na obu rękach miała dwie lalki, ubrane tak samo jak ona. Jaon przypomniał lalkom misie, że znają się z wizyty u nich. Karolcię miał w kieszeni kurteczki.

Wyglądała, jak z kieszeni kangura.

- Laleczki! Misie przyszły w odwiedziny! - powiedziała Nika.

Jaon i Nika nie przywitali się. Tego ceremoniału dopełnili za nich ulubieńcy.

- Eulalio i Wirginio wprowadźcie gości - mówiła Nika przejęta. Nie dostrzegając Jaona, przenosząc całą swoją uwagę na jego misie.

- Jaonie, chcesz by twój Niedźwiedź Biały ożenił się z moją lalką Eulalią? Urządźmy im ślub. Drużbami będą Wirginia i Niedźwiedź Brązowy. Potem im też urządzimy ślub. My jesteśmy rodzicami państwa młodych.

To mogłaby być najradośniejsza wiadomość jaką słyszał Jaon w życiu. Chciał zapytać: - "Skoro jesteśmy ich rodzicami, to jestem twoim mężem, czyli kochasz mnie?" - ale bał się gniewu pana Woynickiego. Nika mogła mu powtórzyć. Skutkiem byłoby wyproszenie jego i jego rodziców z przyjęcia i usunięcie ojca z banku. Jedyną istotą, której bał się Jaon na świecie był pan Woynicki, jako ojca Niki, zwierzchnika i przyjaciela ojca. Nika stawiała się przez to jeszcze bardziej niedostępna i upragniona.

Tymczasem panna młoda była goła. Czy Nika jest równie naga pod sukienkami? Nika nacierała ją puszką od pudru swojej mamy.

Wonności były prawdziwe i Nika pachniała heliotropem. Z szufladki, gdzie leżały jej kokardy, wyjęła białą, najszerszą, błyszczącą taką, jaką sama miała we włosach, rozwinęła ją i związała rękę misia Niedźwiedzia Białego i lalki Eulalii.

- Już są małżeństwem - oznajmiła Nika. - Teraz mogą się ucałować.

- Przytknęła pyszczek misia do wyrzeźbionych w ebonicie usteczek Eulalii. - Będą spali w jednym pokoju - objaśniła Nika - i w jednym łóżku. Położyła poduszkę na ziemi i ułożyła obok siebie misia i Eulalię. Teraz dopiero było widać do jakiego stopnia Eulalia przewyższała wielkością misia.

- Już śpią. Nie będziemy im śpiewać kołysanki. Usną sami, bo nie są dziećmi.

Ich sen nie trwał dłużej niż minutę. Małżeństwo wstało i okazało się, że ma już dziecko. Była nim malutka laleczka Zyta. Grymasiła i Nika musiała za nią płakać. Wydawało się, że lalki są zmęczone zabawą, która dla nich była prawdziwym życiem. Wpadła pokojówka:

- Panienska Nika płacze? Państwo proszą dzieci do stołu.

Gdy weszli, pani Woynicka spojrzała badawczo, ale nic nie powiedziała.

- Pamięta pan, panie Józefie - mówił pan Woynicki - jak milioner Kiński klęknął przed panem? Jako pośrednicy między tłumem, który nie zastanawia się skąd biorą się towary, a anonimowym tajnym kapitałem, wiemy jak ogromne napięcie rodzi pieniądź. Teraz mamy godnego przeciwnika, który chce użyć w walce naszej własnej siły, by nas obalić. Spółka "Vaucaire", nie okazując obrazy wobec pana Józefa, proponuje bankowi udział i zmianę nazwy koncernu na "Vaucaire-Silesia". Wiedzą skądś, że rząd ma w naszym banku największy pakiet. Rządowi musimy ulec. Teraz, gdy jest za późno, prezes jest po naszej stronie. Serce banku, wydział długoterminowy, będzie zablokowane taką sumą na lata. Co z tego, że rząd będzie gwarantem? A pan, panie Józefie otrzymuje niewykonalne zadanie. Książę Hohenlingen z Lublińca wystąpił o ogromną pożyczkę. To wspaniały klucz majątków, są podstawy, ale to Niemiec. Jesteśmy na tyle wolni, by dawać wolność tym, którzy ją nam chcą zabrać.

- Nika była niedawno u ojca w banku - przerwała pani Woynicka. - Patrzy na kasy z marmuru i pyta mojego męża: - "Tatku, a gdzie sprzedaje się pieniądze?" - Nigdy nie widziała w banku pieniędzy. - Raz odbierali gotówkę - odezwał się pan Woynicki. - Był policjant

w cywilu i wynajęty detektyw. To by podobało się Jaonowi.

- Jaon - krzyknęła matka Jaona. - Widzisz jaką masz opinię?

- Jest wzorowy! Dajemy go za przykład Nice. Byliśmy na ślubie naszej dawnej pokojówki. Nika była bardziej przejęta niż panna młoda. Co w takim mózdzku się kryje? - odwracała uwagę od Jaona pani Woynicka. - Czy nasze dzieci będą się znały, kiedy będą dorosłe, czy los je oddali?

- Ach, przeniknąć przyszłość, zobaczyć Jaona i Nikę - powiedziała szeptem matka Jaona do pani Woynickiej.

- Jak intensywne jest ich życie. Ja nie mogę temu sprostać - poskarżyła się szeptem pani Woynicka.

- Jaon miał swój język, teraz ma swoje pismo. Nazywa je lwim pismem. Jego ulubionymi zwierzętami są lwy, orły, wymyślone przez niego orłolwy, jako niepoważne, latające siostry małp, nie wiem dlaczego papugi. Może państwa ubawi, że pierwszym, co napisał było...

- Mamo, nie mów! - wrzasnął Jaon.

- Synu. Nie przerywaj. Nie wydawaj mi poleceń. Nie krzycz!

- Nie pozwolę ci powiedzieć!

- Może nie mówić, jak go to zawstydza? - spytała pani Woynicka.

- Pierwsze, co napisał w życiu Jaon - odezwała się matka - to było imię i nazwisko jego najulubiejszej przyjaciółki, Niki.

Pani Woynicka klasnęła w ręce z radością.

- Czyli brzmiało Akin! - zawołał pan Woynicki.

- Akin Akcinyow - uzupełnił Jaon.

- Jestem Akin! Jestem murzyńską księżniczką! - Nika zerwała się z krzesła, zbliżyła się do Jaona i pocałowała go w policzek.

Ten pocałunek był chłodny, jak księżycowa była cera i buzia Niki.

Jaon poczuł, że Nika nie kocha go. Zarazem skądś wiedział, że nie

kocha nikogo, bo jej dziecinny mózdzek nie zna miłości, nie wie, że miłość istnieje. Jest za mała, za dziecinna, by móc kochać, albo pozostanie taka i nie dowie się o miłości, i nie pozna jej, nawet gdy będzie dorosła.

- Bałam się, czy dzieci się polubią - powiedziała pani Woynicka.

- Może źle, że ich przyjaźń jest dziełem ich rodziców i wszystko w ich życiu jest przez nas tworzone? - odrzekła matka Jaona.

Nazajutrz rano Maniunia wkładała Jaonowi fartuszek, gdy wuj Rudolf wszedł ubrany jak do wyjścia, z kapeluszem w rękę i walizką.

- Wyjeżdżam - powiedział. - Przygotuję dom. Każę obelić pokoje.

Wy wyruszajcie za tydzień. Józef przyjedzie, gdy dostanie urlop.

Ja nie będę wam siedział na głowie - wuj spieszył się i dodał. -

Narcyzy zakwitną lada dzień. Szkoda, by Jaon tego nie zobaczył.

Niech pobędzie tam z pół roku. Jest blady.

Wuj używał, jak oni wszyscy, którzy dobrze się znali od dawna, słowa "tam" na określenie miejscowości, gdzie wydarzyły się wszystkie najważniejsze rzeczy, nim urodził się Jaon i oni wszyscy wiedzieli gdzie ta odrębna kraina jest. Wuj nie pocałował się z matką Jaona, złożył głęboki ukłon, chwycił walizkę i odszedł. Tego popołudnia ojciec przyniósł wiadomość, że państwo Woyniccy też wyjeżdżają w najbliższych dniach i rewizytę u rodziców Jaona przenosi się na jesień.

Przygotowania do wyjazdu ojciec nazwał "szykowaniem się na wyprawę w głąb Afryki". Z pawlacza w drugim przedpokoju służące ściągnęły wiklinowy kosz, do którego Jaon zaraz się schował i przemieszkał w nim cały dzień. Nie wiedziano, że tam jest i dorzucano nowe rzeczy, aż Jaon zaczął się dusić. Namaszczono walizy pastą do butów i kufer dziadka Jaona, z którym przejechał Daleki Wschód, aż do Charbinu, naładowano do pełna.

Był wieczór. Cudownie było nie kłaść się spać, tylko wychodzić z domu o zmroku. Trzema dorożkami pojechali na dworzec. W pierwszej siedzieli matka, ojciec i Jaon, w drugiej - Dziurzyną z częścią bagaży, w trzeciej - Maniunia z koszem. Tłum tragarzy rzucił się do nich i porwał rzeczy. Wśród nich Żyd, olbrzym, w zatłuszczonej jarmułce, górował nad wszystkimi i sam niósł kosz na głowie. Gdy matka mu płaciła, Żyd powiedział:

- Bóg katolicki - Jezus, panią wynagrodzi i żydowski - Jahwe, że wzięła pani żydowskiego tragarza.

- Biorę, kogo mi się podoba - odrzekła matka.

- Miecz wisi nad naszym narodem - powiedział tragarz i odszedł.

Teraz rozdzielili się. Kosz i kufer umieszczono w wagonie bagażowym. Maniunia i Dziurzyną usiadły w trzeciej klasie, ojciec, który ich odwoził miał drugą klasę, a matkę z Jaonem usadowił w przedziale pierwszej klasy, jedynym w lokalnym pociągu. Nikt poza nimi tu nie jechał.

- Mamo, jakie przygody miał dziadek, gdy jechał z kufrem przez różne kraje? - dopytywał się Jaon.

- W Chinach pociąg zatrzymali bandyci. Dziadek wsunął pieniądze w książkę, którą czytał w drodze. Na nią ciemni bandyci nie spojrzeli.

Zabrali mu złoty zegarek i trochę drobnych.

Jaon budził się, gdy zatrzymywali się na stacjach, tak małych i cichych, że słychać było chrzęst żwiru pod stopami podróżnych idących peronem. Na jednej stacyjce ktoś krzyknął: - "Co to za stacja?" - aż echo niesło jego głos. Nikt mu nie odpowiedział.

Pociąg jechał jednym torem, czekał na mijankach, gdzie długo, tęsknie gwizdał, wołając pociąg, który miał przepuścić.

O świcie matka zbudziła Jaona i zaraz w oknie wagonu ukazał się wuj Rudolf z zawiadowcą stacji. Matka otworzyła okno. Wuj mówił:

- Dokąd się nie wyładujemy, pan będzie trzymał pociąg.

Byli jedynymi pasażerami, którzy tu wysiedli. Przed budynkiem stacji czekał powóz i furmanka. Woźnice znosili tam bagaże. Także Jaona trzeba było nieść, tak był rozespany. Wypadło to na Maniunię, która stękała:

- Paniczysko zrobiło się ciężkie! Olbrzymieje! To już chłop!

Gdy rzuciła go jak pakunek na tylne siedzenie, poczuł zapach upręży, wilgotnego obroku i końskiego moczu. Bieg staroświeckiego pojazdu był lekki i cichy. Staczali się w dół, ale gdzie, nie wiadomo. Wszystko zakrywała mgła. Tam, gdzieś wewnątrz niej, było to miasteczko, w którym Jaon już był, nim zaczęła się jego pamięć i o którym ciągle mówiono. Światło przenikało mgłę od wschodu, czyniąc ją coraz bardziej różową i promienistą. Jechali koło ogrodów, bo silnie pachniały kwiaty. Wysoko, pewnie na wielkich, niewidocznych we mgle drzewach budziły się ptaki i zaczynały śpiewać. Poczuli woń wierzb, pod kopytami konia zadudnił most. W głębi tego światła, tajemniczy, odezwał się dzwon. Matka przeżegnała się. Podwójnie nieznana, bo niewidzialna, zakryta przed jego oczyma, wydawała się Jaonowi okolica.

- Mamo, gdzie my jesteśmy?

- Zobaczysz, jak podniesie się mgła. Za nią są góry.

- Mamo, przyjechaliśmy tu na zawsze?

- Nie.

- Będziemy tu mieszkali?

- Nie. Tu mieszkała twoja babcia, która raz cię widziała i bardzo pokochała.

Wszystko to było gdzieś w głębi, pod nimi, bo ciągle jechali w dół, trochę, jak oślepieni, nie widząc, co pod tym wszystkim się kryje, co się wyłoni. Mgła opadała, szeleściły krople na liściach. Pierwszy promień, gdzieś z bardzo daleka, przebił się, ukazując swój kształt podobny do pomarańczowej strzały.

Woźnica zatrzymał powóz. Ukazał się zarys jakiejś budowli i niebotycznych drzew. Wuj zeskoczył, otworzył bramę i powoli, zakręcając wtoczyli się. Wuj już był z powrotem przed nimi z drewnianym talerzem, na którym trzymał ogromny bochen chleba i kryształową solniczkę. Wuj Rudolf przyklęknął na jedno kolano:

- Chlebem i solą...

Zza niego wyszli jeszcze jacyś ludzie.

- To dzierżawcy, wstali, by was przywitać - powiedział wuj Rudolf.

- Mają trochę dzieci, ale one jeszcze śpią.

Dzierżawczyni chciała pocałować matkę Jaona w rękę, ale matka

wyrwała dłoń i ucałowała kobietę w czoło. Zimno skłoniły się sobie dzierzawczynie z Dziurzyną i Maniunią.

- O, krowa wysła państwa witać - zawołała dzierzawczynie i zatrzymała ją za łańcuch. - Mały panicz będzie pił codziennie twoje mleko - powiedziała i pogładziła krowę po głowie.

- Nie wspomniałem ci o dzierzawcach, bo zapomniałem - powiedział wuj Rudolf. - Mieszkają w przybudówce. Gdy tu jestem, żywią mnie mlekiem i ziemniakami.

Mgła nie tylko nie podniosła się, ale zgęstniała, ściemniała. Po gęstych, wielkich, ciemnozielonych liściach zaczęły spływać krople deszczu. Jaonowi pozwolono przebiec przez ogród. Ziemia klombów, świeżo skopana, w obramowaniu murawy lśniła brunatnie. Wydawało się, że chmury i ciemna ziemia wysysają światło. Jedyne jego źródłem, o białej, przeraźliwej jasności były rabaty narcyzów.

Gdyby umiał liczyć powiedziałby, że jest ich miliony. Pobiegł do nich i wahał je, aż do oszołomienia zapachem. Za nim szła matka, patrzyła na wszystko. Podniosła oczy ku ogromnym pochylonym od wiatru drzewom.

- Zaraz zrobimy żniwa narcyzowe - odezwał się wuj. - Będziemy mieli bukiety wszędzie, w każdym miejscu. Nie ruszałem nic, byście zobaczyli kwiaty w całej ich potędze.

Wchodzili powoli na ganek. Sień była ciemna. Gdyby Jaon był mniej odważny, bałby się tego domu. Trzeba było przestąpić wysoki próg, by wejść do pokoju, który lśnił politurą mebli. Było tu mroczno.

Białe ściany kontrastowały z ciemnymi meblami. Okna były otwarte na oścież. Lekko powiewały firanki. Zapach kwiatów łączył się z wonią stęchlizny starego domu, zwietrzałych perfum. Fortepian był otwarty. Jaon zajął w nuty. Dotknął klawiszy i nim matka krzyknęła na niego, usłyszał głębokie brzmienie. Weszli przez niskie drzwi do następnego pokoju.

- To był pokój twojej matki - powiedziała matka do Jaona.

Sofa była okryta tureckim szalem. Lustro w złotych ramach miało rysę na krzyż. Jaon patrzył na swoje przekreślone odbicie:

- Kiedyś twoja matka nie spodobała się sobie - objaśniła matka Jaona i wyciągnęła ku niemu dłoń z pierścieniem, w który wprawiony był diament.

Mniejsze drzwi z mosiężną klamką, uchylone, ukazały zapadnięty pokój, o krzywej podłodze i okienko, do którego podbiegł Jaon. Było tak niskie, że widział przez nie zawężającą się perspektywę ogrodu, dwa zbiegające się w oddali rzędy ozdobnych, różowo kwitnących kwiatów. W pewnym, nieuchwytnym dla oka miejscu, może tam gdzie kończył się ogród, a zaczynały łąki, grunt podnosił się, zakrzywiał i przechodził w górę, która przesłaniała horyzont.

- Mój najdroższy widok świata. To, co widziała twoja babka wstając rano, gdy odchylała firankę i sprawdzała pogodę.

Cicho, za jej plecami stanął wuj Rudolf:

- Idąc na wojnę rozpaczałem, że nigdy już tego nie zobaczę. -

Zanucił:

- "Żegnaj domku rodzinny mój,

Ja idę w krwawy o wolność bój.

Idę na śmierć,
By sam ją nieść".

- Matka chciała za tobą jechać na front, by cię przywieźć z powrotem - odrzekła matka. - Za bardzo się kochamy w naszej rodzinie, przez to nie umiemy żyć z innymi ludźmi.

- Nie potrzebujemy nikogo poza nami.

Dalej szli przez dom. W jadalnym, na podręcznym stole do zakąsek była muszla, którą wuj przyłożył Jaonowi do ucha, by usłyszał szum morza w niej zaklęty; kancelaria dziadka, pokój wuja Rudolfa, zarośnięty kurzem, bo wuj przeniósł się do saloniku, kuchnia, gdzie kontrastowały ze sobą stoły wyszorowane do białości i stopy tac, rondelków, garnków, kotłów i kociołków z mosiądzu, wypucowane, aż czerwone. W oknie rozgałęzione konary dębu przypominały korzenie wczepione w glebę deszczowego nieba. Pokazywały się na nich blade listki.

- Wszystko jest, jak było - powiedziała matka i parę łez spłynęło jej po policzkach.

Weszła dzierzawczyni, Dziurzynka i Maniunia, każda ze snopem narcyzów.

- Zakwitły tarniny nad rowem - oznajmiła dzierzawczyni. -

Przyjechali państwo na zimne dni. Teraz takich będzie jedenaście.

- Dlaczego jedenaście?

- Bo tak jest, pani.

Ojciec żegnał się. Miał być odwieziony do węzłowej stacji na pociąg pospieszny, który odchodził za trzy godziny do Warszawy. Wuj go odprowadzał. Ojciec ucałował matkę i Jaona w czoło, a wuj, mimo że zaraz miał wrócić, zachowywał się, jakby odjeżdżał. Za chwilę powóz wytoczył się z podwórza.

Dzierzawczyni mówiła szeptem do matki:

- Pozwoli pani moim dzieciom bawić się z pani synkiem? To dzięki, niewychowane dzieci. Żeby mu czegoś nie zrobiły. Bo one już wstały i dopytują się o chłopczyka, co przyjechał z miasta. Cały dzień pasą krowy, barany i konia. Mogę je odesłać na pastwiska leśne, by nie przeszkadzały.

- Chcę je poznać - odpowiedziała matka Jaona. - To one wcześniej wstają?

- O pół do szóstej. Dzisiaj zbudziły się wcześniej, ale są w zamknięciu dokąd pani nie pozwoli ich wypuścić. Przedtem je myłam i czesałam.

- Niech wejdą - powiedziała matka.

Dzieci musiały stać za progiem, bo drzwi otworzyły się na oścież i jakby jakaś straszna siła, wrzuciła je do środka. Tak silnie się rozpychały i każde chciało znaleźć się w kuchni pierwsze, że mała dziewczynka straciła równowagę i musiała oprzeć się na rękach. Wszystkie były bose i wszystkie w rzeczach na wyrost. Dwaj chłopcy mieli krótkie spodenki do kolan, dziewczynka sukienkę do połowy ud. W jej włosach tkwiła cieniutka, złota wstążeczka, jakimi owijano pudła z czekoladkami. Kolor oczu wszystkich trojga był jednakowy, intensywnie niebieski, ale wyraz różny. Dziewczynka

młodsza od Jaona, przyglądała się Jaonowi tak, że aż je wytrzeszczała, rówieśnik Jaona patrzył na niego z ciekawością, starszy od niego chłopak - z zaczepnością i pogardą. Takiego spojrzenia Jaon dotąd nie spotkał.

- Przywitajcie się i podajcie sobie ręce - rozkazała matka Jaona. Jej głos nie miał tej pewności, co zawsze. Dwoje młodszych nie umiało podawać rąk i było z tym sporo kłopotu. Najstarszy z trójki nieoczekiwanie objął Jaona ramieniem i pocałował w usta. Jaon poczuł silne ramię, smak mleka i zapach słomy.

- Co ty robisz - krzyknęła dzierzawczyni i uderzyła syna ścierką w głowę.

Jaona przeraził cios i jego gwałtowność, a chłopak uskoczył i śmiał się, czy też udawał śmiech.

- Myślałem, że to dziewczynka - tłumaczył.

- Wyjdź! - krzyknęła dzierzawczyni.

Wyszedł, a ona powiedziała:

- On nie może spotykać się z paniczem. Zbuduje mu się szałas w lesie. Będziemy mieli na całe lato zwierzęta na dobrej łące.

Mniejsze dzieci będą mu zanosły jedzenie i mleko. Dla mnie lepiej, że pozbędę się go z domu. Lubi być sam w lesie. Zastawia pułapki na zwierzynę, będą mieli państwo dziczyznę.

- Czy to wolno?

- To pani nie wie? Łąka leśna jest pana Rudolfa i panina.

- To jeszcze mały chłopiec. Będzie bardzo sam.

- Na dwanaście mu idzie. Państwo pożyczą mu książek; Lubi czytać.

Nie jest zły, ale przy ludziach nie może być, bo jest całkiem dziki.

Przeszli do jadalnego.

- Troszeczkę jestem zła, że nie powiedziałeś mi o dzierzawcach - powiedziała matka do wuja.

- Przysięgam ci, zapomniałem. Ziemia nie mogła stać odłogiem. Wypadło źle, jakbym ja ukrywał ten dochód. Ale to tylko chleb, mleko, ziemniaki. Wy nie troszczyliście się. Obrzyliście się na ziemię i dom, bo tu umarli rodzice. Żałujesz, że przyjechaliście?

- Nie. Bo Jaona zachwycił ten świat.

Jaon nie mógł myśleć o niczym, tylko o najstarszym synu dzierzawczyni. Nigdy nikt nie obdarzył go takim spojrzeniem, jak najstarszy syn dzierzawczyni, Dzidek. Nie umiałby go nazwać. Jaon nie znał słów takich, jak pogarda, nienawiść, szyderstwo. Znał tylko słowa używane w domu, przez wuja, stryja i państwa Woynickich.

- Czeka nas przyjęcie. Zapominasz, że jutro najbliższa przyjaciółka matki obchodzi imieniny - mówił wuj.

- Nie chcę jej widzieć. Dokuczała naszej matce.

- Ale matka ją lubiła. Ona wie o twoim przyjeździe i czeka.

- Mam brać Jaona? Żeby zobaczył to zbiorowisko?

- Niech wprawia się w życie towarzyskie. Niech uczy się nudy.

Jaonowi zachciało się spać, a może i usnął na chwileczkę, bo nagle znalazł się w dawnym pokoju matki, na jej rękach. Jednocześnie z zewnątrz Dziurzyna zamykała okiennice. Zapadła ciemność w środku

dnia. Matka położyła Jaona do drewnianego łóżeczka z grubo wypchanym, wysokim siennikiem. Cisza tego domu, zimna, sztywna od krochmalu pościel z grubego lnu, zapach słomy, zwykłego mydła, świeżo bielonych ścian, napływająca z półotwartych szaf tajemnicza woń lawendy, łącząca się z wonią narcyzów, kwitnących jabłoni i grusz, wydawały się nakłaniać do snu.

Przebudzenie nastąpiło nazajutrz, a potem wstawanie, ubieranie się na wizytę, droga w lakierowanych bucikach ścieżką przez mokre łąki, oszołomienie powietrzem i wejście tylną furką do ogrodu doktorostwa, ogromna weranda, gdzie siedziało ze sto osób, wszyscy starzy, jakby Jaon spóźnił się o siedemdziesiąt lat.

- Nie chcę tu - cofnął się Jaon.

Ale doktorowa biegła ku nim z otwartymi rękami i ścisnęła jego matkę i jego.

- Ach jakie oczy - powiedziała patrząc na Jaona. - Rozumieją wszystko. Widzę to.

Matkę witano oklaskami:

- Nasza najpiękniejsza! Bohaterka! Wydała na świat syna! Musisz być wielkim człowiekiem, by zasłużyć na taką matkę - starcy ściskali mu ręce suchymi i gorącymi dłońmi i wrócili do przerwane go tematu.

Byli przy roku 1863:

- Gdy urodziłem się, ojciec był już pojmany. Gdy dostał wyrok śmierci bardzo mu dokuczało, że mnie nie zdążył zobaczyć. I podobno to ja ocaliłem ojca, moje narodzenie. Zmieniono mu karę na dożywotnią katorgę, a potem katorgę na osiedlenie na Syberii. Całe dzieciństwo, to było oczekiwanie na ojca. I powiem rzecz smutną, może straszną, gdy wrócił, czułem się przy nim obco. Z ogromną brodą, zatopiony we wspomnieniach, widział nas z matką takimi, jak sobie tam wyobraził. Tak marzył, by nam wszystko opowiedzieć, układał tę opowieść i ciągle opowiadał. Mój Boże, a ja byłem czym innym zajęty, nie służyłem uważnie. Nie mogę sobie darować, do śmierci sobie nie daruję. Jedną opowieść pamiętam, ale czy państwa nie znudzę?

- Ależ nie, niech pan opowiada - zawołało kilka głosów.

- Najpiękniejsze dla ojca były lata, gdy poszukiwał złota w rejonie

rzeki Czan-Uria w Altajskim Kraju. Nosił geologom tyczki. Nabrał wielkiej bystrości w dostrzeganiu wszędzie tych charakterystycznych błysków. Do tyczki przywiązywano zwykłą szmatę.

- Złoto było źródłem potęgi caratu.

- Dziś jest podstawą potęgi sowieckiej.

- Inżynier Rosjanin był dobry dla zesłańca. Brał go do swojego ogniska. Pili "sybirkę": koniak ze spirytusem. Żandarmowi, który pilnował ojca, kazał jeść ze służbą

- Inaczej niż Rosjanin, który przyjeżdżał na wizytację do pani ojca - powiedziała doktorowa do matki Jaona.

- Ojciec porwał się na niego ze szpadą i chciał go przebić - wtrąciła matka Jaona. - Za to groził Sybir. Rosjanin przestał go

obrażać i powiedział: "Ta szpada nie wejdzie w ciało, to służbowa". Ojciec opanował się. Rosjanin nie zrobił donosu.

- Gdzie jest szpada? - wtrącił się Jaon.

- Na strychu - odrzekła matka.

- Pani Julianno - zwróciła się do niej doktorowa. - Niech pani opowie tajemnicę, którą kryje strych.

Matka Jaona pokręciła głową.

- Boję się tam wchodzić.

Po chwili Jaon zorientował się, że leży na kanapie i przykrywają go grubym kocem.

Obudziło go, że ciemność nagle pękła. Z piskiem otworzyła się jedna okiennica, a potem druga. Zielonkawe światło zalało pokój w domu dziadków. Zerwał się i bosy przebiegł dom. Drzwi z oszklonego ganeczku przybudówki prowadziły wprost na trawę ogrodu. Wszyscy byli na zewnątrz: matka, wuj, Maniunia, Dziurzynia i dzierżawczyni.

- Mamo, szpada - wykrzyknął, zapomniawszy się przywitać z osobą, którą tak kochał.

- Najpierw śniadanie - odrzekła matka.

Maniunia przyniosła mu z kuchni kubek gorącego, słodzonego mleka i pajdę ciasta drożdżowego, ciepłego, z kruszonką.

- Upieczone dla ciebie Jaoniku - zaczęła przymilnie dzierżawczyni, ale matka dała jej znak, że takich rzeczy nie mówi się Jaonowi.

Jaon, gdy pochłonął mleko i ciasto, złożył ręce:

- Mamo! Błagam! Po szpadę! Po szpadę!

- Nie zastanowiłeś się, czy pozwolę ci się nią bawić?

Szli na strych stromymi schodami, przypominającymi drabinę. Jaon z trudem pokonywał stopnie.

- Jak będziesz dorosły, opowiem ci, jak się tu ukrywałam przed natrętem.

- Co to jest natręt?

- Człowiek, który okazuje nam sympatię, a my nie chcemy na niego patrzeć.

- To jest mu smutno? - spytał Jaon.

Na górze Jaon rzucił się w głąb niskiego wnętrza. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył był portret mężczyzny w mundurze, z orderami, z wybitą dziurą zamiast twarzy.

- To car rosyjski. Dziadek w przystępie gniewu przebił portret szpadą, której szukamy, gdy car był wszechwładny. - Matka wyciągnęła inny obraz. - Twoja ciocia umarła młodo. Malowała kwitnące ogrody. Kochała wiosnę i wiosną umarła.

Obrazy malowane przez ciotkę oparto o krokiew, dalej były żelazne ogrodowe krzesła, wielki fotel nadjedzony przez myszy, otwarte kosze pełne papierków i listków, skrzynie ze starymi ubraniami. Matka na chybił-trafił wyciągnęła czarną suknię z górą koronkową; przyłożyła ją do siebie:

- Mój Boże, w tej sukni tańczyłam od wieczora do południa następnego dnia. Nie znałam twojego ojca. Wodzirej, pan który prowadzi tańce, prosząc piękną pannę do ostatniego mazura, osunął się na klęczki. Myślała, że jest tak wspaniały, a on oparłszy głowę o jej kolana umarł. Biała bluzeczka! Siedziałam w niej w

altance z twoim ojcem. Układaliśmy przyszłość, aż do starości. Mówiliśmy o tobie, choć ciebie nie było na świecie - wepchnęła bluzeczkę do skrzyni. Wyjęła jeszcze jedną białą bluzkę i rzuciła z powrotem. - To twojej ciotki - i zatrasnęła wieko skrzyni. - Nie wolno ruszać tej skrzyni.

Szli dalej i matka przyklęła przy pace przepełnionej listami i papierami.

- Mamo, przyszedliśmy tu, bo tu jest tajemnica?

- Tak myśli doktorowa. Powstanie 1863 roku zmieniło losy naszej rodziny, ale twoja babka zakazała nawet wspominać o tym, tak bolesne było to dla niej wspomnienie. A ciebie nie chcę wciągać w tę przepaść lat tak odległych od twego urodzenia. Tu od dawna nic nie ma. Po śmierci twojej babki i ja, i twój wuj przeglądaliśmy wszystko nie jeden raz. O nie! Przepraszam. Coś jest. Listy twojej ciotki Justyny. Mój Boże - wyjęła papier. - Twojej babki świadectwo ukończenia szkoły. Same piątki. A to co? Nie przeszkadzaj chwilę - zaczęła czytać. - O Boże! To niemożliwe? - wydobyła plik listów. - O, i to jest? - Mój Boże. To tu było? Nie myślałam, że to się przechowało.

Wtedy Jaon dostrzegł szpadę. Wisiała zawieszona na krokwi za temblak ze srebrnego szychu. Była krótka, ze złoconą rękojeścią i gardą. Pochwa była kryta krokodylową skórą. Jaon podskoczył, chwycił za rękojeść, pociągnął, wyszła klinga, bez krztyny rdzy, coś było wypisane na niej w obcym języku, nieznanymi literami. - Taką broń mógł mieć dawniej Polak - powiedziała matka. - Za posiadanie pistoletu, groziło zesłanie. Okażesz dorosłość i że jesteś godzien nosić szpadę. Nigdy jej nie wydobędziesz, aż do dnia, gdy zaczniesz uczyć się szermierki.

Matka wzięła plik listów, szpadę i pomogła Jaonowi zejść ze schodów.

Jaon poprosił Maniunię, by podciągnęła mu rapcie i skróciła temblak. Uzbrojony, przy szpadzie, zaczął przechadzać się po ogrodzie. Niejasno zaczynał wiedzieć, kim jest: generałem Mangią, wielkim wodzem Kraju Lwów. Jeszcze nic nie wiedział o tym kraju, nie znał jego granic i cieszył się, że niedługo to wszystko pozna. Język pamiętał, miał gotowy. Państwo? Czy będą do niego należały dzieci dzierzawcy, czy będzie całkowicie wymyślone w głowie Jaona i nikt o nim nie będzie wiedział.

Wyszedł za zabudowania. Zobaczył na dalszej łące krowy, konia i owce, małe stadko i tkwiące przy nim nieruchomo dwoje młodszych dzieci dzierzawców. Pobiegł w górę, wołał je z daleka, ale nie odwróciły głów. Chciał pokazać im szpadę, dać ponosić. Zbliżył się, nie powiedziały mu dzień dobry, tylko patrzyły zdziwione, że podszedł. Jaon stanął przy nich i milczał, i one milczały. Po chwili Jaon ruszył z powrotem.

- Hej, ty! Wróć się - zawołał chłopak.

Jaon zawrócił.

- Nie bądź taki obrażony. Boimy się z tobą bawić. Już nasz brat poszedł wczoraj. Nie do lasu, gdzie chciał, a do rodziny. Twoja matka nie zgodziła się, by był w lesie. Nasza matka nam

powiedziała, że musimy się do ciebie grzecznie wyrażać. Gdybyś chciał się ścigać, musimy ci dać pierwszemu dobiec. W siłowaniu masz nas pokonać.

- Ja nie umiem się ścigać - powiedział Jaon. - Ani siłować.

- To cię nauczymy - odrzekł chłopiec. - Choć na siłowanie jesteś za mały i za delikacik - zerwał się i zaczął bieć. - Goń mnie. Goń mnie - krzyczał.

Jaon rzucił się do biegu, ale nie biegł nigdy po łące i przeszkadzała mu szpada. Potknął się i upadł. Garda szpady uderzyła go z wielką siłą w żebra, aż stracił dech. Dziewczynka chciała mu pomóc wstać, ale Jaon odepchnął ją. Syn dzierżawcy biegał wokół, podskakiwał i śmiał się.

Uratowały Jaona krzyki od strony zabudowań.

- Jaon, Jaon, natychmiast do domu.

Wstał i powlókł się w dół. Ogarniała go rozpacz i zwątpienie.

Przed chwilą czuł, że jest generałem Mangią. Jeszcze przedwczoraj nie słyszał o dzieciach dzierżawców. Nie wiadomo dlaczego stanęła mu przed oczyma twarz stryja, o którym nigdy nie myślał. To, co usłyszał przez szparę w nocy, w pół zapomniane, należące bardziej do snów niż do jawy, a w szparze był złowieszczy głos stryja i zapowiadał coś, co stało się dzisiaj.

- Przejedziemy się powozem. Jest wynajęty, a stoi beczynnienie - mówiła do Jaona Dziurzynka. - Ten Janus całkiem się rozleniwi.

- Powozem, powozem - cieszył się Jaon. Ból zeber dał znać i w ślad za nim przyszło wspomnienie tego, co zdarzyło się na łące. W tym momencie mała furka obok bramy otworzyła się i weszła pani doktorowa w towarzystwie dwu starszych pań.

- Już pierwsza, a ja dopiero z rewizytą - odezwała się doktorowa, gdy matka Jaona wyszła jej na przeciw. - A to panie, które mi często towarzyszą. Pani Weronika i pani Malwina. Dawne piękne imiona i rody dobre, tylko zbiedniałe. A pan Rudolf jest? Pani Weronika marzy, że go zobaczy. Mówi, że gdyby była młoda, żadne nakazy moralności nie powstrzymałyby jej od szaleństwa na punkcie pana Rudolfa. A Jaonik? Ach, jest. Proszę, szpada dziadka. Jaoniku powiedz: jaki jesteś? Co ty myślisz? - doktorowa ujęła go za ramię. - Wszystko rozumiesz? Lepiej niż my? Ach, być dzieckiem, co to za niezwykła przygoda. Jak strasznie szczęśliwa byłam w wieku Jaona. Musisz być świadom, jakie szczęście cię spotyka, że żyjesz, że masz takich rodziców, i że jesteś dzieckiem. Nigdy nie będziesz tak szczęśliwy.

O przejażdżce Jaona zapomniano. Słowa o szczęściu padły, gdy poznał nieszczęście. Wszedł do ogrodu, wyszarpnął szpadę i zaczął sieć wszystko. Był żołnierzem przybocznej gwardii generała Mangii. Nieprzyjaciel w toku wielkiej bitwy przybliżył się do kwatery wielkiego wodza. Jaon musiał walczyć w jego obronie.

Otworzyło się okno i rozległ się głos matki:

- Co masz zabronione? Wyjmować szpadę z pochwy. I sieczesz kwiaty, a nie chwasty! - zawołała matka. - Ile główek ściąłeś narcyzom! Chodź tu natychmiast.

Jaon wszedł do domu. Jak żołnierz, który przegrał wojnę został

rozbrojony. Matka nie zapowiedziała bicia. Rozmawiając z doktorową, wyjęła szpadę z rąk Jaona i kazała mu się przy stole.

- ...otóż szalonym, szalonym, zmartwieniem pani matki przed śmiercią było, że zostawia pana Rudolfa samego. Liczyła na państwa. Jesteście za ostrożni, czy za odlegli w Warszawie. Panem Rudolfem trzeba opiekować się, decydując o jego sprawach. Musi poślubić panią Lenę. To jedyny ratunek dla niego. Czy się widzieli, gdy był w Warszawie?

- Raczej nie widzieli się.

- A nie wchodzi tu w grę inna kobieta? - spytała doktorowa.

- Rudolf chyba by mi powiedział - odrzekła matka Jaona.

- A jeśli to jest chłopianeczka? Pan Rudolf jest porywczy, uczuciowy, nie zna uprzedzeń. Tu trafiają się wdzięczne, urocze istoty, w sensie duchowym czyste, naturalne i inteligentne. Nie mają wykształcenia, chodzą boso, ale cóż, co za przeszkoda? Bose nogi mogą nasuwać myśl... że są aż do końca bose. Wasza Maniunia jest takim typem. Pan Rudolf jest w jej oczach ideałem.

Jaon wymknął się z ramion matki. Przypomniawszy sobie o Karolci. Była tu! Tylko ją zabrał ze wszystkich misiów. Leżała spakowana w kufrze, bo matka nie dała mu jej mieć ze sobą w podróży.

Przewidywała, że Karolcia została w pociągu, odjechała i nie zobaczyłby jej więcej. I tak musieli liczyć wszystkie jedenaście waliz, koszy i pakunków.

Jaon poszedł do ciemnej garderoby, gdzie stał kufer. Było to sklepione, murowane pomieszczenie bez okna w środku domu. Tu można było się chować. Mgliście pamiętał o Nice. Gdy wakacje się skończą, natychmiast ją zobaczy! A córka dzierżawczyni? Czy mógłby ją pokochać? Na łące chciała mu pomóc wstać.

Maniunia wydobyła Karolcię. Kochany miś. Stare oczko patrzyło z bezgranicznym przywiązaniem, a nowe ze smutkiem. Nudna!

Gdziekolwiek jest, zawsze taka sama! Zawołał jeszcze raz Maniunię i poprosił, by schowała ją z powrotem.

- Więcej nie będę jej wyciągać - ostrzegła Maniunia.

Jaon wyprawił się do ogrodu. Odnalazł w najdalszym jego krańcu, za spletanymi krzakami róży, tarniny i jałowca, altanę. Wejście do niej było zarośnięte dzikim winem i chmielem. Wczołgał się na kłęczkach. Było tu ciemnowo, pachniało wilgocią. Na ławkach siedziały ślimaki. To będzie stolica państwa Minge Mangiego. Tu Jaon będzie tworzyć je i jego historię. Mangia jest wodzem wielkim, jak Piłsudski. Jaon nie miał jeszcze nazwy dla państwa, które wyrwał z niewoli i zjednoczył Mangia. W odróżnieniu od Polski, ten kraj nie był cały w niewoli. Małe księstwo nie zostało wchłonięte przez wrogów. Ale książę był zastraszonej. Generał Mangia doszedł do tego stopnia w państwie zaborczym, nie przestając marzyć, że wyzwoli ojczyznę. Zabrzmiały przeraźliwe krzyki:

- Jaon, Jaon na obiad - wrzeszczały Maniunia i Dziurzynka jednocześnie.

Posłusznie wypełził z altany i pobiegł ku domowi. Doktorowa ciągle była. Piła herbatę i jadła ciasto. Dla Jaona przygotowano na

osobnej serwetce zacierki na mleku. Gdyby doktorowa wiedziała, że Jaon ma państwo generała Mangiego, zarazem częściowo będąc nim! Akurat mówiła:

- ...plotki w naszym miasteczku mają określony system obiegu. Mnie znosi się je pierwszej - mówiła doktorowa władczy tonem. - Taka osoba przychodzi do mnie opłotkowując kogoś, kto jej przyniósł plotkę: "Pani X ohydnie obgadała panią Y. Pani wie, co ośmieliła się o niej powiedzieć?" - i tu następuje dokładne powtórzenie tej ohydnej plotki, pod pozorem oburzenia na plotkarstwo. Ach pani Julianno, pani wyjechała. A myśmy wszyscy zostali.

- Jaon zjadłeś - przerwała matka opowieść doktorowej. - To pędź do ogrodu.

Chciał widzieć trawy, liście i kwiaty z bliska, być w nich.

Położył się na granicy łąki i ogrodu. Było tu twardo i mokro.

Przytknąwszy oko do trawy zobaczył z bliska zогromniałe liście.

Trawy, jak drzewa, przesłaniały horyzont. Krzew agrestu to baobab.

Żuk wielkości hipopotama przebiegł przy oku. Był w środku dżungli,

poczuł, że jeśli kiedyś będzie w Afryce, nie odczuje tego

zachwytu. "Teraz strudzony podróżnik musi odpocząć - poczuł

senność - zapach kwiatów mnie tak usypia". Trawy go ukołysały i usnęły.

Obudził go przeraźliwy krzyk Maniuni:

- Znalazłam Jaonika, znalazłam Jaonika! Jest tu, pod liśćmi!

- Jak prawdziwe dziecko, które znajduje się w liściach - głos doktorowej dudnił nad nim.

- Powietrze go oszałamia - powiedziała matka.

Przeniesiono go do pokoju panińskiego i ułożono spać. Po jakimś czasie obudzono go, nakarmiono i z powrotem pozwolono zasnąć. Dwa

sny południowy i nocny połączyły się w jeden: w jego pokoju w

Warszawie były wybite drzwi prowadzące do korytarza wąskiego,

krętego i ciemnego. Szło się nim długo, aż wychodziło się do

saloniku domu dziadków. Okazało się, że dom warszawski stoi przy

domu w Marzeniowie i są połączone korytarzem, o którym tylko on wie.

Przespał popołudnie, wieczór i noc. Obudziła go Maniunia, która krzyczała i klaskała w ręce:

- Jaoniku - fiki-miki, jedziemy do Ameryki. Nic nie wiesz, bo przespałeś wszystko.

Cienie drzew i krzewów przesłaniały okno. Jaon przeraził się, że

go zostawia. Maniunia pomogła mu się ubrać. Wybiegł z pokoju.

Słońce stało nisko naprzeciw okien i ostre światło wdzierało się

do saloniku i sieni przez szeroko otwarte drzwi. To zachód słońca,

czy świt? Tłum nieznanym zajmował ganek. Za domem stał rząd

pojazdów: wynajęty przez rodziców Jaona powóz, dwie bryczki,

linijka i wóz drabiniasty umajony gałęziami lipowymi. Łączyły się

nawoływania. Wybiegła Maniunia z koszem jedzenia, potem wyszła

matka. Skądś wziął się wuj Rudolf. Wszyscy zaczęli wsiadać. Jaon

pokochoł ten moment, gdy koń napina mięśnie i nieruchomy dotąd

powóz zaczyna się toczyć.

Wjechali w wąską uliczkę między wysokimi płotami, idącą w górę.

Wiodła ku lasom. Szybko znaleźli się w chłodzie puszczy. Było tu ciemno. Promienie słońca widoczne gołym okiem, jak strzały przebijały się między gałęziami. Czasem przejeżdżali przez takie miejsce i oko światła przepływało po głowach jadących, jak znak z nieba. Śpiewano pieśni powstańcze, legionowe i pieśni miłosne z czasów młodości matki Jaona. Jechali długo leśną brukowaną drogą, potem skręcili w drożynę między drzewami. Gałęzie szorowały o boki powozu. Trzeba było pochylać głowy. W miarę jak droga szła ku górze, zagłębiała się coraz bardziej w śniętej czarno zielonym mchem, aż znaleźli się między ścianami wąwozu. Listowie zamykało się nad ich głowami. Jechali w bukowym tunelu prześwietlonym słońcem.

U szczytu góry była skała i źródło bijące z wielką siłą Tam założyli obóz. Wuj zatopił w źródle ciemne butelki. Jaon zobaczył potem, jak strzelają w gęstwą leśną korki szampana. Rozłożono serwety na trawie i na skale. Wuj Rudolf i kilku nieznanych Jaonowi osób rozpałiło ognisko w zagłębieniu skały. Ściągnęli tam trzy ścięte drzewa, które zajęły się natychmiast z wielką siłą Ogień wznosił się ponad szczyt góry.

- Podpalicie las! Spłonimy żywcem! - krzyczano, a oni śmiali się. Jakaś śliczna blondynka z włosami zaczesanymi do góry odeszła od ogniska:

- Cóż to za śmieszne dziecko jest wśród nas? - pogładziła Jaona po głowie i pocałowała go w usta.

- To niehygienicznie - skarciła ją matka Jaona.

- Ach Boże, nasza ostatnia wycieczka tutaj - mówiła doktorowa do matki Jaona. - Pani już była mężatką. Spytałam: "A gdzie mały chłopiec?" Pierwsza pytałam o Jaona. Przyglądała się pani zdjęciom, które wtedy robiliśmy?

- Niedawno. Chciałam przypomnieć sobie każdy szczegół, bo była jeszcze z nami moja matka.

- Ukochana moja Felicja - wtrąciła doktorowa. - Po niej mnie pani odziedziczyła. Nikt bardziej nie zasłużył na to imię. Miała dar szczęścia. Znała szczęście bez przyczyn.

- Nie miała powodów do szczęścia? - zawołała matka Jaona z przestrawieniem.

- Otwarcie powiem, nie! Miała coś boskiego. Przekazała to wam, dzieciom. Rudolfowi w sposób nadmierny. A śmierć pani siostry? Świadomość pani matki, że pani siostra wiedziała, że jest mniej kochana przez nią, niż pani. A jednak Felicji nie zatruwało to radości życia. Na tamtych fotografiach, o tyle młodszy, ale niespokojny, patrzymy w obiektyw, w przyszły czas, we własne oczy, którymi dziś ze smutkiem widzimy tamtych siebie, spotykając tam to pytające, bojaźliwe wejrzenie. Spostrzegłam dziwny kształt, w niższych partiach gałęzi. Jak cień, przypisywałam to niedoskonałości kliszy, ale gdy zobaczyłam Jaonka, śpiącego wśród liści, już wiedziałam, że wtedy pojawił się jego duch, że on już wtedy koncentrował się w pobliżu, tam, gdzie byli jego przyszli bliscy.

- Gniewać się o te dziwne słowa na panią, czy dziękować?

- Jak dożyję, a on będzie starszy, oceni.
- Odziedziczy panią po mnie? Odnoszę wrażenie, że pani lepiej zna moje stosunki rodzinne niż ja sama - powiedziała matka.
- Chce się pani czegoś dowiedzieć? - odparła doktorowa. -
Zwierzały mi się pani siostra i matka. Tylko pani nie.
- A Rudolf?
- Czyje zwierzenia są bardziej poufne: zmarłych, czy tych co żyją?
- zadała samej sobie pytanie doktorowa.
- Są powody do niepokoju losem Rudolfa? - nalegała matka Jaona. -
Jest już zmarnowany?
- Wydaje się szczęśliwy. O czym tu mówić?
- Tak będzie żył zawsze?
- Wasza rodzina widziała we mnie rozjemcę. Ta wasza wieczna niepewność co do siebie! Nie trzeba nikogo szukać na zewnątrz. Pan Rudolf zabiega, bym uznała jego życie za dobre. Chce, bym panią przekonała o tym. Pani dopytuje się o Rudolfa!
- A moja nieżyjąca siostra?
- O pani dużo mówiła. Może tak wielbiła matkę i obawiała się jej sądu, że wołała przychodzić do mnie? Jedno z was powiedziało: -
"Nasza matka powinna mieć jedno dziecko, Juliannę".
- To powiedziała Justyna?
- Dopiero teraz wymówiła pani jej imię. Dotąd nazywała ją pani "moją nieżyjącą siostrą". Pani wyciągnęła wnioski nie mając więcej dzieci?

Rozległy się strzelania z batów, wołanie. Zbierano serwety do koszyków, gaszono ognisko. Wszystkich ogarnęła niecierpliwość, biegli do pojazdów, wsiadali i krzyczeli na innych, by się śpieszyli. Kawalkada ruszyła na drugą stronę góry, w dół. Zaczął się szalony pęd. Matka objęła mocno Jaona i krzyczała na woźnicę, by hamował, ale konie z tyłu najeżdżały na nich. Gałęzie biły po twarzach, przyskała czerwona ziemia spod kopyt końskich. W chwili, gdy wydawało się, że się nie zatrzymają, wyjechali po drugiej stronie lasów. Wstrzymano konie, by popatrzeć na nieskończoną przestrzeń gór i pól, które rozciągały się przed ich oczyma i nikły w niebieskawej mgielce. Koń ruszył i powóz lekko zadrgał na kamieniach. Toczyli się ledwo dostrzegalnie i wielka panorama przesuwała się przed ich oczyma. Wjechali w nią, góry rozsunęły się, by ich wpuścić, widzieli je teraz z boku, z równoległymi pasami pól, sięgających szczytów. W dole był dwór wśród łąk, nad krętą rzeczką. Przejechali przez mostek, który zadudnił. Wypadły im na powitanie psy.

- Ostatni zajazd w Polsce! - krzyczano z bryczek, linijki i wozu.
- Na ganku pojawiły się dwie starsze od Jaona dziewczynki, za nimi dorośli. Dziewczynki porwały go dla siebie, cieszyły się z niego, jak z nowej laleczki. Poprowadziły do sieni, korytarzem do łazienki. Tam umyły mu ręce i twarz, i wycierały aż do bólu ręcznikiem. Już ich wołano. W sadzie za domem stały nakryte stoły. Podawano flaki, bigos, pieczone kurczęta. Dziewczynki karmiły Jaona, wsuwając mu głęboko w usta łyżkę. Wyrywały ją sobie, licząc ile razy każda podała jedzenie, a nawet jedna z nich uderzyła

drugą łyżką w głowę. Pojedzeniu poprowadziły go znów do domu, do swojego pokoju. Kazały mu usiąść przy malutkim stolyczku. Młodsza przyniosła z głębi domu pudełko, wyjęła malutkie karty. Jaon przyglądał się twarzom na kartach. Czterech brodatych królów, dwie jasnowłose i dwie czarnowłose damy, których nie zrobiono królowymi.

- Kim są waleci? - dopytywał się Jaon dziewczynek.
Wzruszyły ramionami.

- Umiesz grać w brydża? - indagowała go starsza.

- Nie.

- Mimo to będziesz grał.

Rozdała karty. To jedna, to druga stawały za nim. Udając, że mu radzi, jak grać, wyjmowała z rąk karty i grała za niego, przebijając z krzykami. W tym czasie druga z sióstr grała kartami czwartego gracza, odwróconymi tak, by Jaon ich nie widział. Zamiast czworga partnerów, siostry grały przeciw sobie. Kłóciły się, aż zaczęły sobie ciskać kartami w twarze; starsza chwyciła młodszą za włosy i rzuciła nią o ziemię, i po chwili skłębily się na dywanie w zaciętej walce. Chwytały się długimi, chudymi nogami, kopały się i odpychały potężnymi uderzeniami stóp.

Jaon zaczął powolutku wycofywać się.

- Ten bałwan ucieka - krzyknęła któraś. Zerwały się i pogodne, popędziły do drzwi, odcinając mu drogę odwrotu.

- Jesteś chłopczykiem, prawda? - pytała starsza, ostrzyżona na chłopaka. Młodsza, z grzywką, chichotała.

- Tak, jestem chłopczykiem! - odpowiedział Jaon.

- Zaprowadzimy cię do pokoju kary. Tam rodzice zamykają nas, jak jesteśmy niegrzeczne. Teraz jest ciemno i tam straszy. Kościuszek wychodzi z portretu i grozi nam. Oknem wchodzi duch i dusi. Babcia płacze w komodzie. My otworzymy drzwi i wpuścimy cię. Udowodnisz, że jesteś mężczyzną - starsza dziewczynka chwyciła go za rękę i pociągnęła.

Jaon czuł, że teraz zdecyduje się, czy jest odważny jak ojciec.

Drzwi były najwyższe ze wszystkich. Starsza dziewczynka musiała zawisnąć na klamce i pchnąć je całym ciałem, by się otwarły.

Wielkie szafy, jak zamczyska rysowały się w ciemności, fotele w białych pokrowcach. Pokój był długi i jego kąty ginęły w mroku.

Jaon usłyszał, że klucz przekręca się w drzwiach za jego plecami.

Zobaczył nad sobą mężczyznę w wysokim czaku, z podniesioną, jak wymierzoną do ciosu, ręką. Jaon skulił się, ale cios nie nastąpił.

To musiał być Kościuszek. Tło obrazu zlewało się ze ścianą. Postać była naturalnej wielkości. Nagle cień pobiegł przez pokój, jak pająk. Jaon zamknął oczy, zatkał uszy, zacisnął usta: "Chcę być odważny. Muszę otworzyć oczy". Zrobił to, podszedł do okna, wspiął się. Ktoś szedł z latarką przez ogród. "Więc wszystko ma swoją przyczynę. A ja jestem odważny". Usłyszał stukanie. Za drzwiami rozległ się szept:

- Umarłeś ze strachu?

"To dziewczynki" - pomyślał Jaon i schował się za fotel.

- Jesteś? - szeptały przez dziurkę od klucza. - Boimy się wejść!

Porwały go duchy! Co zrobimy? Hej, jeśli jesteś chłopczykiem i jeszcze tam jesteś, to wyjdź. Wyrwiemy ci zęba.

Myślały, że Jaon nie żyje i dostaną wielkie łanie. Ale Jaon obawiał się, że będzie się nudził, nim go dorosli odnajdą.

Zaskrobał cicho, jak duch w drzwi. Zachrobotał klucz.

- Dziecko będzie spało - mówiły i zaczęły rozpinąć Jaonowi bluzeczkę i spodnie, zdejmować buciki i skarpetki. Przy majteczkach Jaon stawiał opór. Dziewczynki zawahały się. Naradzały się szeptem, a potem pozwoliły Jaonowi w majteczkach położyć się do łóżka mniejszej z nich, przykryły kołdrą. Jaon poczuł, że usypia. Usłyszał głos matki:

- Jaon znów zasnął na przyjęciu.

Uświadomił sobie, że już raz tak było; niosą go, i że powóz rusza i jada, jada, jada.

Obudził go chłód, to, że zatrzymali się i słyszał zaniepokojone głosy. Otworzył oczy. W ciemnościach nad jego głową było inne słońce, białe, jak przygasłe, nie dające światła poza odbłaskiem na twarzach ludzi i gałęziach drzew.

- Mamo! Co to? - krzyknął.

- To księżyc - odpowiedziała matka. - Pierwszy raz widzisz noc. Jaon wpatrywał się w tarczę księżycy, nieruchomy jak srebrna planeta.

- Nie patrz długo - powiedziała matka i zakryła mu oczy dłońmi. Przed jego oczyma zapadła ciemność.

Ranek przyniósł chorobę. Jaon znów miał gorączkę. Wszyscy wiedzieli to wcześniej niż on.

- Jaoniku, otrząśnij się - prosiła matka. - Przecież chorujesz tylko dlatego, że zachwycił cię księżyc.

- A, czy nie z tego, że spał pod liśćmi? - wtrąciła się Maniunia.

- Jaoniku, oddaj mi chorobę - prosiła matka.

Jaon w myślach odmówił matce oddania choroby. Matka mogłaby umrzeć.

- Ja wchłonę chorobę i zniszczę w sobie - namawiała go matka. Czuł upokorzenie, że to się powtarza, że choruje na wakacjach, że jest zależny od czegoś, co pozornie jest nim, jego ciałem, a jest nieposłuszne, obce, wrogie. - "Chory, znowu chory" - powtarzał w myślach. Był słabeuszem, niezdara, przez którego syn dzierzawcy Dzidek musiał odejść z domu. Był małą dziewczynką. Ochraniano go, mimo to jest chory. Było mu żal pięknego dnia, ale zarazem dreszcze, rozgrzana pościel wciągała go. Gorączka spowodowała, że obojętnie przyjął przyjazd ojca, który miał kilka dni urlopu i zaczął czytać Jaonowi "W pustyni i w puszczy". Przychodziła do nich matka, ojciec przerywał lekturę i rozmawiali.

- Jaon do tego stopnia dziwi się światem, podziwia go, że choruje - żartowała matka. - Zbyt przeżywa to, że żyje.

- Choruje na życie? Mój syn? Chory? Ja dotąd raz chorowałem - powiedział ojciec. - Co prawda to było w ważnej chwili. Za linią rosyjskiego frontu, montowałem siatkę POW. Dostałem czterdzieści stopni gorączki. Leżałem w stodole na sianie. Rosyjscy żołnierze znaleźli mnie, ale myśleli, że jestem parobkiem. Dawali mi wódkę,

a ja chory, pijany, drżałem, by się nie zdradzić.

- Jak sprawa pożyczki dla niemieckiego księcia?

- Znalazłem w rozchodach kwit na dziesięć tysięcy złotych na cele charytatywne. Ktoś to pokwitował gotyckim zawijaszem czarnym atramentem. "Biedny człowiek, którego incognito nie mogę zdradzić.

Jego by to obraziło" - wyjaśnił ksiązę. Rozmawialiśmy po francusku. Odrzekłem: - "Pana działalność charytatywna wobec anonimowych mężczyzn, którzy potrzebują ogromnych sum zaniepokoi bank". Ksiązę nie odpowiedział. Czarny zygzak podpisu robił wrażenie kryptonimu, czy aluzji do liter SS lub HH - Heinz Himmler, czy Heil Hitler.

- To mógł być zbiedniały członek rodu, stąd tajemnica - poddała matka.

Doktór - w stawianiu diagnozy uczestniczyła też doktorowa - nie wypowiedział się, czy było to zaziębienie, czy zatrucie. Jaon wstał po trzech tygodniach osłabiony. Siedział na południowej stronie domu, okręcony kocami, z oprawnym w jedwab niezapisanym albumem znalezionym na strychu i pisał powieść: "Generał Mangia". Niewiele jeszcze był w stanie postawić znaków na stronie. Jego litery były ogromne. Dla jednego państwa i jego wodza musiał wymyśleć całą planetę, cały świat.

Przyszła Alinka, córka dzierżawców, siedziała u stóp Jaona i bawiła

się szmacianą lalką. Gdy mówił coś do niej, przypatrywała mu się intensywnie i nie odpowiadała. Towarzyszyła mu Karolcia, nieruchoma, na ziemi obok Alinki.

Ogród się zmienił. Wyrósł groch, fasola, podrosły pomidory, rozprzestrzeniły się ogórki. Jaon zastanawiał się, jak wyglądałby świat, gdyby liście były czerwone. Byłoby strasznie. Nagle usłyszał głos Alinki:

- Dzidek wrócił. W stodole wygrzebał pokój w sianie. Tam się chowa. Tylko ja wiem.

Nazajutrz było tak, jakby dzień się powtórzył. "Jeśli w dorosłości dni są powtórzeniami tych, co były, to jest strasznie i nie warto zostać dorosłym" - myślał Jaon. Ale co zrobić, by nie stać się dorosłym? Pobiegł do matki. Leżała w łóżku.

- Jestem chora od twojej choroby - powiedziała matka. - Zabierasz mi wszystkie siły. Twojego ojca kocham bardziej niż siebie, a ciebie, ponieważ jesteś mały, bardziej niż jego.

- Mamo, nie chcę być dorosły - oświadczył Jaon.

- A to znowu co za pomysł? - matka aż usiadła na łóżku. - Wszyscy twoi rówieśnicy rosną, a ty zostaniesz karzełkiem?

- Mamo, będzie jak chcesz - powiedział Jaon, godząc się na dorosłość.

Matkę poddanie się jej woli zaniepokoiło:

- Ty - taki posłuszny?

- Dziecko musi być posłuszne - odrzekł Jaon.

- Jaoniku, muszę ci coś powiedzieć. Mieliśmy ci z ojcem tego nie mówić do końca wakacji, byś cieszył się nimi beztrudnie. Przygotuj się na pewien wstrząs. Już jesteś gotów? Od września idziesz do

szkoły.

Zapadło milczenie, po czym Jaon rzekł:

- Jestem za mały do szkoły.
 - Znaleźliśmy szkołę, która przyjmuje mniej sze dzieci, pod warunkiem, że umieją czytać i pisać. Trzeba czymś zająć twoją głowinę. Szkoda twojego czasu, byś szedł do przedszkola. Nie masz rodzeństwa. Jesteś ciągle z rodzicami. Chowasz się wśród dorosłych, a często wśród starców. Nabierasz sposobu wyrażania się dorosłych. Możesz nigdy nie porozumieć się z rówieśnikami, a wśród nich upłynie ci szkoła, studia, całe przyszłe życie. My, jak już wiesz, odejdziemy, a ty zostaniesz sam.
 - Mamo, co dzieje się z człowiekiem gdy umrze?
 - Ciało gnije.
 - Staje się kupką?
 - Synu, przestań! Albo zadawaj jakieś inne pytania.
 - Mamo, a gdybym nigdy nie poszedł do szkoły, co ze mną będzie?
 - Synu, pytanie, którym szkodzisz matce.
 - Wuj Rudolf nie chciał chodzić do szkoły?
 - Skąd ta myśl?
 - Bo nic nie robi.
 - Syneczku, skoro pytasz, to odpowiem, ale nie możesz nigdy zdradzić wujowi, że wiesz o tym. Musisz zachować się jak dorosły i nie zawieść zaufania matki. Przyszekasz?
 - Przyszekam.
 - Wuj Rudolf rozpacza, że zmarnował życie. Chciał sam siebie zabić. Zabić drugiego człowieka to najgorsze, co człowiek może zrobić, zabić siebie jest równie złe.
 - Dlaczego?
 - To wtrącanie się do wyroków Boga.
 - A urodzić dziecko, to też wtrącanie się? Mamo, gdzie jest Bóg?
 - Pójdziemy tu do kościoła, będziemy blisko ołtarza, to zobaczysz kawałeczek Ciała Bożego. Bóg nas tak stworzył, że Go nie możemy zrozumieć. Niewyobrażalny, niewidzialny, choć ciągle obecny naokoło nas i w nas.
 - Chciał, byśmy Go nie rozumieli?
 - Nie wiemy.
 - Stworzył każdego człowieka osobno? Człowiek może stworzyć człowieka?
 - Nie.
 - To ty mnie nie stworzyłaś?
 - ...
 - Chodźmy zobaczyć Bożę.
 - Wyzdrowiej najpierw całkiem. Teraz siedź i pisz na słońcu.
 - Nie mogę. Będę myśleć o szkole - zawołał wybiegając.
- Zakołysały się krzewy i wyskoczył z nich Dzidek. Upewniwszy się, że koło Jaona nie ma nikogo, zaczął się skradać ku niemu. W rękę miał kij odarty z kory.
- Co mi zrobisz swoją szpadą? Mogłem ją dawno ukraść ze strychu - szeptał, zbliżając się do Jaona.
- Zamierzył się kijem. Zobaczywszy, że Jaon ma nogi spętane pledem,

splunął. Parę kropelek padło na twarz Jaona. Dzidek trzymał kij nad głową Jaona. Drażniło go, że Jaon się nie boi. Nie przypuścił, że Jaon nie zna bólu, poza tym, jakiego doznawał z ręki matki. Nie mógł zdobyć się na opuszczenie kija na jego głowę, zdał sobie sprawę z tego, że jest śmieszny, zamachnął się z boku, uderzył Jaona z całej siły w ramię, potem dźgnął w pierś i przewrócił razem z ogrodowym krzesłem.

Zatrzymał się na sekundę, zastanawiając się, co mu jeszcze zrobić, gdy coś usłyszał, dwoma susami rzucił się w groch, padł na klęczki, wczołgał się między grządki i znikł.

Ruch, który go przestraszył, to było nadejście Alinki. Podobnymi, skradającymi się ruchami podbiegła, pomogła się Jaonowi podnieść, niezdarnie, silnymi niezgrabnymi uderzeniami małych dłoni oczyszczała go z niewidzialnego brudu. Wyciągnęła rękę. Podał jej swoją. Małe, lepkie, brudne paluszki zacisnęły się na jego palcach i pociągnęły je. Jaon poszedł za nią w głąb ogrodu. Ciągnęła go ku altance. Wślizgnęli się przez krzaki, którymi zarosło wejście.

Jaon, zastanawiając się co będzie, zobaczył wyrastające spomiędzy desek podłogi pędy chmielu, które stały, jak małe węże z głowami ku górze, lekko chwiejąc się. Ciemność tu była zielona. Powój i kapryfolium zwieszały się ze ścian altanki. Pachniały silnie.

Alinka wyjrzała, czy ktoś nie widzi. Ogród był pusty. Dom wydawał się daleki. Wdrapała się na ławkę, położyła się na brzuchu i podciągnęła w górę sukienkę. Była w białych, za dużych majteczkach, mocno ściśniętych gumką

- Całuj - nakazała zduszonym głosem. Jej buzia była bliska ławki.

Jaon jak nieprzytomny zbliżył się, chcąc ją pocałować w usta, Alinka odepchnęła go:

- Całuj dupcię! Całuj dupcię! - wyszeptwała.

- Nie wiedział, co znaczy to słowo. Czuł, że Alinka pozwala mu na wszystko, także na to, czego najbardziej pragnął. Ręce mu drżały.

Gumka opierała się. Zostawiła czerwony ślad, gdy ściągał majteczki poniżej kolan Alinki. Pierwszy raz Jaon był tak blisko cudzego ciała. Skóra Alinki była biała, poprzenikana żyłkami. Wydawała słaby zapach mleka. Pod ustami smakowała słono. Nie tylko nie czuł obrzydzenia do pupki, choć stamtąd wychodzi kupunia, ale kochał Alinkę bardziej niż Nikę, Maniunię, Karolcię.

Ja cię kocham, kocham, kocham - szeptał Jaon.

Alinka zaszlochała cichutko, jakby nie całował jej, a bił.

- Jaon, gdzie ty jesteś? - zabrzmiało nagle wołanie matki Jaona.

Alinka skoczyła z ławki i wciągnęła majteczki.

- Idź - popchnęła go, a sama kucnęła w kącie altanki.

- W altance, w altance - krzyczał Jaon radośnie, wydostając się z krzaków przed altankę i szybko biegnąc ku matce.

Przypadłszy do niej i objąwszy ją rękami czuł tylko niesamowitą radość. Przytuliła go do siebie:

- Nagle zaniepokoiłam się o ciebie.

Pierwszy raz nie mógł powiedzieć czegoś matce, ale i to go cieszyło: ma tajemnicę. Gdy Dzidek przewracał go i bił, myślał, że powie matce, ona wezwie ojca, ojciec zbije Dzidka, pomści go,

wyrzuca z dzierzawy matkę Dziką - choć zarazem bał się, że ojciec powie mu, żeby swoje porachunki załatwił sam, wyzywając Dziką na pojedynek. Ale Jaon był już związany tajemnicą z Alinką, która wynagrodziła mu krzywdę wyrządzoną przez brata. Nie wiedział, czy go kochała, czy chciała zjednać, przebłagać, by nic nie robiono jej bratu.

- Wczoraj, jak położyłem się, usłyszałem jakieś głosy: "Jaon, Jaon". Wołali mnie w głąb, w sen, a potem uciekli jeszcze dalej i tam już ja bałem się pójść - plółł.

- To prawda, co mówisz? - spytała matka.

- A we śnie jest prawda?

Gdy tego dnia usypiał, cisza domu - głębsza niż w warszawskim mieszkaniu - ogłuszyła go. Ciemność za okiennicami też była głębsza. Szum liści, trzaśnięcie w głębi szafy i tykanie zegara, który mówi:

- Tak jest. Tak jest. Tak jest. Tak jest. Tak jest.

Jaon ulatywał wciągany, wessany ku górze. Umiał latać. To takie łatwe, aż śmieszne, że dotąd nie wiedział, jak poruszać rękami, by lecieć i skręcić w porę, omijając wieżę kościelną i drzewa. Jak szybko - od dnia, kiedy nauczył się chodzić - umie już latać.

Większość dzieci uczy się latać około dwunastego roku życia.

Obudziła go radość? Czy głos matki?

- Zrywaj się, jedziemy do kościoła.

- Mamo, umiem latać! - zaczął Jaon i zawstydzził się, bo zdał sobie sprawę, że jeszcze śni.

- Tylko bez takich - rozgniewała się matka.

- Bez jakich?

- Bujd! - krzyknęła matka. - Ubieraj się.

- Zabierzemy Alinkę powozem - prosił Jaon.

Maniunia, otwierając okiennicę, zajrzała do wnętrza pokoju, robiąc miny do Jaona. Dzień był słoneczny, listowie ciemne, gęste, rzucało cień, tworząc kontrasty w ogrodzie. Matka otworzyła okno. Zapachniało ogrodem, rosą, dalekimi przestrzeniami. "Czy ja nie jestem królem świata, a moi rodzice jego cesarzami, którzy ukrywają się pod postacią pracownika banku i jego żony, by mnie wypróbować" - pomyślał Jaon, ale nie wierzył w swoją myśl. Podano mu mleko z cukrem i placek z kruszonką. Gdy wyszedł na podwórze, jedząc, z kubkiem w ręku, powóz już był. Alinka siedziała rozparta na tylnym siedzeniu. Była w białej, muślinowej sukience. We włosach miała białą kokardę. Majteczki też były białe. Jaon poczuł się, jak jej brat i zarazem, jak coś więcej, bo łączyła ich tajemnica. Alinka wydawała się o tym nie pamiętać.

Czy jeszcze pójdzie z nim do altanki? Usiadł przy niej.

- Dziś jest odpust. Kupisz mi obrączkę - powiedziała Alinka.

Dzieciom kazano usiąść na małej ławeczce, tyłem do kierunku jazdy; matka zasiadła na pikowanym siedzeniu. Zajechali jeszcze po doktorową. Siadła obok matki. Tłumy waliły na odpust. Jechali powoli. Czuli zapach tanich perfum, potu i naftaliny - chłopcy byli w czarnych, wełnianych garniturach, mimo upału. Szosa była w słońcu, pobocze w mroku od cienia drzew. Alinka musnęła go ręką,

przypadkiem, czy umyślnie - nie wiedział. Wsiadali z powozu i wtedy jakiś mężczyzna spojrział na nich i odwrócił się nagle. Weszli małymi drzwiami z boku. Pachniało dziwnym dymem, wisiały wyszywane srebrem szaty i srebrzone naczynia. Ksiądz przeglądał się w lustrze. Wyszli na kościół małymi drzwiami. Znaleźli się przed ołtarzem. Jaon pierwszy raz widział ołtarz. Usiedli w rzeźbionej ławie prostopadłej do ołtarza. Jaonowi wystawała tylko głowa. Zadzwoniono, wszyscy wstali, wszedł ksiądz z kielichem. Jaon zadarł głowę. Na sklepieniu kościoła namalowane było niebo z białymi obłokami, a na nim ogromna gołębica z rozpostartymi skrzydłami.

- To wyobrażenie Ducha Świętego - podążyła za jego wzrokiem matka i Jaon nie zrozumiał.

W tej samej chwili przez uchylone okienko wleciał gołąb, uderzył o sklepienie i zawisł w locie pod swoją podobizną, jakby ów duch zmaterializował się. Potem ptak znalazł drogę, wyfrunął, znikł.

Ksiądz odszedł od ołtarza i ukazał się wyżej, w okienku ambony.

- Śmierć ciała to tylko zwrócenie naturze ilości węgla tak małej, by zapalił się na sekundę mały płomyk, żelaza na najmniej szy kluczyk do szkatułki, fosforu mniej niż na końcu zapalniczki, wapnia tyle, że nie obielibyś centymetra kwadratowego, a reszta to woda. Woda, która wróci do oceanu i będzie w nim kroplą. Marność, marność! Mówić o tym - marność! Bóg z tej marności stworzył na krótki czas ciało człowieka, by zamieszkała w nim dusza. Dusza jest niewidzialna, niezbadana i wieczna. Dzięki duszy wiemy, że mamy ciało. Dzięki duszy mamy świadomość, że mamy duszę. Zwierzę nie wie, że ma ciało, bo nie ma duszy. Gdy dusza umrze za życia ludzkiego, będzie trwała w śmierci aż poza koniec świata, tak długo, że umysł ludzki nie może sobie tego wyobrazić, w męce, żalu i poczuciu wstydu, że tak bezsensownie zmarnowała możliwość życia wiecznego.

Jaon wiedział, że jest się grzecznym lub niegrzecznym. A grzech? Wiedział, że nie wolno nic ukrywać przed matką. Ukrywanie jest złe, bo to, co się ukrywa jest złe. Więc za pocałowanie w pupcię Alinki jego dusza na całą wieczność umarła? A jak będzie umarła, to jak będzie cierpieć? Będzie czuła swoją śmierć?

- Teraz uklęknie i opuścisz wzrok - wyszeptała matka. - Ksiądz pokaże Boga.

Jaon padł na kolana, jak wszyscy. Tłum w kościele pochylił się i zastygł. W momencie, gdy biły dzwony i dzwoneczki przed ołtarzem uniósł wzrok, czując, że to grzech może większy niż jego pierwszy grzech z Alinką w altance, patrzeć na Boga. Ujrzał płateczek biały, jasny, prawie przezroczysty, jak ciało wycieńczonego człowieka. Poczuł, że coś przejmującego i przerażającego było w jego czynie: spojrział na Boga i Bóg mu się ukazał.

Wyrzucono na stronę wiernych biały obrus. Pochwyciły go stare kobiety kościstymi dłońmi, jakby rwały się do uczyty. Ksiądz uniósł w górę złoty kielich. Wyjął z niego kawałeczek Boga, mniejszy niż przedtem i włożył w usta bezzębne, jak jaskinie. Jaon poczuł głód jakiego dotąd nie znał. Wybiegł ze stali, dostał się prosto pod

nogi księdza, który rozdawał komunię, ukląkł i otworzył usta, gdy czyjeś ręce gwałtownie uniosły go w powietrze. Były to ręce doktorowej. Wierzgał, szarpał się, chciał do Boga. Gdy usadzono go między matką, a doktorową, pomyślał, że Bóg już wie o jego grzechu w altance i kazał go zatrzymać. Skoro wszystko dzieje się zgodnie z Jego wolą, to zabranie Jaona z przed ołtarza w chwili, gdy najbardziej kochał Boga i pragnął uczestniczyć w tajemniczej scenie, i miał tyle chęci, tyle dobrej woli, to Bóg go odtrącił. Jaon obraził się na Boga.

Wyszli przed kościół. Kontrast między cieniem, a plamami słońca był silniejszy. Szli między straganami. Powóz powolutku jechał za nimi.

- Myśmy grzeszyli? - spytał Alinkę szeptem.

- Skądże! - odpowiedziała, ale Jaon czuł, że Alinka kłamie.

Matka dała Jaonowi dwa złote. Alinka pokazała jakie chce pierścionki. Obrączki już nie chciała, prosiła o zegarek. Był na gumce, założyła go na rękę i zaraz zapytała matkę Jaona, która godzina - nastawiła tak zegarek. Po chwili znów zapytała:

- A teraz?

- Alinko, co pięć minut nie będę ci mówiła, która godzina.

- Ale błagam panią, bardzo panią proszę - upierała się Alinka.

Dziecko, tyś się spoufaliła z Jaonem, ale nie ze mną -

odpowiedziała matka karcąco, ale po chwili spojrzała na zegarek i powiedziała:

- Dwunasta osiemnaście.

Alinka, przejęta nastawiła zegarek.

- Dziękuję. Jeszcze raz poproszę przed domem, dobrze?

- Nie bądź natrętna, dziecko.

Doszli do karuzeli. Wagoniki były w formie samolotów. Grał patefon. Jaon i Alinka błagali, by matka pozwoliła im się przejechać. Widzieli, że chłopcy w pędzie przytrzymywali sąsiednie wagoniki i puszczali je, gdy łańcuchy były napięte do ostateczności i dzieci wylatywały pod niebo. To chciał przeżyć Jaon.

- Tu są niegrzeczne dzieci - powiedziała matka.

- Karuzelę pchają chłopcy, którzy nie mają pieniędzy by jeździć

- powiedziała Alinka. - Pięć razy pchają, raz jadą.

- To oburzające - powiedziała matka. Dlaczego kramarz nie kupi sobie silnika?

Alinka wzruszyła ramionami. Matka chciała jej zwrócić uwagę, ale zaniechała tego. Była jeszcze gra, ale matka nie pozwoliła zagrać Jaonikowi i Alince:

- Tylko przegracie. To jest taka gra.

- Ej, paniusiu, proszę się nie wyrażać, bo wezwę policję - zawołał kramarz rozwścieczony.

Janus w powozie usłyszał te słowa.

- Ej, naucz się ty wyrażać do szanownej pani! - wrzasnął woźnica i zamierzył się batem.

Kramarz zląkł się:

- Kto nie umie grać przegra, kto umie, puści mnie z torbami.

Podszedł żebrak, klęknął przed matką Jaona:

- W pani nadzieja.

Matka wyciągnęła 50 groszy, rzuciła mu do czapki, ale on dalej klęczał z błagalnym wyrazem twarzy, więc rzuciła jeszcze pięćdziesiąt groszy, a on zaszlochał.

- Dlaczego powiedział, że we mnie nadzieja?

- Bo widywałem panią, jako panienkę.

- Mój Boże - zawołała matka i rzuciła jeszcze srebrne dwa złote.

- Jak daleko jeszcze było do tego ślicznego panicza - dodał żebrak.

- Masz człowieku jeszcze - zawołała matka i dodała dwa złote.

- Będę się modlił - krzyknął w uniesieniu żebrak. - Zobacz pani, nieszczęścia panią nie zegną. Bóg panią ocali i to, co najcenniejsze wyniesie pani, gdzie zechce.

- Dlaczego tak mówisz człowieku? - zawołała matka z niepokojem. Ale starzec odszedł na klęczkach na bok drogi.

- Mamo, nie dajesz żebrakowi w Warszawie, a temu tyle dałaś?

- Są różne rodzaje dobroci. Inne dla kochanych, najbliższych, inne dla obcych, inne dla biednych, dla ptaka, a inne dla psa.

- Mamo, ptaki wcale nie są odważne. Nim ptak odfrunie chwilę się boi, chwyta się mocniej gałęzi i czeka, nim się rzuci w powietrze.

- Jak ty mówisz? "Rzuci się w powietrze" - Co chciałeś przez to powiedzieć?

- Że on nie musi tylko spadać, jak my.

Gdy znaleźli się w domu i Jaon biegł przez pokoje, spostrzegł, że w ogrodzie coś się porusza, jakby ktoś prawie niewidzialny przebiegł. To gałąź płaczącej wierzby sunęła po trawniku na wietrze.

- Mamo, szkoda, że nie poznam babuni - rzekł Jaon.

- Czy to możliwe, że rozumiesz matkę? Ciągłe mi się zdaje, że wyjdzie za chwilę zza rogu domu.

- Mamo, a gdzie jest wuj Rudolf?

- Wuj Rudolf znikł.

Nazajutrz był taki upał, że nie otwierano okiennic. W pokojach było ciemno, chłodno, pachniało zeschniętymi ziołami. W dwu, czy trzech miejscach przez szczeliny przebijało się światło. Na zewnątrz buchało gorącym, zielenią, nadmierną jasnością. Białe rzeczy wydawały się zafarbowane zielenią. Nad wieczorem otworzono i okiennice i okna. Wpuszczono wilgotne, razem z rosą, chłodne powietrze nadchodzącej nocy.

Nad ranem przyjechał ojciec, nie oczekiwany w środku tygodnia.

Podwiózł go samochód bankowy i zaraz odjechał. Jaon oprzytomniał tylko na chwilę. Rodzice siedzieli w jego pokoju, bo ojciec chciał być przy nim blisko i rozmawiali przyciszonymi głosami. Jaon nie słyszał nic, spał.

Rano do ogrodu wstawiono stolik. Ojciec rozłożył na nim papiery i pisał sprawozdanie dla pana Woynickiego. Teki pożółkłych akt leżały obok arkuszy czystego papieru, które wypełniał drobnym pismem. Jaon patrzył, jak powstaje raport. Potem ojciec złożył papiery, przywalił kamieniem, by nie rozwiały ich wiatr i wziął

Jaona za rękę. Podeszli do okna kuchennego, gdzie widać było Maniunię, Dziurzynę, matkę i dzierzawczynię, przygotowujące obiad na powitanie ojca. Pokazali się, że idą na spacer. Szli w górę ku lasom. Najpierw trzeba było iść ścieżkami poprzez ogrody, dalej zaczynały się sady, a za nimi łąki. Łąki były niezmierzone, bez końca. Prowadziła przez nie kręta i wąska, wilgotna ścieżka.

Chwilami trawy przesłaniały Jaonowi widok, i widział tylko rzędy falujących kwiatów. Ojciec zmęczył się, usiedli na jego marynarce.

- Wiesz chłopcze, że ziemia jest kulą? Po jej drugiej stronie, pod naszymi nogami jest Australia i miasto Melbourne. Przyłóż ucho do ziemi. Słyszysz, jak dzwonią tam tramwaje?

Jaon położył się w trawie. Przyłożył ucho do ziemi. Chciał coś usłyszeć, ale nie usłyszał nic.

- A tupanie kangurów? - spytał ojciec.

Chciał zrobić przyjemność ojcu, ale nie słyszał. Milczał i nasłuchiwał. Ziemia była cicha, milcząca; przytuloną głową czuł jej zakrzywienie i ogrom.

- Wstań - powiedział ojciec.

Jakby posmutniał. Jaon go zawiódł, ale ojciec był zbyt ostrożny w stosunkach z Jaonem, by wypytywać go, dlaczego nie chciał, czy nie umiał bawić się z ojcem w słuchanie ziemi. Ojciec zwinął nogawki spodni i poszedł w trawy; po jakimś czasie wrócił z wyrwaną z korzeniami rośliną.

- Można powąchać? - spytał Jaon.

- To szalej. Jest trujący. Taki sobie wybrałem pseudonim w POW.

Wierzyłem, że sam dźwięk będzie niebezpieczny dla wroga. Marszałek powołał armię. W niej stworzył duszę narodu - POW, a wewnątrz tajnej POW jeszcze tajniejszy kręgosłup jego kośćca, centrum tego centrum: "Oddział Lotny". Gdy Rosjanie ustąpili i weszli Niemcy, nie ujawniliśmy się. Nigdy w mundurach, zawsze w nie rzucających się w oczy ubraniach. Pamiętaj to synu jeśli Polsce miałyby się cokolwiek zdarzyć, a ty będziesz dorosły.

Przy kolacji wróciła atmosfera warszawskich rozmów. Ojciec opowiadał:

- Hohenlingen wyszedł mi naprzeciw. Powiedział po francusku: - "Co robić? W wolnym państwie polskim musimy mówić obcym nam obu językiem. Polskiego chciałem się nauczyć w 1920 roku, ale okazał się za trudny". Jeździliśmy konno, zaprosił mnie na strzelnicę. Narzucił mi rodzaj turnieju. Hohenlingen miał lepsze wyniki w pistolecie, ja w krótkim karabinku. Ale czy mi nie dawał for, by mnie zjednać? Moja forma strzelecka zmarniała. - "Widzi pan tyle broni u mnie - komentował - ale jestem lojalnym obywatelem państwa polskiego. Tu żyję, jak chcę. W Niemczech musiałbym wołać Heil. Moje chłopstwo za mnie zdecydowało w plebiscycie. Chcieli tu być z wami, panowie Polacy. Płacę wam ogromne podatki, z których część idzie na uzbrojenie, które może być wykorzystane przeciw Niemcom. Chcę czuć wzajemność państwa polskiego, życzliwość banków. Może pan nie zaglądać do ksiąg. Szkoda czasu. Nie dopatry się pan niczego". Pożegnałem go, byłem u szefa dwójki w dywizji strzelców, która ma ten odcinek granicy. Nic nie wiedział albo nie ufał mi. -

"Cóż przedstawiciel banku może chcieć od wojska? Jeśli coś wiemy, to wiemy - odpowiedział - a pan ma swoje przepisy". Najchętniej wróciłbym tam w przebraniu. Nie wyobrażam sobie, by hitlerowcy nie zmuszali go, by dawał na nich.

- Najśladzszy i najmilszy mężu. Pozwolisz, że ośmielę się pośrednio wyrazić krytykę twojego postępowania?

- Chcę tego, nakazuję ci to, żono.

- Tak ofiarnie poświęcasz się interesom banku. A nasza sprawa?

- Związałem nasz los z bankiem. Na dłuższą metę jego interesy są dla nas ważniejsze niż nasze własne. Naradzałem się z Woynickim. Bez aktu konfiskaty majątku twoich dziadków, wytaczanie procesu o rewindykację tego majątku naraziłoby nas na przegraną i dołożenie do tamtej sprawy wielkich sum.

- Ale mnie to ryzyko pociąga - mówiła matka. - Wygrana zmieniłaby nasze życie. Wyobraź sobie nasz wyjazd na zakazany teren do tego majątku, tryumf, który ucieszyłby w niebie mojego dziadka. Gdyby on się tam zjawił skazanoby go na powieszenie.

- W miejscu dworu jest pałac Liwszyców. Kupili majątek legalnie od generała rosyjskiego Kozarina, który go dostał w 1864 roku od cara.

- Mężu, przecież ja to wszystko wiem.

- Więc nigdy tam nie wjedziemy, bo rząd nie ma prawa odebrać majątku Liwszycom. Wyplacą nam odszkodowanie. Ale nie carat je nam da, tylko Polska. Czy to nie będzie jakimś cofnięciem ofiary, którą poniósł twój dziadek?

- Czy to nie jest ofiarnictwo? Mielibyśmy choć na studia Jaona w Paryżu, czy odkupilibyśmy drugą połowę posesji w Marzeniowie od Rudolfa. Dałoby mu to szansę, założyłby jakieś przedsiębiorstwo.

- To czemu ci z Ameryki nie przysłali dokumentów?

- Mam jedyne wyjaśnienie: nie ufają nam. Obawiają się, że zagarniemy

wszystko dla siebie. Przecież my nigdy się nie widzieliśmy. Oni nie wiedzą o nas nic.

- Mamo, co to za "ci z Ameryki"? - wtrącił się Jaon.

- Nasza rodzina, która wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych.

- To jedźmy do nich! - wykrzyknął Jaon.

- On ma rację - rzekł ojciec. - Musielibyśmy włożyć nasze oszczędności w moją podróż, bym na miejscu wyjaśnił wszystko i wydarł im te papierzyska. A gdzie Rudolf? - nagle zakończył ojciec.

- O to samo dopytuje się Jaon. Odjeżdżając, powiedział: - "Cały czas będę niedaleko was". Ale gdzie, nie powiedział. Pod wpływem impulsu dodał o Tobie i mnie: - "Teraz jesteście z Józefem moimi rodzicami". Co się robi z radosnego chłopca, który tryskał szczęściem!

- Od śmierci waszej matki, dawne życie Rudolfa skończyło się. W wyrazie jego twarzy były duma, pycha, które zastygają w maskę goryczy, ale w razie, gdyby miało się coś stać, macie tylko Rudolfa.

- Nic się nie stanie - odparła matka.

- Ludzie z POW przekazali mi słowa Marszałka z łoża śmierci:
"Strzeżcie się, by za dziesięć lat nie było znów rozbioru Polski".
Hohenlingen! Z jaką zaciekłością strzelał. Wydawało się, że za
chwilę odwróci pistolet i skieruje na mnie.

- Powiedziałeś o Rudolfie coś, co wiele mówiło o Hieronimie, twoim
bracie. Nie liczysz na niego, wyobrażając sobie ciężkie chwile?

Ojciec nic nie odrzekł.

Zajechał powóz i odwiózł go na stację. Nazajutrz było smutno bez
ojca. Alinka, gdy zobaczyła Jaona, uciekła w drzwi przybudówki.

- Mamo, jak dawno jesteśmy na wakacjach?

- Musisz się nauczyć czasu. Zdarza się, że coś zdarzyło się
miesiąc temu, mówisz wczoraj, albo mówisz "wczoraj będę", albo
"jutro byłem". Nie rozróżniasz przyszłości i przeszłości. Jakaś
atrofia. Nie wiem, jak ci wytłumaczyć to słowo. Podświadomie
zacierasz istnienie czasu. Tobie rok wydaje się jednym dniem. W
związku z twoją szkołą wrócimy wcześniej. Synu, czy ty nie żyjesz
za szczęśliwie? Dla ciebie przez siedem dni jest niedziela. Ciągłe
święto. Nie chciałeś na odpuście zegareczka dziecięcego. A jakbyś
dostał zegarek dla dorosłych?

- Każdy człowiek pod ubraniem jest goły?

- Skąd ta myśl? - spytała szybko matka.

- Mamo, mam głód picia - poskarżył się Jaon.

- Mówi się "chce mi się pić". Zjedz śliwek. Zerwij sobie, jak
dziki człowiek z drzewa - poradziła matka.

Jaon pobiegł do ogrodu i za chwilę był z powrotem.

- Mamo! Połknąłem pestkę - wołał.

- Ładna historia! W brzuszku zakiełkuje i wyrośnie drzewko
śliwkowe, a noskiem i buzią wyjdą gałązki.

- I pupcią? - spytał przerażony Jaon.

- Nie wierz we wszystko - krzyknęła matka.

Poczuł żal do matki. Pobiegł do Maniuni, ale ta krzyczała, by nie
zbliżał się. Rozpalała żelazko na węgiel drzewny i kręciła nim,
omal nie urwała się jej ręka. Ogień opasywał koła. Pobiegł szukać
Alinki. Chowa się, czy ją chowają przed nim? Drugie dziecko z tej
rodziny znikło. Zawrócił do matki, Przypomniało mu się ważne
pytanie i zapomniał, że się na nią rozżalił:

- Mamo, a gdzie jest mąż pani dzierżawczyni?

- Nie wiem. Tylko nie waż się pytać nikogo z nich.

Jeszcze raz pobiegł na podwórze i po cichu wszedł do przybudówki
zajmowanej przez dzierżawczynię. Smutkiem i nudą biło z ich
pokoju. Dzieci miały jeden tapczan zbity z desek, matka zajmowała
łóżko okryte chodnikiem w różnokolorowe pasy. Ubrania wisały na
hakach wbitych w ścianę. Pachniało potem, kwasem, mokrym płótnem.
Alinka klęczała przy oknie przysłoniętym pelargonią i wyglądała.

Gdy wszedł, nie odwróciła się, tylko powiedziała:

- Tylko mnie nie ruszaj. Matka zaraz wróci.

- Chodź do altanki.

- Dzidek mówił, że powtarzasz wszystko swojej matce. Moja mama
powiedziała, bym za bardzo się z tobą nie zadawała, bo twoja mama
może się gniewać. Kazała mi siedzieć w domu.

- Chodź do altanki - mówił Jaon rozzłoszczony. - Moja mama pogniewa się, że nie chcesz się ze mną bawić.

- No już dobrze, całuj mnie w pupcię, tylko szybko.

Wypięta się w stronę Jaona. Jaon chciał zsunąć jej majteczki i pocałować, gdy Alinka wyszeptwała:

- Daj rączkę.

Podał jej, ona wzięła go za wskazujący palec i poprowadziła pod siebie. Powoli, bardzo delikatnie wsunęła go w miejsce mokre i gorące, po czym odepchnęła Jaona gwałtownie.

- Uciekaj, uciekaj, po tym, co zrobiłeś - szeptała nagle rozzłoszczona, niegrzeczna, wroga wobec Jaona.

Jaon wyszedł obrażony i szczęśliwy. Nie wiedział, co to znaczyło, ale było czymś ważnym, większą tajemnicą niż to, co w altance.

Wiejskim zwyczajem rodzina Maniuni i Dziurzyny przyszła nie na stację, ale do domu skąd wyjeżdżano. Były to cztery stare kobiety i trzy małe dziewczynki. Żegnały się z nimi, jakby miały ich więcej nie zobaczyć. Płakały, lamentowały, ścisnęły Dziurzynę i Maniunię. Przy okazji ujawniło się, że dzierżawczyni jest kuzynką Dziurzyny.

- W całej gminie wszystkie ludzie są zeszawgrzone - powiedziała Dziurzyną.

Gdy wsiadali do powozu, wyszła Alinka. Pocałowała Jaona w policzek, z obawą patrząc na jego matkę. Jej buzia pachniała mlekiem jak pupcia. Jaon poczuł dojmujący żal, że nie był więcej w altance z Alinką. Może czekała, że on ją zawoła?

W Warszawie jechali taksówką, z tyłu toczyły się dwie dorożki z rzeczami. Dziurzyną i Maniunią siedziały ledwie przyczepione wśród chwiejących się bagaży. Po chwili taksówka przyśpieszyła, zostawiając je za sobą. Miasto wydawało się Jaonowi przestonięte mgłą. Był upał ostatnich dni lata. Liście drzew pożółkły.

Strasznie było wracać. Tu, gdzieś w tym mieście, stał wrogi budynek szkoły Jaona.

- Myślisz o szkole? Muszę ci coś powiedzieć. O to możesz mieć pierwszy raz żal do rodziców. Teraz jest najlepsza chwila.

Aniołek, od którego dostawałeś listy, pisał do ciebie ręką ojca.

- Więc nie ma Aniołka? - zawołał Jaon.

- Dlaczego pytasz z takim przerażeniem, smutkiem? - wykrzyknęła matka. - Na nas się nie gniewaj. To nasza jedyna wina wobec ciebie. Aniołek istnieje, my tylko podszyliśmy się pod niego. Myśleliśmy, że on się godzi na to.

- W windzie nie było aniołka? Winda była pusta? A podarki? - dopytywał się.

- Och dziecko! Myśl! Nie bądź naiwny! Brzydzę się naiwnością - rozgniewała się matka. - Jak ty wierzyłeś! Nie spodziewałam się. Myślałam, że masz cień wątpienia. Więc ty synu nie jesteś tak roztropny jak sądziliśmy?

- Mamo, ty kłamałaś. I ojciec kłamał. Powiniennem to czuć, gdy mówił o Australii - krzyczał Jaon, aż odwrócił się taksówkarz.

- O jakiej Australii? - spytała matka.

Na Marszałkowskiej sklepy były jeszcze otwarte i oświetlone. Tłumy

chodziły tam i z powrotem. Podwórko uderzyło ich znajomym zapachem. W wielu oknach paliło się światło. Gdzieś z wysoka, przez otwarte okno, dochodził tęskny śpiew. Jaonowi wydawał się piękniejszy od czegokolwiek, co dotąd słyszał. W domu pachniało domem. Otwierali kolejne drzwi i wchodzili. Jaon uchylił drzwi swojego pokoju. Pachniało tu farbą zabawek. Misie przykryte ściereczką spały pod nią całe lato w ciemności. Zdjął ściereczkę, przebudziły się. Wszystkie paciorki oczek były wpatrzone w pana. Brakowało Karolci, która była w kufrze.

- Ach, po co tak na mnie patrzycie - zawołał Jaon. Przypomniał sobie, że nie ma Aniołka.

Wąchał misie. Pachniały kurzem, nieużywaniem, jak stare przedmioty, były otyłe, zgrubiały przez lato. Już nie biegł po Karolcię.

Zajrzał do wojska. To przetrwało lepiej wakacje i wiadomość o Aniołku. Gdy rozstawił armię Abisyńczyków przy Włochach, czwartaków, pułki napoleońskie, Legię Cudzoziemską, wszystkich zjednoczonych i zwróconych ku jednemu wrogowi - wrogowi Polski, żołnierze byli tacy jak dawniej. Groziła im śmierć w walce.

Sprawdził: mieli mundury zgodne z regulaminem. Wszedł ojciec, usiadł koło niego na podłodze:

- Synu, rozstawiłeś ich w szyk z dziewiętnastego wieku, zwarty, plutonami. Artyleria szybko sobie z nimi poradzi. Teraz idzie się grupami bojowymi za czołgami. Jazdę też musisz rozluźnić. Nie będzie szarż, jak dawniej, a oskrzydlenie, przenikanie na tyły, jak w 1920 roku... - ojciec zerwał się z podłogi i nie dokończył. Za chwilę był z powrotem z grubą księgą. - Masz prezent, to "Vademecum oficera piechoty". Poznasz prawdziwe wojsko. Twoja armia liczebnie odpowiada kompanii. Patrz z góry na walkę, jakbyś był kapitanem. Masz tu szyk bojowy, współdziałanie z artylerią, rozpoznanie, łączność, zaopatrzenie, kwatermistrzostwo. Twojemu ojcu nie danym było dowodzić w polu.

- A gdzie dowodziłeś?

- Ludźmi w podziemiu. Byli na dworcach, w sklepach, na polach, nawet w więzieniach. Zarówno strażnicy jak i więźniowie bywali moimi podkomendnymi. Była to tajemnica. Nikt nie wiedział, że są w wojsku.

- I zwyciężyliście?

- Przecież żyjesz w zwycięskim kraju. Ty nie odczuwasz tego?

- Ilu ludzi zabiliście?

- Kilku. Zdrajców, którzy chcieli nas wydać Niemcom i Moskalom.

Jaon zawahał się i spytał:

- Tato, a ty ilu sam zastrześliłeś?

- Ja tylko kazałem zabijać. Nim zaczniesz się szkolić gdzieś cię zabiorę.

Nocą Jaon znów usłyszał głosy płynące z drugiego pokoju, jakby rodzice naradzali się, co do losów jego i świata. Cudownie było czuć ich władzę, widzieć znów szparę w podłodze, świecącą nadziemskim światłem:

- ...byłam z Jaonem na strychu. Nagle zobaczyłam na polepie rozrzucone listy. Pismo Justyny prawie wołało mnie! Jej listy do

mojej matki, przez kogoś rozwłócone. Może czytane? Czy miałam prawo zajrzeć do listów dwóch umarłych, ukochanych istot. Czy istnieje ochrona takiej korespondencji przed kimś im najbliższym? To była chęć zetknięcia się z nimi znów? Czy ciekawość? Lęk, bo pisały o mnie? One za moimi plecami pisały, więc ja bez ich zgody będę czytać. Czy pchała mnie chęć zabrania ich, by się nie poniewierały? Jakoś od razu, przypadkowo zerknęłam i oblało mnie gorąco, przeniknęła rozpacz. Czy masz dobrze w pamięci jak to było? Umarło jej dziecko i popadła w depresję, i wtedy z sanatorium pisała te listy. Zapowiada w nich naszej matce, że odbierze sobie życie. Jaki ból! Dlaczego matka nie zniszczyła tych listów? Bym je znalazła?

- Mówiłaś o tym z Rudolfem?

- Nie interesował się czymś, co poniewiera się w kurzu.

- Daj te listy. Spalę je.

Nazajutrz ojciec obudził go o świcie.

- Ubieraj się szybko. Idziemy na strzelnicę.

Matka spała w gabinecie. Ojciec przewiesił sobie przez ramię torebkę matki Jaona, tę z zielonkawej skóry.

Podjechała taksówka. Jaon usypiał. Znaleźli się na dalekich błoniach. W polu otoczonym kolczastym drutem była budka strażnicza pomalowana w biało-czerwone pasy. Żołnierz w rogatywce z żółtym otokiem uchylił bramę i wpuścił taksówkę. Jechali alejkami, wyciętymi wśród młodego lasu. Zatrzymali się i Jaon usłyszał strzały. Ojciec pociągnął go w tamtą stronę. Znaleźli się na otwartym polu przy rzędzie stanowisk strzeleckich. Służbisty podoficer z orderem z ostatniej wojny, wyprężył się przed nimi:

- Pan ma własną broń? Mam dostarczyć amunicję? Proszę to jest sto sztuk - podał szare tekturowe pudełko, podobne do tych, w jakich sprzedawano ołowianych żołnierzy.

Ojciec w ciemnym garniturze i sztywnym kołnierzyku, w którym chodził do banku, rzucił się na materac. Odbezpieczył, zarepetował broń i kazał się położyć Jaonowi po swojej lewej stronie, by na niego nie padały łuski. Ojciec rwał się do strzelania, jakby był dzieckiem. Jaon przeciwnie; bał się, jak zniesie huk wystrzału. Ojciec zmrużył oko, naprowadził broń na cel - była nią tarcza z dziesięcioma kołami i niewyraźną sylwetką ludzką. Jaon widział, jak wskazujący palec ojca naciska spust. Jaon całą siłą powstrzymywał się, by nie podskoczyć. Ojciec strzelał raz za razem, nie zwracając uwagi na Jaona. Zmienił magazynek i strzelał dalej. Uniósł się, napełnił magazynki i strzelał z pozycji klęczącej, trzymając oburącz broń. Jeszcze raz napełnił magazynki i strzelał na stojąco.

- Trzy dziesiątki, dwadzieścia dziewiątek, osiem ósemek, dziesięć siódemek, jedna szóstka - odczytywał podoficer. - Piękny wynik panie poruczniku, biorąc pod uwagę szybkość oddawania strzałów i to, że ze wszystkich pozycji.

- W czasie wojny miałem dwadzieścia dziesiątek i żadnej szóstki.

- Ale pan porucznik jest teraz w cywilu - odpowiedział sierżant. -

Czy mogę zadać pewne pytanie?

- Proszę.
- Dlaczego pan porucznik rzucił wojsko?
- Nie mogę wam na to odpowiedzieć.
- Byłby pan już pułkownikiem, albo generałem brygady.
- No, sierżancie nie awansujcie mnie - uciął ojciec.
- Mnie opowiadał chorąży Skórski, który służył pod panem porucznikiem, jak przechodził pan front. To pewnie syn pana porucznika będzie generałem - wskazał na Jaona.
- Dobrze, dobrze - powiedział ojciec. - Przynieście z łaski swojej kabe.

Ojciec schował pistolet do torebki matki Jaona i wziął się za strzelanie z karabinu.

- Po co oficerowi taka doskonałość w strzelaniu z karabinu? - nie mógł powstrzymać się od komentarza sierżant. - Chyba pan porucznik nie zaciągnie się jako zwykły żołnierz?

- Kto wie - odrzekł obojętnie ojciec Jaona.

- Tato, daj strzelić - poprosił Jaon, obawiając się, że ojciec pozwoli.

- W dniu dziewiątych urodzin dostaniesz ode mnie pierwszy strzał. Gdy wrócili z ojcem do domu, matka ubrana była do wyjścia. Ojciec oddał matce torbę z pistoletem. Jaon był ciekaw, gdzie go schowa. Na chwilę zapomniał o pistolecie i wtedy torba znikła. Matka zaniósła ją do kuchni, gabinetu, czy jego pokoju - nie wiedział. Podano śniadanie, ojciec pojechał do banku, a Jaon i matka wyszli z Maniunią. Maniunia poszła po zakupy, a Jaon i matka na Plac Unii Lubelskiej. Jaon miał zwiedzić swoją szkołę, pustą, czekającą uczniów.

Wyszedł im naprzeciw woźny, otyły, ze śladami ospy, w ciemnym mundurze z czerwonymi wypustkami; skłonił się i poprowadził ich. Zeszli do podziemia, gdzie była szatnia, drogą, którą co dzień miał odbywać Jaon, przez hall, schodami na pierwsze piętro, gdzie była klasa pierwsza. Pachniało świeżą farbą, pastą do podłogi, kakao. Woźny otworzył drzwi klasy, owalnego pokoju z weneckim ogromnym oknem i zieloną zasuwaną tablicą. Nie było tu ławek, jakie widział Jaon na zdjęciach z klas szkolnych, ale stoliki i krzesła. Robiło to wrażenie powagi, dorosłości, mimo że meble były miniaturowe. Oszklone szafy pełne wypchanych zwierząt, przyrządów, które miał poznać. Teraz niepokoił go ich widok; mapy, plansze zwinięte w rulony; jedna przedstawiająca gałązkę wiśni w ogromnym powiększeniu wisiła na ścianie.

- W tym roku - objaśnił woźny - w pierwszej jest trzynastu uczniów. Pójdą, jako klasa "A" przez całą szkołę. Klasa "B" powstanie za rok, będzie składała się z uczniów, którzy przyjdą później, do drugiej klasy. Najlepiej być w klasie prymusów, jak ich nazywamy, czyli w klasie "A", do której będzie chodził pani syn. Jak mu na imię?

- Michał - odpowiedziała matka. - Będzie pan pamiętał?

Woźny kiwnął głową, przyglądając się Jaonowi. Jaon przyzwyczajony, że nazywano go Jaonem słuchał o Michale jak o nieznanym chłopcu, który idzie do szkoły.

Poszli po tornister, piórniki, zeszyty; do krawca dziecięcego, u którego w tajemnicy przed Jaonem, w maju, były zamówione mundurki szkolne: letni i zimowy. Trzeba było je przymierzyć.

- Co czujesz Jaoniku - spytała matka, gdy szli Marszałkowską. - Nic nie mówisz.

- Do szkoły muszę chodzić. Inaczej nie skończę uniwersytetu. Im wcześniej tym lepiej.

- Masz żal, że ukrywaliśmy przed tobą projekty co do ciebie?

- Chcieliście, bym miał ostatnie wakacje.

- Mówisz, jakby szkoła to była śmierć. Poznasz tylu kolegów.

- Mnie wystarczy ty, mamo. Mam jeszcze Maniunię, Dziurzynę, Nikę, Alinkę, wuję Rudolfa, ojca - wylicza Jaon, jakby żegnał się ze swoim dotychczasowym życiem.

- Wuj Rudolf ma własne sprawy. Maniunia kiedyś nas opuści, wróci na wieś, by wyjść za mąż, a jedyne twoje przyjaciółki to dziewczynki. Znajdziesz przyjaciela.

Jaon milczał.

- Chciałbyś od razu, dziś iść na uniwersytet?

- Tak mamo - odrzekł Jaon.

Pierwszego dnia szkoły Maniunia obudziła Jaona wcześniej.

Jedli wspólnie śniadanie z ojcem. Jaon czuł, że leciutko drży.

Ojciec przejrzał go:

- Synu, musimy zadawać sami sobie przemoc, by potem inni jej nam nie zadawali.

Słowa ojca kłóciły się z tym, że jadł ze smakiem jajko na miękko.

Był prawdziwym bohaterem. Nic nie psuło mu apetytu. Jaon nie mógł przełknąć ostatniej łyżeczki, ale matka, przejęta, nie spostrzegła tego. Było mu żal zostawić jajko, jakby było jego ostatnim domowym przyjacielem i miało dodać mu siłę, a on je odtrącił.

Ulica pod szkołą była pełna dzieci. Jaon ucieszył się, że poznaje pierwszoklasistów. Prowadzały ich matki i służące. Mieli nowiutkie tornistry. Wielu chciało się płakać. Był dumny, że się uśmiecha do matki. Schodzili w tłumie chłopców do podziemnego holu. Jeden nie chciał rozstać się z matką. Oburącz, kurczowo trzymał się jej dłoni. Nie dał sobie oderwać rąk. Purpurowy, jakby dusił się, tak zrozpaczony, że nie mógł płakać, walczył z matką, by nie odchodziła i nie zostawiała go. Pod szatnią, gdzie zmieniano buty na gimnastyczne pantofle szkolne, chłopczyk podobny do dziewczynki bardziej niż Jaon, opierał głowę na ramieniu matki, która sznurowała mu buty.

- Pierwsza klasa! Tu pierwsza klasa! - krzyczała młodziutka nauczycielka w kraciastej sukni, z kokardą we włosach.

Stało już z pięć par. Jaon pośpiesznie pożegnał się z matką.

Wstydział się jej czułości. Stał na końcu małej kolumny. Czekano na ostatnich, by ruszyć na górę. Jaon odwrócił się, matki nie było. Jak szybko znikła! Nauczycielka rozmawiała z pierwszą parą uczniów. Od czasu do czasu odwracając się i rzucając wzrokiem w stronę ostatniej pary. Przy Jaonie stał uczeń wyższy od niego, rudy. Nie wzięli się za ręce, jak było w innych parach. Jaon poczuł, że jest tu niepotrzebny, zapomniany, opuszczony. Bliskość

nieznanego, rudawego kolegi, dalekość nauczycielki, odejście matki, gwar w holu, kamienna posadzka, zapach kakao na drugie śniadanie, wszystko było mu bezgranicznie obce. Do tego rozległ się dzwonek, przeraźliwy, na wszystkich piętrach, a także w podziemiu. Nauczycielka wzięła za rękę chłopca z pierwszej pary i zaczęła powoli wchodzić na schody. Ich klasa szła pierwsza. Jaon nie ruszył się z miejsca. Obok niego przeszedł obojętnie rudym chłopczyk, a Jaon nieznacznie cofnął się o pół kroku, potem jeszcze krok. Odległość między jego klasą, a nim zwiększała się. Jaon obracając się nieznacznie za siebie, by nie wpaść na chłopców z drugiej klasy, wielkich, groźnych, obytych ze szkołą, mając jak wszyscy, twarz zwróconą ku przodowi, szedł w tył. Minęła go piąta klasa, a on zbliżywszy się do ściany, cofał się szybko sunąc ręką po śliskiej, olejno malowanej powierzchni. Był na pierwszym stopniu schodów wiodących w górę, gdy stamtąd rozległ się głos:

- Michał, a gdzie to?.

Nim Jaon zorientował się, że ktoś mówi do niego, woźny który przeciął Jaonowi drogę, wziął go za rękę. Biegiem puścili się przez hol, dobiegli do drugich schodów i przeganiając wszystkie klasy, dopadli pierwszej. Jaon znalazł się znów przy rudym chłopcu, nauczycielka odwróciła się. Dała Jaonowi znak, by przyszedł na początek. Wzięła go za rękę i tak, tworząc pierwszą parę, weszli do klasy. Ręka pani nauczycielki była mniejsza niż matki i Maniuni, ciepła, bardzo delikatna i wcale nie obojętnie ścisnęła dłoń Jaona. Jej ręka też drżała troszeczkę.

- Chłopcy - powiedziała, stojąc przy tablicy - wybierzcie sobie sami miejsca. Potem przeczytam listę i zapoznamy się. Pierwsza lekcja to będzie polski. Druga arytmetyka.

Kolejno wstawali, dziwne, obce nazwiska.

- Dzieci, by coś policzyć, musimy najpierw nazwać. Nie można dodawać świnek do krówek, kotków do piesków. Możemy dodawać świnki do świnek, krówki do krówek, kotki do kotków. Mamy więc słowo "kot". Kto napisze je na tablicy? Nazywanie - to język polski, liczenie rzeczy nazwanych - to arytmetyka.

Na pauzie Jaon zorientował się, że w szkole nie jest źle, tylko dziwnie. Było ciemnowo, gorąco, ściany, skrzywione lekko, wydawały się świecić.

Gdy matka przyszła po niego, szedł jak we śnie. Matka wydała mu się znajomą z dawnych czasów, sprzed szkoły. Gdy doszli do bramy, matka musiała go wziąć na rękę. Maniunia i Dziurzynka patrzyły z balkonu. Zobaczyły, co się dzieje, zbiegły jak szalone, by pomóc go nieść. W domu Jaon mówił do matki, ale nie w kierunku, gdzie była:

- Wchodzę w sen - szeptał Jaon - widzę drzwi, które się otwierają. Pan kłania się nisko i zaprasza mnie do snu, bym śnił. - "To pan mi się śni" - mówię do niego, a on się uśmiecha. Nie znam pana! W snach są nieznanymi. Gdy nie śpię, wszystkich znam. Nie chcę cię znać, nawet za wiele lat - krzyknął Jaon i oprzytomniał.

- Dziecko, moje dziecko, nic ci nie jest. Bądź spokojny. Nic ci się nie stanie.

Słysząc było rozmowę w dużym pokoju.

- Co znaczy 41 stopni? - pytała matka.

- Białko się ścina podobnie jak w jajku, gdy je gotujemy. Nie można tego przeżyć. Omnadinka powstrzymała gorączkę - to był głos doktora. - Jego urodziny, proszę pamiętać, były dla niego straszliwym wysiłkiem. Wejście w życie, największą zmianę jaką znamy, bo o tej drugiej - śmierci - nie mamy danych, zapamiętał jako coś strasznego. Pani tak się męczyła, to co dopiero on? Dlatego każde nowe, ważne przeżycie wydaje mu się nie do przewyciężenia. Później muszą państwo strzec go od alkoholu. Był jeszcze w pani brzuszku, gdy pani dostała zastrzyk. Musiało mu to przynieść ulgę. Będzie zawsze do tego dążył. Szkoła przedstawiła mu się jako coś nie do zniesienia. Znalazł najszlachetniejszą formę: cofał się, ale woźny go zauważył. W opowieści woźnego ciekawe jest, że chłopiec szedł tyłem. Chciałby cofnąć fakt swoich narodzin, wrócić do miejsca, skąd wyszedł, tam się schronić.

- Doktorze, uratował pan naszego syna, jest pan sławą, ale pańska interpretacja zjawienia się Jaona na świecie nie odpowiada nam - wyszeptła matka, ale gniew powodował, że ten szept był słyszalny.

- Mamo - wrzasnął Jaon.

Weszła matka.

- Mamo, widziałem cię przed chwilą tam, a teraz tu.

- Gdzie "tam"? - przeraziła się matka.

- Tam, w podziemiu. Jakiś pan miał tylko głowę i ręce, ucięte, trzymające książkę. Sunęło to nisko nad ziemią. Na oczach miał okulary.

- Jaka to była książka? - pytała matka.

- Gruba - odpowiedział Jaon. - Czytał na ostatnich stronach. Coś ważnego było tam napisane. Była napisana w książce, wewnątrz książki byłaś.

- Mój Boże, mój Boże, to dziecko dalej majaczy - jęknęła matka.

- Nie. Jest przytomny i opowiada, co widział. To, że relacjonuje to tak dokładnie, świadczy o tym, jak jest przytomny - odezwał się doktor w drugim pokoju.

- Mamo, mnie się zdawało, że ciebie i ojca znam od dwudziestu lat. Jakaś pani przyprowadziła mnie do ciebie i przedstawiła tobie: - "Ta pani będzie twoją matką. - "Ja mam się urodzić później" - tłumaczyłem.

- To reminiscencja naszej rozmowy - krzyknęła matka do doktora. - Dziecko wszystko słyszało.

Wszedł doktor. Usiadł na łóżku przy Jaonie, podniósł mu powiekę, zajrzał do oka, zbadał puls, dotknął czoła.

- Dalsze polepszenie.

- Jak ja strasznie panu dziękuję, że to nie jest zapalenie opon mózgowych - matka bredziła jak nieprzytomna.

- Państwo się nim przejmują, to na niego oddziałuje. Atmosfera miłości, którą go otaczacie, otacza go dosłownie. Przestrzeń wokół niego jest zamknięta. Nie ma na nic innego miejsca. I wielka niechęć do zmian. Może go z tego wyprowadzić wstrząs, ale wstrząs

to wydarzenie złe, czasem tragiczne, którego mu nie życzę. Zarazem to dziecko ma rodzaj potężnej woli, potrafi zmobilizować wszystkie siły, jak teraz, gdy zachorował, by uniknąć szkoły.

- Czy to nie jest za proste ujęcie sprawy? - spytała matka.

- Pani wie równie dobrze, jak ja, że pierwsze siedem, a naprawdę pierwsze cztery lata decydują o całej przyszłości. Są miniaturą życia, które jako dorośli będzie już tylko odtwarzać w makroskali, cyklami co 4 i co 7 lat.

- Czyli przyszłość tego dziecka jest uformowana, nieodwołalna i nic się nie da w niej zmienić?

- Powiem szczerze: tak. Nie wszystkim rodzicom to mówię. Gdy początek był zrobiony źle. Gogol powiedział: "Jeśli źle zapniesz jeden guzik, to już nie zapniesz się równo".

- Czyli nie potępia nas pan, jako rodziców?

- Jeśli, to jako tych, co zrobili za wiele. Nawet ta rozmowa, ciągle roztrząsanie "sprawy Jaona", która jest najnormalniejszą sprawą człowieka. Może się wydać chłopcu, że jest jedyną istotą żyjącą na ziemi. To nasz błąd wobec niego, a mój wobec państwa. Powinienem uciąć, zlekceważyć, uniemożliwić dalszą dyskusję, sprowadzić ją do oddawania stolca i moczu.

- Przeraza nas powtarzanie się choroby, brak jednoznacznej diagnozy.

- Państwo sami ją postawili: "dziecko pierwszy raz w życiu zobaczyło księżyc", "dziecko przejęło się choinką". Wczoraj pierwszy raz był bez matki, wśród nieznanymi ludzi, innych dzieci, których przedtem nie widział, w obcym miejscu, w dodatku ważnym dla jego przyszłości, a wie dobrze, że człowiek zaczyna wcześniej, już w przedszkolu zarabiać na emeryturę. Ta choroba jest, w takim położeniu jak u niego, trafną samoobroną. Umie bowiem posługiwać się sobą, swoim ciałem do osiągnięcia swoich celów. Ale taka władza i wiedza, nawet podświadoma, może w niesprzyjających okolicznościach prowadzić do samozniszczenia.

- Sam pan, doktorze, omawia przypadek Jaona nie ograniczając się do stolca. A co się stanie, jak te wszystkie obawy okażą się płonne i Jaon okaże się przeciętnikiem?

- Lepiej, by był przeciętny, ale szczęśliwy.

- Ale jeśli nie zapomni, czego po nim oczekiwano? Jak z tym będzie żył? - spytała matka. - Błędem jest utożsamianie przeciętności ze szczęściem.

W następne dni zaczęli ich odwiedzać powakacyjni goście. Pierwsza przyszła, gdy rodzice już kładli się spać, stryjenka. Kazali Maniuni zrobić herbaty i z powrotem zasiedli do stołu. Z powodu choroby, drzwi do pokoju Jaona były uchylone. Dlatego stryjenka szeptała, ale wysiłonym głosem i Jaon słyszał lepiej niż przyciszoną rozmowę przez drzwi. Jego zaciekawienie było słabsze niż przed wakacjami i pójściem do szkoły. Wydawało mu się, że tyle przeżył. Stryjenka ze swoim dramatem, o którym opowiadała monotennie, stała się śmieszna:

- ...cały urlop był nienagannie uprzejmy. Zajmowaliśmy w pensjonacie oddzielne pokoje. Nie wychodził ze mną nigdzie, jakby

chciał wśród obcych zebrać świadków rozkładu naszego małżeństwa. Co dzień odbywał spacer - dwanaście kilometrów na pocztę, skąd dzwonił do pani Świdwińskiej, mimo że w pensjonacie był telefon. Wtedy popełnili błąd: pani Świdwińska miała czelność zjawić się w okolicy. Była przez niedzielę, a Hieronim znikł od świtu. Gdzie byli, nie wiem, nie mam nawet dowodów, że była, i że to była pani Świdwińska. Moi drodzy, nie wiem nic o waszych wakacjach, ale szczęśliwi nie pragną opowiadać. Nie pozwoliłam nawet zadać wam pytania na mój własny temat. Weszłam w samotność. Z tego robi się błędne koło: taki człowiek szuka kogoś, komu by się mógł zwierzyć, zagaduje, zanudza go, zniechęca, traci, stając się bardziej samotny.

- Teraz rozżalas się na nas - zaprotestowała matka Jaona.

- Hieronim mnie tak złamał, że jestem tylko wrakiem. Życzylibyście mu, żeby się mnie pozbył?

- Hieronim jest kimś, kogo nie rozumiemy w pełni i nie wiemy czego mu życzyć.

- Cień solidarności ze mną! - wykrzyknęła stryjenka i rozplakała się.

- Matka zadzwoniła po Maniunię i kazała jej zalać wrzątkiem ziółka na nerwy. Mieszano te ziółka w pokoju, doszedł do Jaona ich uspokajający zapach i zasnął głęboko.

Obudziwszy się, Jaon cieszył się ze swojej choroby, ale po chwili zaniepokoił się. Jest "dzieckiem chorowitym?" Nie pamiętał od kogo usłyszał to określenie i czy to było o nim. Koledzy w tym czasie poznawali się, zaprzyjaźniali, robili postępy w nauce. Był poza tym. Będzie zawsze poza czymś? Wszystko będzie działo się bez niego? Po części życia, jakie przeżył, starał sobie wyobrazić, jaka będzie przyszłość. Weszła matka zobaczyć, czy się obudził.

- Mamo, Nika wie, że jestem chory? - spytał Jaon całując matkę.

- Twój tatuś mówił jej tatusiowi, bo przez to nie możemy złożyć wizyty państwu Woynickim. Nie wiem, czy jesteś na tyle ważną osobą, by pan Woynicki komunikował córce o zmianach stanu twojego zdrowia.

- Nika nie może mnie odwiedzić? - pytał.

- Nie może. Gardło jednak masz obłożone. Jak na anginę, gorączka była zbyt wysoka, ale doktor wychodząc powiedział, że to dobrze, że organizm umie tak się mobilizować do obrony.

- Mamo, w czasie wakacji mniej tęskniłem za Niką, niż teraz.

- Czy wypada ci to mówić matce? Bawiłeś się z Alinką. Choć mnie się zdawało, że ona cię unika. Może czuła, że cię nudzi?

Był moment, żeby do wszystkiego się przyznać, i Jaon doznał aż zawrotu głowy, ale milczał. Matka po chwili powiedziała:

- Teraz masz kolegów z klasy. Widziałeś takiego, który by mógł zostać twoim przyjacielem?

- W czasie pauzy każdy z nas stał osobno i jadł bułkę, a potem pani kazała się nam razem bawić.

- Nikogo nie zauważyłeś? Nie wierzę.

- Tomka.

- I próbowałaś z nim poznać się?

- Nie.
 - Dlaczego?
 - Tomek przyszedł do szkoły z przyjacielem. Usiedli w jednej ławce. Muszą się znać od dawna.
 - Oni nie stali osobno z bułkami w czasie przerwy?
 - Oni nie, mamó. Przechadzali się korytarzem, ale chłopcy z wyższych klas potracali ich. Na korytarzu nie podobało mi się. Chciałem wrócić do klasy w czasie przerwy, ale pani nie pozwoliła.
 - I tobie zrobiło się przykro?
 - Tak, mamó.
 - Co pani powiedziała?
 - Że klasa musi się wietrzyć. Kazała mi się bawić. Mnie nie chciało się w szkole bawić. Nie mam tam zabawek. Szkoła jest do nauki. Stałem pod ścianą. Wtedy pani klasnęła w ręce i krzyknęła: - "Nie stójcie tak, bawimy się w kółko graniaste". - Pokazała jak się w to bawić. Bawiła się z nami. Potem bawiliśmy się w "ojca Wergiliusza" i "stary niedźwiedź mocno śpi". Myślałem, jakim cudem ojciec Wergiliusz miał 123 dzieci. Ile jeden człowiek może mieć dzieci?
 - Dziecko, jak ty wyobrażasz sobie świat? Jak piramidę stojącą do góry nogami i tańczącą kadryla.
 - Co to jest kadryl?
 - Tego już się nie tańczyło za moich czasów. Zaczęły dominować tańce we dwoje, jak walc.
 - Jakie są teraz tańce? Tango?
 - Skąd wiesz?
 - Przeczytałem w "Kurierze Porannym".
 - Przecież masz zabronione zagłądanie do gazet!
 - Mamó, nienawidzę bajek, a muszę coś czytać.
 - Nie mówiłeś o bajkach.
 - Myślałem, że to nieładnie nie lubić bajek. Jak byłem mały, myślałem, że to książeczka usnęła, bo wypadła mi z ręki, a to ja spałem.
 - Brzydziej jest podczytywać gazety. Zobacz jaka jest wielkość twojej główki, a jaka mojej. Twój mózdzek jest dalej mały, nie rozwinięty. Nie może objąć ta głowina, zrozumieć tego, co czyta, a jest przeznaczone dla dorosłych. Czemu nienawidzisz bajek?
 - Są zmyślane dla dzieci. Lubię tylko o Królowie Śnieżce, o lustrze, o trumnie kryształowej i jak ona budzi się ze śmierci. O krasnoludkach nienawidzę. "Hej ho! hej ho! - do domu by się szło". Nie lubię krasnoludków. Kocham karzełki.
 - Nie można porównywać krasnoludków do karzełków.
 - Mamó, czemu pani Łatyńska nie chce sprzedać papugi? Chcę ją mieć.
 - Dlaczego nie prosisz o żywą papugę?
 - Żywa papuga może zdechnąć.
 - Mój Boże - westchnęła matka.
 - Dlaczego jęczysz mamó?
 - Martwisz matkę.
- Mamó, wraca gorączka. Będę spał - powiedział Jaon i usnął.

Następne dni były podobne do tych w czasie wakacji, gdy chorował. Było mu wszystko jedno, gdzie jest. Nic się z nim nie działo i tak było dobrze. Usypiał, budził się i spał znów, jak po wielkim zmęczeniu. Rodzice przesiadywali przy nim i rozmawiali, pili herbatę.

- Jaon przyznał się, że podczytuje "Kuriera".

- Ach, niech czyta - odrzekł z rezygnacją ojciec. - Wszystko się wikła. Łączy ze sobą. Pamiętasz, jak czytaliśmy o wróżbicie Pasterskim? On był u prezesa. O tym się nie mówi, ale wszyscy są niepewni swojego losu i dnia, który przyjdzie po dniu.

- To chyba nieprawda?

- Wszyscy oczekują wojny. Wczoraj wróż, czy jak go nazwać, był u państwa Woynickich.

- Co im powiedział?

- Nie o to chodzi, tylko czy my mamy go zaprosić? Przychodzi w nocy, gdy dzieci już śpią. Żąda stu złotych.

- To wielka suma, ale niech przyjdzie, tyle jest niejasności.

- Nie boisz się?

- Przyszłości Jaona jestem pewna.

Przed rokiem wróż przepowiedział zajęcie Sudetów. Są świadkowie w biurze.

- Co powiedział państwu Woynickim?

- Rzeczy trudne do zniesienia. Rodzina ich podupadnie. O Nice nie umiał nic powiedzieć. Tłumaczył: "Skoro nic nie widziałem, to nic złego".

W wieczór kiedy miał przyjść wróżbita, Jaon leżał u siebie z otwartymi oczyma. Astrolog mówił cicho.

- Lubię banki, władzę, wojsko. Nikt z takich państwa nie pyta, kim będzie, albo kiedy umrze dziecko, które ma dziś dwa lata. Pewne wyjaśnienie. Mój system jest odmienny od klasycznej astrologii. Nie jest w pełni sprawdzony, bo zbyt mało czasu upłynęło, by go potwierdzić. Pytania, proszę, słucham?

- Czy będzie wojna i jakie z tego konsekwencje wyniknąłyby dla naszej rodziny?

- Wróżbita kimkolwiek by był nie może sobie przepowiadać. Ponieważ wojna dotyczyłaby i mnie, nie odpowiem. W roku 1939 zajdą, dla państwa zmiany na gorsze. Inną postać przybiorą, gdy wybuchnie wojna, inną gdy zachowa się pokój. Jesień lub zima 1939 roku to początek nieuniknionych zmian.

- Czy pana odpowiedź może mieć wpływ na tenże los?

- Może. Wiedza o przyszłości zmienia nasze działanie. Istnieje zjawisko samo spełniania się wróżb. Chcąc uniknąć czegoś, okrężną drogą prowadzimy siebie w miejsce, które pragnęliśmy ominąć. Państwo boją się pytać o dziecko. Ono w tej chwili nie śpi. Z nim wiąże się kradzież i podwójne urodziny.

- Pan wie! - wyszeptwała matka, nie zwróciwszy uwagi na ostrzeżenie astrologa - że Jaon nie śpi.

- Nie robiła pani narad z astrologami, jaki wybrać dzień na poczęcie, by urodził się pod szczęśliwymi gwiazdami?

- Nie ośmieliłabym się.

- Latem w 1942 roku przybliży się kometa. Już wyszła z innej galaktyki, dąży ku nam i zmieni raz jeszcze nasze losy na gorsze. Mnie wtedy może już nie będzie wśród żywych. Ta straszna gwiazda kieruje się nad miasto marokańskie, gdzie dwaj mężowie padną na twarz przed krwią, którą odda trzeci. Pokolenia żyć będą w przekleństwie. Nazwa tego miasta najpierw będzie otoczona tajemnicą, którą świat potem pozna, ale zapomni i wymawiać jej nie będzie...

- A podwójne urodziny?

- "Pan zesłał wielką rybę", Bóg posłużył się wnętrznościami ryby, aby ocalić Jonasza przed utonięciem. Przez trzy dni gdy czekał, nastąpiła zmiana w konstelacjach. Przetrwiał ten czas, ukryty w najbezpieczniejszym miejscu, lepszym niż tarcza, pancerz, czy schron przeciw bombom. 72 godziny znaczy tu więcej niż ćwierć wieku. Piątek, a niedziela, to inne losy. Inny świat zastał. Straszne gwiazdy rozbiegły się, rozproszyły i wtedy on wypchnął się na świat. Przerazam się pierwszymi, piątkowymi gwiazdami, które przeczekał, fale życia by go unosiły: dobry ze szkodą dla siebie, uległy napadom gniewu z jeszcze większą szkodą dla siebie. Rozpraszały się na walkę z podstępnyimi. Zabijały bez powodu. A jego drugie, niedzielne gwiazdy mówią: linia życia zaczyna się od urodzenia. Ostrożność łączy się z wojowniczością. Zimny gdy mu grożą, płomienisty, gdy sam grozi. Ostrożność w obronie, odwaga w atakowaniu. Ugrzeczniony i zuchwały. Wyrachowany i gwałtowny. Przewidujący i szalony, odkłada wszystko na przyszłość, a niecierpliwy. Leń, któremu towarzyszyć będzie straszny wysiłek woli. Świat rzeczywisty będzie mu "puńktem odbicia" do przeżyć. Na czole naznaczony piętnem diabelskim - znak, który zostawiają kleszcze porodowe. Bo był więziony w łonie. Gdy nastały dobre gwiazdy, przemocą wyrwany na świat. Nie rozumiany przez świat, odrzuci go. W końcu świat przyjdzie po niego.

Astrolog westchnął i dodał:

- W bliskiej rodzinie jest tajemnica, może za dużo powiedziane, pewne utajenie, które będzie miało wpływ na życie dziecka. Wszechświat jest jak wnętrze zegarka. Wszechnapędzające się tryby nie mogą oddzielić się od siebie. Muszą przyjąć ruchy od innych planet, cząsteczek, przekazać je innym. Wracam do dziecka. To samo zdarzenie - powiedzmy: otwiera garaż i wjeżdża, przy tych gwiazdach inaczej się ułoży. Ci, co byliby na drodze już zdążą się rozprościć i nie będą stanowili niebezpieczeństwa. On nie zdąży na śmierć.

- Pan widzi tę scenę?

- Widzę, ale kto otwiera garaż nie wiem. Gdyby wyjechał trzy dni wcześniej, czekałaby go ciężarówka jadąca naprzeciw. Nie pozna pewnej kobiety, która czekała trzy dni, ale wyjedzie. Wszystko w jego życiu będzie opóźnione, najpierw o trzy dni, potem to zacznie narastać. Będzie naruszona chronologia w jego życiu, niepunktualnie przyjdą zdarzenia. To zrodzi uczucie opóźnienia, zdziwienia, obcości. Spotka innych ludzi, niż miał znać. Czas pęknie na dwa czasy. Będzie w nim resztką z niedoszęłego dnia

urodzin. Trzynasty piątek i szesnasty niedziela. Tamte gwiazdy nigdy całkowicie nie odeszły. Będzie rozkazodawcą i Nieobecnym, Żołnierzem i Rybą, Synem i Bratem, choć nigdy Bratem, ani Ojcem nie będzie. Jego życie jeszcze inne, nie warte wspomnienia, nastąpiłoby, gdyby go państwo mieli rok po ślubie. Dziś miałby około osiemnastu lat. Zmiana w 1939 przyniosłaby mu śmierć. Ariel, Tindostra, Miele, Magma, Telek, Tai, Tau, jego obecne gwiazdy opiekuńcze wśród tysięcy gwiazd przewodnich według mojego nazewnictwa. Tau świeci nad nim. Niech idzie. Tamte się rozeszły, rozproszyły, zrobiły mu drogę. Już nie mogę. Proszę mi dać kawy i trzy proszki aspiryny Bayera. Usypiam, mdleję. Przebudzenie Jaona nastąpiło, gdy matka pytała (astrologa musiało już nie być):

- ...kim on jest, ten astrolog?

Nie wiem - odrzekł ojciec. - Jest jasnowidzem, a ukrywa to pod pozorem, że czyta z gwiazd, choć i te zasady zna. Umie wróżyć z ręki, z kart. Ponoć syn magnackiej rodziny o przybranym nazwisku. Pamiętasz jak twoja matka, gdy do was przyjeżdżaliśmy, dawała nam oddzielne pokoje? Nasze sypialnie nie połączone były drzwiami. Jakby dawała nam do zrozumienia, że wnuk ma narodzić się później? Rano zapach świeżej herbaty docierał do pokoju Jaona. Czuł się lepiej. Mówić to rodzicom? - zastanawiał się. Była to radosna nowina, ale mogła być przedwczesna. Gorączka powracała wieczorem. Nastął długi dzień w łóżku; przyszedł doktor.

- To może być przebieg świnki, nietypowy, jak i pacjent jest trudny - powiedział.

Usiadł przy Jaonie, wziął blok ze stosu książek, papierów i kredek. Narysował najostrożniejszym ołówkiem, szybko trzy kontury trzech grubych świnek z zakręconymi ogonkami:

- "Były sobie świnki trzy
I był sobie wilczek zły"

Wyrecytował, dorysował na brzegu kartki pysk wilka ze strasznymi zębami:

- Wilk pożre świnki. Świnki to choroba. Ty jesteś wilkiem. Wilk pożre chorobę - wyrecytował doktor, roześmiał się i wyszedł.

- Jaonik zaczął naukę od długich wakacji. Żyje jak chce.

Przychodził do siebie. Pojawił się żal, że choruje. Jego położenie było gorsze niż pierwszego dnia szkoły. Przychodziła mu myśl, że do końca szkoły nie dogoni kolegów, a luka będzie narastać, bo oni będą ciągle szli naprzód. Może to zostać na całe życie, nie skończy uniwersytetu. Chciał zrywać się i biec do szkoły.

Ojciec, wróciwszy z biura, wszedł do pokoju Jaona z paczuszką: No, Jaonie Nika też się rozchorowała. Nie chce chodzić do przedszkola.

- To Niki nie posłali do szkoły, a do przedszkola? - wykrzyknął tryumfalnie Jaon.

- Jest od ciebie rok młodsza. Pan Woynicki prosił mnie, bym kupił ci prezencik, to, czego najbardziej byś pragnął. Kupiłem ci

chorągiew husarską. Wszyscy na koniach.

- Zdejmowani?

- Tak. Można ich spieszyć - odrzekł ojciec.

Wreszcie było na tyle dobrze, że ubrany w biały płaszcz kąpielowy, Jaon siedział w fotelu, obłożony poduszkami. Zaczynał "W pustyni i w puszczy". Uczył się od nowa chodzić.

- Mamo, czuję jak zdrowie rozchodzi się po mnie - oświadczył Jaon.

- Nie będziesz miał żalu, jak wyjdziemy na popołudnie do stryjostwa? - powiedziała matka. - Maniunia będzie przy tobie.

Izolowałam ją, bo bałam się, czy to nie coś zaraźliwego, przecież odpowiadam za tę biedną sierotę, więc stęskniła się za tobą.

Pytała kilka razy dziennie: Jak Jaonik? Ona, biedna, kocha cię, jak młodszego brata. Taka sama jest na świecie.

- Ma Dziurzynę - zaoponował Jaon.

- Dziurzyzna to kurzy mózg - odrzekła machinalnie matka i chwyciła się za usta. - Matce nie wypada w ten sposób mówić o dorosłych do dziecka. A o służbie się nie plotkuje. Można ocenić ich pracę. Nie zdradź się, że to słyszałaś.

Za chwilę zjawiała się Maniunia.

- Dziurzyzna to boi się Jaonika; mówi, że Jaonik dziwnie jest chorowity, mądrzejszy niż stary, mały czarownik. Do czego przyłoży ręki, zaraz jest awantura.

- Pobawimy się w czarownika - prosił Jaon.

- Dziurzyzna mówi, że Jaonik chciał bez spowiedzi świętej przyjąć sakrament Ciała Przenajświętszego, a tylko mały Diabełek ma taką chęć. Dziurzyzna mówi, że gdyby Jaonikowi się zmarło w tej chorobie, to będzie porwany do piekła. Ale czy dobrze, że Jaonikowi to mówię? Wszystko bierze poważnie. Niech Jaonik zostanie księdzem. Ładnie będzie Jaonikowi w sutannie.

Widział chłopców służących do mszy. Ta rola wydawała mu się podrzędna, jak siedzenie w ławce i modlenie się, nie dające przeżycia, którego oczekiwał. Rodzice mieli świąteczne opłatki, kielichy, wino. Mógłby odprawić mszę. Nikt go nie odpędzi od ołtarza. Sam będzie stał przy nim. Obdarzy Maniunię i Dziurzynę czymś niezwykłym, co widział w kościele.

- Dzwon na Dziurzynę - rozporządził Jaon.

- Tylko państwo mogą dzwonić na nas - broniła się Maniunia, ale uległa, ciekawa widać, co zrobi Dziurzyzna.

Przyszła za chwilę.

- Nie dość to Jaonikowi jednej? - udawała złość.

Jaon wyprowadził je do wielkiego pokoju i kazał Dziurzynie dać sukienkę mamy z lnu, haftowaną, wkładaną przez głowę. Kazał się ubierać Maniuni i Dziurzynie. Te z gorliwością, naśladowując ceremonialne ruchy ministrantów, pomogły mu się przyodziać w szatę, która sięgała mu do kostek.

- Przepasać go! - wołała Dziurzyzna. Przyniosła tasiemkę.

- Śpiewajcie - nakazał służącym. - Nie tak. Nie tak - złościł się.

- Klękajcie.

- Boję się paniczu Jaoniku, że zdarzy się grzech - odezwała się Maniunia.

Ale Dziurzyna klęcząc powiedziała:

- A dostanę wina?

- Tak - powiedział Jaon, zaabsorbowany czynnościami przy ołtarzu.

- Za chwilę.

- Ja podam - zaofiarowała się Dziurzyna, podrywając się z klęczek.

- Ciociu Dziurzyno może lepiej nie? - przestraszyła się Maniunia.

- Państwo tam nie zaglądnij - odparła Dziurzyna. - Ociupinki wypitej nie zauważą.

Już była przy kredensie. Jego jedne drzwi opuszczały się tworząc bar. Za nimi stała masa butelek, wszystkie zakorkowane, z wyjątkiem jednej, na której złotymi literkami było napisane "Vermut Cinzano". Na górnej półce barku stały rzędami kieliszki.

- Bierz duży! - krzyczał Jaon.

Dziurzyna postawiła na ołtarzu puchar z rżniętego kryształu i butelkę. Jaon podniósł ręce w górę, jak kapłan. Poczul wzruszenie. Uniósł jeden z opłatków w górę. Wpatrywał się w niebo, jak mu się zdawało całą mocą, od której zaczął drżeć. Czy uda mu się przywołać Boga? Nagle poczul, że opłatek trzymany w górze chyba za długo i za wysoko zaciężał mu tak, że Jaon musiał paść na kolana. "Czy to możliwe, by krążek opłatka był tak ciężki?" - pomyślał Jaon, ale wiedziony nieznanym nakazem milczał. Dziurzyna zniecierpliwiona spytała szeptem:

- Długo jeszcze? - w jej głosie znać było rozdrażnienie, że w tak ważnej sprawie zależna jest od dziecka, ale i strach przed tym, co się działo.

Jaon wstał z klęczek, położył opłatek. Nalał wino do kielicha, rozlał trochę. Przestraszył się czerwonej plamy na serwetce.

- To nic - mówiła poirytowana powolnością obrzędu Dziurzyna. - Ja zaraz zapiorę.

Podniósł kielich do ust. Wypił łyk i omal nie wypuścił kielicha.

Uderzył go obcy, wrogi zapach: gorycz, odór zepsutego soku owocowego, coś, od czego robiło się słabo, co tak silnie pachniało.

- Niech już Jaonik nie pije - zawołała Maniunia.

Dziurzyna wyjęła mu puchar z ręki i spragniona, jakby od wielu dni była na pustyni, wychyliła duszkiem. Chwyciła butelkę, nalała i podała Maniuni.

- Za dużo. Państwo zauważą - oponowała Maniunia i odlała część z powrotem do butelki.

Dziurzyna przytknęła puchar Maniuni do ust i przechylała. Maniunia nie mogła nadażyć z łykaniem. Gdy puchar był pusty, Dziurzyna podeszła do baru:

- Jest taka sama butelka. Otworzymy ją, postawimy na miejsce tej, a tę się wyrzuci. Państwo nie poznają.

Dodawszy sobie otuchy, napełniła puchar. Teraz piła powoli, delektując się.

- Jak żyję czegoś takiego nie piłam.

- Pan powiedział, że bogowie takie piją - odezwała się Maniunia.

- Grzeszysz! Jest jeden Bóg.

- Przedtem byli bogowie greccy - odezwał się Jaon.

- Nasz Bóg jest od stworzenia świata - sprostowała Dziurzyną.
- Był jeszcze przedtem, bo jakby stworzył świat? - pytała podpita Maniunia.
- Grzeszysz! - wykrzyknęła na nią Dziurzyną. - Musisz się wypowiadać.
- Bawimy się w spowiedź, bawimy się w spowiedź - krzyczał Jaon.
- Tobie mamy się spowiadać, mała zmijko? - dopytywała się Dziurzyną, już podpita. - Żebyś powtórzył rodzicom?
- Ciociu Dziurzyno, głupstwa ciocia plecie. Jaonik jest tylko ciekawy, jakie są grzechy, bo nic jeszcze nie wie.
- A są piękne grzechy - powiedziała Dziurzyną i przeciągnęła się.
- Szczególnie, gdy wdowiec Buła puka w szybę.
- Nie mów mi o tym skurwysynu - zapiąła Dziurzyną. - Wolny jest i ja wolna jestem. Co taki zwierz myśli? Rzuci się na człowieka, wymłóci i nawet drzwiami nie wyjdzie, tylko przez okno.
- Jaon, nie słuchaj - Maniunia zasłoniła mu uszy rękami. Jej ręce były gorące, grube, pachniały pomyjami.
- Na weselu u Bąbiroga nie przemówił ani słowa. Jakby nie znał. Wszyscy tańczyli, także starzy. On się nie ruszył. Tam wypatrzyłam dla ciebie syna szwagierki ciotecznej Bąbiroga, z końca Zachłanku, spod lasu.
- Mówiłaś ciociu. I co z tego?
- A w lato było tyle zachodu z chorobą Jaonika i ze skakaniem koło państwa, że nie było czasu skoczyć do wioski.
- E tam, ciociu. Dla mnie nawet palcem nie kiwniesz.
- Podpiłaś sobie? A jak ci wynalazłam syna Rogalicyny?
- Dziękuję cioci. Niech ciocia sama go sobie weźmie. Dodam dar na posag.
- Takaś już bogata? Ile masz?
- A co cioci do tego?
- I tak widziałam, masz pod materacem książeczkę.
- Brat pana to nigdy nic nie da. Tylko jego żona i państwo Woynicy.
- Panicz Rudolf dał?
- Co ciocia się rozpytuje? Dał.
- Ile?
- Sporo.
- Przy pani?
- Nie przy pani. Ale oczy miał spuszczone.
- Ile dał?
- Dwadzieścia złotych, srebrne.
- Dużo. Znaczą, że cię nie chce.
- Na wakacjach uciekł. Gdzieś przebywał. Nawet pani nie wiedziała gdzie. Ale ona nic nie jest ciekawa. Nie zapyta nigdy.
- Wśród państwa się nie pyta o nic - pouczyła Dziurzyną.
- Ale oni i tak o sobie wiedzą - odpowiedziała tonem wyższości Maniunia.
Służące rozmawiały dziwnie. Ich głosy dochodziły go z dali. Poruszały się w zwolnionym tempie. Były tuż, w pokoju, ale oddalone od Jaona tak, że nie dałby rady dojść do nich. Wyciągnął

rękę ku nim i miał wrażenie, że musi przebić szklany klosz za którym były.

- Jezu! Jaonik nam się spił. Patrz, co on wyprawia! Jaki zdziwiony! - wykrzyknęła Maniunia.

- Szybko! Zanieś go do łóżka - wyszeptała Dziurzyną. - Zabieraj butelkę. Wynieś na śmietnik, żeby jej pani nie znalazła. Odkorkuj następną. Postaw dokładnie w tym samym miejscu. Ruszaj się. Ja rozbiorę ten ołtarz.

Gdy rodzice wrócili, Jaon spał kamiennym snem. Po jakimś czasie wyrwało go ze snu szarpanie za ramię. Nad nim stał doktor, matka, Maniunia i Dziurzyną, która dawała mu znaki zza ich pleców.

- Synusiu, otwórz oczy. Już po południu - słyszał głos matki. - Co się stało doktorze? To śpiączka? Co mu jest? - zaszlochała.

Maniunia rozplakała się:

- Powiem wszystko, powiem. To przez ciebie, wyrodna ciotko. - Odwróciła się do Dziurzyną. - Pozwoliła Jaonowi pić wino. A mówiłam, żeby nie.

- Co??? - krzyknęła matka i zamierzyła się na Dziurzyną chcąc ją spoliczkować. Doktor chwycił ją za rękę:

- Po co szanowna pani? Po co?

- Nic tu po mnie - powiedziała uroczyście Dziurzyną, spojrzała z nienawiścią na Maniunię. - Idę się pakować.

- Tylko niech mnie pani nie wyrzuca - szlochała Maniunia. - Panicz Jaon zechciał się bawić w księdza i do tego były potrzebne świece, obrazki, opłatki i wino. My byśmy byli wiernymi i nic poza tym. Piłyśmy wino, ale nie jako komunie, przysięgam. Na taki grzech przy Jaoniku nie pozwoliłybyśmy sobie nigdy. Nie jadłyśmy też opłatków. Jaonik się tylko bawił, nie wiedząc, co robi, więc i on nie ma grzechu. Niech mi pani przebaczy - Maniunia upadła na klęczki.

- Maniuniu, wstań.

- Maniunia nie usłuchała.

- Nie masz krzty przywiązania do Jaona i do nas. Pracę u nas traktujesz jako sposób na zdobycie posagu i wydania się dobrze za mąż. Nie chcesz uczyć się czytać i pisać. Umiesz czytać tylko książeczkę oszczędnościową. Wiem, że jak zbierzesz, to nas opuścisz tego samego dnia. Powinam cię zwolnić, choćby dlatego, że nie jestem pewna dnia ani godziny, kiedy uznasz, że masz tę sumę. Ale nie zwolnię cię, bo powiedziałaś prawdę, wiedząc, że narazisz się na mój gniew.

- Kocham państwa, kocham Jaonika - beczała Maniunia. - Jaka pani niedobra!

- Jednak dobre z ciebie dziecko, tylko niemądre. Strzeż się Dziurzyną. Wywiera na ciebie zły wpływ.

- Ciotka Dziurzyną mnie wyśmiewała, dokąd nie wyjechałam do państwa - poskarżyła się Maniunia. - Śmiała się, że zostanę starą panną, że jestem głupia bo... - i tu Maniunia nagle przerwała.

- Głupia, bo co? - spytała matka.

- Jak wszystko pani mówię to i to powiem, jak na spowiedzi, że Dziurzyną namawiała mnie, żeby wcale u państwa nie być służącą

tylko zostać u kogo innego.

- U kogo? - zmarszczyła brwi matka.

- Lepiej nie powiem.

- Mów!

- Nie, nie powiem, żeby mnie pani biła.

W tym momencie weszła Dziurzyną w chustce, z węzełkiem w rękę.

- Niech pani sprawdzi, czy czego nie ukradłam - zwróciła się do Maniuni. - Co znów chcesz wypaplać?

- Proszę się uspokoić Dziurzyno - powiedziała matka. - Zaraz pani dostanie pewną sumę i zwrot za drogę powrotną. Tymczasem proszę być cicho.

- Cicho? Czasy się mogą zmienić. Przyjdzie kres na takich, jak państwo. Wtedy się spotkamy.

- Pani Dziurzyno. Proszę natychmiast opuścić ten dom i czekać na podwórku, aż Maniunia przyniesie pani pieniądze.

- Pani jej nie wyrzuca? Ładna historia - Dziurzyną zdjęła chustkę z głowy.

- Jak tak, to zostaję, nigdzie nie idę. Mania jest tak samo winna.

Bez niej nie ruszę się. Mam prawo opieki nad nią.

- Pani Dziurzyno, jeśli pani natychmiast nie wyjdzie, wezwę dozorcę.

- Nawet pięciu dozorców mnie stąd nie wyrzuci. Dobrze mi tu było i chcę zostać. Pani mnie nie wyrzucała. Sama chciałam odejść, a teraz nie chcę.

- Po tym, co Dziurzyną narobiła, może bym przebaczyła, ale tego, co Dziurzyną powiedziała, nie mogę darować. Dziurzyną musi odejść.

- Niechże pani zlituje się i starej kobiety nie wyrzuca na bruk - złożyła ręce Dziurzyną.

- Dziurzyną ma dom.

- Leje się z dachu, ziemi mam półtora morgi. Będę tam tylko płakać za jasnym, złociutkim państwem - wreszcie zmusiła się do płaczu. -

Ja zwariuję, powieszę się, jak mnie pani wypędzi.

Dziurzyną zasłaniała sobie oczy i spoglądała z pod palców, jak dziecko. Jej wzrok padł na Jaona - złożyła ręce:

- Jaoniku, prosz za mną.

- Mamo, zostaw Dziurzynę - powiedział Jaon nie swoim głosem.

- Prosz bardziej. Wszystko przez ciebie - nalegała Dziurzyną.

- Ciociu Dziurzyno, niech ciocia zostawi dziecko w spokoju - odezwała się Maniunia.

- Ty Judaszu - krzyknęła na nią Dziurzyną. - Tak mi oddajesz za moją dobroć?

- Ciociu, żeby mi ci czegoś nie wypomniała.

- Wypominaj, wypominaj! - przynaglała Dziurzyną.

- Jak ciocia wydzierżawiła ziemię po śmierci mamusi i nie dała mi nic, tylko wysłała na służbę. Mówią, że ziemia po cichu sprzedana i ciocia Dziurzyną wzięła pieniądze.

- Bo zwariuję. Czuję, jak w głowie mi się miesza - złapała się za głowę Dziurzyną. - Zaraz padnę - obejrzała się za siebie, jakby wybierając miejsce.

- Do przyjscia pana Dziurzyną może zostać - przerwała matka Jaona.

- Pan zdecyduje ostatecznie. I tak wszystko jedno, czy Dziurzynna jest, czy jej nie ma.

Dziurzynna przypadła do rąk matki Jaona, która uniosła je w górę. Służące poszły do kuchni. Doktor, który w milczeniu przyglądał się scenie, wstał.

- Przepraszam za zajęcie czasu i te dramatyczne sceny. Przeraziło mnie to, że się nie budzi. Myślałam, że ma śpiączkę po zapaleniu opon mózgowych. Mój grzech, pomyślałam, że pan doktor się nie poznał.

- Pani grzech polega na tym, że pani ciągle myśli o chorobach, o zapaleniu opon mózgowych. Tą atmosferą można sugerować chorobę.

- Ale jakie te dzieci są! Może panu doktorowi powie coś, że jego najbliższa koleżanka na wieść o chorobie Jaona też się rozchorowała.

- Bawili się razem? Zgrzali? - pytał doktor. - Jedli lody?

- Nie widzieli się od wakacji.

Jaon poczuł, że musi natychmiast zobaczyć Nikę. Wymknie się tak, że nikt go nie zobaczy. Jedzie się tramwajem "17". Położy się przy Nice. Jeśli Nika jest chora na zapalenie opon mózgowych, zarazi się od niej, będą chorowali razem i jednocześnie umrą.

- Od poniedziałku wysyłam Jaona do szkoły? - spytała matka.

- Tak - powiedział doktor. - Tymczasem można go wyprowadzić na spacer.

- Koniec z choróbką. Nie wolno ci się znów rozchorować - zawołała matka.

- Mamo - odrzekł Jaon. - Przyrzekam ci, będę zdrow.

Gdy wyszli, Jaon zrozumiał, że przechorował moment przejścia lata w jesień. Na drzewach były żółte liście i słońce zmieniło swoje miejsce. Poczuł, że nogi uginały się pod nim i drżały. W parku, ledwie weszli, natknęli się na prałata i generałową. Jaon zapomniał o nich i zrobiło mu się przykro. Przecież w zimie ich lubił. Matka kazała mu iść przodem, miała coś do omówienia z prałatem.

Matka od czasu, gdy poszedł do szkoły, nie śpiewała mu wieczorem. W czasie choroby znów mu śpiewała, a od tego dnia, jak powiedziała nieodwołalnie, na zawsze przestaje go usypiać. - "Pragniesz być dorosły, więc to będzie pierwszy krok do przejęcia władzy nad sobą" - powiedziała zamykając drzwi za sobą. Szczelina płonęła teraz inaczej, niż gdy budził się w środku nocy. Rodzice rozmawiali szeptem. Czekali na sen Jaona. Musiał usnąć, musiał być zdrowy, musiał chodzić do szkoły. Głosy rodziców po trochu wracały do zwykłego brzmienia. Zapominali, czy myśleli, że Jaon już śpi.

- Mężu, przebacz. Nieśmiało i po długich wahaniach spytam o to samo: co z rewindykacją majątku?

- Stanęliśmy na tym, że musiałbym jechać do Ameryki. A teraz zachodzą okoliczności, które mi to uniemożliwiają.

- Jakież?

- ...u Woynickiego był generał Czuma. Zajrzał i do mnie, pomachał mi ręką - mówił ojciec.

- Czego mógł chcieć Czuma od Woynickiego?

- Porady prawnej. Wolał jego niż adwokata. Chodzi jednak o to, co mówił. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych jeszcze liczą, że uderzenie na ZSRR, który jest głównym celem Niemiec, pójdzie przez Ruś Zakarpacką, Rumunię. Ale naprawdę po Austrii i Czechosłowacji

- następni jesteśmy my. W gronie generałów uważa się, że w ciągu roku wojna z Niemcami jest nieunikniona. Tak żono, nasze zmartwienia błędą. Cieszymy się rokiem, co nadejdzie.

- Przeraza mnie: to prawie powtórzenie słów astrologa.

- Astrolog daje horoskopy w sferach rządowych. Przy okazji dowiaduje się wiele. Kto wie, czy komentarz do układu gwiazd nie brał się z tego?

- Czy w dobrej chwili mieliśmy Jaona?

A w jakiej innej mogliśmy go mieć? Później byłoby za późno, bo mogę polec, a wcześniej? On by poległ na wojnie, która nadejdzie.

- Coś mi mówi, że wojny nie będzie - powiedziała matka Jaona. - Jeszcze świat nie ochłonał, nie odpoczęliśmy po tamtej.

- Pamiętasz, wtedy też nie wierzono, że wybuchnie.

- Gdyby żył Marszałek, co by teraz zrobił?

- Zamiast zajmować Zaolzie, udzieliliby Czechom gwarancji, uderzyliby na Prusy Wschodnie i zajął je. Wtedy do wojny przystąpiłyby Francja i Anglia, a Rumunia i Rosja przysłałyby swoje dywizje.

- To wojna już trwałaby od trzech dni? Zrób coś, żeby jej nie było. Będziesz chciał iść?

- Nie wolno mi was zostawić.

- Spełnienie obowiązku wobec ojczyzny jest spełnieniem obowiązku wobec rodziny. Zmienię temat. Jaka jest twoja decyzja, co do Dziurzyny?

- Pobyt Dziurzyny w żadnej mierze mnie nie dotyczy. Przebywa gdzieś w głębinach kuchni.

- Nie lubi przychodzić do pokojów. Rozmawiałam z prałatem Juścińskim o wybryku Jaona i służących. Prałat odrzucił moje obawy. Nie tylko nie było świętokradztwa, ale "Jaon dąży do Boga, prze ku niemu dziko, jak poganin, chce go dotknąć. Nie umie być bierny. Chciał być sprawcą, kapłanem". - "A co byłoby, gdyby przyjął Boga wtedy, w kościele?" - spytałam. - "Trzeba było pozwolić. Pius X pochwałiał Komunię małych dzieci. Nie byłoby grzechu w niewinności i tak wielkim głodzie Boga. Jego życie mogłoby się potoczyć innym torem. Został odepchnięty od ołtarza, więc szukał Boga na własną rękę". - "Zostanie księdzem?" - spytałam. - "Tacy ludzie mają trudną drogę do Boga. Znajdują go późno, często w ostatniej chwili" - odrzekł.

- To pachnie herezją - rzekł ojciec. - Nic dziwnego, że prałat jest pensjonariuszem domu dla starych księży. Wobec tego musisz wybaczyć Dziurzynie.

- Ja jej wybaczyłam, ale boję się ją trzymać. Wysłałam ją z Maniunią po zakupy i popełniłam brzydki czyn: przejrzałam jej węzełek. Zwróciło moją uwagę jej żądanie, by sprawdzić, czy czegoś nie ukradła. Jej węzełek wydał mi się większy niż gdy przyjeżdżała, dziwny w kształcie. Dziurzyną zbierała tam to, co

wyrzucałam do śmieci: podarte pończochy nie nadające się do naprawy, twoja kamizelka zalana żółtym lekarstwem, widelec ze złamanym zębem.

- Żono, mogą być nędzarze, którzy zrobią z tego użytek.

- Ale jaki?

- Nie wiem - przyznał ojciec. - Trzeba się zrewanżować prezentem dla Niki.

- Co jej kupimy?

- Poradz się Jaona - odrzekł ojciec.

- A ja nie śpię! A ja nie śpię! - nie wytrzymał Jaon.

Rodzice wpadli do jego pokoju.

- Czy ty przypadkiem wszystkiego nie słyszałeś - zapytał ojciec.

- Śpij, śpij - matka pogładziła go po czole. Jak pod wpływem czarów Jaon usnął.

Od razu rozwarły się rzędy pieczar przed nim. Wystarczyło skałę pchnąć palcem, by darła się, jak papier; wsuwało się całą rękę, a skała darła się coraz bardziej. Ciężar Jaona powodował, że zaczął się zapadać i runąć w dół. Spadanie zmieniło się w lot, radosny, zwycięski, w podziemnej pieczarze, która otworzyła się przed nim. Jak nietoperz zręcznie, nieomylnie omijał występy skał, sklepienia.

- Mamo - krzyknął.

- Synku, co ci? - usłyszał głos matki. Jej twarz rozdarła ścianę pieczary.

- Śnił mi się skamieniały papier - odrzekł i zasnął.

Rano czuł się zdrow i gotów był iść do szkoły, ale zapomniał, że to niedziela. Nie wiedział, jak dorośli odróżniają dni świąteczne od niedziel. - "Dla ciebie wszystkie dni są jeszcze świąteczne" - powiedziałaaby jego matka. Czasem przedrzeźniał ją w myślach, powtarzał jej słowa, co by powiedziała w danej chwili.

Rozstawił wojsko. Wszystkie siły połączył pod swoim dowództwem i ustawił w stronę zachodu, gdzie byli Niemcy. Przy żołnierzu, którego wuj pokazał mu jako siebie, postawił Legionistę w szarym mundurze. To jego ojciec nim przydzielono go do POW.

Pojawił się sam ojciec we drzwiach i cofnął.

- Ten chłopak nie ma poczucia historii. Anachronizuje. Czołgi ustawia obok husarii - mówił ojciec w dużym pokoju.

- W tym jest logika: czołgi i husaria mają pancerze. Mnie co innego martwi. Ale powiem ci dziś wieczorem.

Poszli do kościoła, ale ołtarza nie było widać zza tłumów. Jaon miał przed sobą płaszcze obcych ludzi. Po chwili rodzice wyprowadzili go z kościoła. Powoli szli ku domowi. Żebrak jakby się odwrócił od nich. Był tu zawsze, w deszcz i upał. Nie wyjeżdżał na wakacje. Zawsze widzi nogi przechodniów, całe życie.

A jeśli Jaon będzie w przyszłości nędzarzem i żebrakiem? Każdy może zostać żebrakiem. Nikogo to nie musi ominąć. Włosy stanęły mu na głowie z przerażenia. Jutro "nieuchronnie i nieodwracalnie"

- jak mówi mama - musi iść do szkoły.

Wieczorem nadśluchiwał.

- Miałaś mi coś powiedzieć - odezwał się w pewnej chwili ojciec.

- O doli misiów Jaona. Wśród nich Karolcia, nieszczęsna. Znasz historię jej oczka? Jaon rzucił nią o ziemię. Nie wiadomo ile razy. W końcu stłukło się jej oczko. Wtedy rozpaczał. Pokochał Karolcię. Wstawiliśmy jej oczko. Teraz z innymi misiami jest całkiem zapomniana. Nie patrzy nawet w tę stronę. Czy to nie zapowiada czegoś w przyszłości? Jego stosunku do bliskich istot? Dzieci? Do nas? Będzie dokuczał, dręczył, zrobi krzywdę, będzie żałował, a potem zobojętnieje, zapomni? Jak wtedy, gdy bez namysłu poszedł z nieznaną?

- Ma teraz wojsko. To naturalne w życiu dziecka. Nie przejmowałbym się.

- Co w banku?

- Oba wnioski dyrektora Woynickiego sporządzone na podstawie moich raportów odrzucono. Bank wiąże się ze spółką "Vaucaire", przejmując nad jej polską filią kontrolę. Fakt przejścia spółki świadczy, że nie jest to pełna porażka. W przypadku Hohenlindena napisałem - to zdanie Woynicki przeniósł do wniosku - że nie względy bankowe, tylko interesy państwa przemawiają przeciw pożyczce. Dali więc trzy czwarte sumy, o którą prosił Hohenlinden.

- Czy nie trzeba było, przewidując to, tak wnioskować?

- W obu sprawach ponieśliśmy porażkę w trzech czwartych, w jednej czwartej wygraliśmy. To znaczy, że utrzymamy się jakiś czas, ale niedługo.

- Niebezpieczeństwo na zachodniej granicy nic nie zmieni?

- Bank uważa, że jest ponad tym.

- Ile utrzymacie się z dyrektorem Woynickim?

- Jeśli nie zajdą nieprzewidziane okoliczności, które pogorszyłyby naszą pozycję, co najmniej rok, tak, aby nie odsuwać nas na czas realizacji pożyczek dla "Vaucaire" i Hohenlindena. Hohenlinden odgraża się, że zrobi ze mną porządek. To krępuje ręce prezesowi banku. Potem przesuną nas na prowincję, najdalej na wschód, do Pińska.

- Co wtedy ze szkołą Jaona?

- Woynicki nie przyjmie tej propozycji, więc i ja odejdę.

- Będziesz bezrobotny?

- Czuma wspomniał Woynickiemu, że ma dla nas miejsce w wojsku.

- Jesteś tylko porucznikiem. Pobory w wojsku będą czterokrotnie niższe. Będzie trzeba zrezygnować z tej szkoły dla Jaona.

- Przeprowadzimy się do małego mieszkania - odrzekł ojciec. - Wyrzekniemy się wszystkiego, ale nie tej szkoły.

- Jak się tam będzie czuł, jako dziecko biednych ludzi? Już zastanawialiśmy się, czy rodzice kolegów Jaona nie są zbyt bogaci? Lista uczniów jego klasy, to lista wielkich firm.

- Ale to kupcy - roześmiał się ojciec.

- Jest i księżę Szachowski - odezwała się matka.

- Zruszczona linia. Uciekli przed rewolucją.

- A ja nie śpię! A ja nie śpię! - wykrzyknął Jaon.

- Synu! Jutro szkoła! Masz spać! - krzyknęła matka. - Nie wejdziemy do ciebie - odgadła jego myśli matka. - Musisz być mężczyzną i spać.

Szeptali długo, aż widać, gdy byli pewni, że Jaon już śpi, zaczęli mówić głosami przyciszonymi, ale wyraźnymi:

- ...ciekawe, czy podsłuchał wszystkie nasze rozmowy? Słucha z ciekawości, czy chce mieć poczucie, że jesteśmy blisko. Mam nadzieję, że budzi się na chwileczkę i wtedy woła to swoje "a ja nie śpię, a ja nie śpię". Gdyby podsłuchiwał, nie zdradzałby się - zastanawiała się matka.

- Nie przywiązywałbym wielkiej wagi do tej sprawy. Nie mamy tajemnic. Może dobrze, że słyszy pewne rzeczy nie przeznaczone dla jego uszu? Może za wiele przed nim ukrywamy? Może doznać straszliwego rozczarowania.

- Ale to dziecko.

- Ale jakie dziecko? Życie Jaona, nawet jeśli będzie pokój, zapowiada się burzliwie. Już wiadomo, jaki jest.

- Nie chciałabym, by wiedział, że pierwszego dnia nauki byłam aniołkiem, który patrzył na niego ukryty, by wysłać w ciężkiej chwili woźnego, który połączył go z klasą.

- Właśnie dobrze! Jeśli nas słyszy w tej chwili, niech wie, że może liczyć tylko na nas, a gdy nas zabraknie, tylko na siebie. Więc wysłali go do innej szkoły? Nie poznawał kolegów. Nie było tu podziemnego korytarza, pachnącego kakao. Dzieci nie rozbierały się z płaszczy tylko siedziały w nich w klasie, obce, stłoczone. Nie znały Jaona, on ich nie znał, ale i one wzajemnie się nie poznawały. Jakaś nauczycielka bezgranicznie obca spojrzała na Jaona:

- A ty tu co robisz? - spytała mierząc go wzrokiem.

Jaon wstał z ławki i zaczął wychodzić z klasy. Cofał się, aż wymacał za sobą ręką klamkę. Ale drzwi były zamknięte na klucz.

- Aaa! - wrzasnął Jaon. Zobaczył nad sobą twarz Maniuni, która budziła go do szkoły.

Przy śniadaniu matka powiedziała:

- Wczoraj ojciec telefonował do szkoły. Rozmawiał z nauczycielką. Czy o tym też słyszałeś w nocy?

- Nie mam.

- Nie przerobili zbyt wiele. Wszystko to umiesz. Nie tylko ty byłeś chory, więc bądź dobrej myśli.

Odprowadzała go matka z Maniunią, potem miały iść na sprawunki. Jaonowi żal było tych czasów, gdy chodził z nimi. W podziemnym holu, gdy wkładał gimnastyczne pantofle i był pochylony, podszedł chłopiec, krępy, tęgawy, z czarną grzywką przyciętą nad brwiami.

- Ty jesteś ten wiecznie chory? Ja jestem Szachowski.

- Słyszałem o tobie - powiedział Jaon.

- Czym się interesujesz?

- Wojskiem - odrzekł Jaon.

Wchodzili powoli po schodach.

- Kim będziesz? - spytał księżę Szachowski.

- Nie wiem.

- Ja będę strażakiem lub śmieciarzem. Mają wózki na dużych kołach.

- Ja chyba będę żebrakiem - odrzekł uprzejmie Jaon.

Znaleźli się w drzwiach klasy.

- Usiądź ze mną. Siedzę sam, bo...

Nie dokończył. Nauczycielka klasnęła w ręce i zawołała:

- Witamy chłopczyka, który ozdrowiał. Przypomnij, jak ci na imię. Wstań.

Jaon wstał. Nie może powiedzieć, że Jaon. Chwilę zastanawiał się, jak mu na imię.

- Zapomniał! - krzyknął rudy chłopczyk, który nie miał pary pierwszego dnia szkoły.

Klasa wybuchnęła śmiechem.

- Michał - powiedział Jaon.

- Piękne imię - powiedziała obojętnie nauczycielka. - Przechodzimy do słówek "dom" i "dąb". Oba zaczynają się na literę "d", składają się z trzech zgłosek, a są czym innym. W domu możecie żyć, a pod dębem ledwie chronić na chwilę przed deszczem. Za to dąb żyje sam dla siebie. A dom jest wasz. Nie zawsze musimy jedną rzecz uważać za lepszą od innej. Są rzeczy nieporównywalne, mimo że zaczynają się na tę samą literę i mają taką samą ilość zgłosek. A teraz dodajmy 24 domy do 11 i 21 dębów do 9.

Lekcja ciągnęła się. Jaon miał poczucie, że dobrze się czuje w szkole. Spowodował to sen, obcość tamtej szkoły, przy której ta, wydała mu się bliska.

Na przerwie Szachowski szedł z Jaonem długim korytarzem. Szli bez celu.

- W razie wojny wyjedziemy do Włoch - powiedział ksiązę Szachowski. - A ty?

- Będę walczył.

Na następnej lekcji rysowano i śpiewano. Jaon narysował posesję w Marzeniowie. Pani nauczycielka orzekła, że to jest mapa nie obraz. Jaon odpowiedział, że pewnego dnia dziewczynka imieniem Alinka namówiła go, by wszedł na drzewo i widział z góry ziemię.

- Kto z was wchodził na drzewo? - spytała nauczycielka.

Niewiele podniosło się rąk.

- To zaśpiewamy piosenkę o łączce, cicho, by nie przeszkadzać innym klasom.

Śpiewali. Jaon tylko ruszał ustami, bo nie umiał śpiewać.

Matka czekała na niego w podziemnym holu. Gdy szli, trzymała go za rękę.

- Dziurzynka odchodzi - powiedziała matka. - Twierdzi, że obraziłam ją i tego mi nie zapomni. Pewnie już jej nie ma. Wysłałam na ten moment.

- To co my teraz zrobimy bez Dziurzyny? - spytał Jaon.

- Będzie jak było - odpowiedziała matka.

Ale Jaon miał uczucie, że wszystko się kończy. Nawet Dziurzynka to odczuła i uciekła.

Wrócił ojciec i Maniunia podawała obiad, z czerwonymi oczyma.

- Maniunia zapłakana? - spytał ojciec.

- Zawsze to ciotka.

- Ale wolałaby zostać u nas, a Maniunię wysłać na wieś - odrzekł ojciec.

- Mnie nie wypada z państwem mówić o ciotce - odrzekła Maniunia. -

Nie jest zła. Na koniec upiekła tę pieczeń, by państwo miało smacznie.

- Maniunia na pewno cieszy się, że nareszcie jej nie ma - rzekł ojciec i zwrócił się do Jaona. - Masz zaproszenie. Nika wyzdrowiała. W sobotę urządza przyjęcie. Poznasz dzieci z przedszkola Niki.

Następnego dnia były trzy lekcje. Przyszła po niego Maniunia. Niosła mu tornister.

- Twoja mama poszła do fryzjera - odezwała się Maniunia. - Tylko nic nie próbuj korzystać, ani nie namawiaj mnie na figle. Nie chcę losu Dziurzyny.

Maniunia wpuściła go do domu i weszła do kuchni. Nie chciała z nim rozmawiać, jakby karząc go za Dziurzynę, czy bojąc się go. Ale Jaon miał nową myśl. Torebka z pistoletem Parabellum znikła, gdy ojciec oddał ją matce. Tylko jedna szuflada w domu była zamknięta na klucz. Tam musiał być pistolet. A gdzie był klucz? Ojciec sam sobie nic nie brał. Koszule, kołnierzyk, krawat znajdował przygotowane nim jeszcze się obudził. Przeszukał torebki matki, leżące na dnie szafy. Nagle olśniło go. Klucz do szufladki mógł być w niewielkiej torbie mamy, w szufladzie na dole szafy! Jaon odsunął szufladę, wymacał torebkę z cienkiej skóry, pomarszczoną z czasów dzieciństwa matki, wywlócił przeszukał; była pusta i jedyna rzecz w niej schowana, to był mały, nikłowy kluczyk. Jaon z radością i tryumfem przytknął go do zamka szufladki, gdzie nie było kluczyka. Pasował. Jaon przekręcił klucz i zobaczył torbę. Pochwycił ją, była ciężka, uchylił ją, był tam pistolet. Wyjął go ostrożnie. Magazynek leżał osobno. Wziął jeden z nich, wsunął w rękojeść, jak widział, że robił ojciec, usłyszał szcęknięcie, poczuł, że magazynek zaskoczył. Jaon zarepetował broń. Z nabitym "Parabellum" Jaon szedł ze swojego pokoju do wielkiego pokoju, celując we wszystko, co zobaczył: w żyrandol, kwiaty, obrazy, w okna. W przedpokoju zobaczył siebie w wielkim lustrze. Małego chłopca celującego z pistoletu. Trzymał broń oburącz za rękojeść, jak robił to ojciec na strzelnicy i podnosił powoli do oczu. Zarazem widział siebie, w krótkich spodenkach z perłowymi guziczkami, jak patrzy poważnie i składa się do siebie z wielkiego pistoletu. Zobaczył wylot lufy i nad nią swoje oczy. Celował sobie w miejsce przed oczyma. Czy kula odbije się od szkła i ugodzi go? Nie, rozwali lustro, pójdzie w drzewo, w ścianę, on zniknie, bo pocisk pójdzie w szkło, które rozprysnie się. Patrzył sobie w oczy. Jeśli strzeli, jego życie będzie inne. Zniszczone lustro, wystrzelony pocisk, odkrycie, że znalazł pistolet. Rodzice przestaną mu ufać. Przyłożył wylot lufy do szkła. Tajna, straszliwa, cudowna zabawa. Naciskał spust. Powolutku ustępował, przewidziany dla silnych, dorosłych mężczyzn.

- Mamo, Tatusiu. Strzelę sobie - prosił ich. - Ma być wojna. Muszę nauczyć się strzelać - przekonywał ich. - Wcale nie zabiję siebie.

Czuł zapach oliwy, którą czyszczono broń i prochu z lufy.

Przyłożył twarz do szkła. Nie mógł postąpić kroku i wejść głębiej.

Szyba zatrzymywała go. Widział siebie patrzącego na siebie.

Spoglądał w oczy, którymi siebie widział. "Ojciec zachował pistolet, bo czeka na wojnę. Wojna musi nadejść. Obaj będziemy walczyć. Jeden z nas zginie". Opuścił broń. Nie warto strzelać w czasie pokoju. Odniósł pistolet do dużej torby, schował go, zamknął torbę, ukrył ją w szufladzie, szufladę zamknął, a kluczyk wrzucił do drugiej torebki.

Matka wróciła od fryzjera:

- Synu. Matka robiła sobie wieczną ondulację na twój bal.
- Będzie dużo dzieci?
- Im więcej, tym lepsza zabawa.
- Mamo, pozwól mi nie iść.
- Niepokoisz mnie. Dlaczego?
- Mamo, dzieci krzyczą, popychają się.
- A ty kim jesteś? Nie dzieckiem? Co powiesz, gdy będziesz miał sześćdziesiąt lat?
- Pojedziemy do Niki, gdy nie będzie nikogo.
- Każę ci iść na bal!
- Dobrze mamo - zgodził się posłusznie Jaon i dodał. - Czy ja się kiedyś ożenię z Niką Woynicką?
- Ładna historia! Minie co najmniej trzy razy tyle, ile dotąd przeżyłeś, gdy o czymś takim wolno ci będzie myśleć.
- Zejdzie, jak z biczem strzelił - powiedział Jaon.
- Co ty wygadujesz?
- Sama tak mówiłaś.
- W twoich ustach to brzmi niemądrze, synu. Co wiesz o mijaniu czasu?
- Nic, mamo.

Poszli do krawca, który przyjął zamówienie na ubranie z granatowego aksamitu. Miało być w sobotę rano.

Dzieci zaproszono na godzinę czwartą po południu i Jaon wróciwszy ze szkoły, zastał balowe ubranko wiszące na szafie w jego pokoju. Guziki były z masy perłowej, po trzy na spodenkach i na rękawach. Do tego matka uszyła mu bluzkę z niebieskiej satyny, z kokardą, którą zawiązywało się u góry.

- Mamo, będą myśleli, że to dziewczynka! - jęknął Jaon.
- W tym roku aksamit jest modny dla dzieci, synu - odpowiedziała tonem usprawiedliwienia matka. - Chciałam, żebyś ładnie wyglądał - i zasmuciła się.
- Mamo, ja cię tak kocham - wykrzyknął Jaon i podbiegł do niej chcąc znaleźć się w jej ramionach.

Powstrzymała go:

- Synu, czy nie za łatwo się rozczulasz?

Dopiero po chwili pozwoliła mu się przytulić do siebie. Trwali tak chwilę, a potem matka łagodnie, ale stanowczo odsunęła go od siebie.

- Kiedyś matki nie będzie z tobą. Musisz się przyzwyczajać. Trudno mi w takiej chwili, jak teraz. Tobie może jest przykro, ale tak musi być.
- A dlaczego tak musi być?
- Dziecko nie może być całe życie z matką. Kiedyś się rozstaną.

Nie znaczy to, że matka umrze, ale że dziecko będzie chciało odejść.

- Mamo, nigdy nie odejdę od ciebie.
- Nie mów o przyszłości, której nie znasz.
- Dlaczego nie znamy przyszłości?
- Bóg stworzył świat tak, byśmy nie wiedzieli, co stanie się za sekundę.

- To skąd wiesz, że odbędzie się kinderbal?
- Ach, syneczku - rozgniewała się matka. - Udajesz małe dziecko.
- A nie jestem? - dopytywał się Jaon. - Kinderbal mogą odwołać. Przybiegnie służąca państwa Woynickich i nie będę musiał iść.
- Bo dostaniesz klapsa. Wtedy będziesz wesoło się bawił na kinderbalu. Uważasz mnie za bóstwo, które nie zna wyczerpania? Ubieraj się! Szybko!

Matka wyglądała, jak nigdy pięknie, ubrana na kinderbal w popołudniową sukienkę koloru truskawek z bitą śmietaną. Ojciec przytulił ją.

- Jakże się cieszę, że jesteś taka piękna - powiedział.
- Od urodzenia Jaonika figura i rysy mi się rozlały - zaczęła matka.
- Kobiety nie powinny takich rzeczy mówić mężczyznom - przerwał jej ojciec.

- Ja ci mogę wszystko powiedzieć - odrzekła matka. - Ach, Boże, jeszcze teraz poszłabym na bal. Zabawę dzieci przeżywam silniej niż Jaon.

- Nie dość, że musi iść do szkoły, to jeszcze na bal - zażartował ojciec.

Nadjechała taksówka. Był to stary Vanguard z małą szybką z tyłu i jednym niemodnym zegarem podzielonym na trzy części, pokazującym szybkość, temperaturę wody i stan oleju. Jaon odwrócił się za siebie. W okienku znikwały, jak pomniejszone, ulice. Wdychał najukochańszy zapach: skórzanych siedzeń, benzyny i smaru.

- Chyba zacznę się interesować tylko samochodami - oświadczył Jaon.

- Żołnierze pójdą w kąt? - spytał z nieoczekiwanym żalem ojciec.

- Już mi się nudzą. Bo rzeczywiście, nawet jeśli z husarii zrobię paradny pułk podchorążych, przebranych w stare pancerze, to i tak będę musiał zbierać już tylko współczesne wojsko polskie, a Indian, Abisyńczyków i Legionistów schować.

- Legioniści - wtrącił ojciec - mogą to być kombatanci, którym zezwolono na noszenie dawnego umundurowania w uznaniu ich zasług, na pamiątkę Józefa Piłsudskiego, który chodził, nawet jako marszałek, w szarym stroju strzeleckim.

- Tato - zawołał Jaon - wśród Legionistów jest jeden, który jest tobą. On nigdy nie ginie.

Ojciec spojrział dziwnie na Jaona i sięgnął charakterystycznym gestem po portfel do tylnej kieszeni spodni. Byli na miejscu.

Jednocześnie zajechała inna taksówka i wysiadło z niej czworo dzieci w różnym wieku, z nianią. Wchodzili razem po schodach. Najmniejszy chłopiec krzyczał:

- Ja! Ja! - po czym nacisnął dzwonek i trzymał go dokąd nie utworzono.

Banda dzieci wpadła jednocześnie, potem rodzice Jaona, potem niania tamtych dzieci, na końcu Jaon. Nika wybiegła ich powitać. Nie wiadomo dlaczego Jaona przykro zaskoczyło, że była ubrana w krakowski strój, z obcisłym czarnym gorsecikiem, wyszywanym cekinami, białą bluzkę z pękiem różnokolorowych jedwabnych wstęg wszytych na ramieniu. Na głowie miała wianek z jesiennych, bladych stokrotek. Wydała się Jaonowi obca, daleka, wyższa niż ją zapamiętał, rozogniona zabawą Nie poświęciła Jaonowi ani ułamka sekundy dłużej, niż pozostałym czworgu dzieciom, odwróciła się i pobiegła w głąb mieszkania wołać rodziców.

Nie wróciła z nimi. Jaon stał z dorosłymi w przedpokoju, aż pani Woynicka wzięła go za rękę i doprowadziła do progu saloniku. Meble były odsunięte pod ściany. Oszałały tłum dzieci wirował w takt muzyki, którą wygrywała przy fortepianie nieznajoma pani. Dzieci pozornie tańczyły, suwając nogami, wpatrzone w swoje stopy. Niektóre podskakiwały potrącając inne tak silnie, że te padały. Podnosiły się natychmiast nie tracąc chwili czasu i włączały się w pląsający tłum.

"Jestem spóźniony. One się od dawna bawią Poza tym to dzieci" - myślał Jaon i zaraz skarcił się słowami matki: - "Ty też jesteś dziecko". Wiedział, że wydostawszy się na plac, skąd odchodziły tramwaje we wszystkie strony, wsiałby do "17" i dojechał pod dom. Widząc ten tramwaj na Marszałkowskiej myślał, by jechać do Niki. Siedemnaście należało do pierwszych dwucyfrowych liczb, które zapamiętał, było tajemniczą liczbą, która łączyła się z Niką. Mógł też zatrzymać taksówkę, powiedzieć, że się zgubił, podać adres i Maniunia zapłaciłaby za kurs. Może kierowca dałby mu potrzymać kierownicę? Ośmieszylby się: - "Ten chłopczyk, co uciekł z kinderbalu, ten sam co chciał uciec pierwszego dnia ze szkoły" - mówiono by o nim. Nie było ucieczki od tego i z tego miejsca.

- Piękny jest widok tańczących dzieci - powiedziała jakaś pani, wyniosła i obsypana klejnotami. - To, że są tak bezradne w tańcu, i tak drepczą i mają nieskażone poczucie rytmu.

Jej mąż kiwnął głową. Trzymał w ustach niezapalone cygaro. Potem poszli do gabinetu pana Woynickiego. Był tam brydż dla rodziców. Dochodził stamtąd radosny gwar. Rodzice bawili się lepiej, niż dzieci. Gdy otwierano tam drzwi, napływał zapach drogiego tytoniu i perfum. Tu pachniało przyjęciem dzieci - ich potem, tak przesyconym jeszcze mlekiem, że przypominał woń skwaśniałej śmietanki, czuć było też wanilię, sok pomarańczowy, kakao, zapachy szczęścia.

Spojrzał na wielki stół, na którym stał bufet dziecięcy: torty, ciasta, gorąca czekolada, soki, nadziewane wafle. Niektóre dzieci, przez nieporozumienie, czy gorliwość rodziców, przyszły przebrane, jak na bal kostiumowy. Były dwie królowny w koronach, z berłami, trzy wróżki, które zaglądały dzieciom w ręce. Jedna mówiła każdemu: - "Będziesz bardzo szczęśliwy i bardzo bogaty, będziesz miał dużo dzieci i żył będziesz sto dwadzieścia jeden lat". Liczbę

wymawiała jednym ciągiem, nie wiedząc, co znaczy. Niektóre dzieci przysły ze swoimi lalkami i misiami i teraz ścisnęły je bezradnie. Chłopczyk, który też nie tańczył, miał misia większego od siebie.

"Gdzie Nika?" - myślał Jaon. Wprowadzono małego chłopczyka, który nie puszczał ręki matki. Była bardzo przejęta. Wydawało się, że się boi. Przemogła strach i klasnęła w ręce:

- To mały Kacperek - krzyknęła, chcąc przedstawić dzieciom swojego syna, zwrócić na niego uwagę.

Dzieci uśmiechały się do niej, ale nie przerywały tańca. Kacperek rozplakał się głośno. Jego matka spojrzała zrozpaczonego wzrokiem, a chłopczyk rzucił się do niej, ukrył twarz w jej spódnicy i szlochał. Trzeba było go wyprowadzić w głąb mieszkania.

Niki nie było widać wśród tańczących, ani z rodzicami. Jaon wyobrażał sobie, że Nika nie będzie go odstępować, i będą, jak dorośli, którzy są zaręczeni. "Więc to koniec. Muszę ją przestać kochać" - myślał i chciał się rozplakać, jak mały Kacperek. W tym momencie Nika zjawiała się, jak przywołana myślami.

- Nie tańczysz? Nie bawisz się? - spytała. - Zatańcz ze mną powiedziała. Wzięła go za rękę i wprowadziła w krąg tańczących. Nie przyznał się, że nie umie tańczyć. Nika, widząc jego bezradność, objęła go lekko i poprowadziła. Ale nie patrzyła na Jaona. Rozglądała się, sprawdzając, czy wszyscy dobrze się bawią. Przysłała ją matka, czy tak przejmowała się rolą pani domu? Po chwili palce Niki wysunęły się z jego rąk, zostawiła go wśród tańczących i podeszła do matki Kacperka. Kacperek był czerwony na twarzy, świeżo umytej, bo aż świeższej, ściszonej i uspokojonej, ale jego matka robiła wrażenie, że boi się bardziej, niż przedtem. Jeszcze bardziej przestraszyła się, gdy Nika chciała zabrać Kacperka i tańczyć z nim. "Wyszukuje dzieci, które źle się tu czują i zabawia je" - stwierdził Jaon, dotknięty. Jego żal wzrósł gdy Nika dała się przekonać matce Kacperka. Odchodząc od nich, nie spojrzała w jego stronę, gdzie zaciągnięty przez nią, udawał, że tańczy w kręgu dzieci. Nie zwracał na nie uwagi, pochłonięty myślą o obojętności Niki. Troszeńkę chciało mu się płakać, ale inaczej, innym płaczem, niż w chwili, gdy tu przyszedł. Nie chciał biec do rodziców, skarżyć się matce. Pani przy fortepianie przerwała grę, wstała i zaklaskała. Otworzyły się drzwi od gabinetu pana Woynickiego i rodzice, poprzedzeni przez panią Woynicką, wkroczyli do salonu. Pani Woynicka zawołała:

- A teraz każde z dzieci da występ. Może to być wierszyk, piosenka, bajka, najkrótsza nawet. Zaczniemy od występu pani domu czyli mojej Niki, która ze swoim kolegą - tu Jaonowi serce zatrzymało się na chwilę bo myślał, że chodzi o niego - a także sąsiadem Markiem de Vries odtańczy przygotowaną przez siebie inscenizację sceny pasterskiej. Ona będzie pasterką, Marek myśliwcykiem. Proszę!

Nieznamąca pani siadła do fortepianu i zagrała. Wydała się Jaonowi jeszcze bardziej obca. Dzieci cofnęły się, zostawiając miejsce.

Ukazała się Nika z laską swojego ojca w ręku, zakręciła się w

tańcu, jednocześnie udając, że popędza niewidoczne stado owiec:

- "Owieczki, wy moje owieczki
Nie uciekajcie, nie trąpcie
Biednej dziewczeczki"
Uniosła spódniczkę i śpiewała:
- "Dla mnie łąki takie piękne
Dla was to przysmak.
Ja uplotę sobie wianek
Wy jedzcie te kwiaty, owce moje
W ten cudowny ranek"

Schyliła się i udawała, że plecie wianek. Od fortepianu rozległy się gwałtowne dźwięki. Nieznajoma pani waliła w klawisze.

- "Strzelają, strzelają,
co ja zrobię nieszczęsna.
Kula mnie trafi zabłąkana
Owieczki stracę do rana"

Przez tłumek widzów przedzierał się, jak przez krzaki, klucząc, udając, że błądzi myśliweczek, w tyrolskim kapeluszu i z prawdziwą strzelbą

- "Ach nie zabijaj
mnie ani owieczek
Myśliweczku mój okrutny
Dam ci jagniątko maluchne"

Nika pobiegła do Myśliweczka i zaczęli przyglądać się sobie i okrążyć w tańcu.

- "Śliczna jesteś pastereczko" - śpiewał Myśliweczek.
- "Dzielny jesteś Myśliweczku" - odpowiedziała mu Nika i za chwilę tańczyli objęci, ona z laską, on ze strzelbą. Nika zdjęła kapelusz myśliweczкови, rzuciła nim w dzieci i założyła mu swój wianuszek. Pani zaczęła walić w klawiaturę, aż trząśł się dom. Rozległy się szalone brawa rodziców, dzieci podskakiwały.

- Dlaczego nie było wilka? Ktoś powinien być wilkiem! - mówił do Jaona chłopczyk z misiem, ale Jaon nie odpowiedział zajęty swoim bólem.

"Po co robiła ślub jego ukochanego misia z jej ukochaną lalką? Nie chcę widzieć Niki!" - postanowił i w tej samej sekundzie przypomniał sobie, że Nika jest córką zwierzchnika i przyjaciela jego ojca. Będzie musiał ją widywać. Ta konieczność sprawiła mu ulgę.

Małżeństwo, które komentowało wydarzenie znów stanęło za Jaonem. Pani powiedziała:

- Coś mi mówi, że mała Nika kiedyś wyjdzie za tego Marka. Ten chłopczyk jest wyraźnie w niej zakochany, choć tego sobie nie uświadamia. Zobaczysz, nie minie piętnaście lat i będą

małżeństwem.

Jaon, jak nieprzytomny, myślał w kółko o zdradzie Niki. Nagle usłyszał swoje imię. To pani Woynicka patrzyła w jego stronę wołając:

- A młody pan Jaon? Chce uniknąć występu? Nie chce nas zadziwić? Nie chce się podzielić tym, co umie?

Przy pani Woynickiej stała jego matka. Bała się teraz bardziej niż matka małego Kacperka, gdy wprowadzała go w krąg dzieci. Dawała mu jakiś znak wzrokiem. Jaon nie znał żadnego wierszyka. Przyszła mu głupia myśl, by powiedzieć początek swojej powieści o Mangu i Blangheiterze, ale to była tajemnica. Wtedy przypomniała mu się noc gdy rodzice tłumaczyli z francuskiego wiersz. Oczekiwanie na jego występ przedłużało się, chrząknął, nie wiedząc, co się z nim dzieje, powtórzył machinalnie, nie rozumiejąc, co mówi:

- "Ciało tve bielsze alabastru
Nad kryształ przejrzystsze
Od źródeł Loary jaśniejsze i czystsze
Pachnące mocniej niż las róż
Uformowane piękniej od marmuru
Ręką Fidiasza i bardziej chłodne.
Puchu łabędzicy lżejsze
Od płatków zawiei bardziej ulotne.
Całe jest śniegiem gór
I królewską purpurą
Której dotknąć nie umiem".

Jaon skłonił się. Zapadła cisza. Pierwsza zaczęła bić brawo pani od fortepianu, do niej przyłączyła się pani Woynicka, a za nią reszta rodziców. Wtedy i dzieci zaczęły klaskać, a potem znów zapadła cisza. Jaona otoczyli dorośli, jakby chcąc go oddzielić od dzieci.

- Piękny wiersz - mówił pocieszającym tonem pan Woynicki.

- Skąd synek państwa go znał? - spytała matkę Jaona pani, która przepowiedziała małżeństwo Niki z Myśliweczkim.

- Myśmy z mężem dla zabawy tłumaczyli ten wiersz, syn słyszał nasze dyskusje.

- Czy właściwe jest wyrażenie, że coś tam - nie chciała wymówić słowa "ciało" jest "bielsze alabastru"? - spytała pani.

Nagle Jaon spostrzegł wбите w siebie czyjeś błękitne oczy, najbardziej niebieskie, jasne i otwarte ze wszystkich oczu. Była to nieśmiała, mała dziewczynka w białych pończoszkach, z białymi kokardkami we włosach. Dziewczynka nie opuszczała ani nie odwracała wzroku, nawet gdy zauważyła, że Jaon patrzy na nią. W tym była śmiała. Chciała, by ją spostrzegł, zapamiętał, może na całe życie. Może - pomyślał - dziewczynka daje mu znak, że kiedyś, jako dorośli na pewno się spotkają i umawiają się wzrokiem na jakąś przyszłość, za piętnaście, czy więcej lat. Było to pożegnanie na długi czas, bo zaraz dziewczynkę zabrano, a i rodzice Jaona zaczęli się żegnać. Pan Woynicki wyszedł do

przedpokoju i długo ścisnął rękę ojca Jaona, widać, by dać mu do zrozumienia, że wyskok Jaona dla niego nic nie znaczy.

- Wszystkie dzieci się bały i wszyscy rodzice się bali - powiedziała matka w taksówce. - Dziewczynki były takie prześliczne, tak niezwykle pomysłowo, tak starannie ubrane. To wszystko łączyło się w baśniowy obraz. Te delikatne, przewrażliwione twarzyczki. Jak im się życie ułoży? A ty jesteś jakiś smutny?

Narastał w nim żal, jeszcze większy, teraz obejmował nim matkę za to, że tak kocha Nikę.

Dwa razy usypiał i dwa razy budził go sny. Rodzice cicho rozmawiali. Nie wołał matki. Wiedział, że nocne wołania niepokoją ją, a jednak uważał, że ją tym karze. Powinni teraz stanąć po jego stronie i wychodząc od państwa Woynickich powinni powiedzieć stanowczo: "Po tym, co państwa córka zrobiła naszemu synowi, nie będziemy mogli się z państwem nigdy zobaczyć". Matka, jaka dobra, zauważyła jednak, że Jaon jest smutny! Ale nie spytała dlaczego ani nie chciało się jej domyśleć dlaczego. Rodzice, obojętni, mówili o wuju Rudolfie:

- ...dziwne były jego zniknięcia w czasie wakacji. Niby usuwał się, byśmy mieli dom do swojej dyspozycji, czy żeby nie być na naszym utrzymaniu? To znaczy, że ktoś mu pomaga, nie daj Boże, utrzymuje?

- Kobieta? - spytał ojciec.

- Kobieta, do której on się nie przyznaje. I to mnie niepokoi.

- Spytać go?

- Zaprzeczy i zakonspiruje się lepiej. A tak sądzi, że niczego nie zauważyliśmy.

- Czasy się zmieniły. Czy każdą kobietę, z którą flirtuje ma przedstawiać siostrze? Może tam jest jakaś tajemnica? To może mężatka?

- On najlepiej się czuje z takimi kobietami jak Maniunia, które go uwielbiają, bezkrytycznymi. Unika Leny, bo boi się, że musiałby stać się taki, za jakiego go bierze Lena.

- A nie jest taki? Ja go mam za kogoś niezwykłego. Tylko wy, w waszej rodzinie, znacie te subtelności; inni przeżyją życie i nie dowiedzą się, że istnieje świat najdrobniejszych drgań, odcieni, czy może intensywności odczuwania, która pozwala widzieć i czuć wszystko, nawet mieć świadomość śpiących na drzewach ptaków.

- Dziękuję ci - powiedziała cicho matka.

Zapadła cisza, po której znów odezwała się matka:

- Parę dni temu Łatyńska wyszła ze sklepu, prosiła, by jak najwięcej u niej kupować, bo grozi im bankructwo. Ludzie oszczędzają, a ich asortyment jest zbyt luksusowy. Mówi, że kupuje już tylko kilkanaście rodzin, inni oglądają towary i odchodzą. Ma jakąś grę, dzięki której sprzedaje więcej słodyczy. Kupno tabliczki czekolady, czy bombonierki jest rodzajem biletu w tej grze.

- Nie lubiłaś jej?

- Raczej ona mnie nie lubiła. Teraz przekonała się do mnie.

- Może liczyła na bogatszą klientelę niż my?
- Wracając do Rudolfa: co by było, gdyby spotkał pannę Świdwińską?
- spytała matka.
- Nie mogę swobodnie odpowiadać. Mam poczucie, że Jaon słucha. Rudolfowi to nie grozi. Panna Świdwińska, mimo że Rudolf jest piękny, nie spozrzałaaby na niego, a on, spojrzawszy na nią, uciekłby. Lena, mimo że jest nieśmiała, przyjechała do Rudolfa, nocowała w tym samym domu. Panna Świdwińska jest napastliwa, ale tchórzliwa. Ryzykuje, bo boi się. Chce mieć poczucie bezpieczeństwa, uwolnić się od lęku, dlatego szuka coraz zamożniejszych mężczyzn. Ci wprowadzają ją w swoją sferę i wtedy ona zaczyna pragnąć czegoś więcej. Brat mówił mi, że panna Świdwińska prosiła go, by jej kupił futro: "Nie wyjdę w zimie na ulicę. Nie ze strachu przed zimnem, ale przed spojrzaniem ludzi, którzy taksują mój płaszcz".
- Dlaczego ci to mówił? - spytała matka.
- Chciał pożyczyć tysiąc złotych na to futro. Inaczej nasza szwagierka zauważyłaby ubytek z konta. Chciał nawet płacić mi procent, w wysokości bankowego.
- Dziwnych mamy braci - westchnęła matka. - Jednego listu Justyny nie dałam ci do spalenia - powiedziała matka. - Czy mógł przyśpieszyć śmierć mojej matki?
- Justyna była prawie tak piękna, jak ty.
- Justyna była piękna. O mnie mówiono, że jestem śliczna.
- Justyna cierpiała z twojego powodu.
- Miała to nieszczęście, ten haniebny zwyczaj porównywania się z innymi. Można było przychwycić jej spojrzenia: oglądała moje bućki, a potem przenosiła wzrok na swoje. Tak samo, jak przeglądała się w lustrze, szukała potem oczyma mnie, sama sobie nie wystarczała.
- Twoja matka wiedziała o tym?
- Wiedziała więcej niż wiem, nawet teraz. Wysłanie tych listów chorej matce było okrucieństwem. Powinna była mnie je wysłać.
- Przeczytaj mi ten list, a potem go spalimy.
- Jeszcze trochę go będę miała. Pozwalasz?
- Oczywiście, pozwalam.
Rano Jaon obudził się ze świadomością, że pójdzie grać do sklepu Łatyńskich. Przedtem była szkoła, religia, którą prowadziła katechetka, uczesana w kok, jak zakonnica, w modnym kostiumie z krótką spódnicą, w szarych cieniutkich pończochach. Była najładniejszą z nauczycielek i Jaonowi przeszkadzało to słuchać o stworzeniu świata, Adamie, Ewie, Noem, Mojżeszem, Jonaszem. Na drugiej lekcji chłopcy rysowali wybrany temat. Jaon wybrał Jonasza. Katechetka wzięła jego rysunek:
- Rybę narysowałeś podobną do łodzi podwodnej. Jej ogon przypomina ster, skrzela - przewody wentylacyjne. Brzuch ryby - kajutę. Poszedłeś tak daleko, że umeblowałeś ją, jak salon. Prorok siedzi przy stoliku na krzeselku i coś pisze, czy rysuje. Wygląda jak kapitan okrętu czyli ryby. Czekają aż będzie mógł ją opuścić. Jest w tym myśl! Niektórzy komentatorzy Pisma Świętego twierdzą, że Bóg

kazał rybie połknąć Jonasza, by go ocalić przed utonięciem. Jednak ten rysunek wydaje mi się niereligijny. Dlatego podrę go. Narysuj drugi, jak Mojżesz przechodzi przez Morze Czerwone.

- A kiedy Pan Jezus przekonał się, że jest Synem Bożym? Zaraz po przyjsciu na świat? Czy gdy był małym chłopcem? - spytał Jaon.

- Tego nie wiemy. Rysuj.

Jaon wziął czerwoną kredkę i zaczął malować fale. Katechetka pochyliła się nad nim. Jej tchnienie było miłe, od ciała bił zapach mydła bżowego.

- Drogie dziecko, za dosłownie bierzesz nazwę Morza Czerwonego. Do rysowania wody morskiej musisz użyć kredki niebieskiej i zielonej, jedną na drugiej.

Gdy zaczął trzeci rysunek, zadzwoniono na koniec lekcji. Jaon wypadł przed szkołę. Była tu już matka i Maniunia. Szli razem na zakupy. Było mu dziwnie nie żal Dziurzyny i cieszyło go, że wróciły dawne czasy, jak przed szkołą, gdy szli we trójkę tą ulicą. Kochał dwa rzędy młodych drzew zacierających chodnik, wszystkie sklepy, reklamy, neony.

Pani Łatyńska powitała ich w drzwiach i poprowadziła do drugiej sali, gdzie stała gra: pudło w kształcie gigantycznej tabliczki czekolady. Jego powierzchnia podziurawiona była otworkami. Rok temu Jaon powiedziałby, że jest ich milion. Obok stał pulpit z siedmioma różnokolorowymi wtyczkami, z napisami "Czekolada", "Mieszanka cukrowa", "Słodkie ciasta", "Lody", "Owoce w cukrze", "Chałwa", "Błoki słodkie". Wykupiwszy czekoladę, miało się prawo uruchomienia pulpitu i włączenie wtyczki w jeden z otworów. Jeśli padła wygrana, ogłaszała ją lampa nad pudłem. Gdy zapala się na pomarańczowo - wypada brązowa wygrana, taka kulka, których, jak objaśniała pani Łatyńska, było sto. Jeśli na biało - srebrne i tych było dziesięć oraz na czerwono - złota, jedna jedyna!

- Czy to dobrze uczyć dzieci hazardu? - zwróciła się matka do pani Łatyńskiej. - To jakby podać im kieliszek alkoholu.

Na te słowa Maniunia przeleżała się i odeszła.

- W tej grze jest więcej prawdy niż pani myśli - powiedziała z goryczą pani Łatyńska. - Nie jedno dziecko nawet tu się popłakało, ale potem się śmiało.

- A prąd nie chwyci z tych przewodów? - spytała matka.

- Nie. Wszystko jest w najwyższym stopniu bezpieczne. Zresztą to prąd słaby, z baterii. Ile podać czekolad?

- Trzy - powiedziała matka.

Gdy pani Łatyńska odeszła, matka szepnęła do Jaona:

- Gra jest oszukana i złota kulka nigdy nie wypadnie.

Wróciła pani Łatyńska z czekoladami. Jaon wiedząc, że ma tylko trzy trafienia, zastanawiał się, którą wtyczkę wziąć. Lubił tylko lody. Wziął więc wtyczkę "Lody", wcisnął w otwór w samym rogu pudła. Coś zahuczowało w maszynie, ale lampa się nie zapaliła.

- Przegrana - powiedziała pani Łatyńska.

Jaon wziął ten sam drut i włączył wtyczkę po przeciwnej stronie tablicy. Znowu maszyna wydała głos, ale lampa się nie zapaliła.

- Znowu nie - powiedziała pani Łatyńska z odcieniem radości, jakby

była graczem, który wygrywa.

- No, synu, ostatnia szansa.

Jaon wyznaczył sobie dziurkę w samym środku, jako cel. Ledwie dotknął wtyczką tego miejsca, maszyna zacharczała gwałtownie, lampa zapaliła się na pomarańczowo i zaczęła mrugać, a z boku wypadła brązowa kula.

- Zwycięstwo? - wykrzyknęła radośnie pani Łatyńska. - Wygrałeś torcik wafłowy.

Matka Jaona wybuchnęła śmiechem.

- Mamo, kup jeszcze jedną czekoladę - prosił Jaon.

- I co zrobimy z tymi czekoladami? - spytała matka. - Spleśnieją w kredensie?

- Mamo - prosił Jaon rozgniony i przejęty. - Bardzo mi na tym zależy.

- Skąd takie wrażenia u dziecka? - zwróciła się matka bezradnie do pani Łatyńskiej i wyjęła pieniądze.

Pani Łatyńska podała czekoladę, a Jaon zobaczył miejsce, które go wręcz wołało, włączył wtyczkę, maszyna aż zawyła. Zapaliła się przeraźliwym białym światłem i z boku wytoczyła się srebrna kula. Pani Łatyńska objawiając przesadną radość pobiegła w głąb sklepu. Po chwili wróciła z tortem owocowym niezwyklej wielkości, opakowanym w celofan. Jaon nie zwrócił na tort uwagi. Skupiony, spytał matkę:

- Mamo wygrałem tyle, że możesz mi dać jeszcze raz wygrać.

- Synu, nic nie wygrałeś. Myjemy tylko torty pieczone w domu.

- Ja proszę!

- Wygrałeś. To jest moment, by przerwać grę.

- Mamo, ale ja cię proszę.

- Nie ma mowy - wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę drzwi.

- A wygrane? - wykrzyknęła pani Łatyńska zdziwiona, że Jaon się nimi nie interesuje.

- Maniuniu, proszę to zanieść do domu - pokazała torty i czekolady matka.

Jaon chwycił się framugi drzwi sklepu:

- Mamo, będę dalej grał.

Matka szarpnęła go mocno, wyciągnęła ze sklepu i już na ulicy, ukradkiem dała mu klapsa w rękę. Jaon zagryzł wargi. Spacer był zepsuty. Matka gniewała się na Jaona, Jaon był na nią obrażony.

- Synu - odezwała się matka - wiem do czego dążysz. Chcesz wygrać główną wygraną. To niepodobieństwo. Jak przyjdziemy do domu, to ojciec obliczy nam, jak jest mała szansa na taką wygraną. Tych dziurek jest po dwieście w rzędzie, a rzędów ze sto. To daje dwadzieścia tysięcy otworków. A wtyczek jest siedem. Musiałbyś siedemdziesiąt tysięcy razy zagrać, by mieć pewność wygranej.

- Mamo, gram lodami, bo jestem pewien, że wszyscy grają czekoladą. I pierwsza w rzędzie jest czekolada, bo ci, co układali grę, tak to umieścili. Gdybym robił taką grę wybrałbym otwory z boku najmniej zwracające uwagę i lody. Każdy myśli o wygranej i przez to nie chce wygrać czegoś, co się zaraz roztopi, więc bierze czekoladę, tort, chałwę, czy bloki.

- Synu, uszczęśliwiasz mnie tym, co powiedziałaś. Pozwalam ci jeszcze raz zagrać.

- To wracamy - powiedział Jaon.

- Boisz się, że w tym czasie ktoś może wygrać złotą kulę?

Jaon ciągnął matkę tak, że prawie biegła. Gdy wpadli do sklepu, ku swojemu zaskoczeniu zastali Maniunię, która płakała. Pani

Łatyńska, zmieszana powiedziała:

- Uparła się jak dziecko, żeby grać. Przysięgam, tłumaczyłam: "po co ci dziewczyno torcik?"

- E tam, inaczej pani mówiła - szlochała Maniunia.

- Którym przewodem grałaś? - spytał Jaon.

- A bo ja wiem? - zapłakała Maniunia.

- A skąd wzięłaś pieniądze? - matka wiedziała, że Maniunia nie ma ani grosza, wszystko ulokowała na książeczce i zdarza się jej biec na pocztę z dwoma złotymi, by je ulokować.

- Pożyczyłam z paninych - odrzekła Maniunia. - Niech tylko się pani nie gniewa. Za godzinę oddam.

- Tak, niech się pani nie gniewa - wtrąciła Łatyńska.

Czy matka, rozgniewana na Maniunię, nie cofnie obietnicy? Ale porywczo wyjęła z torebki portmonetkę, a z niej srebrną monetę.

- Ach wy pożałowania godni hazardziści!

Jaon popędził do gry, gorączkowym ruchem włączył pulpit i wyciągnął wtyczkę z napisem "Lody". Jeszcze w parku obmyślił sobie,

gdzie ją włączy. To miejsce wyglądało inaczej niż je zapamiętał.

Było tam wiele więcej punktów do włączenia. Zawahał się i na oślep, pchany pośpiechem, wcisnął wtyczkę. Maszyna odpowiedziała ciszą. Jak to? To niemożliwe. Tu miała być główna wygrana.

Zawrócił do pierwszej sali sklepu.

- Mamo, daj na jeszcze jedną czekoladę. To będzie ostatnia.

Obiecuję, błagam.

- A mówiłam byś przerwał z chwilą wygrania srebrnej kuli? Nie wystarczyło ci?

- Mamo, błagam cię - powiedział ostrzegawczo Jaon.

- Co to znaczy? - krzyknęła matka. - Co to za ton?

- Niech pani pozwoli, że dam Jaonikowi na czekoladę. Oddam pani potem. Tyle i tak straciłam - zaszlochała Maniunia.

- Jak Maniunia jest niemądra, by pakować swój posag w grę o wyschnięty tort czekoladowy, to niech Maniunia ma żal do siebie, zostawszy starą panną.

- Jak mam iść za posag, jak ciebie na rzeź, to niech tak będzie, jak jest - podała Jaonowi dwuzłotówkę.

Jaon czuł, że to jest ważna chwila. Maniunia też postawiła na niego.

Matka patrzyła z niepokojem: jeśli Jaon wygra, będzie to zaprzeczeniem jej przestrogi, jeśli przegra, będzie złą zapowiedzią na przyszłość. Znał już maszynę. Wydawało mu się, że jest mu posłuszna. Znalazł jej słabe miejsce. Były to trzy, czy cztery otwory, które wydawały mu się najmniej zwracające uwagę. Nie tracił nadziei, że jeśli i teraz przegra, dostanie od Maniuni

jeszcze dwa złote, bo przecież Maniunia jest pewna, że matka jej zwróci pieniądze dane Jaonowi.

Uruchomił maszynę, wziął włącznik i bez namysłu wcisnął w miejscu, z którego wydawało mu się, wypadnie złota kula. Ale maszyna milczała martwo i nie odpowiedziała. Jaonowi wydawało się, że się zacięła, czy zabrakło prądu. Odwrócił się, szukając pomocy u trzech kobiet: matki, Maniuni i pani Łatyńskiej, które patrzyły tak różnymi spojrzeniami na niego, jakby były trzema odmiennymi gatunkami istot. Wydało mu się, że pani Łatyńska bardziej od jego matki pragnie, by przerwał grę.

- Maniuniu, dawaj dwa złote - rozkazał Jaon.

Maniunia obejrzawszy się ukradkiem i ze strachem na matkę Jaona podeszła i podała mu monetę.

"Tak, to to miejsce" - pomyślał Jaon, uruchomił maszynę, ale w zapamiętaniu nie spojrzął, który drut z wyłącznikiem bierze z pulpitu. Zdał sobie sprawę z tego, gdy było już za późno, ale jednocześnie maszyna zawyla aż się przestraszył, lampa zaczęła przeraźliwie błyskać czerwonym światłem. Z boku maszyny wytoczyła się na swój tor złota kula. Maniunia rzuciła się ku Jaonowi, porwała go i uniosła w górę.

Matka kręciła głową, była szczęśliwa i niezadowolona; owa częsta u matki jednoczesność sprzecznych uczuć. Pani Łatyńska podeszła do matki Jaona:

- Błagam, niech pani odda wygraną. Sama pani mówiła, że tort nie ma dla pani znaczenia. Że państwo takich nie jadają. Jak odpadnie gra, nie sprzedam już nic czekolady, bo ona, powiem w tajemnicy, nie idzie dobrze, a od niej mam wysoki procent. Bez niej będziemy zrujnowani.

- Zobaczymy, co powie Jaon - szepnęła w odpowiedzi matka do pani Łatyńskiej. - Jaoniku - zawołała do Jaona - oddaj pani ten tort, co wygrałeś. Pani będzie bardzo biedna i będzie miała wielkie przykrości z tego powodu, że wygrałeś główną wygraną, rozbiłeś bank, jak to się mówi.

- Mamo, to znaczy, że pani Łatyńska włoży z powrotem złotą kulę i ktoś drugi raz ją wygra? - zapytał Jaon rozczarowany, do rozpacz.

- Cóż synku, z pani słów wynika, że tak właśnie jest. Ostrzegałam cię. Widzisz sam, że wygrana nie ma znaczenia. Bądź wspaiałomyślny. Nie zabierajmy tego tortu.

Ale fakt, że zabawa była zepsuta, że ktoś inny, a po nim może ktoś następny, nie wiedząc o Jaonie, czułby się zwycięzcą, przepełnił go gniewem, prawie nienawiścią do pani Łatyńskiej:

- Ona nie chciała nam sprzedać papugi.

- Już daję ci papugę - wykrzyknęła pani Łatyńska i chciała biec w kierunku okna wystawowego.

- Nie! Nie! - krzyczał Jaon, wyprowadzony z równowagi. - Nie chcę papugi! Chcę wygraną.

Matka Jaona zrobiła bezradny gest. Pani Łatyńska opuściła głowę, skierowała się na zaplecze sklepu. Po chwili pojawiła się z tortem, który zasłaniał jej widok. Musiała wychylać się za niego, by nie zawadzić o lady i lodówki. Na szczycie ogromnego wyrobu

podobnego do koła młyńskiego umieszczono alegoryczną figurę z marcepanu, przedstawiającą tryumf. Ta postać dęła w trąbę, trzymając stopę na rogu obfitości.

- Ten tort może długo stać - powiedziała boleśnie pani Łatyńska.

- I będzie stał, aż się zupełnie nie zeschnie - powiedziała matka patrząc na Jaona i dając mu znak wzrokiem, by zmienił swoją decyzję.

Jaon był nieustępliwy. Wreszcie matka wzięła mniejszy tort, Maniunia większy, Jaon stosy czekolady i wyszli. Na ulicy za nimi się oglądano. W domu matka pokazała Maniuni miejsce na dole kredensu. Tam wepchnęły torty. Maniunia nie nawiązywała do zwrotu przegranej przez siebie sumy, a matka jej o tym nie przypominała.

Nazajutrz Jaon obudził się czując owe lekkie nieprzyjemne podniecenie i widząc wszystko zbyt dokładnie, jak przez szkło powiększające, czy przez stojący na biurku przycisk z kryształu.

"Znów jestem chory" - pomyślał ze strachem i radością, bo omijała go szkoła. To był stan podgorączkowy, 37 i cztery kreski. Matka pozwoliła mu wstać, ale zostawiono go w domu. Znów było jak w zeszłym roku, który uważał za najpiękniejszy w swoim życiu.

Rozstawił wojsko, odsłonił firanki, by lepiej widzieć. Chmury pędziły po niebie nad przeciwległą oficyną. Gołębie przelatywały z jednej strony podwórza na drugą. Trzy dni, które spędził w domu nie różniły się od siebie. Czwartego dnia poszedł w towarzystwie Maniuni do szkoły. W drzwiach stał woźny i informował wszystkich, że szkoła jest zamknięta do odwołania z powodu epidemii wietrznej ospy. Trzeba telefonować do sekretariatu i dowiadywać się. Dokąd widział go woźny, Jaon szedł spokojnie, ale za rogiem ulicy chwycił Maniunię za rękę i zmusił do biegu.

W skrzynce tkwił list. Maniunia, która umiała się podpisać, poznała swoje imię i nazwisko; wyjmując go ze skrzynki i wręczając go matce Jaona, spytała czy to możliwe, że list jest do niej.

- Tak - powiedziała matka i zwróciła list Maniuni.

Ale ta podała go z powrotem:

- Pani mi przeczyta? - spytała.

Matka wzięła znów list, rozerwała kopertę i zaczęła:

- "W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pisz do Ciebie twoja ciotka Weronika Dziurzyzna. Droga Marianno!

Upłynął już spory kawałek czasu od kiedy rozstałyśmy się, ale tobie w mieście pewnie szybko zeszło. Ja zaś tutaj nie zapomniałam o Tobie. Nie mam już gniewu do Ciebie. List ten pisze pan w biurze pisania podań i listów w Bodzentynie. Rynek 4, a ty lepiej nie dawaj tego listu do odczytania pani, tylko służącej z pod 18 w klatce na przeciwko...".

Matka przerwała czytanie i oddała list Maniuni.

- Co ta Dziurzyzna? Całkiem zwariowała - Maniunia podała list z powrotem matce, która roześmiała się i czytała dalej:

- "...bo po co ma wiedzieć z góry, co ty wiesz i co zamierzasz.

Spieszę Ci donieść, że mnie oświadczył się wdowiec Fąfarka, ten z końca Leszczyn, ma 33 morgi ziemi, dwa konie, 2 krowy i sporo

kaczek, bo ma własny staw. Na jego majątku pracuje jego dwoje dzieci, więc nie jest ciężko, choć ma jeszcze troje małych. Ale ja mu odrzekłam, że nie w głowie mi ożenek, ale mam dziewczynę z posagiem 168 zł, obytą w służbie u porządnych państwa w Stolicy Warszawie. Powiedziałam mu, że na mur jesteś cnotliwa. Sam się przekona. Daj mi szybko odpowiedź. Co się masz poniewierać po służbie? Fafarka ma 43 lata, jego dzieci: 14, 12, 9, 6, 4 lata. On czeka niecierpliwie na odpowiedź. Kończę bo płaci się za kartkę pisanego. Twoja Ciotka Weronika Dziurzyna".

Matka złożyła list i oddała Maniuni.

- Co mam robić? - spytała Maniunia, przejęta.

- Niech Maniunia zostanie - wykrzyknął Jaon. - Co my zrobimy bez Maniuni? - podbiegł i objął ją. - Nie puszczę Maniuni.

- Jaonie, jeśli lubisz tak Maniunię, musisz myśleć, co jest dla niej dobre. Twoje życie potoczy się inaczej, a Maniunia musi mieć własne. Nie możemy jej przykuwać do nas.

- Jak dorosnę, wezmę Maniunię do siebie - obiecał Jaon.

- Cicho bądź. Będąc na miejscu Maniuni, dostrzegłabym w liście Dziurzyny wiele niedopowiedzeń. Ten Fafarka jest 15 lat starszy od Maniuni. Przesada z tą pracą dzieci. Najstarsze ma czternaście lat, a najmłodsze malutkie i wymaga opieki. Jest ich pięcioro i gdy dorosną, każde upomni się o swoją część i Maniuni nic nie zostanie.

- Ale ta kawalerka, co chodziła do mnie to już pożeniła się. W całej wsi zostało ze trzech, ale jeden jest przygłupek, a dwu to bandyci. Gdzie ja kogo znajdę? Służyłam, kiedy moje koleżanki szły za męża.

- Maniunia miała kogoś upatrzonego? - spytała matka.

- Nie. Nikogo - odpowiedziała dumnie, urażona, z nieoczekiwaną u niej twardością Maniunia.

- Czy nie wydaje się Maniuni podejrzane, że Dziurzyna tak od razu wynalazła kandydata Maniuni, a przez tyle czasu nic nie robiła? Podejrzewam, że Dziurzyna, obrażona żeśmy ją usunęli, chce, by i Maniunia odeszła.

- Pani ma świętą rację. Ale dla mnie tak lepiej. Bez tego nigdy nie zeswatałaby mnie. A jak mnie tam nie ma, to tylko ona może mnie zeswatać.

- Czy na liście Dziurzyny można polegać? Czy nie lepiej najpierw pojechać i sprawdzić, zobaczyć tego kandydata, te dzieci, to gospodarstwo? Dam Maniuni na podróż tam i z powrotem.

Maniuni stanęły łązy w oczach:

- Jaka pani dobra, ale pojedę. Najwyżej, jak mi się nie spodoba to wrócę.

- Ale ja muszę tu kogoś mieć. Muszę zaraz szukać kogoś na miejsce Maniuni.

Maniunia rozryczała się:

- Ja nie chcę pani opuszczać.

Matka milczała.

- A jeśli zrobię coś złego i pani słusznie mnie wyrzuci? Co ze mną się stanie? Jak nastalam do państwa stale się bałam. Tu mnie

straszą służące, że niejedna idzie na ulicę. Ja się tu boję być.
Niech pani obieca, że jak tam zostanę, pani kiedyś mnie odwiedzi.

- Więc Maniunia w ciągu kilku minut decyduje o całym życiu?

- Tak trzeba - odrzekła Maniunia.

Ustalono, że Maniunia zostanie do znalezienia następczyni.

Maniunia podyktowała matce Jaona list do Dziurzyny, w którym komunikowała, że przyjmuje propozycję Fąfarki i przyjeżdża w najbliższym czasie. Poprosiła, żeby matka pozwoliła jej zaraz pobiec rzucić list do skrzynki.

- Maniunia chce, żeby szczęknięła klapka skrzynki, jak przeznaczenie? - odezwała się matka.

Maniuni znowu napłynęły łzy do oczu.

- A czy nie lepiej zebrać większy posag i wtedy trafi się ktoś bogatszy? - spytała matka.

Maniunia pokręciła głową, nie mogąc powiedzieć słowa. Matka uśmiechnęła się smutno, dała jej znak, by szła. Maniunia okryła się chustką, której już dawno nie wyciągała i wybiegła.

- Widzisz Jaonie - powiedziała matka - tylko zebrała posag, zresztą niewielki, i już nas opuszcza.

Jaon czuł nowy ból. Łagodził on cierpienie po tym, kiedy Nika tańczyła z Myśliweczką. Żal z powodu straty Maniuni wydawał się ważniejszy, zarazem oba wydarzenia łączyły się ze sobą. Stracił Nikę i Maniunię. Miał jeszcze Alinkę w Marzeniowie, misia Karolcię. Schował wojsko, wziął Karolcię, zepchniętą w sam koniec pokoju. Miała tak samo wierne, pocziwe oczka. Jedno patrzyło z lekkim żalem: "porzuciłeś mnie".

Ojciec wrócił z banku z ważnymi wiadomościami, tak że nie chciał słuchać o odejściu Maniuni. Było to w chwili, gdy Maniunia podawała obiad i twarz jej się zmieniła, gdy ojciec powiedział nieuważnie:

- Jutro zadzwonię do agencji, to przyślą nam parę kandydatek.

Zobaczył łzy w oczach Maniuni:

- Nigdy w życiu nie będzie mi tak dobrze, jak u państwa - powiedziała i uciekła do kuchni.

- O dziesiątej rano - zaczął ojciec - doszła do nas wiadomość, że dziś mają nastąpić zmiany w rządzie, pozornie nieważne, ale wywołane milczeniem w sprawach polsko-niemieckich. I to zapowiadałoby rewelacyjną zmianę w naszym życiu. Ustąpił minister skarbu i cały ranek głównym kandydatem na jego miejsce był nasz prezes. Jego miejsce zająłby pan Woynicki. Automatycznie ja zostałbym dyrektorem generalnym kredytów długoterminowych. Sprawa Spółki "Vaucaire" przestałaby się liczyć: prezes musi zostawić silną i spójną dyrekcję. Telefonowano do niego: czy przyjąłby tekę i czy może zostawić natychmiast bank. Ale koło pół do drugiej ktoś wysoko zablokował jego kandydaturę. Nie wiadomo dlaczego, ale ja wiem: dlatego, że w sprawie Spółki "Vaucaire", księcia Hohenlinden i innych zajmował stanowisko ponadnarodowe. Gdyby słuchał Woynickiego, byłby ministrem. W takiej chwili ktoś łagodny wobec kapitału niemieckiego nie może znaleźć się w rządzie.

- To wasz tryumf z Woynickim - zawołała matka.

- Tryumf, który przyśpieszy nasz upadek. Będziemy przypominali prezesowi jego porażkę. Jutro przyjdą Woyniccy to omówić. Dzisiejszy dzień odblokował nasze stosunki. Miałem wrażenie, że pani Woynicka przyhamowała rozwój tej przyjaźni, przestraszona dziwnym wystąpieniem Jaonika.

- Tyle wystarczyło? Więc co warta jest ta przyjaźń?

- Myśmy zbliżyli nasze dzieci, by przełamały samotność. Teraz Nika chodzi do przedszkola. Nie potrzebuje Jaona. Wśród dzieci na kinderbalu robił wrażenie samotnika, gardził zabawą.

- Słyszysz Jaoniku? - powiedziała matka.

- Słyszę mamó - odrzekł Jaon.

- Jak wy ze sobą rozmawiacie? - wybuchnął nieoczekiwanie ojciec. - Co się dziwić, że Jaonik źle się wyróżnia wśród dzieci.

I nagle ojciec zawstydził się swojego wybuchu, wstał, podszedł do matki, pocałował ją w rękę i powiedział:

- Przepraszam. Dzisiejszy dzień był huśtawką. Z wyżyn runęliśmy w przepaść. Co w szkole?

- Maniunia co dzień tam zachodzi. Dalej wisi kartka. To zakrawa na żart. Albo Jaon jest chory, albo szkoła choruje.

Nazajutrz zgłosiła się pierwsza kandydatka na następczynię Maniuni. Wyjęła plik zaświadczeń. Matka czytała je:

- Ma pani ich dużo, bardzo dobre, ale z tej liczby wynika, że często zmieniała pani pracę.

- To były okoliczności losowe. U profesorstwa Tarnowskich byłam osiem lat, u prezesostwa Tępskich cztery.

Matka się jej przyglądała, a ona rozglądała się po mieszkaniu, nie ukrywając, że wszystko taksuje. Także Maniunia, przygotowująca przyjęcie dla państwa Woynickich weszła, by ją obejrzeć. Zmierzyły się wzrokiem. W oczach kandydatki na służącą pojawiła się pogarda, przeniosła wzrok na swoją ewentualną przyszłą panią:

- Gdybym ja tu miała nastać, będzie ogromna różnica w stosunku do tego, co jest teraz - uprzedziła wyniośle.

- To dziękuję pani - powiedziała matka.

Kandydatka wyszła. Maniunia zamknęła za nią drzwi z trzaskiem.

- Widzisz Maniuniu, nie powinnaś dopuścić, żeby tu królował ktoś taki.

Maniunia pokręciła głową:

- Nie mogę, proszę pani, nie mogę.

Państwo Woyniccy przyszli jak zawsze punktualnie. Jaon okazywał serdeczność Nice, był przecież zastępcą pana domu. Nika była inna dla Jaona niż na kinderbalu, ale też w ogóle inaczej się wyrażała i więcej mówiła niż dawniej:

- Jaonie, nudziłeś się na moim balu? Tak mówiła mama. Nie miałam czasu dla ciebie. Potem szukałam cię wszędzie. Ja też się nudziłam. Wszystkie dzieci rzuciły się na moje lalki, zaczęły nimi szarpać nie rozumiejąc, że one nienawidzą szarpania. Nie znały ich imion. Tak je poprzekładały, czy też one się przed nimi schowały, że nie mogłam trzech znaleźć. Mama powiedziała: "dzieci pojedynczo są cudowne, w tłumie to dzikie zwierzątka". Mama powiedziała, że bawisz się wojskiem. Ja jeszcze się nie bawiłam wojskiem. Pokaż

je. Możesz zrobić mnie porucznikiem? Ale ja nie umiem dowodzić - powiedziała Nika.

- Czuł, że Nika chce wynagrodzić mu, że zapomniała o nim w czasie balu. Może jej matka kazała Nice nadrobić niedopatrzenie wobec dotąd najbliższego kolegi? Czy zdawała sobie sprawę, że jemu chodziło o Myśliweczkę? Czy była wobec Myśliweczki taka, jak wobec niego? "Jeśli Nika kocha mnie, to nie wie o tym" - upewnił się Jaon. Wiedział, że nie wolno z nią mówić o tym, nie tylko dlatego, że powtórzyłaby matce, a wtedy państwo Woyniccy by zerwali z nimi, a ojciec mógł stracić posadę w banku, ale dlatego, że Nika spojrzałaby zdziwiona, nie rozumiejąc. Nie znała tego słowa. Wrócili do starszych, pierwszy raz, gdy tak wchodzili po zabawie, nie zwrócono na nich uwagi.

- ...pan nie musi odchodzić ze mną - mówił pan Woynicki - pana pozycja może się okazać silniejsza. Pan nie odpowiada za politykę wydziału, poza tym jest mit związany z pana osobą - zwrócił się do żony. - Pan Józef zaopiniował pozytywnie kredyt milionera produkującego maszyny rolnicze. Ten przyszedł do banku i zaprosił pana Józefa do "Europejskiego" na kolację. Wtedy pan Józef powiedział, że cofa swój raport i pisze inny, o tym wydarzeniu. "Panie - krzyknął milioner - odszczekam te słowa". "To niech pan szczeka". I ten wlaź pod biurko, ledwie się zmieścił, i warczał, skomlał, by udobruchać pana Józefa.

- Mężu drogi, ty jesteś przedenerwowany - wykrzyknęła z rozpaczą pani Woynicka. - Ty to już opowiadałeś!

- ...poza tym - mówił nie zwracając uwagi na żonę pan Woynicki - nastroje się zmieniają. Wiele osób uważa, że nie należy przekarmiać polskich Niemców. A to było pana stanowisko w sprawie Hohenlindena.

- Odchodzę z panem - rzekł ojciec Jaona.

- Wchodzi też w grę pewna mało prawdopodobna kombinacja - odrzekł pan Woynicki - że oni mnie obciążą całą winą, bo to ja nadawałem pana raportom, przecież bezstronnym, wagę, nie słuchając wytycznych z wysokości. Nie mając kogo mianować na moje miejsce, bo wie pan, jak trudno o kogoś zaufanego do tak trudnych spraw, zaproponują pana, pod warunkiem, że będzie pan przestrzegał ich linii.

- Nigdy! - wykrzyknął ojciec.

- Te słowa niech pan natychmiast cofnie. Nie jestem kimś aż tak bliskim dla pana, by pan narażał dla mnie swoją przyszłość.

- Gotów pan nawet mnie dotknąć, by uwolnić mnie od obowiązków wobec siebie?

- Nie ma pan żadnych obowiązków. To pan by mi je narzucił wobec siebie. Muszę się pana pozbyć w chwili, gdy będzie mi trudniej umieścić nas dwóch, niż siebie samego.

Ojciec spurpurowiał:

- Czy to nie jest próba szlachetnego odwrócenia sprawy, by zwolnić mnie od solidarności z panem?

- Nie - rzekł pan Woynicki.

- W tym banku nie można dokonać przewrotu? - spytała matka Jaona.

- Są przyjaciele męża z Legionów i POW.

- Przyjaciele pani męża nie wtrącają się w tę sprawę - odrzekł pan Woynicki.

- Nie mówmy o tym - odezwała się pani Woynicka, pokazała wzrokiem Nikę i Jaona.

Jaon był spokojny. Miał ufność w potęgę ojca. Gdy państwo Woyniccy wychodzili, Nika spojrzała na Jaona inaczej niż dotąd, ale sensu jej spojrzenia Jaon nie zrozumiał.

Nazajutrz kartka na szkole wisiała dalej. Poszli z matką do Łazienek i tam natknęli się na generałową Ihnatowiczową, prałata Juścińskiego i jeszcze jakąś panią, skromnie ubraną.

- Moja ulubiona służąca, mój skarb, mnie opuszcza - powiedziała żałośnie matka. - Tyle włożyłam pracy w wyedukowanie jej, traktowałam, jak córkę. Mogłam z nią rozmawiać o mojej matce.

- One zawsze są takie - odrzekła pani Ihnatowiczowa.

- Pani generałowo - zwrócił się do niej prałat Juściński. - Ta pani Frania ostatnio była bez pracy?

- Ja jej, która spowodowała paraliż u mojej córki, daję pieniądze!

- wykrzyknęła w zdziwieniu nad sobą pani Ihnatowiczowa.

- Ona więcej czegoś takiego nie zrobi - powiedział prałat. - Można ją polecić pod każdym względem.

Minął jeszcze dzień i przyszła do nich panna Frania. Była ubrana na ciemno, smutno, z opuszczonym wzrokiem. Jaon poczuł, że nadchodzi wielka zmiana w jego życiu.

- Do panny Frani nie wolno ci mówić ty. Nie wolno ci jej wydawać rozkazów. Musisz mnie prosić, bym jej poleciła - powiedziała matka, gdy panna Frania wyszła.

Maniunia miała wyjechać za trzy dni. Dostała ostatnie wychodne.

- Nie wyjdę na wychodne, tylko pobędę z państwem. Nie na pokojach, ale poczyszcze srebra w kuchni, żeby państwo dobrze mnie wspominali - odezwała się Maniunia.

- Jak chcesz możesz być z nami. Ale Warszawy możesz już nie zobaczyć nigdy i musisz się jej przyjrzeć przed wyjazdem - odrzekła matka.

Maniunia zaszlochała i poszła robić ondulację żelazkiem.

- Mamo, pozwól mi iść z Maniunią.

- A gdzie Maniunia idzie?

- Nie wiem, ulicami, przed siebie - powiedziała Maniunia.

- Mogę Maniunię zawieźć Jaona? Proszę iść, nie przechodząc na drugą stronę ulicy, do kina Eden, albo do wielkiej kawiarni, gdzie przychodzą wszyscy. Dam Maniuni, to się poczęstuje, czym chce, a dla Jaona weźmie sok i ciastko z winogronami.

Maniunia ubrała się w swoje naj lepsze rzeczy. Jedwabne pończochy, jedwabną niebieską sukienkę, kolczyki od babki Jaona. Włożyła lekki płaszczyk i rękawiczki.

- Czy w kawiarni wypada nie zdjąć rękawiczek? - spytała matkę.

- Wstydzisz się swoich rąk? - odpowiedziała matka.

Gdy wyszli i znaleźli się na ulicy, Jaon poczuł, że jest zimno i zobaczył, jak drzewa są już nagie. Jemu zdawało się, że trwa lato.

- Dlaczego Jaonik nie prosił mamy, bym go wzięła do cyrku czy na

karuzelę? - spytała Maniunia. - Wielka trąbka z Jaonika. Teraz musimy iść do kawiarni. Czuję się z Jaonikiem, jak na randce.

- Do tancbudy na Polnej Maniunia nie chodzi, prawda?
- Skąd Jaonikowi przyszła ta myśl?
- W nocy mama rozmawiała z ojcem.
- Podśluchiwałaś? Mówili o mnie?
- Bali się, by ci się coś nie stało, gdybyś tam poszła. Ale ze mną Maniunia może iść. Nic się Maniuni nie stanie. Ja chcę tam iść. Chcę do tancbudy! Chcę do tancbudy! - wykrzykiwał Jaon i zaczął podskakiwać. - Tam nie ma przejścia przez jezdnię! Nie ma przejścia przez jezdnię!
- Ty wiesz, gdzie to jest? - rzekła Maniunia wahająco.
- Ja zaprowadzę! Ja zaprowadzę! - ciągnął ją Jaon. - Mama nie wyrzuci Maniuni, bo Maniunia odchodzi. To nasze rozstanie, Maniuniu.

Szli w tamtą stronę, pustymi, czystymi ulicami. Jaon wiedział, że tancbuda jest obok teatersalu. Były to ogromne budynki dawnych składów. Jakby jego życie było już długie, błysnęło mu pierwsze wspomnienie. Był bardzo mały. Szedł tędy z matką. Usłyszał huk galopady, poczuł zapach mokrych trocin, moczu końskiego i błagał matkę, by zajrzeli za wielkie wrota. Matka zgodziła się i weszli do okrągłej sali wysokości dwu pięter. Okienka w górze zamalowano na biało. Na dole był tor pokryty piaskiem, trocinami i słomą, i tam samotnie szalała na białym koniu młodzieńka pani w khaki spodniach do konnej jazdy, marynarce w pepitkę, kapelusiku ubranym woalką. Nagle rzuciła nim o ziemię i rozpuściła włosy na oczach Jaona, a koń pochylony pędził w galopie, aż wyrzucał strumienie trocin. Podniosła się na strzemieniu, uklękła, a potem stanęła na siodle i pędziła, tryumfująca, skupiona. Jaon zauważył, że siodło jest takie samo, jak na jego koniu na biegunach. Matka powiedziała: - "To słynna dziennikarka z Kuriera Porannego, panna Judyta Zalewska". Jaon pomyślał, że to jest autorka wzbronionych mu wiadomości, może tych o przestępcy, którego wydał kolega i gdy przestępca po trzech miesiącach więzienia wyszedł, zabił kolegę i poszedł siedzieć na całe życie.

Teraz teatersal był zamknięty, ale zza następnej bramy słychać było trąbkę. Brama była pomalowana w żółto-pomarańczowe pasy. Tłum pchał się do kasy przerobionej z budki wartowniczej. Maniunia kupiła bilety. Jaon zaczął martwić się, czy go jako dziecko, wpuszczą. W bramie stał olbrzymi mężczyzna z opasłym brzuchem, który przedał bilety, nie zwróciwszy uwagi na Jaona. Przeszli przez korytarz o tekturowych ścianach, podobny do tunelu i weszli na salę. Pierwszy raz widział dorosłych bawiących się. Podskakiwali, jak małe dzieci. Wolał być tu niż na kinderbalu. Cztery żelazne kolumny podpierały dach tancbudy. Na wysokości pierwszego piętra biegła galeryjka. Pachniało tu kurzem, perfumami i parafiną. Tłum młodych mężczyzn stał przy drzwiach. Z galerii patrzono w dół. Dziewczęta siedziały wzdłuż sali na niskich ławkach biegnących w około. Ścisnęły torebki, były podobnie wyondulowane, jak Maniunia. Tam ciągnęła Maniunia Jaona. Prawie

siłą wepchnęła się między dwie dziewczyny. Żadna z siedzących tu dziewczyn nie była tak ładna, jak Maniunia.

- O pani - jakiś mężczyzna z papierosem w rękę i marynarce wciętej w pasie przyklęknął przed Maniunią, a ona jak zaczarowana, czy nieprzytomna spojrzała na niego, nie rozumiejąc, że do niej się zwraca. Dopiero gdy ukląkł na oba kolana, cofnęła się przed nim:

- Nie tańczę - powiedziała.

- To po co panna przyszła?

- Popatrzeć. Mam pod opieką dziecko.

- To ja pannę biorę z dzieckiem. Dam mu nazwisko.

- Kiedy ja wyjeżdżam.

- Pojadę z panną na koniec świata.

- A ja nie podam adresu.

Wzruszył ramionami i odszedł.

- Z tym trzeba uważać - szepnęła siedząca obok dziewczyna. -

Codziennie ma inną. Wypatruje nowe, co przyszły pierwszy raz.

- Ja tam się nie boję - odrzekła Maniunia.

- Pani gdzieś służy - spytała siedząca obok dziewczyna.

- Tak.

- Ja też. U jednych państwa na Jaworzyńskiej. Bogaci państwo i źli. Właściwie nic mi nie robią. Ale mi tam jest źle.

- Może pójdziesz na moje miejsce? - spytała Maniunia. - Ja wychodzę za mąż - dodała.

- Ci mi płacą furę forsy.

- O, to moi państwo tacy nie są. Dobrzy, za dobrzy, rozpuszczają służbę. Prawie święci. Przywiązują do siebie.

Jaonowi dziwnie było słuchać o swoich rodzicach.

- To nie muszą dużo płacić, co? - spytała tamta dziewczyna.

- Nie mów tak. Ja bym i za darmo służyła. Ale los chce inaczej.

Boję się. Boję się ich opuszczać i iść na nieznane.

Podszedł ten sam młody mężczyzna:

- Może jednak? Tak ani razu nie zatańczysz?

- A zatańcz - szepnęła sąsiadka. - Skoro tak, to co ci szkodzi?

Ja zajmę się dzieckiem.

Maniunia wstała, podała torebkę Jaonowi:

- Potrzyj - powiedziała błagalnym tonem, nie stosownym do tej prośby.

Nieznajomy chwycił Maniunię silnie w pól i uniósł w tańcu.

- Może już nie wrócić - powiedziała do Jaona tamta dziewczyna. -

To jest taki mężczyzna. Ja go znam, znam dobrze. Teraz udaje, że mnie nie poznaje. Albo naprawdę zapomniał? Kawaler wie, jak wrócić do domu?

- Wiem - odrzekł Jaon.

Muzyka grała bez przerwy i taniec szedł za tańcem, a Maniuni nie było. Ogarnęła go radość, że Maniunia zniknie i on będzie szedł sam, z jej torebką w rękę, Polną, Oleandrów i Marszałkowską. Nie miał zamiaru tu długo siedzieć. Poczeka do końca tańca. W tej chwili spostrzegł, że dziewczyna siedząca po jego drugiej stronie patrzy na niego. Miała bardzo jasne włosy uondulowane w małe loczki.

- Na imię mi Polcia - powiedziała i objęła ramieniem Jaona. -
Chciałabym mieć takiego chłopczyka, jak ty - i pocałowała go w policzek.

Jaon nadstawił usta. Dziewczyna zawahała się i pocałowała lekko, raz jeden.

- Co ty wyprawiasz - krzyknęła ta z drugiej strony.

Polcia nie zwracała na nią uwagi:

- Jak dorośniesz, przyjdiesz tu, dobrze?

- Za ile lat mam przyjść? W którym roku? - chciał się umówić Jaon.

- Ale ja będę już starym śmieciem. Starym trupem - roześmiała się.

- Teraz są moje najlepsze lata. Ach ci panicze. Masz pieniądze?

- Ja nie mam przy sobie, ale Maniunia ma. Każę ci dać wszystko, co ma.

- Chcę tylko jeden mały kieliszek.

W tym momencie zjawiała się przed nimi Maniunia. Nic nie spostrzegła. Była rozogniona, przejęta, głos jej drżał.

- Chodź, idziemy, szybko - mówiła zmienionym głosem. - Jak teraz nie pójdziemy, będzie źle.

- Nie. Teraz nie idziemy - zaparł się Jaon. Patrzył na Polcię.

Liczył, że ona zatrzyma Maniunię.

Maniunia wzięła go za rękę, szarpnęła, wyjęła mu z dłoni swoją torebkę, skinęła nowej znajomej i Polci, pociągnęła ku drzwiom. Idąc na ukos przez salę przepychali się wśród tańczących, którzy potracali go, uderzali łokciami po głowie, nie dostrzegając nawet. Maniunia nie zwracała uwagi na to, co go spotykało. Zaciśnęła zęby. Zrozumiał, że jest jeszcze mały i poddał się silnej ręce służącej.

- Niech nikt nigdy nie dowie się, że tu byliśmy - powiedziała Maniunia.

Na ulicy uderzył w nich silny wiatr. Pojawiły się drobiny śniegu.

- Zimno? - spytała.

Szczęknął zębami. Biegli ku domowi. Myślał, czy się rozchoruje.

Miał na to ochotę. Chciał pogrążyć się w stanie, który wywoływała gorączka. Wtedy by Maniunia została, przyszedłby doktor, mama byłaby jeszcze lepsza dla niego.

Ale nazajutrz obudził się rześki i zdrowy, i słyszał w całym mieszkaniu głosy matki, Maniuni i panny Frani, którą wprowadzano po domu i pokazywano, jak co trzeba robić.

- Moje kochane dziecko - powiedziała nieoczekiwanie matka. - Ty nawet jak na dziecko jesteś niepoważny - zastanawiała się chwilę.

- A przy tym niektóre nieważne rzeczy traktujesz serio.

- A jakie mam są nieważne?

- Wstałeś z nadzieją na zabawę, a czy wiesz, że dziś idziesz do szkoły? I że dziś po raz ostatni odprowadzi cię Maniunia?

Po wczorajszych przygodach Maniunia i Jaon wyszli, jak spiskowcy.

Całą drogę milczeli, nie nawiązując do ich tajemnicy. Już drugiej rzeczy nie powiedział matce. Co będzie dalej, w miarę jak będzie coraz starszy?

Byli pod szkołą. Zajechał samochód, z którego wyskoczył mały Szachowski z dziką radością trzaskając drzwiczkami i rzucając się

w stronę Jaona:

- Och, tyle czasu cię nie widziałem! Dziś po szkole zabieram cię do siebie.

- Ja o wszystko pytam się mamy.

Maniunia skinęła głową na znak, że to jest prawdą, ale Jaon rozmawiając z Szachowskim i idąc ku wejściu do szkoły, jakby o niej zapomniał. Podała mu tornister, on wziął machinalnie i wszedł z Szachowskim do środka. Dopiero znalazłszy się w hollu, Jaon uświadomił sobie, że Maniunia odeszła, a on nawet na nią nie spojrział. Serce mu się krajało, chciał wybiec za nią, ale choć nie słuchał, co Szachowski mówi, szedł za nim powoli po schodach wśród rozwrzeszczanego tłumu.

- Chłopcy - powiedziała pani. - Dziś jest uroczysty dzień. Umiecie tyle w zakresie dodawania i odejmowania, że mimo chorób, przerwy, która się zdarzyła, przejdziemy do programu drugiej powszechnej. Rozległy się okrzyki tryumfu. Szachowski pozwolił sobie nawet na bicie brawa.

- Szachowski, spokój - napomniwała go pani. - Przejdziemy więc do mnożenia i dodawania. Pamiętajcie ostatnie ćwiczenie? Kazałam wam pięć razy dodać do siebie pięć. Wydało to wam się nudnym zajęciem. Nawet któryś z was spytał, dlaczego same piątki i aż pięć piątek. Dodawanie tych samych liczb - uwaga, możemy zastąpić mnożeniem. Liczba, którą mamy pomnożyć, mnożnik, to liczba wskazująca ile razy bierzemy tę mnożną.

Nazajutrz do szkoły przyszła po niego matka. Zobaczył pierwsze choinki w oknach wystaw. Znowu nadchodziły święta. Szli od wystawy do wystawy. Pragnął bezgranicznie kilku rzeczy na raz: pułku Królewskiej Konnej - kanadyjskiej policji, angielskiej warty pod pałacem Buckingham, samochodu "Schuco", którym można kierować na odległość metalową linką z kierownicą, oraz wiatrówki. Ale przedmioty te, jeśli będą położone pod choinkę, nie będą tak cenne jak te, które znalazł rok temu. Sprawa zniknięcia Aniołka wróciła z

nową siłą. Aniołka nie ma, to po co prezenty? Maniunia odjeżdża na zawsze. Doszli do sklepu państwa Łatyńskich. Coś tam się stało. W oknie wystawy nie było towarów ani choinki. Stał tam mężczyzna w kombinezonie i zamalowywał szybę białą farbą. Wewnątrz sklepu było widać panią Łatyńską, bladą, jak nieprzytomną. Matka weszła i impulsywnie zbliżyła się do niej, ta, nim matka wypowiedziała słowo, podbiegła do niej, wybuchnęła płaczem, opierając w odruchu rozpaczony głowę na jej ramieniu. Matka przygarnęła tę starszą od siebie kobietę i zaczęła kołysać jak małe dziecko:

- To nie nieszczęście. Jeszcze wszystko będzie dobrze. Wszystko, co materialne można odzyskać. Jeszcze państwo się wzbogacą. Przekona się pani. Zaprosi mnie pani na otwarcie nowego sklepu. Dziwne, panią Łatyńską pocieszyły te słowa. Oderwała głowę od ramienia matki Jaona, wyjęła z fartucha chusteczkę, otarła łzy i uśmiechnęła się:

- Żeby nie zapomniwała. Papuga już zdjęta i czeka na chłopczyka. Mimo, że to on, niechący przecież, przyczynił się do naszej

kłęski, ale wygrał wszystko, to niech ma i papugę - machnęła ręką. Po chwili wróciła niosąc papugę. Gdy znalazła się w ręku Jaona zobaczył, jak jest ciężka i duża.

- Pani Łatyńska, pani ma nasz adres? - powiedziała matka. - W razie czego proszę dać znać.

- My już jesteśmy żebrakami - odrzekła pani Łatyńska i znów zaczęła płakać. Ale tym razem nie szukała pociechy u matki Jaona, tylko bezradna, bez cienia nadziei patrzyła za nimi, jak wychodzą.

- Może lepiej wyrzucić tę papugę - spytała matka nieśmiało, wstydząc się własnych słów. - Tak to powiedziała pani Łatyńska, jakby jej nie przyniosła szczęścia.

- Mamo, powiesimy ją na choince - odrzekł Jaon.

Gdy przyszli, Maniunia była spakowana. Jakoś niezręcznie i przykro było, że jednocześnie panna Frania rozkładała swoje rzeczy. Panna Frania była ubrana w wytarte rzeczy, mizerna. Musiało jej być przykro trafić na moment smutku z powodu odjazdu poprzedniczki i Jaon, by nie robić jej przykrości, hamował oznaki żalu wobec Maniuni. Dopiero gdy zjawił się dorożkarz po rzeczy i wziął kuferek Maniuni, Jaon wyszedł na klatkę schodową, przytulił się do Maniuni. Nie prosił, by została. Wiedział, że jest za późno. Także matka wyszła:

- Na wszelki wypadek, nie daj Boże, zawsze możesz do nas wrócić - powiedziała i uczyniła znak krzyża nad Maniunią, która przypadła do jej ręki.

Można jeszcze było błagać matkę, by pozwoliła mu odwiedzić Maniunię na dworzec, ale to także, wiedział, nie miało szans powodzenia: kto by z nim wracał? Idiotyczne, by dawać takie pierwsze zadanie nowej służącej.

Smutny był dzisiejszy dzień. Jego matka podobnymi słowami pocieszyła dwie osoby: panią Łatyńską i Maniunię. Tym bardziej Jaon mógł liczyć na nią i na ojca, skoro słowa matki dawały nadzieję obcym ludziom. I Jaon, pocieszony, patrzył, jak Maniunia, odwracając się ciągle, znika w czeluści klatki schodowej. Ale gdy spojrzął na pannę Franię, targnął nim ból i tęsknota. Rzucił się ku oknu w gabinecie, ale matka nie pozwoliła mu otworzyć, bo było zimno. Jeszcze figura Maniuni, jak cień, mignęła mu w bramie. Ach, źle się zegnał z Maniunią, nie okazał jej serca. Poszedł do swojego pokoju. Jak głupie były misie, małpka, laleczka. Straciły życie, w które Jaon wierzył, dokąd on sam je nim obdarzał.

Odkrycie to spowodowało, że zaczął żałować swoich zabawek i te żale nad Maniunią, panią Łatyńską, misiami, panną Franią połączyły się w jeden. Weszła matka:

- Co masz taką głupią minę. Dość tego! Proszę do dużego pokoju! Jeszcze raz zobaczę taką minę, to wyjmę pas ojca. Ładnie, że żałujesz Maniuni, ale Maniunia żyje, zmienia los na lepszy, a ty zachowujesz się jakby umarła. Podejrzewam, że dlatego, że nie będzie ci służyć, to w twoich oczach jest gorzej, niż gdyby umarła. Jeśli miałbyś się okazać beksą, mazgajem, czy niedorajdą, matka by tego nie przeżyła. Co powiedzieliby koledzy, gdyby cię tak zobaczyli? - i dodała poważnie. - Masz wielki dar cieszenia

się życiem. Nie psuj tego. Nie wynajduj powodów do smutku. Musisz się liczyć z tym, że kiedyś mogą nadejść prawdziwe. Wtedy musisz być uzbrojony, może na całe życie, tymi latami niezmaconymi niczym.

- Mamo, nam coś grozi?

- Wszystko zależy od tego, co zrobi pan Hitler. Ale tymczasem zostaw to dorosłym. Nie możesz za wcześnie zacząć się martwić ich zmartwieniami. Jaka szkoda, że ty pewnych rzeczy nie pamiętasz.

- Ja wszystko pamiętam.

- Synu, ale chodzi o coś z przed tamtej wojny. Jak my tęskniliśmy za niepodległością. O Polsce zapomniano. Wydawała się na zawsze zasypana zawieruchą dziejów. To zostawiło na nas ślad na całe życie. Nie chcę, by ta polska ponurość spadła na ciebie. Kiedy byłeś bardzo malutki, ni to cieszyłeś się, ni to płakałeś, jakby z radości. Trudno było cię zrozumieć.

W szkole Jaon spędził dużą pauzę z Szachowskim. Jaon wolałby przyjaźnić się z Tomkiem, ale jego przyjaźń z Jurkiem jeszcze się nasilała. Trzymali się razem w szkole. Całe pauzy nie biegali, tylko chodzili tam i z powrotem po korytarzu i na jego końcu, gdzie było pusto, przystawali. Jaon poddał się więc sympatii Szachowskiego. Z Szachowskim stali pod ścianą korytarza, Szachowski

przyklejony plecami do boazerii, Jaon tyłem do całego szaleństwa pauzy. Raz nauczyciel gimnastyki z wyższych klas dał Jaonowi klapsa: - "pobiegajcie ofiermy" - krzyknął i Jaon za to go zniecierpliwiał. Szachowski opowiedział mu, że jego matka jest zawsze w Paryżu, i widuje ją w wakacje we Włoszech i w Boże Narodzenie, na które matka przylatuje do Polski, bo nie znosi świąt bez śniegu.

- Mój ojciec nie przywiązuje wagi do tytułu, podobnie jak ja - ciągnął Szachowski, gdy stali pod ścianą i Jaon próbował przełknąć bułkę.

W szkole nie mógł jeść. Niektórzy koledzy też nie potrafili i ukradkiem wyrzucali bułki lub dawali bezpańskim psom. Jaonowi by było żal bułki, którą matka własnoręcznie smarowała, pakowała w papier i tak prosiła, by Jaon ją zjadł. "A kto smaruje Szachowskiemu bułkę? On je bułkę przyrządzoną obcymi rękami?" - myślał Jaon, a Szachowski mówił:

- Ojciec wziął się do interesów. Dlatego mamy mały pałacyk, ale do tego nie przywiązuje wagi.

Szachowski zamilkł, widać było, że chce coś powiedzieć, rzekł wreszcie nieśmiało:

- Zapraszam cię. Mówiłem o tobie ojcu. Ojciec napisze list do twoich rodziców i wyślemy po ciebie szofera. Ale najpierw pytam ciebie, czy chcesz zaszczycić mnie swoją wizytą? - uśmiechnął się przy tych słowach.

Jaonowi nie przyszło do głowy, że mógłby zrobić Szachowskiemu przykrość i nie zgodzić się.

Przyszły po niego mama i panna Frania. Mama prowadziła ją kolejno do rzeźnika, sklepu rybnego, owocarki i "do warzyw", jak się

mówiło i przedstawiała ją. Gdy przechodzili koło sklepu Łatyńskich spostrzegli, że był zamknięty, a do zamalowanych szyb przyklejona kartka: "Do wynajęcia".

- A cóż to z panną Maniunią? - spytał właściciel sklepu rybnego.

- Wychodzi za męża, wróciła na wieś.

- Ha, ona była oddana państwu. Przyznam się, i niech się pani nie obraża, że gdy tu przychodziła sama, namawiałem ją, by przysłała do mnie do pracy. Mój Boże, myślałem sobie, z czasem może i ożeniłbym się z nią. Może źle, że tego jej nie powiedziałem.

W czasie obiadu nowa służąca podawszy drugie danie, oparła się o framugę, jak czasem Maniunia i rozmawiała z rodzicami.

- Jak przebiegało pani życie, panno Franiu? - spytała matka.

- Życia nie było. Od dziecka służba. Kiedy się wyuczyłam na pokojówkę, zdarzyło się nieszczęście u państwa generałostwa.

Wiedziałam, że po tym nie znajdę nigdzie miejsca, a pani generałowa nie chciała mnie zatrzymać, mimo że błagałam i gotowa byłam pracować bez pieniędzy.

- Wiem o tym - powiedziała matka.

- Poszłam do fabryki za marne grosze. Sprzątałam hale, było mi źle. Chciałam być przy dobrym państwu, przy rodzinie, służyć.

- Dlaczego w fabryce było źle pannie Franiu?

- Sami obcy. Dużo złych ludzi. Gnębił mnie majster. Potem był strajk. Nie chciałam strajkować, dali mi w twarz, ale takie mają łapy, że wybili mi dwa zęby. Dopiero teraz pani generałowa mi wybaczyła, napisała list i podała państwa adres.

- Teraz będzie panna Frania u nas i niech się panna Frania przestanie martwić.

Gdy wyszła, matka powiedziała:

- Ale ty Jaoniku się nie przejmuj. Złe w życiu panny Frani minęło.

Jest z nami. Ją musiałam pocieszać, ale ciebie? Gdy miałaś się urodzić nie wiedzieliśmy, czy będzie chłopczyk, czy dziewczynka. Mieliśmy twoje imię dla ciebie, a na wypadek gdyby miała być dziewczynka, miałaś być Joanną. Jak będziesz tak się przejmował każdą służącą będę ci mówiła Joasiu.

Zadzwoniono do drzwi i za chwilę panna Frania wraz z deserem przyniosła kopertę ze złożonym napisem. Ojciec rozerwał ją:

- No, proszę. Wcześniej się zaczyna: "Wielce Szanowni Państwo - zaczął czytać. - Nie mam zaszczytu Państwa znać osobiście, ale zwracam się z prośbą o pozwolenie Państwa, by syn odwiedził mojego syna. Są bliskimi kolegami w szkole. Mój syn polubił Państwa syna. Chce go widzieć u siebie i myślę, że temu pragnieniu dziecka Państwo nie odmówią. Termin zależy od Państwa. Dzielni chłopcy porozumieją się co do tego między sobą. Mój szofer przywiezie i odwiezie miłego Gościa. Łączę wyrazy głębokiego szacunku. Karol Szachowski".

- No tak - zawołała matka - tego się obawiałam. Jaoniku, powiedz, bardzo chcesz iść?

- Mamo. Ja lubię Szachowskiego. On chce się ze mną przyjaźnić. Po chorobie zastałem go w swojej ławce. Zmienił miejsce, by siedzieć przy mnie. Przerwy spędza przy mnie.

- To jedyny twój kolega w szkole?

- Jedyny. Chciałem przyjaźnić się z Tomkiem, ale on już przed szkołą miał kolegę, Jurka, razem przyszli.

- Czyli jego przyjaźń jest większa niż twoja?

- Tak mam.

- Czyli jak zaczniesz u niego bywać, nie zrobisz tym obietnicy czegoś, czego nie możesz spełnić? Potem trudno ci będzie wycofać się. Nie możesz poświęcić całego czasu Szachowskiemu.

- On się nie bawi żołnierzami. Interesuje się flotą wojenną.

Tego wieczora obudziwszy się niedługo po uśnięciu, Jaon zobaczył, że światło między podłogą a drzwiami znikło. Nie było słychać głosów rodziców. Jaon zerwał się z łóżka, przebiegł przez wielki pokój, drugi przedpokój pod drzwi gabinetu. Usłyszał, że są. Odczuł ogromną ulgę. "Przestraszyli się, że słyszę o czym mówią, albo nie chcą, bym się przyzwyczaił spać, gdy są blisko, bo byłoby to złe dla mojej przyszłości" - pomyślał Jaon.

- ...taka nadmierna przyjaźń nie podoba mi się - mówiła matka. - Może być w niej coś, czego ten chłopiec sobie nie uświadamia, coś niewinnego, ale przecież wiemy, że jak pensjonarki kochają się w sobie, tak zdarza się to i chłopcom, i to często tym najniewinniejszym, którzy nie wiedzą, jak skierować nawet nie tyle swoje uczucia, ale pytania do życia, co robić z narastającą miłością, której nawet nie umieją nazwać.

- Szachowski jest kimś znanym. Jest też klientem wydziału krótkoterminowego. Wspomniałem Woynickiemu, że jego syn koleguje z Jaonem. Woynicki wtajemniczył mnie w sytuację, jaka tam panuje. Pani Szachowska przebywa za granicą. Jest to forma separacji z mężem. Ten chłopczyk nie jest ich naturalnym dzieckiem, ale adoptowanym, nie wiadomo skąd wziętym, przy takiej dumie, jaką mają Szachowscy może być nawet podrzutkiem z sierocińca; przysposobienie dziecka może być częścią czegoś, co dzieje się między małżonkami. Małym opiekuje się bona i szofer.

- To jest świat inny niż nasz. Za wcześnie dla Jaona.

- Może być użyty jako ktoś, kto zapełni pustkę w życiu chłopca - rzekł ojciec.

- Przy niepokojącej wrażliwości Jaona! Wczoraj przejmował się odjazdem Maniuni, aż walczył ze łzami, dziś przejął się opowieścią Frani.

- Ja też się przejąłem. Jak strasznie wszystko jest niepewne, w takich chwilach wręcz żałuję, że mamy Jaona.

- Odwołaj te słowa! - wykrzyknęła matka.

- Odwołuję. Przyznam się: wypaliłem cygaro. Poczłostował mnie Woynicki. Ja, który brzydzę się niedopałkami! I odczułem ulgę. Coś wisi w powietrzu. To czuje się w bankach. Może w wojsku nie wiedzą, ale u nas powiew przechodzi przez korytarze.

- Mężu, przysięgnij na pamięć twojego ojca. Czy nie ma w nas pobudek, do których się nie przyznajemy przed sobą? Czy nie jesteśmy zazdrośni o Jaona? Czy nie boimy się, że zobaczywszy bogactwo, zwątpi w nas? W dodatku niby martwimy się, że Jaon jest taki sam, a izolujemy go w chwili, gdy to może się skończyć.

- Nie lubię tego u ciebie. Grzebiąc się w sobie, człowiek dopatruje się czegoś złego i - ponieważ nie chce sobie pobłażać - zawsze to w końcu ujrzy. Motywem jest surowość wobec siebie, chęć prześladowania siebie, zaszczuwanie. To macie wy z Rudolfem. To zabiło twoją siostrę.

- U Rudolfa jakoś nie ma to wpływu na jego postępowanie - odrzekła matka:

- Ale siebie zdręczacie. Sam Jaon, jak wynika z rozmowy przy stole, czuje, że jest skrępowany czymś nienaturalnym, naciągniętym w stosunku małego Szachowskiego do siebie.

- A śmierć mojej siostry? Gdy znalazłam listy, aż bałam się jakiejś strasznej prawdy. Ale mimo bolesnych rzeczy, które tam znalazłam, szczególnie pod adresem matki i moim, wyjaśnienia nie ma.

- Co to były za słowa?

- Oskarżenie matki o nadmierną miłość do mnie. To jest prawda. Matka natchnęła mnie tą miłością, dzięki której umiem tak kochać Jaona. Przekazuję miłość otrzymaną od mojej matki. W listach jest zdanie: "Cokolwiek bym zrobiła, wielkiego czy podłego, wszystko zostało przesądzone w chwili moich urodzin. Nawet moje dzieci mama będzie kochała mniej od dzieci Julianny". Dotknęła w tych listach nie istniejącego jeszcze Jaona. Umiała przepowiedzieć jego istnienie.

- Skrętnie tworzyła swoje nieszczęście, budowała je dzień po dniu

- odrzekł ojciec. - Sprawę Szachowskiego przecinamy grzeczną odmową, że Jaon z powodu chorowitości nigdzie nie bywa.

- Czy nie popełniamy historycznego błędu, za który Jaon zapłaci w życiu? - powiedziała matka. - Wysłaliśmy Jaona do szkoły, gdzie ma takich kolegów, a potem nie pozwalamy mu się z nimi przyjaźnić. Po tych słowach zapadło milczenie.

- A propos, zajrzę do niego - matka zerwała się i otworzyła drzwi uderzając Jaona w głowę. - A ty, co tu robisz? Na miłość boską, co to znaczy? Po co przyszedłeś? Boisz się być sam? Wszystko tylko nie to!

- Nie mam. Nie - wyjąkał przerażony Jaon. - Chciałem sprawdzić, czy jesteście.

Wciągnęła go do gabinetu i okryła kilimem leżącym na kanapie. Do czoła, na którym wyrósł guz matka przykładła stalowy nóż do przecinania kartek.

- Ty złodowacialeś - wykrzyknęła. - Co zrobimy? Budzić od razu, w drugą noc pannę Franję, by zrobiła herbatę?

- Jak ty się ze wszystkimi liczysz. To też cecha rodzinna. Rudolf dba o opinię zarówno żebraka pod kościołem w Marzeniowie, jak też, by prezydent Roosevelt nie usłyszał o nim czegoś złego.

W końcu odprowadzono Jaona do łóżka. Matka przykryła go na kołderkę jeszcze kilimem.

W śnie Jaona pojawił się Chińczyk, który podniósł chusteczkę zgubioną przez Jaona, schował ją do kieszeni i wszedł do windy. Jaon pobiegł za nim. Chińczyk w pośpiechu przytrzasnął sobie drzwiami marynarkę. Jaon chwycił za nią, winda ruszyła i stało się w niej coś strasznego. "To nie może być sen" - śnił Jaon

upewniony, że przeżywa to na jawie i obudził się. Nie był chory. Nie ucieszyło go to, jak dawniej.

Od chwili gdy zaczął chodzić do szkoły, wszystko zaczęło się dziać szybciej. Miał mniej wspomnień, jakby nie nadażyły się nagromadzić. Przy śniadaniu ojciec oznajmił:

- Nie pójdziesz do Szachowskiego. Dziś wyślę przez posłańca list.

Koledze powiedz, że rodzice obawiają się o twoje zdrowie.

Odprowadziła go Frania. Była smutna, zamyślona. Uważnie przechodziła przez jezdnię, rozglądając się przedtem kilka razy.

Szła pod ścianami domów.

Szachowski spojrzawszy na niego powiedział nieoczekiwanie:

- Widzę, że rodzice nie puszcza cię do mnie. Niepotrzebnie mój ojciec pisał list. Prosiłem, by sam poszedł, na pewno by twoich rodziców przekonał. Raz prosiłem jednego kolegę i czekałem. Potem dowiedziałem się, że nie wpuścił go nasz portier. Jak nie możesz mnie odwiedzać, zobaczysz, nagle zjawię się u ciebie.

I znów był obiad, a panna Frania obsługiwała sprawnie, odzyskując zapomniane w fabryce umiejętności. Inaczej niż Maniunia, której było wszystko jedno, zachodziła z wagą i półmiskiem od lewej strony. Przy deserze ojciec poprosił, by podała gazetę z przedpokoju. Ojciec rozłożył gazetę, czegoś szukał, wreszcie uderzył dłonią rozprostowując ją i przeczytał:

- "Zamach samobójczy. Wczoraj w godzinach popołudniowych targnęła się na swoje życie 54-letnia Genowefa Łatyńska, była współwłaścicielka sklepu kolonialnego na ulicy Marszałkowskiej. Mimo, że na początku interes prowadzony był z rozmachem, w bieżącym roku wystąpiły trudności i na przełomie listopada i grudnia sklep zbankrutował. Kapitał zbierany przez całe życie przez małżeństwo Łatyńskich przepadł, wyszli z długami. Wydarzenie to wpłynęło przygnębiająco na Genowefę Łatyńską. Przestała się odzywać do męża, nie wychodziła z małej klitki na Tamce, gdzie się przenieśli z trzypokojowego mieszkania. Wczoraj jej mąż, wróciwszy po bezowocnym poszukiwaniu pracy, otwierając drzwi pokoiku poczuł zapach gazu i zobaczył, że jego żona leży nieruchomo na łóżku. Wezwane pogotowie odwiozło ją w stanie beznadziejnym do szpitala Dzieciątka Jezus".

- Mój Boże - krzyknęła matka, zerknęła na Jaona, a potem na męża, jakby go pytała: "Po co to czytałeś przy dziecku?"

- Ta Łatyńska w waszych opowieściach robiła wrażenie, jakby pozostała małą dziewczynką i prowadziła dziecięcy sklep, w którym sprzedaje się na niby.

- Była zmienna wobec klientów.

- To można sobie odebrać życie? - spytał Jaon. - A dać sobie życie można?

- Co chciałeś powiedzieć? - spytała matka.

- Czy człowiek może sam zdecydować, by się urodzić?

- Już to omawialiśmy. Nie udawaj, że nie rozumiesz - zwróciła się do ojca. - Pani Łatyńska nie zniosła okresu przedświątecznego. W zeszłym roku jej sklep był pełen.

- I jeszcze Jedna nowina. Dzwonił do mnie pan Szachowski.

Przeprószył, że mi przeszkadza w moich zajęciach, telefon zdobył w szkole. Jego synowi jest przykro. Tak się składa, że prawie wyłącznie on się nim zajmuje, żona jest aktorką i występuje w Paryżu. Zastaniałem się, że wszystko uzgadniam z żoną. Był bardzo otwarty, wręcz czarujący. Zaproponował, że przyśle po Jaona kierowcę, który owinie go w koce i zniesie do samochodu. Wreszcie odzywa się tak: "Trudno, powiem coś, co może pana zdziwi, ale pan zrozumie. Przecież nie możecie państwo nie przyjąć kolegi szkolnego w domu. Dzieci nie takie jak nasze, wpadają do siebie bez zapowiedzenia. Więc skoro syn państwa nie może wychodzić z domu, zaproście do was mojego syna". Na to żono musiałem się zgodzić.

- Tak, odmowa była nie do pomyślenia. Mogłaby zaszkodzić Jaonowi.

- Tu pan Szachowski z kolei był skłonny do ustępstw: zbliżają się ferie i święta, przyjeżdża z Paryża jego żona więc obieca synowi, że wizyta odbędzie się zaraz po przerwie.

W szkole Szachowski podszedł do Jaona w hallu i powiedział: - Nasi ojcowie poznali się przez telefon. Zaprosiłeś mnie do siebie.

Kiedy mogę przyjść? - spytał i zaraz dodał. - A już zdawało mi się, że twoi rodzice nie chcą, byśmy się przyjaźnili.

Jaona uderzyło słowo "przyjaźnili się", jako wypowiedziane za wcześnie. Jaon słyszał o przyjaźni, wyobrażał sobie, że kiedyś nadejdzie, gdy będzie starszy, poważny, dorosły, ale nie wiedział, jak się objawi. Nie przyszło mu na myśl, że Szachowski jest jego przyjacielem. Coś zawstydziło Jaona w słowach Szachowskiego. Szachowski nie spytał, czy Jaon domagał się od swoich rodziców pozwolenia odwiedzenia go.

Rozejrzał się za Tomkiem. Przechadzali się z Jurkiem jedząc wielkie bułki. Zawsze je jedli, nawet przed lekcjami.

Był to ostatni dzień szkoły i Jaon wracał do domu z milczącą Franią, która ocierała się o tynki mijanych domów. Ukrywał nadzieję, że na czas ferii powrócą dawne czasy; gdy nie chodził do szkoły. Tęsknił za porankami, gdy nigdzie się nie szło, matka spała, a Maniunia rozpałała ogień w piecach.

Przy obiedzie Jaon zauważył jeszcze jedną różnicę między Maniunią a Franią: Maniunia stawiała wszystko na stole i dopiero na polecenie rodziców brała półmiski i podawała. Frania uważała to za konieczne i nie czekała na rozkaz.

- Co w biurze? - spytała matka.

- Pewnie powierzą mi nadzór nad parcelacją klucza majątków pod Kaliszem, które przejął bank. To potrwa przez jesień 1939 i cały rok 1940. Byłbym dużo poza domem. Może to forma pozbycia się mnie z banku, a zarazem odwołanie decyzji, co do moich losów.

- Bogu dzięki. Ten astrolog tak krakał. Myślę o świętach. Nie ma jeszcze śniegu i jak zawsze nie wiadomo, do chwili, gdy w wigilię siądziemy przy stole, czy przyjedzie Rudolf.

- Czy coś się nie zmienia w jego życiu?

- Utrzymywałby przed nami tajemnicę? Co z twoim bratem? Dawno nie przychodzi. To jak dotąd u niego przejściowa obraza, czy już zerwanie? Zauważ, że i nasza bratowa nie zjawia się.

- Dawno oddałem mu we władanie nasze stosunki - powiedział ojciec.
- Wszystko zostawiam jego decyzjom, czy kaprysom, zdając się na jego wolę. Gdy zrywa, przyjmuję to, gdy powraca, witam go, jak gdyby nic nie zaszło. Nigdy nie zmienię faktu, że jest moim bratem.

- Czy w ten sposób nie okazujesz mu, jak mało znaczy wobec ciebie?

- To zaczęło się, gdy byliśmy chłopcami w wieku Jaona. Rzucał się na mnie z pięściami. Ja mu nie oddawałem, tylko wywijałem się od ciosów.

Jaon uderzył łyżką w talerz:

- Nie chcę mieć brata!

- Ktoś cię pyta o zdanie? - zwróciła się do niego matka. -

Uderzasz łyżką w talerz jak niemowlę. Ile ty masz lat? To mu się już zdarza rzadko - wyjaśniła matka pannie Frani. - Ale dziś nie dostanie deseru.

- Nie chcę deseru! Nie znoszę czekolad! Brzydę się tortem! - tryumfował Jaon.

- Marsz do swojego pokoju.

Jaon idąc tam, myślał, jak błyskawicznie i nieprzewidzianie rozwijają się wydarzenia. Chciał zapewnić rodziców, że mu wystarczą całkowicie, że brat, czy siostra zepsuliby wszystko, a matka się rozgniewała. Rodzice rozmawiali przyciszonymi głosami. Jaon otworzył "W pustyni i w puszczy". Ciągle nie mógł przejść przez początek. Bał się do tego przyznać matce. Przecież nie chciał bajek, a teraz nie umie sobie poradzić z "W pustyni i w puszczy". Przesunął zakładkę do połowy książki, ale zawstydził się. A jeśli matka przepyta go z treści książki?

Zesłanie trwało krótko, wezwano Jaona, bo Frania sprowadziła choinkę wybraną przez matkę, gdy Jaon był w szkole. Była wielkim drzewem. Przed oprawieniem trzeba było przyciąć kawał pnia od dołu. Pachniała silniej niż las. Matka wyjaśniła, że dlatego że jest w zamkniętym pomieszczeniu.

- Las! Las! Dżungla! Puszcza! - zawołał Jaon i schował się za choinkę. Pokłął się i wyszedł. Poczł, że nie warto. Znał już prawdziwą puszczy! Nie było aniołka! Najboleśniej wydarzenie tego roku. Matka odkryła to przed nim w przewidywaniu, że w szkole się dowie. Dotąd nikt o tym w szkole nie wspomniał. Po co mówiła? Odnosił wrażenie, jakby zawsze Aniołek jechał windą, wlatywał przez drzwi balkonowe, a tego roku nie chciał przylecieć. Opuścił go.

- Ktoś dzwoni - zawołała Frania i pobiegła przez przedpokoje.

Wróciła po chwili i powiedziała:

- Do państwa, szofer państwa Szachowskich.

- A to co znowu?! - wykrzyknęła matka Jaona.

Wyszła do drugiego przedpokoju, za nią Jaon. Kierowca był w skórzanym płaszczu, z okrągłą skórzaną czapką w ręku. Przez ramię miał przewieszony pled. Ukłonił się i powiedział:

- Wiem, że przyjechałem nie zapowiadany, ale numeru państwa telefonu nie było w książce. Pan Szachowski wyszedł, a młody pan Szachowski zażyczył sobie koniecznie mieć pani syna dziś u siebie. Mam pled, chłopczyka, który jak słyszałem, jest chorowity, owinę i

zaniósł do samochodu.

- Ta wizyta nie jest możliwa bez uzgodnienia z panem Szachowskim, w jego nieobecności.

- Pani Szachowska nie przyjedzie na wigilię. Dowiedziała się, że nie ma śniegu. Przybędzie dopiero na bal sylwestrowy.

- Mój Boże - powiedziała matka bezradnie. - Zapytam męża. Niech pan usiądzie; w kącie drugiego przedpokoju stał stary fotel.

Wróciwszy do dużego pokoju, matka zwróciła się do ojca:

- Musimy Jaona puścić. Ten chłopiec siedzi sam. Jego matka nie będzie na wigili. Ojciec wyszedł.

- Wszystko nieprawda. Pan Szachowski kazał szoferowi powiedzieć, że go nie ma. Nie mogą znieść, że coś im się nie uda. Muszą wszystko mieć, każdą rzecz, każdego człowieka, którego zapragną. Jedyny rodzaj nieszczęścia jaki znajdują, to gdy coś im się wymyka. Najchętniej by Jaona od nas kupili i postawili pod choinkę.

Matka spojrzała bezradnie na Jaona:

- Mężu, może niech Jaon zadecyduje?

- To będzie tyle co gra w orła i reszkę, bo Jaon jest za mały, by zrozumieć wszystkie elementy sytuacji.

- Jakież tu elementy? Czy nie rozdmuchujemy drobiazgu? Czy nie jesteśmy biednymi ludźmi, którzy z dumy odtrącają bogactwo? Boże! - matka zasłoniła usta ręką - Nie chciałam cię urazić. Wobec państwa Szachowskich wszyscy są nędzarzami.

Ojciec zmusił się do promiennego spojrzenia, i zaraz spowaźniał:

- Ulegniemy, to uzależnimy się od zachcianek małego Szachowskiego - powiedział.

- Mam nadzieję, że nie piśniesz słowa o tej rozmowie małemu Szachowskiemu - matka popatrzyła na Jaona. - Każda rodzina ma tajemnice. Nie wolno ich wydawać obcym.

Nie zorientował się w jakim momencie podjęli decyzję, porozumiewając się w sposób nieuchwytny dla niego i nie wiedział jaką: szykować się do Szachowskiego, czy na zostanie w domu. Matka wyszła do przedpokoju, zamykając za sobą drzwi i odcinając Jaona. Wróciła i nie wyjaśniła ani słowem niczego. W każdym razie nie kazała się Jaonowi ubierać. Tak trwało chwilę i Jaon upewnił się, że zostaje w domu i że szofer widać poszedł.

- Nazwał Jaona chorowitym - powiedziała matka po chwili. - Czyż tak jest?

- Nie wiem. Dosłownie nie wiem - odrzekł ojciec.

- W związku z tym, co się rozegrało przed chwilą - powiedziała matka - niepokoję się. Jesteśmy spóźnieni. Moi rodzice i twoi żyli w osiemnastym wieku. Niewiele poszliśmy naprzód! To była scena z modrzewiowego dworku. Przysyłają od wielkiego magnata i zapraszają na komnaty, a mały szlachetka odmawia.

- To bym zostawił na chwilę, gdy Jaon będzie spał - odparł ojciec. Nazajutrz ojciec wcześniej wrócił z biura i wyciągnął pudła z ozdobami choinkowymi. Frania przyniosła składaną drabinę. Jaon podawał zabawki. Ojciec zaczął od gwiazdy na szczycie. Jaon wyjął z kredensu papugę od pani Łatyńskiej. Ojciec zawiesił ją na najbardziej wystającej gałęzi. Wyglądała jak prawdziwa papuga,

która przyleciała między jodły północy. Weszła matka:

- Papuga ma wisieć na naszej choince? Ma przypominać nam nieszczęsną panią Łatyńską?

- To moja papuga - zaproponował Jaon.

- Oddajmy ją biednemu dziecku.

- Mamo, tak chciałem mieć tę papugę.

- Czułeś, że coś niemiłego, smutnego jest w twoim tryumfie, bo gdy ją dostałeś, nie cieszyłeś się.

Jaon nie wiedział jakim sposobem matka to odgadła.

- Zdejmujemy ją - matka wyciągnęła rękę, zawahała się i powiedziała:

- Biedne dziecko. Wczoraj nie pozwoliliśmy mu jechać do kolegi, dziś chcemy mu zdjąć papugę z choinki.

Zbliżał się bolesny moment, gdy wypraszano go do gabinetu i przylatywał aniołek. Co zrobią rodzice? Matka, przenikając myśl Jaona, zwyczajnie wypowiedziała te same słowa, co przed rokiem:

- Jaonie, idź do gabinetu, to przewietrzymy pokój.

Jaon poszedł, stanął w oknie. Nie opierał się o parapet i nie przybliżał z nadzieją twarzy do szyby, ale patrzył i szukał wzrokiem windy. Stało się to, na co miał nadzieję: od najwyższego piętra naprzeciw oderwała się jasna oświetlona, pusta klatka windy i zjeżdżała w dół. Jaon widział, jak mijała kolejne piętra i stanęła na dole. Nie pojechała z powrotem na górę, jakby ktoś niewidzialny z niej wysiadł. Jaon patrzył w przestrzeń podwórka: tak, anioł musi być niewidzialny, powiew od ruchu jego skrzydeł nie dociera przez podwójne szyby! Rodzice nie widzą anioła i zwątpili w jego istnienie, a to on kieruje ich ruchami, gdy układają podarki.

- Jaon, prosimy - powiedziała matka za jego plecami.

Pod choinką leżały prezenty. Poznał rzeczy przeznaczone dla ojca, dla matki, dla panny Frani, nie widział tylko pudeł z żołnierzami.

Dokąd kazano mu wierzyć w anioła, był, spełniał jego prośby. Teraz anioł go ominął.

- Nie bierzesz tego, co jest dla ciebie? - spytała matka.

Wtedy zobaczył stos książek przewiązanych tęczową kokardą.

- Synu, to jest "Trylogia" Henryka Sienkiewicza, jedna książka w wielu tomach, pisana dla dorosłych, a ty wykazujesz tyle chęci bycia dorosłym, że zasłużyłeś na nią i już możesz zacząć ją czytać. Nie miej takiej miny! Kiedyś to docenisz. Może to będzie pamiątka po twoich rodzicach, po twoim dzieciństwie.

Zawód był tak wielki, że oszołomił go. Podeszedł do matki, pocałował ją w rękę i podziękował za prezent, jak nieprzytomny.

- Ładnie, że nie wspominasz o żołnierzach - odezwała się. - Twoja armia jest już potężna. Ojciec obliczył ją na stu pięćdziesięciu żołnierzy. Książka jest najpiękniejszą zabawką daną człowiekowi. Zaczęło się łamanie opłatkiem: rodzice zaprosili pannę Franię, by zjadła z nimi pierwsze danie. Maniunia odmawiała i stała przy framudze, panna Frania usiadła przy czwartym talerzu. Dotąd był pusty, zostawiony dla wuja. Zapanowało skrepowanie. Gdy trzeba było coś podać, panna Frania zrywała się od stołu i obsługiwała rodziców.

- Czekam dzwonka - powiedziała matka. - Ten Rudolf sam w tym pustym domu, nie ma nawet z kim przełamać się opłatkiem. Ma świadomość, że przez całe święta i potem, nie wiadomo jak długo nikogo nie zobaczy, nie będzie miał do kogo się odezwać.

- Rudolf najpierw pozował na osamotnionego, a potem to okazało się prawdą - odparł ojciec.

- W wigilię przemawiają zwierzęta, więc niech państwo pozwolą mi dodać słówko - wtrąciła się panna Frania. - To moja pierwsza wigilia od czasów u pani generałowej. Przez te lata wychodziłam wcześniej na pasterkę, siadałam w pustym kościele, potem chodziłam do rana ulicami.

- Gdzie panna Frania mieszkała?

- Na strychu zrobiono przepierzenie z dykty. Gotowałam sobie na dole u gospodarzy, ale często nie było dla mnie fajerki.

Panna Frania nie patrzyła na Jaona, choć obsługiwała go. Jakby nie istniał dla niej. Była zaprzątnięta swoimi nieszczęściami. Chciał ją zapytać dlaczego nie wyszła za mąż, jak Maniunia, ale czuł, że matka go skrzyczy. Domyślał się, że z panną Franią trzeba się obchodzić ostrożniej niż z Maniunią i Dziurzyną. Starania matki, by służąca była zadowolona i nie odeszła, były widoczne.

Rozległ się gwałtowny dzwonek, jeden, drugi, trzeci. Wszyscy zerwali się od stołu i rzucili do przedpokoju. Wuj Rudolf w dawnym płaszczu ojca z karakułowym kołnierzem przyprószonym śniegiem wpadł z otwartymi ramionami, porwał w nie Jaona, uniósł pod sufit, potem przytulił jego rodziców do siebie, oboma ramionami. Zdjął płaszcz; wszyscy łamali się z nim opłatkiem.

- Nie ma Maniuni? - wykrzyknął wuj Rudolf, nie umiejąc ukryć rozczarowania na widok Frani. - Jak dobrze wśród was! Ale ja tylko na jeden dzień. W drugi dzień świąt muszę być z powrotem. Ludzie przygarniają mnie w mojej samotności. Nie mogę zrobić im zawodu - odrzekł wuj.

Rodzice Jaona nie spytali kim są "ci ludzie". Trzeba było podać jeszcze jedno nakrycie; przygotowane dla wuja użyła panna Frania. Gdy wyszła, wuj spytał:

- A co to za czupiradło? Nie psuje wam apetytu?

- Cicho - zawołała przerażona matka. - Maniunia nagle mnie zostawiła. Obawiam się, że przez intrygę Dziurzyny Maniunia złamała sobie życie. Bogu dzięki trafiła mi się ta dziewczyna.

- Przy was ona odżyje - odrzekł wuj, nie próbując dowiedzieć się o los Maniuni.

Jaon postanowił, że gdy dorośnie, nie będzie grzeczniejszy niż teraz. Będzie o wszystko pytał, nie licząc się z tym, czy to wypada. Nie zniesie tego stanu, w którym ciągle nic nie wiadomo. Po kolędach, położono Jaona spać. Rodzice z wujem przeszli do gabinetu. Drzwi do dużego pokoju zostawili uchylone. Jaon podniósłszy się na łóżku mógł widzieć wystającą zza drzwi najdłuższą gałąź choinki.

Staniolowe różnobarwne upierzenie papugi zbierało na sobie światło zza okna. Niteczka, na której wisała była niewidoczna. Papuga poruszała się prawie niedostrzegalnie, raz obracając się do Jaona

zakrzywionym groźnym dziobem, raz ogonem z długich srebrzących się piór, jakby krążyła nad zerem. Żywe papugi w klatkach były bardziej nieruchome. Starał się sobie wyobrazić jak wygląda Marzeniów bez liści, w śniegu i zasnął.

Obudził się przed wszystkimi. Ujrzał wysprzątaną, jasną przestrzeń wielkiego pokoju i tkwiącą w niej papugę. Łypnęło na niego złote oko. Do wielkiego pokoju weszli rodzice i wuj. Matka zajrzała do Jaona, podeszła do łóżka, pogładziła go po głowie:

- Jak dobrze. Jacy jesteśmy szczęśliwi. Wszystko dobrze - wyszeptwała, by ojciec i wuj nie słyszeli.

Cały ranek rozmawiano. Wuj w pożyczonym od ojca szlafroku, rodzice w płaszczach kąpielowych; tylko Jaon był ubrany. Około drugiej zadzwoniono do drzwi.

Zjawił się stryj ze stryjenką. Rodzice i wuj rozbiegli się, by się ubrać. Jaon widział stryjostwo pierwszy raz razem, odkąd wynurzył się ze stanu, w którym jeszcze nie znał nikogo. Musiał ich bawić.

Jaona śmieszyło, że rodzice myślą, że on nie wie o panie Świdwińskiej. Śmieszne też było, że stryj i wuj, którzy się nie znosili, a może nienawidzili (Jaon lubił to słowo, ale nie był pewien jego znaczenia) zawsze się spotykali.

W tym momencie znów rozległ się dzwonek. Frania weszła z listem.

Pokojówka państwa Woynickich przyniosła go i czekała na odpowiedź.

Państwo Woyniccy prosili, by rodzice przyjeżdżali zaraz do nich.

Taksówka, którą przyjechała pokojówka, czeka. Siedzą sami i chcieliby zobaczyć swoich drogich przyjaciół. Matka odpisywała, na głos czytając fragmenty listu. Prosiła, by państwo Woyniccy natychmiast przyjeżdżali tą samą taksówką, którą przyjechała po nich ich pokojówka. Tu są goście: rodzina, przybycie państwa Woynickich uczyni ze świątecznego dnia jeszcze bardziej świąteczny dzień.

Matka wyszła do pokojówki państwa Woynickich:

- Przyjechawszy pod dom, proszę nie zwalniać taksówki, tylko wejść z listem na górę. W nim jest wyjaśnienie.

Jaon czekał niecierpliwie. Nie pozwalał sobie myśleć o Nice, mścił się na niej za Myśliweczka, ale teraz, gdy miała przyjechać serce zaczęło mu bić, i waliło aż je słyszał, głęboko w sobie, zastanawiał się: "Mam ciało. Co znaczy mam? Nie mogę się sparzyć, nie mogę z nim robić, co chcę. Ono mnie nie słucha, tylko robi, co chce".

Stryja i wuja łączyło teraz, że byli jednakowo niezadowoleni, z oczekiwania na państwa Woynickich.

- Z Woynickimi jest wielka przyjaźń i ogromny dystans. Urok tych państwa polega na niedomówieniach i blasku potęgi dyrektora Woynickiego - mówił stryj do wuja.

- Czar wtajemniczenia? - podjął wuj Rudolf. - Wiedza, której inni nie posiadają?

Jaon był zaskoczony ślepotą stryja i nieostrożnością z jaką zabierał głos. On, dziecko, wiedział więcej. "Więc dorośli są głupi?" Myślał, że tylko dzieci są niemądre i że dorosłość leczy je z tego na zawsze.

Rozległ się dzwonek, Jaon biegł przez przedpokoje, Frania otwierała drzwi. Państwo Woynicy zdziwili się jej widokiem. Potem dostrzegli Jaona i pani Woynicka zawołała:

- No, na pewno jesteśmy u państwa Józefostwa.

Jaon pomagał ściągać Nice botki. Nika mocno ścisnęła rękę Jaonowi.

Nie wiedział, co to znaczy. Jej nabyty ostatnio zwyczaj. Od kogo?

Czy znak dla niego? Gdy ojciec pomagał panu Woynickiemu zdejmować futro, pani Woynicka zrzucając swoje na ręce Frani, tonem nieznanym u niej, cicho mówiła do matki Jaona:

- Proszę wybaczyć. Chciałam rozruszać męża. Zamyka się w sobie.

Ale państwa godzi się widywać.

Frانيا rozsunała stół. Jeden jego koniec zajęły zakąski i ciasta, na drugim zasiadali wszyscy.

- Co z wojną? - spytał pana Woynickiego stryj Hieronim.

Pan Woynicki chwilę milczał, a potem pogodnym głosem powiedział:

- Są dwie możliwości: albo Niemcy zażądają byśmy przepuścili ich wojska do granicy sowieckiej, my tego nie zrobimy i uderzą na nas, albo nie będą prosić i uderzą na nas. Trzy dni temu ich propaganda dała znak. Atakują Polskę. Tak samo było w wypadku Austrii i Czechosłowacji - odparł pan Woynicki.

- Napadają też na Anglię i Francję - wtrącił stryj Hieronim.

- Ich jeszcze pouczają. Do nas mówią, jak do skazanych - odrzekł pan Woynicki.

- Wojna może całkowicie zmienić nasze życie. Kto z nas przeżyje? - spytała bezradnie pani Woynicka, rozglądając się po zgromadzonych przy stole.

- Nasze dzieci - odpowiedziała z dziwną pewnością siebie matka Jaona.

Zapadła cisza, w której zabrzmiał głos wuja Rudolfa:

- Mnie wszystko jedno, czy przeżyję. Patrzę na was, państwo, ze współczuciem, że wojna może wam przynieść tyle strat.

- Dzieci, bawić się! - wykrzyknął pan Woynicki. - Już was nie ma.

W Jaonie, gdy nie widział Niki, narastał żal do niej. Gdy przychodziła, uśmiechała się do niego, nieświadoma jego miłości, żalu, tak strasznie dziecinna, budziła w Jaonie uczucie, że jest dorosłym człowiekiem, który musi mieć wyrozumienie dla małej dziewczynki.

- Dziś zaopiekuję się twoją lalczką - powiedziała. - Nic nie jadła od czasu jak nie było tu jej mamusi.

Uważała siebie za mamusię jego lalki? Czyli za jego żonę?

- Jest śniadanie - wyjaśniła i podsuwała lalce niewidzialne pokarmy na talerzykach. Nika ożywiła zabawki wiarą, że są zdolne jeść. Zbliżyła się do Jaona:

- Już jest obiad - oznajmiła. Za chwilę była kolacja. Nika ucałowała lalkę na dobranoc i przykryła poduszką z kanapy. Kazała Jaonowi położyć się na dywanie, ściągnęła koczek z jego łóżka otuliła go troskliwie i położyła się przy nim.

- Zamknij oczy - rozkazała czułym głosem.

Więc był dla niej jeszcze jedną lalką. Grał rolę jej dziecka?

Trwali tak chwilę. Nika zerwała się i było już rano. Doba lalek

trwała dziesięć minut.

- Wiesz - odezwała się z powagą Nika - gdy pierwszy raz jechaliśmy do ciebie, nie chciałam. Myślałam, że będziesz wyśmiewał moje lalki. Jesteś jedynym chłopcem, który ze mną się bawi lalkami. Jaonowi zrobiło się wstyd. Rozzłościł się na Nikę. "Więc zna już innych chłopców? Przecież to wiem. Chodzi do przedszkola, widziałem ich na balu. Mnie lubi, bo znoszą jej lalki? Czy dała mi do zrozumienia, jak umiała - mówiąc o lalkach - że woli mnie od Myśliweczka? Czy gdy będziemy dorośli, to się wyjaśni?"

Zawołano dzieci. Wtedy wuj zerwał się. Powiedział, że idzie, bo ma pociąg. Dziś w nocy musi być na południu Polski. Rodzice nie zatrzymywali go. Wuj nieuważnie zegnał się z Jaonem.

- Pani Julianno - odezwała się pani Woynicka - pani trzyma służące czekające na rozkazy, a nie samodzielne. Dlatego wspaniałości pani kuchni są niezmiennie.

- Zmiana służącej - zaproponowała matka - to abdykacja jednego monarchy i wstąpienie na tron drugiego.

- Maniunia wychodzi za mąż - wtrącił Jaon.

- Państwa Woynickich to nie interesuje - skarciła go matka.

- U moich braterstwa - roześmiał się stryj Hieronim - wszystko odbywa się uroczystie. Każdy dzień jest świętem. Najdrobniejsze wydarzenia nabierają niezwyklej wagi, celebrowane w podniosłym nastroju, nawet to, że Jaon raczy być dobrze z żołądkiem.

- Bo to jest ważne - powiedziała z naciskiem pani Woynicka i spytała Jaona. - Bawiliście się? Nie nudziliście się? - Gdy Jaon milczał pani Woynicka dodała. - Ty nigdy się nie nudzisz?

- W czasie ferii studiuje podręcznik arytmetyki z wyższej klasy - odezwała się matka. - Odbiorę ci!

- Wydawało mi się, że nie rozumiem mnożenia i dzielenia.

Sprawdzałem, czy możliwe, że to jest tak łatwe.

- Nika w większym stopniu niż Jaon umie być dzieckiem - poskarżyła się matka pani Woynickiej. - Jaon nadmiernie przejmuje się nauką, a chodzić do szkoły nie lubi.

- Zwolennicy nazywają ją najlepszą w mieście, przeciwnicy twierdzą, że to hodowla mózgów - odrzekła pani Woynicka.

- Dzieci wołają za nami na ulicy: Pierwszaki! Prymusy! Lizusy! Jedynaki! Pętaki! Mamisynki! - wyrwał się Jaon.

- Synu, mam dla ciebie nową niespodziankę - powiedziała po Nowym Roku matka. - Będziesz się uczył francuskiego. Chcę byś studiował w Paryżu. Może tam spotkacie się z Niką?

- Dobrze mamo. A kiedy będę mówił po francusku?

- Zależy to od ciebie.

Wyobraził sobie śliczną Francuzkę, ale sam w to nie wierzył. Gdy pani Bohusz wkroczyła do wielkiego pokoju, nie miał czasu jej się przyjrzeć, bo przeszła go wzrokiem i przykuła jego spojrzenie. Dopiero gdy witała się z matką, oderwała oczy od Jego oczu. Była siwa i smągła, jakby nie zesza jej letnia opalenizna. Odezwała się ochryplym głosem:

- Ja zawsze chora. Muszę syrop. Flegma. Polska ołowiane niebo. Zamiast słońca deszcz. Zamiast deszczu śnieg. Zamiast śniegu lód.

Zimno, zimno. Ja mówię po polsku nauczona przez męża. Mąż Polak. Nie żyje. Ja żałoba. Ja tęsknota.

- Proszę opowiedzieć - odezwała się matka.

- Mąż przed śmiercią nakazał. Jedź do Polski. Zabierz syna. Chowaj w Polsce. Renta z Francji niewielka. Ja muszę udzielać lekcji.

Polska obcy kraj.

- Źle się pani czuje w Polsce?

- Syn czuje się obco. Ja czuję się obco. Gdzie wracać? Ja wychowana w Algierii. Ojciec komendant fortu.

- Jak poznała pani swojego męża! - spytała matka.

- Uciekł z Polski. Nie chciał niewoli. Rodzice nie chcieli, by uciekł. We Francji wstąpił do Legion Etrangre. Wysłany do Afryki. Do forh, gdzie ojciec komendant. Pan Bohusz wtedy podporucznik. Zobaczył mnie. Ja zobaczyłam jego. Na takiej pustyni, taki człowiek! Dla niego fatamorgana - młoda panna w Forcie. Ostrzegali rodzice. Nie wyjdź nigdy za cudzoziemca. W Polsce Legiony, pan Bohusz ucieka. Dezercja. Po wojnie wraca do mnie. Tęskni za Polską. Żałoba, wielka tęsknota.

Wyjęła z torby książkę i zwróciła się do Jaona, unosząc ją w górę:

- C'est un livre.

Jaon wpatrywał się w książkę jak zahipnotyzowany.

- Est-ce un livre? - pytała pani Bohusz i odpowiedziała sobie. -

Oui, c'est un livre.

Zbliżyła się do Jaona, wyciągnęła rękę w kierunku jego twarzy i dotknęła palcem czoła Jaona:

- C'est un front.

Palec pani Bohusz zbliżył się do jego oka, które zamknęło się gwałtownie i dotknął powieki, potem ust, które zaswedziały, ucha, policzków. Każdemu dotknięciu towarzyszyło słowo. Palec pani Bohusz był suchy i sztywny. Pociągnęła go za włosy i powiedziała nowe słowo. Chwyciła go za rękę i doprowadziła go pod okno:

- C'est une fenetre. Derrriere la fenetre volent les oiseaux. C'est sont les pigeons.

Pani Bohusz odwróciła go plecami do okna, nazwała stół, krzesła, kredens, dywany, obrazy, matkę Jaona, a potem Jaona, który znalazł się w obcym świecie. Otaczały go nieznanne słowa, a te, które poznał tak niedawno, były starte z tego, co go otaczało. Pani Bohusz dokonawszy tego zniszczenia, otworzyła książkę w miejscu gdzie były kolorowe prostokąty. Jaon zobaczył barwy w czystej formie, oderwane od przedmiotów. Najbardziej podobała mu się żółć w jaskrawym odcieniu.

- Jaune - powtórzył.

Oddawało żółć lepiej niż polskie słowo.

- Jak jest cytryna? - spytał.

- La citrone - odpowiedziała pani Bohusz. La citrone estjaune.

- La citrone estjaune - powtórzył Jaon poważnie, dumny, że mówi po francusku. Czuł kwaśny smak cytryny.

Pani Bohusz wyszła, a Jaon pobiegł do siebie, wyciągnął wojsko i otworzył pudełko z Legią Cudzoziemską. Wyjął oficera. Dawno go miał, nie wiedząc, że to pan Bohusz. Za nim ustawił jego

przyszłego podwładnego wuja Rudolfa. W pudełku Legionów Piłsudskiego znalazł oficera, w którym rozpoznawał swojego ojca. Z żołnierzy Polskiej Piechoty 1920 wyjął jednego, który uosabiał w tej chwili, nawet wydał mu się podobny z twarzy do wuja Rudolfa. Wuj Rudolf był dwoma żołnierzami na raz. Ustawił ich czterech obok siebie.

Dwa dni potem Jaon zaczął błagać panią Bohusz, by opowiedziała o Legii. Pani Bohusz zgodziła się, zaznaczając, że za czas opowieści wytrąci sobie:

- W Legii oni mieli "le cafard". Znaczy to obrzydliwy owad, ale coś więcej: specjalna choroba. Depression, nostalgic, melancholie, spleen, la chandra pa ruski. Więcej niż tęsknić. To znaczy rozpaczać. Nie móc wrócić, być na służbie, a Afryka obca. Fort w miasteczku. Blisko pustynia. Upał. Nie ma cienia. Jedna kafejka. Dom wąski narożny, malowany pomarańczowo, jedna palma, trzy stoliki. "Przyśniło się to?" - myśli każdy. Każdy woli patrol. Między skałami Barberzy. Giną koledzy. Pogrzeb. Salwa honorowa. Komendant Francuz. Osobny blokhauz. Dużo służby. Ja sama. Nie mam braci, sióstr. Nie mamy się znać z żołnierzami. Tam źli ludzie. Ja widzę: nowy podporucznik. Smutny. Słyszę: jego ojczyzna najdalej. Nie można się nie poznać, jeśli oficer. Bywa po rozkazy. Dowodzi patrolem. Barberzy wpuszczają w góry. Strzelają ze skał. On i żołnierze w dole. Konie wybite. Ranny, gdy ciemno, na kolanach idzie. Przez piaski. Noc, dzień, noc.

Jaon wpatrywał się w panią Bohusz: co by zrobiła, gdyby powiedział jej, że jej mąż, oficer Legii Cudzoziemskiej, jest tak blisko, w pudełku z żołnierzami.

Pani Bohusz wzruszona, przerwała opowieść, otworzyła książkę. Jej kartki były wytłuszczone. Lekcja druga. Poznanie z Lapoint`ami. Jest to rodzina: ojciec, matka, starszy syn, młodsza córeczka. Mieszkają w Paryżu, w trzypokojowym mieszkaniu. Pan Lapoint jest urzędnikiem w banku. Mają pokojówkę. Ich jadalny jest dużym pokojem.

Tam też przyjmują gości. Dzieci mają swój pokój. Tak samo chodzą po sklepach. Rozkład dnia, posiłki, zwyczaj - wszystko podobne do życia Jaona - przeszkadza tylko młodsza siostrzyczka. Co to znaczy? Będzie ją miał? - zastanawiał się Jaon. Z niezrozumiałych słów, z rysunków, fotografii zaułków, kawiarni i parków, biła atmosfera Paryża, nigdy nie widzianego miasta.

Jaon wlokąc się za Franią po feriach do szkoły myślał, że od czasu gdy zaczął naukę, jego dni przypominają lalczyne. Skróciły się, mijają szybciej. Nie mają tego znaczenia co dawniej. Tydzień znaczył tyle co kiedyś dzień. Ogarnął go żal za przeszłością, podobny do tego, który wypowiadali rodzice.

W klasie zastali nowego kolegę. Był o głowę wyższy od wszystkich. Wydawał się dorosły. Przechodząc koło nich, przesunął ręką po ich włosach, było to niby gładzenie, ale sprawiało ból.

- To wy nie macie przezwisk? - zdziwił się na dużej przerwie. - Ja was ponazywam. Podchodźcie - rozkazał. Ty będziesz "Amerykańska Katarynka", ty "Szynka z puszki", ty "Nudny jęk", "Szmateńka

bawełniana".

Jaon i Szachowski odeszli.

- Obejdziemy się bez przezwisk - powiedział Szachowski.

- To jest dziecinny typ - odrzekł Jaon - chce z nas zrobić dzieci.

Jaona zaskakiwało, że jakby umówili się z Szachowskim i nie poruszyli sprawy nagłego przyjazdu szofera po Jaona, ani ewentualnej wizyty Szachowskiego u niego. Nie wiedział, co ich od tego powstrzymywało, dlaczego tak samo zachowuje się Szachowski.

Gdyby to powiedzieli, coś by się zepsuło. Byli mali, a jednak o tym wiedzieli i to, że obaj wiedzieli i tak samo postępowali, połączyło ich bardziej niż dotychczasowe koleżeństwo. W tej prawie przyjaźni było coś smutnego: zakaz rodziców Jaona, przeszkoda, która powodowała, że Jaon żałował Szachowskiego. Mówili o feriach na Wielkanoc, o wakacjach, mimo że była zima. Szachowski nie mówił tego wprost, ale Jaon wiedział, że Szachowskiemu nie zależy na wakacjach, tylko by spędzić ten czas z matką.

Pierwszy raz objęli się za szyję, jak robili to Tomek i Jurek. Tak spacerowali po korytarzu. Szachowski przez moment mocno ścisnął Jaona. Jaonowi zrobiło to przyjemność, czuł ciepło ciała Szachowskiego u boku, wydawało mu się, że kolega jest wzruszony, ale poczuł wstyd i nie odwzajemnił uścisku. Szachowski odsunął się na większą odległość niż przedtem.

Gdy pauza się skończyła, nowy kolega, urażony, czekał na nich przy drzwiach klasy:

- Wy zostajecie bez przezwiska. Nie jesteście go warci. Nie zasłużyliście - głos mu zadrżał.

Ledwie zaczęła się lekcja, Bokrzycki, cichy, nie zabierający głosu na lekcjach, o którym Jaon nie pamiętał, że istnieje, podniósł dwa palce w górę:

- Proszę pani. Proszę pani - wołał alarmującym głosem - nowy uczeń przeżywa się.

- Brzydko cię nazwał? - sprostowała nauczycielka.

- Całą klasę.

- Nas nie - wyrwał się Jaon - mnie z Szachowskim nie.

Zapanował tumult. Jedni krzyczeli na Bokrzyckiego "skarżypyta, skarżypyta", inni "Jaon i Szachowski bez przezwisk".

- Jak cię nazwał? - spytała nauczycielka.

- Nie chcę mówić - bronił się Bokrzycki.

- "Amerykańska katarynka". "Amerykańska katarynka" - wrzeszczano chórem.

- Cóż to za nazwa? - zdziwiła się nauczycielka. - Nie ma takiej rzeczy jak amerykańska katarynka.

Bokrzycki rozplakał się na głos i oparł głowę na stoliku, ukrywając twarz. Nauczycielka podeszła, położyła mu dłoń na ramieniu, potem pogładziła po włosach. Zwróciła się do nowego ucznia:

- Nie podoba mi się, że chciałeś zrobić przykrość koledze. Nie chcę słyszeć innych przezwisk. Nosicie imiona. Wybrali je wasi rodzice. Macie swoich patronów. Wasz kolega przyszedł ze szkoły, gdzie były inne zwyczaje. Wy sobie mówcie po imieniu, nie

przezwozami. Takie jest moje życzenie. Proszę przeprosić Bokrzyckiego - zwróciła się nauczycielka do nowego ucznia. Siedząc w ławce odezwał się:

- Nie ma za co przepraszać.

- Proszę wstań.

Nowy uczeń wstał.

- A teraz proszę opuścić klasę. Gdy zdecydujesz się przeprosić kolegę, możesz wrócić.

- Nie zdecyduję się - odrzekł nowy uczeń, zabierając zeszyt i książki.

Po lekcjach wszyscy wychodzili milcząco.

- C'est sont les arbres - wskazywał Jaon drzewa Frani w drodze powrotnej.

- C'est la rue. C'est sont les oiseaux.

Frani patrzyła na niego przerażona. Przechodnie oglądali się za nimi. "Ach, gdyby to była Maniunia, też nie rozumiałaby, ale odczułaby, że rozmawiam z nią po francusku" - myślał Jaon.

Nazajutrz nie przyszedł do szkoły ani nowy uczeń, ani Bokrzycki.

Pani nie wyczytała ich sprawdzając listę. Złożywszy dziennik, powiedziała:

- Stała się rzecz smutna. Odeszło od was dwu kolegów. Jeden, bo dopuścił się wybuchu, nie umiał tego uznać i zdobyć się na przeproszenie kolegi, któremu sprawił przykrość, drugi zbyt przejął się tą przykrością. Jeden był tylko dzień w szkole, drugiego znamy od początku. Co do nowego ucznia, powiem otwarcie: nie żałuję go. Szkoda nam Bokrzyckiego. Żaden z was nie przejął się przezwozkiem jak on, więc mimo że chcielibyśmy go dalej mieć wśród nas, nie możemy pochwalić go, że nie umiał zlekceważyć niemądrej nazwy, nadając jej mimowolnie wagę. Jego zachowanie, mimo że był pokrzywdzony, musimy też uznać za niewłaściwe. Ale i wasze zachowanie było złe. Wykrzykiwaliście przezwozko, zamiast stanąć w obronie kolegi. Może dlatego nie chciał wrócić do nas? Na przerwie Szachowski podszedł do Jaona. "Więc już żadnej paury nie spędzę sam - pomyślał Jaon. - Tak będzie do końca szkoły?" Poczł się osaczony przez Szachowskiego. Nie mógł też się zbliżyć do nikogo innego. Szachowski odcinał go od kolegów. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak jest niesprawiedliwy: gdy nie znał nikogo, Szachowski jeden do niego podszedł.

Szachowski objął go za szyję, ale wyczuł widać rezerwę Jaona, bo zabrał rękę.

- Mój ojciec - powiedział - pochwaliłby decyzję szkoły. Aczkolwiek szkoła straciła finansowo, ale pozbyła się uczniów, którzy sprawialiby kłopoty. Obaj byli głupcami, każdy na inny sposób. Byli nam niepotrzebni.

Jaon nie spodziewał się po Szachowskim takich słów. Sądził, że Szachowski jest poczciwym, przepełnionym uczuciami chłopcem, który narzuca się innym.

Ton bezgranicznej pogardy i sposób mówienia dorosłego, który pewny swojej potęgi, patrzy z góry na ludzi, zmienił nastawienie Jaona do Szachowskiego. Taki Szachowski, jako przyjaciel odpowiadałby

mu. Teraz Jaon objął za szyję Szachowskiego, a ten nie okazał mu obrzydzenia. - Bardzo mnie zachwyciło to, co powiedziałaś - otwarcie stwierdził Jaon.

- Więc dobrze wyczuwałem, że ty jesteś taki jak ja. Kiedy dorosnę kupię parlament i wprowadzę królestwo w Polsce. Potem możemy opanować świat, w którym będę rządzić ja i ty. Ojciec mówi, że ludzie nie wiedzą, że dzielą się na tych, co zrozumieli i tych, którzy nigdy nie rozumieją.

Jaon nie miał odwagi zapytać Szachowskiego, co zrozumieli.

Gorączkowo myślał: "Kto z tych, których znam, zrozumiał?" Czy może zaliczyć do tej kategorii rodziców? Uchwycił się pewnego wspomnienia:

- Niedawno przekonałem się, że jeden dorosły jest głupszy ode mnie.

- Widzisz, to nas łączy - wykrzyknął entuzjastycznie Szachowski. - Gdy byłem całkiem mały, chciałem stworzyć Państwo Dzieci - zwierzał się Jaonowi Szachowski. - Wszystkie przesiedliłbym do Południowej Afryki. Miałem nawet mapę miast dzieci. Ale przekonałem się, że dzieci nie różnią się od dorosłych. Od początku są skazane, by być głupie całe życie.

Dalej mówili o rozumieniu. Jaon nie wiedział, co trzeba rozumieć i bał się, że Szachowski przed nim ukrywa to jako klucz do władzy nad światem i wiedział, że już o to nie zapyta, wtajemniczony w coś, czego nie pojmuje. Gdy Szachowski zostanie królem świata, wezwie go i dopuści do władzy? Zadzwoił dzwonek i wrócili do klasy.

Przyszła po niego Frania.

- Jak chcesz, będę cię podwoził pod dom - odgadł jego myśli Szachowski.

- To trzy minuty drogi - zaproponował Jaon.

- Żeby było dalej, każę szoferowi jechać przez Pole Mokotowskie - odrzekł Szachowski.

- Dziękuję ci. Muszę o wszystko pytać rodziców - odrzekł Jaon.

Wiedział, że Szachowski zdaje sobie sprawę, iż rodzice Jaona są przeciwni ich przyjaźni. Jaonowi wydawało się, że czarownik przemienił Maniunię we Franię. Wszystko odbywało się tak samo, jak za Maniuni, ale smutno i powolniej. Frania chwyciła rękę Jaona i prowadziła go, jak prowadzi się psa na smyczy.

Szachowski wszedł do samochodu i machał do Jaona dokąd wóz nie zakręci na placu Unii. Jaon oddawał mu pozdrowienia, myśląc, że wszystko jest bardziej tajemnicze niż by się zdawało. Jeśli jego rodzice to tajni władcy świata, ukryci jako urzędnik bankowy i jego żona, którzy przybrali tę postać, by wychować dziecko zwyczajnie i poddać je próbom życia, wszyscy mogą to wiedzieć, także

Szachowski, tylko mu nie mówią z lęku przed jego rodzicami. Poddał się wątpieniu: Czy możliwe, żeby z nut można było wyczytać melodię? Czy płótno trzyma się dlatego, że powstaje splot nitki? Przedmioty spadają na skutek przyciągania ziemi, czy mają jeszcze siłę lotu w sobie? Nie wierzył, że rozumie arytmetykę, mimo że

wyniki zadań mu wychodziły, jak w podręczniku, ale podejrzewał, że jest jeszcze "wielka prawda". Wszyscy znają ją poza nim. Jakaś zмова, którą mogli zorganizować jego rodzice.

Nazajutrz męczyło go, że musi iść z Franią. Po Maniuni, którą uważał za piękną, Frania kompromitowała go na ulicy.

- Frania nic nie mówi - gdy matka nie słyszała, mówił do niej po imieniu, omijając słowo "panna".

- Bo nie mam co mówić - odezwała się szorstko. Potem złagodniała.

- To, co wiem, nie nadaje się dla Jaona. Pani by się gniewała, gdyby Jaon dowiedział się, jak jest w życiu. Co dzień odprowadzam Jaona do szkoły, wracam po niego i myślę, że mój ojciec, gdy widział, że mam książkę, bił mnie. Co przeżyłam, tylko księdzu mogę opowiadać na spowiedzi, a nie Jaonowi. U generałowej było lepiej, ale straciłam to. Teraz znów mi jest dobrze, więc muszę uważać z każdym słowem, żeby nie narazić się na gniew państwa.

W hallu pachniało kakaem wydawanym uczniom na dużej przerwie (pierwsza klasa przeważnie wychodziła po trzech lekcjach i nie brała udziału w drugim śniadaniu), kurzem i skórą, i Jaon poczuł, że te zapachy, lekki chłód podziemia, blask brązowej podłogi z płytek, na których można było się ślizgać - zaczyna należeć także do niego. Ustawili się w pary. Szachowski jak cień, stanął przy nim. Ruszając, wzięli się za ręce, ale na schodach Szachowski widząc czując, że to za długo trwa, puścił dłoń Jaona.

W klasie zobaczyli samotnie siedzącego Bokrzyckiego. Wielki ryk wyrwał się ze wszystkich ust, a on wstał, bo chciał powitać wchodzącą nauczycielkę, ale wyszło, że wstał na ich cześć.

- Wasz kolega Bokrzycki dzień był w innej szkole, ale poprosił rodziców, żeby pozwolili mu do nas wrócić. Jest pewien, że nie będziecie go przezywać.

- Dowiedział się, że nie ma nowego, więc przestał się bać - szepnął Jaonowi w ucho Szachowski.

- Szachowski - krzyknęła nauczycielka - bo rozsadzę cię z kolegą. Ciągłe mi przeszkadzasz.

Szachowski znieruchomiał. Jego oczy miały obojętny wyraz. Gdy zabrzmiał dzwonek, chłopcy rzucili się do ławki Bokrzyckiego:

- Nie będziemy cię przezywać! Nie będziemy cię przezywać! -

krzyczeli, otoczyli Bokrzyckiego i podskakiwali. - Nie jesteś amerykańską katarynką! Nie jesteś amerykańską katarynką!

Bokrzycki próbował przerwać koło. Mały de Lutze wrzasnął:

- Uciekamy przed Bokrzyckim!

- Uciekamy przed Bokrzyckim - zawrzeszczeli chłopcy i rozbiegli się po korytarzu.

Bokrzycki został sam, zaskoczony, zrozpaczony. Chłopcy wracali, podbiegali blisko, krzyczeli:

- Uciekamy przed Bokrzyckim - i pędzili w głąb korytarza.

Bokrzycki próbował podejść do uczniów ze starszych klas, ale jeden z nich wrzasnął:

- Bawimy się w Bokrzyckiego.

Ta zabawa spodobała się w II, III i IV klasie. Szybko nauczono się rozpoznawać Bokrzyckiego. Uczniowie z wyższych klas, zachowując

godność osób starszych oddalali się długimi bocianimi krokami. Wszyscy milkli, rozpływali się. Bokrzycki w pustce korytarza krążył z nadzieją, że ktoś się nad nim ulituje. Przemykano pod ścianami, chroniono na schodach. Przez sekundę spojrzenie Bokrzyckiego zatrzymało się na Jaonie i Szachowskim.

My nie uciekamy przed Bokrzyckim, odejdziemy, by na tę głupią zabawę nie patrzeć - powiedział cicho Szachowski i pociągnął Jaona na schody. Stanęli pół piętra niżej. Bokrzycki szedł za nimi. Byli jego ostatnią nadzieją. Szachowski zachowywał się jakby go nie widział i stopień po stopniu sprowadzał Jaona w dół.

- Mów coś do mnie - rozkazał Jaonowi. - Cokolwiek!

- Zabawy mnie nudzą. Dzieci ciągle bawią się w to samo. Są tak dziecinne, jakby udawały dzieci i bawiły się w dzieci. Gdy bawią się w dorosłych są jeszcze dziecinniejsze. Są niegrzeczne po to, by być niegrzeczne.

Jaon mówił co popadło, wydawało mu się to idiotyczne, ale w przypadkowo skleconych zdaniach, po to by udąć zajęcie rozmową, wychwytywał sens, który go samego niepokoił.

Bokrzycki był za nimi. Szachowski udawał, że słucha Jaona.

Bokrzycki, jak cień, sunął z Jaonem i Szachowskim po schodach, aż zeszli do podziemnego hallu. Wtedy Bokrzycki chwycił Szachowskiego za ramię. Szachowski wyszarpnął się, udając, że nie wie, kto go zatrzymuje. Bokrzycki ponowił próbę. Szachowski strącił jego rękę ze swojego ramienia.

- Coś mnie dotknęło. Nie lubię, gdy coś mnie dotyka - oznajmił Szachowski i szepnął rozkazująco. - Mów dalej!

- Nie lubię grać w piłkę. Drażni mnie, że ktoś we mnie rzuca.

Piłka jest zakurzona. Wolę jej nie łapać. Nie obchodzi mnie, czy wygram, czy przegram.

Te słowa usłyszał Bokrzycki. Zawrócił i biegł w górę po schodach krzycząc:

- Jaon boi się piłki! Jaon boi się piłki!

Szachowski spojrzał na Jaona, jakby mówił: widzisz nie warto było dla niego zadzierać z wszystkimi klasami na korytarzu.

Na szczęście okrzyków Bokrzyckiego nie usłyszano, bo jego pojawienie się zrodziło panikę. Uciekano we wszystkie strony.

Zadźwiewał dzwonek na lekcję.

Gdy wracali z Franią, auto Szachowskiego jechało za nimi, jak eskorta przy krawężniku aż do bramy domu Jaona.

Następnego dnia cała klasa pierwsza wypatrywała jeszcze w podziemnym holu Bokrzyckiego. Ale Bokrzycki znów nie przyszedł.

Pani nie wyczytała jego nazwiska w czasie sprawdzania obecności.

Czekano, co powie, gdy zamknie dziennik. Ale wybrała inną metodę: przemilczenie.

Na przerwie było wszystkim pusto i smutno bez nowej zabawy.

Pani klasnęła w ręce:

- Uwaga chłopcy! Dziś nadszedł największy moment w waszym życiu szkolnym. Nie dotyczy nauki, ale czegoś równie ważnego: waszych charakterów. Zrobiliście wielką przykrość koledze, aż nie chciał być z wami. Dla was to była zabawa, a on odczuł to jako krzywdę, z

powodów, których jeszcze nie potraficie zrozumieć. Przez was nie chodzi do żadnej szkoły. Pozwolicie cierpieć koledze? - Nie! Nie! Nie - wrzeszczeli wszyscy.

- Musicie wybrać delegację, która przeprosi Bokrzyckiego i namówi, by wrócił między was.

- Szachowski! Jaon! Jaon! Szachowski! - wołali chłopcy.

Jaon poczuł wstyd. Tylko oni uciekali naprawdę przed Bokrzyckim, nie dlatego by sprawić mu przykrość, czy żartować.

Wystarczyło, że pani wysłała list z zapowiedzią ich wizyty, by Bokrzycki zjawił się w szkole. Podszedł do ławki Jaona i Szachowskiego:

- Wiem, mieliście przyjść. Rodzice na coś takiego czekali. Ja i tak bym wrócił. "Ważna jest nauka nie koledzy. Nie zwracaj na nich uwagi. Nie warto, by cię przepaszali, bo mogą cię bardziej znieubić".

- Ależ Bokrzycki, my cię lubimy - powiedział Jaon.

Jakaś tajemnica otaczała ten drugi powrót Bokrzyckiego.

Gdy wychodzili z Szachowskim ze szkoły padał śnieg. Domy oddaliły się za zasłoną drobnych płatków, gęstych i lecących szybko, jakby od ziemi ku górze. Uczniowie okazywali głośną radość. Ujrzał matkę z Franią. Na ten widok Szachowski się skłonił i odszedł.

- Przyszłam, by cię zabrać na sanki - oznajmiła matka. - Pójdziemy na tor w parku Agrykola.

Nim doszli, byli zasypani śniegiem. Matka wynajęła sanki i jak stała, w pelisie podbitej futrem tak mało znanego zwierzęcia, że nie wiedziała co nosi, w kapeluszu i z torebką siadła na sankach, przed sobą umieszczając Jaona.

- Jeszcze jest młoda, młoda, młoda - cieszył się Jaon, który od pewnego czasu odpychał od siebie myśl, że rodzice się starzeją, by nie myśleć, że kiedyś umrą.

Matka kazała Jaonowi odepchnąć się i silnie wsparła się nogami; ruszyli. Tor był tak skonstruowany, że nie trzeba było kierować. Nabrali od razu prędkości, która wtłoczyła Jaonowi serce do gardła. Wytrzeszczył oczy. Brzegi toru, krzewy, drzewa, migały w szalonym tempie. Brakowało mu tchu. Matka trzymała go od tyłu silnie. Byli zdani na pęd sanek. To, co przeżyli to był dopiero początek, dojechali w rozpędzie na krawędź góry i runęli w przepaść. Jaon poczuł, że zapada się w nim wszystko, wnętrzości lecą szybciej niż on, że pęd wbija mu oddech z powrotem. Z szeroko otwartych oczu płynęły mu łzy, oślepiając go. Sanki jeszcze raz przyspieszyły. Jaon myślał, że zginie i wtedy szybkość powoli zaczęła się zmniejszać i zmniejszać aż stanęli. Matka, obsypana śniegiem wyglądała zabawnie.

- Pędziliśmy tak, bo jestem ciężka - powiedziała.

Dała Jaonowi znak, by pociągnął sanki. Szli powoli krętą ścieżką w górę.

- Ach synu, teraz rzadziej rozmawiamy. Stałeś się prawdziwym uczniem. Masz nawet przyjaciela. Dzięki Bogu nie chorujesz. Dlatego odważyłam się cię tu zabrać.

Jaon zdziwił się, że dopiero gdy zostało to powiedziane głośno,

uświadomił sobie, jak wielkie zmiany zaszły w jego życiu. Minął okres Niki i Maniuni, jest okres Frani, Szachowskiego i klasy pierwszej A.

- Jak przyjemnie było na sankach! - mówiła matka. - Lubiłam dziką szybkość. Może nie powinnam ci tego opowiadać? W moich ukochanych okolicach, za którymi ciągle tęsknię, była kolejka leśna.

Wchodziłam na górę, gdzie był tak zwany Leśny Dworzec, odczepiałam pusty wagonik i jak szalona zjeżdżałam.

Narzucił mi się pewien natręt, o którym ci wspominałam. Prosił mnie, bym za niego wyszła. Była też przyzwoitka w postaci mojej nieżyjącej siostry. Kazałam jej usiąść na pieńku i czekać, a natrętowi wejść na wagonik. Odepchnęłam się drągiem, którego używano jako hamulca. Gdy wagonik rozpedził się do największej szybkości wyrzuciłam drąg. Zbliżaliśmy się do zakrętu. Ten pan przeraził się, wyskoczył, sądząc, że wagonik się wykolei. Zostawił mnie! Dojechałam do samej stacji, do rampy gdzie ładowano drzewo. Pęd zarzucił mi sukienkę na głowę. Tego pana nie było widać. Leżał i krzyczał z bólu. Miał złamaną nogę. Musieliśmy bryczką po niego przyjeżdżać. Nikomu nie mówiłam jak to się stało. Bałam się opowiedzieć to twojej babce, a teraz za późno - głos matki załamał się.

- Twoja siostra nie powiedziała?

- Myślała, że ją zostawiłam, by być z nim sam na sam! Czuli się opuszczona, wyłączona z towarzystwa. Taka była. Nie dowiedziała się, jak jest, nigdy, do swojej śmierci.

- "Jak jest"? O czym mówisz mammo?

- Jaki jest świat naprawdę. Martwię się, że wyobrażasz sobie dorosłość, jak dzieciństwo, tylko z ogromniałe, w którym nikt nie rozkazuje, możemy być niegrzeczni, robić to, czego nie wolno. Czekala na nich pani Bohusz, zdenerwowana. Zapomnieli o francuskim! Mówiła szybko. Ku swojemu szczęściu Jaon poczuł, że rozumie! Pod koniec lekcji, pani Bohusz spojrzala na zegarek, by odliczać czas z lekcji i zaczęła opowiadać:

- Pan Bohusz nie lubił być w Legii. Tych przestępców. Z całego świata. Mogli tam mordować. Zgodnie z prawem. Nienawidził ich brudnego języka. Wyjeżdżaliśmy na wolny dzień. Na oazę Munrum. Jak rajski ogród. Fatamorgana; wał zieloności, palmy, pinie, heliotropy, ogrody różane, winnice.

Gdy pani Bohusz wyszła, Jaon zapytał:

- Mammo, to o Legii Cudzoziemskiej jest prawdą, czy zmyśla, by zainteresować mnie lekcją?

- Czas przyniesie wyjaśnienie.

- Wszystko się kiedyś wyjaśni?

- Nie synu.

- To powiedz taką rzecz, co się nie wyjaśni.

- W życiu twojej matki nie ma tajemnic. Może poza jedną, ale to wiesz, choć nie powinieneś wiedzieć. To historia twojej ciotki.

Dziś stanęła mi w oczach, jak siedzi wtedy, na pniu, rozgoryczona i cierpiąca, bez powodu. Zrozumiałam: byłam bezlitosna, że nie wyjaśniłam, jak było.

- Nie znałaś jeszcze mojego ojca?

- Nie wiedziałam, że istnieje. Zainteresowanie tego pana napawało mnie zniecierpliwieniem. Nie lubiłam, gdy ktoś patrzy na mnie bez mojej zgody. Widzisz, mama zawiera się małemu synowi.

Śnieg padał ciągle, coraz drobniejszy i gęstszy, topniał i nikł z chodników i dachów. Biel wypełniająca powietrze odbijała się w ciemnych, wilgotnych przestrzeniach ziemi. Przez zamknięte okna doszła go muzyka. Wszedł na parapet. Ujrzał samotnego grajka. W palcie z podniesionym kołnierzem w padającym śniegu grał na środku podwórza. Przejmująca była to melodia. Nikt jej nie słuchał poza Jaonem. Zapowiadała przyszłe, nieznane smutki, zmartwienia, żal. Ale i na nie Jaon czekał z gotowością i ciekawością. Pojawił się dozorca Szymański i wziął za ramię muzyka. Pół taktu pełnego żalu jeszcze wisiało w powietrzu, gdy grajek zniknął w bramie. Zrobiło się jeszcze smutniej. Dozorca stał się surowy dla domokrażców od kiedy Jaon rzucił pieniądze cyrkowcom. Oni nigdy już nie przyszli.

- Dziecko, co ci? - weszła matka i pogładziła go po głowie. - Nie zimno tak przy oknie?

Ojciec jeszcze z przedpokoju wołał:

- Jestem głodny! Jestem głodny!

Podniósł syna w górę. Twarz Jaona znalazła się przy stiukach sufitu: dojrzałych winogronach i splotach winorośli.

Frania, podawszy rosół, odezwała się; nigdy dotąd tego nie robiła.

- Na wychodnym byłam u spowiedzi u prałata Juścińskiego.

- To dobrze. Ale czemu panna Frania to mówi? - spytała matka.

Frania nie odpowiedziała. Na deser był budyń waniliowy, który Jaon lubił ponad wszystko.

- Mam zażądać wyjaśnień od Księdza Juścińskiego? - szepnęła matka do ojca, by Jaon nie słyszał.

- Jak uważasz. Służące to twoje zmartwienie - odrzekł ojciec.

Nazajutrz po szkole poszli do Łazienek w nadziei, że spotkają prałata Juścińskiego. Ale był tylko kolega z klasy, Kotnicki, z matką. Pani Kotnicka kazała synowi, by podszedł do Jaona i jego matki, i zapytał, czy mogą spacerować z nimi. Jaon szeptał do matki, błagał, by się nie godziła. Czuł, że szkoła osacza go zewsząd i że przez zbliżenie matek będzie musiał znosić Kotnickiego jako przyjaciela. Matka pokręciła głową na znak, że nie wypada odmawiać i panie przedstawiły się sobie.

- Dziwna ta szkoła - szeptała pani Kotnicka. - Mój syn dobrze się uczy, a nie zostanie prymusem, bo ta szkoła nie uznaje prymusów. Nie ma wywiadówek. Jeśli nauka idzie dobrze, rodzice nie bywają w szkole.

- To, co pani uważa za złe, uważam za dobre - odezwała się matka Jaona.

Chodzili milcząco. Pani Kotnicka nie chciała odejść. Kotnicki biegł przodem udając konia, galopadę, tupanie kopytami. "A gdybym zaproponował mu, skoro jest koniem, że będę jeźdźcem?" - pomyślał Jaon. Ale nie chciało mu się gonić kolegi. Po chwili w perspektywie alei ukazał się prałat Juściński w towarzystwie generałowej Ihnatowiczowej. Znalazł się powód, by pożegnać panią

Kotnicką.

- Ta biedna Frania dzięki państwu jest jak odrodzona - zaczął prałat.

- Wiem, że spędziła wychodne na spowiedzi u księdza prałata.

- Tak - uciał prałat. - Piękny dzień! Tak ciepło. Wydaje mi się, że gałązki stają się złote, a to zapowiedź wiosny.

- Ledwo minęły jedne święta, idą drugie - powiedziała matka Jaona. Jaon miał to samo poczucie. Dopiero Chrystus się narodził i był dzieciątkiem, a już, dorosły, w wieku 33 lat umrze na krzyżu. Czas mijał szybciej niż rok temu. Wydarzenia ważne mniej go teraz dziwiły i zachwyciły. Przedtem nawet smutne fakty przykuwały Jaona i budziły w nim entuzjazm; do niedawna zdarzało się wszystko pierwszy raz.

- Spotkanie z panią Kotnicką przypomniało mi - mówiła matka, gdy wracali z parku - że jako jeden z wybijających się uczniów, możesz wyjechać na wakacje już w maju. Zdamy na imieniny doktorowej.

- Na imieniny doktorowej! Na imieniny doktorowej! - Jaon biegł szybko naprzód, wykrzykując i podskakując, i dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że zachowuje się jak dziecko.

Ojciec wrócił w lepszym humorze.

- Co robiliście, kochani? - spytał.

- Rozmawialiśmy. Jaon nieustannie myśli o dorosłości. Jest tak podobny do nas fizycznie, a tak różny wewnętrznie. Gdy byłem dzieckiem, na myśl o dalszych latach ogarniał mnie popłoch. Nigdy nie przypuszczałem, że będę mieszkać w Warszawie.

- Ja wiedziałem o przyszłości jedno: że nigdy się nie ożenię.

Rodzice roześmieli się i wzięli się za ręce. Poczuł, że są zjednoczeni, pierwszy raz jakby przeciw niemu.

- On musi być kimś trzecim - skomentowała matka.

- Nie umie się pogodzić, że nie wie, co mu się zdarzy. "To będzie moje życie - myśli sobie - a nic o nim nie wiem i nie dowiem się, dokąd nie przeminie" - rzekł ojciec.

Tak! Tak! - Jaon zeskoczył z krzesła i pobiegł do ojca. -

Najbardziej lubię tramwaje "17" i "25". Jednym jedzie się do Niki, drugim do stryja Hieronima. Ciekawią mnie lata, kiedy będę miał siedemnaście i dwadzieścia pięć lat.

- Zobaczysz wtedy - odezwała się dziwnym głosem matka - powiesz: "chciałbym być znowu dzieckiem". A to jest możliwe tylko dziś, w tej chwili.

- Ach żono, szczęśliwy jestem, że przeżyłem tamtą wojnę. Nie byłoby Jaona na świecie, nie byłbym z wami teraz, nie byłoby tej chwili. Chciałem odwołać, co mówiłem, że wolałbym zginąć, na froncie w 1920 roku, niż żyć dalej bez udziału w tej walce.

Matka spojrzała zdziwiona na ojca, że mówi to przy Jaonie.

- Coś się zmienia w tobie mężu. Dziękuję ci za to, co powiedziałeś. Bez tego wyglądalibyśmy z Jaonem jakbyśmy oszukali cię, czy wymusili na tobie, nawet to najcenniejsze dla nas - byś żył. Ale niepokoi mnie twój nowy ton. Jakieś zdecydowanie.

Wymknęło ci się: "tamtą wojnę". Zlituj się, powiedz, co się szykuje?

Ojciec roześmiał się i pokręcił głową.

Rodzice wybierali się do państwa Woynickich. Od kinderbalu jego pretensja do Niki narastała, mimo że Nika była dla niego miłsza niż dawniej. Myślał, jak okazać, że się na nią gniewa, ale czuł, że jemu będzie bardziej żal, a ona nic nie zauważy. Ale pragnął tego cierpienia, zerwania. "Skoro jest taka, to lepiej jej nie kochać" - postanowił. Dotknęły go słowa nieznanego państwa, za które Nika nie ponosiła winy, że Nika wyjdzie w przyszłości za Myśliweczkę. Jaon był pewien, że tak się stanie. Linia "17" do państwa Woynickich znaczyła teraz ślub Niki, gdy będzie miał siedemnaście lat. Był nawet gotów już teraz się z tym pogodzić, wycofać, nawet pomóc Nice, wychwalając Myśliweczkę i namawiając ją na małżeństwo z nim. Ale Nika nie mówiła o Myśliweczku, jakby nie istniał, mało dla niej znaczył, nie pamiętała o nim, czy ukrywała przed Jaonem. Może po rozstaniu z Jaonem też o nim zapomniała? Mogło być gorzej: Myśliweczek stał się dla Niki zbyt bliski, by o nim mówić z Jaonem. Na pewno bawią się codziennie.

- Mamo, nie pójde do Niki Woynickiej - powiedział Jaon.

- Co znowu? - matka zachowanie Jaona brała za zapowiedź jego trudnego charakteru w przyszłości.

- Zostaw mnie w domu. Będę czytał "Trylogię" - upierał się Jaon.

- Ale co się stało? To twoja najulubiejsza koleżanka.

- Mam teraz Szachowskiego - oznajmił Jaon.

- Ładna historia - matka załamała ręce. - Jak ja to wyjaśnię?

Jaonowi zrobiło się żal, że matka zbyt łatwo pogodziła się z jego rezygnacją. Pretensja do Niki rozciągnęła się na matkę.

- Powiedz, że jestem chory. Przecież często choruję.

- Matkę uczysz kłamać? Sam też rozmijasz się z prawdą?

- Tobie mówię wszystko.

- Więc o co chodzi z Niką?

Nagle żal z kinderbalu wrócił ze z wielokrotną siłą. Jaonowi stanęły łzy w oczach:

- Ona lubi kogoś bardziej niż mnie.

- Kogo? - spytała zdziwiona matka. - Zawsze ojciec słyszy od pana Woynickiego, że Nika dopytuje się kiedy przyjdiesz.

- Dlaczego mi o tym nie mówiłaś? - Jaon poczuł, że ogarnia go coś, co prawdopodobnie dorośli nazywają szczęściem. Chwilę oddawał się tej radości. A potem żal do Niki napłynął z nową siłą. "Czemu nie okazała mi, że mnie lubi? Dlaczego nie zaproponowała, bym tańczył ten taniec?" - myślał, a zarazem wiedział, że nie chciałby się uczyć tego tańca i występować.

Gdy rodzice byli gotowi do wyjścia, matka zajrzała do jego pokoju:

- Masz ostatnią szansę. Możesz jeszcze zmienić zdanie i iść.

- Nie, mam - powiedział z bólem w głosie.

Było mu strasznie przykro. Za chwilę rodzice, którym na tym nie zależało, będą rozmawiali z Niką, może mówili o nim, żalowali, że go nie ma. Matka ukarze go, nie powtarzając słów, które wypowie Nika. Gdy rodzice wyszli, zajrzał do kuchni. Frania klęczała twarzą do okna i modliła się. W ręku trzymała różaniec. Odwróciła się i zawołała:

- Nie przeszkadzaj. Odmawiam pokutę. Idź proszę.

Jaonowi przyszło na myśl, że teraz mógłby odwiedzić Szachowskiego. Nikt się o tym nie dowie. Jaon zdjął płaszcz z wieszaka, zmienił buty na ciepłe, nawet wziął czapkę, choć nie lubił nosić nakrycia głowy. Minął drzwi do kuchni, za którymi modliła się Frania. Drżał z podniecenia. To była jego pierwsza, samotna wyprawa. Jeśli się powiedzie, będzie znaczyło, że wiele podobnych dobrze się skończy w przyszłym życiu.

Drzwi i zamki, naoliwione, zatrzasnęły się za nim bezszelestnie. Był odcięty, bez powrotu. Tego pragnął. Zbiegał po schodach. Pierwszy raz je widział będąc sam. Podwórko wydawało mu się inne, puste, otwarte, ulica bliska, schylił się i przebiegł, by nie zobaczyć go Szymański. Przestrzeń otworzyła się przed nim. Poczucie wolności, rozległe, czyste chodniki, rzędy drzew, puszczających ledwie widzialne pączki, nastrój najbardziej świąteczny jaki znał.

Pałac Szachowskich stał na ulicy, która zbiegała się z ulicą Jaona przy placu Unii. Nie mógł dostać się do Szachowskiego bez przejścia ulicy. Było to złamaniem najsurowszego zakazu. Nawet ucieczka z domu nie wydawała się Jaonowi tak poważnym wykroczeniem, rodzicom bowiem nie przyszło na myśl, by Jaon był do czegoś takiego zdolny. Czekał przy krawężniku aż żaden pojazd nie będzie jechał ani w jedną, ani w drugą stronę. Trwało to długo. Nigdy jezdnia nie była wolna. Ruszył równoległe do jezdni, jak zahipnotyzowany, obawiając się ją przekroczyć. W głowie zaczęły mu brzmieć słowa matki, jak ostrzegawcze dzwonki: "Uważaj pod nogi. Czy nie przegrzałeś się aby? Żeby cię nie potracili. Nie wdepnij w plwocinę. Nie chłodno ci?" Postanowił dotrzeć do placu. Tam samochody i dorożki zwalniają, a przechodnie gromadnie wchodzą na jezdnię. Razem z nimi przemknęli się. Nagle ujrzał przed sobą wuja Rudolfa, idącego pod rękę z jakąś panią, której Jaon nigdy nie widział. Miała kapelusz z piórem. To było jak fragment snu. Wuj spojrzał na niego machinalnie, ale nie poznał go.

"Przecież wuja nie ma w Warszawie. Wuj i ta pani nie idą do nas. Rodziców nie ma w domu - myślał Jaon. - Wuj jest tu w tajemnicy przed nimi". Gdyby przyszli, nie zastali rodziców, ujawniłaby się nieobecność Jaona. Ale Jaon dążył do Szachowskiego i za wszelką cenę musiał tam się znaleźć. Czekał chwilę przy placu, starsza pani w okularach wzięła go za rękę, chcąc przeprowadzić, wyszarpnął się i przebiegł.

Pałac Szachowskich, wąski, trzypiętrowy, stał wciśnięty między dwie ośmiopiętrowe kamienice. Żelazny płot o zaokrąglonych jak groty strzał sztachetach zamykał dostęp od ulicy. Za nim zieleniały południowe krzewy. Po prawej stronie bramy był wielki biały guzik, pod nim napis: "Dzwonek". Jaon wyciągnął rękę i cofnął. Gdy go zapraszano, przysłano samochód, nie przyszedł, a teraz zjawi się nie proszony, nie oczekiwany, nie w porę? Zaczął oddalać się szybko, by go nie zobaczono. Co on chciał zrobić! Pierwszy wielki błąd swojego życia. Nigdy by tego nie zapomniał, ani nie darował sobie. Musiałby zmienić szkołę, by nie

widywać się z Szachowskim. Szczęście, że cofnął rękę, nie dotknąwszy dzwonka. Uświadomił sobie, że nie ma jak wrócić. Zatrzasnął za sobą drzwi, by nie weszli złodzieje. Frania dowie się, że wychodził. Zadzwoił bez namysłu. Frania, zobaczywszy go, przeżegnała się:

- A skąd to? Jakim cudem, skoro przed chwilą Jaon zaglądał do kuchni?

Więc cała jego wyprawa trwała chwilę? Czy rozmodlonej Frani tak szybko zeszło? Trzymała w ręku różaniec. Jaon miał nadzieję, że Frania zatopi się znów w modlitwie i zapomni, że otwierała mu drzwi.

Rodzice wrócili, gdy Jaon spał, a ranek nie przyniósł ważnych wydarzeń. Frania przywiązywała mniejszą wagę do tego, co się działo w domu z Jaonem niż Maniunia. Wydawała się zubożniała nawet na swój los. Nie znała też na tyle obyczajów domu, by pojąć, co się stało. Natomiast sam Jaon chciał siebie wydać przed matką, pochwalić się swoim wyczynem (bo wiedział, że nie opowie o nim Szachowskiemu) i ciekaw był, co powie matka na to, że wuj Rudolf jest w Warszawie, że do nich nie przyszedł i siedł w towarzystwie nieznajomej pani.

Matka nie mówiła, co było u państwa Woynickich, jak zachowała się Nika, gdy zobaczyła, że przyszli tylko rodzice Jaona. Jaon wiedział, że matka czeka na jego pytania, by okazał, że uniknął wizyty u Niki nie z obojętności wobec niej, a odwrotnie. Jaon gniewał się i za to na Nikę, że czegoś nie przekazała mu przez matkę, tak, by matka czuła się zobowiązana mu to powtórzyć.

- Co robiłeś wczoraj po południu? - spytał Szachowskiego na przerwie Jaon.

- Nudziłem się. Ojciec przestrzega mnie, że jeśli zacznę się wczesnie nudzić, mogę zwariować, zabić się, robić wielkie głupstwa. Najczęściej zostaję sam ze służbą. Ojciec jest zajęty, nawet wieczorami. Wczoraj jeździłem na lokaju, jak na koniu. Ale lokaj niósł ciężko.

Jaon już zaczynał mówić Szachowskiemu, że był pod jego domem, ale zamilkł. Przyniosłoby to nieobliczalne skutki. Musiałby ciągle spędzać z nim czas. Jak wytłumaczyłby, że nie zadzwonił?

Szachowski objął go za szyję:

- Dziękuję ci, że spytałeś, co robiłem.

Gdy po lekcjach zbiegł do podziemnego holu, już czekała tam matka i rozmawiała z matkami jego kolegów. Pożegnała się i poszli do Łazienek.

- Na zakończenie pierwszej klasy rodzice chcą urządzić wam bal.

Każdy chłopiec może zaprosić dziewczynkę. Czy ty kogoś zaprosisz?

- spytała matka.

- Nie mam - odrzekł bez namysłu.

- Tak jesteś zagniewany na Nikę? Czy wypada ci gniewać się na małą dziewczynkę? Najpierw martwiłam się, by jakiś twój wybryk jakies "alabastru ciało bielsze i oko coraz śmielsze", nie zepsuł naszych stosunków z państwem Woynickimi, na szczęście opuściłeś ten wiersz, a dzieje się coś odwrotnego. Nie można tak ni stąd, ni

zowad zerwać. Musisz to wiedzieć na przyszłość. Byłeś na kinderbalu u Niki, więc wypada ci się zrewanżować zaproszeniem.

- Nika nie zaprosiła mnie dla siebie. Byłem jednym z wielu.
- W tym wypadku musisz ulec. Proszę cię o to.
- Dobrze mam, zaprosz Nikę.
- Dziękuję ci dziecko.

W klasie mówiono tylko o balu. Szachowski powiedział do Jaona na przerwie:

- Nasi rodzice zmuszają nas do radości i dopiero wtedy sami się cieszą.
- Kogo zaprosisz? - spytał Jaon.
- Postawiłem sprawę ostro: tylko Benigna.
- Co to za cudowne imię - wykrzyknął Jaon. - Poznasz mnie z nią?
- To córka mojego kierowcy. Raz ją widziałem. Tu jej się spodoba. Jest taka smutna. Mieszka na poddaszu. Wymogłem na moim ojcu, sprawię jej cały strój. Ale nie myślę z nią tańczyć. Z nikim nie będę tańczył. Co za idiotyzm. W sali gimnastycznej? Będziemy się przechadzali, jak w przerwie, po korytarzach. Chcesz?
- Chcę.
- A kogo ty zaprosisz?

Dziewczynkę, którą bardzo lubiłem. Teraz mniej ją lubię.

- Dlaczego?
- Powiem ci, jak będziemy dorośli.
- Wtedy? - zdziwił się Szachowski. - Czy będziemy się widywali?
- Naprawdę? - przeraził się Jaon.
- Jednak zrobiło ci się żal? Myślałem, że to ty zapomnisz. Ja będę cię pamiętał przez całe życie.
- Ja o tobie też. Szkoda, że nie mogę ci jeszcze czegoś ważnego powiedzieć.
- Dlaczego nie możesz?
- Bo tak postanowiłem - odparł Jaon.
- To coś dobrego, czy złego? - spytał Szachowski.
- Coś dobrego - odrzekł Jaon.
- To dobrze - ucieszył się Szachowski.

Milczał dyskretnie. To było w nim wspaniałe. Nie dopytywał się, mimo że dwa razy Jaon odmówił mu odpowiedzi. Jako wspaniałe przyjaciel zrozumiał tajemnicę. Był inny niż Jaon myślał na początku. Może Szachowski sądził, że Jaon od razu wiedział, jaki on jest?

- Jeśli chodzi o tę dziewczynkę, to może źle się wyraziłem, że mniej ją lubię - sprostował Jaon ze smutkiem w głosie.

Zabrział dzwonek. Pani powiedziała:

- Chłopcy, umiecie już tyle, że dalej nie będziemy szli. Co byście robili w trzeciej klasie? Cieszę się z was, ale i martwię, że musimy się zatrzymać. Do końca roku będziemy powtarzać materiał i przerobimy kilka trudnych zadań.

Jaon wolał nowy materiał, niż zadania. Zamiast je rozwiązywać starał się wykryć, w jakim miejscu zadania zastawiona jest pułapka. Wyobrażał sobie pana Banacha i pana Stożka, autorów podręcznika arytmetyki dla klasy II, przy wielkim biurku,

siedzących ramię w ramię i zaśmiewających się z takich chłopców, jak siedzących tu, którzy nie mogą przejrzeć ich szatańskiego pomysłu. Klasa z całą powagą męczyła się nad zmyślonymi przez tych panów zadaniami.

Dziś otwarto pierwszy raz tego roku boisko szkolne. Pozwolono tam być tylko chłopcom, którzy grali w piłkę, by nie zmarzli. Grano w piłkę nożną. Przepis, który z przejściem powtarzali grając uczniowie zabraniał dotknąć piłkę ręką. Jaonowi wydawało się to śmieszne i wycofał się z gry. Gra w piłkę nudziła go jak brydż, w którym ktoś wymyślił piętrzące się reguły. Okropna była chwila, gdy musiał grać z dziewczynkami we dworze! U państwa Woynickich dorośli z powagą wymawiali słowa licytacji. Wydawali się mu dziecinniejsi od niego. Przeczynał, że podobnie myśli Szachowski. Ale Jaon chciałby tańczyć. Chciałby tańczyć z Niką i z córką kierowcy Szachowskiego. Nic o tym nie powiedział Szachowskiemu. Szachowski uważał, że Jaon myśli i czuje tak jak on. Wybrał go z całej klasy dlatego i zmusił w końcu do przyjaźni. Jaon nie chciał w niczym zawieść ani urazić przyjaciela. Nie będzie tańczył, bo nie umie. Na kinderbalu u Niki przekonał się, że nigdy w życiu nie pojmie tej trudnej sztuki.

Przyszła po niego matka. Panna Frania prosiła o zwolnienie, bo chciała dokonać natychmiast dodatkowej spowiedzi u prałata Juścińskiego. Poszła szukać go w Łazienkach. Poszli jak dawniej z matką po zakupy. Żebak, który podstawił kulę matce, był na swoim miejscu. Więc przez te wszystkie dni lata, jesieni, zimy był tu? W czasie gdy Jaon bawił się, uczył i cieszył ten żebak, siedząc na ziemi, patrzył na stopy przechodniów? Żebak spojrział na nich i opuścił wzrok. Mimo że widział tu setki tysięcy ludzi, ich poznał.

- Mamo, lepszą służącą jest Frania czy Maniunia? - spytał Jaon.

- Co ci przyszło nagle do głowy? - zdziwiła się matka. - Bo; że ja się nad tym zastanawiam, to normalne. Frania jest lepsza. Maniunia nie umiała się pozbyć wiejskości. Ale Maniunia była kochana i nas kochała. Nie mówisz przecież Franiuniu. Frania chyba nas polubiła, ale na swój jakiś ponury sposób. Niepokoi mnie choćby dzisiejsze zwolnienie do spowiedzi. Co ona ma za grzech? Popełniła go w czasie służby u nas? O, na potwierdzenie moich słów, zobacz kto przechadza się przed naszą bramą? Sam prałat Juściński. Tak, czeka na nas!

- Jaon proszę iść przodem - pozbyła się go bezceremonialnie matka. Przed chwilą rozmawiała z nim jak z dorosłym! Jaon wiedział, że nie mogła postąpić inaczej przy prałacie Juścińskim.

Nie oddalił się, jak powinien. Tłumaczył się przed sobą, że prałat Juściński mówi szeptem, ale głośnym i trudno go nie słyszeć:

- Nie będzie złamaniem tajemnicy spowiedzi, bo jej treści przed panią nie wyjawię, ale nawet zgodne z intencją penitentki, panny Franciszki, która chciała odbyć spowiedź publiczną, przed swoimi chlebobawcami, by wszystko o niej wiedzieli. Uważam to za zbędne, a nawet grzeszne. Grzechy ma odpuszczone i ma tylko grzech pychy, że chce w sposób, jaki jej się podoba odbyć sakrament pokuty.

Proszę jej nie pozwalać na to.

- Jeśli coś niedobrego, to wolałabym wiedzieć - odezwała się matka.

- Ta dziewczyna rozdrapuje swoje rany. Pod wpływem państwa dobroci coś się w niej otworzyło, co dławiła w sobie.

- Dlaczego miałyby być grzechem, gdyby opowiedziała mnie i mojemu mężowi, co robiła dawniej?

- To epizod, szybko skończony przez nią samą, odległa przeszłość. Sama by pani żałowała wysłuchawszy. Coś by się zepsuło bezpowrotnie i jej stosunek do pani zmieniłby się, bo wiedziałyby, że pani wie. Jeśli będzie się upierała, proszę wysłać ją jeszcze raz do mnie. Tu muszę zrobić pewne wyjaśnienie. Mój pobyt w schronisku dla starych księży to forma zawieszenia.

- Mogę wiedzieć, co księdzu zarzucano?

- Nadmiar wybaczenia.

- Mnie to odrobinę niepokoi. Nie wiemy, co chce nam powiedzieć Frania, a ksiądz zakazuje jej nam to powiedzieć. Została przyjęta bez referencji, za zaręczeniem generałowej i księdza prałata. Czy wobec tego ksiądz prałat bierze odpowiedzialność za wszystko, co może się zdarzyć? Ona ma często pod opieką mojego jedyne syna.

- Dla niej odejście od państwa może oznaczać załamanie, nawet śmierć.

- No, to nas ksiądz urządził. Nie wolno mi jej zwolnić? - rozżłościła się matka.

- Istotnie, to łańcuch zobowiązań, które zaciągamy wobec innych - powiedział z naganą prałat.

- Wobec bliskich?

- Nawet wobec tego człowieka - i prałat pokazał żebraka, którego Jaon nienawidził.

- Źle ksiądz trafił - powiedziała matka.

- Cóż pani może mieć przeciw niemu? - zdziwił się ksiądz Juściński.

- Wyrzucił stąd innego, słabszego nędzarza.

- Boże, Boże - wykrzyknął prałat.

W tym momencie w perspektywie ulicy ukazał się ojciec Jaona. Matka dokonała prezentacji. Pozwolono się zbliżyć Jaonowi. Rodzice zaprosili księdza Juścińskiego na obiad, ale odmówił. Musiałby mieć zezwolenie przełożonego. Jaon chwycił rodziców za ręce z obu stron i tak doszli do bramy.

Ciepły powiew w bramie ogarnął ich, jak już było przed rokiem. Z otwartego okna, gdzieś z wyższych pięter, dochodziły słowa najnowszego przeboju śpiewanego przez kobietę starszą od Jaona, ale na pewno piękną i jeszcze młodą:

- "Wiosna, wiosna, wiosna, pierwsze listeczki drzew".

Kiedy będzie dla niego wiosna, o której śpiewa ta pani? Jaon nie wiedział.

Frانيا ani słowem nie wspomniała o spowiedzi. Jaonowi wydało się, że matka odetchnęła z ulgą, ale że w inny, zarazem w nowy sposób jest zaniepokojona.

- Panna Frania ładnie podaje - odezwała się matka.

- Nauczyłam się u profesorostwa Boskich. Ale byli to źli ludzie -

ucięła panna Frania.

- Nic panna Frania o nich nie mówiła.

- Bo nie warto - ucięła Frania, prawie nieuprzejmie.

Wyczuł, że matka chce ominąć zakaz, który wydał Frani prałat Juściński i skłonić ją do mówienia. Przyglądał się Frani z zaciekawieniem. Co ona takiego zrobiła - rozmyślał Jaon.

Panna Frania zabrawszy po obiedzie nakrycia, wróciła raz jeszcze, coś chciała powiedzieć, namyślała się, milczała, i wreszcie odezwała się:

- Mam do państwa prośbę. By państwo nie mówili do mnie pani Franiu, czy panno Franiu, tylko zwyczajnie Franiu. Tyle się tułałam i musiałam znieść, by obcy mi rozkazywali, że nie chcę, by państwo tak się do mnie wyrażali.

- Dobrze Franiu, jak sobie Frania życzy - odrzekła matka.

- Mamo - mówił nazajutrz w Łazienkach. - Nie wiesz, jak czekam na wakacje, by być w Marzeniowie. I chciałem cię zapytać, czy wszystko co roku się powtarza?

- Co przez to rozumiesz?

- Święta, wakacje, Nowy Rok.

- Tak synu.

- I to się nie znudzi?

- Nie.

- Do czego to prowadzi?

- Nie musi prowadzić. Tak się żyje.

- A nie można inaczej?

- Nie można.

- A co będzie potem, dalej?

- Będziesz miał własne dzieci, które pokochasz i o nich będziesz myślał, a nie o sobie.

- Nie chcę dzieci - wykrzyknął Jaon.

- A to dlaczego? - matka aż zatrzymała się.

- Czekam, by być dorosłym i nie być z dziećmi.

- Kiedyś powiedziałeś, że nie życzysz sobie braciszka, a teraz, będąc jeszcze mały zapowiadasz, że nie chcesz mieć dzieci. To matkę niepokoi.

- Dlaczego mamo? - zdziwił się Jaon.

- Nie umiem określić, co w tym jest niedobrego i to martwi mnie jeszcze bardziej - odrzekła matka.

- Nie mam zamiaru się żenić - oznajmił Jaon, sądząc że wyjaśnia matce dlaczego nie będzie miał dzieci.

- Ale znalazłeś mi pocieszenie - roześmiała się matka. - Dużo mówisz, co będziesz robił w przyszłości, choć nie wiesz, jaki będziesz, czego będziesz pragnął. Skąd masz wiedzieć, jakim szczęściem okaże się dla ciebie zjawienie się kogoś takiego nieznanego i kochanego, jak ty zjawileś się w naszym życiu.

- A gdyby ci się urodził Dzidek? - spytał Jaon.

W szkole Jaon nie przyznał się Szachowskiemu, że czeka na bal.

Ciekawiło go, jak zachowa się Nika. Czy coś wyjaśni? Będzie musiał cały czas zajmować się i opiekować Niką? Gdyby to było przed Myśliweczkim, szalałby ze szczęścia. Nika przyjdzie jako wybrana

Jaona. Godzi się na rolę jego narzeczonej? Będzie to zdradą wobec Myśliweczka? Częściowym zatarciem wspomnienia tamtego tańca? Przyjście Niki na bal może być wynikiem rozkazu jej rodziców. Im nie chodzi o Jaona, tylko o jego rodziców. Może chcą, by Nika poznała kolegów Jaona, Szachowskiego?

Gdy w kwietniowe mgliste popołudnie stał przed drzwiami szkoły z tłumem kolegów i ich rodziców, czekając na zjawienie się państwa Woynickich z córką, uczucie odświętności, oczekiwanie na szczęśliwe wydarzenia, których może nie zapomni nigdy, opanowało go bez reszty. Podjeżdżały taksówki i z nich wysiadały dziewczynki w towarzystwie bon, służących lub rodziców. Jedne pędziły w stronę czekających, witając się z chłopcem, który je zaprosił, inne, nieśmiało i speszzone, prowadzone za rękę, ociągały się i wyraźnie się bały. Podjechał mercedes, który prowadził troskliwy ojciec. Zatrzymawszy samochód wysiadł i otworzył drzwi, wypuszczając swoją córkę, jakby była dorosłą osobą. Wyprysnęła z wozu i podskoczyła, nie krępując się spojrzeń zebranych przed szkołą osób. Była w białej krótkiej sukience z falbankami, śniada, o czarnych włosach i wielkich oczach, okolonych ciemnymi rzęsami, Jaonowi wydawały się umalowane. Mijając Jaona spojrzała na niego i powiedziała, mimo że go nie znała:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - zawołał Jaon radośnie.

Dziewczynka odwróciła się i pomachała mu ręką, po czym podeszła do Bokrzyckiego. Ojciec dziewczynki w białej sukience zawrócił do samochodu i odjechał. W tym momencie zatrzymała się taksówka z państwem Woynickimi. Jaon z niezrozumiałym dla siebie żalem stwierdził, że Nika wyglądała prześlicznie. Była w niebieskiej sukience ze złotymi oblamowaniami, z niebieską kokardą we włosach, w czarnych lakierkach i jak zawsze białych pończoszkach, tym razem cieńszych niż kiedykolwiek. Od razu zauważyła Jaona i skierowała się prosto tam, gdzie stał. Za nią podążali rodzice. Nie umieli ukryć dumy z jedynaczki.

Weszli do gmachu szkoły. Nie mógł poznać starego gmachu.

Udekorowany był girlandami z zieleni i bibułek. Korytarz i sala gimnastyczna połączone dzięki rozsunięciu oszklonej ściany stanowiły salę balową, pierwszą, jaką Jaon widział w życiu. Radość innych dzieci, szczęście ich rodziców oddziaływały na Jaona z ogromną siłą. Kierownik szkoły, którego dzieci z pierwszej klasy nie widywały i trochę się bały, wszedł na krzesło i zamachał ręką na znak, że chce mówić.

- Kochane dzieci. Jesteście stworzone, powołane, wybrane do lepszego! Ach maiora nati! Czternasty roczniku zrodzonych w wolnej Polsce! Atmosfera niepodległości, którą oddychacie jest świętością, do której tęskniły w ciemnościach wieków pokolenia. Wolność jest szczęściem, niepodległość sposobem życia, urodzenie w wolności i dla wolności zobowiązuje was, by pracować i umieć jej bronić nie gorzej niż wasi rodzice, zrodzeni w okowach. Na pierwszym balu szkolnym potwierdzam wasze prawo do zabawy i otwieram go polonezem. Przedtem niespodzianka!

Czy jednak nie za wcześnie na pierwszy bal? - pytała matka Jaona panią Woynicką - Czy potem, gdy nadejdzie pora, wczesna młodość, nie będą smutni, że mają to za sobą?

W tym momencie otworzyły się drzwi z rozbieralni sali gimnastycznej. Rozległ się dźwięk trąbki, bębna i saksofonu. Straszliwie gruby i spocony mężczyzna wskoczył na krzesło i krzyczał:

- Niespodzianka. Zaskoczenie. Zdziwienie. Rewelacja. Jedyne Murzyn w Polsce gra dzieciom na Balu Pierwszaków. Znosił zimno północnego kraju, nie wychodził z domu, gdy spadała sypka woda, czyli śnieg. Skamieniała woda, czyli lód, przerażał go. Czekał wiosny i waszej zabawy. Pochodzi z Południa Stanów Zjednoczonych. Nauczył się grać na fermie, gdzie zbierano bawełnę. Przewędrował cały świat w przeciwną stronę i od wschodu zawitał do nas. Gra na fortepianie, tylko na białym. Będzie wam grał melodie z Królowy Śnieżki i innych filmów dla dzieci, foxtrotty, walce i tanga. Na imię mu Paul, ale w Polsce nazywamy go Poldek. Poldek, pokaż się! Ukazał się Poldek, kłaniał się nisko i uśmiechał, był czarniejszy niż myślał Jaon, że czarni są Murzyni. Miał ciemne okulary na oczach. Uniósł rękę. Wybuchły brawa.

- Murzyn, Murzyn, jaki śliczny - krzyczały jakieś dziewczynki. - Murzynku, kochamy cię. Murzynku powiedz coś po murzyńsku. Przy Jaonie po drugiej stronie stanął Szachowski, cicho, bezszelestnie, przyłożył usta do jego ucha i wyszeptał:

- Będzie mówił po australijsku, jugosłowiańsku i austriacku i jadł owoce z drzewa rodzynekowego.

- Ja kocham dzieci - powiedział Murzyn bezbłędną polszczyzną, jeszcze raz skłonił się, podszedł do białego fortepianu.

Gruby człowiek wykrzyknął:

- Teraz najpiękniejszy taniec świata, taniec polski, zwany inaczej polonezem. "Pożegnanie Ojczyzny" Ogińskiego, w wykonaniu Murzyna z Georgii, otwiera bal dzieci pierwszej klasy. Tańczą wszyscy: rodzice i dzieci.

Natychmiast wystąpili państwo Woynicy w pierwszej parze, za nimi rodzice Jaona i inni rodzice. Jaon został z Niką i Szachowskim.

- Poznajcie się - powiedział Jaon. - To Nika Woynicka, a to jest mój przyjaciel Szachowski.

Jaon poczuł, że niepotrzebnie nazwał Szachowskiego przyjacielem, bo takich słów nie trzeba wymawiać, ale Szachowski nie zawstydył, ani nie spieszył się określeniem użytym przez Jaona, ale objął go za szyję.

- Umiem poloneza. Męczą mnie tym na lekcjach tańca, więc jeśli chcesz - zwrócił się Szachowski do Niki - możemy zatańczyć.

- Dobrze - powiedziała Nika.

Wyszedłszy na wolną przestrzeń pomylili krok, nim zaczęli.

- Tańcz ze mną - usłyszał Jaon głos koło siebie. Odwrócił się i zobaczył czarne oczy, wielkie, głębokie tuż koło swoich, nieco wyżej, patrzące poważnie.

- Nie umiem - powiedział Jaon.

- Oszalałeś? - piękna brunetka ciągnęła go na środek sali. - A cóż

to ma za znaczenie? Powiedz, ty jesteś Jaon, taki zwariowany mały uczeń pierwszej klasy? Opowiadał mi o tobie ktoś, zresztą łatwo domyślisz się kto. Ja chodzę do trzeciej klasy, a jednak przyszłam na wasz bal, bo lubię tańczyć. Ale tacy mali idioci nie umieją tańczyć. Wiesz, jestem Żydówką? Wiesz co to znaczy?

- Nie wiem - odpowiedział Jaon.

- W waszej szkole nie ma nienawiści do Żydów. Dlatego mogłam przyjść.

- Tragarz na dworcu mówił o Żydach mojej matce. Czytałem, że wypędzają was z Niemiec.

- Czytujesz gazety? - spytała z uznaniem dziewczynka.

- Te, które prenumeruje ojciec. Nie mów nikomu. To tajemnica.

- Ładna tajemnica, jak mi powiedziałeś.

- Jak ci na imię? - spytał Jaon.

- Ładnie, że pytasz. Ale moje imię jest brzydkie. Pasuje do staruszki. Józefina.

- Mnie się podoba. Tak miała na imię żona Napoleona.

Józefina spojrzała na niego czule i z politowaniem:

- Wy chrześcijanie nawet jako dzieci jesteście bardziej dziecinni niż my.

- Nie pragnę tak bardzo być dorosłym jak moi koledzy.

- Jesteś pewny swego - powiedziała niezrozumiale Józefina. - Nie pomyślałeś, że możesz wszystko stracić?

- Co mogę stracić?

- Nie bądź taki sprytny i nie pytaj, gdy ciebie pytają. Tych Żydów, co Niemcy wypędzają, Polacy boją się wpuścić, tylko trzymają na granicy. To wy nic nie wiecie o Bokrzyckim? To dlaczego dokuczacie mu?

Polonez skończył się, Józefina zrobiła dyg przed Jaonem i znikła.

"Więc tańczyłem - Jaon był dumny z siebie, mimo, że tylko chodził w takt muzyki. - Mam nową znajomą. Ona mnie wybrała. Wie o mnie.

Poznała, że jestem Jaon. Jest najpiękniejsza ze wszystkich dziewczynek tutaj, najstarsza i najbardziej dorosła". Zastanawiał się, czy jej nie pokochać. Zrozumiał, że się jej boi, a zarazem czuje się przy niej kimś, kim nigdy dotąd się nie czuł. Ale kim, nie wiedział.

Szachowski i Nika wrócili. Przez ten czas jakby minął rok. Nika, onieśmielona, stanęła na boku.

- Tańczyłeś z najładniejszą dziewczynką na całym balu - szepnął Szachowski, objąwszy go za szyję. - Skąd ją znasz?

- Podeszła do mnie.

- Chcesz, to będę tańczył z twoją dziewczynką, by ciebie uwolnić - zaproponował Szachowski.

Więc traci Nikę dla Szachowskiego? Kto wie, czy nie przyniesie to wielkich, trudnych do wyobrażenia zmian. Przeszło mu przez myśl, że państwo Woyniccy będą z tego zadowoleni. Straci i Nikę i Szachowskiego. Zostanie sam. Trzeba szukać Józefiny. Nie widział jej na sali, mimo że mignął mu Bokrzycki. Nagle Bokrzycki stał się ważną osobą w jego życiu. Wyszedł z sali do holu, a potem puścił się w korytarz. Józefiny nie było. Pozostawało boisko. Był pewien,

że drzwi są zamknięte, ale gdy nacisnął klamkę, ustąpiły. W pustce boiska szła powoli Józefina, ściskając w ręku białą torebkę, cała na białło, z opuszczoną głową, zamyślona i kopała od czasu do czasu małe kamyczki. Słyszając za sobą kroki na żwirze nie odwróciła się, tylko powiedziała:

- To ty Jaon?

- Tak.

- Szukałeś mnie? - dalej szedł za nią, a ona nie odwracała się do niego. - Przepraszam, może byłam dla ciebie niemiła. Ale jesteś odrobinę śmieszny. Tylko się nie obraż. Zastanawiałam się, co by było, gdybym zakochała się w tobie. Odwróć się - powiedziała rozkazująco. - Muszę sobie poprawić pończoszkę. Wiesz, ci co urządzili zabawę zapomnieli oznaczyć ubikację dla dziewcząt, czy ja nie mogłam jej znaleźć w tej męskiej szkole. Pończoszka mi się skręciła. Tylko nie podpatruj - stanęła tyłem do Jaona przy murze, tak że była niewidoczna z okien szkoły. - Pewnie nie wiesz ile kobiety mają różnych zapieć, haftek, guziczków. Chcesz to możesz spojrzeć, tylko szybko.

Jaon podbiegł, ale Józefina opuszczała sukienkę. Przez ułamek sekundy widział białe podwiązki i końce pończoch, nad którymi były też białe majteczki z długimi nogawkami.

- W porządku - powiedziała Józefina. Wzięła go pod ramię. - Nie musimy się tam spieszyć. Obejdziemy boisko. Nie! Chodź, słyszę muzykę. Chcę tańczyć - pociągnęła go ku drzwiom.

Jaon wolałby być z nią tu, sam na sam i rozmawiać niż wracać na salę. Zmienne nastroje, nie zwracanie uwagi na drobiazgi, niepohamowana otwartość Józefiny oszołomiły Jaona. Myślał, że on nie zdobyłby się na to. Nie mógł przełamać czegoś, co było podobne do bólu gardła, by powiedzieć Józefinie, co przed chwilą myślał o niej.

Ciągnęła go w stronę skąd dochodziła muzyka i natychmiast gdy weszli, nie zwracając uwagi, jakby nie widząc nic i nikogo, objęła go i zaczęła tańczyć. To był foxtrott i Jaon czuł się bezradny i zagubiony. Stał w miejscu, deptał nogami, a Józefinka, nie zwracając uwagi na nieruchomość i niezdarność Jaona, tańczyła wokół niego taniec pełen radości. Melodia przeszła w melodię powolną, słodką, wzruszającą. Zmienił się krok i tancerze trzymali się blisko siebie, objęci. Józefinka uśmiechnęła się i przyciągnęła do siebie Jaona. Czy to było tango? Policzek Józefiny ciepły i gładki dotykał leciutko jego policzka. Pod palcami poczuł przez cieniutki muślin jej żebra. Jak była chuda! Więc takie są kobiety? - myślał Jaon.

Zobaczył swoich rodziców. Zaskoczyło go, że matka patrzy na niego znacząco i z gniewem, a ojciec wydawał się zażenowany. Jaon zdawał sobie sprawę z tego, że opuścił Nikę, swojego gościa, zostawiając ją z Szachowskim. Nagle z przestachem zobaczył, że z Niką tańczy pan Woynicki. Szachowski znikł. Taniec z Józefinką zaczął mu ciążyć, nawet przez chwilę myślał, czy by nie zostawić jej, nie uciec do rodziców. Nareszcie Poldek wypuściwszy z trąbki serię szalonych dźwięków, ucichł.

- Muszę wracać do rodziców - powiedział Jaon, zawstydzony i pełen skruchy, bo teraz nie chciał się rozstawać z Józefinką.

- A ja niedługo idę. Przyjeżdża po mnie ojciec. Niedawno chorowałam i nie wolno mi się zmęczyć. Gdybyś kiedyś przejeżdżał Leszmem, to przy Żelaznej jest dom otynkowany na pomarańczowo, największy na całej ulicy. Mówią, że mieszka w nim dziesięć tysięcy ludzi. Trzeba przejść pierwszą bramę, drugą i trzecią. Za ostatnim podwórkiem jest za wysokim żywopłotem dom zwany pałacem. Koniecznie tam przyjdź. Będę czekała. Mam papugę, trzy psy i kota. Pamiętaj zawsze o Józefinie, bo ja cię nie zapomnę. Może być każdego dnia. Nasze święto jest w sobotę.

Teraz trzeba było szybko coś powiedzieć, ale Jaon nie wiedział co. Józefinka czekała chwilę, a potem uniosła w górę dłoń na znak pożegnania. Najważniejsza chwila minęła i Jaon zrozpaczony, że nie znalazł tych słów, szedł naprzeciw gniewowi rodziców.

Byli źli na niego, jak nigdy dotąd. Akurat wrócił pan Woynicki z Niką i musieli się rozpromienić. Ale za to nie dostrzegali Jaona. Przestał dla nich istnieć. Tak karała go matka? Jaon nie mógł uwierzyć: patrzył na nich, a oni nie spojrzeli na niego.

- Jaon ma powodzenie - powiedziała pani Woynicka łagodnie. - Po to jest bal. Dzieci poznają siebie w nowych okolicznościach.

Jaon słuchał z napięciem; czy i pani Woynicka się gniewa? Ale z jej słów nie mógł wyczytać intencji, w jakiej je wypowiedziała. Ojciec i pan Woynicki zaczęli rozmawiać półgłosem:

- Ponad wszelką wątpliwość we wrześniu czeka pana wyjazd. Chcą mnie pozbawić pana. Przyślą kogoś swojego, pod pozorem zastąpienia pana. A więc musimy się rozstać. Czy nie na zawsze? Wróciwszy, może mnie pan nie zastać - zniżył głos. - Nie wiem, czy pan wie, że jest cicha mobilizacja niektórych cenniejszych dla obrony i przemysłu osób?

Ojciec Jaona drgnął. Poldek zaczął grać i Jaon poprosił Nikę. Radośnie wzięła go za rękę, jak to było w jej zwyczaju i nic nie znaczyło, poszli wśród tańczących. Nie okazywała obrazy, jakby nie zauważyła, że Jaona nie było. Nie odzywała się, skupiona na tym by dobrze wykonywać kroki w tańcu i wybaczała Jaonowi - czy nie zwracała uwagi na to, że on tylko suwa nogami. Gdzie jest Szachowski? - zastanawiał się Jaon. Brakowało mu go. Pani Woynicka patrzyła na córkę, pomachała jej czule i uśmiechnęła się do Jaona. Ojciec był zajęty rozmową z panem Woynickim, a matka Jaona dalej na niego nie patrzyła.

Potem były zabawy w głuchy telefon, pomidora, komórki do wynajęcia, ale dlatego że na początku umieszczono tańce, zabawę dorosłych, gry nie udawały się. Pani Woynicka wsunęła rękę za sukienkę na karku Niki, by sprawdzić, czy nie jest spocona i czy może wyjść na ulicę.

- Po trochu będziemy szli - powiedziała pani Woynicka. - To pierwszy bal mojej córki.

Na ulicy, w mroku i dalej trwającej mgle, Jaon i Nika wzięli się za ręce, a potem chwycili każde swoich rodziców, a ci też poszukali swoich dłoni i tak, w sześcioro szli zajmując cały

chodnik. Ale Jaon, wiedział, że chwila szczęścia i spokoju jest przelotna, bo matka gniewa się na niego. Ledwie pożegnali się z państwem Woynickim przy postoju taksówek na placu Unii, matka puściła rękę Jaona.

- Mamo, dlaczego nie mam psa? - spytał Jaon. - Psy musi się kochać.

- Skąd ta myśl? - zniecierpliwiała się matka.

- Mamo, dlaczego nie mam kota? - zapytał znów Jaon.

- Naucz się czasem milczeć - powiedziała matka.

Na klatce schodowej wonie były wiosenne; z nastaniem ciepła dom pachniał silnie. Kolorowe szybki jednego z okien klatki schodowej uchylono, napływała nim mgła. Weszli, zimna kolacja stała na stole. Frania bowiem, inaczej niż Maniunia nie czekała dokładnych dyspozycji, co ma być: zdecydowała sama. Ale i przy kolacji matka nie odzywała się do Jaona. Znów pewne rzeczy zdarzyły się pierwszy raz: gniew matki, oszołomienie spotkaniem z Józefiną, bal - i gdy nie matka, a panna Frania przyszła zgasić światło w jego pokoju, nie czuł żalu, tylko smak nowości, nieokreślonego smutku.

Rano zatęsknił, by natychmiast zobaczyć Szachowskiego, ale przypominał sobie, że jest niedziela. Trzeba było ją przeczekać.

Na

mszę spóźnili się i stali na końcu kościoła. Jaon żałował, że nie mógł widzieć jak opłatek się na jego oczach przemienia w ciało człowieka, który żył dwa tysiące lat temu.

Matka rozmawiała z Jaonem, ale tylko o tym, co ma włożyć na siebie, albo że ma umyć ręce. Wieczorem przyszła stryjenka, w momencie gdy Jaona wyprawiono spać. Ku jego radości rodzice nie zabrali jej do gabinetu, tylko jak dawniej przyjmowali w dużym pokoju. Stryjenka mówiła monotonna i żałośnie:

- Wyczytałam w "Kurierze", że starzy ludzie na wsi przewidują niezwykle gorące lato, a astrologi wielkie zmiany. W moim życiu nastąpi przesilenie. Panna Świdwińska postawiła mojemu mężowi ultimatum. Termin mija pierwszego września. Ten nastrój niepokoju, upały, będą przemawiały za panną Świdwińską. Najprzykrejsze będzie

dzielenie rzeczy. Wprost to widzę, nim się zdarzyło: jak będzie zabierał maszynkę do golenia, krawaty, zdejmował je z miejsca gdzie wiszą na drzwiach szafy. Smutne będzie nasze mieszkanie we wrześniu, opustoszałe. Pierwsza jesień mojej samotności.

Jaon usnął i zaraz się obudził, radosny, że jest poniedziałek.

Nieczierpliw się, kiedy zobaczy Szachowskiego. Jego zachowanie w czasie balu, opieka nad Niką, żeby on mógł być z Józefiną, zbliżyły ich. Jakiż był smutek Jaona, gdy w chwili gdy zaczynała się pierwsza lekcja, Szachowskiego nie było. Jaon miał nadzieję że Szachowski przyjdzie na drugą lekcję, choć nie zdarzało mu się spóźniać do szkoły. W czasie przerwy Jaon zobaczył szofera Szachowskiego, który przeciskał się przez tłum chłopców. W rękę trzymał kopertę. Jaon zobaczył swoje nazwisko i imię wypisane drukowanymi literami. Rozerwał kopertę: "Drogi Jaonie, w sobotę na balu było nasze pożegnanie na wakacje. Ale tego nie mówiłem. Bo po

co być smutnym. W każdym razie ja byłbym smutny. Zwolniony z ostatniego półtora miesiąca szkoły, wyjeżdżam. Gdy będziesz czytał list, mnie już nie będzie w Polsce. Nie piszę jeszcze na tyle, by sam wyskrobać list do Ciebie, więc dyktuję pani wychowawczynie. Pewnie nie wiesz, kim była dziewczynka, z którą tańczyłeś, więc ci się dowiedziałem, to panna Józefina Weissbraun. Na pewno ich telefon jest w książce telefonicznej. Pa! Jaonie, do widzenia, będę tęsknił do powrotu do Polski, by Cię znów zobaczyć. Twój Eryk Szachowski".

Gdy Jaon wrócił do domu, zobaczył wydobyte kufry i kosze. Frania je myła od środka, wchodząc w nie. Pierwsza zapowiedź wakacji. Miano w nie wkładać stopniowo, warstwami, przez wiele dni rzeczy potrzebne w Marzeniowie. Co pewien czas matka podejmowała decyzję, że coś zabierze i zanosila tę rzecz do kufra. Jaon uświadomił sobie, że nie pamięta przygotowań sprzed roku. Był taki mały, że nie obeszły go, czy zdążył o nich zapomnieć? Odtwarzał w pamięci ukochane miejsca w Marzeniowie: altankę, łąkę, wąwóz w lesie.

- Mamo jedźmy! Szachowskiego już nie ma w szkole.
- Synu. Nie powinieneś odzywać się do mnie, dokąd ja czegoś nie powiem. Chyba milczenie moje coś oznacza? Nie potrzebuję ci mówić na czym polegało twoje przewinienie, i jak było poważne, bo wiesz sam.

Jaon opuścił głowę i milczał. Matka, łamiąc swoje własne postanowienie, ale z odcieniem ulgi, że cisza się skończyła, wyjaśniła:

- Potraktowaliśmy cię jak dorosłego i odpowiedzialnego mężczyznę, który ma zaopiekować się młodą damą. W twoje ręce złożyliśmy szalenie ważną sprawę. Za dużo już rozumiesz, by nie zdawać sobie sprawy z tego, jak cenna jest dla nas przyjaźń państwa Woynickich. To nie jest wyrachowanie, bo lubimy ich, prawie kochamy, cenimy ogromnie. Ale w banku decyduje się los, bogactwo wielu ludzi i twój ojciec bierze na siebie wielki ciężar. Wystarczy, by pan Woynicki się odciął od twojego ojca, zrzucił na niego odpowiedzialność za takie czy inne posunięcie, i nasza przyszłość byłaby narażona, włącznie z możliwością posyłania cię do szkoły, która urządzi bale, na jednym z których tak niewłaściwie się zachowałeś - zawahała się i szybko dodała. - Zapomnij, co ci powiedziałam! Boję się, byś nie stał się wyrachowany. Przy tym jesteś chwilami bezgranicznie naiwny i żenująco prostolinijny. Nie wiem, co pierwsze zwalczać.

Jaonowi zrobiła przyjemność wzmianka o wyrachowaniu, rozzłościło go, że matka nazwała go naiwnym.

- Kim była dziewczynka, z którą pobiegłeś zapomniawszy o wszystkim?

- Ma na imię Józefina. Nazywa się Józefina Weissbraun.

Powiedziała, że jest Żydówką. Pytała mnie, czy wiem, co to są Żydzi.

- Mój Boże, ile takiemu dziecku trzeba wyjaśnić. Czasem wydaje mi się, że nie podołam. W Marzeniowie, w moich czasach wszystko było proste. Kim byli Żydzi, rozumiało się samo przez się. Krawiec

twojego dziadka, żyjący tam do dziś, Abraham Nowicki, czy rabin, który raz do roku składał wizytę twojemu dziadkowi, sklep bławatny, piekarnia z przepysznymi chałkami - musimy w czasie wakacji zobaczyć, czy jeszcze jest - a tu mieszkamy w dzielnicy, gdzie Żydów się nie widuje. Dlaczego ta dziewczynka ci się tak spodobała?

- Ona pierwsza do mnie zawołała dzień dobry.

- Kto ją zaprosił?

- Ten Bokrzycki.

- Nie wyrażaj się z lekceważeniem o koledze.

- Ona wcale się nim nie przejmowała, jak ty każesz mi się przejmować Nika.

- Bo Nika jest damą, jest mała i potrzebowała twojej opieki. Była twoim gościem. Ta panienka też była gościem i mogła robić co chce. Żebyś choć zapamiętał to wydarzenie. Niech ci się wryje w świadomość, i gdy będziesz wiedziony jakimś szałem, zapomnieniem, czy lekceważeniem świata, niech odezwie się w tobie, to może ocali cię przed wielkim błędem, który by ci groził w przyszłości.

- Jaki błąd mi grozi?

- Synu, wcale się nie przejąłeś. Pytasz z ciekawości. Jakbyś chciał go popełnić. Za bardzo, nie jak dziecko, interesujesz się przyszłością.

- Nie jak dziecko? - zawołał radośnie Jaon.

- Nie ciesz się tym, co niepokoi matkę - napomniała go. - Ach, przed iloma rzeczami chciałabym cię ostrzec.

- Przed czym mam?

- Znowu ciekawość! Jak czytelnika interesuje dalszy ciąg powieści drukowanej w odcinkach, tak ty traktujesz życie. Jakbyś o nim czytał, jakby ktoś ci o nim opowiadał. To dlatego, że jesteś pod taką ochroną rodziców, którzy nie pozwalają ci zrobić najmniejszej przykrości, może wręcz doznać niczego?

- Martwisz się ciągle mną - powiedział Jaon.

- Moje dobre dziecko - wzruszyła się matka.

Zawstydził się; czy mężczyźni wypada być dobrym?

Państwo Lapoint byli już w teatrze, kinie, na koncercie, w kawiarni, w restauracji, wędrowali przez Paryż, bulwarami, wąskimi uliczkami, brzegiem Sekwany, by Jaon poznawał nowe słówka. Teraz zmęczeni tym, szykowali się do wakacji. Jaon zauważył, że to już drugie letnie wakacje państwa Lapoint'ów w ciągu niecałego roku nauki, czyli szedł kursem przyśpieszonym. Mały Lapoint napisał list do babki: "Babciu kochana. Jak czas mija szybko. Szczególnie dzieciom..." Nie wiadomo dlaczego Jaon wzruszył się. Pani Bohusz miała łzy w oczach, kasłała.

Nazajutrz przysłała sąsiadkę z zawiadomieniem, że odwołuje lekcje na czas nieokreślony, bo jest chora na zapalenie płuc. Matka wysłała do niej Franję z koszem południowych owoców i pytaniem, czego jej trzeba. Odpowiedziała, że opiekuje się nią syn. "Syn opiekuje się matką, a nie matka synem?" - zdziwił się Jaon.

Przyszedł list od wuja Rudolfa, że dom jest obielony, wysprzątny. Wietrzy się od trzech dni czekając na ich przyjazd. "A lato

zapowiadają piękne - pisał wuj - jakiego nie było od stuleci".

Jakieś wołanie biło z tego listu; siła, budząca tęsknotę.

Bagażę pod opieką Frani poszły najpierw. Jaon z matką, odwiezieni przez ojca na dworzec, jechali sami. Matka rozłożyła koc na wyściełanej ławce w przedziale.

Poza nimi jechała jakaś pani. Dostrzegął, że mruży oczy, udaje że śpi i obserwuje matkę Jaona. Jaon nienawidził jej za to.

"Niegrzecznie tak się patrzeć" - myślał.

- Przepraszam bardzo. My się nie znamy - zaczęła. Jaona aż podrzuciło. "Oczywiście się nie znamy. Po co to mówić?" - myślał.

- Przyjrząwszy się pani - ciągnęła nieznajoma - nabrałam niewytłumaczonego zaufania do pani. Mieszkam sama, na wsi. Moja matka od lat nie żyje. Nie mam nikogo na świecie komu mogłabym uczynić pewne zwierzenie i poprosić o radę.

- Nie znam przyczyny dla której pani życzy sobie obdarzyć mnie zaufaniem - odrzekła matka. - Prawdopodobnie ktokolwiek wsiadłby do tego przedziału, spełniłby rolę, której pani oczekuje ode mnie.

- To prawda, czekałam kogo los ześle, ale uznałam za zrządzenie, że jest to osoba taka jak pani.

Zapanowała chwila pełna zażenowania. Jaon miał nadzieję, że matka zabierze rzeczy i przejdą do innego przedziału, ale z przykrością stwierdził, że jej pochlebia ta rola.

- Pani pozwoli, że zapalę? - spytała nieznajoma. Jaona ignorowała.

- Gdy umarli jedno po drugim moi rodzice - zaczęła - musiałam się przenieść z liceum do seminarium nauczycielskiego, by natychmiast zdobyć zawód. Opuściłam Warszawę, by zamieszkać na dalekiej, głuchej - chciałoby się powiedzieć - dzikiej wsi. Ale czy ja mogę mówić przy pani synku?

- Nie wiem, co pani będzie mówić, ale zaraz ukołysz go rytm jazdy pociągu.

- To jedyny pociąg na południe - powiedziała nieznajoma. - Ale czy musi być nocny?

Jaon postanowił, że będzie walczył ze snem, choć nie chciał słuchać historii, która na pewno jest głupia. Zamknął oczy.

- ...sama stanowiłam szkołę. Była jedna izba, uczyły się cztery klasy na raz. W promieniu dwudziestu kilometrów - poza księdzem, który unikał ze mną kontaktów jako z młodą samotną kobietą - nie było nikogo bliskiego mi wykształceniem. Mieszkałam w chłopskiej izbie. Tygodniami z nikim nie rozmawiałam. Chłopi nie mieli na to czasu, a mieli inne tematy: pogoda, zbiory, ceny. Nie bardzo mnie lubili. Nie dowiedziałam się dlaczego. Nie miałam do kogo napisać. Przyjaciółki miałam w liceum, oddalałam się od nich, a one mnie zapomniały. Był też dwór, o dwieście pięćdziesiąt metrów od chałupy gdzie mieszkałam, bardziej niedostępny niż mgławica Andromedy. Widywałam ich tylko w kościele. Zwróceni ku ołtarzowi nie widzieli tłumy.

Matka zgasiła światło. Pociąg przyspieszył i szarpał na zakrętach, chwilami zagłuszając monotony głos:

- Aż pewnego dnia dziedziczka przysłała lokaja z biletem, w którym oznaczyła dzień i godzinę, o której mam przyjść. Z godziny na

godzinę wybuchła nasza przyjaźń. Na piątą byłam wezwana, około siódmej zdarzył się ten cud. Była równie samotna jak ja. Moje życie zmieniło się jak w bajce. Niedługo potem odrzuciłam oświadczyń jej syna, młodszego ode mnie o trzy lata. Tym zdobyłam jej nieograniczone zaufanie. Mężczyzną, którego pokochałam, był jej mąż. Ukrywałam to przed nią, ale i przed nim. Aż przyszło spotkanie w pociągu, jak teraz, które wszystko zburzyło i połączyło mnie i jego. Dziewięć lat żyłam utrzymując tajemnicę przed najbliższą istotą, jaką miałam, moją przyjaciółką, a jego żoną. Rok temu umarła. Jej mąż nie oświadczył mi się; zerwał ze mną, niedługo poślubi inną. Ta podróż, to podróż po rozstrzygnięcie mojego losu. Wymogłam na nim spotkanie, tam gdzie widywaliśmy się potajemnie. To, że uległ, jest jakąś nadzieją. Rzecz dziwna, dokąd żyła moja przyjaciółka, którą haniebnie oszukiwałam, moje życie było wypełnione trwogą, napięciem i poczuciem, że to jest nieuniknione. Jeśli będzie chciał, by zostało jak było, odbiorę sobie życie. Chciałam, żeby ktoś to wiedział, kto nie wie, kim jestem i kogo nigdy nie zobaczę.

- Zobaczymy się na pewno - odrzekła żywo matka Jaona. - Dam pani adres i pani mnie odwiedzi. Życia nie otrzymaliśmy od siebie, jesteśmy tylko jego depozytariuszami. Nie wolno zabijać nikogo, także siebie. To małostkowość: życie tak krótko trwa, tak mało znaczy i jeszcze je skracać?

Jaon usypiając miał wrażenie, że matka mówi inaczej niż do niego. Zapadł w sen tak głęboko, że wstał tylko, by wysiąść z wagonu, a w powozie usnął i do domu trzeba było go wnieść.

Obudziło go, jak już raz było, nagłe otwarcie okiennic. Blask słońca odbity przez młode trawy ogrodu, zielonkawy, napełnił Jaona radością. Zerwał się, ukradkiem pocałował framugę okna. Czynnikiem dodającym szczęścia była nocna rozmowa w pociągu, podobna do snu. Nawet nieszczęście Jaonowi wydało się jak oświetlone jasnym światłem.

- Dzieci czekają - zawołała Frania uchylając drzwi.

Przez chwilę Jaon nie wiedział o kogo chodzi. Jak mało miał czasu myśleć w Warszawie o dzieciach dzierżawców.

- Synu wyjdź do dzieci - zawołała matka. - Spróbuj nie wkładać butów. Ucz się chodzić boso. Dziś upał, piękny dzień.

Jaon, pół przytomny, siedł, czując pod stopami to wytarte dywany, to ciepłe słoje desek podłogi. Przed gankiem stała grupka dzieci. Większości Jaon nie znał; rozpoznał Dzikę i Alinkę. Dzidek, którego Jaon tak nienawidził zeszłego lata, sam przyszedł i poddawał się pod rozkazy Jaona. Jaon miał żywą armię! Przypomniał sobie kanony musztry.

- Całość na moją komendę bacność - wykrzyknął i dodał. - Chwileczkę, pobiegnę po szpadę.

Była tam, gdzie ją włożył wyjeżdżając, czekała wiernie za szafą. Gdy zjawił się, przy szpadzie, stwierdził, że dzieci nie umiały stać na bacność, pokazał im prawidłową postawę, a potem siedł od dziecka do dziecka i poprawiał. Gdy dotknął Alinki, wyszarpnęła się gwałtownie. Ustawił szereg i sprawdził, czy palce bosych stóp

są w równej linii. "Jak armia abisyńska - pomyślał. - I ja, wódz, też jestem bosy. Matka miała rację. Nie wypada, bym jeden był w butach". Ale czuł, że jego nogi przez tę chwilę stały się brudne i brzydził się sobą.

- W lewo zwrot - krzyknął. Ale część dzieci nie wiedziała, która jest lewa ręka.

- W tył zwrot. Przez lewe ramię - krzyknął Jaon.

Każde z dzieci przekreśliło się inaczej, przebierając bezradnie nogami.

- Odlicz.

Te dzieci nie umiały liczyć! Tym bardziej, że na końcu stało trzech całkiem małych chłopczyków.

- Ja policzę - zawołał Dzidek.

Był starszy od wodza, zachowywał najlepszą postawę i karność. Nie tylko znikła jego wrogość wobec Jaona, ale patrzył w jego oczy z pilnością i gotowością spełnienia rozkazów. W swojej gorliwości już liczył: "raz, dwa, trzy...", dumny ze swojej umiejętności i za chwilę zawołał:

- Ze mną i z Alinką jest nas dziewięć.

- Mianuję cię sierżantem - szefem - Jaon wydobył szpadę z pochwy, zapominając o zeszlorocznym zakazie.

- Klękniij - rozkazał Dzidkowi. - Na jedno kolano. Całość baczność.

Dotknął jego ramienia szpadą:

- Decyzją sztabu generalnego zostajesz mianowany sierżantem i od razu awansowany na podporucznika - zawołał Jaon.

Miał na usprawiedliwienie, że Napoleon jeszcze szybciej awansował swoich ludzi.

Teraz tyralierą na ogród. Rozpoznanie terenu. Poszukiwanie przeciwnika. W wypadku natrafienia na wroga, meldunek lub rozpoznanie ogniowe.

Dzieci rzuciły się w ogród. Nie natrafiły na wroga. Na końcu był rząd wczesnych jabłoni, zwanych papierówkami. Miały ledwie zawiązki, ale dzieci tak lubią kwaśne jabłka! Jaon kazał Dzidkowi rozpalić ognisko. Wojsko rozkładało się obozem. Żołnierze posilali się zawiązkami jabłek, niektórzy przypiekali je w ogniu. Jaon wahał się chwilę, ale nie okazał tego i jak prosty żołnierz jadł z nimi. Wojsko milczało onieśmiałe jego obecnością.

Matka poczuła zapach dymu i wyszła do ogrodu.

- Proszę to zgasić. Nie wolno palić ognia blisko zabudowań.

Jaon chciał coś odpowiedzieć, gdy zorientował się, że w jego żołądku dzieje się coś strasznego, jakby miała tam wybuchnąć bomba. Zerwał się i pędem pobiegł w kierunku domku z wyciętym serduszkiem. Zapomniał, że jest bosy, potknął się boleśnie o kamień, wdepnął w odchody gęsie, poślizgnął się na nich, poślizg przedłużył się na młodej trawie i Jaon runął. Padając poczuł pod sobą mokro. Popuścił w spodnie. Wstyd, przerażenie, że dzieci to odkryją i będzie do śmierci zhańbiony, spowodowało, że wpadł w panikę. Nie wiedział jak postąpić, by ukryć przed Franią, a nawet przed matką swój wypadek. Spodenki były pełne jasnobrazowej cuchnącej mazi. Nogi miał umazane gęsią kupą. Podwójnie

napiętnowany! Rozumiał, co miała na myśli kobieta w pociągu mówiąc, że wolałaby nie żyć. Bo do tego był wodzem i miał przy boku szpadę.

Rozwolnienie było początkiem poważniejszej choroby. Doktor nie był pewien, czy to zapalenie grubego jelita, czy katar żołądka, wywołany zmianą wody, rodzaju pożywienia, środowiska, czyli gwałtowną zmianą, której Jaon był poddany.

- Mamo, ja będę zawsze chorował? - dopytywał się Jaon.

- Nie. Gdy wydorosłesz, będziesz silny i choroby przestraszą się ciebie.

Jaon zabronił, by go odwiedzali żołnierze. Wstydził się choroby.

Nie chciał, by widzieli wielkiego wodza w łóżku, w nocnej koszuli, z nocnikiem pod łóżkiem. A jednak pokazywali się w oknie i uciekali, a Alinka przekazała mu bukiet przez Franię. Frania przesiadywała przy Jaonie:

- Jestem pierwszy raz w życiu na wsi - wyjaśniała Jaonowi Frania.

- Państwo zostawiali mnie na lato, bym pilnowała mieszkania. Gdy pracowałam w fabryce, jedenaście lat widziałam tylko trawnik na skwerze wolskim.

Jaon wolałby tego nie słuchać. Bał się nudy. Frania była smutna i nudna. Ale łatwiej mu było zrobić przykrość Maniuni, którą kochał, niż Frani. Wiedział także, jak matka bała się utracenia służącej.

Musiał być miły dla Frani, jak dla państwa Woynickich i Niki.

- Mamo - spytał tego wieczora, gdy matka zajrzała, by powiedzieć Jaonowi dobranoc - wiadomo coś o Maniuni?

- Ach synu, więc jesteś wierny? Pamiętasz? Jak to cieszy matkę - zawołała, ale nie odpowiedziała na pytanie Jaona.

Czuł, że matkę odejście Maniuni dotknęło, nie pogodziła się z nim, i że z tego powodu o nią nie pyta, mimo że wieś Maniuni jest w dolinie położonej o dwanaście kilometrów stąd. Znikła z lampą. W pokoju odcięty od świata zamkniętymi okiennicami zrobiło się całkowicie ciemno. Poczul, że kocha matkę straszliwie, niewypowiedzianie i zastanowił się, czy matka zdaje sobie z tego sprawę.

- Mamo - wyszeptał, mimo że nie było jej w pokoju.

- Mamo - w wielkim domu jego krzyk znikł między pokojami.

Zapłakał i usnął. Od czasu gdy był chory w jego pokoju otwierano okiennice dopiero gdy się budził. Sprawdziała to Frania uchylając drzwi, na palcach zbliżając się do jego łóżka i w ten sposób go budząc. Dwie choroby - ta z przed roku i obecna zaczęły zlewać się w jego świadomości. Czy to jest teraz, czy już było? Tyle czasu nie chorował i zaczynał mieć nadzieję, że nie zachoruje więcej, a tymczasem jak zawsze w najważniejszych momentach swojego życia, leżał. Wszystko działo się bez niego, wiecznie nieobecny uczeń klasy pierwszej "A".

Imieniny doktorowej odbyły się bez niego. Matka wróciła późno przynosząc stopy ciast i mazurków dla Jaona, choć doktor zakazał ich jeść Jaonowi. Jaonowi nie zależało na słodyczach.

- Doktorowa cię lubi, choć na dzieci nie zwraca uwagi. Jutro cię odwiedzi - powiedziała matka.

Nazajutrz rano matka kazała Frani zanieść ciasto wojsku.

- Boże jak dzieciaki się rzuciły! - komentowała Frania.

Na rozkaz matki otworzyła szeroko okna. Napłynął zapach rozgrzanych modrzewi i lip. Zaraz potem zaterkotała bryczka i zeszła z niej doktorowa.

- Mimo, że tak blisko, przyjechałam. W pogodę kurz, w deszcz wieczne błoto. Nie lubię też, jak się na mnie gapią. Każę podciąć konia i nim spojrzę, już mnie nie ma - spojrzała na szpadę opartą o wezłowie łóżka. - Chłopczyk ze szpadą! Twoja babka na pewno tak sobie siebie wyobrażała, jak małego rycerza. Polska, ostatni rycerski kraj na świecie. Spójrz mi w oczy - zbliżyła się do łóżka i chwyciła Jaona za brodę. - Lubię tę winogronową zieleń i to wieczne zdumienie. Dziwisz się życiu, że takie jest i że przynosi ci starą, zdziwaczałą doktorową? Ile w tobie dyskrecji i uprzejmości, by ukryć to zdziwienie. - Poklepała go po policzku. - Twoja matka cię tak kocha, że niewiele miejsca zostaje dla innych koło ciebie. Nikogo więcej nie potrzebujesz. Kiedy byłam młoda, rodzice nie okazywali dzieciom uczuć. Nie wiedziałam, czy matka mnie kocha. Cierpiałam, dopiero po jej śmierci znalazłam pamiętnik pisany przez matkę. Było za późno. Nie mogłam matce przekazać tego, co czułam dowiadując się o jej miłości. Twoja babka była inna. To moja największa przyjaciółka w życiu, a teraz przyjaźnię się z jej córką, a twoją matką. Wydaje mi się, że jeśli dożyję, gdy ty dorośniesz, jeszcze zdążę się z tobą zaprzyjaźnić. Twoja babka tyle nam wszystkim dała! Jej wspomnienie nas łączy, a może nawet jest to forma jej obecności? Tak patrzysz, że chyba wszystko rozumiesz.

- Tak, proszę pani - potwierdził Jaon, niepokojąc się, czego w słowach doktorowej mógł nie zrozumieć.

- Ta twoja grzeczność. Co się pod nią kryje? - spytała doktorowa.

- Za poważnie go pani traktuje - wtrąciła się matka. - Jaon jest małym snobem. Będzie się snobował na przyjaźń z dorosłymi.

- Jak pani może nazwać swojego synka snobem? - stanęła w obronie doktorowa. - Takie określenie pasuje tylko do osoby dorosłej.

- Chwilami zdaje mi się, że bardziej jest pani rówieśnikiem niż swojego wojska, to znów, że jest od niego dziecinniejszy.

Frانيا przyniosła herbatę. Uchylił drzwi wuj Rudolf.

- Jaon nigdy nie będzie podobny do pana Rudolfa - odezwała się doktorowa.

Wuj spojrział na Jaona, jakby go dopiero zauważył. Jaon uświadomił sobie, że wuja nie było w domu, kiedy przyjechali, a także, że wuj przestał się nim interesować. Znał tajemnicę wuja, potajemny pobyt w Warszawie i spacer z nieznaną panią, ale nie mógł jej zdradzić matce: musiałby zdradzić siebie.

- Uwagę na temat Jaona biorę do siebie - odezwał się wuj. - Nie chodziło pani, by powiedzieć jaki będzie Jaon, tylko jaki jestem ja. Bardzo mnie to smuci. Ogromną wagę przywiązuję do pani zdania.

- To nie było zdanie na pana temat, to była taka towarzyska bezmyślna, luźna uwaga. Ile rzeczy się mówi, żeby wypełnić milczenie - wykrzyknęła doktorowa.

- Inaczej bym nie dowiedział się, co pani myśli - powiedział wuj z żalem w głosie, aż słychać było w nim łzy, ale także z napastliwością.

- Rudolf, pohamuj się - powiedziała matka.

Doktorowa milczała, wuj odezwał się ponownie:

- Widzi pani doktorowo, dla siostry pozostałem małym braciszkiem.

Czuje się za mnie odpowiedzialna, strofuje mnie.

- Bo jest coś w panu takiego, co skłania innych, powiedzmy, do opiekuńczości przejawiała nagły upór doktorowa. - Poza tym jest pan synem mojej ukochanej przyjaciółki. Właśnie o niej mówiłam przed pana przyjściem - zmieniła temat doktorowa.

- "Syn tak wspaniałej osoby zmarnował się" - upierał się przy temacie wuj. Głos mu się załamał.

- Po co używać określeń przesadnych? - odezwała się doktorowa prawie okazując niesmak.

- Przepraszam - pohamował się wuj. - Strasznie jest znosić od lat te wasze, drodzy, niedomówienia, te spojrzenia, dyskretne i pełne żalu, a przy tym ciągnąć byt, jaki wiodę i nie przestawać myśleć: co się właściwie stało z moim życiem? ...rozpacz jest zakazana człowiekowi - przerwała doktorowa. - To grzech wobec Ducha Świętego. Od niej człowiek traci rozum i działa przeciw sobie. ...nie wolno nawet rozpaczać? - wybuchnął wuj. - Więc w nocy, gdy nikogo nie ma, chodzę na cmentarz, na grób rodziców, pytam matki, co to wszystko znaczy. Położyłem się na grobie, w nogach rodziców, z płaczu usnąłem i przespałem do świtu.

- To pan pogniótł lobelie, które posadziłam! - wykrzyknęła doktorowa.

- Robi mi pani wyrzut, że nie opiekuję się grobem rodziców? - zmienił sens jej słów wuj, utracił panowanie nad sobą. - Że niszczyć kwiaty dane rodzicom?

- Niech się pan wykrzyczy. To przyniesie ulgę - powiedziała doktorowa.

Wuj zasłonił twarz dłońmi, nie wiadomo, w odruchu wstydu, czy rozpacz. Doktorowa powiedziała po chwili:

- Myślałam, że ten tryb życia, jak wydawało mi się, beztrudny, cieszy pana. Ale jeśli przynosi panu tyle cierpienia, to czy to nie lepiej porzucić go? Swoje życie można zmienić z dnia na dzień.

- Wszystkie fakty rozstrzygające o moim życiu już się zdarzyły.

- Przepraszam, czy w pana życiu były jakieś fakty? - spytała doktorowa.

- Ach, ten protekcjonalny ton wobec Rudolfka - poskarżył się wuj.

- Mówiąc po macierzyńsku, gdy brak pana matki, widzimy jeden fakt: jak pan ze swoim przyjacielem Maciusiem idzie do Babskiej, do pokoju za sklepem, gdzie prowadzi cichą restaurację.

- Jak tam jest chłodno w lecie i jak przytulnie w zimie! Zza pnączy piękny widok na ogród. Jaka pani Babska dla nas dobra! Przyrumienia boczek, kraje pomidory, ogórki, cebulę, zalewa to śmietaną. To nasz dom. Bo dochodzi jeszcze karafka, dla nas zawsze ta sama, kryształowa, oszroniona, w trocinach, prosto z piwnicy - mówił wuj wyzywająco i z lubością.

- Co to za Maciuś? - spytała matka Jaona.

- Podobnie jak ja, sierota - uprzedził odpowiedź doktorowej wuj. - Dostaje na życie dziesięć dolarów miesięcznie z Ameryki od wuja. Tu się osiedlił, bo słyszał, że jest tanio, piękna miejscowość i wesoło. Ale wszyscy stąd wyjechali, jak ty Julianno. Inni wymarli. Jest tylko cmentarz i poczta, gdzie przychodzą listy.

- Nigdy o nim nie mówiłeś - powiedziała matka.

- Twojemu mężowi i tobie nie spodobałby się. Siedział w więzieniu. Mówię o tym, bo i tak pani doktorowa by cię ostrzegła. W twoich oczach czai się pytanie: za co siedział? Był aplikantem adwokackim. Za pewną sumę wykradł dowód z akt sądowych. Pozbawiono go dożywotnio prawa wykonywania zawodu. Więc żyje z łaski wuja, a ja z jego łaski chodzę do Babskiej.

- W zeszłym roku już tu mieszkał?

- Tak - odrzekł wuj.

- Do niego tak ciągle znikasz? Jakbyś uciekał przed nami?

- Nie tylko do niego - rzekł wuj.

- Na jak dużą sumę zaciągnąłeś ten dług... wdzięczności wobec niego? - spytała matka.

- Jak ty jesteś podobna do naszej matki! - nieoczekiwanie zmienił ton wuj. - Poddawała mnie takim samym przesłuchaniom.

- A ty choć odpowiadałeś? - wyrwało się matce Jaona.

- Nie odpowiadałem, tylko się śmiałem, ale ona mi wybaczała.

- O co cię pytała nasza matka?

- Dawne sprawy, o których ci nie wspominała, by cię nie martwić. Nawet ze mną, obwinionym, weszła w znowę, nakazując mi tajemnicę przed tobą. Zapłaciła za ćwiartkę wódki, którą wziąłem na kredyt i zapomniałem. To znów pocałowałem Maniunię, a miała wtedy czternaście lat.

Matka spojrzała na Jaona. Nie mogła kazać mu wyjść, bo leżał chory, a nie chciała przerywać zwierzeń brata. Imię Maniuni miało znaczenie także dla matki Jaona, o czym wuj zapomniał, a teraz sobie przypomniał. Poczł, że ostatnie zdanie wypowiedział niepotrzebnie. Zaległo długie milczenie, dłuższe niż kiedykolwiek zapadało w Warszawie. Żadna z osób obecnych w pokoju nie poruszyła się. Zmienił się nastrój, w ciszy mocno dochodziło do ich uszu tykanie zegara, przez okno słychać było świerszcze i świergot ptaków, napływał zapach rozgrzanego ogrodu. Niosło to spokój i wybaczenie.

Długo dochodził do zdrowia. Chudy, mizerny, na słabych nogach wyszedł do ogrodu, w pełnię słońca zaczynającego się lata. Można było się słońca przestraszyć i zniechęcić je za to uderzenie palących promieni, duszący uścisk przegrzanego powietrza. Chciał schronić się do altanki, ale matka nie pozwoliła mu, bo tam panowała wilgoć. Liczył, że do altanki przyjdzie Alinka. Nie było jej widać. Może matka, nie chcąc by dzieci męczyły Jaona zabawą, poprosiła by nie pojawiały się w zasięgu jej wzroku? Tęsknił za wojskiem, ale zarazem nie chciało mu się rozkazywać; nie wiedział, co poza musztrą z nim robić. I wtedy, jak już było to rok temu, z grządek fasoli, skradając się, wyszedł Dzidek. Teraz uśmiechał się

i dawał znaki, by Jaon był cicho. Przypełził do leżaka Jaona i skuliwszy się, by nie widać było go z okien domu, zaszalutował do gołej głowy, co było wzbronione regulaminem i zaczął szeptać:

- Zwiad naszej armii donosi, że na północy, w okolicy Bugaja pojawiło się obce wojsko.

- Co wykazało rozpoznanie? - spytał przytłumionym głosem Jaon.

- To dzika banda, czysto murzyńska. Dzieci letników, które umalowały się na czarno.

- W jakiej liczbie?

- Ponad dziesięcioro. Mają dzidy, łuki i tarcze. Są bosy, wyją.

- Ich miejsce postoju?

- Szałas z mchu w lasku za rzeką. Uważają to za afrykańską wieś w dżungli. Rozpędzimy ich i zniszczymy obóz.

- Nasze siły są jednak mniej więcej równe - zaniepokoił się Jaon.

- Ale to są ciamajdy miejskie - podniósł głos Dzidek i chwycił się za usta, chyba także dlatego, że zrozumiał, iż mógł urazić wodza.

Dzidka przepełniało pragnienie zwalczania kogoś, szkodenia, czy dokuczania:

- Sam bym poszedł, bez wodza, jak się wodzowi nie chce, ale wtedy zrobiono by z tego Bóg wie co. Jak jest wódz, to nikt się nie przyczepi.

Jaon znał przeszkodę, której istnienia nie domyślał się Dzidek, że matka nie pozwoli mu wyjść z domu, ale wstydził się do tego przyznać.

- Mówisz do siebie, czy tam ktoś jest? - zapytała matka z wnętrza domu.

Dzidek upadł na twarz. Leżał płasko na ziemi.

- Słucham mammo? - grał na zwłokę Jaon.

Matka wyrzała z okna i nic nie zobaczywszy, cofnęła się bez słowa.

Dzidek podniósł się i szeptał:

- Najlepszy byłby napad w nocy, ale te wymoczki wracają grzecznie do domu o zachodzie słońca. Dziś zrobimy zbiórkę, ułożymy plan ataku, a jutro uderzymy.

- Dobrze - powiedział Jaon.

Za chwilę zaczęły schodzić się dzieci, przypędzone przez Dzidka.

Jaon ciekaw był, co zrobi matka. Miał nadzieję, że je wypędzi.

Coraz mniej miał chęci napadać na obóz Murzynów. W dodatku Dzidek, który był podporucznikiem, jego adiutantem i ordynansem w jednej osobie, wysuwał się na czoło armii, stając się jej rzeczywistym wodzem.

Dzidek nadszedł ostatni, prowadząc za ramię Alinkę, która się opierała i protestowała:

- Dziewczynki nie służą w wojsku!

Dzidek ukradkiem kopnął ją kolanem w pupcię i Alinka rozbeczała się. Wyrzała matka:

- Co jej zrobiłeś? Alinko, co on zrobił?

Alinka bała się Dzidka, bo zawołała:

- Nic, to żarty, proszę pani.

- Malowniczo wyglądacie, wokół wodza na leżaku - powiedziała

matka. - Dostaniecie kakao.

Dzieci zaczęły krzyczeć i podskakiwać z radości.

- To wasz żołd - powiedział Jaon. - To wasza dzienna racja.

Żołnierze! Dziś każde mocarstwo pragnie mieć kolonie. Będzie je miała Polska. Jest państwo murzyńskie, które podbijemy dla siebie wzorem Wielkiej Brytanii. Biali panowie zaczną wielką wojnę.

Weźmiemy czarnych niewolników.

- Co będę robiła w wojsku? - spytała Alinka.

- Będiesz markietanką, jak w armii Napoleona - odrzekł Jaon. -

Mozesz być sanitariuszką, a także żoną wodza.

- Żona wodza! Żona wodza! - zaczęły krzyczeć dzieci, podskakiwać.

Alince się to spodobało, podeszła do Jaona i usiadła przy nim:

- Pójdziemy do altanki? - wyszeptał Jaon. - Dziś wieczór?

- Nie. Tam nie. Już nigdy - wyszeptała z przestachem Alinka, ale z ustami blisko jego ucha tak, że jej oddech łaskotał go dziwnie.

- Odejdź od wodza - krzyknął Dzidek.

- Co ci przeszkadza? Co się wtrącasz? - odkrzyknęła wrzaskliwie Alinka. - Wodzu, czego on chce? - zawołała, gdy Dzidek podszedł, chwycił za rękę i próbował podnieść i odciągnąć od Jaona. - Gdy wodza nie ma, on się wyśmiewa z wodza, ja bronię wodza, a on mnie bije.

- Kłamiesz - wrzasnął Dzidek i uderzył ją w twarz.

- Broń mnie - krzyknęła Alinka do Jaona. - Nie pozwól mnie bić.

- Już dobrze, dobrze - powiedział Dzidek, chcąc uniknąć konfliktu z Jaonem.

Frania wniosła tacę z kakao. Dzieci rzuciły się, brały, jedno przez drugie.

- Co to za mleko takie czarne? - spytał jeden z żołnierzy. - Fu, gęste i gorzkie - zawołał i wypluł kakao.

- Daj mnie - powiedział Dzidek i odebrał mu filiżankę.

Dzieci piły zachłannie, z rozkoszą, zdziwione, wytrzeszczając oczy z przyjemności. Jaonowi nie wolno było jeszcze pić kakao.

- To kiedy? - spytał szeptem Dzidek.

- Wyznaczę termin ataku i zawiadomię cię poruczniku - odrzekł Jaon, nie zdradzając, że wojna musi wybuchnąć w dzień, w którym matka pójdzie z wizytą do doktorowej. Jaon wiedział, że jego jako osłabionego, nie weźmie. Wtedy zarządzi alarm i mobilizację.

Mineły dwa dni. Listonosz przyniósł bilecik od doktorowej; zapraszała matkę Jaona na podwieczorek na tarasie. W Marzeniowie był zwyczaj, że listonosze nosili prywatne listy, od domu do domu, poza pocztą, pobierając za to opłatę wyższą od znaczka, bo aż złotówkę.

- A może każe podjechać Janusowi? - pytała matka.

Jaonowi ścisnęło się serce, czuł w nim dosłownie ból, gdy odpowiadał matce:

- Mamo, lepiej żebym został.

Matka poszła, a Jaon założył szpadę i popędził jak szalony do przybudówki. Kręciło mu się w głowie, ale biegł dobrze. Dzidek był w oknie i zaraz ukazał się na progu.

- Wymarsz, natychmiast - szepnął Jaon.

- Wszyscy są w stodole - odszepnął Dzidek.

- Uzbrojenie?

- Proce i miecze ze sztabli tartacznych.

- Mianuję cię zastępcą wodza - Jaon dotknął ramienia Dzidka.

Dzidek uchylił wrót stodoły. Wojsko, znudzone oczekiwaniem, wypadło na podwórze.

- Idziemy w szyku kolumny - mówił zmienionym głosem Jaon. -

Otwieram ją ja, zamyka szef sztabu podporucznik i zastępca wodza w jednej osobie. Całość w szeregu zbiórka. W prawo zwrot. Naprzód marsz.

Ruszyli. Weszli w uliczkę wiodącą ku lasom. Jaon był dumny, że idzie na czele własnej armii i przerażony, co będzie jeśli Frania zauważy jego nieobecność, albo matka wróci wcześniej.

Zarazem obawiał się wyniku starcia. "Żeby tylko komuś nie wybito oka" - myślał jakby był swoją matką. Nie miał odwagi przyznać się sobie, że się boi walki, która się wywiąże, ani do tego, co nurtowało go najgłębiej: że na czele bandy wiejskich chłopaków napada na dzieci, takie jak on, by zepsuć im zabawę lepszą niż jego, uległszy wpływom chłopaka, którego nie lubił i skrycie się obawiał. Pochlebiała mu nagła zmiana w Dzidku, jego podporządkowanie rozkazom, ale czuł, że coś nie jest w porządku. Nie znał przyczyny, dla której Dzidek się zmienił wobec niego dalej będąc złośliwy i pragnąc dokuczyć innym. Może dlatego usiłował go zjednać wysokimi awansami?

Takie były rozterki wodza, gdy szli ku górze, aż do końca uliczki, która rozplynęła się w polach. Żyto urosło wysokie przez czas choroby Jaona. Znikli w nim. Dalej była rzeczka i bród. Wojsko, bose, weszło w wodę, ale Jaon musiał zdjąć sandałki, zatrzymując pochód armii, a potem je włożyć. Zbliżył się Dzidek, czekając na rozkazy. W jego postawie był nadmiar służbistości, oczekiwania i poddania, jakby był pewien, że będzie musiał wbrew sobie wykonać idiotyczny rozkaz. Ale Jaon pamiętał rozdział Vademecum: "Podchodzenie do pozycji nieprzyjaciela". Wedle rozpoznania Dzidka obóz wroga był na najwyższym szczycie. Jaon rozkazał obejść obóz lasem, daleko od pozycji przeciwnika. Gdy dotarli do sosen niewiele wyższych od nich, Jaon kazał rozsypać się w tyralierę. Na lewym skrzydle postawił Dzidka, na prawym stanął sam. Poleciał iść w pozycji pochylonej. Zobaczywszy obóz, mają paść na kolana i czołgać się. Gdy pierścień się zamknie, dowódcy obu skrzydeł porozumieją się cichym gwizdnięciem. Wtedy Jaon wyda rozkaz ataku. Alinka chwyciła za rękę Jaona i przylepiła się do niego.

Zwyczajnie się bała? Musiał ją odepchnąć.

- Jak się obrazi, to naskarzy - ostrzegł go Dzidek.

Ruszyli. Gałęzie sosen biły Jaona w twarz ostrymi, wielkimi szpilkami, w sandały sypał się piach i suche igliwie. Armia zaczęła się czołgać. Podchodzenie przedłużyło się. Jaon, znudzony, niecierpliw, przyspieszał ruch armii, podnosząc się i wychylając z gąszczu. Poczł zapach dymu. Inaczej wyobrażał sobie ten obóz. To, co zobaczył przejęło go podziwem. Pięć chat, jak w prawdziwej Afryce, okrągłych, o spiczastych dachach, krytych mchem, w środku

ognisko. Ciała wojowników były umalowane na czarno, a twarze na białe. Na głowach mieli, jak Indianie pióropusze z piór. Cicho, rytmicznie zabrzmiał bęben kupiony w sklepie z zabawkami:

- Bum, bum, bum, bum, bum, bum, bum, bum...

Wojownicy przesunęli się w tańcu naokoło ogniska i uderzyła głośno pieśń, pewnie ich hymn:

"O jak przyjemnie być ludożercą

Kari - kari pampam

Kari - kari pampam

O-o-o

O jak przyjemnie spożywać ludzi".

Kari - kari pampam

Kari - kari pampam

O-o-o

O jak przyjemnie jeść ich codziennie

Kari - kari pampam

Kari - kari pampam

O - o - oooo..."

Strofki kończyły się pełnym tęsknoty jękiem, za każdym razem dłuższym. Rozległ się cichy gwizd. To dawał znak Dzidek, ale Jaon nie chciał ataku. Czuł, że w razie zwycięstwa, Dzidek zniszczy chaty, rozrzuci palisadę, zادةpcze ognisko. Pragnął przegranej, zarazem czuł wielką odpowiedzialność wobec armii i Dzidka. W dodatku nie przyznał się Dzidkowi, że jeszcze nie umie gwizdać. Wydał cichy, nieśmiały świst. Przerażliwy ryk Dzidka zagłuszył hymn Murzynów. Jaon kątem oka zobaczył, że Alinka ucieka. Dzidek przeskoczył palisadę. Za nim skakały inne dzieci. Jaon wyrwał gałąź z ziemi i przepchnął się. Uświadomił sobie, że jest bezbronny, bo przecież nie może walczyć szpadą. W jednej sekundzie tańczący przeszli do walki. Jakiś Murzyn rzucił się ku Jaonowi i Jaon wystawił przeciw niemu szpadę w pochwie przytroczoną do boku. Przeciwnik chwycił ją i popchnął gwałtownie Jaona. Jaon stracił równowagę i upadł. Leżąc widział, że ku Dzidkowi podbiegł równy mu wzrostem chłopak w największym pióropuszu i pomalowany inaczej niż reszta plemienia, prawdopodobnie wódz, wsunął Dzidkowi między nogi sosnowy kij, przekreślił go i Dzidek runął wznecając kurz. Wtedy wódz postawił nogę na szyi Dzidka:

- Teraz zginiesz - wykrzyknął.

Jaon miał uczucie, że grozi im prawdziwe niebezpieczeństwo. I ku niemu wysuwała się noga i mierzyła ku jego szyi. Jaon chwycił tę brudną stopę i wykręcił. Przeciwnik wrzasnął i zatoczył się. Jaon zerwał się wściekły, wytarzany w piachu, wyrwał szpadę z pochwy i przyłożył do gardła wrogowi. Naokoło trwała chaotyczna, bezładna, brzydka walka. Przeciwnicy wymierzali sobie na oślepie ciosy i uskakiwali, bardziej dbając, by nie dostać, niż zadać ból wrogowi. Murzyni dopadli Dzidka i zaczęli mu zasmarowywać twarz piaskiem. Armia Jaona pierzchła. Został tylko Jaon nad pokonanym przeciwnikiem z obnażoną szpadą.

Wódz Murzynów nie zdejmując nogi z szyi Dzidka dał znak swoim ludziom, by osaczyli Jaona. Jaon cofnął się, uwalniając jeńca i

skierował szpadę ku napastnikom. Widząc prawdziwą białą broń, jaką noszą dorośli, zawyli. Było to w ich oczach złamanie zasad zabawy, czy poczuli, że ich upokorzono? Wrogowie wiazali Dzidka, oślepiętego piachem przy nacieraniu mu twarzy. "To plemienny rytuał tryumfu nad pokonanym" - myślał Jaon. Wtedy wódz skierował się ku Jaonowi. Był starszy o cztery, pięć lat od Jaona. Zbliżał się ku niemu trzymając otwartą dłoń w górze.

- Ty jesteś wodzem? - spytał.

- Tak - odrzekł Jaon.

- I ja jestem wodzem - rzekł tamten. - Przegrałeś, ale jesteś bohaterskim wodzem.

- Wodzu, oddaj mi mojego szefa sztabu - poprosił Jaon.

- Bądź spokojny - odrzekł tamten wódz.

Jaon skłonił się głęboko tamtemu, a tamten odwzajemnił ukłon. Stali tak jeszcze chwilę, widać ogarnięci chęcią zbliżenia się do siebie, ale i nieśmiałością, po czym Jaon skłonił się powtórnie, wsunął szpadę w pochwę i odszedł.

Szedł sam, opuszczony przez wojsko. Myślał o tym, jak wódz dzikich był wspaniałomyślny wobec niego, pokonanego. Przypomniało mu się, że powinien pędzić do domu, by ukryć swoją nieobecność. Zaczął bieg. Poruszyło to w nim nowe przypomnienia: przecież chorował, niedawno zaczął chodzić po ogrodzie. Ale czuł się wspaniale. Franię mniej interesował niż Maniunię. Dlatego miał nadzieję wślizgnąć się do domu niezauważony. Gdy przesunął się przez uchyloną furtkę z lasku bżów wyszła ku niemu Alinka:

- Gniewasz się?

Zapomniał za co miałby się na nią gniewać. Nie wiedział, co odpowiedzieć, a ona, nie czekając na odpowiedź, zawołała:

- Gniewasz się? Rozpędzili was? Od przyjazdu jesteś jak nadąsany. Możesz wejść ze mną do ustępu i zobaczyć, jak robię kupkę. Będę zdejmowała majtki.

Jaon brzydzący się kupką, poczuł to jako zniewagę.

- Nie chcę cię znać - zawołał. W tej chwili drzwi na ganek uchyliły się i wyrzała Frania:

- Jaon! Gdzie byłeś? Na tej wsi wszyscy nikną, tyle pokoi, komórek, Jezus Maria, dalej pole, ogrody. Nie rozmawiaj z tą dziewczuchą, tą Aliną. To nie dla ciebie znajomość. Tylko, że twoja matka chce, byś był wielkim panem, a zarazem, żebyś był dla wszystkich dobry.

Jak śmiała krytykować matkę? Ale matka na pewno zakazałaby mu zwymyślać Franię, by się nie obraziła i nie odeszła. Szczęśliwy, że jego zniknięcie przeszło niezauważone, wszedł do kuchni. Była ogromna, a stół umyty do białości, przechodził przez całą jej długość. Na końcu stołu Frania położyła serwetkę dla Jaona. Maniuni nie przyszłoby do głowy, by nakrywać tu dla Jaona. Przyglądał się okapowi nad kominem, belkom pod sufitem, suszącemu się, zakurzonemu czosnkowi i pętom kielbasy, i był szczęśliwy, że może tu być. Pożerał kaszę wyobrażając sobie, że jest dzikim człowiekiem i że to jest surowe mięso antylopy. By miało to być mięso ludzkie, nie był w stanie pomyśleć.

Matka wróciwszy, spojrzała na Jaona z niepokojem, położyła mu rękę na czole, zbadła puls, podniosła powieki i zajrzała w oczy.

- Jakiś rozogniony jesteś? - spytała z niepokojem. - Może ja zawrócę i przyprowadzę doktora?

- Mamo, czuję się lepiej niż zawsze - odrzekł Jaon.

Rano matka zgodziła się z nim i stwierdziła, że jest całkiem dobrze, i że poprzedniego dnia nastąpił ostateczny powrót do zdrowia.

- Jutro jedziesz do kościoła - obwieściła. - Chcesz, bym zabrała Alinkę?

Czasy, gdy był obrażony na Boga o odtrącenie przed ołtarzem, minęły. Teraz z niecierpliwością czekał pierwszej komunii i martwił

się, czy jej dożyje, czy nie pójdzie ze śmiertelnymi grzechami do piekła. Wydawało mu się, że i Alinka tego się bała.

To lato było piękne, upalne, niebo tygodniami bez jednej chmurki. Gdy spotkali się przy powozie Alinka była w tej samej sukience co w zeszłym roku, ale teraz odkrywała jej całe nogi, bo z niej wyrosła. Taka była moda, bardzo krótka dla dziewczynek tego lata, ale to było w mieście. Alinka musiała o tym nie wiedzieć i ciągle, gdy jechała powozem na ławeczce przy Jaonie usiłowała obciągnąć sukienkę, by zasłoniła jej kolana, ale to się jej nie udawało.

Przez ten gest, Alinka wydawała się Jaonowi bezwstydną i żałował teraz, że nie zgodził się wejść z nią do ustępu, a zarazem złościła go tak, że gdyby nie matka, kazałby jej wysiąść z powozu.

"Dlaczego Alinka, która przypomina mi grzech i nawet wczoraj prowadziła ze mną nieskromną rozmowę, towarzyszy mi do kościoła?"

W kościele Alinka nie weszła z nimi do zakrystii, ale stanęła w tłumku dziewczynek w swoim wieku, jak ona biało ubranych, rozmodlonych, niedaleko ołtarza, po prawej stronie, jak nakazuje wiejski obyczaj. Ani razu nie spojrzała na Jaona. Była ładniejsza od innych dziewczynek, ale Jaon chciałby poznać którąś z nich.

Wyszli w upał. Słońce wybielało świat. Ogromne drzewa wokół kościoła rzucały cienie, które wydawały się czarne. Trzynastoletni najwyżej chłopiec, ostrzyżony do gołej skóry, mimo upału w krawacie, marynarce i pumpach z tweedu, prowadząc rower, najnowszy model "Łucznika", zaczął iść równoległe do Jaona.

- Ciesz mnie, że nie wiesz kim jestem - odezwał się i zamilkł, ale szedł dalej przy Jaonie. Gdy zbliżali się do powozu, uklonił się jego matce, skinął głową Alince i Jaonowi, wsiadł na rower i szybko odjechał.

- Ładna historia - wykrzyknęła matka. - Kto to jest? Masz kolegę, o którym ja nie wiem?

- Mamo! Nigdy go nie widziałem! Ktoś ze starszych klas? Tu, w Marzeniowie? Niemożliwe, żeby zapamiętał pierwszaka.

Alinka patrzyła na niego z politowaniem, stanęła za plecami matki Jaona, popukała się w czoło, tak by spostrzegł to Jaon.

Jaon poprosił, by Janus dał mu powozić. Janus zerknął na jego matkę, a ona odpowiedziała:

- Tylko niech go pan trzyma za pasek, żeby nie spadł i niech pan

przytrzymuje lejce.

Jaon wdrapał się na kozioł, ale nie czuł przyjemności, bo Janus powoził, a jemu pozwalał tylko trzymać ręce na lejcach. Tylko dotyk rzemienia, grubego i twardego sprawiał Jaonowi radość. Także wysokość, na której się znalazł i to, że widział dokładnie drogę i konia z góry, cieszyło go.

Alinka zeskoczyła z powozu i znikła natychmiast, nie chcąc mu widać wyjaśnić dlaczego pukała się w czoło. Jaon domyślił się, że wiedziała kim był chłopiec z roweru. Jaon zaczął poszukiwania, jak w zabawie w chowanego, ale ciekawszej i trudniejszej, bo szukał sam i kogoś, kto schował się tylko przed nim. Wbiegł na strych, był w piwnicy, w altance, w dżungli bzów, zajrzał przez okienko w kształcie serduszka do ustępu z nadzieją i dziwną ciekawością. Przed zapole stodoły wszedł małymi drzwiami do pokoju nad stajnią, gdzie za czasów dziadka mieszkał parobek, a gdy dom jeszcze był pełny, zjeżdżała się rodzina, wuj Rudolf odbierał go parobkowi. Tam pod pledami i narzutami leżała Alinka i czytała jedną z książek wuja Rudolfa:

- Nie zbliżaj się - powiedziała wrogo Alinka.
 - Kim był chłopak z rowerem? - spytał Jaon.
 - Powiem, jak przysięgniesz na honor, że nikomu nie zdradzisz, że tu byłam.
 - Nie zdradzę.
 - A swojej matce nie wypaplasz, jak zawsze wszystkiego?
 - Nie.
 - Nie przysięgłeś na honor.
 - Przysięgam na honor - podniósł rękę w górę.
- Usłyszeli matkę Jaona, jak go woła.
- Gdybyś pisnął, matka mnie zabije.
 - Więc mów.
 - Nie udawałeś przed matką, że nie wiesz, kto to jest?
 - Mów szybciej - złościł się upokorzony Jaon.
 - Gapo, to był wódz Murzynów. Jesteś głupi, że nabierasz się na mojego brata Dzidka.

Jaon schodził z górki jak nazywano pokój nad stajnią, smutny, że Alinka chowała się nie przed nim, zaskoczony jej wiedzą. Tylko on nic nie wiedział. Wszyscy ukrywali coś przed nim.

Czuł bolesne upokorzenie. "Jak mogłem nie wpaść na myśl, że jedynym chłopcem, który mnie tu zna poza moim wojskiem, jest tamten wódz". Alinka to wiedziała doskonale. Alinka czytała książki, ukrywając to przed wszystkimi, a on w chorobie przeczytał jeden rozdział "Sierotki Marysi i krasnoludków" i dalej wertował "Wojny Napoleońskie" Lewinsona. "Trylogię" zostawił w Warszawie. Nawet Alinka jest mądrzejsza ode mnie? Zmowa, o której pomyślał, to coś gorszego: oni, matka, wuj, Frania, Dzidek, doktorowa widzą, że Jaon jest niemądry i nie warto mu nic mówić. Na podwórzu natknął się na matkę:

- Cóż to? Zabawa w chowanego przed matką?
- Mamo, kiedy przyjedzie ojciec?
- Przypomniałeś sobie o ojcu? Matce było przykro, że zapominasz o

nim w szale wakacji. Nie wiem, czy tylko ty, czy wszystkie dzieci - bo nie miałam innego poza tobą i pewnie nie będę miała - tak zapominają o wszystkim, od razu gdy zniknie z ich oczu? Ojciec nadzoruje parcelację.

- Jak to się robi? - spytał Jaon.

- Sam ci opowie. Ludzie chcą mieć ziemię. Jest jej za mało. Gotowi się nawet zabijać.

- Mamo, dlaczego ty nie mówisz mi prawdy?

- Jak śmiesz tak odzywać się do matki?

- Przepraszam, mamó, przepraszam. Myślałam, że ciągle przede mną coś ukrywasz.

- Dziecku nie mówi się wszystkiego.

- Czy kazałaś Frani, Dzidkowi i Alince też nie mówić mi nic?

- Widzisz, w naszej sferze o pewnych rzeczach się nie mówi, a chłopcy nie krępują się niczego. Pani dzierżawczynie mogła powiedzieć swoim dzieciom, by były ostrożne w rozmowach z tobą.

- Czego one mi nie mówią?

- Tego nie wiem, synu.

- Mamo, dlaczego Dzidek jest teraz dobry dla mnie, a nawet mnie słucha?

- Co do tego, by cię słuchał, nie łudź się synu. Ma jakieś wyrachowanie, by udawać posłuszeństwo wobec ciebie.

- To ty kazałaś jego matce, by zabiła Dzidka, żeby był miły dla mnie? - wybuchnął żalem Jaon.

Matka roześmiała się.

- Nie sądzę, że jedno lanie by wystarczyło Dzidkowi. Strasznie jest bity. Ale w końcu, czy sam Dzidek nie zmadrzył przez ten rok?

- Dzidek jest strasznie bity?

- Pani dzierżawczynie przywiązuje go sznurami i chłop, który u nich pracuje przy żniwach i wykopkach, wykonuje egzekucję.

- Co złego robi Dzidek?

- Nie wiem synu. Nie obchodzi mnie to. Ty wszystko chcesz wiedzieć, przejmujesz się.

- Gdzie jest ojciec Dzidka i Alinki?

- Nie pytałam. I tobie radzę nie wrywać się z takim pytaniem.

- Ich ojciec umarł?

- Nie wiem. Żebyś się nie zawiódł, przesadnie wyobrażając sobie wiedzę matki - powiedziała i weszła do domu.

Jaon został w ogrodzie. Poszedł do altanki. Co miał robić? Czekać do przyszłej niedzieli aż wódz znów podejdzie do niego; czy zaraz iść do obozu dzikich Murzynów? Iść rozbrojony, czy ze szpadą? Murzyni nie znają szpada. Kazała mu ją zdjąć.

Minał tydzień, upalny i samotny. Dzidek znikł, jak rok temu. Nie mieszkał w domu. Alinka ukrywała się w pokoju nad stajnią. Armia była w rozsypce. W lesie szalał szczep dzikich Murzynów.

Czy Jaon w przyszłości odróżni ten poranek niedzielny od poprzedniego? Powóz zajechał o tej samej porze i stanął w tym samym miejscu. Janus palił machorkowego papierosa i tak samo go cisnął w krzaki, gdy matka Jaona, Jaon i Alinka wyszli przed dom. Coś jednak było innego: Jaon od razu siadł na kozioł, by powozić.

Matka pozwoliła Alince usiąść koło siebie, na pikowanym siedzeniu. Alinka miała tę samą białą sukienkę. Usiadła blisko matki Jaona, jakby chciała udawać jej córkę. Janus, gdy wyjechali na drogę, przez nieuwagę czy zapomnienie oddał lejce Jaonowi. Jaon trzymał je, czuł ich ciężar i poprzez nie ruch konia. Ale koń szedł sam, a gdy dojechali do zakrętu, Janus bez słowa odebrał Jaonowi lejce, ściągnął je i skierował konia w uliczkę wiodącą ku kościołowi. Kościół przyjął ich chłodem, zapachem kadzidła i więdnących kwiatów. Alinka poszła na swoje miejsce. Jaon szukał jej w tłumie dziewczynek. Wyglądała najniewinniej. Gdy wychodzili, Jaon ujrzał tego, na którego czekał: chłopca z rowerem. Ten dał mu znak, by został w tyle. Wtedy szepnął mu w ucho:

- W ciągu trzech dni masz się zgłosić do naszego obozu, jako jeńiec. Jeśli stchórzysz, czeka cię kara - i cofnął się do tyłu. Czuł, że trzeba iść natychmiast. Wódz nie może na niego czekać. Oddanie się w niewolę to kwestia honoru. Ale jak wytłumaczyć matce prośbę o pozwolenie wyjścia, nie przyznając się do wyprawy wojennej, ani że wie, kim jest chłopiec z rowerem? Matka wie o nim wszystko. Nie wolno jej zawieść. Nawet gdyby się zgodziła, by poszedł nad rzekę, wyślą z nim Franię. Jaon poczuł się w mocy matki, która kieruje jego życiem. Nagle to, co było jego największą winą, objawiło się mu w innej postaci: nie wie, co robił z Alinką, nie wie, że był pod drzwiami Szachowskiego. Pod wpływem radości z tego, co dotąd go przygnębiało, popędził do matki. Zmęczona upałem, daleko na łące czytała książkę.

- Mamo, mamo - krzyczał nim dobiegł. - Mamo, posłuchaj, błagam. Ukłąkł przy niej, raz dlatego, bo leżała na kocu, po drugie, by swoim słowom nadać większą wagę. Złożył dłonie i zaczął mówić: - Mamo, zawiniłem. Kiedyś, parę dni temu bez twojej wiedzy wymknąłem się z domu i pobiegłem nad rzekę do Pierwszego Lasu - dostrzegł zmianę na twarzy matki, zaplątał się i zamilkł. Zapadła cisza.

- Do czegoś chcesz się przyznać - powiedziała powoli matka, ale bez smutku, którego się bał. - W takim razie mów.

- Mamo, podszedłem pod obóz dzikich Murzynów. Bardzo mi się spodobali. Poznałem wodza. To był ten chłopiec z rowerem.

- Tylko to, synu? - spytała surowo matka.

- Chcę do nich znów pójść.

- Co to za dzieci?

- Sami chłopcy. Kim są, nie wiem. Ale są grzeczni i bardzo dobrze wychowani.

- Synu, jeśli między nami stanie kłamstwo, możemy szybko oddalić się od siebie i mogę dalej żyć, ale będziesz tracił matkę.

- Mamo. Nie mów tak. Powiem ci, ale utrzymaj wszystko w tajemnicy, żeby ten chłop nie bił Dzidka.

- Mam być w zмовie z tobą? Ciekawe? Przeciw komu? - uśmiechnęła się matka.

- Mamo, myśmy z całą armią napadli na tamten obóz i przegraliśmy bitwę.

- I wszystko to w czasie gdy spałam? Może i teraz śnię?

- Nie, mam, zrobiliśmy to jak byłeś u pani doktorowej.
- Mam tego nie mówić pani dzierżawczyni?
- Nikomu - rzekł niepewnie Jaon.
- A ojcu?
- Ojcu tak.
- A jak ojciec zdecyduje, że trzeba zbić nie Dzidka, a ciebie?
- To trudno.
- Dobrze, idź. Frania przeprowadzi cię przez rzekę.
- A dalej nie będzie szła ze mną?

Matka machnęła ręką. Jaona zaskoczyła łatwość, z jaką matka przyjęła przyznanie się i pozwoliła mu iść do obozu dzikich Murzynów.

Wziął szpadę, by oddać się w ręce szczepowi tak, jak go wypuszczono. Frania szła milcząco, jak wtedy, gdy odprowadziła go do szkoły, z miną pełną obrazy: nie lubiła wsi. Okazywała pani i Jaonowi, że tylko dla nich gotowa jest na takie poświęcenie, by tu być. Jaon chciał ją wybadać, czy matka zleciła jej śledzenie go. Ale nie ufał Frani jak Maniuni. Przeszedł rzekę z sandałkami w ręku, a potem ich nie włożył i bosy, przy szpadzie, ruszył w kierunku obozu dzikich Murzynów. Odwrócił się. Frania stała na tamtym brzegu rzeki, patrząc na Jaona.

Las po wielu tygodniach upałów był przegrzany, mchy wyschnięte. Trochę powoju zwisało z wielkich sosen, jak liany. Z korony drzewa, które minął, rozległ się gwizd. Widać od napadu plemię dzikich Murzynów wystawiało wartę. W obozie zaczęto bić w bęben i rozległy się groźne, przeraźliwe okrzyki. Gdy Jaon zbliżył się do palisady, znacznie umocnionej, krzyki zmieniły się w śmiech. Nim odnalazł bramę, plemię wypadło z wioski. Wojownicy otoczyli go tłumem. Torsy, ręce i nogi malowali węglem z ogniska, a twarze pastą do zębów. Pachnieli z daleka dymem i miętą. Tańczyli wokół niego wywijając łukami, dzidami, i tomahawkami, wyciętymi z dykty i śmiali się. Śmiech miał unicestwić wroga. Pokazywali go sobie palcami i ryczeli ze śmiechu, bili po brzuchach. Niektórzy padali na ziemię i wili się. Z największego szałasów wyszedł wódz. Miał ogromny pióropusz i Jaon poznał w nim pióra indyków, bażantów. Było nawet pawie pióro. Na białej, przypominającej maskę twarzy, miał wymalowane czerwoną farbą zmarszczki.

- Ja jestem osiemdziesięcioletni wódz murzyńsko-indiańskiego plemienia U-Sulupu - wyciągnął rękę do pocałowania i Jaon musiał ją ucałować. - Ty jesteś wróg błądy, bez koloru, który ośmielił się przejść rzekę. Jest nędzny - zwrócił się do plemienia.
- Nędzny, nędzny, nędzny - powtórzyło plemię.
- Ohydny, wstrętny, odrażający - poddał wódz.
- Ohydny, wstrętny, odrażający - zawył chór.
- Będzie ukarany - zapowiedział wódz.
- Będzie ukarany - jak echo odpowiedzieli dzicy Murzyni.
- Strasznie. Straszliwie. Okropnie - poddał wódz.
- Strasznie. Straszliwie. Okropnie - jęknęli wojownicy.
- Padnij na twarz - zwrócił się wódz do Jaona, a gdy Jaon dotknął twarzą jasnego piasku obozowiska, postawił mu stopę na karku i

przemówił:

- Najcenniejsze, co ma wojownik, to czaszka wroga. Wielki wojownik przewleka przez czaszki sznur i zawiesza na szyi. Twoja głowa, obrzydliwy, będzie odcięta, a potem odegramy nią świętą grę. Wtedy wyleci z niej głupi mózg, odpadnie mięso, wypadną oczy, oderwą się uszy i tak się oczyści.

- Tak się oczyści - powtórzyło plemię.

"Naprawdę mnie zabijają" - pomyślał Jaon i chciał się podnieść, ale stopa wodza, wcale nie jak w zabawie, przyciskała jego kark do ziemi. Chciał się modlić, ale nie przychodziło mu na myśl żadne słowo. "To przecież dzieci, które nie rozumieją, że mogą coś złego zrobić, czego nie da się odrobić, a potem będą zdziwione, że nie odżywam".

- Przyniesicie kocioł - rozkazał wódz. - Twoje ciało będzie rozgotowane powoli, a spożyte, przejdzie przez nasze kiszki. To będzie nasze wybaczenie. To będzie twoja ostatnia wędrówka. A gdy cię wydalimy z siebie, twoja dusza oczyszczona w naszych trzewiach, wejdzie w piasek, by zamieszkać tam na miliard wieków. Coraz więcej wojowników zbliżało się, by oprzeć na nim nogę. Próbował odwrócić głowę, by zobaczyć, co mu zrobią. Wykrzywione twarze pochylały się i prawie dotykały jego twarzy. Czemu nie chciał, by szła z nim Frania? Teraz jeden krzyk i byłby ocalony.

- Patrz w ziemię - krzyknął jeden z oprawców.

- Licz ziarna piasku - krzyknął inny głos.

Dotknęto mu szyi czymś lodowatym. Jaon doświadczył uczucia, że umiera.

- Od tej chwili nie żyje - orzekł wódz.

Nikt na niego nie patrzył. Nie widziano go, bo nie żył. Nie było go. Wojownicy gorączkowo rozpalali ogień. Przyniesiono kocioł, który okazał się emaliowanym garnkiem i postawiono na ognisku. Tam było ciało Jaona, które miało stanowić kolację szczepu. Potem wódz, kozłując, osobiście przybiegł z gumową piłką. Narysował na niej oczy, usta i nos. To była głowa Jaona. Zaczął się rytualny plemienny mecz. Wbito bramkę głową Jaona. Rozległ się ryk radości. Grali aż rysunek na piłce się nie starł. Głowa była oczyszczona.

Gra przeszła w taniec i śpiew:

"O jak przyjemnie być ludożercą

Kari - kari pampam, kari - kari pampam

ooo..."

Zapachniało grochówką. Wojownicy skupili się wokół gamka i jedli z niego łyżkami nie zapraszając Jaona i omijając go wzrokiem, bo przecież nie żył i nie mógł jeść sam siebie. W tym momencie ktoś rozgarnął ostrokół i ukazała się twarz Frani:

- Jaon do domu! - krzyknęła.

- Niech twoja dusza przybędzie jutro - powiedział wódz.

Nazajutrz Jaon zerwał się o świcie. Wpadł z domu. Frania klęczała w ogrodzie w promieniach niskiego słońca i modliła się. Obok stał kosz z fasolą, którą miała obierać. Drzwi przybudówki były otwarte. Od dzierzawczyni wychodził chłop, który jej orał ziemię i kiedy trzeba bił Dzidka. Jaon zawrócił się i cofnął w głąb domu, w

którym spała matka. Nie wiedząc dlaczego, poczuł się obco. Położył się z powrotem i zasnął głębokim snem.

Gdy wstał, wszystko wyglądało jak zawsze. Śniadanie było gotowe na serwetce w jadalni. Matka przy herbacie czytała list od ojca. Nie mówiła, co jest w liście, czekała widać aż Jaon spyta, ale on był pochłonięty myślą, czy matka zgodzi się, by Frania od razu szła z nim do obozu. Ojciec pisywał codziennie i matka odczytywała każdy jego list kilka razy rano, po południu i wieczorem. Pokiwała smutno głową i zawołała Franię:

- Odprowadź byłego wielkiego wodza armii, który stał się niewolnikiem Murzynów - i wróciła do listu.

W obozie już wszyscy byli. Na widok Jaona odezwał się dźwięk bębna i chóralny jęk.

- Ooch, ooch, ooch.

Umarli zjawiają się jak cienie - wykrzyknął wódz plemienia.

Wyszedł ku Jaonowi naprzeciw, skłonił się, wziął go pod rękę i poprowadził ku ognisku:

- Ta dusza - oznajmił szczepowi - była w Krainie Przodków. W nocy byłaś z dziadami i pradziadami, rozmawiałaś z nimi, ale nie przyjęli cię do siebie, odesłali cię tu. Powrócisz do ciała i odrodzisz się żywy.

Dmuchał mu w twarz trzykrotnie.

- Żyjesz - oznajmił. - Nie jako wstrętny bezbarwny biały, którego ciało wydaje się podwójnie nagie, ale jako syn plemienia, któremu dany jest kolor.

Zabrzmiało tryumfalnie:

- Aaa! Aaa! Aaa!

Wódz skinął i podano mu narzędzia. Była to maszynka fryzjerska.

Kazał Jaonowi przykłęknąć i zaczął strzyc go. Maszynka była stępiona, czy wódz nie umiał się nią posługiwać, dość że wyszarpywał mu kępki włosów. Gdy Jaon zobaczył swoje włosy leżące na piasku pomyślał: "co ja najlepszego robię? Matka mnie tu nie puści". Ale już nacierano go węglem drzewnym, a twarz smarowano pastą do zębów. Odtąd zapach mięty miał mu towarzyszyć nieustannie. Wyniesiono z szałasów chorągiew z piór, którą wbito przy wodzu. Plemię zasiadło wokół ognia. Gorąco było nie do zniesienia, ale doznanie Afryki przez to było głębsze i prawdziwsze. Ciche mruczando przechodziło w jęk, a jęk w pieśń:

"O jak przyjemnie być ludożercą,

Kari - kari pampam, kari - kari pampam

Ooo, ooo, ooo..."

Matka ujrawszy Jaona ostrzyżonego do gołej skóry pokiwała głową:

- A jak ci zechcą uciąć ucho, to też pozwolisz? Ależ cię osmyczyli - zaciągnęła go do lustra.

Jaon od wyjazdu na wakacje nie przeglądał się. Ujrzał swoje odbicie wyżej niż dawniej. "Urosłem" - pomyślał. Był czarny jak Murzyn, jego oczy były rozszerzone, prawdziwie dzikie, spod krótkich włosów prześwitywała goła czaszka, tylko parę kępek pozostawionych przez wodza wydawało się rosnać w różne strony. Matka wzięła nożyczki i cierpliwie wyrównała te miejsca.

Codziennie Frania odprowadzała Jaona do obozu niosąc w szmatce patelnię z obiadem, który Jaon miał odgrzać sobie przy ognisku. Przychodziła po niego wieczorem, bo matka bała się, by przechodził sam przez rzekę, mimo że z powodu upałów płynęła płasko po kamieniach. Dopiero w jej dolnym biegu były dwa głębsze doły, o których mówiono, że pochłonęły wiele ofiar.

- Idąc z Bugaja tamte dzieci nie przechodzą rzeki - tłumaczyła matka Jaonowi. - Teraz ja muszę ci się przyznać do czegoś.

Uznałam, że powinnam być u matki twojego wodza - i dodała dziwnie smutnie. - Nie gniewasz się synu? Ona też powie swojemu synowi, bo uznaliśmy, że naszego spotkania nie będziemy przed wami trzymały w tajemnicy. Czy choć wiesz, jak ma na imię?

- Nie, mammo.

- Śmieszne, że ci to musi mówić matka. Ryś. W tym roku zdał do pierwszej klasy gimnazjum. Nie pytasz, co pisze ojciec, a ojciec w każdym liście dopytuje się o ciebie. A ty ani razu nie dopisałeś się do mojego listu. Nigdy cię nie ma.

Martwię się o ojca, ale nie mam z kim o tym porozmawiać.

- Co ojcu grozi?

- Ojciec nie pisze wyraźnie, by nas nie niepokoić, ale z niedomówień zorientowałam się, że gdy przyjechał na parcelację, dano mu do zrozumienia, że wszystko już załatwione bez niego. Geometry, pośrednicy i kierownik Urzędu Ziemskiego mieli swoich nabywców. Przy braku ziemi brali od nich duże sumy. Bank miał zalegalizować ich machinacje. Twój ojciec wszystko wykrył. Widzisz ojca w kołnierzyku, krawacie, ciemnym garniturze, a przecież to wielki żołnierz, człowiek szaleńczej odwagi.

- Mammo, widziałem jak dobrze strzela.

- Że też ojciec dał ci możliwość zobaczenia tego. Jest bardzo skryty i skromny. Dlatego martwię się, że mało go znasz. Bo może ja, twoja matka, przytłaczam go w twojej świadomości i odbieram mu dla siebie część twojej uwagi?

Matka obdarzyła go za wielkim zaufaniem, na które nie był przygotowany, był na nie za mały. Bał się potwierdzić, że matka ma rację, że ją kocha bardziej. Przeszył go smutek: gdyby ojciec usłyszał jego myśli?

- Mammo, kocham was oboje.

- Bóg zapłać, że to powiedziałaś.

Ojciec przyjechał dwa dni potem, nieoczekiwanie zjawiając się nad ranem. Jaon słyszał bieganie, szepty i przyciszony, ale silnie rozbrzmiewający pod niskimi sufitami, trochę już zapomniany głos ojca:

- Jest odrobinę nowin - szeptał ojciec. - Przyszedł list z Ameryki. Rozwiewa nasze nadzieje. Historia jaka tylko tam mogła się zdarzyć. Twój dziadek miał sejf, ale pod koniec życia zapomniał w jakim banku - piszą. Sądzieli, że tam umieścić swój pamiętnik z czasów Powstania i akt wywłaszczenia, skoro my go nie mamy ani oni. I w tyle lat po śmierci twojego dziadka dostają list: dwa banki się łączą i likwidator jednego z nich pisze do ich notariusza z pytaniem, czy zawartość sejfu należy do masy

spadkowej po twoim dziadku, a jeśli tak, prosi o jej przejęcie.

Jadą, otwierają sejf, są pewni, że tam jest rozwiązanie naszych kłopotów, a znajdują tylko dużych rozmiarów fotografię. Na ich werandzie w Illinois siedzi twoja babka i twoja matka.

Są wstrząśnięci. Więc twoja matka była w Stanach odwiedzić matkę?

A oni o tym nie wiedzieli? To była tajemnica, która aż musiała być ukryta w sejfie?

- Ach, jakże to było inaczej! - wykrzyknęła, zapominając o ciszy matka Jaona. - Moja babka ciągle nosiła się z zamiarem powrotu do kraju, do córki, czyli mojej matki. Tak za nią tęskniła, że myślała

nawet o porzuceniu mojego dziadka. Kiedyś przyszła jej myśl, gdy wyczytała o fotomontażu, że mogłaby mieć z nią wspólną fotografię. Miała służącą Murzynkę, piękną i niezwykle zgrabną, podobnego wzrostu i budowy co moja matka. Uszyła dla niej wspaniałą suknię, potem kazała jej usiąść koło siebie i sfotografowały się. Murzynka udzieliła ciała mojej matce. Potem nosiła na wszystkie murzyńskie zabawy tę suknię, którą jej podarowano.

- Mamo! Tato! - wrzasnął Jaon nie panując nad sobą. - Chodźcie! Czy Maniunia, Dziurzynka i Frania mogą być moimi Murzynkami?

- Ojciec przyjechał, a ty pytasz o jakieś Murzynki? - rozgniewała się matka zapomniawszy o niestosowności tego, że Jaon nie śpi.

Gdy Jaon powtórnie się obudził, rodzice byli niewiele dalej w swojej rozmowie:

- ...w głowę Murzynki wmontowano głowę matki z fotografii przywiezionej z kraju. Babka pod koniec życia pokazywała tę fotografię osobom, które nie wiedziały nic o naszych losach i mówiła, że jej córka jest też w Stanach. Wtedy dziadek odebrał jej zdjęcie. Niedługo potem umarła. Wiesz mężu, trochę mi ulżyło. Przepadło, trudno, ale coś się wyjaśniło, ale co z wojną? My tu o niczym nie wiemy, o wszystkim zapomnieliśmy. Na wsi mają to za dziwny omen, że od trzech miesięcy nie spadła kropla deszczu.

- Wojna może w tej chwili się zaczęła.

- Kto zwycięży? - spytała matka.

- Polska - odrzekł ojciec. Jego głos brzmiał głucho, ale stanowczo.

"Jaki jestem szczęśliwy" - pomyślał Jaon i usnął.

Rano wysunął się do ogrodu i obszedł dom naokoło. Rodzice jeszcze spali i śniadanie zjadł sam, w kuchni. Było tu chłodno, ale upał wchodził otwartymi drzwiami. Gorąco wołało Jaona do Afryki, ale wiedział, że nie można wyjść przed przywitaniem się z ojcem.

Jedząc patrzył na widoczny przez drzwi fragment ogrodu: kłębowisko krzewów, przeniknięte słońcem i nagle dostrzegł żółty liść. "Jak to? W lecie?" - pomyślał ze smutkiem, bo przypomniał sobie koniec wakacji. "Przecież liście żółkną w jesieni". W tym momencie ojciec stanął przy nim bezszelestnie, jak duch. Był boso, w spodniach od piżamy, z potężnym, odsłoniętym torsem, na którym wisiał złoty medalik na srebrnym, grubym łańcuszku. Ojciec położył mu rękę na głowie, pochylił się i pocałował w czoło. Przyłożył palec do ust

na znak, że muszą być cicho, by nie obudzić matki. Jaon, zaskoczony i przejęty, chwycił jego rękę i pocałował. Wtedy ojciec drugi raz dotknął wargami jego czoła. Potem dał znak i wyszli do ogrodu. I tam ojciec szeptał:

- Nie możemy rozmawiać, bo matka śpi. W nocy mi mówiła, że masz nowych kolegów i wspaniałą zabawę. Leć tam. Ja i tak muszę się nagadać z matką. Pójdziemy z nią na spacer w przeciwną stronę. Jaon wiedział, że Marzeńiów otoczony jest naokoło lasami, ale tam, w okolicy nazywanej "W Przeciwną Stronę" nie był. Ojciec pchnął go lekko w stronę bramy. Jaon zerwał się do biegu. Przy rzece uświadomił sobie, że nie ma przy nim Frani. Ojciec nie wiedział, że Frania go odprowadzała, czy zrobił tak specjalnie? Jaon przebiegł rzekę, tam gdzie dno było piaszczyste, rozbryzgując wodę.

W obozie podwyższano palisadę. Jaon kończył swój szałas, pokrywając go suchym, szarym mchem. Wódz ani słowem nie nawiązywał do wizyty matki Jaona u jego matki. Tak samo, uderzało Jaona, nie zapraszał go do domu, który wynajmowali na lato. Byli dla siebie dzikimi Murzynami. "Szkoda, że tu nie ma Szachowskiego - przypomniał sobie przyjaciela Jaon. - Ale on nie chciałby się tak bawić. Szydziłby z nas, nawet z wodza".

Wieczorem jedli na powitanie ojca uroczystą kolację, przyniesioną z restauracji za sklepem Babskiej. Służąca Babskiej wniosła kosz przykryty serwetką. Były tam termosy, garnki poowijane w swetry. Przysłała też wino. Rodziców zaskoczyło, że ma francuskiego burgunda. Był nawet bukiet kwiatów.

- Ależ masz szczerą - powiedział ojciec, pogładziwszy go po głowie. - Muszę się ostrzyć jak Jaon.

- Byłeś tak ostrzyżony, gdy cię poznałam.

- Długie włosy mi przeszkadzały - rzekł ojciec. - Miałem poczucie, że ktoś mnie może za nie chwycić.

- Opowiadaj - prosiła matka.

- Bardzo za wami tęskniłem, bardziej niż zawsze.

- Ja cieszyłam się, że jak w czasach narzeczeństwa codziennie do siebie pisywaliśmy, ale i trochę serce mi się ścisnęło. To coś znaczy, mężu?

- Poczułem, że nie mógłbym bez was żyć - powiedział ojciec.

Jaon obudził się w łóżku, w środku nocy. Otworzył oczy i poszukał szpary nad podłogą, ale naokoło napotkał ciemność, gęściejszą niż w mieście z powodu zamkniętych okiennic. W drewnianym domu szedł pogłos. Rozmowa, po wielu tygodniach zupełnej ciszy przerwała sen Jaona. Po dudnieniu, które było głosem ojca zabrzmiał głos matki:

- Co to, za zdarzenie, o którym nie chciałeś pisać?

- Jak wiesz, wpadałem do Warszawy na konsultacje do Woynickiego. Powiedziano mi w wydziale, że codziennie ktoś dzwoni i pyta o mnie; jakiś głos kobiety. Przyszło mi na myśl, że to wiąże się z parcelacją, ktoś w Warszawie chce kogoś tam poprzeć i szuka drogi do mnie. Rozzłościłem się i wtedy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę. Usłyszałem głosik, dosłownie głosik, drżący i nieśmiały: "Czy wydział kredytów długoterminowych?" Dysproporcja

między tym, jak brzmiały słowa, a treścią pytania była uderzająca. Nikt taki do nas nie dzwoni. Sekretarki łączące z dostojnikami, czy przemysłowcami mówią inaczej, i zaraz padło moje nazwisko, czy to może ja jestem przy telefonie. Jeśli tak, to ta osoba nim przedstawi się, prosi bym dał słowo honoru, że nikomu nie powiem o tym telefonie. Odrzekłem, że nie interesuje mnie kto dzwoni i chciałem odłożyć słuchawkę. Wtedy usłyszałem: "Trudno. Mówi Lucyna Świdwińska. Mam choć tę nadzieję, że moje nazwisko nie jest panu obce? Wiem, jak pan jest niedostępny, że nie jest pan zbyt uprzejmy, a jednak błagam, by ofiarował mi pan dziesięć minut czasu".

Naznaczyłem jej spotkanie natychmiast, obok banku, w małej kawiarence "Lux".

- Jaka ona jest? - spytała matka.

- Niech ci ją scharakteryzują jej pierwsze słowa: "Tak sobie pana wyobrażałam; wiszącego na linie w głębi opuszczonej kopalni, czy szykującego się, by stanąć przed rosyjskim plutonem egzekucyjnym. Wiedziałam wszystko od pana brata, który był tak naiwny, żeby szydzić z pana, ciągle o panu mówił. Zrodziła się we mnie obsesja, by pana poznać, dążyłam do zobaczenia pana, szukałam pana. Pan, czy pana żona odtrącała każdą próbę przedsięwziętą na moją prośbę przez Hieronima. W końcu to stało się dla mnie koszmarem, ta niedostępność pana, niemożność dotarcia do pana, przebicie przez coś, w czym podejrzewałam znowę. W końcu myślę: "nic Hieronimowi do tego, czego pragnę. Wszystko udawało mi się, więc i uda mi się spotkać z panem. Przyjrzę się panu i odejdę".

- Taką rzecz właściwie mogłeś mi opowiedzieć zaraz po przyjeździe - przerwała matka.

- Tak strasznie się cieszyłem, że jestem z wami, jakbym wrócił z bardzo daleka. Bezgraniczna obcość, jaką czułem wobec tej osoby, pogłębiła moją tęsknotę.

- Ona już ci nie da spokoju - rzekła matka.

- Panna Świdwińska powiedziała: "Wojna wybuchnie w najodpowiedniejszym momencie, rozwiąże wszystko". Prosiła powtórnie, bym zachował to spotkanie w tajemnicy. Odrzekłem, że Hieronimowi nie powiem, ale ty będziesz o nim wiedziała. "Mam nadzieję, że pana żona będzie wobec Hieronima dyskretna" i nagle dorzuciła słowa, które zdają się potwierdzać twoje przewidywania: "A gdybym zwróciła się do pana jako prawnika o poradę, jak mam postąpić w położeniu, do którego doprowadził mnie Hieronim? Lepiej, by pomagał mi się bronić przed nim jego brat niż ktoś obcy, z poza rodziny" - powiedziała, jakby już czuła zobowiązania wynikające z należenia do niej, po czym wstała z krzesła i nie żegnając się wyszła z kawiarni.

- Co jej odpowiedziałeś, gdy mówiła ci komplementy o twojej odwadze?

- spytała matka.

- "Mnie jaki byłem już nie ma".

- Co przez to rozumiałeś? - wykrzyknęła matka z przestraczem.

- Sam nie wiem, co chciałem powiedzieć.

Rozległ się huk, jeden, drugi, trzeci, niebieskie błyski przedostały się przez okiennice. Jaon pomyślał: "Aha, wojna". Nisko leciał balon i płonął, zajmował całe niebo. Odrywały się od niego płonące strzepy i spadały na okolicę, która też zaczynała płonąć. "Czy już raz tego nie przeżyłem" - myślał we śnie. Obudził go głos ojca:

- Ależ była nocna burza! Jak cudowny dzień z tego się zrobił. Przez otwarte gdzieś drzwi napływało chłodne, pachnące dalekimi deszczami powietrze. Zagdakała kura blisko okna, odpowiedziała jej w głębi podwórza indyczka, jak we francuskim podręczniku, w lekcji "Podwórko na wsi". Jeszcze raz doszedł go głos ojca:

- Jak Jaon wspaniale spał w czasie szalejącej burzy. Nawet nie słyszał dzwonów na pożar.

- Takie są dzieci - powiedziała matka.

Jaon wybiegł do ogrodu, chciał opowiedzieć sen, ale zdał sobie sprawę z tego, że go zapomniał. Ojciec objął Jaona, przyciągnął i matkę, a Jaon przytulił się do nich. Trwali tak w potrójnym uścisku, dotykając się głowami. Każde z nich czuło pozostałych dwoje przy sobie.

Rodzice kazali wystawić stół do ogrodu. Tam jedli śniadanie. Potem matka przyniosła papier listowy, wieczne pióro i ojciec zaczął jej dyktować sprawozdanie z przebiegu parcelacji. Tym rodzice dali mu znać, że jest wolny i może biec bawić się.

Frania i tym razem nie towarzyszyła mu. Gdy zbliżył się do rzeki spostrzegł, że była spieniona i wysoka. U jej źródeł, w górach musiała być wielka ulewa. Jaon, chcąc przechodzić przez most, musiałby zawracać aż pod kościół. Rozebrał się do naga, ubranie zwinął w węzełek, wkładając do środka sandały i spiął paskiem. "Przechodzę rzekę Limpopo, by wrócić do swojego plemienia po czasie gdy polowałem w dalekich stronach" - pomyślał. Wszedł w rzekę. Zapadł się. Woda podmyła mu stopy, podcięła nogi, stracił równowagę i upadł na twarz w wodę. Zachłysnął się, ale nie było to straszne, bo zaraz był na kolanach, tylko to, że jego ubranie było mokre. Wydostał się na przeciwległy brzeg. Idąc nago nie czuł wstydu, tylko tryumf. Znalazłszy się w gąszczu, zaczął łamać gałęzie wierzby. Z nich uplótł opaskę, którą założył sobie wokół bioder. W obozie powitał go ryk podziwu. Zaczęto tańczyć wokół Jaona szalony taniec. Gdy chłopcy się uspokoili, wódz kazał jednemu z nich rozwiesić spodenki i koszulkę Jaona na słońcu i zwrócił się do podwładnych:

- Od jutra jako strój plemienny wasz osiemdziesięcioletni Wielki Wódz nakazuje przepaskę z gałęzi. Ten oto - wskazał na Jaona - zostanie mianowany wielkim szamanem i na znak godności otrzyma pióropusz z piórem, zesłanym wczoraj z nieba. Po namyśle i pytaniach do duchów tej dżungli, ogłaszam: duch matki wielkiego wodza oznajmił mi, że budzimy lęk w bezbarwnych. Nasz śpiew powoduje, że bladzi z trwogi stają się jeszcze bielsi. O, niedoczekanie ich!

- O, niedoczekanie ich - powtórzyło chórem plemię.

- Bezbarwni przynieśli tylko nieszczęście, ból, zdradę - mówił

dalej wódz. - Wypowiemy im wielką wojnę. Wielki szaman wygłosi zaklęcie, od którego nasze plemię będzie wieczne i nikt z nas nie umrze.

- O, niedoczekanie wrogom.

- O, nie doczekanie - powtórzyło plemię.

Nastąpiło pieczenie kielbasy, którą przyniósł wódz.

- To ostatni bawół, włożony do ogniska - powiedział wódz.

Dzień stał się biały od upału. Nawet niektórzy wojownicy pokładli się na ziemi. Zapanowało zmęczenie, apatia jak w prawdziwej Afryce, a potem nadeszła nuda.

Gdy Jaon wracał do domu, rozważał czy nie nadłożyć drogi i nie obejść przez most, ale uznał, że byłoby to okazanie lęku. Nie bał się utonięcia, ale że powtórnie zmoczy swoje rzeczy. Rzucić je przez wodę, było za daleko, mogłyby wpaść i popłynąć z prądem. Przywiązał je paskiem od spodenek pod brodę do głowy i wszedł do rzeki. Poczul silny nurt, wszedł głębiej, na chwilę zawisł na wodzie musiał położyć się na niej, by się utrzymać, zrobił kilka ruchów rękami i zaraz poczul pod kolanami kamienie i żwir. "Płynąłem, płynąłem, płynąłem" - powtarzał sobie, oszalały ze szczęścia.

Frania powiedziała Jaonowi, że rodzice pojechali na pocztę nadać ważny list do banku. W tej samej chwili wrócili rodzice. Matka ucieszyła się zobaczywszy Jaona, ale natychmiast wbiła oczy w jego koszulkę, a potem jej wzrok pobiegł ku sandałom.

- Ładna historia - wykrzyknęła. - Wpadłeś do rzeki? Staplałeś się?

Natychmiast zdejmuj to z siebie - zerwała z niego koszulkę, przybiegła z ręcznikiem i nacierała go gwałtownie.

- Mamo - zapytał - czy u matki wielkiego wodza prosiłaś byśmy przestali się bawić?

- Synu, jak śmiesz tak mówić? Ona powiedziała, że letnicy biorą serio zabawę w ludożerców, uważając, że jest obraźliwa.

- Przepraszam mamu - po chwili dodał. - Mamo, zostałem szamanem. Jaon długo nie mógł usnąć, układając zaklęcie.

Nazajutrz rzeka opadła i Jaon przeszedł zamoczywszy tylko kolana. Trzech wojowników nie przyszło. Wódz odezwał się do pozostałych.

- Nędzni tchórze i zdrajcy opuścili nas. Wrogowie wokoło! Nie zapalimy ognia, a pieśń będziemy nucili cicho. Przetrywamy dzięki zaklęciu, które wypowie szaman.

Włożył Jaonowi pióropusz z czarnym piórem. Jaon, jak na kinderbalu, czuł strach: dziewięciu członków plemienia wbijało w niego wzrok. W tym momencie dał się słyszeć trzask łamanych gałązek i odgłos kroków. Rzucili się do palisady gotowi do walki. Z dala było widać silnie zbudowanego mężczyznę w jasnym garniturze z surowego jedwabiu, w słomkowym kapeluszu i z laską. Był to ojciec Jaona. Rozległ się ryk nienawiści. Ojciec usłyszał go, uśmiechnął się. Podeszedłszy do palisady zdjął kapelusz, uniósł go w górę i zwrócił się do wodza:

- Poznaję w tobie wodza. Czy mógłbyś dać urlop od walki szamanowi? Chcę, by poszedł ze mną na spacer.

Wódz zrobił gest w stronę Jaona, zaznaczając tym, że zdaje się na

niego. Jaon wybiegł za palisadę, zbliżył się do ojca i powiedział:

- Tato, dziś nie mogę. Niektórzy uciekli z obozu. Właśnie mam wygłosić pierwsze zakłęcie.

- To nic nie szkodzi synku - powiedział ojciec wesoło. - Pójdziemy innym razem.

Na pożegnanie z synem lekko uchylił kapelusza, uśmiechnął się i ruszył, potem zatrzymał się i odwrócił. Zobaczywszy, że Jaon stoi i patrzy za nim, jeszcze raz się uśmiechnął, a potem zdecydowanym krokiem zaczął iść przed siebie i szybko zniknął zasłonięty przez wysokie jałowce. Jaon zawrócił do obozowiska.

Nazajutrz zjawił się wuj Rudolf; by zobaczyć się z ojcem Jaona i zapytać o jego sytuację. Siedli na kanapie w saloniku, przy sobie, serdeczni i spokojni.

- Moje wiadomości są przestarzałe, z przed trzech dni - powiedział ojciec. - Gdy wyjeżdżałem decydowało się o wpuszczeniu Rosjan do Polski w razie ataku niemieckiego. Według danych, jakie Warszawie przekazali Francuzi, w dniu kiedy wyjeżdżałem, sowiecki marszałek Woroszyłow orzekł, że to jest "sprawa zasadnicza" i Francuzi się z nim zgadzali. Marszałek Rydz-Śmigły podobno odpowiedział Francuzom: "Z Niemcami ryzykujemy utratę naszej wolności, z Rosjanami utratę naszej duszy". Beck dodał: "Żądają, byśmy podpisali czwarty rozbiór Polski".

- To spowoduje wycofanie się Anglii i Francji? - spytał wuj Rudolf.

- Chyba nie, ale Rosjanie ujawnili swoje niezadowolenie. Trudno wyobrazić sobie jego skutki.

- Co przez to rozumiesz, szwagrze? - spytał wuj.

- To przechodzi moją wyobraźnię - uciał ojciec.

- A gdybyśmy Rosjan wpuścili i starliby się z Niemcami?

- Wcale nie jest powiedziane, że by się starli. Natomiast z terenu, na którym by się znaleźli, nie wycofaliby się.

Jaon szepnął matce:

- Ja idę.

Skinęła głową.

Najpierw zalała go fala radości, że rodzice go mniej pilnują, dali mu wolność, czyli nareszcie jest duży, a potem zdał sobie sprawę, że jest tego inna przyczyna, nieuchwytna, zapowiedź wielkich zmian.

W obozie nie było nikogo.

Gdy Jaon wrócił do domu, rozmowa w saloniku dalej trwała. Wszyscy siedzieli na tych samych miejscach.

- Twój kolezda wyjechał? - szepnęła matka. - Wszyscy wyjeżdżają.

- ...czuję się winny, że mało byłem tego lata z wami - mówił wuj Rudolf.

- Nie miałeś żadnego obowiązku poświęcać nam wakacji.

- Wakacje. To brzmi dla mnie boleśnie, jako człowieka, który nie ma pracy.

- Rudolfie, ty masz poczucie winy, ale nie ma powodów, dla których je mieć powinieneś. Jesteś winien tylko wobec siebie. Dla innych jesteś aż za dobry.

- Wy jesteście dla mnie dobrzy! Jak się wam odwdzięczę? -
wykrzyknął wuj.

Rozległ się strzał z bata i pod ganek podjechała bryczka. Ujrzeni,
że doktorowa wysiada z niej przy pomocy jakiegoś młodego
mężczyzny. Wuj Rudolf skoczył ku drzwiom i zamiast witać
doktorową, wykrzyknął:

- Mój najnowszy przyjaciel, Janek Czyżkowski.

- Przecież to syn pana Czyżkowskiego? Dzięki niemu poznaliśmy się!

- wykrzyknęła śmiejąc się matka Jaona do ojca. - Jaon z tego
powodu istnieje! A ponieważ pan zawdzięcza ojcu życie w sensie
bezpośrednim, więc jesteście z Jaonem braćmi, ale nie rodzonymi,
ani mlecznymi, ani przyrodnymi, ale jak to się nazywa?

Pan Czyżkowski, ogromny i rozrosły, pochylił się i ścisnął z
powagą dłoń Jaona, patrząc mu w oczy, a dopiero potem przedstawił
się jego ojcu.

- Mamy prośbę - powiedziała doktorowa. - Jest jeszcze jeden
przyjaciel pana Rudolfa, którego istnienie się ukrywa, wzgardzany,
którego się nie przyjmuje. Czeką przed bramą i proszą, by pozwolono
mu raz jeden przekroczyć ten próg. Jego pokuta trwa wiele lat.

- Pani go u siebie przyjmuje? - spytała matka.

- Państwo są tylko na wakacjach, przyjęcie go do niczego nie
zobowiązuje, a dzień jest znamienny - rzekła doktorowa robiąc
aluzję do wydarzeń międzynarodowych.

- Wojna będzie miała skutki straszliwe dla nas wszystkich -
powiedziała matka, dając do zrozumienia, że pierwszą zmianę, jaką
przynosi jest konieczność przyjęcia byłego aplikanta adwokackiego.

- Front ustali się, biorąc pod uwagę potęgę Niemiec, za Poznaniem.
Ludzie będą żyli normalnie, jak w czasie pierwszej wojny -
powiedział wuj Rudolf.

Zapadło milczenie.

- Mój przyjaciel Maciuś, którego się nie wstydzę, chce wstąpić do
wojska, by zmasakrować swoją winę - odezwał się wuj Rudolf.

- Proś go - odezwał się kategorycznym tonem ojciec.

Wuj Rudolf wypadł na ganek.

Jaon położył się na kanapie. Trzy razy usypiał i budził się, a
rozmowa trwała. Okna saloniku były otwarte. Pan Maciuś wyszedł
gdzieś i odjechał bryczką doktorowej, a potem wrócił. Przywiózł,
trzymane między palcami dłoni cztery butelki wina.

- Obudziłem Babską. Myślała, że wybuchła wojna.

Jaon usnął. Gdy znów otworzył oczy, pomarańczowe światło świtu
kładało się na twarzach zebranych. Niebo za oknami było jasne.

Zapomniano go wynieść z saloniku. Doktorowa i przyjaciele wuja
Rudolfa chcieli iść. Wuj zatrzymał ich i błagał, by zostali, jakby
bał się, że wraz z ich odejściem wszystko rozpadnie się, że
chwila, czas, który przeżywali skończy się i nigdy nie wróci:
wydawało się, że gotów ich zatrzymać siłą i więzić, by to trwało.

Usiedli. Czas zdawał się zatrzymywać, a wojna oddalać.

- Wszystko będzie, jak było - powiedziała doktorowa. - Nic złego
się nie wydarzy. Nic się nie zmieni.

Wtedy na ganku głucho zadudniły stąpnięcia i rozległo się walenie w

drzwi do sieni.

- Telegram! Telegram! - krzyczał ktoś.

- Wojna? - spytała cicho doktorowa.

- Nie - odrzekł ojciec, który zdążył skoczyć do sieni, odebrać i otworzyć telegram. - Wzywają mnie. - Jedźcie ze mną. Będziemy razem, cokolwiek będzie - powiedział, gdy byli już sami i wyszedł do ogrodu patrzeć na wschodzące słońce. Śledził jego bieg po niebie tak jasnym, że prawie przezroczystym. Tylko jedna chmura, jak porzucone w przestworzach pióro, żeglowała swobodnie. Jaon, półprzytomny zbliżył się do ojca. Ale ojciec go nie dostrzegł.

Nazajutrz Jaon pierwszy raz widział miasto w lecie. Przegrzane mury promieniowały gorącem, okna odbijały światła, z bram cuchnęło, drzewa wydawały się umierać. Trójkątny placyk w śródmieściu ze skwerem w środku, wydawał mu się snem, który ma w Marzeniowie. Dziwne domy - takie bywają tylko we śnie - upewnił się. Gdy to pomyślał, przez ten placyk, jak ze snu, z przeszłości wychodził ku nim pan Łatyński:

- Jeśli pani chce zgromadzić zapasy na wojnę, proszę do tej bramy.

- Zaspali państwo! Przespali państwo wojnę! - krzyczała na całe mieszkanie Frania. Jaon zerwał się. Pobiegł do gabinetu. Na twarzy matki zobaczył ulgę, że go widzi, jakby przez chwilę mógł już zginąć.

- Boże, Boże, co z nami bezbronnymi będzie! - wołała Frania biegając po całym mieszkaniu.

Ojciec nie krępując się Frani wyskoczył spod kołdry. Jego twarz, co uderzyło Jaona, była pogodna, prawie radosna. Wysoki, przenikliwy warkot wwiercał się w uszy. Natężenie pracy motorów było takie, jakiego Jaon nie słyszał. Jaon skoczył ku oknu.

Samoloty prostopadle wbijały się w bezchmurne niebo. Trzy wybuchy prawie nad nimi, nastąpiły jeden po drugim, trzy obłoczki otwały się białe, puszyste i rozwiął je wiatr.

Matka chwyciła ojca za rękę:

- Zrób coś, żeby cofnęli się, niech to się odstanie i będzie jak dawniej. Mężu, powiedz, błagam cię, czy można jeszcze coś zrobić? Czy ty możesz jakoś wpłynąć... na kogoś... na dawnych przyjaciół... Niech dzwonią do Berlina...

Jaon przez sekundę myślał, że potwierdza się jego dzikie, szalone podejrzenie, że jego rodzice są wszechwładnymi władcami świata, którzy ukrywają się pod postacią urzędnika banku i jego żony.

Ciekaw był, czy ojciec cofnie wojnę. A ludzie, którzy już polegli? Czy wstaną, ożyją? Czy pociski, które wybuchły, mogą złożyć się z powrotem i cofnąć do luf? Ale wiedział, że powinien zdusić tę myśl, jako dziecinną i aż przerażającą w swojej głupocie. Ojciec położył rękę na głowę matki:

- Moja kochana - i więcej nic nie powiedział. Włączył radio.

Uroczysty głos mówił: - "Powtarzamy komunikat: Dziś nad ranem

około godziny piątej, wojska niemieckie..."

- Ukrywałam nadzieję, że to manewry - odezwała się matka.

- Mamo, skoro będzie wojna, zakładam szpadę - oznajmił Jaon.

- Synu, zostaw, proszę cię. To carska broń. Mężu, czy możliwe, by biała broń była w tej wojnie w użyciu? - zwróciła się do ojca.

Ojciec nie usłyszał jej słów, dziwnie zamyślony, a po chwili nieoczekiwanie rzekł:

- Nikt z tych, co szykują się do walki nie wie, jaka broń zadecyduje.

Był jak nieobecny. Nieprzytomnie dał znak Frani, by wyszła. Chciał się ubierać. Za chwilę wszedł do dużego pokoju w czesuczym garniturze i jasnym meloniku. W rękę miał laskę. Przymrużył oczy. Patrzył na Jaona i matkę.

- Żono. Wiesz, gdzie idę. Zawsze wiedziałas, że tak zrobię. Więc potwierdź, że pozwalasz.

- Od zawsze znasz moją odpowiedź. Idź, mężu ukochany. Spełnij swój obowiązek, także wobec nas.

Patrzyła nieustraszenie w oczy ojca Jaona. Zawyły syreny. Odezwały się działa, jakby głosem potrąconej rury. W górze pękały szrapnele z trzaskiem podobnym do sztucznych ogni. Gołębie, jak szalone przelatowały z jednej strony podwórka na drugą.

- Alarm! Alarm! - krzyczał ktoś histerycznie na podwórzu.

Zaczęli gorączkowo pakować do neseseru rzeczy ojca. On sam przyniósł szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia, żyletki i pędzel. Matka chciała wrzucić bieliznę, ale ojciec wyrwał ją jej z ręki i cisnął niecierpliwie pod ścianę:

- W wojsku wszystko dostanę. Gdzie masz pistolet, ciągle go chowasz przede mną, mów, gdzie jest - był coraz bardziej gniewny i niecierpliwym, jakby złościł się na nich za to, że ich opuszcza.

Matka pobiegła w głąb mieszkania i za chwilę wróciła z parabellum.

Ojciec nie schował go do kieszeni, ale włożył do neseseru. Jaon patrzył na te przedmioty i każdy żegnał wzrokiem.

- Postaram się jeszcze wrócić, z wami pożegnać - odezwał się ojciec. - Ale gdybym od razu poszedł, wiedzcie, że musiałem iść. Rzuciłbym się i tak na Niemców z gołymi rękami, bo inaczej oszalałbym. Kocham każde z was dwojga niezmiernie, niewypowiedzenie, nieskończenie. Dziwię się sobie, że jako mężczyzna potrafię tak czuć. Nie wolno jednak rozdzierać sobie serc - skończył.

I ojciec z neseserem w ręce, laską w drugiej, w jasnym ubraniu, wyszedł jak na spacer. Jaonowi przypomniało się, że ojciec był w tym samym garniturze, gdy Jaon nie poszedł z nim z obozu dzikich Murzynów. Ojciec go o to prosił, a on odmówił i nigdy się nie dowiedział, co ojciec chciał mu powiedzieć. Ojciec uśmiechał się wtedy tak pogodnie, by nie zostawić wspomnienia, że stało się coś złego, ale w sposobie, w jaki odchodził, było coś tak podobnego, jakby wtedy wiedział, co zdarzy się dzisiaj. Uśmiechali się do siebie z matką, by okazać sobie, jak są dzielni.

Jaon spostrzegł, że dotąd, gdy nie było ojca, jego nieobecność była inna, teraz po jego wyjściu była wyczuwalna, całe mieszkanie

emanowało pustką, było za wielkie i straszne.

Zajrzała Frania, wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale cofnęła się.

- Franiu, o co chodzi? - zawołała matka. Chciała widać, by ktoś jeszcze z nimi był.

Frانيا wróciła na wołanie:

- Słucham pani? - spytała grzecznie.

- Nie, nic, myślałam, że ty czegoś chcesz - odezwała się matka.

- Nie, proszę pani - powiedziała Frania z akcentem sztucznej grzeczności. Ale pokręciła głową i spytała: - Nie zwolni mnie pani jeśli coś powiem?

- Zależy co, Franiu.

- Niech pani nie pozwoli panu iść do wojska - i nieoczekiwanie, pierwszy raz od kiedy tu była, podniosła głos. - Jak tak można?

- Niech się Frania uspokoi.

- Pani wyrzuci mnie, że służąca wtrąca się w państwa sprawy, ale nie byłabym służącą, gdyby mój ojciec był żył. Pana mi nie żal, skoro tak robi. Ale dziecko? Pójdzie na poniewierkę, zobaczy pani.

- Niech Frania przestanie! - krzyknęła matka.

Jaon pomyślał, jak głupia jest Frania. Jej ojciec mógł sobie umierać, ale nie ojciec Jaona.

- Nie zna pani ludzi, dopiero pani pozna - powiedziała Frania i ostrożnie, delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Zostali sami i zaczęła się najdziwniejsza godzina w życiu Jaona.

Matka na tyle widziała w nim dorosłego, że nie pocieszała go ani słowem, a może zapomniała o nim. Nie odezwała się do niego. Chciał zapytać matkę, czy wolno będzie mu się bawić, ale nie śmiał, bo czuł, że byłoby to przez matkę źle przyjęte. Usłyszeli, że ktoś otwiera drzwi wejściowe. Rzucili się do przedpokoju. Zderzyli się z ojcem.

- Co się stało? - spytała matka, widząc w jego ręku neseser.

- Nic. Nic. Nic - krzyknął ojciec nie swoim głosem. - Przed Rejonową Komendą Uzupelnień kilkutyśieczny tłum. Przedarłem się do drzwi.

Nie wpuszczono mnie - twarz ojca przybrała nieznany Jaonowi wyraz rozpaczny. - Nie przyjmują nikogo. Mężczyźni tam stojący krzyczeli na mnie: "W pana wieku? Dwadzieścia lat za późno".

- Oddaj mi broń - odezwała się matka. Co czuła? Rozpaczała razem z ojcem, czy ukrywała radość?

- Sądzisz, że w obliczu wroga, nie zabiwszy ani jednego, zaatakowałbym siebie? - spytał ojciec.

Oddał matce pistolet. Matka trzymała go za lufę, rękojeścią w dół.

- Wojska polskie cofają się na całej linii. Nie tracę nadziei, ani nie jestem zrozpaczony. Skoro tu mnie nie chcą, przebiję się do mojego pułku.

- Sam wiesz, że już nie znajdziesz go na miejscu - odrzekła matka. Ojciec zaczął chodzić po pokoju.

Rano Jaon obudził się z myślą: "Już drugi dzień wojny". Był dumny, że przeżywa tak ważne wydarzenie i to go równa z dorosłymi.

Uderzyła go cisza, podobna do wczorajszej. Tylko gdzieś wysoko było słychać warkot samolotu. Nie strzelano, widać to był polski

samolot. W dużym pokoju nie było matki. Siedziała w kuchni z Franią, co było dziwne, bo od odejścia Maniuni, bywała tam rzadko. Ojca nie było, choć godzina okazała się wczesna. Frania podała mu śniadanie w dużym pokoju i wróciła do kuchni. Jaon sam jadł śniadanie, gdy usłyszał głosy w pierwszym przedpokoju:

- Byłem w Dowództwie Okręgu Korpusu - mówił ojciec. - Poniżyłem się, pokazałem wartownikowi książeczkę wojskową z przebiegiem służby w Legionach i POW, nawet legitymację Krzyża Walecznych. Wtedy mnie wpuścił. Inny wartownik odprowadził mnie do oficera mobilizacyjnego. Okazało się, że jest to młodziutki porucznik. Zaczął krzyczeć: - "Pan nie tylko nie przyczynia się do zwycięstwa, ale szkodzi mu, przeszkadzając nam" - ojciec zamilkł, po czym bezradnie wyjąkał. - Co robić?

- Szukaj protekcji u kolegów z Legionów - powiedziała matka.

- To będzie wbrew regulaminowi.

- Zadzwoń do generała Czumy. Gdy rok temu był w banku mówił, że chce cię mieć przy sobie.

- Boże, jakie to proste! - wykrzyknął ojciec.

Najbliższy telefon był w sklepiku po drugiej stronie ulicy. Ojciec wypadł nie biorąc kapelusza. Wrócił po pewnym czasie, pocieszony i w lepszym nastroju.

- Czumy nie było, ale rozmawiałem z jego adiutantem. Kazał mi dzwonić co kilka godzin, wtedy będę miał szansę trafienia na generała.

Jaona uderzyło, że ojciec go nie dostrzega, a matka rozmawia tylko na temat wojska. Przestał ich obchodzić bank, nie wspominali o panu Woynickim. Ojciec ścisnął w rękę karteluszki z telefonem generała i chodził niespokojnie po gabinecie.

- Mamo, mogę się bawić? - spytał Jaon.

- Ależ Jaoniku, wyjmij swoje wojsko i zwyczajnie się baw - wykrzyknęła matka, jakby dziś jego zabawa nabierała wielkiego znaczenia. Wrócił do swojego pokoju, zamiast wziąć zabawkę, położył się na chwilę na łóżku, poczuł, że usypia. Spał, ale wszystko słyszał: ryk silników samolotowych, wystrzały zenitówek, gwizd bomb, zdawał sobie sprawę, że zagląda matka, wreszcie usłyszał z wielkiego pokoju słowa matki:

- Jaon przespał nalot.

Zerwał się i wybiegł do wielkiego pokoju. Było późne popołudnie. Okazało się, że ojciec zdążył wrócić. Urzędowanie w banku było zawieszane. Liczono się z ewakuacją na wschód. Wojsko polskie cofało się na całej linii, miejscami w nieładzie. Czumy ciągle nie było. Adiutant zmienił ton wobec ojca.

- Rano jeszcze mogło się wydawać, że jest pokój, tak reagował na moje słowa. A przed chwilą powiedział, bym nie blokował telefonu i trzasnęła słuchawką - w głosie ojca przebijała rozpacz.

Matka kazała Frani przynieść radio z gabinetu. Nigdy nie używane, zapomniane, teraz bez przerwy świeciło zielonkawym światłem magicznego oka, jakby ostrzegało. Nadawano komunikaty i piosenki pogodne, radosne i przez to niepokojące. Jaon rozłożył atlas.

Szukał miejscowości wymienianych w komunikatach. Ale te były zbyt

małe i nie oznaczone na mapie.

Ojciec zaczął krążyć po dużym pokoju wokół ścian, by w ten sposób przedłużyć sobie drogę. Nie zwracał uwagi na nic, co się działo, tylko gdy przerywano muzykę i zaczynał się komunikat, zatrzymywał się i słuchał. Okna były szeroko otwarte. Niebo bez chmur stawało się przezroczyście granatowe. Napływał zapach spalin, schnących liści, perfum. Jaon wtedy zrozumiał, że może ostatni raz czuje ten zapach, którego sobie nie uświadamiał i nie znał jego ceny, zapach przedwojenny, i że ze wszystkim co było, trzeba się rozstać.

Nazajutrz Jaona obudziła rozmowa rodziców:

- Mężu, czy pozwolisz byśmy żyli normalnie, jakby wojny nie było? Chcę iść z Jaonem na spacer.

- Gdzie?

- Do Łazienek.

- Kochana, tam rozstawiono baterię przeciwlotniczą. Tak, pozwalam wam, życie normalnie, bo to potrwa bardzo niedługo.

Sklepy, gdy szli przez Marszałkowską, były otwarte, dzień pogodny, piękny i smutny. Na tarasie kawiarni siedzieli ludzie, przyglądali się przechodzącym i pili kawę. Młode dziewczyny wycinały murawę skweru. Zaczynały kopać rów przeciwlotniczy. Żebrak, którego Jaon nienawidził był na swoim miejscu.

- Może jednak mu coś damy? - spytała matka.

- Nie, mamu, jemu nie, błagam - powiedział Jaon.

Jaon zobaczył wojskowych w połowych mundurach. Ich zieleń była musztardowa, brunatna. Jaon miał taką kredkę, ale nigdy nią nie kolorował żołnierzy na swoich rysunkach. Gdyby ojciec dostał się do armii, z jaką dumą Jaon szedłby z nim, umundurowanym. Weszli do sklepiku, skąd telefonował ojciec. Myślał, że matka ma nadzieję go tu zastać. Jaon spojrzał na aparat, słuchawka wisiała na widełkach. Półki były puste. Sprzedawano tylko czekoladę. Matka niezdecydowanie poprosiła o tabliczkę czekolady. Sprzedawca pochylił się i powiedział cicho:

- Niech pani bierze dziesięć. Jeśli okrążą Warszawę będzie głód.

- Proszę nie siać strachu. Nie wolno robić zapasów - powiedziała matka.

Sprzedawca opuścił wzrok. Podał jedną czekoladę, a matka schowała ją do torebki. Wyszli ze sklepu i wtedy rozległ się za nimi głos:

- Ale czekolada nie jest darmo.

Matka speszona cofnęła się, położyła dwa złote na ladzie.

- Ach Jaoniku, jesteśmy skazani na magazynowanie tortów i czekolad.

Do tych słów trwał spokój. Od tej chwili dla Jaona nastąpiła granica. Rozległy się wycia syren. Matka zawróciła w stronę domu.

Ciągnęła go za sobą. To biegła, to szła długimi krokami.

Przechodnie uciekali do bram. Zamiast do piwnicy, matka wchodziła z Jaonem po schodach. Frania stała w drzwiach.

- Pan poszedł pani szukać - powiedziała.

Jej słowa zagłuszył świst, przeciągły i narastający. Przychyłili się. Frania zatkała uszy i w tym samym momencie matka szarpnęła Jaona, pchnęła go na podłogę, przytrzymując głowę twarzą w dół i

krzyknęła przeraźliwie:

- Franiu, kładź się.

Jaon czuł zapach pasty do podłogi. Dom zachybotał się, podłoga poszła w dół, w górę, a ściany poruszyły się na oczach Jaona. Znaleźli się w środku potwornego huk. Szarpnęło oknami i drzwiami, jakby chciało je wyrwać z futryn. Przez szczeliny uderzył biały pył. Frania zerwała się:

- Uciekamy. Dom się pali - i chciała się rzucić ku drzwiom ale podłoga znów zakotysała, Frania zamachała rękami w powietrzu i upadła.

Matka wołała:

- "Kto się w opiekę odda panu swemu

A całym sercem szczerze ufa jemu

Śmieie rzec może: mam obrońcę Boga

Nie przyjdzie na cię żadna trwoga".

Obcość słów wykrzykiwanych przez matkę czyniła Jaonowi tę chwilę jeszcze bardziej straszną, jakby w nich była zaklęta moc, groźna i równie silna, jak siła bomb. Dom znów zadygotał, ale słabiej. Jak bywało w czasie burzy w Marzeniowie, gdy po strasznym, bliskim piorunie grzmoty zaczynały się oddalać, wstąpiła w nich nadzieja. Podnieśli głowy, patrzyli na siebie, przysypanych pyłem. Więc Bóg usłyszał matkę i oddalił samoloty? Jak w czasach pokoju rozległ się dzwonek u drzwi. Frania pobiegła otworzyć. Wszedł ojciec, poblady:

- Widziałem lecące bomby, słup kurzu pod niebo. Nie wiedziałem, gdzie trafiło. Oddałem siebie za was, a Bóg nie tylko was ocalił, ale nie przyjął mojej ofiary, pozwolił mi żyć.

- Mężu, czy dobrze było ofiarowywać siebie? Nie wolno prowadzić z Bogiem układów. Można Go rozgniewać.

- Pod szóstym wszyscy zginęli - odrzekł ojciec.

- To dom, gdzie jest sklepik, z którego dzwoniłeś do generała Czumy? - wykrzyknęła matka.

- Gdzie był sklepik; tego domu już nie ma. Gdyby nie adiutant, który zakazał mi telefonować do generała, właśnie tam byłbym i próbowałbym dodzwonić się. Pójdę, będę pomagał przy rozkopywaniu ruiny.

- Tato, pozwól mi iść ze sobą - powiedział Jaon.

- Nawet mowy nie ma - powiedziała matka.

"Więc - myślał Jaon - Bóg użył adiutanta? Oczywiście adiutant o tym nie wiedział. Ale jeszcze przed modlitwą matki i propozycją naszego życia za życie ojca, przerwał połączenie". I Jaon, jak w czasach gdy poznawał ułamki, usiłował zrozumieć wydarzenia ostatnich trzech godzin. "Więc sprzedawca czekolady zginął? Bóg wie wszystko, nim się cokolwiek zdarzy, więc nie istnieje dla niego czas, który przesłania nam wszystko. Bóg wiedział przedtem o modlitwie matki, wysłuchał jej nim matka ją wypowiedziała. A może to Bóg kazał jej się modlić do Siebie, by móc ją wysłuchać? Kazał nam wyjść ze sklepu". Przyszła mu myśl: to, czy przeżyję wojnę z matką i ojcem, jest już zadecydowane i Bóg żartuje sobie tylko, bawi się nimi, nie mówiąc im, co z nimi zrobi. Jak można wydrzeć

tę tajemnicę? I Jaon nagle, nie wiadomo skąd, nie rozumiejąc, co się z nim dzieje, dowiedział się, że przeżyje. Coś niedosłyszalnego powiedziało mu: "przeżyjesz dzięki pewności, że przeżyjesz". Poczul, że doszedł do granic rozumienia i może zwariować, a jednak nie mógł odpędzić myśli, że jest ciekaw, czy to się sprawdzi.

Od okna usłyszeli chóralny śpiew. Po strasznej klęsce mieszkańców w domu nr 6, wyglądało to na pieśń tryumfu, szczęście, że ich dom ocalał. Na wszystkich balkonach i w oknach stali sąsiedzi i śpiewali. Jaon zorientował się, że śpiewają po francusku.

Oszaleli? - pomyślał. - Jakie dziwne, że tylu ludzi w kamienicy zna francuski.

"Allons enfants de la patrie"

Jaon wypadł na balkon i zaczął wyrzaskiwać słowa francuskiego hymnu. Pani Bohusz byłaby z niego dumna. Z sąsiedniego balkonu machano mu rękami, przesyłano całusy. Ktoś zerwał kwiat rosnący w skrzynce i rzucił Jaonowi pod nogi.

- Jesteśmy ocaleni! Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę - wrzeszczał z sąsiedniego balkonu do Jaona pan, którego dotąd Jaon nie widział, poważny, siwowłosy, traktując Jaona jak dorosłego.

W bramie domu ukazał się mężczyzna, biały od kurzu:

- Hej, ludzie, chodźcie pomagać odkopywać dom naprzeciwko. Tam są żywi. Słyszą jak wołają.

Wieczorem łóżko Jaona przesunięto w kąt między pokojem a łazienką, który rodzice uznali za najbezpieczniejszy. Ledwie zasnął, dom zaczął drżeć. Jaon rozbudzał się, gdy strzelały działa przeciwlotnicze. W pewnej chwili zobaczył, że pochyla się nad nim ojciec, szepcząc do matki:

- Jakie to szczęście, że Jaon śpi głęboko. Nic się nie boi w czasie takiej nawały ognia.

Jaon usłyszał to, poczul, że dopiero głęboko zasypia, pełen dumy. Mignął mu krótki sen: bóg Atlas, brodaty i potężny, poślubia Kariatydę. Są na zawsze rozdzieleni. "Gdybym podszedł do Kariatydy, dom runie" - mówił Atlas. - "To ja cię zastąpię" - powiedział Jaon i wszedł na jego miejsce. Ściana opierająca się na jego ramieniu zachwiała się. Atlas i Kariatyda zniknęli w kurzawie. "Muszę spać, muszę spać" - powtarzał sobie Jaon czując, że dom drży i kołysze się.

Spał długo, jak w Marzeniowie. Może skojarzenie z burzą, wakacjami, zmęczeniem spowodowało, że obudził się wypoczęty i szczęśliwy. Radio stojące na podłodze w dużym pokoju nadawało przeboje lat trzydziestych. Jaon wsłuchując się w słowa piosenek zrozumiał, że za trzy miesiące zacznie się rok czterdziesty.

Ogarnął go żal za tymi latami, jakby to były jego najlepsze czasy. Ojciec wchodził i wychodził. Szedł do banku, by telefonować, wracał, siedział, patrząc przed siebie. Wreszcie odezwał się do matki:

- Jeszcze raz odważyłem się zadzwonić do generała Czumy. Odebrał telefon inny adiutant. Dodało mi to otuchy, ale usłyszałem: -

"Generała nie ma pod tym numerem.

Zmienił miejsce postoju." - To koniec... - powiedział zrozpaczonym głosem ojciec.

- Mężu, przepraszam cię; nie mówisz, co u Woynickich.

- Nie mów mi o Woynickich - pierwszy raz Jaon był świadkiem, by ojciec krzyknął na matkę, potem ojciec opanował się. - Woynicki zostawił Nikę z matką na lotnisku pod Warszawą, by nie były narażone na bombardowanie. Teraz tego żałuje, bo z tamtej strony nadejdą Niemcy. Przygotował dla mnie, wraz z rodziną, rozkaz ewakuacyjny. Urzędowania nie ma, ale Woynicki jest.

- Czy dobrze rozumiem, że jest przeciwny twojemu wstąpieniu do wojska?

- Tak. O to zerwaliśmy przed godziną. Odmówiłem rozkazu ewakuacyjnego.

- Z Woynickim zerwać tobie nie wypada. Za wiele mu zawdzięczasz.

- Mój Boże. Masz rację, jak ja was zostawię bez żadnej opieki? Na Hieronima nie ma co liczyć, a Rudolf daleko.

- Idź, przeproś. Zresztą nie. Nie rozdzielajmy się. Od rana nie było nalotu. Lada chwila nadlecą. Zaraz się rozlegną te okropne, tajemnicze słowa: - "Uwaga, uwaga, nadchodzi".

- Nie ma tu żadnej tajemnicy - powiedział ojciec. - To są zamiary lotnicze. Jednak pójdę.

I znowu wyszedł. Prawie natychmiast potem zadzwoniono do drzwi; Frania rzuciła się do przedpokoju, jak w nadziei, że ojciec Jaona powróci i zostanie. Był to sąsiad, pan Nakwaski, którego widywali na schodach i podwórku, ale w tym domu nie było zwyczaju rozmawiać z sąsiadami. Nakwaski na głowie miał hełm strażacki. Matka uśmiechnęła się na ten widok.

- Jestem komendantem obrony przeciwlotniczej naszego domu. W tej chwili przebijamy przejście z piwnic naszego domu do piwnic sąsiedniego domu, którego konstrukcja jest żelbetonowa. Zgodzono się nas przyjąć i wydzielono miejsca. W naszych podziemiach prosimy się nie chronić, tylko szybko przechodzić korytarzem do tego przejścia. Naszemu domowi nie możemy ufać. Od tonowej bomby rozpadnie się, jak domek z kart.

- Dużo ludzi zginęło naprzeciw?

- Na szczęście wielu nie zdążyło wrócić z wakacji.

Matka rozejrzała się trwożnie. Więc ściany ich mieszkania, które tak kochali, były tylko kartkami papieru?

- Dobrze byłoby przenieść się na stałe na dół - powiedział Nakwaski. - Obserwacje pierwszych dni wskazują, że wiele osób nim zbierze się i zejdzie, nie zdąży do schronu, i ginie na schodach.

- Męża nie ma. Bez niego nie mogę podjąć takiej decyzji - odrzekła matka.

Nakwaski wzruszył ramionami i odszedł.

Frانيا odezwała się nieśmiało:

- Może zająć tam jakie lepsze miejsce i znieść trochę rzeczy, srebro, dywany, obrazy?

- Franiu, niech Frania przestanie - powiedziała matka. W ten sposób wpadniemy w panikę.

Zaczęło się oczekiwanie na ojca. Gdzieś w innej części miasta

słysząc było artylerię przeciwlotniczą, ale alarmu nie ogłoszono. Skądś, z daleka doszedł przez otwarte okna zapach spalenizny.

- Pożary - szepnęła trwożnie matka.

Ojciec wpadł do mieszkania jak nieprzytomny, nie widząc ich i krzycząc:

- Gdzie nesesery? Wszystko dalej jest spakowane?

- Mężu, co się stało? - zagroziła mu drogę matka.

Odsunął ją i porywał wszystko, co wpadło mu w ręce i wrzucał do neseseru. Po chwili opanował się i uspokoił.

- Pobiegłem do Woynickiego, by go jeszcze złapać i przeprosić. A tu w holu na dole, w kasach, słoma i wojsko leży pokotem. Formują jednostkę z miejscem postoju w naszym banku. Dopadłem dowódcy, on akurat odprawił gońca i trzymał papier, który otrzymał. Podbiegłem do niego błagać, by mnie przyjął. - "Mam stu ludzi za dużo - odparł. - Nie mam czasu. Czytam rozkaz głównodowodzącego, generała Czumy". - Byłem gotów ukłęknąć przed nim, ale wyrwałem mu rozkaz z ręki, za co mógł mnie aresztować. Zdażyłem zobaczyć podpis generała i bezpośredni numer miejskiego telefonu, który podawał dowódcom jednostek. Osiem, zero, siedem, pięć, zero, siedem. Te cyfry były jak hasło do zamku cyfrowego. Dotąd Czumy nie mogłem złapać, bo został głównodowodzącym zgrupowania, które będzie bronić Warszawy. Adiutanci nie mogli mi tego powiedzieć. W jednej sekundzie byłem na górze. W moim pokoju też wojsko. Zmęczeni, cofali się spod Łodzi. Budzę ich, porywam telefon. Nakręcam. Nie do wiary. Słyszę głos: - "Czuma, słucham". - "Tu porucznik rezerwy - wymieniam nazwisko - błagam o przyjęcie do wojska". Chwila ciszy. - "Podpułkownik Jamontt - odezwał się generał do kogoś, kto tam był - macie tu oficera do patrolów na północny wschód" i zaraz odezwał się podpułkownik Jamontt. Za godzinę mam się stawić u niego w sztabie.

Ojciec przyjrzał się Jaonowi, zmuszając się do uwagi i na chwilę jego pośpiech znikł.

- Bądź dzielny. Byłem dumny z ciebie, że spałeś w czasie bombardowania. Opiekuj się matką - powiedział do Jaona. -

Najmilsza, będę za wami tęsknił.

- Ale przecież będziesz niedaleko?

- Tylko za mostem.

- Mamy przenieść się do piwnic?

- Tak - odrzekł ojciec.

- Przysięgnij mi, że nic ci się nie stanie - powiedziała matka.

- Dziecko kochane - powiedział ojciec do matki i pocałował ją w czoło, a potem w usta. - Wojna szybko się rozstrzygnie.

Frania wybiegła do przedpokoju. Położył jej rękę na głowie ojcowskim gestem. I z neseserem w ręce zbiegł ze schodów. Wypadli na balkon. Na podwórku widać o nich zapomnieli, ale w chwili gdy wkraczał w bramę, odwrócił się i pomachał im radośnie. Dozorca Szymański wyjrzał z bramy i zasłonił ojca, Jaon stracił chwilę, gdy mógł jeszcze widzieć ojca. Jednocześnie zaszło słońce, przykryła je mgła z dymami pożarów.

Żal im było wychodzić, wszystko, nawet krzesła, wydawały się

kochane. Boże, czy to jeszcze będzie, gdy wrócą? Jakby zdradzali ten dom i wydawali go na pastwę burzących bomb i płomieni, jakby bez nich stawał się bezbronny wobec niebezpieczeństwa.

Schody do piwnicy były wąskie, kręte, szło się, jak w głąb przepaści. Pierwszy zstępował w ciemność Jaon ze świecą w jednym ręku, a paczką książek w drugim, za nim matka z walizką z najcenniejszymi rzeczami, na końcu Frania ze stosem pościeli. Pod ziemią korytarz, miękki od pyłu węglowego, wydawał się nie mieć końca. Załamywał się, zakręcał, wydawało się, że zbłądzili. Ich dom był ogromny. Zatrzymali się. Matka wysłała Franię naprzód. Po chwili z daleka dało się słyszeć jej wołanie:

- Tu, tu, proszę pani!

Otwór w murze był okrągły, niewielki, nisko. Trzeba było się schylić. Za nim korytarz był wyższy, sklepiony. W głębi błyskało światło. Piwnice nie miały tu drzwi tylko drewniane kraty, przez które wszystko było widać. W każdej, przy świetle świec, siedzieli ludzie, całymi rodzinami. Każda rodzina robiła co innego.

Przyglądali się nowym, ktoś zawołał: - "Dzień dobry, witamy".

Matka Jaona odpowiedziała życzliwym gestem. Wybiegł przeciw nim pan Nakwaski. Zaaferowany, przejęty, prowadził ich w boczny korytarz.

- Została nam tylko ta piwnica - powiedział. - Należy do starszych państwa, którzy mieszkają na dziewiątym piętrze, od chwili gdy unieruchomiliśmy windy, nie chcą schodzić do schronu. Wychodzą na taras i przez lornetkę obserwują walki powietrzne. Gdy Polacy strąca Niemca, biją brawo. Zgromadzili na wypadek wojny wielką ilość opału - otworzył kratę piwnicy - i dla państwa zostało mało miejsca.

Była tu kozetka z podartym obiciem, staroświeckie łoże, zakurzone stoliczki, krzesła obite wytartym pluszem. Frania stanęła z nieskazitelnie białą, nakrochmaloną i świeżo obleczoną pościelą, wobec góry skrzącego się czernią węgla. Nie miała odwagi poruszyć się. Okienko u góry było zapchane workiem z piaskiem. Gdy pan Nakwaski odszedł, zrobiło się ciemno.

- Przepraszam - powiedziała Frania. - Znalazłam tylko świece nagrobkowe. Nie przyniosłam, żeby nie było złej wróżby.

- Biegnij niemądra - powiedziała matka Jaona. - Zamiast świecić mojej, ukochanej matce, czy biednej siostrze będą nam rozświećlały mrok.

W świetle cmentarnego znicza Jaon otworzył pierwszy tom "Trylogii" Sienkiewicza. Żołnierze ołowiani byli tu śmieszni. Ledwie rzucił okiem na pierwsze słowa, wydały mu się piękne i tajemnicze:

..."Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i na ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia..."

- czytał i poczuł, że rok który przeżywa jest również groźny i od dawna coś zapowiadało nadzwyczajne wydarzenia: czy to trwający całe miesiące upał, susza, czy może obrzędy Ryszarda przygotowywały go na wojnę. Kropla stearyny padła na nieskazitelną kartkę książki. "Czy zdążę ją przeczytać?" - myślał Jaon, bo przyniósł do piwnicy sześć grubych tomów oprawionych w płótno. Od

tej chwili Jaon pograżył się w lekturze. Detonacje dochodziły tu słabiej, czasem piwnice drżały i przygasały świece. Nigdy nie było pewności, czy jest dzień, czy noc. Wstrząsy strącały pył węgla na ich pościel. Z wyrzuconych przez właścicieli mebli matka i Frania stworzyły coś, co nazwały salonem.

Co kilka kartek przerywał lekturę. Nadśluchował, czy nie usłyszy na betonie korytarza trzeszczenia gwoździ żołnierskich butów, czy nie idzie jego ojciec. Rzucał książkę i biegł korytarzem aż do granicy z ich domem, na spotkanie ojca. Wydawało mu się, że w ten sposób przywoła go. Za wybity otwór matka zakazała mu wychodzić. Biegł z powrotem, wpadając na mieszkańców piwnic. Jaonowi wydało się, że w obu domach mieszkają prawie sami bezdzietni ludzie. Dzieci było tu mało. Nie wychodziły na korytarz.

Frانيا raz na dzień szła na górę, gotowała obiad z jednego dania.

Matka bała się o nią:

- Czy dobrze robię wysyłając ją na górę? Odpowiadam za jej życie - pytała Jaona.

- Ale przed kim mam - pytał Jaon. - Przecież mówiłaś, że nie ma nikogo na świecie.

- Synu, synu - pokiwała głową matka.

Nie wiedzieli ile minęło dni: trzy, cztery, czy pięć, gdy usłyszeli, że na początku korytarza ktoś wykrzykuje ich nazwisko:

- "Czy tu są tacy państwo?"

- Ojciec - wrzasnął Jaon i rzucił się korytarzem, zobaczywszy kogoś podobnego do ojca, wzrostem i postawą.

Ale to był stryj Hieronim. Nie przywitawszy się z Jaonem, kazał się prowadzić do matki. Jaon przeraził się, że coś wie o ojcu.

Stryj ledwie ją zobaczył, zawołał:

- Nie było u was panny Świdwińskiej?

Matka pokręciła głową:

- Co ty pleciesz nieszczęśniku?

- Podałem jej wasz adres, byście w razie nieszczęścia ją ratowali.

Byłem teraz u niej. Zamknięte. Myślałem, że schroniła się u was.

Pewnie gdzieś zginęła na ulicy, zmiażdżona pod gruzem. Nie wiecie

co się dzieje. Naokoło ruiny i pożary. Na rozkaz podany przez

radio, by wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni opuścili

Warszawę, wyszedłem. Nie da się opisać, co przeżyłem, ciągle

bombardowanie, nie doszedłem do Mińska i postanowiłem wrócić.

Przebijałem się sam jeden pod prąd setek tysięcy. Potracany,

przewracany, nawet bity. Myślałem, że oszaleję. Ta masa ciągle

porywała mnie i znosiła z powrotem, musiałem rozpychać się,

walczyć. Wreszcie aresztowano mnie jako szpiega idącego w stronę

Niemców. Już mnie prowadzili na rozstrzelanie, gdy oficer zajrzał

do moich papierów i spytał, czy mam brata Józefa. To mnie ocaliło

- nagle stryj rozejrzał się. - A gdzie on?

- Walczy - odrzekła matka.

- Nie pochwalam jego decyzji. Idę dalej jej szukać - powiedział

stryj. - Jeśliby przyszła, błagam was, zatrzymajcie ją. Niech

czeka na mnie.

Jaon zapragnął, by panna Świdwińska przyszła i była z nimi. Ciekaw

był, jak wygląda, czy jest tak piękna, jak sobie ją wyobrażał.

Chciał ratować ją, gdy piwnice zaczęły się walić.

Do piwnic przybyło ludzi. Tylko do nich nie można było nikogo dokwaterować, tak mało było miejsca z powodu węgla. Przynoszono też meble i stawiano je w korytarzu, mimo zakazu pana Nakwaskiego, który krzyczał:

- W razie zburzenia domu nad nami i ewakuacji będą tarasowały drogę.

Ale pani, która przyniosła cztery fotele zwróciła mu uwagę, że pochodzą z późnego renesansu i są prawie tak cenne jak ludzie. Jaonowi pozwoliła na nich siadać. Tu niedaleko przebitego otworu Jaon czekał na ojca i nad słuchiwał kroków od ich domu. Dlaczego nie zjawia się? Gdzie walczy? Czy nosi hełm? Jakich ma ludzi? Czy strzelał już do Niemców? Czy zabił Niemca? Czy rozkazał uczynić to innym? Czy przypiął sobie baretkę Krzyża Walecznych na polowym mundurze? Matka nie odpowie Jaonowi na żadne z tych pytań. Nie zna się na wojsku.

W nocy gwałtowny powiew uderzył gwałtownie w okno piwnicy, zasypał ich pyłem węglowym. Potworny huk i wstrząs, zda się od dołu, jakby runęło wszystko wokół, wyrwał ich ze snu. W ciemnościach widzieli, że piwnica jeszcze istnieje. Do czarnego pyłu dołączył się biały, walący się z korytarza. Krzyki przerażenia, dobiegające ich z sąsiednich piwnic, bardziej dojmujące niż krzyki bólu, przstraszyły ich. Frania poszukała ręki matki Jaona i ścisnęła ją. Powinni gdzieś uciekać, ale nie ruszali się. Bali się zrobić kroku.

- To chyba nasz dom? - szeptała matka. - "Kto się w opiekę odda panu swemu, a całym sercem szczerze ufa jemu..." - zaczęła się modlić.

W sąsiedniej piwnicy ktoś usłyszał te słowa, podchwycili je i w ciemności, huku, ten jęk, błaganie szło od piwnicy do piwnicy, aż wielki chór setek osób potężniał i rósł, niosąc się przez korytarze tak, że wydawał się równie potężny jak wybuch. Jaon też wykrzykiwał te niezrozumiałe i pełne mocy słowa, chcąc by jeszcze wzrosła siła modlitwy. Rozległy się wołania:

- Uderzyła w środek podwórka. Cud.

Teraz dopiero Frania zaczęła rozpaczać nad bielizną zasypaną przez węgiel. Nowe krzyki rozległy się w korytarzu, po chwili objawiła się im cudowna prawda:

- Francuzi wraz z brytyjskim kontyngentem posiłków, który przepłynął kanał, uderzyli z zachodu na Niemcy. Zagon czołgów przebił się do Moguncji i zdąża w kierunku Pragi, by rozciąć Niemcy na połowę. Niemieckie dywizje opuszczają front polski. Nasze wojska odzyskały inicjatywę na przedpolach Warszawy. Po nocy tryumfu, w czasie której nikt nie spał, ranne bombardowanie przespał nie tylko Jaon, ale i jego matka. Frania, jak opowiadała potem, czuwała nad ich snem. Gdyby zaczęło się walić miała ich budzić. Gdy po myciu w małej miedniczce wyszli na korytarz, wszyscy unikali ich wzroku, jakby matka i Jaon coś zawinili. Niektórzy mieli miny zrozpaczone. Poranne komunikaty

wojenne nie potwierdziły wieczornej wieści. Na froncie zachodnim nic się nie działo, a wojska niemieckie w wielu miejscach przekroczyły Wisłę. Frania wróciła z mieszkania z wiadomością, że zabrakło kaszy i mąki. Zrobiła zupę z tartej bułki, ohydną, a pożeraną przez Jaona ze smakiem.

- To dziecko w miarę jak zaczyna się głód, zaczyna nabierać apetytu - uśmiechnęła się matka.

Nazajutrz poszeptały coś z Franią przed jej wyprawą na górę i matka znów uśmiechnęła się. Zamiast obiadu Frania zniosła termos pełen gorącej herbaty i stos czekolad ze sklepu Łatyńskich, gdy Jaon grał o złotą kulę. Trzy dni potem matka rozerwała celofan na największym torcie.

- To była twoja wielka wygrana - powiedziała. - Podwójna stawka, bo ocaliłeś nas synu przed głodem.

Tort w chwili wygrania był podeschnięty, był u nich rok i gdyby nie wojna, nie spróbowali by go i doczekaliby się dorosłości Jaona, jako trofeum. Matka podzieliła ogromne koło na dziesięć części, na dziesięć dni, a dziesięć części jeszcze raz na trzy: dla Frani, Jaona i dla siebie. Tort był nasycony wanilią, bardzo słodki.

Dały się słyszeć krzyki od przebitego wejścia do ich domu.

Wywołano ich nazwisko. Spojrzeli na siebie: stryj? Czy panna Świdwińska? Nim on i matka doszli, popędziła tam Frania. Korytarz idący pod dwoma wielkimi domami był długi. Frani nie było chwilę, a gdy znalazła się znów przy nich, padła na klęczki i objęła nogi matki Jaona. Początkowo wydawało się, że Frania wyznaje jakąś winę. Ukradła, zrobiła coś złego, gdy chodziła na górę? Frania o te myśli nie dbała, przytulała czoło do kolan matki.

- Mów? Mów? - dopytywała się matka.

Z dała, od korytarza dochodziły równe kroki podkutych butów, powolne, stanowcze i niezbyt szybkie. Chrzęściły po betonie gwoździe. Ukazały się trzy hełmy, chropawe, zapięte pod brodą. Oczy żołnierzy były obojętne. Twarze zapadnięte, i jak nieobecne, aż robiły wrażenie wyniosłych.

W drzwiach piwnicy dowódca patrolu, podporucznik, wysunął się na czoło i zaszalutowawszy wyjął z mapnika małą paczuszkę, owiniętą w szary papier.

- Proszę sprawdzić zawartość i pokwitować - wręczył matce paczkę. Matka rozdarła papier. Był tam portfel ojca; zegarek, książeczka wojskowa, futerał na okulary - gdy matka uchyliła go, okazało się, że pełen jest szklanego miazgu - ołówek złamany na pół uderzeniem odłamka.

- To mąż odsyła? Dlaczego?

Podporucznik przełknął ślinę. Przełamywał nieśmiałość i obawę przed wypowiedzeniem słów, dla których wypowiedzenia go tu przysłano:

- Dowódca Odcinka Trzeciego, podpułkownik Jamontt wyraża pani najgłębsze współczucie. Będzie osobiście na pogrzebie, który odbędzie się na tymczasowym cmentarzu żołnierskim, na skwerze przy kościele Miłosierdzia Bożego.

- Miłosierdzia Bożego? - spytała matka. - Miłosierdzia Bożego?
- Tak - odpowiedział podporucznik. - O piątej, czyli za półtorej godziny.

Matka otworzyła kopertę zegarka ojca, sekundnik jeszcze biegł, zegarek nakręcony ręką ojca, wskazywał godzinę trzecią trzydzieści trzy. Jaon chwycił zegarek i zacisnął go w ręce. Matka kwitowała odbiór rzeczy. Podporucznik zsalutował i wykonał przepisowy zwrot. Gdy postawił krok, odwrócili się jak na musztrze i ruszyli za nim dwaj towarzyszący mu żołnierze.

Jakaś pani objęła matkę i przycisnęła do siebie. Matka w objęciach nieznajomej, jakby tamta była jej matką, dopiero zaczęła płakać.

- Tak, tak - gładziła ją po głowie nieznajoma. - Trzeba płakać. Na gorze mam żalobę, w której chodziłam po moim mężu. Zaraz pobiegnę.

- Zostało mało czasu, by tam dojść - powiedziała matka. - Franiu!

Decyduję się wziąć Jaona ze sobą. Uważam, że nie trzeba się rozdzielać. Niechby tu został i stało się coś strasznego z tym schronem? - Frania chciała coś mówić, ale matka nie dopuściła jej do głosu. - Kiedyś może mieć żal do mnie, że nie był na pogrzebie ojca. Wobec śmierci męża moje życie jest skończone i kusi mnie niebezpieczeństwo. Gdy będzie przy mnie, będę inaczej postępować. Nie wolno mi go uczynić całkowitym sierotą w ciągu jednego dnia. W razie naszej śmierci Frania będzie pilnować mieszkania, a gdy wojna się skończy lub Niemcy cofną się spod Warszawy, pojedzie do Marzeniowa i zawiadomi o wszystkim pana Rudolfa.

- Ja idę z panią i Jaonikiem - wykrzyknęła Frania. - Może mi pani rozkazywać jeśli chodzi o służbę, bo za to mi pani płaci, ale czy mam iść na pogrzeb, czy nie, to moje prawo - Frania mówiła niegrzecznie. Była inna niż zawsze. - O tym, że pani nie żyje, paninego brata może zawiadomić byle kto. A co z mieszkaniem pani, już nie będzie obchodzić.

W tym momencie zjawiała się nieznajoma pani ze stosem rzeczy. Jakby odgadła co zaszło w czasie jej nieobecności, powiedziała:

- Starczy nawet dla panny służącej. Chłopczykowi przyniosłam czarną opaskę. Proszę mi tych rzeczy nie zwracać.

Jaonowi kazano wyjść i matka z Franią przebierały się. Za chwilę były gotowe. Matka dostała nawet welon, którym przesłoniła sobie twarz. Gdy pojawili się we trójkę, matka z walizeczką, z którą postanowiła się nie rozstawać, wiele osób wyszło z piwnic.

Nieznajoma, która pożyczyła im czarnych rzeczy, przeżegnała ich, a w ślad za nią czynili to wszyscy, których mijali. Szli na pogrzeb najukochańszego człowieka, ale może i na śmierć.

Wyszli innymi drzwiami na podwórze domu, pod którym byli. Nie mogli więc spojrzeć co z ich mieszkaniem. Podwórze pokryte było szkłem. W środku lej od bomby, jakby najprecyzyjniejszy celownik bombowy wyznaczył jej to zadanie. Za bramą zaskoczyło ich, że dom nr 6 naprzeciwko nie istnieje. W miejscu gdzie były piętra, okna, balkony, ziało pustką. Na dole kłębiły się belki, żelazo, trzcina, której używano do umocnienia tynku. Dach następnego domu, numer osiem, palił się. Płomienie wydawały się powolne. Widać było odkryte kominy. Było ciemnawo, czarne dymy przesłaniały niebo. Nie

wiadomo: jest pogoda, czy dzień słoneczny? Swąd palących się przedmiotów - Jaonowi zdawało się, że śmierdzą płonące kanapy - łączył się z odorem zgnilizny. Co gniło, Jaon wiedział: ludzie, których nie wydobyto spod ruin.

Za placem dwa domy zburzone na przeciw siebie zagroziły ulicę do wysokości piętra, trzeba było przechodzić, jak przez góry, wspinać się po blokach cegły i belkach, a potem zsuwać się na oślep.

Towarzyszył im nieustanny huk, w którym Jaon domyślił się artylerii walczącej na obrzeżu miasta. Byli jedynymi istotami żywymi, które szły główną ulicą milionowego miasta.

Dom, w którym był sklep Łatyńskich, płonął od piwnic do strychów.

W środku już nic nie było poza ogniem. Jak mieszkaniac, gospodarował tu, huczał, ruchliwe płomienie wyglądały wszystkimi oknami. Spojrzeli na siebie z matką: może dobrze, że Łatyńscy zbankrutowali, mają to za sobą? Teraz dopiero by rozpaczali!

Łatyńska i tak by zginęła, ratując sklep. W miejscu gdzie wisiała papuga, wysuwał się długi język ognia, znacząc czarnym śladem ścianę nad oknem wystawowym. "Tylko papuga ocalała" - myślał Jaon.

W sklepie z wielorybem szyby wystawowe były wybite, można było wejść do środka, ale Jaon nie śmiał o to prosić matki. Ciekaw był,

czy wieloryb na ścianie ocalał. Sąsiednia kamienica nie miała ściany. Bomba odsłoniła jej wnętrze. Przypominała dom lalek Niki.

Widać było meble, obrazy na ścianach, poduszki na kanapach, brakowało tylko ludzi, którzy by odgrywali tu swoje życie. Na

jednym piętrze był salon z fortepianem, piętro nad nim, w tym samym miejscu, sypialnia. Jaonowi chciało się wejść do tego domu i zamieszkać choć na chwilę.

Tu musieli skrócić w ulicę biegnącą ukośnie, która stanowiła najkrótszą drogę do kościoła Miłosierdzia Bożego. Płonął rząd domów

po prawej stronie tej ulicy. Czarny niski dym przesłaniał jej dalszą część. Zobaczyli pierwszego człowieka. Biegł pod ścianami i ścisnął sobie dłońmi uszy, ze strachu przed hukiem. Zaraz potem nadjechał wojskowy łązik patrolowy. Przy kierownicy siedział oficer w hełmie. Przyjrzał im się. Spostrzegł żalobę, a może coś w ich twarzach, bo zatrzymał samochód, wstał i zasalutował. Matka odwzajemniła mu pozdrowienie znakiem krzyża. Ta wąska ulica chroniąca lepiej przed pociskami artyleryjskimi była ruchliwsza. Ujrzeni trzy kobiety obciążone tłumokami, z walizkami w rękę, zziębnięte i przerażone. Usiłowały biec, ale nie miały sił.

- Dom przy Marszałkowskiej czterdzieści stoi?

- Nie wiemy - odkrzyknęła matka.

Właśnie w tej sekundzie, gdy widział kątem oka odchodzące kobiety uświadomił sobie, że nigdy nie będzie rozmawiał z ojcem. Przed oczyma stanął mu moment, gdy ojciec odchodzi z obozu dzikich Murzynów, w chwili gdy on, jego syn odmówił pójścia z nim na spacer, bo wołał się bawić. Najstraszniejsze było, że ojciec mu wybaczył, uśmiechnął się, uchylił kapelusza. Więc to było pożegnanie? Ojciec wiedział, że wybuchnie wojna i że zginie? Potem jeszcze zatrzymał się, odwrócił, popatrzył na Jaona. Las zasłonił

go tak szybko! Trzy wysokie jałowce. Ujrzał ojca powoli odchodzącego, oddalającego się. Targnęła nim niespodziewana, nieznana mu rozpacz. Musiało ojcu być smutno. Potem już nie rozmawiali. Co ojciec chciał mu powiedzieć? Tego nie wyjaśni. To przypało. Dlaczego nie spytał, dokąd ojciec żył? "Ojcze, o czym byśmy rozmawiali w czasie spaceru? Ojcze, przebac mi, że nie poszedłem z tobą". Mógł to powiedzieć. Miał na to wiele dni. Przypomniał sobie, że w czasie choroby, gdy myślał, że umiera, zapomniał o ojcu. Dusił się z rozpacz, matka trzymając go za rękę wiedziała o jego myślach. Nie powie jej jak postąpił z ojcem. Zadałby jej straszny ból. I jeszcze raz widział ojca, jak idzie, odwraca się, uśmiecha ostatni raz i znika.

Zbliżał się gwizd, narastający, przeciągły, powolny. Matka szarpnęła Jaonem i rzuciła się ku bramie. Dopadli jej i jeszcze zdążyli upaść twarzą do ziemi. Jaon miał przed oczyma biało-niebieskie kafelki i czuł ich zimno na policzkach, gdy gwizd nasilił się. Wydało im się, że zapalnik pocisku wycelowany jest w ich plecy, i nareszcie to się skończyło - Jaon pomyślał: "Tak wygląda śmierć", ale dalej słyszał huk, walenie się, osypywanie muru, straszne krzyki; ogarnął ich dym i kurzawa, gwałtownie jak huragan pędząca i przelatująca nad nimi. Jaon poczuł w ustach twarde drobiny. Gdy zerwali się matka i Frania w czarnych ubraniach, stały się białe. W domu na przeciw, na wysokości drugiego piętra widniała wyrwa po pocisku i jeszcze sypał się z niej czerwony pył ceglany i szarpało firankami w oknach z wybitymi szybami.

Do bramy wbiegł starszy mężczyzna. Zbliżył się do matki Jaona i zaczął krzyczeć:

- Zbrodnicza matko, gdzie ciągniesz dziecko w bombardowanie? Na pewną śmierć? - wyciągnął rękę ku jej ramieniu, ale matka krzyknęła groźnie:

- Ręce przy sobie, tchórze.

I wyszli na ulicę, usłyszeli następny gwizd, już rzucili się w następną bramę i tam przyklekali. Trzeba było czekać ze trzy sekundy. Znow uderzyło blisko, wszystko zatrzęsło się, powiało silnie z wysoka i posypało się szkło.

- Jeśli pani zginie, poświęcę życie pani dziecku, wychowam je i będę żywiła - odezwała się Frania.

Kłęczały przy sobie. Matka objęła ją w pól, jednocześnie mocniej ściskając dłoń Jaona, jakby przekazując mu pozwolenie, że może wychowywać się u Frani. Następny pocisk przetrwali trzy bramy dalej. Stojący tam mężczyzna w kapeluszu i krawacie, jakby nic się nie działo, odezwał się do nich:

- Dziś lotnictwo nie może operować, bo dymy i mgły zasłaniają miasto. Więc walą artylerią od wszystkich stron. Około siódmej skończą. Mają kolację.

Chciał jeszcze coś mówić, ale matka wyszła i ruszyli dalej.

Musieli przebiec plac. Zdziwiło go, że matka umie szybko biec. Jaon zobaczył stację benzynową, a na niej przy pompie zabitego konia, siwego i ogromnego, z ogromniałego od wydęcia. Oba pośladki

miał wycięte. Odsłonięte mięso było czarne. Jaon pomyślał, że koń w strasznym bombardowaniu pomylił się co do siebie i wydał się sobie samochodem, przybiegł tu napić się i zastawszy stację nieczynną, padł z pragnienia.

W połowie ulicy, która teraz otworzyła się przed nimi, zobaczyli barykadę z tramwaju przewróconego i położonego w poprzek. "Czy możliwe, by Niemcy mogli dojść aż tu?" - pomyślał Jaon. Płonął tu tylko jeden dom. Wyglądał jak zbudowany z płomienia. Dach, ściany, wnętrze, wszystko było ze świetlistego żaru, z czystego ognia.

Ledwie go minęli, usłyszeli huk, dom zapadł się i znikł w czerwonej kurzawie iskier. Jak na ten sygnał, z drzwi małego sklepika wybiegła kobieta z rozwianymi włosami, przeraźliwie krzycząc.

- Nie patrz Jaon. To wariatka - krzyknęła matka, jakby bojąc się, że szaleństwem można się zarazić.

Za tamtą ze sklepika wypadła druga kobieta, stara, w szlafroku i papuciach, i niedołącznie usiłowała gonić wariatkę. Frania jednym susem była przy szalonej, objęła ją w pól, mówiąc:

- Jasiu, to nic groźnego. To tylko wojna - i oddała ją w ręce staruszki w szlafroku.

- Jaka Frania dobra - powiedziała matka i przyglądała się jej, jakby coś jeszcze uderzyło ją w słowach Frani, ale nie miała siły sobie tego uświadomić.

- Wcale nie jestem dobra - odrzekła Frania prawie niegrzecznie. Robiło się coraz bardziej mroczno i pojawiło się światło bijące od pożarów, czerwone, ruchliwe, sięgające nieba.

- Boże, nie zdążymy - wyszeptała matka.

- Gdyby był normalny dzień, już byłyby przed nami wieże Miłosierdzia Bożego. W dymie nic nie widać - powiedziała Frania. Miała rację. Za chwilę ukazało się ogrodzenie kościoła. Biegli wzdłuż niego, przygięci. Pod murem kościelnym stał okryty stosami świeżo ściętych gałęzi mały samochód pancerny. Ciężkie karabiny maszynowe i działko były uniesione w górę, widać używano go dla wsparcia obrony przeciwlotniczej. Główne drzwi kościoła były otwarte. Trzy świece płonęły nad otwartą trumną, stojącą na katafalku. Ktoś ubrany na zielono, z rękami złożonymi i mocno odchyloną głową, tak że czoło wydawało się dumnie podniesione, leżał w trumnie.

"Zaraz okaże się, że to pomyłka. To nie jest mój ojciec. Zginął kto inny, ojciec innego chłopca, którego musiało to spotkać. Mnie to się nie przytrafi - myślał Jaon. - Tak nie miało być".

Ojca poznał po ustach, ich wykroju, zastygłym na nich półuśmiechu, dopiero potem ogarnął całość. Poznał też dłonie. Z nosa spłynęła ojcu stróżka krwi i zaschła. Matka rozpięła ojcu mundur na piersiach, wsunęła tam dłoń. Trzymała chwilę, po czym cofnęła ją i starła delikatnie krew z policzka, jakby nie chciała ojcu sprawić bólu.

Wszedł ksiądz, za nim sześciu żołnierzy w hełmach z paskami pod brodą. Ksiądz zamachnął się kropidłem, aż chlusnęło na wszystkich, a żołnierze pośpiesznie, gorliwie zdejmowali trumnę. Jeden miał w

ręku lutownicę. Spojrzał pytająco na matkę Jaona. Skinęła głową. Żołnierz, może spawacz w cywilu, z niesamowitą zręcznością przyłożył płomień do trumny. Rozeszła się woń topiącej się cyny.

Żołnierze chwycili trumnę i ruszyli ku wyjściu. W tym momencie w kručie ukazała się grupa wojskowych, wszyscy w hełmach, zapiętych pod brodą, w nieskazitelnie czystych, wyprasowanych mundurach, bladzi, o twarzach zaciętych i gniewnych. Idący na przedzie zaszalutował trumnie. Jaon zobaczył jego naramienniki podpułkownika. To musiał być sam Jamontt. Jednocześnie coś boleśnie znanego, z innych czasów pojawiło się w zasięgu wzroku Jaona. To był dyrektor Woynicki, w czarnym płaszczu, trzymający czarny melonik. Jak się dowiedział? Jak się tu dostał? Nie, to było zbyt wzruszające, nie do zniesienia. Dla Jaona zaczęło się powstrzymywanie płaczu. Wobec tylu oficerów i żołnierzy, a przede wszystkim wobec ojca Niki nie mógł płakać. Musiał być mężczyzną i znieść wszystko bez łzy. Żołnierze szli szybko. Trumna im nie ciążyła. Za nimi podążał Jaon trzymając pod rękę - pierwszy raz w życiu - matkę. Za nimi pan Woynicki z Franią; mimo że była służącą, trzymał ją pod ramię. Kondukt zamykał podpułkownik Jamontt ze sztabem.

Cmentarz kościelny był już wypełniony grobami. Rządek mogił z krzyżami zbitymi z gałęzi brzoźowych, powieszonymi na nich hełmami był długi. Na jej krańcu widać było jasny, prawie biały piach, wykopany z głębi. Mogiła była płytka. Płacz stawał się strasznym zagrożeniem dla Jaona. Rozsadzał go, dusił. Syn płaczący nad grobem ojca, który poległ? Wszystko by popsuł i ośmieszył. Ksiądz wymówił tajemnicze słowa: - "Życie przemienia się, ale nie kończy". Pociski z gwizdem przelatwały nad nimi i waliły się ciężko na sąsiedniej ulicy, potrząsając ziemią, w której żołnierze zasypywali jego ojca. Czasem idące górą odłamki potraçały wierzchołki wielkich drzew, rosnących na cmentarzu i pocięte liście obsypywały ich.

To hełm męża? - spytała matka pułkownika Jamontta - gdy żołnierze zakładali na krzyż hełm z rysą, prawie nie dostrzegalną, bo zwracała uwagę tylko tym, że zdarta była farba.

- To jego hełm - odrzekł podpułkownik Jamontt - zaskakiwał jego głos pogodny, cichy. - Ale to nie sprawa hełmu. Wiązka odłamków trafiła go w serce. Nie jest w swoim mundurze, bo go poszarpało na strzępy.

Jamontt zobaczył pytający wzrok matki.

- Powierzyłem mu ważne zadanie. Od północy przebijały się ku Warszawie resztki 213 pułku piechoty. Nie mogły przedostać się przez pierścień niemiecki, bezskutecznie atakując go z drugiej strony dwa dni. Słyszeliśmy ich rozpaczliwą walkę. Pani mąż otrzymał zadanie przeprowadzenia tego oddziału do miasta. Cały dzień przebywał na linii czat, aż znalazł miejsce, gdzie był słaby styk dwu kompanii grenadierów niemieckich. Przeszedł tamtędy za front, odnalazł ten oddział i przebił się z nim dzięki atakowi, który poprowadził klinem między kompanie niemieckie.

- I wtedy mąż zginął? - spytała impulsywnie matka.

- Nie - odrzekł podpułkownik Jamontt. - Śmierć pani męża była niesubordynacją. Mimo to wystąpiłem o pośmiertny Drugi Krzyż Walecznych dla niego. Gdy po wykonaniu zadania, wrócił do naszych okopów, usłyszał w radio komunikat, że wojska sowieckie przekroczyły wschodnią granicę. Powiedział: - "To koniec Polski", po czym wyszedł z okopów i w nawale artyleryjskiej szedł nie kryjąc się, otwartą przestrzenią do dowództwa. Czekałem do późnej nocy, by mu podziękować za ocalenie 213 pułku. Zadzwoiłem na pierwszą linię. Potwierdzili, że wyszedł. Rano znalazła go służba łączności. Sam tak bym postąpił, gdyby nie powierzono mi dowództwa - zawahał się. - Jest jeszcze jedna sprawa. Proszę odejść ze mną na bok - powiedział rozkazująco. Jaon postąpił za matką. Pułkownik zniżył głos. - Wśród rzeczy, które poleciłem pani zwrócić nie było pistoletu parabellum, własności pani męża. Oddaję go pani. Proszę schować, by nikt nie widział.

- Nie - odpowiedziała matka. - Dziękuję. Teraz jest waszą własnością. Niech wam służy.

- Proszę go brać - rzekł głosem nie znoszącym sprzeciwu Jamontt.

- Więc to koniec? Wy nas poddacie? - wykrzyknęła matka. Jamontt opuścił głowę, na znak potwierdzenia, ze wstydu, czy w ataku rozpacz. Matka wyciągnęła rękę, a Jamontt podał jej pistolet, zaszalutował i odszedł. Matka odwróciła się i schowała broń do torebki. Dopiero teraz nastąpiło przywitanie z panem Woynickim. Frania chwyciła go za rękę i pocałowała:

- Mój pan był święty, ale i pan taki jest.

Wtedy Jaon zobaczył, że pan Woynicki płacze. Z lewego oka spłynęła mu łza, druga, trzecia, a on nawet nie wyjął chusteczki. W czarnym meloniku, obsypany liśćmi, w oku cyklonu ostrzeliwania artyleryjskiego, płaczący i nieustraszony, usiłował uśmiechnąć się do jego matki.

- Panu Józefowi jest lepiej niż gdyby żył. Nie mógłby patrzeć na klęskę. Najlepsi poległi. My, gorsi, zostaliśmy.

- Ale on umierał wiedząc.

- Mój Jezu - wykrzyknął pan Woynicki. Znowu łza spłynęła mu po twarzy, której wyraz był twardy i zdecydowany. Po czym pozornie dodał bez związku. - Wojskowi mówili przed pogrzebem, że nie będzie salwy honorowej, bo zaczyna brakować amunicji. Trzeba tu zostawić pana Józefa i szybko iść - wziął Jaona za rękę. - Odprowadzę panią.

- Nie ma mowy - powiedziała matka. - Nie pozwolę, by pan się narażał. To byłby mój śmiertelny grzech wobec pana żony i córki.

- Jak pani sobie to wyobraża? Zostawię same kobiety i dziecko w bombardowanie? - krzyknął pan Woynicki.

Szli szybko, ledwie Jaon mógł nadażyć. Pan Woynicki nadawał takie tempo. Ale i przynosił im szczęście. Tylko dwa razy musieli chować się do bram. Szli w blasku pożarów.

- Jak pan się dowiedział? - spytała matka, gdy zbliżali się do ich domu.

- Zadzwoił adiutant Czumy. Powiedział coś, czego pani może nie

wie. Pan Józef został przyjęty na miejsce oficera, który tego dnia poległ. Gdy zatelefonował pani mąż do Czumy był Jamontt i raportował o stratach. Więc to nie była protekcja, nielegalne przyjęcie do wojska. Ale czy pan Józef zdążył się o tym dowiedzieć? Nie wiem.

- To ja sama, widząc jak się męczy, wskazałam mu tę drogę: by zatelefonował do generała.

- Lepiej dla niego. Nie będzie żył w czasach, których być może my dożyjemy - powiedział pan Woynicki. - Czy pani czegoś potrzebuje? Pieniądzy? Jesteście w dobrym schronie? Boleję nad tym, że musimy się rozstać, chyba żebyście, jak jesteście, poszli ze mną i byli w naszym schronie. Jestem sam w piwnicy, wielkiej jak salon.

- Nie. Dzięki. Bóg zapłać. Musimy być tu - powiedziała matka. Jaonowi wydawało się, że był w tym cień nadziei, że nadejdzie wiadomość od ojca, że żyje, zawiadomienie, że to wszystko było nieporozumieniem.

Pan Woynicki ucałował ręce matki, skłonił się Frani, pomachał dłonią Jaonowi i ruszył energicznie ku wielkim pożarom zachodniej części miasta. Jaon z zalem myślał, że pan Woynicki nie zobaczy dziś córki i nie opowie jej o tym, jak Jaon był dziś dzielny, bo Nika jest pod Warszawą.

"Nie mam już ojca" - pomyślał ze zdziwieniem Jaon budząc się rano, a potem przed oczyma stanął mu ten, którego nie zobaczy, jak odwraca się, uśmiecha się, a potem niknie w głębi lasu. Czy gdyby za nim pobiegł, dogonił i poszedł - czy wszystko mogłoby się potoczyć inaczej? Ojciec bardziej by go pokochał, zobaczył jak on go kocha, jak jest mu potrzebny i nie poszedłby walczyć? Jak to możliwe nigdy kogoś więcej nie zobaczyć? Zaprzagnął biec na skwer pod kościołem, rozgrzebać ziemię, wydobyć trumnę i spojrzeć na ojca. Jak szybko znikł wczoraj z jego oczu. Miał poczucie wielkiej, nie do ogarnięcia myśłą zmiany. Wzrok jego padł na Franię jeszcze uspioną, z otwartymi ustami. Teraz stała się kimś ważnym w ich życiu, przez brak ojca. Gdy ojciec miał nie wrócić, wszystko nabrało innego wyrazu. Matki nie było na kozetce. Pościel była nie naruszona. Jaon podniósł się na posłaniu i ujrzał ją, zobaczył ją usypiającą, siedzącą nieruchomo naprzeciw założonego workiem z piaskiem okna piwnicy, w czarnym welonie, czarnych pończochach i wizytowych pantofelkach z wężowej skóry.

- Mamusiu - zawołał uświadamiając sobie, że zmienił formę z "mamo, której używał od kiedy zaczął mówić.

- Tak, synu - odezwała się matka nie odwracając głowy w jego kierunku.

- Mamusiu - szepnęła ciszej, by nie obudzić Frani.

- Synu, nie zwracaj na mnie uwagi. Musisz być cierpliwy i dać mi trochę czasu. Musisz być wyrozumiały dla matki. Nie będę mogła jakiś czas się tobą zajmować. Gdyby nie ty, nie żyłabym już.

Poszłabym za ojcem. Kiedy rodziłeś się, nie przypuściłabym, że ty zatrzymasz mnie przy życiu. Teraz nie odzywajmy się do siebie chwilkę. Myślę też o tobie, tylko nie mogę mówić.

Frانيا uniosła się na łóżku i dawała Jaonowi znaki palcem, który

przykładała do ust, by milczał. Cichutko wstawali i Frania poszła po wodę do mycia, ale zaraz wróciła. Wodociągi nie działały. Musiała iść z wiadrem na sąsiednią ulicę gdzie była studnia artezyjska i stanąć w kolejce.

- Pogoda znowu piękna. Wszyscy spodziewają się nalołów - powiedziała wychodząc.

Jaon pierwszy raz w życiu nie umyty, wyszedł na korytarz. Patrzono na niego. Niektórzy dorośli pierwsi mówili mu dzień dobry. Pani, która pożyczyła żałobę matce, podeszła do Jaona z połową tabliczki czekolady. Wziął ją, by nie zrobić jej przykrości i zjadł na jej oczach ukrywając wstręt, tak pragnął ziemniaka, a zarazem tak wstydził się głodu teraz, kiedy stracił ojca. Doszedł do końca korytarza w kierunku ich domu. Otwór w ścianie założony był workiem z piaskiem. Więc już nie ma przejścia? Ruszył do przeciwległego końca. Wszyscy usuwali mu się z drogi. Zawrócił i doszedł znów do zamkniętego przejścia swojego domu. Parę osób powchodziło do piwnic, jakby nie chcieli mu zawadzać w jego spacerze. Chłopiec w jego wieku, którego już widział, wychylił głowę by mu się przyjrzeć i wydał się Jaonowi maleńkim dzieckiem, prawie niemowlęciem. Pani, która pożyczyła żałobę znów zatrzymała Jaona i powiedziała:

- Mój drogi, co tak chodzisz tam i z powrotem? Raczej pobiegaj sobie, odpocznij i pobiegaj znów.

Jaon milczał.

- Dajesz mi do zrozumienia, bym się do ciebie nie wtrącała? Czasem dorośli są gorzej wychowani od dzieci. Przepraszam mój drogi - powiedziała ze smutkiem.

Poczuł, że ta pani, czeka by ją przeprosił, ale nie umiał się na to zdobyć. Odeszła, jeszcze bardziej zasmucona. "Jakie to dziwne. Mam tak straszne zmartwienie, a mogę się przejmować, że nie przeprosiłem tej pani" - pomyślał. Zajrzał do piwnicy. Matka siedziała nieruchomo, jak przedtem. Frania nie wracała. Chciał wyjść, szukać jej, ale wiedział, że matka by się gniewała. Gdyby zginął, nie gniewałaby się, tylko zrobiła coś strasznego. Dała mu do zrozumienia, że z jego powodu została przy życiu. Dochodziły go strzępy zdań:

- Trzeba tam iść, zobaczyć, co się stało?

Niepokoił się o Franię. "Czy mogę ją tak polubić jak Maniunię" - zastanawiał się. A jeśli jest za późno, bo ona nie żyje? Dla nich poszła na pogrzeb i dla nich naraża się teraz. Gdyby Frania znalazła narzeczonego, też opuściłaby ich jak Maniunia? Nie lubił, gdy odprowadzała go do szkoły, a teraz bał się o nią i tęsknił za jej powrotem. Czy będzie wypadało umyć się wodą zdobytą przez Franię w ostrzeliwaniu? Czy nie umyje się, bo woda jest już dawno rozlana, a przy niej leży martwa Frania? Jeśli zginęła, po wodę będzie chodzić matka. "Gdy dorosnę - postanowił - zatrzymam Franię. Będzie u mnie do śmierci. Będzie jej u mnie dobrze. Tylko niech nie ginie".

Bał się najbardziej śmierci jednej po drugiej, po ojcu - Frania. W dodatku nie okazał Frani jak ją lubi. Gdyby teraz zginęła, nigdy

jej tego nie powie. Zdarzy się coś podobnego jak to, co mu się zdarzyło z ojcem i czego nie da się odrobić. Może ojciec chciał mu powiedzieć, że będzie wojna i chciał przekazać mu jakieś rozkazy? Może co do pistoletu? Jakaś tajemnicę? "Dokąd jestem mały, nie odgadnę tego. Gdy dorosnę, wpadnę na to". Ciągle miał pewność, że przeżyje wojnę. Myśl, którą odpędzał, a która potwierdzała to: wtedy, gdy w dom numer sześć uderzyła bomba, ojciec ofiarował swoje życie za nich. Teraz, gdy poległ, oni przeżyją.

Radosne krzyki witały wracających z wodą. Kilkumetrową kolejkę zobaczył myśliwiec niemiecki i ostrzeliwał z karabinów maszynowych. Kolejka rozproszyła się, wszyscy uciekli, a potem biegli z powrotem, ale ich miejsca zajęli inni. Samolot zaś zawrócił i zniżywszy się, starał się tak lecieć, by jedną serią zabić ich wszystkich, wybił i wrócili tamci, wyparci.

Matka stała oparta o mur, tam, gdzie nie było węgla. Kolor jej stroju harmonizował z barwą stosu, który zaczynał się koło jej nogi. Woalkę miała odsuniętą z czoła. Wokół oczu miała czerwone obwódki, usta blade.

- Jaon, myj się - powiedziała Frania i wzięła miedniczkę.

- Nie - wykrzyknął Jaon.

- Brudasek? - spytała tonem z wakacji Frania.

- Frania nie pójdzie więcej po wodę. Nie pozwolę Frani ginąć.

- Niech pani każe mu się umyć - zwróciła się Frania do matki Jaona.

Matka Jaona pierwszy raz od kiedy ją pamiętał, zdradziła wahanie. Przestało ją obchodzić, czy Jaon będzie się mył, czy dostrzegła w tym sprawę zbyt trudną do rozstrzygnięcia?

- Nie wiem, doprawdy nie wiem - odezwała się tak cicho, że ledwie ją usłyszeli.

Frانيا postawiła miedniczkę na ziemi i naląła wody:

- Niech się Jaon rozbiera, zasłonimy prześcieradłem kratę w drzwiach, żeby Jaon się nie wstydził i myjemy całe ciało. Grasuje już biegunka. Ja bym na pani miejscu dawała codziennie kieliszek wina.

- Nie wiem, doprawdy nie wiem - powiedziała matka.

- Mamo! Mamo, co z tobą? - wykrzyknął Jaon, stojąc w misce.

Matka zamknęła oczy, otworzyła i odezwała się zwracając wzrok najpierw na Franię, a potem na Jaona, jakby i jego się radziła.

- Dziecku wino? Raz tak się zdarzyło. Za to zwolniłam służącą. Jak bym jej teraz spojrzęła w oczy?

By zmyć mydło, polewała go wodą ze szklanki z której pili. Jaon żałował każdej kropli. Mydło, jak w domu, pachniało bzem, przedwojennym szczęściem i spokojem. Każde miało swój ręcznik, szklankę, talerz, zniesione z góry, jak uczyła pani katecheta o arce Noego. Wytarłszy Jaona, Frania wzięła klucze i wyszła.

Wróciła niedługo z koszem.

- Podlałam kwiatki, biedne, omal nie zginęły przez tę wojnę, całkiem zapomniane. Szyba w oknie łazienki wybita. Trochę wchodzi dymu, ale nie iskier, bo dom numer cztery ciągle się pali.

- Jak to, Frania zabrała wodę dla kwiatów? - matka ożywiła się.

- Ile lat pani o nie dbała? Chcą żyć, jak i my. Co, Niemiec ma i kwiatki wymordować? Jak to się skończy, to jak wrócimy na górę? Frania otworzyła kosz i wydobyla z niego kaktus:

- To pani ulubiony. Jemu będzie weselej i nam.

Jaonowi ścisnęło się serce, był to bowiem kaktus, któremu żyletką uciął liść.

Frانيا wyjęła z kosza nową zmianę bielizny i butelkę wina. Zbiegiem okoliczności był to Vermut Cinzano, Frania nalała pół szklanki i podała Jaonowi. Poczuł gorzkość, jak wtedy gdy pił pierwszy raz.

- Franiu, kocham cię prawie jak Maniunię - powiedział Jaon i usnął. Uświadomił sobie, że nie Maniunia, a Frania była cały czas u nich przed wojną. Maniunię wymyślił we snach. Teraz jest jawa, cudny dzień, idą ulicą, a Frania, by mu się przypodobać, kładzie się do dziecinnego wózeczka i staje się dziewczynką, ładniejszą niż Nika. Jaon ją wiezie czując, że jest jego całkowitą własnością, oddana mu bez reszty, a gdy dokładnie się jej przyjrzał - jest lalką, nagą, a wózek jest zabawką. Jaon zawstydzony, że będąc chłopcem, bawi się lalkami, popycha gwałtownie wózek, który toczy się coraz szybciej po chodniku i znika.

Wydało mu się, że budzi go wstyd, a to był wstrząs i huk. Ściany poruszały się jakby byli wewnątrz tekturowego pudełka. Zakołysało drzwiami, góra węgla podeszła w górę. Każdy przedmiot szarpało inaczej, w inną stronę, jakby ożył i żył innym życiem. Frania chwyciła rękę matki Jaona. Widać czuła, że leci w przepaść. Jaon spojrział w sufit piwnicy. Deski oszalowania zostawiły na betonie odbicie słoików. Czekał aż zacznie pękać, rozleci się i dom osunie mu się na głowę. Jaonowi było żal życia, którego już nie pozna. Nie dowie się, co miało mu się zdarzyć.

- To już po państwa domu - odezwała się Frania. - Jeśli tak dalej będzie, nie przeżyjemy. Przed śmiercią chcę się wypowiedzieć. Gdyby ludzie spowiadali się nie księżom, a tym, wobec których zawinili, świat byłby inny. Zechce mnie pani wysłuchać?

- Mów.

- Pamięta pani, szliśmy na pogrzeb pana i wybiegła rozebrana młoda kobieta i ja ją zatrzymałam? Wygadałam się i powiedziałam do niej Jasiu. Pani nawet spojrzała na mnie, ale nie miała głowy o nic pytać. Pani powiedziała, że jestem dobra, a ja odpowiedziałam, że nie. Ja tę Ja się znam. Nieraz chciała się zabić i jak zobaczyła bomby i pożary biegła do nich. Cieszyła się, że łatwiej jej pójdzie.

- Do czego Frania zmierza?

- Kiedy pani generałowa usunęła mnie po wypadku jej córki, tułałam się w nędzy, aż generałowa zlitowała się i wystawiła mi dobre świadectwo, nie wspominając, co się stało. Znalazłam pracę za marne 20 złotych miesięcznie u takich co udają, że są bogaci. Osiemnaście godzin na nogach. Był tam chłopczyk w wieku Jaona, nawet podobny. Gdy rodzice nie widzieli, bił mnie i kopał. Poskarżyłam się, nie uwierzyli. Wtedy dopiero się za mnie wziął!

Znienacka wypadł za drzwi i pluł na mnie. Pewnej niedzieli, 11 marca 1937 roku, nakrywałam stół. Gdy szłam po porcelanę, on popychał z nienacka drzwi, tak by mi ją wytrącić. Jeden talerz to było pół mojej miesięcznej pensji. Szłam już z wazą i gdy pchnął drzwi, gotująca się zupa oblała mi ręce. I całą wazę tej zupy wylałam mu na głowę.

- Boże! - wykrzyknęła matka.

- Od początku wiedziałam, że pani się przerazi. Aresztowali mnie, zrobili rewizję w tobołku. Znaleźli zaświadczenie generałowej. Poszli do niej i wydobyli z niej prawdę. Że to drugi zamach na dziecko chlebobawców, sędzia śledczy kazał mnie zbadać. Zamknęli mnie u Bożego Jana. Nie myślałam, że wyjdę, a oni mnie po cichu wypuścili. Wtedy... - Frania załkała.

- Lepiej niech Frania dalej nie mówi - przerwała matka.

- ...poszłam się sprzedawać. Ale klientów nie znalazłam. Powiem prawdę: takich, co mnie chcieli, odtrącałam. Ani razu się nie sprzedałam. Zatelefonowałam do pani generałowej i powiedziałam do czego doprowadziło mnie nieszczęście z jej córką. Pani generałowej było to nie w smak. Jej krzywda - tak, ale żeby jej córka i ja, żebyśmy cierpiały jednocześnie to nie. Nie wiedziała co robić. Ufa tylko prałatowi Juścińskiemu, wysłała mnie do niego do spowiedzi, by się dowiedział, czy jeszcze czego nie ma i wtedy dał jej radę. Znaleźli mi miejsce u pani. Prałat Juściński nie mógł pani powiedzieć, bo trzymała go tajemnica spowiedzi. Tak we trójkę oszukaliśmy panią. Za tyle dobra uczyniłam pani tylko zło, okłamując panią.

- Jak jest u Bożego Jana? - matka zignorowała wyznanie Frani.

- Ta, co leżała koło mnie, miała ukryty rzeźnicki nóż. Wyjmowała go i całowała. Ta po drugiej stronie bała się księżycy. Trzecia zabiła córeczkę, by ukarać męża. Ci, którzy lepiej rozumieją o co chodzi, wariują. Świata nie można znieść. Ale ja od wariactwa trzymam się z daleka.

- A dziewczyna, co biegła w bombardowanie?

- Matka nie dawała jej na suknie. Wariactwem chciała wymóc pieniądze. Tak się rozkręciła, aż się w niej coś zepsuło.

- Franiu, kim byli twoi rodzice?

- Ojciec dzierżawił sklepik warzywny w suterenie. Byłam w pierwszej klasie gimnazjum, gdy mnie wywołali z klasy. Już do niej nie wróciłam. W kancelarii powiedziano mi, że ojciec nie żyje. Mały bandzior wpadł i chciał zabrać kasę. Było w niej osiem złotych. Ojciec nie dał i ten zatłukł go odważnikiem.

- I co dalej?

- Jak przyszłam do państwa, trafiłam na rozpacz państwa.

Odchodziła poprzednia służąca. Żeby tak żałować służącej! Od pierwszej chwili cierpiałam. Państwo byli za szczęśliwi. To trudno znieść. Dlatego pan poszedł i zginął. Byłam bardzo zazdrosna o tamtą służącą, ale i o szczęście państwa. Państwo na mnie nie zwracali uwagi. Pomyślałam: mogę sobie być niekochaną służącą, ale aby zostać u państwa! Tamtą tak oplakują, to mogą mnie polubić. Teraz pani mnie wyrzuci. Gotowa jestem iść zaraz, jak stoję.

- Franiu, co też Frania opowiada - powiedziała matka.
- W kolejce po wodę widziałam jeszcze jedną od Jana Bożego.
Szpital rozbiło, wszyscy uciekli. Powiada: - "Kocham tych Niemców!
Ich bomby, pociski kocham. Uwolniły mnie. Gotowa jestem całować
ich czołgi". - Miała na sobie kapelusz z woalką i żołnierski
płaszcz. Pod tym była goła. Coś dała żołnierzowi za ten płaszcz.
Chciała tu iść za mną, w końcu poszła rabować opuszczone
mieszkania.
- A, co Frania jeszcze powie o wariactwie? - dopytywała się dziwnym
tonem matka.
- Człowiek uważa, że jest jeden na świecie i od tego wariuje. Jaon
to najszcześniejsze dziecko na ziemi. Nie wie, co to jest świat.
Aby pani żyła. Gdy syn traci ojca, może wyrósć wyższy, bo niknie
cień, w którym rósł.
- Twoja mądrość do nas nie pasuje - rzekła spokojnie matka.
- Koniec rozmowy pani ze sługą.
- Mamo - ośmielił się przemówić do matki Jaon - dlaczego odpięłaś
ojcu mundur, wtedy gdy...
- Powiem ci, wiedz to synu. Chciałam upewnić się, czy serce ojca
nie bije. Pamiętasz tę strużkę krwi? Wzbudziła we mnie nadzieję.
- Mamo, ja nie płakałam na pogrzebie ojca - pochwalił się Jaon.
- Nie masz czym się chwalić. Czytasz "Ogniem i mieczem"? Dawni
rycerze płakali.
Nieoczekiwanie Frania zaniósła się szlochem.
- Franiu, Franiu - skarciła ją matka. - Ja się zaraz wybiorę
zobaczyć, czy dom stoi. Jeszcze nie byłam od kiedy zesliśmy tu.
No i trzeba będzie iść po mniejszy tort, który Jaon wygrał jako
srebrną nagrodę. I po papugę.
- Papugi nie dam zjeść! - zawołał Jaon.
- Zobaczymy - ucięła matka. - Nie niepokójcie się. Jeśli zastanę
dom, pobędę tam. Muszę zobaczyć jak teraz tam jest. Chciałam też
coś przeczytać.
- Mamo, co chcesz czytać?
- List.
- Od taty? - Jaonowi załamał się głos. - Tam będą rozkazy, co mamy
robić po jego śmierci?
- Nie synku, list sprzed lat.
- Mamo, zawsze czytasz listy, które dawno dostałaś.
- Wtedy nadchodziły bardzo ważne.
Jaon pomyślał, że mieszkanie jest zburzone, gdy ujrzał matkę
wracającą. Niosła pudło ze świecami nagrobkowymi i tekę z
dokumentami.
- Wyjrzałam przez okno łazienki. Naokoło pożary. Na niebie widać
wybuchy szrapneli, na ziemi błyski bomb i pocisków artyleryjskich.
Domy oświetlone ogniem. Ten blask odbija się od nieba i zabarwia
wszystko na czerwono. Zapomniałam powiedzieć, że jest noc. Nasz
dom opustoszały. Szyby są. Po ścianach pełzają refleksy pożaru
spod czwartego. Nasz powinien dawno się zająć, ale krąg powietrza
jest w inną stronę.
- To jest inna wojna - mówił ktoś na korytarzu. - Dzieci znoszą

to, co w pierwszej wojnie żołnierze frontowi.

- To będzie dopiero pokolenie, wykołysane wybuchami bomb! - cieszył się drugi.

- Przyda im się - odpowiedział pierwszy głos. - Im przypadną owoce zwycięstwa.

- Zwycięstwo? Tego co straciliśmy, nie odzyskamy przez następne sto lat. Zaczyna się drugi okres niewoli, cięższy niż pierwszy.

- Warszawa będzie się bronić dokąd nie nadejdą alianci.

Jaon usypiając, uświadomił sobie, że on jeden wie, że Warszawa będzie poddana. Jeśli nie przeżyje - to i tak miał umrzeć przy urodzeniu, więc miał wiele darowane: poznał matkę, ojca, Nikę, wuja Rudolfa, był szczęśliwy przez siedem lat.

Za chwilę Jaon czepiał się występu skalnego, który był zbudowany z cegieł i okazał się ścianą stupiętrowego domu. Nie chciał runąć w przepaść i obudzić się. Nagłe trzęsienie ziemi spowodowało, że ściana której trzymał się Jaon, zaczęła dygotać i wysuwać mu się z rąk. Zsuwał się po występach, coraz szybciej i szybciej, i aż wzleciał, znalazł się w powietrzu. Przypomniawszy sobie, że w Marzeniowie chodził na lekcje latania. Nauczyciel w okularach lotniczych, przed lekcją zdejmował skórzany płaszcz i spod niego ukazywały się skrzydła, które nauczyciel rozprostowywał. To było w Dzikim Lesie. Pierwszy lot z tamtej góry był łatwy. Był pilotem samego siebie! Wróciło radosne przypomnienie pierwszego lotu, a z nim znajomość prawideł poruszania się w powietrzu, umiejętność poruszania skrzydłami, sterowania ogonem, nachylania ciała w czasie zmiany kierunku. Lecił wtedy za nauczycielem, a teraz leci sam. Za łatwo mu się leci, oj, za szybko leci. Nie wie, jak się zatrzymać, więc skręca gwałtownie ku ziemi. Przy tej szybkości nie potrafi inaczej. Widzi pojedyncze kamyczki, drobiny piasku i ma nadzieję, że jednak się obudzi, ale następuje potworne zderzenie z ziemią.

Kurzawa, którą wywołało jego zderzenie nie znikła, ale zagęściła się, szerniała, jakby nie szybował w powietrzu, ale był na dnie ziemi, w jakiejś kopalni. To był węgiel w piwnicy, poruszony detonacją. Matka szarpała Jaonem krzycząc:

- Jaon, uciekamy!

Ciągnęły go z Franią na korytarz. Z sufitu sypnął się drobny gruz i leciał na nich coraz szybciej, gęściej, jakby nad nimi rozszerzała się szczelina.

- Sufit pęka - krzyknęła matka.

Zrozumiał że dom nad nimi się wali. Biegli korytarzem w stronę wyjścia prowadzącego na podwórze domu, gdzie ich przygarnięto, ale zobaczyli, że na przeciw nich biegną ludzie, których goni wysuwająca się stamtąd chmura pyłu. Coś tam spadało, uderzało ciężko o ziemię.

- Jesteśmy zasypani - krzyczeli uciekający i odepchnęli ich pod ścianę. Jaon znalazł się sam, oddzielony od matki i Frani.

Tamci przewalili się. Frania, Jaon i matka znów wzięli się za ręce i w ciemności, kurzu, dławiąc się i kaszląc ruszyli przed siebie.

Byli ostatni. Weszli do zimnych, niskich korytarzy pod ich domem.

Przeciąg przynosił zapach spalenizny. Matka kazała otworzyć Frani ich piwnicę.

- Gdybyśmy was nie przygarnęli, bylibyście zasypani - mówili uciekinierzy.

- Nasz dom nie jest bezpieczny - ostrzegła.

- Nasz był bezpieczniejszy i już go nie ma.

- Nie ma? - spytał któryś z tych mieszkańców, bez przerażenia, tylko ze zdziwieniem, nie rozumiejąc co go spotkało.

- Wszystko zniesione do parteru - odezwał się ten sam głos.

"Ci ludzie nie mają domu. Są bezdomni. Nie mają nic" - myślał Jaon.

- A dom obok? - spytała matka.

- Nawet widać go. Gdy nasz dom runął, odsłoniła się wasza szczytowa ściana.

- Jaka cisza - powiedziała matka do Jaona, choć słysząc było daleki odgłos kanonady artyleryjskiej. Oni w uszach mieli jeszcze huk walącego się domu.

Matka spojrzała na rękę. Prawą dłoń miała zaciśniętą na uchwycie walizeczki. Roześmiały się z Franią.

W tej potwornej chwili ty Jaonie byłeś pogrążony we śnie. Jakby twój Anioł Stróż cię tam zatrzymał.

- Ale sen miałem zły.

- Powiedz mi synu - przerwała matka. - Po co myśmy tam szli się schronić? By doznać mocy ocalenia? Czy ty czujesz, że jesteśmy ocaleni?

Wrażenie ciszy groźnej, przerażającej, pogłębiało się.

- Coś jakby wojna się skończyła? Czy to możliwe? - spytała matka.

- Nie słysząc artylerii. Czy zawarto pokój?

Nadbiegła Frania:

- Ludzie wychodzą z piwnic. Kapitulacja.

Na górze nic się nie zmieniło. Obrazy były poprzekrzywiane. "Gdy stąd wychodziłem, miałem jeszcze ojca" - myślał Jaon. Niemożność nawiązania kontaktu z ojcem, teraz i nigdy już, wydawała mu się czymś nieprawdopodobnym. Muszą się jeszcze spotkać, ojciec wróci tu choćby na chwilkę. A jeśli ojciec udał własną śmierć? - Mimo że zdawał sobie sprawę z nieprawdopodobieństwa takiej maskarady, Jaon brnął w swoją wizję. Czy dobrze mu się przyjrzeni? Czy na pewno go rozpoznali? Jeśli ojciec chciał ogłosić swoją śmierć, by zejść do konspiracji, musiał ich narazić na to cierpienie, fikcyjny pogrzeb, by kiedyś po zwycięskiej wojnie zjawić się i powiedzieć: "Cierpliwości! Dla wielkiej sprawy i ja cierpiałem, a teraz żyję i będziemy zawsze razem". Więc jak? Położył się do trumny, kazał wymalować sobie strużkę krwi taką, jakby był troszkę zasmarkany i leżał nieruchomo, widząc naszą rozpacz? Albo kazał zrobić z wosku swoją głowę? Włożono ją do trumny? Ojciec dla ojczyzny był gotów na

wszystko i wiedział, że oni byli gotowi znieść jego śmierć? Szukał w zachowaniu matki, w fazach jej rozpaczki potwierdzenia swojej nadziei. Może czegoś się domyślała? Może nawet była dopuszczona do tajemnicy? Pistolet przekazany matce przez podpułkownika Jamontta

miał wrócić do ojca. Idiotyzm tej myśli - przecież ojciec, gdyby żył, nie rozstałby się z pistoletem - zawstydził go. "Nie wolno tak myśleć o śmierci ojca" - skarcił się Jaon. Był jednak pewien punkt, który podsycił nadzieję Jaona i czynił ją nie tak absurdalną, wręcz wyzywającą, a nawet, kto wie czy nie uwłaczającą pamięci ojca: była to rozmowa sprzed wojny, że POW nigdy się nie rozwiązało, nawet w czasach wolności istniało na wypadek - właśnie na jaki wypadek? Na wypadek powtórnej utraty wolności. Ojciec mógł na rozkaz POW wstąpić do wojska z zadaniem, by upozorować własną śmierć.

"Trylogia" została w piwnicy zasypanego domu. Jaon znalazł egzemplarz ojca. Lekturę "Ogniem i mieczem" przerwał, gdy zaczęto oszczędzać świeczek, ale w gruncie rzeczy z innych powodów. Dzień po pogrzebie ojca doszedł do śmierci pana Longina Podbipięty. Nie mógł utrzymać na wodzy szloch, gdy czytał ten opis. Uświadomił sobie, że po pogrzebie bolały go żebra i gardło od powstrzymywania płaczu.

Zegary stały. Nie wiadomo, która była godzina, zmierzchało, czy zbliżało się południe. Dymy przesłoniły niebo. Jaon wyjął z ostatniego pudła nagrobkową świeczkę i zapalił. Otworzył książkę na słowach litanii mówionej przez pana Longina, prysnęła na nie kropla stearyny. Nie była to łza i Jaon poczuł dumę.

Frania toczyła jego łóżko na dawne miejsce. Przypomniało mu to boleśnie, dojmująco, dawne czasy, gdy popychany przez Maniunię jechał w łóżku po kąpieli z łazienki, przez wielki pokój, do swojego pokoju.

Sen był dalszym ciągiem tego wrażenia. Jaon wyciągnął rękę i dotknął bez trudu ojcowskiej marynarki. Ojciec spojrzał na niego zdziwiony i jakby niezadowolony spytał:

- Co taki jesteś czuły dla ojca? Boisz się, że zginę? Znow żyję, na jakiś czas. Dopiero potem będę musiał znow umrzeć.

Wykorzystajmy ten czas synu - mówił ojciec. W jego słowach była logika właściwa sytuacji, w której był Jaon i ojciec w tym śnie. -

Jakie to proste - myślał Jaon i obejmował ojca, wdzięczny, że wrócił i przerwał ten straszny stan, w którym go nie było.

- Nie sądź - ciągnął ojciec - że miałem ci coś ważnego do powiedzenia wtedy, na spacerze. Chciałem zaproponować ci, że puścimy w niebo motyla. Pamiętasz, że motyle są tylko ruchomymi płatkami kwiatów?

- Dobrze ojczu, to ja już pójdę - odezwał się Jaon i obudził się z uczuciem rozpacz, że przerwał rozmowę i odszedł. Czuł, jak był winien, że cała jego miłość, dokąd żył ojciec, skupiła się na matce. Teraz dopiero pokochał ojca podwójnie, gwałtownie, zrozpaczony, że on się nigdy o tym nie dowie. "We śnie mogłem mu to powiedzieć, a odszedłem" - pomyślał. Wyszedł do dużego pokoju. Twarz matki rozjaśniła się, skinęła mu na powitanie.

- Idziemy zobaczyć, czy grób pana jeszcze istnieje - zwróciła się do Frani. - Może tam być lej od bomby.

- Pójdziemy nie na żaden grób, tylko po ziemniaki - odrzekła surowo Frania.

Jaon poczuł w ustach smak ziemniaków i zadrżał z pragnienia, by je jeść.

- Na jutro mamy wafle tortowe z dna kredensu - dodała Frania.

- I papugę. Niech dziecko wyjdzie to powiem resztę.

- Niech słucha - powiedziała matka.

Jaon nie poczuł dumy, tylko smutek.

- Idziemy na złodziejkę - ostrzegła Frania. - Znam z dawnych czasów pola na Okęciu. Pani będzie patrzeć, czy kto nie idzie, jak będę kopać. Ile pani uniesie?

- Przed jego urodzeniem byłam silna - matka spojrzała na Jaona.

- Musi pani udźwignąć ćwierć metra. Proszę wziąć płaszcz z dużymi kieszeniami, by i tam napchać. Idziemy natychmiast. To kawał drogi. Jaon, nie patrz tak. Twoja mama się zgodzi i weźmiemy ciebie.

Gdy matka Jaona milczała na znak zgody, Frania rozkazała mu założyć szkolny tornister.

Znaleźli się na ulicy. Szli tą drogą, co do szkoły. Jaon wydawał się sobie zbyt pilnym uczniem, który zabrawszy tornister pędzi, łudząc się, że nawet wśród pożarów odbywają się lekcje.

Uderzyło ich gorąco bijące od zgliszczy. Szli po szkłe okiennym, które chrupało pod ich stopami. Dom numer cztery jeszcze płonął. Dom numer dwa bomba przecięła na pół, jak tort. Na początku ulicy Puławskiej domy były wypalone. Można było zgadnąć, gdzie był sypialny, gdzie jadalnia, gdzie salon, jakie meble tam stały. Ich kontury, jak widma pośmiertne, mówiły o życiu, które wiedziono pewnie beztrudnie i szczęśliwie. Kolory pozostały, rzędami, piętrami, wyznaczając amfilady nieistniejących pokoi. Ich cienie pozostały w formie żółtych, fioletowych, zielonych, karminowych kwadratów, mówiły o ludziach, którzy tu nie wrócą. Na dnie domu poskręcane, przepalone żelastwo; czyli ulubione zegary, szkielety kanap, foteli, wołały na Jaona, by na nie spojrzał z żalem.

Skręcili na Mokotów. Wiele drzew było obalonych przez pociski.

Trzeba było je obchodzić lub przekraczać, jak w drodze przez puszcę. Weszli na długą ulicę, która po pewnym czasie zmieniła charakter. Znikł asfalt, pojawił się bruk. Prześwitywały pola.

Ulica zamknięta była barykadą z drzew, mebli i worków z piaskiem.

Część worków była już usunięta. Przeszli i stanęli wobec głębokiego okopu. Za okopami zaczynało się pole kartofli. Trochę ziemniaków było wyrzuconych wybuchem pocisku.

- Jaon, stań i patrz w tamtą stronę, na koniec pola, gdzie jest rząd wierzb, czy ktoś nie nadchodzi - rozkazała Frania.

- Franiu, zabrałam pieniądze - odezwała się matka. - Może da się odnaleźć gospodarzy i kupić od nich?

- Ich domy są po przeciwnej stronie pół, od strony Ochoty. Trzeba by iść tam godzinę. W takich czasach nie wolno pokazywać pieniędzy. Gdy jest głód, wolno kraść.

- Franiu, błagam, niech Frania zamilknie.

- Niech pani trzyma - rozkazała Frania i otworzyła worek.

Frania pochyliła się, wyrwała krzak, wprawnie zagłębiła rękę w ziemi i wydobyła garść jasnych, pokrytych pyłem ziemniaków.

Rzuciła je do worka trzymanego przez matkę. Jaon zdał sobie sprawę, co przeżywa matka. Robi to dla niego.

- Lekko idzie - odezwała się Frania. - Trzeba tylko wziąć pierwszy kartofel.

- Franiu, czuję się przezroczyista, jak papierek - poskarżyła się matka, Frania nie odpowiedziała, tylko wykopywała ziemniaki. Po chwili obok niej uklękła matka i zaczęła zbierać ziemniaki wyrzucone przez pociski. Posuwała się na klęczkach, jakby przebłagując Boga za swój czyn.

Jaon odwrócił się. Zobaczył miasto. Słup dymu zajmował całe niebo. Ten kolos u podstawy niepokojąco ruchliwy, spleciony z dymów czarnych, granatowych, brunatnych, puszystych, gęstych, idących szybko, prześcigających się wzajemnie, na wysokościach nieruchomiał jak najwyższy pomnik i nikt w stratosferze. "Tego naprawdę nigdy nie zapomnę" - pomyślał Jaon i usiłował sobie wyobrazić chwilę z przyszłości, gdy ten obraz wróci. "Czy ja już tego nie przeżyłem we śnie, kiedy byłem całkiem mały? - zadał sobie pytanie. - Zaraz nadleci balon i zapłonie".

Odwrócił się i ujrzał, że kilku ludzi biegnie ku nim. Pierwszy raz widział dorosłych biegnących tak szybko.

- Są! - krzyknął, nie znalazłszy innego słowa.

Frانيا i matka poderwały się. Czy ci ludzie biegną, by ich schwytać, czy sami uciekają? Były to trzy kobiety ubrane w grube watowane kaftany, chustki na głowach i mężczyzna w kaszkiecie i czarnym płaszczu.

Matka i Frania zamiast uciekać, stały nieruchomo. Matka sięgnęła do portmonetki:

- Przyszliśmy kupić ziemniaków. Sami wykopujemy, a teraz płacimy - powiedziała i wydobyla banknot dwudziestozłotowy.

Zdecydowane słowa matki, dobre ubranie, spokój i to, że żadne nie okazało lęku, speszyło nadbiegającą czwórkę.

- Nie ma w tej chwili żadnej władzy, której moglibyście nas oddać - dodała matka.

- Tym lepiej. Możemy was zaciukać i nikt nam nic nie zrobi - krzyknął mężczyzna w kaszkiecie.

- Jesteście właścicielami? Może sami przyszliście zebrać cudzych ziemniaków? - wtrąciła się Frania.

- Nasze prawo poznacie na waszych łbach.

- Radziłabym panu być ostrożnym - odezwała się matka. - Jeśli pan dotknie kogokolwiek z nas, gdy tylko życie się ustabilizuje, wytoczmy panu sprawę o takie odszkodowanie, że jeszcze tę ziemię pan będzie musiał sprzedać, żeby nam zapłacić.

- Świat się wali, a ta chce się sądzić.

- Tak. Świat się wali. Jest głód. Daję panu pieniądze.

- Mężczyzna wyciągnął rękę, zmiął banknoty i wepchnął do kieszeni.

- Musi być złoto - powiedział. - Dawaj pani obrączkę.

Matka chciała coś powiedzieć. Jaon odgadł: "O śmierci ojca i krzyknął:

- Mamo, nie mów. - "Ach, żebyśmy mieli ze sobą pistolet ojca" - myślał.

Matka zdjęła obrączkę, podała mężczyźnie, który podniósł ją do ust i zgniótł zębami, dla sprawdzenia miękkości metalu. Otarł ze śliny i schował do kieszeni.

- To zdzira! Z daleka widać, że złodziejka. Coś mi się widzi, że raz to my ją tu złapali - powiedział wskazując na Franię. - Coście nazbierali, możecie wziąć i chodu stąd.

- Należą się pełne worki. Zapłaciliśmy - powiedziała matka.

- Nic się nie należy, tylko w pysk. Bo odbiorę to, co macie.

Frانيا dała oczyma znak matce, że trzeba iść.

- Nie zjedzcie ich na surowo, jak te świnię - krzyknął mężczyzna w kaszkiecie.

Ciągle przyspieszali kroku, potykali się, bo byli głodni, ale także dlatego, że spotkali mężczyzn, ubranych w wojskowe mundury, w cywilnych czapkach, z karabinami, którzy przyglądali się ich workom.

- Franiu, niech się Frania nie przejmie. Mamy kartofle! Niech Frania popatrzy, nie ma Niemców. Ostatnia chwila, gdy ich nie widzimy.

- Ja pani tę stratę zwrócę, żeby nie wiem co - odezwała się Frania.

- Niczego od Frani nie przyjmę. Tego brakowało!

- Boże, Boże, przynoszę tylko nieszczęście - jęczała Frania.

- Niech Frania, kiedy mnie jest tak ciężko, nie każe się pocieszać

- łagodnie odpowiedziała matka.

- Znowu zawiniłam! - jęknęła Frania.

- Franiu, dość tego - powiedziała matka.

Ledwie znaleźli się w bramie, na ulicy rozległy się strzały.

Weszli cicho, w ciemności. Frania szukała świec i zapalek. Matka sięgnęła do walizeczki, wyjęła pierścionek z brylantem i włożyła go na miejsce obrączki. Ktoś silnie uderzał w drzwi.

- Kto tam? Kto tam? - pytała przestraszonym głosem Frania.

- Woynicki - usłyszeli mocny głos. - Szalałem z niepokoju! Jestem trzeci raz. Państwa nie było? - wszedłszy mówił, jakby ojciec żył, czy formę "państwo" rozciągnął na Jaona. - Widziano was w schronie sąsiedniego domu, który runął. Nie mam czasu na mówienie. Pani jest ubrana do wyjścia? Idziemy do banku. Nim wkroczą Niemcy musimy wziąć pieniądze pana Józefa. Potem mogą być zablokowane. Zdaje się, że pani ma pistolet? Trzeba wziąć. Bandy dezertersów i przestępców, wypuszczonych z więzień rabują całą ulicę.

- Franiu, opiekuj się Jaonem, jak przyrzekłaś mi kiedyś - powiedziała matka.

Zdjęła pierścionek i oddała go Frani, chcąc okazać, jak jej ufa, położyła rękę na głowie Jaona i wyszli z Woynickim.

Jaon był nieprzytomny z niepokoju. Dopiero kilka chwil po wyjściu matki, poczuł, że jest całkowicie sam na świecie. Matka nie zabrała go, dlaczego? Uważała, że idzie na pewną śmierć?

- Boże, Boże pewnie pani już nie będzie jadła tych ziemniaków. Jak zginęło jedno to i drugie - powiedziała Frania.

Jaon chciał, by zamilkła. Sama mówiła, że przynosi nieszczęście.

Nasłuchiwali i liczyli strzały:

- Jeden, dwa, o, już pięć...

Przypomniał sobie wieczór, kiedy rozchorował się po wyjściu rodziców z domu. Rozpaczał wtedy, a jak był bezgranicznie szczęśliwy! Teraz powtórzyło się dokładnie to samo, tylko naprawdę, groźnie i nieodwołalnie. Nie można już było wysłać Maniuni po ojca. Gdzie była matka? Czy kiedykolwiek ją zobaczy? Poszła taka smutna, że straciła obrączkę. Może martwi się, że ojciec miałby o to do niej żal? Jaonowi było trudniej powstrzymać płacz niż na cmentarzu. Poszedł do swego pokoju, uklęknął i modlił się; ale nie do Boga. Powtarzał:

- Mamo, mamó, mamó. Proszę, nie karz mnie za wszystko zło, co ci wyrządziłem, jako twój syn. Wróć! Nie zostawiaj mnie, samego. Nie boję się wojny, tylko bycia bez ciebie.

Pomyślał: jeśli ojciec jest w niebie, niech mu pomoże i nie dopuści, by matka zginęła. Wtedy poraziła go myśl, jakby go przebito szpadą; matka mówiła, że chciałaby iść za ojcem, by połączyć się z nim. Wydało mu się, że widzi ojca przy bramie raju. Zapomniał o nim. Czeka na nią. Wypatruje, czy nie nadchodzi. "Ojczy, gdy ją zobaczysz, wypędź ją. Każ jej wracać do mnie. Nie odbieraj mi jej" - błagał Jaon wijąc się z rozpacz i zanosząc się płaczem. Dopiero teraz opłakiwał ojca i wydało mu się, że to właściwy moment, bo może do niego mówić. I zrozumiał, że pozwolił sobie na płacz nad umarłym ojcem dopiero, gdy zawisło niebezpieczeństwo nad matką. "Przebacz tato, przebac" - skomlił, bo czuł większą winę wobec niego i bał się, by ojciec zagniewawszy się, nie zatrzymał matki, by go ukarać.

Otworzyły się drzwi. Jaon skoczył na równe nogi, ale to była tylko Frania.

- Niech Frania nie przeszkadza - ryknął Jaon, zawstydzony, że widzi go zapłakanego. - Proszę wyjść!

- To tak Jaon do mnie się zwraca? Jeśli matce coś się stało, a ja odejdę, kto ugotuje te ziemniaki?

- Mam wuja Rudolfa - odrzekł Jaon, pamiętając, że o nim mówiono, że w razie czego będzie ratunkiem.

- Gdzie go szukać? Czy przetrwał? Ja tu przychodzę pocieszyć Jaona, a Jaon kiedy wszystko traci, dopiero okazują pańskie maniere. Jaon jest już tylko biednym dzieckiem, może już pełną sierotką.

Nienawidził Frani za to, że go straszyla, że łatwo godziła się z myślą, że jej chlebodawczyni, która zrobiła dla niej tyle dobrego, nie żyje, bo ton Frani wobec niego wskazuje na to, że sądzi, iż pani nie wróci! Za długo to trwało. Ojciec często wracał z banku piechotą. Szedł dwadzieścia minut. Myśl Jaona zwróciła się ku panu Woynickiemu. Ten człowiek zabrał stąd matkę, skazał na śmierć. Będzie za to odpowiadał przed Jaonem! A jeśli zginął, ponieważ chciał pomóc Jaonowi i jego matce? Wtedy Jaon winien jest wobec Niki, która mu tego nie wybaczy.

Uświadomił sobie, że Frania dalej jest w pokoju. Czeka, by prosił ją o opiekę nad sobą? Niech sobie czeka. Frania jednak patrzyła cały czas na Jaona gniewnie i współczująco zarazem. To było nie do

zniesienia, a jednak Jaon powstrzymywał się całą siłą od powtórnej próby wyrzucenia jej za drzwi. "Więc już zaczynam się liczyć z nią, bać się jej, bo będzie mi potrzebna, stanę się od niej zależny?" - wyrzucał sobie Jaon. - Nie, nie, to dlatego, że kiedy matka wróci i Frania poskarży się jej na moje zachowanie, matce będzie przykro".

Usłyszeli niecierpliwy głos matki:

- Gdzie wy się chowacie?

Jaon rzucił się do niej, zderzyli się w progu.

- Byłbyś mnie przewrócił. Synu ja nie mam siły.

Ale była wzruszona radością Jaona. Wyjęła z kieszeni plik pieniędzy owiniętych w gazetę, cisnęła na stół. Frania, potulna, usłużna zdjęła z niej płaszcz.

- Wydziel herbaty z zapasu, z dużej puszki ze smokami i zrób mocnej - poleciła matka.

- Niech pani idzie do kuchni. Chcę wiedzieć jak było. Nie chcę tam sama siedzieć.

W kuchni stał jedyny, żółty garnek z obranymi kartoflami. Frania dołożyła węgiel do ognia. Gazu nie było. Wszyscy troje usiedli na łóżku Frani.

- Gdy wyszliśmy, wybuchła strzelanina. Martwiłam się, że ją słyszycie. Banda, w której widziałam kobietę, rabowała sklep Giżyckich. Tam nie kupowaliśmy. Skądś wziął się regularny oddział wojska i zaatakował bandę. Musieliśmy uciekać w przeciwną stronę niż bank i obchodzić daleko, przez Kruczą, i Żurawią. Tam znowu rozpadał się płonący dom, więc znów musieliśmy zawracać ku Wspólnej. W banku paru pracowników niszczyło dokumenty. Kasjer, gdy dowiedział się, że go szukamy, zbiegł do podziemi. Ukrył się w skarbcu, zatrzaskał kratę, zza niej krzyczał: - "Muszę oddać Niemcom wszystko w porządku". Dopiero gdy pan Woynicki przypomniał mu regulamin, że w skarbcu musi przebywać co najmniej dwu pracowników, wyszedł stamtąd. Powiedział: - "Wydałbym pieniądze, tylko gdyby mi ktoś przyłożył pistolet do głowy". Pan Woynicki dał mi znak. Podałam mu nieznacznie pistolet ojca. Pan Woynicki przystawił go kasjerowi do skroni. Kasjer otworzył pancerną szafę i zaczął liczyć pieniądze.

Jaon dostawszy pierwszego ziemniaka, wchłaniał jego zapach. Nie wiedział, że kartofle pachną tak mocno, tak krzepiąco.

Następny dzień był piękny, pogodny i cichy, a przy tym ciemnawy. Słońce tylko czasem ukazywało się przez dymy. Gdy znaleźli się na podwórku poczuli woń, którą Jaon nazwał w myśli wonią "zwęglonego kamienia". Śmierdziało zgnilizną, trupami, przypalonymi liśćmi, umierającym miastem. Wyszli na ulicę i nie poznali jej. Wydawało im się, że widzą jej kliszę. Okopcone, czarne domy, płonęły rzędami. Było już w nich mało ognia, tylko żar dawał niespokojne i ruchliwe światło od dołu, gdy od nieba biła ciemność.

Dziwnie było iść na skwer, gdzie pod cienką warstwą ziemi był ojciec. Czuł, że jest przestępstwem wobec ojca myśleć w jakim jest stanie, co z niego zostało, czy ma jeszcze oczy, czy zachowały się uszy, nos, że zbrzydł straszliwie, jest ohydny i Jaon nie

odważyłby się go dotknąć. To jeszcze wszystko było, istniało, w dniu pogrzebu patrzył na to. Zarazem wypełniało go uczucie błogości trwającej od wczoraj nieprzerwanie - matka żyje. Od wczoraj wiedział, czym byłoby utracenie matki. Śmierć ojca była mniejszym nieszczęściem? Tak, ale tym, że postanowił polec ojciec spowodował, że matka musiała wśród pożarów i świszczących na ulicy kul iść po pieniądze, które po nim zostały.

Pierwsze chwile z Franią po tym, gdy upewniła się, że matka Jaona nie wróci, odsłoniły coś, czego Jaon nie spodziewał się ujrzeć: szczelinę w świecie, z której przemawiała do niego Frania, niby życzliwa służąca, zarazem straszna, ta, która kradła i była w szpitalu dla wariatów.

Bez matki nie mógłby istnieć. Zrobiłby to samo, co ciotka, która umarła, bo sama tego chciała. Bałby się skoczyć z balkonu, śladem kukły. Ale był pistolet ojca. Tylko już nie Jaon w lustrze byłby celem.

Ścisnął ile miał siły dłoń matki i przytulił do niej twarz.

- Zostaliśmy we dwoje na całym świecie - odezwała się matka, jakby odgadła jego myśl i odpowiedziała na nią tak: "Gdyby tobie miało coś się stać, ja bym tego nie przeżyła".

Z daleka Jaon zobaczył, że tankietka została trafiona i spłonęła.

Grób ojca był nie naruszony. Stał krzyż, był hełm; przybyła na nim długa krecha od odłamka. Ktoś tu niedawno położył nagietkę.

Ojcu, jak nieznanemu żołnierzowi, rzucono ten kwiat. Matka wyjęła świeczkę nagrobkową, jedną, bo kończyły się i groziło im, że będą siedzieli w ciemności. Zapalając ją, uśmiechnęła się, jakby do ojca, prosząc go o wybaczenie.

Jaon odszedł w stronę samochodu pancernego. Pocisk uderzył w motor. Pancernik poddał się i rozsadziło silnik. Od niego zapalił się pojazd, wybuchła amunicja, znosząc tył. Gąsienice zerwało i odrzuciło na parę metrów. Hamował w sobie pragnienie, by wziąć sobie jakąś część. To by było, jak świętokradztwo. Nagle spostrzegł strzęp opalonego materiału khaki. To była resztką płaszcza, który żołnierz, wyskoczywszy z wieżyczki, paląc się, zrzucił z siebie. Na tym zielonym strzępie widniała brązowa cuchnąca plama: ktoś tym szczątkiem bohaterskim się podtarł.

Postanowił nie mówić o tym matce. Ktoś do niej podszedł. Matka płakała, oni też. Ściskali się i obejmowali z matką. Jaon zbliżył się. Byli to ludzie, których Jaon nigdy nie widział.

- Synu, to rodzina starszego strzelca Stanisława Żelaski, który był odkomenderowany do dyspozycji twojego ojca. Poznaj państwa. To mój syn nazywany Jaonem. Gdy twój ojciec Jaoniku wychodził wtedy, w czasie ostrzeliwania, naprzeciw pociskom, rozkazał Stanisławowi Żelasce zostać w okopie. Pan Żelasko nie usłuchał rozkazu, siedł z nim. Ojciec odwrócił się i nakazał mu pod groźbą sądu polowego wrócić do okopu. Mój Boże. Tylko dla siebie rezerwował przywilej śmierci. Pan Żelasko cofnął się. Gdy następnego dnia dowiedział się o śmierci twojego ojca, poprosił o odkomenderowanie do pierwszej linii. Poległ w czasie odpierania ataku czołgów. Leży prawie obok.

Podeszli do tego grobu. I tam leżała nagietka.

- Będą ich szybko ekshumować - odezwała się młoda kobieta, wdowa po Żelasce. - Płytko są zakopani. Pani mąż ma trumnę, mój jest rzucony prosto do ziemi. Trzeba się śpieszyć, inaczej znajdą się we wspólnym grobie i nigdy już ich nie odnajdziemy.

- Pomieszczenie szczątków naszego chłopca ze szczątkami jego dowódcy byłoby dla nas zaszczytem - odezwał się stary mężczyzna.

- Ojczy, nie czas na takie bredzenie - skarciła go Żelaskowa.

- Będziemy się trzymać razem - mówiła matka. - Może uda mi się załatwić, by leżeli obok siebie. Niech pani przyjdzie nas odwiedzić.

Nawet teraz matka miała bilet wizytowy przy sobie. Podała go pani Żelaskowej.

- Proszę nie myśleć, że mam żal do pani męża - mówiła Żelaskowa nie chowając biletu, jakby chciała go zwrócić na wypadek, jeśli matka Jaona, uspokojona jej słowami, okazałaby wahanie co do dalszych spotkań.

- Dzięki za te słowa - odrzekła matka. - Czekam. Mam herbatę i cukier na co najmniej tydzień.

Gdy Żelaskowa brała bilet, zobaczyli, że zmierza ku nim niemłoda kobieta w żałobie, z teczką w ręku.

- Ach, kochane panie wdowy. Można was poznać z daleka. Ile teraz jest wdów w Polsce? Ja jestem matką. Mnie straszniej. Nie wiedzą panie przypadkiem, gdzie leży podchorąży Sulatycki z 22 kompanii saperów? Idę od cmentarza do cmentarza. Ile cmentarzy, w parkach, ogrodach, na trawnikach i skwerach. Nie wszyscy mają wypisane tabliczki. Wojsko już idzie do niewoli. Jeśli go nie znajdzie? Rozkopywałabym mogiły, by zajrzeć, czy go tam nie ma. Na jednej - wydawało mi się - widzę jego hełm, bo widziałam go w nim. Zaczęłam kopać, ustałam w połowie. To była zwida, grzech wobec bohatera, który tam leży. Zasypałam, co naruszyłam. A może wezmę jednego z tych - wskazała na rzędy grobów - po których nikt się nie zgłosi i przygarne, usynowie? Jakaś matka, która nie może go odnaleźć, jak ja swojego syna, będzie mi wdzięczna.

Ojciec Żelaski uklęknął przy grobie syna, jak z wdzięczności, że choć tyle jest mu dane, żegnał i modlił się na głos. Wtedy dopiero pani Sulatycka spostrzegła Jaona:

- Ach te dzieci niepodległości, wypieszczone, urodzone do wyższych celów. Jaki los czeka cię chłopczyku? To moja zawiść. Żałuję, że nie urodziłam mojego syna później, że nie jest mały, jak ty. Wtedy miałabym go, jak twoja matka ma ciebie. - Nie wolno oddawać się we władzę wyobraźni - powiedziała matka. - Ona może się stać naszym katem i zamęczyć nas.

- A ja mogłabym do pani zajść, odwiedzić? - spytała pani Sulatycka matkę Jaona.

Matka Jaona poprosiła ją, by przepisała adres od pani Żelaskowej, powiedziała do widzenia nowym znajomym, przeżegnała grób ojca, wzięła Jaona za rękę i ruszyli w drogę powrotną.

Pierwszy raz było dużo ludzi na ulicach. Całe pochody szły w obie strony niosąc toboły. Najczęściej rzeczy były upakowane w poszwach

pościelowych. Nawet garnki były teraz skarbem, bo taszczono je, pozawieszane na sznurkach.

- Mamo, skąd oni uciekają? - spytał.

- To ci, których mieszkania spłonęły lub zostały zburzone.

Tłumek gromadził się przy trotuarze na placu, zasłaniając widok.

Jaon upierał się, by poszli w tę stronę.

- Spieszmy się. Ludzie, co nas napadli na kartoflisku, zasiali we mnie obawy co do Frani. Została z całą biżuterią, ze wszystkim, co mamy. Czy ją zastaniemy? Jeśli ją krzywdzę, niech Bóg mi wybaczy. Chodź, już za dużo widziałeś Jaoniku - oponowała matka.

- Ja muszę, muszę wszystko widzieć - upierał się Jaon.

Gdy przebili się do pierwszego rzędu, stwierdzili, że jezdnia jest pusta.

- Nie głupio ci Jaoniku stać tak, nie wiedząc po co? - szepnęła matka.

Ale w tłumie przechodziła wiadomość z ust do ust: - Idą, idą - odezwał się ktoś głośno. Rozległ się szloch.

Najpierw dał się słyszeć miarowy chrzęst, coraz silniejszy, przechodzący w huk. Uderzenia w trotuar pochodziły od tysięcy podkutych butów. Jaon zobaczył nieznany sobie niebieskawy odcień zieleni. Mur niebieskiego wojska. Zajmowali całą szerokość jezdni. Szli szesnastkami. Nogi obute w saperki unosiły się wyżej niż nogi polskich żołnierzy, gdy maszerowali i uderzały w bruk z całą siłą. Lewe ręce, wolne od karabinów wyrzucali dalej niż Polacy. Hełmy mieli głębsze, wchodzące na oczy. Wzrok żołnierzy był skierowany przed siebie. Żaden nie widział zburzonego miasta ani tłumy, który stał w śmiertelnej ciszy, w której rozlegał się ten sam, hamowany szloch.

Powiał wiatr. Z drzew posypały się liście, zeschnięte od gorąca pożarów. Jaon przypomniał sobie pytanie z przed lat do matki, gdy śpiewała mu przed zaśnięciem: "Co to znaczy: "leci liśćmi z drzewa, co wyrosło wolne?" Gdy te liście rozwijały się z pączków, był wolny, żył jego ojciec i wszystko miało być inaczej.

- Mamo - szarpnął ją za rękę. - Czy to, na co patrzymy, jest historią? Czy widzimy historię?

- Gdyby żył ojciec, odpowiedziałby ci - matka wyciągała go z tłumy patrzących. - Nie wypada gapić się na nich. Ty mnie do tego zmusiłeś.

Frania otworzyła, nim zdążyli zadzwonić. Już niepokoiła się. W czasie ich nieobecności wychodziła i zdobyła trochę mąki, i kaszy w małych tutkach.

- Co pani każe na obiad? - spytała jak przed wojną. Chciała swoją panią pocieszyć, ale matce stanęły łzy w oczach.

Rano Frania i matka rozmawiały w dużym pokoju. Wszystko było jak przed wojną, tylko ojca nie było, nie było go w żadnym miejscu na świecie. Gdy Jaon ukazał się w drzwiach dużego pokoju odgadł, że Frania wróciła z miasta i przyniosła wiadomości. Matka zobaczywszy go zawołała:

- Mówiłam! Nie ciągnij szpady z Marzeniowa! Na murach ukazały się niemieckie obwieszczenia nakazujące oddanie broni, także białej, w

terminie natychmiastowym, pod karą śmierci. Tam by wuj przechował ją w sianie. Tu nie ma gdzie. Nie będę cię narażała, z góry cię uprzedzam. Musimy też oddać radio.

Wyruszyli natychmiast. Frania wzięła radio, Jaon przypiął szpadę. Wysunął się na czoło ich małego pochodu. Był dumny, że po kapitulacji idzie ulicą Warszawy uzbrojony. Obniżył rapcie, by zawadzała o bruk i brzęczała. Przyszło mu na myśl, że spotkawszy Niemca mógłby przebić go z nienacka. Przechodnie przyglądali mu się, nie wierząc oczom.

Niektóre domy jeszcze płonęły. Czuć było bijące od nich gorąco. Gdy dochodzili do placu, ujrzeni, że żebrak wrócił na swoje miejsce: zaskoczyło ich, że ubrany jest w polski mundur polowy. Na głowie miał rogatywkę z orłem. Miał nogi, czy nie? Do połowy ciała był owinięty kocem. Lewą rękę miał na temblaku, ubrudzonym krwią czy farbą. Otaczali go ludzie, dawali co mieli. Przyjmował nawet mąkę, kaszę. Pytali gdzie walczył. Udawał, że płacze i nie może wymówić słowa.

W komisariacie, gdzie nakazano oddawać broń, nie było widać Niemców. W jednym pokoju oddawano radia, w drugim palną broń, w trzecim białą. W drzwiach tego pokoju stał uzbrojony polski policjant w czapce z paskiem pod brodą i wpuszczał po jednej osobie. Zobaczywszy małego chłopca zawahał się, ale zrobił gest przyzwalający. Jaon wszedł do pustego, pozbawionego mebli pomieszczenia o brudnych ścianach. Okna były zakratowane. Pod ścianą przeciwległą do drzwi piętrzył się do sufitu stos szabel, bagnatów, rapierów. Jaon dostrzegł nawet obusieczny miecz. Jaon odpiął szpadę, zatrzymał ją jeszcze na sekundę w ściśniętej cisnął ją na stos. Zabrzęczała jękliwie szpada po dziadku, w stosie coś się obsunęło. Policjant chwycił Jaona za ramię, aż uniósł w górę i wypchnął za drzwi.

Matka nie wchodziła do pokoju gdzie oddawano broń palną. Gdy mówili przy Frani o oddaniu broni, nie wspomniała o pistolecie. Gdzie go ukryła? Schować szpadę było trudno, ale w ogromnych przestrzeniach ich mieszkania, matka mogła znaleźć miejsce na parabellum. Jaon wiedział, że nie trzeba o to pytać. Gdy dochodzili do domu, Frania odezwała się:

- Bogu dzięki, że pan zginął. Tylko by się męczył.

- Franiu, niechże Frania przestanie - skarciła ją matka.

Frania milczała, ale nie wyglądała na obrażoną. Jaon poczuł, że boli go ramię jak po walce. Policjant swoją gwałtownością okazał, że ciśnięcie szpadą przyjął jako wyzwanie.

Matka wysłała Franię do szkoły, by dowiedziała się, co z rozpoczęciem roku. Jaona to zdziwiło. Przyjął nieświadomie, że skoro trwa wojna, nie będzie musiał chodzić do szkoły. Zapomniał o nauce. Frania wróciła z wiadomością, że szkoła zaczyna się pojutrze, bez czekania na zezwolenie niemieckie. "Tym bardziej teraz, dzieci polskie nie mogą tracić ani dnia" - powiedział woźny. Nauczycielka Jaona rozplakała się na wiadomość o tym, że jego ojciec poległ.

- Franiu, nikt z kolegów nie zginął?

- Trzeba było kazać spytać - odburknęła Frania.
- Tomek i Szachowski żyją? Może o nich mówiono?

Frania wzruszyła ramionami.

Gdy dwa dni potem Jaon przygotowywał się do wyjścia, matka powiedziała:

- Lepiej nie brać tornistra. Weź jeden zeszyt, schowasz go do kieszeni i tam możesz na brudno napisać treść lekcji, a w domu przepisziesz do zeszytów.

Kazała iść Frani z Jaonem, ale potem zaniepokoiła się czymś i dogoniła ich na ulicy. Zobaczyli patrol niemiecki, sześciu żołnierzy. Jaon spostrzegł nową broń: pistolety maszynowe. Nie przyznawał się przed sobą, że go zachwyciły. Oceniał, że magazynki muszą mieć po trzydzieści naboji.

W szkole nawet uczniowie z trzeciej klasy mu się kłaniali.

Nieznajoma nauczycielka z wyższych pięter przechodząc blisko, położyła mu rękę na głowie. Ich pani podeszła do matki Jaona i spytała:

- Jak to się stało?

- Nie. Nie teraz - cicho powiedziała matka.

- To ja bardzo przepraszam - odrzekła nauczycielka i cofnęła się.

W drzwiach klasy czekał na niego Szachowski. Nie okazał, że cokolwiek wie. Jaonowi przypomniał się bal szkolny. Ojciec i pan Woynicki byli zajęci ważną rozmową, jak nieobecni. Czy już wtedy wiedzieli, co czeka ich i ich dzieci? Jaona dziwiło, że mimo śmierci ojca, pamięta o Józefinie i szuka wzrokiem Bokrzyckiego, by go o nią zapytać i upewnić się, że żyje.

Szachowski objął go w pól i powiedział:

- Jechałem z Paryża, by zdążyć na wojnę do Polski. Matka oddała mnie pod opiekę obcym ludziom, którzy jechali w tym samym przedziale. Okrążyliśmy Niemcy przez Włochy, Jugosławię, Węgry. 31 sierpnia byłem w Warszawie. Chciałem cię odwiedzić, ale nie wiedziałem, czy twoi rodzice nie będą się gniewać. Potem usiłowałem wysłać kierowcę, żebyście przyszli do naszego schronu, ale mój ojciec powiedział, że to za duża odpowiedzialność. Mogło uderzyć w nas. - Po chwili dodał:

- Powiedz: mimo że jest wojna i wszystko się zmieniło, twoja matka nadal nam nie pozwoli się przyjaźnić?

Zrobiło mu się przykro: nie o zakaz rodziców, ale że nie walczył przeciw niemu. Gdyby błagał o jego zniesienie, pewnie ulegliby.

Jego obojętność była przyczyną, że nie stali się z Szachowskim przyjaciółmi. Szachowski wymienił tylko jego matkę. Pierwszy raz słyszał tę formę. Tak musi się czuć kaleka bez nogi, który pierwszy raz wyszedł na ulicę.

Pomówię o tym z matką - odezwał się poważnie Jaon.

Ta rozmowa zbliżyła go z Szachowskim jak żadna dotąd. Przechadzali się po korytarzu tam i z powrotem. Nikt nie biegał. Dawne zabawy wydawały się śmieszne i Jaon zastanawiał się, czy gdyby przyszedł Szachowski, będzie wypadało wyciągnąć żołnierzy ołowianych.

Bokrzyckiego nigdzie nie było. Jak w odpowiedzi na myśli Jaona, pani ogłosiła:

- Już pierwszego dnia musimy rozstać się z waszym kolegą Bokrzyckim. Przepisy niemieckie zabraniają mu chodzić do naszej szkoły. Żegna się z wami serdecznie, pozdrawia wszystkich kolegów - spojrzęła na Jaona. - Liczy, że spotkacie się po wojnie. Dokuczaliście mu. Teraz musicie się wstydzić. Macie dowód, że nie wolno być niedobrym dla nikogo.

Kogo zapytać o Józefinę? Czy Bokrzycki miał żal o to, że Jaon zabrał mu Józefinę? Przecież Józefina odnalazła go sama, znając z opowiadań Bokrzyckiego. Może po to poznała Jaona i zajmowała się nim, by przyjaźnie go usposobić do Bokrzyckiego? Może Bokrzycki przedstawił Jaona jako chłopca, który mógłby mu pomóc w stosunkach z klasą? Nie był świadom, kim dla Bokrzyckiego była Józefina. Może jego kuzynką?

- Synu ty teraz się w ogóle nie bawisz. Masz góry zabawek.

Zapomniane, tęsknią za tobą i smucą się.

Posłusznie podbiegł do rogu, gdzie je gromadził, zdziwiony, że matka każe mu się bawić, zamiast uczyć. Rzeczywiście przez minione lata urosły w stos. Misie i małpki były wypchanymi kawałkami pluszu, laleczka niewielką ilością bakelitu. Wypchnął na środek pokoju pudło z żołnierzami, otworzył je i ogarnęła go rozpaczliwa tęsknota, wywołana przez zapach bzu, który zostawiły mydełka, działający silniej niż prawdziwych kwiatów. Uderzyło go zgęszczone wspomnienie szczęśliwych poranków sprzed wojny. Matka szła z łazienki i szykowali się do spaceru.

Dopiero po chwili spostrzegł, że Abisyńczycy, Indianie, Legia Cudzoziemska, Czwartacy leżą rzędami, nieruchomi, polegli.

Cmentarzysko, pachnące bzem, ale z głębi coś wołało. Wyjął figurkę legionisty. Mundur zgodny z regulaminem Legionów Piłsudskiego, prosta podstawa, szerokie ramiona, grube łydki w owijaczach, pewny siebie, długi krok w marszu ku śmierci przypominały ojca. Nawet twarz nosiła znamię podobieństwa; oko, kropeczka tej samej niebieskiej farby co mundur, patrzyło nieustraszenie.

"Ojczy, ojczy" - zapłakał bezgłośnie Jaon. W wielkim pokoju na owalnym stoliku stała rzeźba z brązu na cokole z czarnego marmuru przedstawiająca tancerkę. Jaon ją wykręcił z postumentu. Gdy Jaon robił to, obracała się i wydawało się, że tańczy. Schował figurkę z brązu do pudła z żołnierzami, a na cokole umieścił legionistę. Rozległy się głosy w przedpokoju. Było za późno, by ukryć ten pomnik. Matka wprowadziła stryja Hieronima i stryjenkę.

- Po drodze wstąpiliśmy do banku. Myśleliśmy, że go tam zastaniemy - powiedział wuj Hieronim.

- Nie mów tego Hieronimie - przerwała mu matka Jaona.

- Ach bratowo! Musisz przywyknąć. Bunt przeciw przeznaczeniu niszczy nas samych... Albo trzeba było go zatrzymać - wyrzucił z siebie wuj Hieronim i zreflektował się. - Jestem zły na niego, a zrobiłem przykrość tobie.

- Zły? Na nieżyjącego brata? Dał ci choć cień pozoru? - spytała matka Jaona.

- Nie chodzi mi o mnie - odparł stryj. - Jak można powoływać na świat dziecko, by zrobić z niego sierotę?

- Nie jest sierotą, bo jego matka żyje - odezwała się matka Jaona.
Stryjenka chcąc zmienić temat powiedziała:

- Czy Jaona można przeprosić?

Jaon wyszedł szybko, nie czekając na odpowiedź matki, by zaznaczyć, jak mało mu zależy na przebywaniu ze stryjostwem.

- Ja już wygrałam wojnę - oświadczyła uroczyście stryjenka. -

Panna Świdwińska zerwała z Hieronimem, a on się z tym pogodził. Są za trudne czasy, by obciążać się panną Świdwińską. Zostały po tym Hieronimowi niebotyczne długi. Wojna wybuchła w porę. Nikt nie zwraca pożyczek - stryjenka mówiła tonem tryumfalnym. - Dzięki temu, że sama zerwała, oddała część biżuterii.

- Nie część, tylko wszystko - poprawił stryj Hieronim.

- Hieronim - odezwała się matka Jaona - był taki uroczy, gdy był młody. Cudowni dwaj bracia. Jednego nie ma. - Wybacz Hieronimie otwartość - drugi jakby znikł. Jesteś przejęty, nie dlatego, że dowiedziałeś się o śmierci brata, ale że ledwie pozbyłeś się kłopotów z panną Świdwińską, spadną na ciebie inne, nie dające przyjemności, czyli opieka nad nami.

- Zerwanie przyspieszył twój mąż. Miał z panną Świdwińską rozmowę - odrzekł z gniewem stryj.

- Jesteś zazdrosny? - wybuchnęła radosnym śmiechem stryjenka. - Cóż powiedział, że poruszył tę kruchą istotę?

- To była rozmowa między nimi - wtrącił się stryj.

Jaon zrozumiał, że słowa stryja mają znaczyć, iż panna Świdwińska osiągnęłyby swój cel. Ojca i tak nie byłoby z nimi. Tylko tamto mogłoby być smutniejsze i boleśniejsze. Ale żyłby!

- No, Michale - odezwał się uroczyście stryj, gdy zawołano Jaona. W pierwszej chwili nie zorientował się, że mówi do niego. - Dość nazywania cię Jaonem. To brzmiało śmiesznie. Przestałeś być dzieckiem, jesteś dorosłym mężczyzną, na którego spada odpowiedzialność za matkę. Teraz ty jesteś głową domu.

- Nie rozporządzaj, kto tu jest głową domu - przerwała mu matka Jaona - bo chcąc się rzec, możesz nabyć tu za dużych praw, które będą ci ciążyły.

Stryj dał znak stryjence i wyszli. Za chwilę rozległo się pukanie i stryj Hieronim stanął w drzwiach wejściowych.

- Z tego wszystkiego zapomniałem zapytać gdzie jest pochowany. Gdy wyszedł po raz drugi, matka pogładziła Jaona po głowie.

- Stryj Hieronim tak przeraził się śmiercią twojego ojca, że odpowiedzialność za nas złożył na ciebie. Jesteśmy zdani na siebie. Ty masz mnie, a ja ciebie. Nie możesz wiele zrobić, poza jednym - opieką nad matką. Będiesz dobry i uważający, jaki był ojciec. To przejmiesz po ojcu, ja resztę. Będę ci teraz ojcem.

Musisz być bardziej posłuszny, bo jestem teraz dla ciebie obojgiem rodziców.

- A wuj Rudolf? On nam pomoże?

- Czy my nie będziemy musieli mu pomagać?

- Szachowski może do mnie przychodzić? Proszę, pozwól. Jechał z Paryża do Polski, by w czasie wojny być tu. Chciał nas wziąć do swojego schronu.

- Ojciec podzielał moje zastrzeżenia. Czy nie powinniśmy być wierni jego postanowieniu? Naprawdę lubisz Szachowskiego? Czy on cię lubi? Czy nudzi się, widzi w tobie podobnego do siebie chłopca, który jest trochę samotny i to go w tobie pociąga?

- Mamo, ja miałem bardzo ważną rozmowę z Szachowskim.

- Dziecko kochane, ważne rozmowy będziesz prowadził za dwadzieścia lat.

Frania wniosła świecę, przerywając rozmowę.

- Synu, lubię płomień świecy. Tym Niemcy mi nie dokuczyli, ani godziną policyjną. Jest jak w czasie pierwszej wojny światowej w naszym domu w Marzeniowie. Ty tego nie oglądałeś, ale właściwie czy nie wszystko jedno, która jest wojna? - dodała bez związku.

Jaon nie wrócił do tematu Szachowskiego. Rano w szkole odnalazł go.

- Nie śmiałem mamy pytać o to, co miałem zapytać. Teraz nie zawsze mam odwagę z nią rozmawiać - skłamał.

Szachowski wziął go silnie pod ramię. Ruszyli korytarzem.

Po południu służąca państwa Woynickich przyniosła list. Pan Woynicki donosił, że sprowadził rodzinę z przedłużonego letniska. Dodał, że tamtego dnia zapomniał powiedzieć, że pocisk rozwalił im mieszkanie, na szczęście "wybierając niepotrzebny teraz do niczego salon". Pan Woynicki zapowiadał wizytę w najbliższych dniach. Przy liście było post scriptum: "Nika mocno całuje Jaona" napisane przez pana Woynickiego, a podpisane "Nika" wielkimi, niezdarnymi literami.

Matka zatrzymała służącą państwa Woynickich i odpisywała coś pośpiesznie, gdy znów rozległo się pukanie. Matka podniosła czujnie głowę. Słysząc było głos Frani z pierwszego przedpokoju, jak ostatnio bywało, niezbyt uprzejmy. Wreszcie weszła i powiedziała:

- Jakiś pan do pani.

Matka przerwała pisanie listu i odwróciła głowę. Nieznajomy, trzymając kapelusz w ręku wszedł do środka. Speszony, że zastał sytuację, której nie przewidział: jakąś kobietę w płaszczu i panią domu piszącą list. Skłonił się.

- Słucham pana?

- Pani mnie nie poznaje?

- Nie - odparła matka.

Jaon pomyślał, że to wysłannik od ojca.

- Mam obawę, że pani chce mnie potraktować jako nieznajomego i wyprosić za drzwi - odezwał się mężczyzna.

- Ach, Boże mój. Już wiem. Nie, nie wyrzucę pana za drzwi, tylko zakleję list - wręczyła kopertę służącej państwa Woynickich. - Nie mamy po siedemnaście lat. Dopiero kiedy usłyszałam hamowany żal, urazę w pana głosie, poznałam. Proszę usiąść.

- To pani syn? - odezwał się.

- A któż miałby być, drogi panie?

- Wiele słyszałem o tobie - zwrócił się nieznajomy do Jaona.

- Niechże się pan wstrzyma od mówienia takich rzeczy małemu chłopcu.

- To było wstępem zwrócenia się do niego z prośbą, by nie gniewał się za to, co powiem. Chcę panią prosić o rozmowę w cztery oczy.

- Jestem przyzwyczajony - odezwał się Jaon i ruszył ku swojemu pokojowi.

- Ej, Jaoniku zawróć i idź do gabinetu - odezwała się matka.

Oznaczało to, że rozmowa będzie naprawdę tajna. Jaona uderzyło, że matka nie użyła określenia "gabinet ojca", tylko "gabinet".

Najmniejszy blask nie rozrzedzał ciemności pokoju z podwórza, bo Niemcy utrzymali zarządzenie o zaciemnieniu. Na kawałku nieba widocznym między dachami przesuwały się chmury. Wpatrzywszy się dobrze, widziało się, że chmury nie są w ruchu, ale wali się przeciwległa oficyna. Gdyby była Maniunia, poszedłby do kuchni, ale w miarę jak Frania była dla nich coraz lepsza, stawała się niegrzeczniejsza. Jaon zaczynał jej prawie nienawidzić.

Kim jest pan, przez którego siedzi tu jak za karę? "Jego bardziej nie znoszę niż Frani" - myślał Jaon.

Wreszcie matka otworzyła drzwi.

- Pan chce się pożegnać - powiedziała.

Nieznajomy uściśnął Jaonowi dłoń z szacunkiem, jakby Jaon zajmował stanowisko dyrektora banku.

Frانيا zamknęła drzwi za nieznajomym, wróciła.

- Czego on chciał? - spytała.

- Franiu, na miłość Boską! - zawołała matka. - Jak uznam za stosowne to sama Frani powiem.

Frانيا wyszła do kuchni obrażona. Matka zaczęła przechadzać się tam i z powrotem wzdłuż dużego pokoju. Była to wygodna i długa droga, którą kiedyś biegał Jaon, a potem chodził ojciec przed pójściem do wojska. Może być dwadzieścia metrów - obliczał Jaon. Nagle matka zatrzymała się i wybuchnęła śmiechem.

Po kolacji matka kazała mu iść spać. Słyszał jej kroki, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Ile minęło czasu, gdy cicho otworzyła drzwi jego pokoju? Spojrzała, czy Jaon nie śpi. Jaon dał jej znak.

Przysiadła na jego łóżku:

- Pan, który był, zobowiązał mnie, bym zwróciła się do ciebie z pytaniem. Zastanawiam się, czy uznać to zobowiązanie. Ale twój stryj mimo, że wychodził z innych założeń niż ja, miał trochę racji. Moje życie ze śmiercią twojego ojca skończyło się. Żyję tylko dla ciebie. Ty z kolei, nie mając ojca, musisz czasem zastępować go sam sobie i mnie, jako mój opiekun. Tymczasem otrzymasz rolę doradczą, ale potem przejmiesz wszystko. Czy kiedy byliśmy w kościele w Marzeniowie w czasie wakacji, rok przed wojną, zauważyłeś, że w tłumie stał ktoś, kto przyjrzał się nam i nagle się odwrócił? Pewnie nie. I nie wiem, czy ci zostało w pamięci, że twoja matka chciała wstąpić do klasztoru? Pchnęła mnie do tego natrętna adoracja pewnego młodego człowieka. Posunęłam się do tego, że naraziłam go na śmierć, gdy wyskakiwał z pędzącej kolejki. Po 28 latach, ponowił swoje oświadczenia. Powołuje się na twoje dobro. Chce zastąpić ci ojca. Przeprosił, że czyni to już teraz, ale czasy są niebezpieczne. Chce natychmiast objąć opiekę nad nami, dać pomoc i obronę. Poślubiłby mnie, ale nasze

wprowadzenie się do jego domu nastąpiłoby, kiedy bym się na to zdecydowała, nawet po wojnie. Kiedyś byłam zła na siebie, że ci to opowiedziałam. Zadałeś mi pytanie, którego sensu nie rozumiałeś: - "To ten pan byłby moim tatusiem?" - Może nie znając twojego ojca, nie wiedząc o jego istnieniu, osaczona, załamałabym się i naprawdę ten pan byłby twoim ojcem! To przeraziło mnie: jaki byłbyś? Gorszy, mniej udany? Ciebie by nie było! Odrzuciłam dziś tego pana nieodwołalnie i gwałtowniej niż przed laty. Wtedy znalazł ostatni sposób, by mi się narzucać: błagał, by ciebie spytać o zdanie.

- Gdybyś wyszła za męża, uciekłbym do wuja Rudolfa.

- Wydaję Frani polecenie nie wpuszczania tego pana - uśmiechnęła się. - Naprawdę mógłbyś opuścić matkę?

- Nie. Ja tylko tak mówię. Nigdy cię nie opuszczę.

- To powiem ci jeszcze coś, bo może nigdy nie będzie okazji. Ten pan był kilka lat ministrem. Narzucał się z protekcją, chciał twojemu ojcu dać stanowisko. To były straszne chwile. Drżałam, by ojciec się o tym nie dowiedział i nie wyzwiał go na pojedynek; albo nie zastrzelił jak psa, tak był gwałtowny w gniewie twój ojciec.

- To ja wiem coś, czego nie wiedział ojciec? - spytał Jaon.

- Tak, synu.

- Mamo, dlaczego ojciec nie został ministrem?

- Twój ojciec do tego nie dążył. Był pewien epizod w jego życiu...

wydaje mi się, że mogłeś słyszeć naszą rozmowę. Martwiłam się, że słyszałeś. Gdy wybuchła wojna 1920 roku, ojca skierowano na Śląsk z misją, której charakteru nigdy mi nie zdradził. Niepowodzenia Polski na froncie wschodnim spowodowały, że Niemcy chcieli zagarnąć Śląsk. W chwili gdy otrzymał rozkaz, był dumny, widział w tym wyróżnienie i dowód zaufania. Przypuszczam, że przygotowywał dywersję po stronie niemieckiej. Nawet komendanci powstania śląskiego nie mieli z nim kontaktu, tak był zakonspirowany. Wszyscy wrócili po zwycięstwie z orderami, awansami, tylko twój ojciec jak cywil z tajnej, anonimowej misji. Wystąpił z wojska. Zaczęła w nim rosnać rozpacz. Nie był w stanie myśleć o karierze, bo uważał, że nie jest jej godny. Bałam się, by czegoś sobie nie zrobił. Chciałam cię mieć także dlatego, by odwrócić jego myśli ku tobie. Tak się stało. Może go ocaliłeś? Gdy było widać, że znów wojna nadchodzi, myślał tylko o tym, by zmazać wymyśloną winę. Omal nie zawołał: - "Mamo, co ja zrobiłem?! Odmówiłem pójścia z nim na spacer, choć tego pragnął. Wolałem bawić się, a to była ostatnia chwila przed jego śmiercią, gdy mogliśmy być razem. Może chciał mi to powiedzieć?" Czy matka go nie zniechęciła, że był niedobry dla ojca? Już miał wyznać tajemnicę, gdy powstrzymało go bolesne uczucie. Uświadomił sobie co powiedziała matka o przyczynach jego narodzin. Więc nie miała go, jak kiedyś mówiła, dla niego samego, ale po to by ratować ojca?

Minął dzień. Myśl Jaona, której potem się wstydził, że gość matki jest kimś, kto przyszedł w sprawie ojca, okazała się nie tak głupia. Frania ostatnio wobec gościa zachowywała się według swoich sympatii i antypatii. Ten spodobał się jej, bo głosem wcale nie gniewnym oznajmiła:

- Jakiś pan.
- Ten co wczoraj?
- Pamiętam, że tamtego mam nie wpuszczać - zniecierpliwiła się Franja.

Jaon przezornie wszedł w tej samej chwili do swojego pokoju. Wolał słyszeć rozmowę, niż wyjść na rozkaz do gabinetu.

- Zastałem pani męża? - brzmiały pierwsze jego słowa. Gdy odpowiedź nie nastąpiła, ciągnął. - Przychodzę w sprawie takiego charakteru, że jestem zobowiązany do zachowania dyskrecji nawet co do swojego nazwiska. Pani mąż mnie zna. Wie, czy można mi ufać.

- Więc to już się zaczyna?

- Nasza organizacja zawiązała się w walce, gdy nosiliśmy jeszcze mundury, 17 września, nazwaliśmy ją "Siedemnasty Wrzesień".

- Dziwne. Tego dnia mąż poległ w obronie Warszawy.

- Jestem wstrząśnięty. Liczyliśmy na niego. Przewidziany był na naszego dowódcę.

Mówił, jakby mając nadzieję, że matka Jaona przyzna, że mąż żyje i poprosi go, by wyszedł z ukrycia. Jaonowi wydawało się, że matka wie coś więcej i w jej mocy jest doprowadzić do kontaktu z ojcem.

Wbrew sensowi wizyty oficera, który nie wiedział o losie ojca i szukał go żywego, jego zgłoszenie się wskazywało, że konspiracja działa i zawiązała się wcześniej, i właśnie w dniu, gdy ojciec -

tak to nazwał Jaon - znikł. Może oficer przyszedł sprawdzić, czy wierzymy w śmierć ojca? Może ojciec kazał mu zobaczyć nas? To ojciec założył organizację w dniu swojej domniemanej śmierci.

Matka przyłożyła rękę do serca ojca leżącego w trumnie, a on szepnął do niej, by nie zdradziła, że żyje.

- A pani? - Jaon usłyszał głos nieznajomego.

- Ja? Co ja? - spytała matka.

- Pani będzie nam potrzebna. Lokal... to mieszkanie mi się podoba.

Zapadła cisza. Trwała tak długo, że Jaon zaczął podejrzewać, że matka mówi tak cicho, iż nie można dosłyszeć, ale wiedział, że matka czasem zwleka z odpowiedzią.

Jedna ofiara w naszej rodzinie to dość. Muszę zachować mojego syna dla przyszłości.

- Kto powiedział, że działanie w podziemiu to pewna śmierć? Mówi pani o przyszłości syna. Na kogo go pani wychowa, przyjmując taką postawę?

- Z bólem i smutkiem odpowiadam: nie.

- Co powiedziała by na pani słowa pani mąż? Panią zobowiązuje pamięć o nim.

- Moja zdolność do ofiar wyczerpała się - odparła bez gniewu matka.

- Niemcy zabili pani męża.

- Próbowалам się zmusić do nienawiści. Wobec ogromu nieszczęścia, jakie mnie spotkało, jego przyczyna jest mi obojętna.

- Zgłoszę się znów, gdy pani ochłonie z bólu.

- Proszę tu nie przychodzić.

- Do widzenia w wolnej Polsce. Wtedy przypomnę pani te słowa.

Drzwi do drugiego przedpokoju stuknęły gwałtownie.

- Zamiast, żeby ktoś mnie pocieszył, spotykają mnie ciosy - odezwała się matka.

- Mamo, ja cię pocieszę - rzucił się Jaon ku matce.

Przytuliła go do siebie, tak jak zawsze.

Nazajutrz Jaon wróciwszy ze szkoły, dowiedział się, że był pan Woynicki i stryj Hieronim. Odnalazł go pan Woynicki i zmusił do działania. Niemcy wydali rozkaz likwidacji żołnierskich cmentarzy w centrum miasta. Jeden cały już wyekshumowano. Akcję przeprowadzili ludzie wożący śmieci. Wszystkie karawany były zajęte do następnego roku. Samochody były zniszczone lub nieczynne z powodu braku benzyny, konie wybite. Dyrektor wojskowego cmentarza na Powązkach urzędował ostatni dzień. Był majorem rezerwy i nawet przed nieznanymi, jakimi byli dla niego pan Woynicki i stryj Jaona, nie krył, że zejdzie do podziemia po wydzieleniu najlepszej pustej kwatery dla poległych w obronie Warszawy. Wpisano tam ojca i zaczęło się szaleńcze poszukiwanie transportu i ludzi, którzy dokonaliby ekshumacji. Pan Woynicki zaoferował się, że z kolegami z banku poniosą trumnę przez całe miasto na ramionach. Wtedy stryj natrafił na Łatyńskiego, byłego właściciela sklepu, który sprowadzał żywność z grójeckiego i już w pierwszym miesiącu wojny stał się milionerem. Był wdowcem, czuł się samotny i pamiętał, że matka Jaona kupowała u nich, by ratować ich od bankructwa. Dał swoją platformę. Zobowiązał pana Woynickiego

i stryja Hieronima do tajemnicy: - "Ktoś mógłby wywlec, że na furmance, którą woziłem marchew, jechały zwłoki". Drugi pogrzeb ojca został wyznaczony nazajutrz o siódmej rano, po powrocie Łatyńskiego z targu.

Matka zajrzała do szafy i krzyknęła.

- Mój Boże, powinnam oddać żałobne rzeczy mojej dobrodziejce ze schronu. Nie wiem, jak się nazywa, gdzie jest po zburzeniu domu. Może ich potrzebuje? Boże, trzeba było jej zaproponować, by zamieszkała u nas. Całkowicie zubożyłam, skamieniałam przez ten czas.

Gdy wyszli na ulicę, wszędzie skrzył się szron. Patrole niemieckie przyglądały się podejrzliwie dwóm kobietom w żałobie i dziecku z czarną opaską na ręku.

Koło grobu ojca stało sporo ludzi. Byli koledzy z banku, stryj Hieronim ze stryjenką, pani Żelaskowa, która będąc na grobie męża, dowiedziała się o ekshumacji jego dowódcy. Znów ktoś nieznanomy zaciekał Jaona: podszedł do matki i szeptał coś na ucho, a matka lekko się uśmiechnęła. Nagle coś znajomego, kochanego inaczej niż ojciec, za którym rozpaczła i matka, której trzymał się nie odstępując na krok, coś prawie zapomnianego, jak zapomniał Maniunię, mignęło niedaleko. Był to czerwony płaszczyk Niki Woynickiej. Szła między rodzicami, trzymana przez nich za ręce i patrzyła na Jaona. Na głowie miała czerwony berecik, spod którego wysuwały się fale złotych włosów.

Nie witając się z jego matką, szła ku niemu jak zahipnotyzowana i Jaon zobaczył w jej oczach lęk przed nim, jego sieroctwem i chęć

wynagrodzenia mu jakoś tego, co go spotkało, a ją ominęło. Na rękawie miała czarną opaskę, jakby była kimś mu bardzo bliskim. Chciała przyjść? Czy jej rodzice uznali za potrzebne, by tu była? Jaon objął ją, poczuł pod palcami puszysty materiał jej płaszczyka, a jego usta dotknęły jej włosów, delikatnych, sprężystych jak druciki, pachnących przedwojennie. Coś nie do powstrzymania zaczęło narastać w jego piersiach, poczuł, że traci dech, dusi się. Wybuchnął rozpaczliwym, wstrząsającym do głębi płaczem. Zaraz druga część jego istoty rozpaczła nad tym, że płacze, że jego wysiłek z pierwszego pogrzebu zmarnował się: hamował żal, nie myślał o ojcu jak powinien, bo walczył z płaczem, a teraz gdy Nika była, beczał jak dziecko, ośmieszając się w jej oczach na zawsze. To wzmogło jego rozpacz i szlochał jeszcze gwałtowniej.

Pojawiła się furmanka. Koń galopował. Wjechał w groby omal nie tratując ich. Wozacy ścignęli lejcami nieszczęsne zwierzę, aż stanęło dęba. Z wozu zeskoczył pan Łatyński w pelisie z bobrowym kołnierzem, zawałanej gliną, w dęciaku na głowie. Podeszli wozacy. Pan Łatyński skłonił się wszystkim i jak doświadczony przedsiębiorca pogrzebowy poprowadził swoich ludzi do grobu ojca Jaona. Z trudem wyrwali krzyż, jakby zapuścił korzenie i zaczęli walić kilofami w mogiłę. Rozsypała się i potem dobrali się do jej środka, w głąb, na zmianę uderzając kilofami i kopiąc łopatami. Rozległo się głucho stuknięcie.

- Jest trumna - przestrzegł Łatyński.

Odkopywali ją szybko, obsypując stojących fontannami piasku. Zeskoczyli do grobu, deptali po trumnie i obkopywali ją. Matka Jaona zasłoniła sobie oczy. - Hoop, hoop, raaazem - krzyczeli, podważali i wydobyli trumnę na wierzch. Ukazała się pogięta blacha, przypominająca napierśnik pancerza wgnieciony uderzeniem miecza, jakby podziemny pocisk ugodził ją, gdy była w piasku, jakby tam trwała straszna walka, w której zabijano umarłych. Załadowano trumnę, krzyż, hełm. Pan Łatyński usiadł na tyle wozu i ruszyli szybko, zmuszając kondukt prawie do biegu. Pan Woynicki wziął na ręce Nikę. Na dalekich, nieznanymi Jaonowi ulicach, Łatyński polecił furmanowi zatrzymać się, zszedł z wozu i kazał na nim usiąść dzieciom i matce Jaona, ale pan Woynicki nie wypuścił Niki. Matka i Jaon wdrapali się na koniec furmanki. Na dnie leżały liście kapusty i nać marchwi. Na końcu jednej naci była malutka marchewka. Matka ukradkiem spojrzała na robotników i nieznacznym, szybkim ruchem schowała marchewkę do kieszeni futra.

Gdy wyjechali na daleki cmentarz wojskowy, zastali grób wykopany przez grabarza. Ale robotnicy Łatyńskiego zażądali pieniędzy za kopanie grobu, bo "zgodzili się na odkopanie i zakopanie". Matka musiała im zapłacić, bo zaczęli się awanturować i zagrozili, że zabiorą trumnę z powrotem, by "dać nauczkę" matce Jaona. Łatyński dał matce znaki, by ustąpiła. Grabarz, jakby się ich bojąc, stał na uboczu. Gdy odjechali bijąc konia i wrzeszcząc na niego, zbliżył się i zakopał mogiłę. Trzeba było i jemu zapłacić. Pan Woynicki i stryj Hieronim mieli twarze zmienione, pełne

wściekłości.

Matka uklękła przed nowym grobem ojca, chcąc omodlić nową mogiłę, by dobrze się w niej czuł, a może przepraszała go za tę przeprowadzkę?

Nie było jak wracać. Od centrum miasta dzieliło ich sześć kilometrów. Ruszyli razem, rytm nadawał pan Woynicki. Przypominali oddział armii, który po spełnieniu zadania wraca z posterunku. Początek pochodu stanowili koledzy ojca, wśród nich Frania, która na cały głos opowiadała historię śmierci swojego pana. Matka szła między panią Woynicką a panią Żelaskową, pan Woynicki ze stryjem, Jaon z Niką Trzymali się za ręce. Nie puszczali swoich dłoni ani na chwilę. Jaonowi wydawało się, że Nika wie, że to znaczy coś więcej. Dopiero na jakimś skrzyżowaniu Jaon uświadomił sobie, jak mało zna miasto, w którym mieszka. Chodził z matką po czterech ulicach, przestrzeni mniejszej niż Marzeńów. Państwo Woyniccy skręcili w swoją stronę. Nika odwracała się raz po raz i machała Jaonowi rączką w białej rękawiczce.

Jaon znalazł się przy pani Żelaskowej. Mówiła, że jej mąż i jego dowódca muszą się rozdzielić. Chowa swojego męża na Bródnie. Matka dopytywała się kiedy będzie ekshumacja Żelaski. Jego żona odrzekła, że jeszcze nie wie, a gdy matka dopytywała się, jak może się dowiedzieć, dała wymijającą odpowiedź. Gdy pożegnały się i uściskały, a pani Żelaskowa pocałowała Jaona w czoło, matka odezwała się do niego:

- Rodzina Żelasków chyba ma do nas żal. Pani Żelaskowa boi się, bym nie zjawiała się na pogrzebie, bo mogliby mi zrobić przykrość. Przeczuję, że winią nas - nie wymówiła słowa "ojciec" - za śmierć biednego Żelaski. Gdyby miał innego dowódcę, żyłby.

Wcześniej rano, nim Frania przyszła budzić Jaona do szkoły, do dużego pokoju wkroczyły pani Żelaskowa i pani Sulatycka. Matka przyszła z gabinetu, gdzie sypiała, a Jaon ze swojego pokoju.

Pani Sulatycka rzuciła się matce w ramiona:

- Nie znalazłam. Już nie znajdę. Niedaleko pani męża będzie jego grób, ale w mogile go nie będzie. Nie chcę pisać na tablicy, że to jest symboliczne miejsce spoczynku. Rozdzierałoby mi to serce. Po pewnym czasie przyzwyczaję się i będzie mi się wydawało, że on tam jest, będę czuła jego obecność. Nikomu nie powiem, jak jest. Tylko panie będą wiedziały.

- Przyszłam w innej sprawie - przerwała pani Żelaskowa. - Wczoraj wieczorem był kolega męża z plutonu. Poszedł według rozkazu do niewoli. Wczoraj uciekł i nocował u nas. Mąż opowiedział tuż przed śmiercią, jak było. Pani mężowi dano dzień czasu na przeprowadzenie tamtego oddziału przez pozycje niemieckie. Inaczej by tamtych wybili. Wiadomo było w przybliżeniu, że stoją w lasku za wsią Pustelnik. W chwili ciszy słychać było strzały zza frontu, od tamtej strony. Nie wiadomo było, czy oni jeszcze próbują się przebić, czy już Niemcy ich otoczyli i wybijają. Pani mąż i mój mąż z lornetkami weszli na wieżę kościelną, gdzie był punkt obserwacyjny artylerii. Zobaczyli zarys frontu, dalej były krzaki, domy, wzgórki. Sytuacja była niejasna. Zeszli i zbliżyli się do

pozycji niemieckich tak, że słyszeli rozmowy i czuli zapach dymu z papierosów, które palili niemieccy żołnierze. Pani mąż i mój mąż pełzli wzdłuż frontu niemieckiego. Dwa razy ostrzelali ich nasi żołnierze. Niemcy byli według słów męża lekko okopani, gotowi do natarcia. Nie bali się zbyt polskiej artylerii i byli skupieni kompaniami. Widać było kuchnie polowe, samochody dowódców. Nasi mężowie dopełzli do miejsca, gdzie było bagno, płynęła rzeka. Tu kończyły się pozycje jednego niemieckiego zgrupowania. Drugie było widoczne z daleka. Między tymi jednostkami, samotny telefonista niemiecki toczył szpulę z kablem telefonicznym. Pani mąż pozwolił mu przejść i wtedy ruszyli w górę rzeczki, zarośniętej po obu stronach krzakami i tak znaleźli się za frontem. Teraz musieli odnaleźć ten oddział. Akurat tam ucichło. Na mapie odnaleźli lasek. Całą noc tam pełzli, spotykając Niemców na motocyklach, pierwsze patrole, samochody, działa jadące w stronę frontu. Nad ranem doszli do lasu. To była mała przestrzeń. Trochę się bali, by Polacy nie otworzyli do nich ognia. Ale przeszli lasek na przestrzał i nikogo nie znaleźli. To bardzo zmartwiło pani męża. Było prawie południe. Wyszli z lasu nie kryjąc się. Zobaczył ich wiejski chłopiec w wieku pani synka i krzyczy: - "Zgubiliście się, a wasi są w sadzie u Markiewicza". - "To zaprowadź nas tam". Gdy się zbliżyli nic nie było widać, bo wojsko zaniechało walki, zaległo płasko na ziemi, okrywając się gałęzmi. Konie oficerów wprowadzono do stodoły Markiewicza. W kuchni Markiewicza sztab toczył naradę, czy się poddać. Kapitan wyjął pistolet i powiedział, że zastrzeli majora, który mówił o beznadziejności położenia, a potem zabije siebie. Zobaczywszy naszych mężów oszalał z radości, jakby Polska zwyciężyła. Nie czekając mroku - bo pani mąż powiedział im, że rozkaz brzmi: w ciągu 24 godzin mają się przebić - poderwali wojsko. Były tam też niedobitki różnych oddziałów. Nasi mężowie już znali tył tych dwu jednostek niemieckich. Był tam lazaret, grupa naprawcza sił zmotoryzowanych. Niemcy odwróceny ku polskim liniom, czuli się bezpieczni. Pani mężowi dano konia jakiegoś ułana. Grupka oficerów sztabu, pani mąż i trzech ułanów rzuciło się pozorując szarżę kawaleryjską, przelecieli obok mechaników reperujących samochód pancerny, natrafili na mały oddziałek pieszy maszerujący drogą, rozbili go i wyszli na tyły pozycji niemieckich, wybili załogę karabinu maszynowego, zdobyli go. Zabrała go ze sobą piechota, która biegła za nimi. Nastąpiło chwilowe przerwanie frontu i podpułkownik Jamontt, gdy cała konna grupa osadziła konie przed jego ziemianką i zameldowała się, zarządził kontratak wzdłuż tej rzeczki. Nasze wojska wbiły się klinem aż do tamtego lasu. A Niemcy uciekali w popłochu, a nasi walili po nich, czyniąc prawdziwą rzeź. Zniszczono ten punkt naprawczy i samochód pancerny. Gdy polscy żołnierze chcieli się tam okopać, podpułkownik Jamontt nakazał odwrót, bowiem dowództwo przewidywało linię obrony tam, skąd wyszli. Żołnierze szemrali i przeklinali, że oddają kawałek Polski, który odebrali. Za kilka godzin Niemcy wrócili i z wściekłością ostrzeliwali pozycje podpułkownika Jamontta,

nakierowali na niego artylerię, przeleciał samolot i rzucił trzy bomby. Potem nastąpiło coś strasznego, co miało zgubny wpływ na pani męża i mojego, i nasunęło im myśl o śmierci. Niemcy przed okopami rozstrzelali na oczach polskich żołnierzy rodzinę Markiewiczów, a z nimi chłopca, który doprowadził pani męża i mojego do sadu tych Markiewiczów. Taka jest prawda i ja się jej wyuczyłam na pamięć, bo ten kolega męża nie mógł przyjść do pani. Już go nie ma w Warszawie. Przebija się ku Lasom Świętokrzyskim. Dzięki temu będę to pamiętała na całe życie. No idę. Jeslibyśmy miały się nigdy nie zobaczyć, bo nie wiadomo, co teraz będzie się działo, niech Bóg ma panią i jej synka w swojej opiece.

- Boże drogi. Co czuł mój mąż, gdy rozstrzelali tamtego chłopca - powiedziała i zrobiła znak krzyża nad głową Żelaskowej.

Matka, gdy zawróciła z pierwszego przedpokoju, spojrzała na Jaona:

- Widzisz, ofiara twojego ojca nie poszła na darmo. Nie słuchaj nikogo, kto by tak twierdził, a w szczególności twojego stryja, który chce po śmierci twojego ojca wbić klin między nas i poróżnić nas z nieżyjącym. Twój stryj uważa, że nie będzie musiał nam pomagać, jeśli przetrzuci winę na twojego ojca. A teraz skoro udajesz, że nie zauważyłeś, że jest za późno do szkoły, spróbujemy pożyć dawnym życiem i chodźmy na spacer. Jesteś taki mizerny.

Matka wyjęła butelkę Cinzano i dwa kieliszki. Nalała po odrobinie:

- Nie mów stryjowi, wujowi ani nikomu, że daję ci wino. W Polsce uważane to jest za grzech. We Francji dzieci Lapointe'ów dostają wino? Drzę, żebyś nie dostał anemii.

Gdy wyszli, była inna pogoda, drzewa pobielwały od szronu.

- Dziurzyzna powiedziałyby, że idzie straszna zima - odezwała się matka.

Gdzieś, z wielkich wysokości przebijało słońce.

- Synku, stań pod murem i wystaw buzię. Słońce to błogosławieństwo. Stryj tak ci się przyglądał. Zauważył, że jesteś zabiedzony. Po pogrzebie wyglądałeś lepiej, dziś znów źle.

Stał długo w słońcu, aż przesłonił je lodowaty tuman. Z daleka widać było jakieś zmiany w Łazienkach.

- Mamo, co się stało z drzewami! - wykrzyknął Jaon.

Były powalone, potrzaskane, powyrywane z korzeniami, jak po huraganie.

- Pamiętasz, co zdążył nam powiedzieć ojciec? Stała tu artyleria przeciwlotnicza.

Szli wzdłuż żelaznego ogrodzenia i patrzyli na spustoszenia.

Drzewa, które kazał sadzić król Stanisław August! Brama była zamknięta, okręcona grubym łańcuchem. Patrzyli na ukochany park, gdy w jego głębi, gdzie spacerowali z prałatem Juścińskim i generałową Ilnatowiczową, ukazał się samotny jeździec na wspaniałym

arabie. Leżąc na grzbiecie końskim pędził przez trawniki.

Dojechawszy do powalonych drzew, zmusił wierzchowca do skoku:

jeden, drugi i trzeci raz. Szalał przejeżdżając w dzikim galopie, tam i z powrotem, sam jeden w całym parku. Spod kopyt wylatywała w górę ziemia i kępki trawy. Jeździec był w niemieckim mundurze z

czerwonymi wyłogami. Jaon skądś wiedział, że takie kołnierze mają niemieccy generałowie. Zapatrzeni, pełni podziwu i grozy usłyszeli za sobą głos:

- Weiter, weiter, schnell - był to niemiecki wartownik w płaszczu, hełmie i z karabinem. Odeszli szybko posłuszni niemieckiemu rozkazowi i zawstydzeni, że przychwycono ich, gdy patrzyli na niemieckiego jeźdźca.

- Więc synu, nie mamy też parku - odezwała się matka. - Tym bardziej musimy żyć jak gdyby nigdy nic. Podejmiesz lekcje francuskiego, ale nie u pani Bohusz.

- To dobrze, dobrze, że nie u pani Bohusz.

- Pani Bohusz została wywieziona wraz z synem w nieznanym kierunku

- matka patrzyła na Jaona śledząc jego reakcję. - No, synku, jeśli masz być mężczyzną w naszym domu, to chcę ci zawierzyć swoje zmartwienie. Od pewnego czasu Frania wychodzi po zakupy i bardzo długo jej nie ma. Zakupy, które przynosi wyglądają dziwnie: w worku zmieszane ziemniaki, marchew, buraki, cebula, głowy kapusty białej, czerwonej. Tłumaczy, że obchodzi całe miasto, zagaduje, a ja podejrzewam, że Frania chodzi kraść. Dręczy mnie jeszcze jedno. Kolega ojca z POW wyprowadził mnie z równowagi. Nie mogę sobie tego darować. Nie wiem, jak go szukać, bo doprowadziłam do zerwania kontaktu. Nie tylko boli mnie sposób w jaki odmówiłam jego prośbom - w tamtej chwili wydawało mi się jakby on chciał ciebie skrzywdzić. Ale jest przedmiot, którego mogłam się pozbyć dzięki niemu, a który naprawdę ci zagraża i to z mojej winy, że pod wpływem impulsu przyjąłam z powrotem pistolet ojca. Synu, ja go chyba wyrzucę, tylko dosłownie nie wiem, gdzie i jak. Nie mogę przez to spać. Niemcy wzięli panią Bohusz i jej syna. Jeśli podając z czego żyła, powie im o nas? Twój stryj uważa, że Niemcy posrożą się, by nas przestraszyć, ale będą chcieli na tyłach, którymi stała się Polska mieć spokój. W swoich rachubach opiera się na tym, jacy Niemcy byli w czasie tamtej wojny. Ale teraz wydają się jacyś zmienieni, naprawdę straszni, patrzą gdzieś w niebo, jakby nas nie widzieli, czy uważali za umarłych. Przy twoim ojcu rozstrzelali chłopczyka w twoim wieku. Jeszcze przed śmiercią musiał to przeżyć, na pewno myślał o tobie i tego nie mogę im darować, a zarazem przysięgam ojcu, że cię przed tym losem ocale. Jaon przytulił twarz do dłoni matki, jak dawniej. Przez ostatni ten okres odsunęła go od siebie. Ojciec wysunął się na pierwszy plan w jej myślach tak, że chwilami zapominała o istnieniu syna, a nawet wydała się, że tak bardzo kochała jego ojca nim Jaon przyszedł na świat, że miała go z myślą o ratowaniu ojca. Mrozy były coraz większe, a oni mieli resztkę węgla z zeszłego roku. Frania paliła tylko w pokoju Jaona i tam przeniosła się matka. Czuli się tu samotni, daleko od trzeciej żywej osoby w domu. Ale matka powiedziała:

- Źle robiłam zostając w gabinecie ojca. Chciałam łudzić się, że znajdę się bliżej niego, ale to była męka. Z tobą tu tak zacisznie, tak dobrze czuję się pod twoją opieką.

Jaonowi wydało się, że odwiedziny w ich domu są teraz częstsze niż

gdy żył ojciec. Było to w dniu, gdy znów zapłonęła elektryczność, wszystkie lampy, żyrandole, lampki, kinkiety naraz. Zrobiło się przeraźliwie jasno, jakby coś wybuchło i matka krzyknęła i zaraz rozległ się dzwonek, od którego odwykli. Wydał się alarmujący, groźny i matka krzyknęła.

Frania kolejny raz weszła z tajemniczym wyrazem twarzy:

- Pan, ale jaki! - aż chwyciła się za głowę. - Pan z panów.

- Prosić - odezwała się matka, dostosowując się żartobliwie do tonu Frani.

Frania otworzyła szeroko drzwi pokoju Jaona, w których zjawił się nieznajomy. Skłonił się.

- Mam z panią kilka słów na osobności.

Objął wzrokiem Jaona i nieznacznie skinął mu głową. Zaczynało się jak z dawnym konkurentem matki. Jaon zadrżał: tego matka nie odrzuci. Już go nienawidził, a zarazem podziwiał za spokój, życzliwe spojrzenie, leciutki uśmiech ufnie do nich skierowany - mimo że oni się do niego nie uśmiechali, wspaniałą pelisę podbitą oposami, okulary bez oprawy ze złotymi zausznikami.

- Pozwoli pani zrzucić płaszcz? - zrobił krok w stronę przedpokoju.

- Przepraszam, ale nie. To jest jedyny pokój opalany. Tu zostanie mój syn, a ja włożę płaszcz i pójdziemy do dawnego gabinetu mojego męża - matka podeszła do szafy, ubrała się jak do wyjścia z domu. Jaon został sam. Tak, to jego przyszły ojczym. Matka dziś go odrzuci, ale on będzie przychodził, minie rok i sam Jaon go polubi i nie będzie zdolny zakazać matce drugi raz wyjść za mąż.

Przeszedł do dużego pokoju. Rozmowa trwała, przeciągała się, ale właśnie tej rozmowy Jaon nie śmiał posłuchać: słyszał, że matka dzwoniła na Franię i Frania coś podawała do gabinetu - pewnie herbatę, czyli to był gość bardzo ważny - i znowu wizyta trwała bez końca.

Nareszcie rozległy się głosy w przedpokoju. Jaon zawrócił do swojego pokoju i za chwilę weszła matka.

- Ten pan kazał ci powiedzieć do widzenia. Zgadłeś, kto to jest?

- Nie, mamo.

- To ojciec Szachowskiego. Wspaniały, wielki człowiek. Boże, że też nie pozwoliłam ci tam chodzić. Współwłaściciel koncernu Fiata i jego przedstawiciel na środkową i wschodnią Europę. Za dziesięć dni twój kolega z ojcem opuszczają Polskę. Udają się do Włoch. Dzięki interwencji włoskiego ministerstwa spraw zagranicznych dostają trzy wagony towarowe. Pan Szachowski proponuje tobie i mnie

byśmy z nimi wyjechali. To jest szansa jaka nie spotka nikogo i nigdy się nie powtórzy. Wyjechałabym jako jego wierna służąca, a gdy powiedziałam, że nie mogę na łaskę losu zostawić mojej własnej służącej powiedział, że zabierze i ją. Dostaniemy pół wagonu, i w tym wagonie byśmy jechali z naszymi rzeczami. Podróż potrwa dwa tygodnie. To wszystko wyprosił twój mały przyjaciel na ojcu. Gdy dotrzemy do Włoch, możemy przedostać się do Marsylii.

- Co odpowiedziałas?

- Że zdecydujesz ty. Masz dwadzieścia cztery godziny czasu.
- Mamo, jak ja mogę decydować? Jestem mały.
- Chodzi o twoje życie. Moje skończyło się.
- Każesz mi rozstrzygać o tak ważnej sprawie, a nawet co do zabawek muszę cię prosić o zgodę? Tak samo, co będę jadł każdego dnia, nawet w sprawie samego Szachowskiego musiałem cię słuchać.
- To jest chwila przełomowa pod każdym względem. Trzeba postanowić, gdzie potoczy się twoje życie. Może się tak zdarzyć, że nigdy nie wrócisz do Polski. Może nawet nie będziesz mógł jej zobaczyć. Wszystko, co ma ci się przytrafić w życiu będzie inne i przytrafi ci się gdzie indziej.
- Czyli nie zobaczyłbym Niki Woynickiej, wuja Rudolfa, ani Marzeniowa?
- O tym zapomnisz. Twoim przeznaczeniem będą inni ludzie, polubisz inną dziewczynkę, w jakimś niewiadomym mieście Francji. Spotkasz tam gdzieś państwa Lapointe'ów. Może za miesiąc będziemy w Paryżu wolnym i podobno tak pięknym?
- Więc byłbym kim innym?
- To jest tajemnica, czy człowiek w każdym przypadku byłby tym samym człowiekiem i spotkałyby go te same wydarzenia, nawet w innych miejscach - czy też w każdej sekundzie istnienia, przepada jedna możliwość, bo wybiera się inną, i w każdym momencie człowiek staje się taki, jaki jest.
- A jeśli jako dorosły będę żałować tego, co dziś postanowię?
- Widzisz? A tak byś swoje życie uważał za ułożone przez matkę i gdybyś nie daj Boże cierpiał, obwiniąłbyś mnie.
- Tak, ale ty jesteś dorosła.
- Mali królewicze w twoim wieku nieraz musieli coś postanowić, co decydowało nie tylko o ich życiu, czy przeżyją, ale nawet o losach państwa. Ty teraz jesteś takim małym królewiczem.
- Mamo, ale oni mieli doradców.
- Niektórzy pragnęli ich śmierci.
- Mamo, ty rodząc mnie postanowiłaś kim będę?
- Nie licz na nic takiego. Nigdy bym się nie ośmieliła. Przestraszyłeś się decyzji? To najlepiej wskazuje, że jesteś zdolny do jej podjęcia.
- Mamo, ale ty wiesz o mnie więcej niż ja, bo już mnie znałaś kiedy ja sam siebie nie znałem i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.
- Synu, mówiłam ci, rodzi się kogoś nieznanego. Nawet w tej chwili nie wiadomo, kim się okażesz.
- Czy będę rzeźbiarzem, czy oficerem?
- Nie pora na dziecinadę. Jesteś panem swoich losów i przez to losów matki.
- Frania mówi mi na ty.
- Natychmiast uspokój się. Nie udawaj małego dziecka. Nie cofaj się w czasy, gdy miałeś cztery lata. Jeśli potrzebne ci atrybuty władzy, poproszę Franię, by mówiła ci pan, a ja mogę cię pocałować w rękę na znak posłuszeństwa mój szanowny panie -

chwyciła jego dłoń i pocałowała. - Syneczku mój kochany, moja rączyno najmilsza - i pocałowała po raz drugi, jak całuje się malutkie dzieci.

- Mamo, nie chcę nigdzie jechać.

- Może się boisz obcego kraju? Masz świetne początki we francuskim. W rok będziesz mówił jak po polsku.

- Czego chciałby ojciec?

- Ojciec walczył i poległ. Tylko pozornie zostawił nam tym wskazówkę. Nie zrobił tego, by nas zobowiązać. Bronił nas, byśmy byli wolni, więc możemy uczynić, co zechcemy. Nie mamy tu nic do zostawienia, nie wiem tylko, co stanie się z jego grobem.

Jaon, jak miał w zwyczaju (i co gniewało jego matkę), bez słowa wyjaśnienia przerwał rozmowę, pobiegł do gabinetu ojca, ale zaraz wrócił, niosąc atlas Romera. Otworzył go na północnych Włoszech, znalazł Marsylię, gdzie przekroczą granicę. Pojechał palcem od Marsylii ku północy, gdzieś tamtędy będą dążyć przez Masyw Centralny. Ogarnęła go tęsknota za niewidzianymi miejscami. Szczególnie pięknie nazywało się i wyglądało na mapie Puy de Dome, niosąc spokój, bezpieczeństwo: lasy, rzadkie drogi, położone wysoko. Wybrał najmniejsze miasteczko, zawieszane nad przepaściami, nad rzeką gwałtownie spadającą z gór. Z tego miasteczka widać wszystkie szczyty. Ulice są tam strome, bo przez środek przechodzi poziomica. Będzie szedł do szkoły w dół, patrząc na zamglone olbrzymy górskie okryte lasami. Dzieci wieszają płaszcze w tyle klasy, jak było w podręczniku pani Bohusz.

Okna wychodzą na góry. Rozsuwana tablica. Różnokolorowe kredy. W szafach wypchane ptaki, przyrządy do fizyki, preparaty. Na ścianach mapy - w tym taka, na jaką patrzy, z tym miasteczkiem. Ktoś dzwonił do drzwi. Mijając Franię wdarła się pani Sulatycka.

- Już pani wie? - wykrzyknęła zgrzana, w przekrzywionym kapeluszu.

- Co, czy wiem? - spytała matka.

- Wyrzucają ich. Pędzą ich, przepędzają ich. Miejsce, gdzie leży pani mąż i gdzie jest grób mojego syna zajmą Niemcy bohaterowie, którzy ich zabijali, a kości naszych na poniewierkę!

- Proszę darować, ale to trudne do uwierzenia.

- Już tam kopią! Już się dobierają! Biegnijmy ich ratować. Nie ma sekundy do stracenia. Dyrektor cmentarza zbiegł. Niemcy mają własne ekipy. Chcą zatrzeć ślady po bohaterach. Musimy ich wyrwać z wrogich rąk! Niech pani się ubiera.

Matka, Frania i Jaon ubierali się gorączkowo. Biegli ulicą, która wiodła ku północno-zachodniej stronie miasta. Po dziesięciu minutach matka zmęczyła się, musieli nawet przystanąć, co strasznie przejmowało matkę. Patrzyła na zegarek, jakby tam na cmentarzu, można było liczyć na jakiś termin. Frania z jednej strony, pani Sulatycka z drugiej wzięły matkę pod ramiona. Matka pokonała dziwne zmęczenie, podobne do paraliżu i znów szli szybko. Tak się już przyzwyczaili do ruin, że gdy weszli w aleję, gdzie wszystkie domy stały, wydało im się to dziwne i obce. Wreszcie wybiegli na ulicę, przy której ciągnęły się kilometrami cmentarze:

żydowski, ewangelicki, katolicki, wojskowy. Ich mury, jeden przylegający do drugiego, tworzyły ogromne miasto, w którym zdawało się, że więcej ludzi mieszka spokojniej i szczęśliwiej niż w zdruzgotanym mieście.

Wrażenie spokoju, komfortu i bezpieczeństwa znikło, gdy wpadli w bramę cmentarza wojskowego. Rząd furmanek powożonych przez Żydów pod eskortą Niemców z karabinami, wyjeżdżał w niewiadomym kierunku. Na wozach stosami leżały trumny.

Grób ojca nie istniał. W miejscu, gdzie była kwatera poległych widniał rząd dołów w ziemi, przerażających, ziejących pustką.

Frania zaskomliła dziwnie, rozpaczliwie rzuciła się w stronę ulicy gonić wyjeżdżające wozy. Ale matka, która ogarnęła całą przestrzeń błyskawicznym spojrzeniem, coś dostrzegła. Trumna ojca!

Leżała pod murem wśród innych beładnie zwalonych na stos. Nie było wątpliwości - poznali ją po głębokim wgnieceniu niewiadomego pochodzenia, które ich dziwiło w czasie drugiego pogrzebu.

Dźwignęli ją w zgodnym wysiłku. Postawili krok, wysunęła im się z rąk i huknęła głucho o ziemię. Frani, która trzymała trumnę najdłużej, przycięła stopy.

Zaczęli pchać trumnę po ziemi. Gdy zawadzała o trawę, czy wyniosłości gruntu, szarpali nią. Ułamały się wszystkie nogi.

Frania wydawała okrzyki, jak tragarz: "Noo..., noo..., hooop, razem". Nikt ich nie zatrzymywał. Boczny mi alejkami dopchnęli trumnę do starych grobów, zacienionych. To miejsce wydawało im się bezpieczniejsze. Byli mokrzy od potu. Matka nieoczekiwanym gestem przytuliła do siebie panią Sulatycką.

- Ocaliła nas pani przed czymś, co miałoby dla nas nieobliczalne konsekwencje. To byłaby jego druga śmierć. Straszniejsza, odpychająca. Obciążająca nas winą.

- Nie ma o czym mówić - odrzekła pani Sulatycka. - Proszę na mnie czekać - i odeszła.

Ogarnęła ich ulga, spokój i radość. Usiedli na ławeczce koło jakiegoś grobu. Jak ci ludzie dawno się urodzili! Jak dawno umarli. Ale wydawali im się dobrymi znajomymi, przyjaciółmi, którym można było zawierzyć tryumf, że wykradli trumnę.

Po jakimś czasie nadeszła pani Sulatycka w towarzystwie drugiej kobiety, niemłodej, zgarbionej:

- Znów cud. Jeszcze nikt nie przychodzi na groby, a ja spotkałam tę panią. Ma grobowiec i przy sobie kluczyk. Przygarnie bohatera, nawet na całą wojnę - powiedziała pani Sulatycka.

- Chwileczkę - przerwała jej druga pani. - Jest mi przykro, ale muszę wiedzieć kogo wpuszczam do grobowca rodzinnego. Widzę porządną trumnę, ale nie wiem, kto w niej jest, kto spocznie obok mojej matki i ojca. Na kogo mogłaby się pani powołać?

- Jesteśmy przyjaciółmi dyrektora Woynickiego - matka powiedziała o ojcu jakby żył.

- To nazwisko nic mi nie mówi.

- A generał Czuma?

- Gdzie go teraz szukać?

- Prałat Juściński? Dyrektor Szachowski?

Nieznamą pani pokręciła głową, ale przez jej twarz przebiegło jakby przypomnienie, wołała pewnie wiedzieć więcej.

- Generałowa Ichnatowiczowa?

- Pani może udowodnić znajomość z generałową?

- Mam jej dawną służącą. Franiu! - zawołała matka, chcąc by służąca wydała świadectwo o pani.

- Widzę ją. To wystarczy. Proszę - wykrzyknęła starsza pani. - Zapraszam pani męża do grobu moich bliskich.

Znów pchali trumnę bocznymi ścieżkami cmentarza i stara, zgarbiona kobieta im pomagała.

- Mam tylko ten grób. Jedyne miejsce odniesienia we wszechświecie. Wszyscy moi są tu. Jest jeszcze miejsce dla mnie. Tam postawimy pana porucznika. Postaram się nie umrzeć dokąd tu będzie, by znów nie szedł na tułaczkę.

Nieznamą dała matce kluczyk do grobowca i powiedziała, że jeśli znajdzie potrzeba złożenia tu ojca Jaona, niech matka zatrzyma kluczyk, jeśli zaś znajdzie inne miejsce niech kluczyk wrzuci przez kratę, bo ona ma w domu zapasowy.

Matka podziękowała jej za dobroć, ale spodziewała się jeszcze dziś załatwić nowe miejsce. Na tym grobie widniał wykuty napis: "Ludwińscy" i ani słowa więcej.

Pani Ludwińska odeszła, a za chwilę matka. Jaon został z Franią.

Godziny ciągnęły się: Frania milczała, aż ukazała się matka Jaona, zaabsorbowana i, zapomniawszy im powiedzieć, co załatwiła, zwróciła się do Jaona:

- Za trzy godziny mija termin dania odpowiedzi panu Szachowskiemu. Co postanowiłeś?

Jaon spojrział na trumnę, bezdomną i odrzekł:

- Zostajemy.

- Powiedz to sam panu Szachowskiemu. Podziękuj mu. Wyruszyście w towarzystwie pani Sulatyckiej natychmiast, by zdążyć przed jego przyjściem, a ja pochowam ojca. Jeszcze nie wiem gdzie.

Pan Szachowski przyszedł co do minuty, w dwadzieścia cztery godziny po pierwszej wizycie.

Jaon usłyszał głos Frani, gdy pomagała mu zdejmować futro i prosiła go dalej, a potem, gdy wchodził powiedziała:

- Jest tylko młody pan. Ale pani powiedziała mu, co ma mówić.

Pan Szachowski wszedł, z powagą uścisnął mu dłoń.

- Matkę zatrzymały niespodziewane wydarzenia na cmentarzu - odezwał się Jaon, w sposób najbardziej dorosły, na jaki było go stać. Był dumny, że Frania przedstawiła go jako młodego pana, ale zarazem dotknięty, bo nie zrozumiała, że decyzję podjął on sam.

Ale wyczuł, że nie wypada prostować tego wobec pana Szachowskiego. To by było dziecinne.

- Jakie wydarzenia? - zapytał pan Szachowski.

- Mój ojciec musi mieć trzeci pogrzeb - odparł Jaon. - Mnie matka kazała wrócić, bym panu bardzo podziękował za dobroć, ale my nie wyjedziemy.

Pan Szachowski wstał i powiedział do Jaona:

- Może intuicja, dobry duch wam to podszeptuje, bo sam zastanawiam

się, czy wolno mi wywozić syna z ojczyzny. Nigdy nie wiemy, czy taką decyzją nie burzymy naturalnego przeznaczenia człowieka. Ale my nie mamy wyboru, jak wy. Nasze sprawy zmuszają nas do tego. A, z drugiej strony chłopcze, jeszcze nie wiesz, jak ogromny jest świat.

Za chwilę go nie było. Ostatnie słowa zostawiły w Jaonie niepokój i tęsknotę. "Może pobiec za panem Szachowskim i odwołać to, co powiedziałem?" Więc nie zobaczy Marsylii, Rodanu, Puy de Domes? Jaon nie doczekał się powrotu matki. W ubraniu położył się na swoim łóżku i usnął. Matka rozbierała go potem, jak wtedy, gdy był mały i mówiła cicho, uspakajająco: - Wszystko dobrze, wszystko dobrze.

W nocy obudził się w czerni tak zupełnej, że wydawało mu się, że pokój i świat przestały istnieć. Zapomniał o zaciemnieniu. "Matka" - pomyślał. Zapomniał, że wróciła. Przeleciała mu myśl, że zamknęła się w grobowcu Ludwińskich z ojcem, a tu godzina policyjna i on nie może do niej jechać. Wyskoczył z łóżka i przez zimny, obcy, wielki pokój popędził do przedpokoju. Gdy zszedł z dywanu, posadzka wydała mu się taflą lodu. W gabinecie było jeszcze zimniej i straszniej: kanapy puste, nie zaścielone, odbijały się w szybach biblioteki. Zbliżył się, by sprawdzić to i potwierdzić ten straszny fakt, że matki nie ma. Poczul dotyk szorstkiego obicia. "Boże! Mamo! Pozwól, aby to był sen!".

- Mamo! - wrzasnął na cały głos. Stał się cud, przebudzenie z tej strasznej jawy. Usłyszał, że ktoś z jego pokoju biegnie.

- Co robisz w gabinecie ojca? - krzyknęła matka.

Że to był cud, potwierdzało, że matka przybiegła od końca mieszkania, z przeciwnej strony niż były drzwi wejściowe, czyli wróciła przenikając mur czy wleciała oknem trzeciego piętra?

- Mamo, ty żyjesz? - i dotknął rękawa jej szlafroka. Wydał mu się niebiańsko miękki.

Dopiero, gdy zaprowadziła go do pokoju i zobaczył rozestane łóżko matki, przypomniał sobie, że przeniosła się do niego, bo nie stać ich na opalenie całego mieszkania.

- Mamo, co z ojcem?

- Wszystko dobrze. Jest pochowany. Już go naprawdę pożegnałam.

Myślę, że to miejsce jest bezpieczne i tam zostanie.

- Mamo, ja już nie usnę - powiedział.

- Uśniesz, uśniesz, uśniesz.

- Ty z ojcem zawsze rozmawiałaś w nocy.

- Nie powinienesz być o tym wiedzieć.

- Rozmawiaj ze mną.

- Wstrząsnęła mną twoja decyzja.

- Myślałam mammo, że będziesz ze mnie zadowolona.

- Ale nie pomyślałeś sobie, że ci ją zostawiłam pozornie, bo wiedziałam z góry, co zadecydujesz i to będzie po mojej myśli?

- Jeśli ojcu pozwoliłaś walczyć i on nas zostawił, i poszedł, i poległ, to my musimy zostać.

- Czyli próbowałaś postąpić, jak życzyłyby sobie ojciec?

- Nie wiem mammo.

- Zapamiętasz na całe życie, co ci opowiem? Może już nie być okazji i to przypadnie. Twoje postanowienie było przedziwnym powtórzeniem decyzji twojej babki sprzed siedemdziesięciu lat. W przeszłości, jak w lustrach naprzeciw siebie - pamiętasz je u modystki, u której nic nie kupowałam i ty się złościłeś na matkę - odbija się przyszłość. Drugi raz ten sam dylemat, wybór i ty nosiłeś w sobie od urodzenia, gotową decyzję, przekazaną ci przez babkę? Nie omawialiśmy od lat tego z ojcem, także nawet w nocy nie mogłeś tego usłyszeć. W Powstaniu brał udział mój dziad, a twój pradziadek, Rudolf i jego brat Michał. Rudolf był dowódcą Michała, ale w walce został ranny. Michał ukrywa go i leczy, sam się ukrywając. Nawiązuje kontakt z Żydem Abramowiczem, dawnym pachciarzem Rudolfa, który zdobywa im fałszywe paszporty na dwa różne nazwiska: Rudolfa Niklasa i Michała Pawłowskiego. Jako obcy ludzie uciekają do Ameryki. Prowadzą interesy nie zdradzając, że są braćmi. Udają, że się zwalczają, a potajemnie porozumiewają się,

by zrujnować konkurentów. Dziadek Rudolf Niklas uchodzi za Żyda, tak bowiem wynika z kupionego od Abramowicza paszportu. Gdy dziadek dorobił się na tyle, by przyjąć żonę i córkę, którą widział raz, ukrywając się, jako niemowlę, twoja prababka i twoja babka dostają paszporty z Ameryki. Wyjeżdżają do Triestu, by połączyć się w Nowym Jorku z ich mężem i ojcem. Twoja babka, a moja matka miała wtedy 16 lat. W przeddzień odpłynięcia, w hotelu w Trieście, twoja babka oświadczyła swojej matce, że nie opuści Europy i Polski. Ze względu na wiek mogła być zabrana pod przymusem. Dzień, noc i następny dzień, do odpłynięcia statku trwała straszliwa rozmowa matki i córki.

- Babcia nie chciała słuchać swojej matki?

- Całe życie przez to cierpiała.

- Żałowała?

- Nam, swoim dzieciom nie mogła tak powiedzieć. Ale czuła, że sama się osierociła. Wiedziała, jak bardzo jej matka tęskniła za nią. Może dlatego całą czułość zwróciła ku nam, swoim dzieciom. Od małości wiedziałam, że mnie potrzebuje. Kiedyś zrozumiesz, jeśli nie zapomnisz, ale pani doktorowa mówi, że ja zastępowałam jej matkę. Moja nieżyjąca siostra i brat, czyli wuj Rudolf tego nie odgadli.

- Czemu babcia została w Polsce?

- Bo już kochała twojego dziadka. Poznała go niedługo przed wyjazdem do Triestu i przysięgła mu miłość, że zostawi raczej matkę niż jego i nigdy nie uspokoiła się, że powzięła tę decyzję. Coś nieodwracalnego się stało, ale tam twoja babka znów umarłaby z tęsknoty za twoim dziadkiem. No i nigdy nie byłoby ciebie Jaonie, ani mnie. Może dlatego babka tak cię kochała, że ty bardziej niż to bywa z wnukami innych ludzi, mogłeś istnieć dzięki jej decyzji.

- Czyli podwójnie mogłem nie istnieć? Gdybyście się nie spotkali i gdyby babka wyjechała do Ameryki? Niklasowie i Pawłowscy są bogaci?

- Bardzo, ale się nie widują. Korespondencja z twoim ojcem

przypomniała im, że są krewnymi i Polakami. Ojciec pisał do nich po francusku.

Nazajutrz spotkali się z małym Szachowskim przy drzwiach klasy, chwilę przed pierwszym dzwonkiem. Od pewnego czasu było między nimi pewne niedomówienie: Jaon nie odpowiedział Szachowskiemu na pytanie, czy mogą u siebie bywać. Odpowiedź matki była niejasna, ale ponieważ dodała, by jej nie dręczył i nie stwarzał nowych problemów, kiedy jej jest tak ciężko, Jaon zrozumiał to jako odpowiedź odmowną. Ale dobroć pana Szachowskiego, której inspiratora wskazał, postawiła Jaona w trudnym położeniu wobec kolegi.

Jaon spojrzawszy na Szachowskiego odgadł, że kolega wie od ojca, co zdarzyło się wczoraj na cmentarzu; dochodziła odmowa Jaona: odtrącenie pomocy, co w oczach małego Szachowskiego mogło wyglądać na głupotę, czy szaleństwo. Może mógłby jeszcze odwołać to, co powiedział jego ojcu, by nie robić zawodu Szachowskiemu?

Szli w odwrotną stronę niż wszyscy uczniowie, którzy pędzili do klas. Szachowskiemu nie trzeba było nic wyjaśniać, za nic mu dziękować! Teraz dopiero byli wielkimi przyjaciółmi, teraz kochali się jak bracia. Jaon pożałował, że nie ma rodzeństwa. Na tej chwili

ciężka myśl, że lada chwila przyjaciel wyjedzie i pochłonie go ten ogromny świat, a Jaon tu zostanie. Szachowski dał do zrozumienia Jaonowi, że wstydzi się opuszczać kraj, gdy trzeba walczyć, że wolałby być na miejscu Jaona.

Każdą chwilę spędzali razem. Szachowski znał się na wszystkim, na markach samochodów, budowie silników, oznaczeniach w armii niemieckiej, na łodziach podwodnych i stratosferze, znał dopływy Limpopo. Nie mówił Jaonowi, kiedy wyjeżdża. Rozstawali się po ostatniej lekcji, w miejscu gdzie rozchodziły się ich ulice, w obecności Frani, która przychodziła po Jaona i naburmuszona szła z boku; Jaonowi wydawało się, że żegnają się na zawsze i uważał, że choć Szachowski wie, jak jest naprawdę, lepiej go o to nie pytać. Każdy dzień był darowany, gdy następnego ranka spotykali się w holu na dole i szli powoli schodami w górę. Dni były krótkie, zimne, chmury tak gęste, że w klasie było ciemno i zapalano światło. Na korytarzach panował półmrok. Stali tyłem do okien, by nie patrzeć na ruiny za Placem Unii.

W tym codziennym pożegnaniu było coś przejmującego i Jaon na kilkanaście minut zapomniał, że nie ma ojca. Obu interesowało - Jaon odgadywał, że i Szachowski o tym myśli - czy kiedykolwiek się jeszcze zobaczą. Ale Szachowski nie poruszał tego tematu. To, że nigdy nie zachowywali się jak mali chłopcy, było zasługą Szachowskiego. Nigdy nie paplali; Szachowski nauczył Jaona przemilczać rzeczy ważne. Jeśli się wiedziało, że przyjaciel wie wszystko, milczenie nabierało dodatkowej wagi, było najważniejszym wyznaniem.

Jednak nadszedł dzień, kiedy Szachowski, zawsze uprzejmy dla Frani, odwrócił się do niej plecami i odciągnął Jaona pod mur szkolny.

- Słuchaj Jaon - zaczął. - Przysięgnijmy sobie, że żeby nie wiem co się zdarzyło i kto zwyciężył w wojnie, spotkamy się w przyszłości.

- Ale gdzie? - spytał Jaon.

- Wyznaczmy sobie dwa punkty na świecie. W jednym ty zawsze będziesz zostawiać dla mnie wiadomość, gdzie jesteś, a w drugim miejscu ja. Wtedy będzie podwójna gwarancja.

- Jakie to będą miejsca?

- Ja zostawię ci wiadomość w Ambasadzie Polskiej w Rzymie.

- A ja tobie w Marzeniowie na poczcie. Jeśli nie da się, to w kościele w Marzeniowie za obrazem przedstawiającym anioła unoszącego dziecko do nieba, a gdyby pocztę i kościół zburzono jest skała w lasach i tam w jaskini będzie list do ciebie.

- Masz rację, pieczara nie jest głupia. Gdyby Hitler zajął Europę, list do ciebie będzie w Ambasadzie Polskiej w Waszyngtonie.

- Jaoniku, obiad zostawiłam na kuchni - odezwała się Frania. Szachowski popatrzył na Jaona i pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: co też robimy najlepszego rozstając się. Skłonił się Jaonowi i Frani, i odszedł, mimo że mogli jeszcze iść razem do placu. Samochód już po niego nie przyjeżdżał, tylko szofer, spieszony, czekał na niego w odległości. Wziął od Szachowskiego tornister i niósł idąc za nim kilka kroków, kilkanaście metrów za nimi szedł Jaon z Franią. Wszystko, jak zawsze u Szachowskiego było nie wyjaśnione.. Najważniejsze powiedziano i nie wolno było dodać do tego ani słowa. Lepiej rozstać się wcześniej. Ale może z tego powodu, że miał idącego Szachowskiego przed sobą, wiedział skądś, że nie zobaczą się nigdy więcej. Liczył, że przy swojej ulicy Szachowski odwróci się, ale on znikł między sztachetami ogrodzenia ich pałacyku.

Nazajutrz pani nie wyczytała Szachowskiego. Koledzy z pierwszych ławek odwrócili się i popatrzyli na Jaona. Szkoła bez Szachowskiego była inna. Jakie znaczenie miał Szachowski dla niego, Jaon zrozumiał tego dnia. Dokąd był, Jaon uważał za zwyczajne, że Szachowski czeka na jego przyjscie pod klasą, że paury spędzają razem nie dostrzegając innych kolegów. Nowi uczniowie podeszli do niego, jakby czekali na to, by mieć do niego dostęp, gdy Szachowskiego nie będzie:

- Pani katechetka jest zapłakana. Zakochała się w poruczniku lotnictwa. On uciekł na Węgry, a stamtąd ma dostać się do Francji - powiedział jeden z nich i Jaon poczuł, że jest to nawiązanie do zniknięcia Szachowskiego, a zarazem chce się wkupić w jego łaski. Znoszono mu wszystkie wiadomości związane z wojną, traktując go, jakby to on walczył w obronie Warszawy, a nie jego ojciec.

Przez pierwsze dni Jaonowi wydawało się, że Szachowski się jeszcze zjawi. Może przed wyjazdem zachorował? Czy zostanie pod wpływem decyzji Jaona? Niewyczytanie z listy można było tłumaczyć nieuwagą pani. Ale zarazem wiedział, że to bzdury i Szachowskiego nie zobaczy. Trzeba było jechać do Włoch, by być z nim.

Przypomniała mu się chwila, która nabrała ogromnego znaczenia. Patrzyli przez okna korytarza szkolnego w perspektywę Placu Unii

we mgle. Ten widok coś zapowiadał. Jaon poczuł, że obaj mają wiele myśli i czują, że są za mali, by je sformułować i wyrazić. Że to są przecucia przyszłości. Wiedział, że Szachowski to samo czuje w tej chwili, że myśli: "Tego placu nigdy nie zobaczę". Stracił Szachowskiego nim zdał sobie sprawę, jak bardzo go lubi. Teraz dopiero w świadomości Jaona pożegnanie z Szachowskim połączyło się ze śmiercią ojca. Oba utracił bardziej, niż gdyby postępował inaczej. Z ojcem nie poszedł na ostatni spacer, tak samo nie wymógł na matce pozwolenia, by mógł bywać u Szachowskiego. Po południu matka wydała przyjęcie dla pań: Ihnatowiczowej, Sulatyckiej, Ludwińskiej i Żelaskowej. Pani Ihnatowiczowa po raz pierwszy przekroczyła próg ich domu ze słowami: - Biedne my sieroty bez Łazienek.

Była w tym aluzja, że inaczej nie przyszłaby. Frania rzuciła się do rąk generałowej, uklękła przed nią.

Pani Ludwińska z ostentacyjnym niepokojem przyglądała się pani Żelaskowej, młodej i źle ubranej kobiecie w czerni, nie mogąc odgadnąć, kto to. Pani Sulatycka zawołała:

- Oto zebranie wdów, pań cmentarnych - jej smutek objawiał się ekscytacją, przypominającą radość. - Odnalazłam w Nalewkach jednego

z woźniców żydowskich. To, co się z Żydami dzieje, nie zapowiada nic dobrego. Ten poczciwy człowiek ryzykując śmierć, zaprowadził mnie na Bocznarowo przy wysypisku śmieci, gdzie Niemcy każą wyrzucać poległych z cmentarzy żołnierskich, o których nikt się nie upomni. Ale ja nie dam zrobić im krzywdy. To miejsce będzie grobem mojego syna. Zamówiłam wielki krzyż, który wkopię tam nocą. Weszła Frania z herbatą z suszonych malin. Pani Ludwińska nie mogąc jej wybaczyć tego, co wybaczyła jej generałowa, ostentacyjnie odwracała od niej głowę, ale wtedy jej wzrok napotykał panią Żelasko. Matka podeszła do pani Ludwińskiej, podała jej kluczyk do grobowca dziękując za dobroć. Wyczuwając jej niezadowolenie z obecności pani Żelasko, przedstawiła ją:

- To wdowa po podkomendnym męża, starszym strzelcu Żelasko, który poległ bohatersko 19 września.

- Jakie to polskie - wykrzyknęła pani Sulatycka - Generałowa i żona starszego strzelca, połączone jednym bólem!

Pani Ihnatowiczowa zwróciła się do Jaona:

- Przyjaźnisz się z małym Szachowskim? - i nie czekając na odpowiedź powiedziała do pani Ludwińskiej. - Wszyscy zastanawiają się, czyim synem jest naprawdę mały Szachowski.

- Odłóżmy ten temat na kiedy indziej - powiedziała matka.

- Krąży uporzycywa plotka, że...

- Jaon, wkładaj płaszcz i marsz do gabinetu - przerwała matka.

- Dlaczego chłopczyk ma być wyrzucony, mimo że nic nie zrobił? - wykrzyknęła pani Ihnatowiczowa, nie utrzymując się w roli wyniosłej matrony.

Jaon dokładnie zamknął drzwi gabinetu. Żal mu było tajemnicy, jaką otoczony był jego przyjaciel. Usłyszawszy jej wyjaśnienie, stracił coś bezpowrotnie. Po chwili drzwi gabinetu otworzyły się i stanęła

w nich matka.

- Jaon wracaj. Ta pani przekonała mnie - i szepnęła mu w ucho, jakby oczekiwała od niego pomocy. - Nie wiem już, co jest dobre, straciłam pewność.

- Pan Szachowski nie jest ojcem, a stryjem chłopca. To jego brat, nieżyjący księżę Szczęsny miał go z panną, której nazwisko pewnie nigdy nie będzie znane. Chłopca oddano na wychowanie. Pan Szachowski bolał nad poniewierką ich krwi, odnalazł chłopca, zachwyił się nim, pokochał i usynowił.

- Jak z panną można mieć dziecko? - wtrącił się Jaon. - Przecież dzieci ma się po ślubie.

- Jaoniku, potem ci to wytłumaczę - szybko mówiła matka, chcąc uniemożliwić którejkolwiek z pań wyjaśnienie tej sprawy.

Panie zmieszały się, jakby zgorszyły dziecko, a jego myśl zwróciła się ku Szachowskiemu: dobrze, że nie zobaczy go jutro w szkole, bo co miałby zrobić? Może Szachowski nie wie o sobie tego, co wie Jaon? Powiedziałyby mu, czy zataił?

Przyszła mu nowa myśl: - "Boże chroń mnie, by miało się okazać, że jestem synem stryja Hieronima. Moi rodzice tak długo mnie nie mieli. Tak dziwnie się rodziłem. Z rodzeniem są jakieś tajemnice, których nie umiem odgadnąć, podobnie jak było z kupką".

- Źle z prałatem Juścińskim - powiedziała pani Ihnatowiczowa. - Od wkroczenia Niemców nie wychodzi z domu, by ich nie zobaczyć. Zamknął się sam w areszcie - mówię - że lepiej by nie zrobili Niemcy. Odmawia spowiedzenia, kiedy ktoś do niego przychodzi: bo przecież był sławnym spowiednikiem, a wielu teraz chce iść do komunii na wypadek nagłej śmierci, on zaczyna wyznawać na głos swoje grzechy.

- Ma grzechy? Jakie? - wykrzyknął Jaon.

- Jaoniku, zakładaj płaszcz i marsz do gabinetu.

Jaon włożył płaszcz. Wyszedł zadowolony, bo zgromadzenie pań nudziło go.

Gdy wywołano go, panie wychodziły. Okazało się, że pani Żelaskowa zostaje u nich na noc. Miała zbyt daleko do domu, by zdążyć wrócić przed godziną policyjną. Jaon chciał, by spała u niego w pokoju, ale rozłożono dawne łóżko Dziurzyny we wnęce kuchni.

Jaon czatował na nią w dużym pokoju. Pani Żelaskowa nie wiedząc, że ktoś jest w pokoju wybiegła z łazienki z mokrymi włosami, półnaga. Jaon zobaczył, że jej piersi są ogromne w porównaniu z jego piersiami. Pani Żelaskowa ujrawszy Jaona krzyknęła przeraźliwie i zasłoniła się stanikiem: niebieskawym o srebrnym odcieniu, wypukłym jak pancierz, potem coś ją rozbawiło, szepnęła:

- Widzisz? Nie masz takich - i pobiegła do kuchni.

Jaon już usypiał, gdy rozległo się ciche pukanie.

Ktoś uchylił drzwi i pani Żelaskowa cichutko powiedziała:

- Chciałabym porozmawiać.

Matka wstała, założyła szlafrok i wyszła z pokoju. Jaon był ciekaw, co pani Żelaskowa ma matce do powiedzenia. Ale to było coś ważnego, bo szły do gabinetu. Jaon czekał aż matka wróci. Wreszcie wstał zaczął otwierać pudło z żołnierzami. Oni od środka mu

pomagali, pchając przykrywkę. To na pewno nie sen: widać guziki, pasek koalicjki na oficerze Legii Cudzoziemskiej. Okazuje się, że młody pan Bohusz nie jest aresztowany przez Niemców, tylko służy w Legii Cudzoziemskiej.

- Legia Cudzoziemska nie może przyjść Polsce na pomoc - pokazuje bezbrzeżną przestrzeń. - Nim przejdziemy przez pustynię minie pięć lat. Żołnierze jeszcze śpią w koszarach - i pokazał pudło, w którym żołnierze leżeli, zrzuceni jedni na drugich, jak ołowiani - byli tam też zabici. - Ci co polegli, śpią głębiej - objaśnił pan Bohusz.

Jeden z żołnierzy zerwał się. Sztywnym krokiem, zdradzającym, że przed chwilą przestał być żołnierzem ołowianym, szedł ku Jaonowi. Zamierzył się, błysnął bagnet. Jaon poznał francuski typ starego karabinu z tamtej wojny, poczuł, że przeszywa go straszny ból. Żołnierz Legii przebił go na wylot.

W chwili obudzenia się, wiedział, dlaczego bagnet tak od razu się wbił w niego: Jaon nie miał wypukłych piersi, jak pani Żelaskowa. Matka wzdychała przez sen głęboko, żałośnie. To musiało Jaona zbudzić. We śnie jęk matki wystąpił jako jego własny ból.

Cierpiała we śnie i mogło się jej śnić coś straszniejszego niż Jaonowi. Postanowił obudzić ją, ale nie mógł, jak to bywa we śnie. Wiedział jednak, co się śni matce. Odczytywał ten sen, widział go, jak narysowany. Mógł wejść w niego postąpiwszy krok, jak kiedyś przez ramę obrazu. Wiedział, że na to trzeba odwagi, więc zrobił krok. Już był tam, wewnątrz snu matki. Śnił się matce. Matka wyjaśniła go:

- Widzisz, tu jest przytulnie, wysłane dywanami. Okna są zasłonięte workami z piaskiem. To pieczara, gdzie jesteś bezpieczny. Dobrze, że tu wróciłeś. Byłeś tu kiedyś, ale nie pamiętasz. Pamięć jest tobie wzbroniona. Tylko ja to pamiętam. To jest straszna prawda i nie wolno mi jej ci mówić. Złamię zakaz i powiem ci...

W tym momencie Jaon przebudził się szarpany przez Franię:

- Śniadanie! Do szkoły! Myślałam, że umarłeś, czy co. Nie można się ciebie dobudzić.

Pani Żelaskowa jeszcze była. Wyspana, wymyta, wydawała się bardzo czysta i bardzo młoda. Włosy miała ściągnięte w tył. Uśmiechnęła się do Jaona. Nie wydawała się wdową, jak jego matka.

Jak bardzo od czasów wojny Jaonowi smakował chleb. Ukradkiem, wbrew zakazowi matki, wachał go i łamał na malutkie kawałeczki, rozpuszczał w ślinie i mlaskał. Frania jadła na przeciwległej stronie stołu, na rogu, przycupnąwszy na brzegu krzesła.

Dopiero wieczorem Jaon miał możliwość zadać matce pytanie, o czym opowiadała pani Żelaskowa. Matka powiedziała:

- Oddałam ci tak ważną decyzję w sprawie wyjazdu. Twoja dorosłość musi polegać na uświadomieniu sobie, że jesteś dzieckiem. Gdy o tym zapominasz, staczasz się do roli, której chcesz zaprzeczyć, małego chłopczyka, który o wszystko pyta. Dorosły wiedziałby, że to, co mówiła pani Żelaskowa jest jej tajemnicą.

Znów było śniadanie. Jaonowi było żal, że nie ma pani Żelaskowej.

Tak było z nią wesoło. Dzień zaczął się ciemny, prawie jak noc. Matka i Frania wydawały się smutne i ponure. Gołębie zbierały się na parapecie i zaglądały w okna, patrząc, jak oni jedzą. Jaon pokochał je od czasu, gdy bały się bomb i pocisków, i przelatywały z jednej strony podwórka na drugą. Nie pytając nikogo otworzył okno i rzucił im resztkę wydzielonego mu chleba.

Frانيا powiedziała:

- Jednej pani z szóstego piętra zjadły całe zapasy, które wystawiła za okno. Teraz zębrze o jedzenie. Była i u nas, ale nie dałam. Jak pani będzie wydawać kolacje i śniadania dla obcych ludzi, jak ta wdowa po żołnierzu, ja odchodzę. Muszę zdobyć wszystko, żeby Jaonik rósł, a nie żywić przybłędów.

- Mamo - zaczął, gdy wszedł do swojego pokoju - co mówiła pani Żelaskowa? O Szachowskim pozwoliłaś mi słuchać.

- Ach, wiedz sobie. Pani Żelaskowa zapewniła mnie, że twój ojciec nie ponosi odpowiedzialności za śmierć jej męża. Mogło się wydawać, że poległ pod wpływem tego, że twój ojciec zginął.

- A kto ponosi winę?

- Nikt nie ponosi. Ale pani Żelaskowa uważa, że kule trafiają tych, którzy tego chcą, lub nie kochanych. Ci muszą zginąć. Całą noc ją uspokajałam.

- Pani Żelaskowa nie kochała pana Żelaski?

- Tego ci nie powiem, choćby dlatego, byś się uczył utrzymania cudzych tajemnic. Inaczej nie będziesz miał przyjaciół, bo nikt ci nie będzie ufał.

Przypomniał sobie rano, gdy Frania szarpała go za ramię i myśl, która przyszła w chwili obudzenia, i to, że nie wolno mu nigdy się zdradzić z tą myślą przed matką: - "A jeśli trumna, którą znaleźli pod murem cmentarza nie jest trumną ojca? Wgniecenia mogą być na każdej trumnie z cienkiej blachy. Trzeba było oderwać wieko i zajrzeć nawet za cenę zobaczenia ojca w strasznym stanie, by mieć pewność, że to on, i że na pewno zginął". Uderzyła go nowa myśl: - "Jeśli twarz ojca rozpadła się, nigdy nie poznamy, czy to on".

Trzecia tajemnica od czasu, gdy wyszedł do Szachowskiego i był z Alinką w altance musi stanąć między nim, a matką. Był dumny, że utrzymanie jej było konieczne ze względu na matkę, a nie na niego.

- Opowiem ci co innego - odezwała się pogodnym głosem matka. - Muszę ciągle karmić tę twoją straszną, niepokojącą ciekawość. Nuż się zapomni i nie dowiesz się nigdy. Gdy byliśmy w czasie narzeczeństwa z twoim ojcem na spacerze, przyzwoitką była twoja nieżyjąca ciotka. Wtedy panny nie mogły same z narzeczonym chodzić na spacer - i nagle zgadliśmy, że jest wróżba w tym, że herbem twojego ojca jest Stary Koń, przedstawiający rozbuchanego, stojącego dęba konia, a mój herb to było Strzemie.

- Było?

- Już nic nie jest, jakie było.

- Jestem szlachcicem? - spytał Jaon.

- Logiczny, ale niemądry wniosek. Szlachty już nie ma. Inaczej mówiąc, szlachectwo zdobywa się w każdym pokoleniu od nowa.

- Szachowski śmiał się z kolegów, że mniej zdolni myślą, że

wszyscy są jednakowi.

- Lepiej, że Szachowski wyjechał. A ty synu wiedz: dostrzegłam, że mniej się uczysz. Niezdolni cię prześcigną, jeśli będziesz interesował się życiem pani Żelasko, a nie arytmetyką.

- Mamo, czy pani Żelasko jest ładna? Czy ma tyle lat, że mogłaby mieć chłopczyka w moim wieku?

- Pytasz, czy mogłaby być twoją matką? Na to jej brakuje kilku lat. Wróć synu do sprawy równości. Zapamiętaj sobie ostrzeżenie matki i potem, kiedyś je zrozumiesz: ludzie tworzą sztuczne nierówności, by zatrzeć te, z którymi przychodzimy na świat. Czy ja ci wszystkiego nie pomylę w głowinie? Czy ja tyle z tobą rozmawiam, bo czuję się samotna? Może trochę zastępujesz ojca?

- Mamo - rzucił się w jej ramiona z radością Jaon.

Nazajutrz znów rozmawiali siedząc daleko od okna, od którego było zimno, gdy weszła Frania z workiem w rękę. Uniosła go w górę tryumfalnie: - Słonina na święta.

Usłyszawszy słowo święta, matka zapłakała nagle, krótko i natychmiast, spokojna, powiedziała:

- Niepokoję się o wuja Rudolfa. Czy nie spotkało go coś takiego, jak twojego ojca?

Frانيا udając, że nic nie spostrzegła, wyjęła polec słoniny.

- To od pana Łatyńskiego. Ale nie dla pani, tylko dla mnie. A ja daję pani. Pan Łatyński namawiał mnie bym przyszła do niego na służbę i kusi mnie, jak mysz, słoninką. Ale ja do tej łapki nie wpadnę. Podkrada mnie pani, mówi: - "Ta pani nie zasłużyła na ciebie, bo przedtem miała tłuka, tę Mariannę".

Nazajutrz przyszedł stryj Hieronim w kozuchu, który kupił od stróża swojego domu.

- Lepiej nie wyglądać na inteligenta - powiedział. Niemcy takim się przyglądają.

- Rzadko bywasz u nas.

- Tyle, ile przed wojną - odrzekł stryj Hieronim.

- Tak, rzeczywiście nic się nie zmieniło - szepnęła matka.

- Zapraszam was na wigilię.

- Dziękuję, wigilię spędzę z Jaonem i Franią.

- Rozumiem. Trudno. A pierwszy dzień świąt?

- Jeśli, to drugi dzień.

- Dajesz mi do zrozumienia, jaki wielki dystans nas dzieli.

- Dzieje się to zgodnie z twoją wolą.

- Julianno, Józef za szybko cię porwał. Mam powolniejszą orientację niż on.

- Cóż to za spóźnione i nie na miejscu wyznanie.

- Podkochiwałem się w tobie, a twoja siostra w twoim mężu.

- To nieprawda.

- Nieraz z twoją siostrą o tym rozmawiałem, nawet żartowaliśmy, że stworzymy parę odrzuconych i pokochamy się wam na złość, by bronić się przed waszym urokiem.

- Hieronimie, dlaczego gdy tamtych dwoje nie żyje, pozwalasz sobie pleść te bzdury?

- Dla kogoś bzdury, a dla innego nie bzdury. Dla kogoś pozostały

nie bzdurami na całą wieczność. U mnie miało to lekki przebieg.

- Hieronimie, jaki ty zawsze jesteś przykry, jak wszystko obrzydzasz, wszystko jest niższe, prostsze w twoich oczach.

- A propos, panna Świdwińska uciekła przez Karpaty na Węgry w towarzystwie bogatego przemysłowca, inni mówią, że z młodym lotnikiem, a może z oboma na raz, by przedostać się do Francji.

Powiem ci znów coś niezbyt przyjemnego: radzę ci opuścić Warszawę. Tu umrzecie z głodu. Musicie oprzeć się na twoim bracie Rudolfie, który zawsze miał oparcie w Józefie i w tobie.

- Kiedy nie ma Józefa, czuję się źle w twoim towarzystwie, Hieronimie. Nie mam obrony przed tobą.

- Pozostał ci ostry sposób mówienia.

- Pozostał, czyli w obecnej sytuacji powinnam się bardziej liczyć z tym, co mówię do ciebie? Nie wiesz, że tobie nie warto się podlizywać? Józef opowiadał mi o procesie, w którym był biegłym. W stawie tonął człowiek i chciał się chwycić wędki rybaka stojącego na brzegu. Ale rybakowi żal było bambusowego wędziska, uchylił wędkę i tamten utonął.

- I morał dla mnie taki: rybak poniósł karę za nie udzielenie pomocy?

- Opowiedziałam to w intencji, by cię ostrzec, ale przed jedyną karą: jaką sam dla siebie jesteś.

- Panna Świdwińska zdążyła mi się pożalić na Józefa.

- Masz do mnie o to żal?

- Ale jednak przyjdzie w ten drugi dzień świąt - odrzekł stryj i sięgnął po kozuch. - Byłaś tak solidarna z moją żoną. Ona tak tryumfuje! Musi się z tobą tym wszystkim podzielić.

- Jakoś za poufale do mnie mówisz. Nie życzę sobie tego.

- Naprawdę Julianno, teraz są inne czasy. Nie możesz się dalej obrażać o byle co.

- Twoje zachowanie ma mi uświadomić to, że są twoje czasy, a moje się skończyły. Jeżeli chcesz, złożę u notariusza oświadczenie, że odrzuciłam twoją pomoc.

- Notariusza trzeba opłacić, a tobie pewnie kończą się pieniądze. Ja na notariusza nie mogę ci nic dać.

- Czy nie mógłbyś choć na tyle być bratem Józefa, by takich rzeczy nie mówić? Ludzie obcy stają się teraz bliscy, a ludzie bliscy - całkiem obcy. Ty byłeś, jak druga, mroczna strona Józefa. Jego zaprzeczeniem, odwrotnością, jakbyście byli jednym człowiekiem, rozdzielonym na dwóch.

- Jeszcze chciałem dodać, że panna Świdwińska nie zrażała się niepowodzeniami. Była na nie wyjątkowo odporna. Nie ustąpiłaby w sprawie Józefa.

- Jeśli potrzebujesz pretekstu do zerwania, to przypominam ci, że jesteś w kozuchu i wyszedłszy stąd nie zmarzniesz na dworze.

- Ale jednak przyjdziecie w drugi dzień świąt? To, co nas łączy, to nie znajomość, a więzy rodzinne.

- Mnie z tobą więzy rodzinne nie łączą. Niech Jaon podejmie w tej sprawie decyzję.

- Stryj wybuchnął śmiechem i wyszedł.

Święta, nie czekane, spadły na nich jak kara. Jaon unikał gabinetu. Nie mógł znieść widoku tego okna. Straciwszy aniołka, nie wiedział, jak wiele ma. W końcu włożył płaszcz i wszedł do gabinetu. Okna były ciemne, aż czarne, ale Jaon wiedział, że tam nigdzie nic się nie zmieniło, wszędzie mają choinki, ale ukrywają je za zasłonami, jakby nie dlatego, że obowiązuje zaciemnienie, ale by zakryć je przed Jaonem, by nie widziało ich nieszczęśliwe dziecko.

Czuł zapach zimna, bliskość szyby i widział, jak natychmiast pokrywa się zamgleniem jego oddechu, ale świat, który za nim nikt, był inny niż dawniej.

W miarę jak zaczynało się ściemniać, matka raz po raz podchodziła do okna, odchyłała koce i wyglądała. Nie patrzyła pierwszej gwiazdy, tylko wuja Rudolfa. Zawsze przyjeżdżał w ostatniej chwili. Niemożliwe, by, jeśli żyje, miał tej wigilii zawieść.

Nie było choinki. Jaon chciał wyjąć choć papugę i zawiesić choćby u siebie w pokoju, ale matka mogłaby mu kazać ją zjeść.

Papuga stała się w jego oczach ptakiem o złocistych skrzydłach, tajemniczym, jakby przyleciała z przeszłości, za którą, mimo że był dzieckiem, już tęsknił. Ukrycie jej w pudle mogło oznaczać nadzieję, że wszystko powróci: ożyje ojciec, zapalą choinkę i aniołek zjedzie windą z wysokości.

Matka kazała wyjąć najcieńszą porcelanę, srebra i kryształ; nie chciała poddać się nieszczęściu i wojnie, tym tylko mogła zaznaczyć uroczystość świąt. Frania powoli rozstawiała talerze. Najpierw położyła talerz przed fotelem matki Jaona, potem przed miejscem Jaona. Wtedy matka powiedziała:

- Frania zje z nami. Proszę dla siebie położyć nakrycie.
- Po mojemu służąca nie ma co rozsiadać się przy stole, a jakże tak panią i Jaonika zostawić, jak te sieroty? - podeszła na koniec stołu i tam, nie w środku, a w rogu położyła talerz.
- Franiu. Jeszcze jeden - powiedziała matka, a gdy Frania chciała postawić w miejscu, gdzie siadywał ojciec, uprzedziła jej ruch krzyknąwszy: - Nie tu! Tu, gdzie siadywał młody pan Rudolf.
- A ja tam pamiętam? - rozgniewała się Frania.

W ten sposób symboliczne nakrycie dla zabłąkanego wigilijnego gościa było nakryciem dla gościa, na którego czekano. Nawet Frania ociągała się z przyniesieniem zupy. Wniósłszy ją ostentacyjnie, usiadła tak daleko, że wydawała się mniejsza na końcu stołu.

Skromność wigilijnych potraw była naturalna, wynikała z biedy. Gdyby nie wianki suszonych grzybów zwożone co roku z Marzeniowa, byłoby gorzej. Zupa grzybowa była rozlana i wszyscy troje trzymali łyżki nie zanurzając ich w zupie, czekając na cud, na dzwonek. Ale cisza w domu, w mieście, w świecie była przerażająca. W zwątpieniu zagłębili łyżki w zupie. Rozległ się dzwonek. Matka przegoniła Jaona.

- Jest zlitowanie. Jest ratunek - wołała nim otworzyła drzwi, jakby widziała poprzez nie wuja Rudolfa.

Wuj Rudolf wszedł w śniegu, jak święty Mikołaj z paczkami.

- Pada śnieg? - spytała niemądrze matka.

- Tak strasznie się bałem - mówił wuj. - Wstąpiłem do dozorca Szymańskiego, spytać czy żyjecie, ale nie mogłem - tu wujowi zadrżały usta, przytulił się do matki i jak dziecko schował czoło w zagłębieniu jej szyi. Nie mógł się opanować i szlochał. - Szymański mówi: - "Poznaję pana, poznaję", odgadł, że wolę przedtem wiedzieć, ale jeszcze zwlekał. Józef? Józef! Kto nami będzie dowodził? Kto doda nam sił? Myślałem, że on już stoi na czele podziemia... a tu, a tu... wiecie choć, gdzie.. jest? Gdy znaleźli się w pokoju, wuj dopiero zdjął płaszcz podbity futrem, i położył paki, z których jedna miała podłużny kształt: - To zajęć. Zabity pociskiem z polskiego karabinu. Następny będzie Niemiec. Ach, Szymański dał mi szklaneczkę wódki. A wy, nie macie czegoś?

Frania nie pytając matki, wyjęła butelkę Cinzano i kieliszek, ale wuj poprosił o szklanekę, nalał sobie pełną i stojąc wypił duszkiem, a potem postawił przed Franią, by napełniła powtórnie. Wuj na ich tle wyglądał wspaniale, opalony, trzymał się prosto, mówił z niespotykaną u niego siłą i gdy Frania zaczęła zbierać swoje talerze, by iść do kuchni, z pełnym czaru uśmiechem chwycił ją za rękę i trzymał:

- Choćby dlatego, że nie będziemy siedzieli we trójkę. To zawsze się nie sprawdza. Gdybym nie przyjechał, jedno z was musiałoby w tym roku umrzeć - mówił i Jaon zauważył, że zachowuje się podobnie jak Dziurzynka i Maniunia, gdy wypili wermut. - Niechże panna Frania naleje sobie i wypijemy - trzymał ją dalej za rękę, a ona zaczerwieniwszy się, zerknęła na matkę.

Matka ani nie pozwoliła ani nie zabroniła.

- Ach, panno Franiu, przestałaby się pani garbić, umalowała się, rozpuściła włosy i jeszcze by panna Frania za męża wyszła.

Frania jadła ostentacyjnie mało, czuła się widać niepewnie. Wzrok miała wbity w talerz i od czasu do czasu podnosiła go na wuja Rudolfa. Jaonowi wydawała się mniej smutna.

Wuj rozrywał paczki, wyjmował ciasta, malutkie, miniaturowe ciasteczka.

- To Alinka, córka dzierżawczyni upiekła dla Jaona - powiedział wuj. - Wróciły czasy naszych rodziców Julianno. Uruchomiliśmy żarna, piec chlebowy. Dom przestał pachnieć stęchlizną, zgnilizną i myszami.

Wuj, wypłakawszy się, był rozradowany, podniecony, jakby zapominał o śmierci męża siostry.

- Niech panna Frania rozpuści włosy - upierał się wuj, pijąc następną szklanekę wina.

- Rudolf! Uspokój się! - skarciła go matka.

Frania udając, że nie słyszy, wyszła do przedpokoju i za chwilę wróciła z rozpuszczonymi włosami. Jaon nie wyobrażałby sobie, że w kimś może zajść taka zmiana. Włosy Frani okazały się gęste, puszyste, długie i okalały chudą, smutną, trójkątną twarz, na którą nie zwracało się uwagi.

- Panno Franiu, przecież pani jest młoda! - wykrzyknął wuj.

- Mam trzydzieści dziewięć lat - powiedziała Frania.

Jaona to speszyło. Jak była stara! Jaon nie mógł sobie wyobrazić, jak będzie, gdy dożyje tego wieku.

Wuj wypił jeszcze jedną szklankę wina i ruszył ku kanapie. Gdy zwałił się na nią, matka przykryła go jego futrem i innymi płaszczami. Jaona chwyciła senność równie gwałtownie, jak wuja. Wyprowadzony przez matkę do swojego pokoju usypiał, gdy go rozbierano.

Jaona obudził podniesiony głos wuja:

- Nigdy, przenigdy po tym, co ci powiedział nie musisz Hieronima widzieć.

Uświadomił sobie, że jest rano, są święta, poczuł napływ szczęścia

i pomyślał, że zawoła matkę, otworzy drzwi i on ujrzy gałąź choinki z kołyszącą się papugą. "Jakie dostałem prezenty?" - przysłała mu radosna myśl, ale zdziwienie, że nie może sobie przypomnieć, przeszła w gwałtowne przebudzenie. Zerwał się. Cios był tak silny, jak wtedy w schronie. "Więc będę się tego dowiadywał wiele razy i za każdym razem ta wiadomość będzie nowa i równie bolesna?" Ale Jaona przepełniała tak wielka nadzieja na przyszłość i zachwyty nad życiem, że nawet ta świadomość nie przesłaniała mu światła poranka zza kocy, pewności, że wojna się skończy, on i matka przeżyją.

Te myśli spowodowały, że nie usłyszał początku tego, co mówił wuj, dopiero potem: - ...nie martw się więc, że Hieronim po jego śmierci okazał się taki, jakby oszukał Józefa. Józef nie miał złudzeń co do Hieronima. Kiedyś powiedział mi: "Moim prawdziwym bratem jesteś ty, Rudolfie. Zawdzięczam cię Juliannie".

- Tak powiedział? W cudowny sposób doszły mnie słowa Józefa, przemówił do mnie. To jego fraza, jego sposób myślenia, formułowania, słyszę jego głos. Mój kochany bracie, dzięki ci.

- To ja do ostatniego tchu będę dziękować Józefowi. Przygarnął mnie, mimo że uważał mnie za człowieka straconego. Nigdy mi tego nie powiedział, ponieważ uważał, że nic już mnie nie powstrzyma, że jestem nieodwołalnie zmarnowany i nie chciał przysparzać mi bólu. Wszyscy powtarzali: - "Rudolf, opamiętaj się, giniesz", on jeden najbardziej spostrzegawczy milczał. To milczenie mnie ostrzegało, jak przed śmiercią. W mojej samotni marzeniowskiej myślałem, jak się podnieść, choćby trochę, tylko ze względu na Józefa, by go zadziwić, żeby mnie przeprosił za swoje myśli nie wypowiedziane, ale które odgadłem, i żeby mu podziękować za to milczenie. Dziś nadszedł ten dzień Julianno. Zabieram was do Marzeniowa, gdy nadejdzie pierwszy podmuch wiosny.

- Mój drogi! Tego właśnie nie mogłam ci powtórzyć. Słów Hieronima:

- "W mieście umrzecie z głodu. Niech was zabiera Rudolf". Tak nas się boi! Chce się nas pozbyć.

- Nie pójdziemy tam. Hieronimowi będzie wolno zobaczyć was dopiero po wojnie, gdy wolna Polska oceni bohaterstwo Józefa.

- Rudolf, muszę zadać ci pewne pytanie. Wybacz mi, błagam: jak ty dasz radę nas utrzymać?

- W moim życiu zaszły ogromne zmiany.

- Dlaczego nie mówiłeś wczoraj?

- Zapomniałem o sobie. Tak brakowało mi Józefa. Tyle miałem mu do powiedzenia. Jemu, nie tobie. Przebaczone. A zarazem cieszyłem się, bo przedtem myślałem, że żadne z was nie ocalało. Dziwne widzieć was w smutku. Świętowaliście swoje życie. Nie znaliście dni powszednich. Przy tym Józef żył według najwznioślejszych zasad, ignorując prawa, którym poddają się zwykli ludzie, zachowując się, jakby nie dotyczyło go prawo ciężenia. Żył nie w chmurach, ale szedł po chmurach, ponad nimi. Skoro doszło do twojego zerwania z Hieronimem, powtórzę, co mi mówił: - "Józef nie dojdzie do wyżyn kariery. Dobry jest jako bicz karzący, czy nóż do wycinania wrzodów, narzędzie postrachu. Nie powierzą mu kierowania bankiem, czy ministerstwem bo wiedzą, że oddaliby ster w ręce szaleńca". Uważał, że Józef nie uznawał ludzi, jakimi byli, tylko stawiał im żądania. Zdaniem Hieronima, Józef odszedł z wojska, bo nie było dla niego tam miejsca, poza miejscem wodza naczelnego, ale to zajmował Piłsudski. Hieronim na pewno uważa, że śmierć Józefa była bezsensowna i stała się potwierdzeniem jego teorii o Józefie. Przyjmuję ją, jako złośliwość wobec siebie. To, że nie chce wam pomagać niby ma być karą dla nieżyjącego Józefa. Hieronim przekonany, że jestem nędzarzem wysłał was do mnie, byście zaczęli rozumieć winę Józefa wobec was.

- Skąd się tego domyślasz?

- Nieraz rozmawiałem z Hieronimem o Józefie na boku różnych przyjęć, świąt i uroczystości, kiedy nasze rodziny połączyły się dzięki wam. Hieronim chciał mnie przeciągnąć na swoją stronę. Józef stał się dla niego bardzo ciężkim problemem. Hieronim przestawał wierzyć w siebie. Od czasu sukcesów Józefa w banku jego teoria co do Józefa zawalała się. Śmierć Józefa przyniosła mu ulgę. Muszę ci się przyznać - wuj podszedł do kredensu wyjął nową butelkę wermutu, odkorkował ją, otworzył, nalał sobie szklanek

- że i ja chwilami czułem się źle przy Józefie. To jego badawcze spojrzenie, nagle, przyjacielskie wyjmowanie portfela w sekundzie, gdy myślałem: - "Czy domyślisz się, że nie mam grosza?" i wsuwanie mi w rękę sumy, o której pomyślałem i to, że ci o tym nie mówił.

- Więc i ty zachowałeś za to jakiś żal do Józefa?

- Jak możesz! Chciałem tylko powiedzieć, że będziecie na utrzymaniu Józefa. To, co dostałem wróci do was. Nie wiesz, jak wielki, mimo jego serdeczności dla mnie, między nami był dystans. Frania podała świąteczne dania, uderzając talerzami o stół, rozżalona, że jej potrawy z mąki i słoniny zostały wyparte przez kiełbasę i ciasto przywiezione przez wujka Rudolfa. Jaon postawił przed sobą ciasto od Alinki. Dziwny smak miało, słodkawy i kwaskowaty, pachniało drożdżami i mąką, jakby jej ciałem.

- Alinka z takim przejęciem robiła to ciasto - mówił wuj Rudolf do Jaona. - Pilnowała go w piecu. Żaliła się, że Jaon ostatnich wakacji nie zwracał na nią uwagi, bo jest dziewczynką i nie chciał się z nią bawić, tylko z chłopakami. Maniunia przez Dziurzynę wypytuje o was. Urodził się jej chłopczyk, ale Dziurzyna twierdzi,

że bardzo kocha Jaonika. Chciała synkowi dać na imię Michał, ale w ich wsi pierworodny musi nosić imię dziadka po stronie ojca. Ach, Julianno - dodał wuj - wszystko zmarnowałem, zerwałem ze strachu z wszystkimi kobietami, straciłem wszystkie okazje, zabiłem w sobie wszystkie miłości. Twoje życie Jaon potoczy się inaczej niż moje, inaczej niż twojego ojca. Julianno - zwrócił się do matki Jaona rozradowany, nadając także ich nastrojowi coś pogodnego - skąd ty masz tyle wermutu?

- Co mogłam, to kupowałam w hurcie. Rzeczy, które się nie psuły miałam w zapasie na dziesięć lat i taniej o 20 procent. Kupiłam skrzynkę Cinzano, choć się u nas nie piło. Zmieniasz temat, żebym nie wspomniała o Lenie?

- Wojna zmiotła ostatni ślad wspomnienia o Lenie.

- Nie wierzę.

- Ach, ten nasz cudowny, straszny zwyczaj rodzinny omawiania wszystkiego, z nadmierną otwartością, która porusza do głębi, daje obu stronom radość, jednocześnie poczucie winy i poczucie krzywdy. Czy nasze wszystkie wzajemne żale nie powstały przez to?

- Mój Boże. Dowiaduję się czegoś nowego? Jakie żale? Ja nie znam tego uczucia wobec żadnego z was.

- Ciebie nikt nie śmiałby zranić. Ciebie oszczędzano jak świętość. Ty nawet nie zrozumiałabyś, że ktoś chce cię zranić, więc nie wiesz, co się wtedy czuje - wuj dołał sobie Cinzano do pełna, mimo że miał jeszcze pół szklanki, jakby bał się, że matka zabierze mu butelkę.

- Wyjaśnij to. Nie zostawiaj niedomówienia.

- Od moich urodzin wiedziałem, że mam czcić ciebie, starszą siostrę. Tego żądała nasza matka. Dla siebie nic nie wymagała. Jakby tego wszystkiego nie było dość, zjawia się w twoim życiu Józef. Kiedy się walczyło, był słynnym żołnierzem. W czasie pokoju zarabiał więcej niż w naszej rodzinie słyszano od 1863 roku. Był bez skazy, był opoką potęgą. W Marzeniowie nieraz policja chciała się za mnie wziąć - o czym nie mówiono ci - z powodu awantur, które wywołałem nie ja, a mój przyjaciel Maciuś, którego traktowałaś jak nieistniejącego. Ale wiedzieli o Józefie i drżeli przed nim.

- Boże miły, co to za awantury?

- Policja chciała zamknąć pokój na zapleczu Babskiej i przychwycić ją na nielegalnym wyszynku. Stanęliśmy w obronie Babskiej. Drugi raz, poniosły konie i jechaliśmy przez Marzeniów tratując wszystkich. Nikomu nic się nie stało, tylko uciekając do rowów ubłócili się.

- Zerwałeś z tym kolegą?

- Przeciwnie. Jesteśmy bliżej niż kiedykolwiek. Prowadzimy pewne, że się wyrażę ogólnikowo, interesy.

Gdy nadeszło popołudnie, ciemne, bezśnieżne i chmurne, wuj zerwał się z kanapy, otrzeźwiały i wesoły.

- Przebacz siostró - rzucił się do rąk matki. - Piję więcej niż przed wojną. Co gorsze, piłem przy tobie. To mnie niepokoi. Jak ja śmiem?

- To proste. Józef nie żyje - rzekła surowo matka.
 - A ja staję się potężny - przełknął łyk wina i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki kłęb pieniędzy. - Same pięćsetki - skomentował.
 - Cieszę się Rudolfie, ale mówisz to w sposób, jaki odbiera mi połowę radości. Naszej matce byłoby przykro.
 - Znów źle robię? Przecież niczym mnie tak nie dręczyliście, jak tym właśnie, że moje życie przepadło - zirytował się wuj Rudolf. - Przez to przepadło. Nasza matka, nasza świętość. Po Matce Boskiej jest następna w naszej rodzinie. Mam zamurowane usta, zaszyte dratwą, zapełnione betonem, okręcone drutem kolczastym.
 - Zresztą mów, ona by ci pozwoliła.
 - Wiem, co myślisz: - "Rudolf szarga pamięć matki. Tak się rozzuchwalił!" Nasza matka od początku nam wymyślała życie, każdemu z nas trojga inne, czym kto będzie, co się z kim stanie. Jaon szczęśliwy! Nie ma rodzeństwa. Za to będzie nam wdzięczny. Ale nie będzie żył swoim życiem, tylko tym, które z kolei ty dla niego stworzyłaś, bo ciebie matka wybrała, byś była do niej podobna. Jaon ma przed sobą wielką przyszłość, bo mu taką zakreśliłaś i będzie szedł w tę stronę, jak zahipnotyzowany. Mnie nasza matka przeznaczyła na stracenie. Tylko nasza siostra wyłamała się z planu babki.
 - Jakież twoim zdaniem, nasza matka miała zamiary wobec niej?
 - By nie wychodziła za mąż, była przy niej, przedtem skończywszy studia przyrodnicze.
 - Czemu nie powiedziałaś tego naszej matce dokąd żyła? Dlaczego nie mówiłaś mi, dokąd był na świecie Józef? Wtedy nasza matka wiedziałaby, jak ratować naszą siostrę. Szukała jej w tajemnicy narzeczonego. Nawet były próby co do Hieronima.
 - Czy tak, czy tak, była skazana. Hieronim? To było jak wysłanie jej na rozstrzelanie.
 - Zachwyciłaś się Hieronimem nim go znienawidziłaś. Byli tacy, co dziwili się, że wybrałam Józefa, a nie Hieronima.
 - I co z tymi próbami, co do Hieronima? Ona wiedziała o tych zabiegach?
 - Nikt nie wiedział, najlepszy dowód, że dowiadujesz się w tej chwili.
 - Już wiem, skąd wynikał protekcyjny ton Hieronima wobec naszej rodziny.
 - Brałaś to do siebie i czułaś się dotknięty. Przegapiłaś moment, gdy przejrzelismy Hieronima i przestaliśmy traktować go poważnie.
 - Nie idziesz do niego jutro? Odczułbym to jako zniewagę.
 - Nie pójdziemy, nie dlatego, że ty sobie nie życzysz, ale ponieważ Hieronim może już nie zobaczymy nigdy w życiu. Tymczasem musimy wybierać się do Woynickich.
 - Nie idę - oświadczył wuj Rudolf - W stanie, w jakim jestem - nie. Raziłbym.
- Nika nie wyszła do nich i nie dopuszczono do niej Jaona. Była chora. Nie wiadomo, czy to jest forma grypy, którą mógłby zarazić się Jaon, czy coś z nerkami. Otworzono drzwi, by dzieci mogły się

zobaczyć. Nika podniosła się i pomachała rączką Jaonowi. Była w czymś różowym. Jaon postąpił krok, by spojrzeć w twarz Nice; bledziutką i smutną, aż przeraził się, czy Nika nie umrze, szedł ku niej, ale matka chwyciła go za kołnierz i powstrzymała tak, by państwo Woyniccy nie widzieli, jak jej ruch był silny i zdecydowany.

- Jaon od wojny nie choruje - powiedziała pani Woynicka z odcieniem zazdrości.

- Już w piwnicy zauważyłam, że jest odporny na pył, brud, wilgoć, przeciągi, na prawdziwe niebezpieczeństwo - powiedziała matka. - Brat zaprasza nas do Marzeniowa.

Miasto, to obszar duszny, ścieśniony, zamknięty. Tam są lasy, przestrzeń. Można wykopać schowek pod ziemią. Ale dziś jest ryzykiem radzić i zdawać się na czyjąś radę.

- Musiałabym zostawić, co mam, na łasce Frani.

- I tak wszystko jest na łasce Niemców.

- Podzielę wszystko, co mam. Połowę zabiorę ze sobą. Musiałabym Jaona zabrać z jego szkoły i oddać tam do wiejskiej. To może zaważyć na jego przyszłości.

- Nie musi chodzić do szkoły. Lepiej zniknąć z wszelkich ewidencji.

- Nawet dziecko może się czegoś obawiać?

- Tak - odparł pan Woynicki. - Niech uczy się w domu. Tworzą komplety. Potem zda, jako ekstern.

Gdy Jaon wychodził z matką, zajrzeli do pokoju Niki, ale spała. Obudziwszy się nazajutrz, Jaon słyszał jak wuj Rudolf przechadza się po wielkim pokoju. Wiedział, że wuj wtedy myśli. Wstała matka i weszła do dużego pokoju.

- Dla mnie jest koniecznością, byśmy ten dzień świąt spędzili z naszym ukochanym Józefem - powiedział wuj Rudolf. - Nie pogadaliśmy tego lata. Frania mówiła, że tramwaje docierają do pierwszego cmentarza powązkowskiego. Stamtąd wynajmę furrmankę. Znajdziemy ogrodnika, by wiosną zasadził róże na grobie Józefa. Tylko ich korzeniom - tych najszlachetniejszych, prawie ludzkich roślin można pozwalać się tam rozkrzewiać. Wiem, powiesz mi, że grób naszych rodziców zaniedbany, nie ma tabliczki, że leży tam nasza matka. Ale na wszystko przyjdzie czas, teraz kiedy się odradzam, zaczynam żyć.

Gdy wszystko było gotowe, zadzwoniono do drzwi. Jaon wypadł i zobaczył stryja Hieronima, który nie zdejmując kozucha powiedział:

- Przyjechałem po was - i zupełnie jakby nie mówił do dziecka dodał. - Zerwać ze sobą nie pozwolę.

- Nie sądź, że już możesz nakazywać Juliannie - usłyszał głos wuja Rudolfa z za siebie.

- Skoro ty jesteś - powiedział stryj Hieronim - nic tu po mnie.

- Nie uciekaj. Omówimy warunki ratowania Julianny i jej syna.

- Z tobą nie.

- Przyszedłeś przestraszywszy się, że wszyscy odwrócą się od ciebie, że za wcześnie sprowokowałeś zerwanie, nie doczekawszy się aż ja ich zabiorę.

- Rudolfie, wydaje mi się, że jesteś podekscytowany, dlatego jeszcze mniej niż zawsze przywiązuję wagi do twoich słów.
- Ach, schowaj sobie tę zimną krew. Nie tylko nie jesteś przez nią chroniony, ale to cię obnaża. Zniesiesz każdą obelgę, bo rzekomo cię nie dotknęła. Dla mnie ważniejsze jest, że ją wypowiedziałem, niż czy zrozumiałeś jej sens.
- Trudno byłoby nie pojąć twoich nieskomplikowanych wywodów, Rudolfie. Skoro dla ciebie tak ważne jest wypowiedzenie obelgi, to jakże bym cię mógł pozbawić tej przyjemności?
- Nie lubię cię Hieronimie.
- A ja ciebie coraz bardziej lubię - odrzekł stryj Hieronim.
- Chcesz coś dodać?

Stryj poczekał chwilę, a gdy trwało milczenie skłonił głową wujowi i Jaonowi, i wyszedł.

- Ktoś nie dotarł do ciebie - powiedział wuj wróciwszy do pokoju.
- Wiem kto - powiedziała matka. - W nowy sposób patrzę na śmierć Józefa. Umierając spełnił dziecinne marzenie Hieronima. Tramwaj wiózł ich powoli przez dzielnicę żydowską. Przechodnie niechętnie ustępowali z torów. Jaon był tu pierwszy raz. Zobaczył, że wielu chłopców w jego wieku kręci się po ulicach, lub siedzi mimo zimna pod murami domów. Ich nogi były przeraźliwie chude, podobne do patyków. Byli przeważnie w czarnych pończochach, dziurawych, czasem w dwu parach, jedno na drugich, a mimo to świecili gołym ciałem. Niektórzy Żydzi wyciągali ręce ku tramwajowi, choć okna były zamknięte. Starzec leżał pod murem, wychudzony, nogi miał otulone papierowymi workami. Dalej na chodniku, przysunięty do ściany leżał ktoś umarły, przykryty gazetami. Jaon dostrzegł czubek bosej nogi i kształt ciała, wielki tytuł obcym alfabetem. Nagle pojawił się widok, który Jaon skądś znał. Dom na rogu ulic otynkowany na pomarańczowo, najwyższy i największy. Śnił to miejsce? Czy ktoś dokładnie tak o nim opowiadał? Skąd wie, że dalej są trzy podwórza, a za nim pałacyk za żywoplotem? "Nasze święto jest w sobotę". Ujrzał przed oczyma Józefinę. Dziś jest święto.

- Mamo, wuju, musimy tu wysiąść, wysiadamy - szarpał ją za rękę. - Tu mieszka Józefina z balu dla dzieci. Musimy ją odwiedzić. Mamo, co mówił pan Woynicki o Żydach? - szarpał się Jaon. Czuł tęsknotę, konieczność zobaczenia Józefiny, pocałowania jej w jakimś zakamarku pałacyku. Jaon, który na całe wakacje zapomniał o Józefinie, teraz chciał wejść, zobaczyć jak naprawdę wygląda pałacyk i porównać z tym z wyobraźni.
- Mamo, muszę dowiedzieć się o Bokrzyckiego, który przestał chodzić do szkoły.
- Co za sens ją odwiedzać? Jego odnajdziemy, to twój kolega. Dokuczaliście mu. Ile ten chłopiec przecierpiał.
- Myśmy nic nie wiedzieli.
- Wyczuwaliście w nim coś obcego, nie wiedzieliście co, a on wiedział.
- Mamo, ktoś musi się dowiedzieć o niego, dać mu znak. Wujowi nieoczekiwanie spodobała się myśl, by wysiąść w drodze z

tramwaju i odwiedzić nieznanymi ludźmi. Zapomniał o grobie ojca Jaona, tylko rwał do jakiegoś nieznanego jeszcze przyjaciela, nowych ludzi.

- Wpadniemy tam na chwilę. Potem pojedziemy dalej - prosił matkę wuj Rudolf - Musimy okazać im serce. Nie może zmarnować się szlachetność Jaona. Musisz go przyzwyczajając, by robił wszystko, co z góry i od dawna postanowione? Przecież ta dziewczynka go zapraszała? Może czeka na niego? - zapowiedział bohatersko.

- Nie, to idiotyzm taki najazd. Przy tym, co oni tam przeżywają.

- Pewnie są osamotnieni. Może chcą się pozbyć czegoś? Sprzedać? Mógłbym im w tym pomóc.

- Ani się waż Rudolfie o tym wspominać. Mogliby to źle zrozumieć. My ich w ogóle nie znamy. Jeśli chcesz handlować, przez Franię odnajdź Łatyńskiego, on prowadzi rozległe interesy.

Tramwaj zbliżał się do rogu Leszna i Żelaznej. Wuj ruszył ku wyjściu z tramwaju, nie zwracając uwagi na to, co robi matka Jaona. Jaon znalazł się między matką a wujem, za którym szedł powoli, oglądając się za matką. Co będzie jeśli wuj wysiadzie sam i pójdzie do Józefiny, a oni zostaną i pojedą na cmentarz? Matka nie chciała do tego dopuścić. Wstała i przesunęła się ku wyjściu. Gdy wysiedli i znaleźli się w tłumie, ogarnęło ich przerażenie.

Wydało im się, że tu zostaną na zawsze, nie wydostaną się, odcięci,

osaczeni, nie zobaczą już domu. Oczy z wychudłych twarzy patrzyły na nich ze zdziwieniem, jak na cudzoziemców z dalekiego kraju.

Zebrał się tłum małych dzieci, które błagały o jedzenie. Jaonowi wydało się, że powinien się do nich przyłączyć, a zarazem bał się, że go porwą między siebie i gdzieś uprowadzą. Chłopczyk w jego wieku, patrząc błagalnie i natrętnie w oczy Jaona, chwycił go za rękaw.

Starsi też zaczęli się skupiać koło tych dziwnych turystów. Dzieci tworzyły zamknięty krąg i broniły dostępu. Popychały brutalnie dorosłych, a kiedy to nie pomagało, kopały w kostki u nóg.

Z bramy wyszedł młodzieniec w skórzanym płaszczu, przepasany pasem, olbrzym, przypominający Jaonowi tragarza na dworcu, który pierwszy mówił o Żydach, roztrącił tłum. Nie pytając o nic, przeprowadził ich przez podwórze, na którym stały budy sklecone z blachy, skrzynek po owocach, a nawet z tektury, w których mieszkali ludzie. Pachniało tu spalenizną, dymem, kałem, uryną. Z każdego okna gigantycznych oficyn wyglądała rura od piecyka.

Mężczyzna roztrącał wszystkich i prowadził ich w głąb. Pałacyk stał obnażony. Nie było ogrodzenia, żywopłotu ani drzew. Weszli w boczne drzwi, zawieszane kocem. Było tu ciepło i parno.

- Pan Weissbraun odstąpił dom nędzaczom, a sam przeniósł się do pokoju dla służby, wyciął topole na opał, bo z tym u nas źle - tłumaczył mężczyzna.

Znaleźli się w korytarzyku zaparowanym i przegrzanym. Pachniało przysmażoną cebulą, silnymi perfumami i kadzidłem. Jaon zastanawiał się, czy naprawdę idą do Józefiny, czy też wyjdą zupełnie inni ludzie, inna dziewczynka.

- Goje, goje z Marszałkowskiej - krzyczał mężczyzna, który ich sprowadził, jakby znał ich adres.

Otworzyły się dwuskrzydłe drzwi, obie części jednocześnie, i wypadła z nich Józefina rzucając się na szyję Jaonowi. Jego marzenie spełniło się z zadziwiającą dokładnością: byli w korytarzu, Józefina pocałowała go w usta - tylko, że przy matce i wuju Rudolfie, czego nie było w wyobrażeniu.

Józefina była wyższa niż zapamiętał, chuda i jakaś dorosła:

- To mój tata - przedstawiła go.

Jaon rozglądał się, gdzie są psy i koty, ale żaden nie pojawił się.

- Chce się żyć i przetrwać, kiedy się ma takie wizyty - powiedział ojciec Józefiny. - Co to za piękna myśl, by przybyć do nas. Dużo ludzi cieszy się z nieszczęścia Żydów. Dużo ludzi chce nas ograbić. To jest groźne, ale i smutne. Nawet swoi. Ja mam człowieka, ten, co was przyprowadził. Chroni mnie przed bandytami. Jaon zadrzał. Chciał zapytać jak wyglądają bandyci. Czy byli tu i ojciec Józefiny ich widział. Ale może to byli bandyci żydowscy, śmieszni?

- Niby przychodzą żebrać, w dziesięciu, dwunastu, czasem są też dziewczyny, wdzierają się, trzymają domowników siłą i zabierają wszystko, nawet wnoszą meble, a potem uciekają.

- Meble? - spytał wuj.

- To bezcenny opał.

- Mój Jezu - wykrzyknęła matka.

- Józefina nie wychodzi z domu od trzech miesięcy. Jeszcze nie widziała Niemca.

- Pan jej nie pozwala, czy sama nie chce?

- W naszym położeniu rozkaz ojca i pragnienie dziecka to jedno - odrzekł pan Weissbraun.

- Kot Michał chciał zjeść moją papugę - poskarżyła się do Jaona Józefina. - Zmieniłam mu imię na twoją cześć. Przed wojną papużka latała wolno. Żebyś wiedział, jak szybki lot ma papuga! Musiałam ją zamykać w klatce z powodu tego, że Michał był głodny. Urządził ciągłe, nieustanne oblężenie przy klatce.

- Ja mam tylko czekoladową papugę - powiedział z żalem Jaon.

- Przez czekoladę nie mam już papugi - łyzy stały Józefinie w oczach. - Wołała: cukrru, cukrru. Tak nazywała czekoladę. Mój ojciec nie mógł już zdobyć ani tabliczki. Nie znała innego pokarmu i zdechła z głodu. Chciałam jej zrobić pogrzeb, ale dzieci, które nie mają rodziców wyrwały mi ją z ręki i upiekły przy ognisku na podwórzu. Potem krzyczały za mną, że papuga ma gorzki smak.

- Następny dramat był z kotem Michałem i psem Cerberem - pokiwał smutno głową pan Weissbraun. - Nie było im co dawać jeść. Kazałem je wywieźć za granicę aryjskich dzielnic moim ludziom. Józefina ciągle o nich myśli, szczególnie o kocie, chce się tam wybierać, zobaczyć się z nimi. Wyobraziła sobie, że jak tam przyjedzie, one przybiegną. Pani się dziwi, że mówię o takich rzeczach?

Skrzywdziliśmy ją. Pani też obiecywała synowi inne życie -

rozpaczał. - I jak się pani czuje? Jak oszustka. Oszukać dziecko,

to szczyt wszystkiego - rozpaczal pan Weissbraun.

- Ojczy, ale ja nie mam zalu - odezwala sie Jozefina i zblizyla sie do fotela, w ktorym zapadl sie pan Weissbraun. - Zrobiliście wszystko dla mojego szczescia. Gdybym sie nie urodzila, nie znalabym cie papciu - pogladzila go po glowie, a jej ojciec chwycil jej reke i pocalowal.

Matka wstala i zaczela sie zegnac. Pan Weissbraun wyprowadzajac ja do przedpokoju, kazal Jozefinie zostac w pokoju. Gdy znalezi sie w korytarzu, pan Weissbraun nie liczac sie z obecnościa Jaona, chwycil sie za glowe i wyszeptal:

- Wiecej to ma byc jej zyciem? - i odciagnawszy matke Jaona nieco na bok: - Tu ludzie sami zalatwiają sprawe smierci. Oszczedzaja Niemcom kul. Jakie sa u pani warunki? Czy w razie czego mozemy sie u pani ukryc?

- O mój Boze. Musze ochraniać swoje dziecko. To jedyny sens mojego zycia. Zostalam sama z takim zadaniem. Jesli pan cos na mnie wymusi, zabije sie i zostawie panu mieszkanie do dyspozycji.

- Jak pani zniesie, gdy syn pani przezyje, a od nas po wojnie nie bedzie wiadomosci? Teraz juz pani nie zapomni moich slow - pan Weissbraun cofnal sie.

- Po mistrzowsku prowadzi pan swoje straszne pertraktacje - postapila za nim krok matka Jaona. - Dobrze. W razie czego biorę Jozefine.

- Moze nie bedzie trzeba - zlagodniat pan Weissbraun. - Mam trzy takie miejsca. Jedno oplacone do 1944 roku. Nie moge powstrzymac sie, by nie ubezpieczac sie na wszystkie strony. Mam dla niej metryke, wode utleniona. Bedzie sobie rozjasniac nawet rzesy.

- To moze zaszkodzić jej na oczy - powiedziala bez sensu matka. Wyjrzała, uchylajac dywanu Jozefina:

- Mozna juz? Tatko znajduje mi miejsce? Chce ukrywac sie u Jaona - zawolala i przytulila glowe do glowy Jaona. - Bedziemy mieszkac w jednym pokoju i udawac rodzenstwo.

Jaonowi wydalalo sie, ze nikt, ani wuj Rudolf, ani stryj Hieronim, ani nawet pan Woynicki, nikt, tylko matka Jaona, Jozefina i jej ojciec pojeli, ze wojny juz nie ma. Polska nie walczy, tylko ginie i oni wszyscy skazani sa na smierc w strasznych okolicznosciach.

Ale nie mogl sobie wyobrazic twarzy Niemca, ktory go zabija.

Zamiast tego widzial cos w rodzaju switu we mgle, dziesieciolecie dalekie, tajemnicze, zaczynajace sie na 5, 6, 7 i 8,

szczesciwa historie przyszlosci. Pewnosc, ze bedzie szczesciwy opromieniala i te chwile szczesciem. Nawet to, ze czlowiek pana Weissbrauna uchylil dywanu zaslaniajacego drzwi i zawolal na chwile wuja Rudolfa dajac mu znak, ze czeka go męski poczestunek, wydalalo sie Jaonowi takze dla niego tajemniczym, porozumiewawczym znakiem. Spojrzal na Jozefine i chcial jej to powiedziec, ale nagle odkryl, ze ona udaje, ze jest radosna, by upewnic ojca, ze wszystko jest w porzadku.

On by nie umial. Czy umialby byc naprawde dobry dla matki? Czy kiedykolwiek bedzie?

Matka zaczela wolac wuja Rudolfa. Jozefina uścisnela Jaonowi mocno

dłoń i potrząsnęła nią parę razy, jakby duma nie pozwalała jej całować go, skoro ma się u niego ukryć.

W zamieszaniu Jaon zapomniał zapytać o Bokrzyckiego.

Przed pałacym stała towarowa riksza z trzema niskimi krzesłami, która miała odwieźć ich do domu. Należała do pana Weissbrauna. Nie wypadało im powiedzieć, że jadą na cmentarz, więc przymusowo ruszyli z powrotem w stronę Marszałkowskiej. Krzesła chwiały się i przesuwwały. Trzeba było trzymać się kurczowo boków rikszy. Zajechali z fasonem na podwórze. Gdy szli po schodach matka mówiła:

- Przeżyłam nowe piekło Jaon, przez ciebie. Nie narażaj matki. Coś ty narobił. To była żenująca, potwornie smutna wizyta. Uwikłałeś matkę w coś poważnego. Teraz wszędzie czyha niebezpieczeństwo. Boję się wziąć tę dziewczynkę i zarazem przeraża mnie, że taka się stałam, i że byłeś świadkiem mojej odmowy.

- Jaon wie, że to dla niego - rzekł wuj Rudolf.

- Właśnie to jest najgorsze.

- Bo wszystko się przy nim omawia. Nie ma powodu robić z niego dorosłego.

Przed wojną dzwonili do drzwi. Teraz matka wyjęła klucze i otworzyła mieszkanie, by nie fatygować Frani. Frania nie wyjrzała nawet z kuchni. Matka zawołała dzień dobry, ale odpowiedzi nie było.

- Jak nie omawiać wszystkiego przy Jaonie, skoro jeden pokój jest opalany? Mój bracie, jeśli wszechświat składa się z trzech części, a my byliśmy takim wszechświatem i jedna z nich zapada się w przepaść, położenie dwu pozostałych zmienia się zasadniczo.

- Gdy zabrakło Józefa, cała twoja uwaga skupiła się na Jaonie. On tego nie wytrzyma, rozpadnie się. Gdybyś miała więcej dzieci, byłoby inaczej - powiedział wuj, a potem zmienił ton: -

Przepraszam, tak mi się powiedziało. Sam mówiłem, że gdybyś miała więcej dzieci, to byłoby też źle. Nadal kochałabyś tylko Jaona, a tamte by cierpiały.

- Wiesz bracie, że kiedyś o tym myślałam i do podobnych doszłam wniosków, ale pomyślałam: a gdyby przed Jaonem były inne?

- Rezultat byłby ten sam. Wydaje się, że Jaon jest ci przeznaczony i nie wystarczyłoby ci miłości na inne dzieci.

- Mamo, miałem sen - krzyknął Jaon, obudziwszy się nazajutrz. - Biję się z Dzikim, synem dzierżawczyni, on mnie pokonuje, a rzeką płynie moja krew. Potem dzieci chowają się z zawiązanymi oczyma w obcym domu. Ja nie bawię się bo leżę w łóżku. Nieznajoma dziewczynka przybiega i ukrywa się u mnie pod kołdrą. Ja pod opaską od ciuciubabki zamykam oczy, chcąc bardziej nic nie widzieć. Mamo, dlaczego mi się to śniło? Czy ja to przeżyję? Czy poznam tę dziewczynkę?

- Osób, których nie znamy, a które pojawiają się we śnie nie spotykamy. One nie istnieją.

- To skąd się biorą?

- Masz ostatnio dużo przeżyć. Józefinka w twoim śnie przemieniła się w nieznajomą dziewczynkę. Uparłeś się, by ją odwiedzić i nic

dobrego z tego nie wyszło.

- Mamo, ona miała papugę.

- Papuga to wrzaskliwe ptaszysko. Uczy się jednego słowa i powtarza je. Byście się kłócili, aż podziobały cię.

- Czy dzieci mogą się żenić?

- Nie synku. Są za małe. Tylko w dawnych wiekach zdarzały się takie wypadki.

- Czy dzieci mogą mieć dzieci?

- Nie mogą.

- Mamo, chcę spotkać dziewczynkę, która mi się śniła.

Matka z wahaniem zapytała:

- I co było dalej we śnie?

- Chowaliśmy się pod kołdrą, by jej nie znaleźli. Było ciemno, bo miałem zawiązane oczy i gdy je otworzyłem, zobaczyłem, że obudziłem się i nie ma żadnej dziewczynki.

- To ubieraj się, zaspaeś. Wuj już wyjechał.

- Mamo, dlaczego mówimy piątek, a sobota nie nazywa się szóstek, a niedziela siódmek?

- Synu, jakim ty jesteś dziecinny dzieckiem. Kiedy wydoroslejesz?

- Mamo, już przed wojną nie chciałem być dorosły, pragnąłem zostać dzieckiem, ale to beznadziejne.

- Skąd bierzesz takie słowa jak: "beznadziejne", "na zawsze"?

Jaon speszył się i powiedział:

- Dokąd było radio, słuchałem piosenek, czasem z Maniunią i kazałem nucić Maniuni, a nawet tańczyć. Tam było "na zawsze przysięgam ci nie zapomnieć o magnoliach. Blask księżycy wchodził do oranżerii."

- Oj dziecko, dziecko, co ja z tobą mam - westchnęła matka.

Po świętach nastały mrozy tak silne, że jak mówiła matka: - "Bóg podwoił próbę, jakiej nas poddaje". Na oknach pokoju Jaona utworzyły się grube powłoki lodu, które zaciemniały pokój. Nie można było odsłonić zasłon, ani zdjąć kocy, którymi okno było uszczelnione, bo przymarzły. Tylko Frania wyprawiała się na miasto ubrana w płaszcz matki Jaona, wepchnięty na Frani płaszcz. Trzeba było wykupić przydział na kartki.

- Nienawidzę tych Niemców - krzyczała wróciwszy i cisnęła zakupy na stół. - Zmniejszyli o sto deka cukier. Kto tu jest nędzarzem?

Oni, czy my? Sprzedaż węgla zawieszona, pod karą śmierci. Ubój świń zakazany pod karą śmierci, a oni mordują ludzi. Ceny podwoiły się z powodu mrozów. Jeden kartofel wypada prawie złotówkę. Świat skamieniał. Dziś w nocy było minus 27. Ludzie ubrani jak w jakim teatrze. W turbanach, jak w jakiej Afryce. Co ja mówię? Tam trzaska wszystko od gorąca, tu od mrozu. Od dziś nie biorę cukru do ust - mówiła dalej podekscytowana. - Wszystko będzie dla Jaonika. Musi rosnać, a ja już maleję. Zresztą gorycz znam dobrze. Matka przyjęła bez słowa ofiarę Frani. Cukier zsypano do pustej srebrnej cukiernicy w kształcie skrzyni.

Po okresie częstych wizyt poczuli, jak są osamotnieni. Kto mógł nie wychodził na ulicę, bano się zimna, Niemców i zarażenia tyfusem, i czerwonką, które szalały.

Została im tylko Frania. Powiedziała im, że muszą przenieść się do kuchni, by oszczędzać węgla. Zajęli miejsce we wnęce, gdzie dawniej sypiała Dziurzyn. Frania robiła honory domu, ale czuć było, że wołałaby być sama. Była rozdrażniona. Słysząc było, że nie może usnąć. Także Jaon pierwszy raz w życiu czekał na sen. Zapachy kuchenne, które tak lubił przed wojną: przypalonego mleka, spalonego gazu, osypanych ziemią jarzyn - teraz dręczyły go. Z powodu zimna dochodzącego do minus 30 w szkole nie wznowiono zajęć po feriach. Jaon siedział całe dni w kuchni, w której bez przerwy płonął ogień pod blachą, dając czerwone światło kontrastujące z przeraźliwą bielą dochodzącą zza okna; szyber był przymknięty, a fajerki zdjęte. Przyniesiono wszystkie kwiaty, które w tropikalnej atmosferze zaczęły kwitnąć.

Jaonowi wolno było wychodzić tylko do gabinetu ojca. Przedtem musiał ubrać się w płaszcz i czapkę. Chodził po książki, które znosił nareczami. Całe dni czytał. Matka też czytała, czy modliła się z grubej, oprawionej czarno książeczki.

Opanowało go podejrzenie: matka chce wstąpić do klasztoru, gdy ojca nie ma wróci do zamiaru, jaki miała nim go poznała.

- Mamo, ja ci tę książkę spale! - krzyknął.

- Skończy się tym. Będziemy palić bibliotekę.

Frania pijąc herbatę z malinowych liści bez cukru krzywiła się.

Przewycięzała obrzydzenie, czy przypominała o ofierze jaką ponosi.

- Ja już nie mogę! - wykrzyknęła nagle. - Już nie mogę znieść, jak Jaon ciągle papple i papple, jak nakręcona papuga.

- Franiu, on przeważnie czyta.

- Odejdę do Łatyńskich. Niech sobie pani sama daje radę, albo wychowa swoje dziecko. Mówi co mu przyjdzie tylko do głowy. Nie skrywa żadnej myśli, a pani gada z nim na poważnie. Pani, to najdziwniejsza z pań jakie miałam. Już zła pani lepsza niż taka. Jak była zła, to się nie przejmowałam. Dziecko marnuje się przez panią. Dziecku trzeba kazać milczeć. Wtedy lepiej rośnie.

- Cieszę się, że Frania przejmuje się Jaonem. Frania staje się kimś z rodziny.

- Już za późno. Żeby go pani nawet biła trzy razy dziennie, taki zostanie. Chwilami to bym go biła, biła, biła. - Zamilkła, bo musiała przypomnieć sobie przeszłość.

Przed wojną za takie słowa byłaby zwolniona, teraz dodała wyzywająco:

- Wojna zrównała wszystkich. - Zapadła cisza, po chwili Frania dodała pojednawczym tonem. - Pod względem życiowym jest małym idiotą - wymówiła słowo "ydyjotom" - a od czytania oślepnie. Mając dwadzieścia lat będzie chodził z białą laską.

Matka milczała. Napomknięcie o Łatyńskich odebrała widać jako pogrózkę. Niedawno omal nie wyrzucili Frani, była najniebezpieczniejsza i bezdomna, a teraz Frania groziła im.

- Cukier Frani, co zjadłem, zwymiotuję i niech go Frania sobie zje! - rzekł Jaon.

Frania odwróciła się od pieca i patrzyła z nienawiścią. Jej ręce

rozcapierzyły się, gotowe chwycić pogrzebacz, czy garnek z gotującą się wodą.

- Myślę, że pani ukarze tego krasnala.

- Franiu, nie trzeba schodzić na poziom dziecka.

Rozsadzała go duma, że osoba dorosła go nienawidzi.

- Mam jeść wymiociny Jaonika? Niech Jaonik zje mój cukier dalej.

Wstrętna sługa, którą pomiata, będzie głodować, by on raczył urosnąć centymetr. Niech mu będzie słodziutko.

- Raczę zjeść trochę cukru - odezwał się Jaon i chwyciwszy cukiernicę przechylił do ust. Cały cukier sypnął mu się do gardła. Jaon drgnął, zakrzuszył się. Zabrakło mu tchu, wybałuszył oczy, zaczął bić rękami powietrze.

Frania przypadła do niego i walnęła go pięścią w plecy. Nareszcie mogła sobie pozwolić! Poczul ból, zatoczył się. Frania uderzyła go jeszcze raz, ponowiła cios trafiając w pierś. Stracił głos.

- Bić w plecy! To ratunek - wrzeszczała Frania, próbując go dosięgnąć. - Dusi się!

Matka odtrąciła ją i chwytem w pól, jaki stosował Dzidek, przewróciła go na ziemię. Pomyślał, że matka zwariowała z rozpaczy, że on umiera...

- Bierz go - krzyknęła do Frani.

Matka chwyciła go za jedną nogę, a Frania nagle posłuszna, za drugą. Podniosły go i potrząsnęły. Podłoga stała się sufitem, którego cudem trzymał się kuchenny chodnik, jak przyklejony. Nogami do góry zwisały meble. Z podłogi, białej i puste wyrosła lampa, jak dziwna roślina.

Cukier ze śliną wyleciały z niego i przylepiły się do podłogo-sufitu przy nodze matki. Powietrze samo wtargnęło do płuc. Matka i Frania pomogły mu się podnieść. Dalej nie mógł wymówić słowa. Stracił nie wzrok, jak zapowiadała Frania, ale głos.

- Byłoby po nim - zawyrokowała Frania. - I toto przeżyło najgorsze bombardowanie! Widziałam pogrzeb dziecka w pudełku od butów.

- Dała Frania cukier, dziękuję, nigdy nie zapomnę tego Frani - odezwała się matka - ale jak czułaby się, gdyby nie daj Boże stało się nieszczęście?

- Od wojny trudno z panią wytrzymać.

- Mamo, nie możesz wyrzucić Frani? - odzyskał głos Jaon.

- Ja już wychodzę - wrzasnęła Frania, rzuciła się ku swojemu łóżku i wyciągnęła walizkę.

- Przepróż! Przepróż natychmiast! - zawołała matka. - Pocałujesz Franię w rękę. Dzięki jej cukrowi rośniesz.

- Nie chcę jej cukru, nie chcę rosnać! - wrzeszczał Jaon. -

Maniunię mogłem pocałować w rękę. Tej nie pocałuję!

Wybiegł na lodowaty korytarz, przeleciał przedpokój, wielki pokój, do swojego pokoju. Panował tu mróz. Wyciągnął karakułowe futro matki. Nie chciał, jak przed wojną chorować. Czekał na przyjście matki.

Matka nie przyszła. Więc ryzykowała jego przeziębienie, by zjednać Franię? Nie pocałowawszy w rękę Frani, przekroczył granicę jej ciepłości? Otworzył drzwi, wyjrzał do dużego pokoju. Po omacku,

dotykając sprzętów, dotarł do drzwi przedpokoju. Bezszelestnie, skradając się, przebył oba przedpokoje i zaczął się pod kuchnią. Cisza, jaka tam panowała, przeraziła go. Czy Frania nie zrobiła krzywdy matce? Czy już wyszła i nigdy jej nie zobaczy? Sięgał do klamki gdy usłyszał żałosne westchnienie matki i doszedł go szelest przewracanych kartek Pisma Świętego, a z głębi dało się słyszeć, jak Frania przesuwając garnki po płycie kuchennej. Więc się nim nie przejęły! Sojusz matki i Frani? Czy matka dawała mu naukę poważniejszą niż kiedykolwiek dotąd?

- Daleko Jaon uciekł? Do drugiego pokoju - obudziło go szyderstwo Frani. Niech pani szybko idzie - wołała do jego matki - Jaon wyjął pani karakuły i przykrył się nimi jak kołdrą.

- Jak śmiałeś? Niedługo będziemy musieli je sprzedać, a ty niszczysz je dla zabawy. Myślałam, że wczoraj był szczyt wszystkiego...

- Niech Jaonik dojdzie do dwudziestki, to on pani pokaże - podniosła ostrzegawczo palec w górę Frania.

Któregoś dnia rano usłyszeli dzwonek. Po tylu dniach samotności i ciszy Jaon poczuł cień uczucia, gdy wierzył, że przyjdzie aniołek. Frania wybiegła i wprowadziła kucharkę państwa Woynickich, która wysunęła ku matce okrągłą paczkę i list.

Matka najpierw otworzyła paczkę. Był tam garnek z bigosem. Potem rozdarła kopertę. Przeczytawszy oddała, jak kiedyś podawała ojcu, list Jaonowi: "Szanowna pani, nie zjawiam się, ale Nika po krótkim ozdrowieniu znów chora. Przesyłam na pociechę bigos, bo wiadomość, którą pani przeczyta nie będzie pomyślna. Przyznano pani rentę po Naszym Niezapomnianym panu Józefie. Najniższą z możliwych. Jestem odsunięty od wszystkiego. W banku jest zarządca niemiecki. Prawdopodobnie wyznaczenie pani sumy, za którą można kupić kilo boczku jest podyktowane odwetem, bo pan Józef poległ w walce z Niemcami i sprzeciwiał się kredytom dla Niemców. Był moment, że groził pani nakaz zwrócenia sumy, którą wtedy zdobyliśmy na kasjerze".

Jaon oddał matce list.

- Złe wieści? - wtrąciła się Frania.

- Innych teraz nie ma - odrzekła matka.

Gdy kucharka wyszła, matka powiedziała do Frani.

- Franiu, od pierwszego marca nie będę mogła Frani płacić pensji.

- Nie szkodzi - odparła beztrąsko Frania. - Już i tak myślałam, jak odejść, by pani nie robić krzywdy. Pójdę do Łatyńskiego i jego nowej... żony, na dochodzącą - Mój Boże, ile Frania mimo ciężkich przejść uchroniła w sobie dobroci.

- Ale Franiunią, jak Mania była Maniunią, nigdy nie będę.

Jaon pomyślał, że z nią nie warto się drażnić, podobnie jak z Bokrzyckim. Była dzieckiem. Kto był dorosłym? Pan Woynicki, pan Szachowski, jego syn, Maniunia, pan Weissbraun, Józefina - byli dorośli.

Wuj Rudolf, stryj Hieronim, Frania, Dziurzyzna, Nika byli dziećmi.

A on, Jaon? A jego matka? A jego ojciec?

Frانيا na całe dni wychodziła i sprawiało im to ulgę. Potem

zaczęli czuć, jeszcze bardziej, jak są sami. Czekali na jej powrót nie przyznając się przed sobą do tego. Wydawało się, że w mieszkaniu jest echo.

Trzeciego dnia Frania weszła z tryumfalną miną. W ręce miała zawiniętą w przetłuszczony pergamin paczkę, którą cisnęła na stół w dużym pokoju. Matka rozwinęła pakunek. Wewnątrz były trzy plasterki szynki, płat schabu i kostka boczku.

- To raczyli dać. Nie ukradzione. Powiedziałam im, że po to zgodziłam się do nich, by dożywiać Jaona.

- Franiu, czy to niedoedzone z talerzy u Łatyńskich? - spytała matka.

Jaon poczuł straszny głód i smak na szynkę, ale przyszła mu myśl, że na to pluł Łatyński.

- Franiu, na wszelki wypadek proszę to przysmażyć na ogniu - powiedziała matka.

- Nie mam siły. Niech pani sama smaży, jak się pani brzydzi.

Matka posłusznie weszła do kuchni z Franią. Gdy przyniosła patelnię z przypieczonym mięsem, była to najsmaczniejsza kolacja czasów wojny. Resztki po uczcie lwów. Tak będzie jadł, gdy będzie dorosły!

Następnego dnia Frania przyniosła kawałek suchej kiełbasy.

- Ten Łatyński, to jest bardzo za panią. - "Gdyby wszyscy byli jak pani z Marszałkowskiej, to żona by żyła" - i mówi to przy tej nowej. Nowa kobieta tylko się śmieje i fika nogami. Ma córkę. Jeszcze jedno dziecko, co mnie prześladowuje. Nie daj Boże kiedyś Jaonikowi popaść na taki typ kobiety, jak one. Całe dni chodzi w szlafroku. Pod tym jest tylko w pończochach i pasku od podwiązek.

Każe mi palić bez przerwy, aż szminka jej się topi na twarzy, a ona do mnie: - "Dołóż kochaniuteńka", albo - "Zrób herbateńki".

Łatyńscy nabrali ogromnej wagi w życiu Frani. Wróciwszy wieczorem opowiadała dzień, który tam spędziła: - "Ten Łatyński to...". "Ta nowa Łatyńska to...". Trwało to nieraz do późna. - "Ta nowa Łatyńska przeciąga się. Cały papieros spala się jej na popielniczce. Ona tylko raz pociąga i odkłada. A on dymi i zamienia się w popiół. Ja patrzę, patrzę, że to zaraz spadnie na stół. I ile kosztuje? A ona znów się przeciąga: - "Oooch" - powie sobie. To oznacza, jaka szczęśliwa. Ma wszystko i przemyśliwuje, o co jeszcze prosić Łatyńskiego. Dziś wyglądała przez okno, gdy zamiatalam, mówi, co widzi: - "Niech Frania sobie nie przerywa, ale tu jest widok! W wózku dziecinnym kobieta wiezie drugą kobietę, kalekę, czy ranną", albo: - "Trzech Niemców idzie. Spychają Polaków z chodnika". A pan - dawniej Frania nazywała tak ojca Jaona - nic tylko tęskni za tamtą, a nowa zaśmiewa się: -

"Sama sobie winna, że ją zastąpiłam". Niemców Łatyński nienawidzi. Musi im dawać w łapę. Ale - mówi - gdyby nie oni, co by z nim było? Jak będą wkraczali Anglicy - powiada - on sam zarżnie Niemca,

sposobem takim, jak rżnie świnie. Łatyński nim otworzył sklep, bił w rzeźni bydło. Ja już na tę nową Łatyńską mam bicz.

- Franiu, mnie to nie interesuje.

- Ale w tym jest coś dla pani. Dopytuje się co dzień, czy pani nie ma do sprzedania jakiś brylantów.

- Co mam, chowam na czarną godzinę - odrzekła matka wahająco.

- Jak jej tak powtórzę, to będą czekali, aż panią przyciśnie i wtedy mniej dadzą.

- Niech Frania odpowie, co chce.

Na drugi dzień mróz był tak silny, że można było wytrzymać tylko przy piecu. Matka długo przyglądała się Jaonowi: - Tyle czasu nie byłeś na powietrzu. Jesteś blady, jak papierek. Tu i tak marzniemy. To z braku ruchu. Może wyjdziemy, przelecimy się do kościoła Zbawiciela i z powrotem?

- Nie wiem mam. Wszystko jedno - odrzekł Jaon. - Właściwie wolałbym nie wychodzić.

- Tym bardziej trzeba iść, to co powiedziałaś wydaje się dziwne. Gdy znaleźli się na ulicy, oślepił ich śnieg. Było od niego zimno. Ruiny były białe, znikły pod zaspami. Tylko ściany wypalonych domów czerniały tym mocniej, w tym tle. Żydzi, pilnowani przez niemieckich żołnierzy z karabinami, odgarniali szuflami skamieniałą masę śnieżną, próbując ją ciąć powolnymi ruchami; wydawało się, że umierają i resztkę życia zużywają na tę pracę. Czterech żandarmów prowadziło mężczyznę. Dwu trzymało go pod ramiona, dwaj od tyłu popychali. Był ubrany tylko w marynarkę, od dołu był nagi. Bosymi stopami szedł po śniegu. Jego ciało było żółtawe, brudnawe lub opalone w czasie lata.

Rozczochrana kobieta wypadła z bramy: - Na pomoc! Na pomoc! - krzyczała zrozpaczona.

Nie było komu ratować tego mężczyzny. Anglia była o trzy tysiące kilometrów. Za ile lat nadejdą? Ten krzyk uświadomił im, jak są bezbronni. Matka przeżegnała się i wyszeptała: - Boże, wypędź ich. W tym momencie, jak wywołanego natężonym pragnieniem zobaczyli żołnierza polskiego. Zgniłozielony mundur odcinający się od niebieskiej zieleni niebieskich mundurów widniał nisko, w dziwnym miejscu. To był żebrak. Nie widzieli go dawno. Matka omijała to miejsce pod pozorem, że ściany dwu spalonych domów wisały nad ulicą. Żebrak miał nowy płaszcz, połowę czapkę, której nauszники opuścił. W miejscu orzełka miał krzyżyk, na piersi baretkę Krzyża Walecznych. Zauważył spojrzenie Jaona, dziecka znajdującego się na wojsku. W armii polskiej przyczepianie na płaszczu odznaczeń nie było przewidziane.

"Zerwę mu baretkę. Udaje kalekę, więc nie będzie mógł mnie gonić"

- pomyślał Jaon. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Mściwe, groźne, nienawistne spojrzenie żebraka zauważyła matka. Zatrzymała się, zaczęła szperać w torebce, jakby chciała go przekupić. Miała tylko dwadzieścia złotych. Skoro już zatrzymała się, uznała widać, że nie może odejść nic nie dając. Obok żebraka stała otwarta menażka wojskowa. Datki rzucano na wieko, ale wiatr mógł porwać banknot, więc wysunęła rękę z pieniędzmi w stronę żebraka. Chwycił je gwałtownie, zmiął w grubej łapie i rzucił, mierząc w matkę Jaona. Kulka papieru przeleciała koło oczu matki i potoczyła się ku murowi kościoła. Jaon pobiegł za pieniędzmi, podniósł je i

zamierzył się chcąc je cisnąć żebrakowi w twarz, gdy przyszła mu inna myśl. Rozprostował banknot i schował do kieszeni.

- Mądry Jaonik. To twoje pieniądze. Kup sobie coś.

- Mamo, nic nie jest mi potrzebne. Zabawki mnie znudziły. Cieszę się, że mnie pochwaliłaś. Czy dlatego nigdy mnie nie chwalisz, że mnie wychowujesz? - powiedział Jaon.

- Trzeba stąd uciekać. To straszne miasto - odpowiedziała matka. - Czy nie wydaje ci się, że ten żebrak dostał polski płaszcz od Niemców? Może być szpiegiem od przedwojny. To miejsce, z którego widział Ministerstwo Spraw Wojskowych. Wszyscy oficerowie koło niego przechodzili. Inni szpiegowie mogli mu wrzucać meldunki do czapki. Niemcy nikomu nie pozwoliliby w mundurze polskim siedzieć na ulicy.

- Franiu - powiedziała matka, gdy ta wróciła z pracy. - Proszę być ostrożną z żebrakiem pod kościołem Zbawiciela. Zna nasz adres. Raz tu był, daliśmy mu chleba, zamiast pieniędzy i zapamiętał nas.

Boję się, by nie zadencjonował nas.

- Miała pani służącą ze wsi, to nic pani nie wie - rozgniewała się Frania. - Na Bagnie w nieczynnym sklepie była szkoła żebraków. Uczono dzieci, ale i starców, za złoto. Mieli tam bielma do nakładania na oko, rękę z bakelitu z uciętymi palcami. Pokazywali jak być beznogim, garbatym. Uczono dzieci, co opowiadać. Kilkoro porwali i kształcili od maleńkości. Szyli łachmany. Ten spod Zbawiciela pracował w urzędzie skarbowym. Wsadzili go za łapówki. Wyszedł i wymuszał dalej. Zobaczył przez żaluzję światło w nieczynnym sklepie. Ci nie dali się nabrać. Jeszcze go przekabacili, że bardziej opłaca się zostać żebrakiem.

- Czemu Frania wcześniej tego nie powiedziała? - wykrzyknęła matka Jaona.

A pani by mnie wyrzuciła, że takie rzeczy wiem? U Bożego Jana była jedna żebraczka. Opowiadała, że Prohazka spod Zbawiciela bije kulami i jest kapusiem komisariatu na Poznańskiej, gdzie oddawaliśmy broń.

- Co Frania właściwie robi u Łatyńskich?

- Nie wolno mi powtarzać. Jeszcze Łatyński dodał: - "Nawet pani z Marszałkowskiej, dokąd Frania tam jest". Powiedział, że pozwoli mówić mi do siebie ty, gdy dopuści mnie do spółki, albo mi robi nadzieję, żebym lepiej pracowała.

- Może Frania chce bym jej mówiła na pani?

- Najwyżej przy kimś. Mówię, że u pani jestem na lokatornem.

Nazajutrz gdy Frania wyszła, matka powiedziała do Jaona:

- Wszystko skłania mnie do powzięcia decyzji wyjazdu. Także zachowanie Frani. Wręcz się boję, by ci czegoś nie zrobiła. Bądź z nią ostrożny, nie rozdrażniaj jej. Stryj zerwał z nami, by nam nie pomagać. Ale i pan Woynicki się odsunął. Domyślam się, że nie może nam pomóc i wstydzi się tego. W niebezpieczeństwie instynkt każe mi chronić się w rodzinnym domu, jakby tam byli jeszcze rodzice. Będiesz się żegnać z kolegami w szkole, czy znikniesz jak Szachowski?

- Nie będę chodzić do innej szkoły.

- Skoro czujesz obawę, znaczy, że musisz ją przełamać. Zmiana szkoły dobrze ci zrobi. Twoje przyszłe życie może będzie pełne zmian, bo nie wiadomo, co przyniesie wojna.

- Mnie już się śniła inna szkoła. Chodzili do niej dorośli. Nie mieścili się w ławkach. Wszystko umieli. Potem nauczyciel kazał mnie odpowiadać, ale ja nie znałem odpowiedzi. Nagle widzę: jestem dorosły i mam na sobie granatowy garnitur.

- Twój ojciec od śmierci ani razu nie pojawił mi się we śnie. Jakby obraził się. Może w Marzeniowie mi się przyśni? Wymyśliłam, co w tym śnie się zdarzy: będziemy siedzieć w altance, jak wtedy. Kto wie, czy sny to nie pobyt w drugim świecie, do którego nie możemy dotrzeć, dokąd nie uśniemy? Niepokoi mnie Frania. Gdy wyjedziemy, może zająć jeden z pokoi, a nawet wyprzeć nas z całego mieszkania. Wspominała, że przedstawia się jako sublokatorka. Naokoło bezprawie. Nie można się zwracać do Niemców o ratunek. Czekam na odwilż. Jak się tam dostaniemy? Pan Woynicki najpierw mówił, że pokój między Niemcami a Rosją potrwa pół wieku, a teraz, że Hitler i Stalin muszą się zetrzeć. Który będzie szedł naprzód? Rosjanie, albo wciągną Hitlera w głąb bezmiarów śnieżnych, jak Napoleona, albo zaleją Berlin. Sowiety liczą trzy razy tyle ludności, co Niemcy. Dojdzie do walki o Warszawę. Co innego było przeżywać oblężenie, gdy my walczyliśmy. Ale gdy obcy będą się bić? Co z nas zostanie? Więc synu, dziel zabawki na te, które zabierzesz i te, które ci są obojętne. Ja będę dzielić rzeczy. Niech tego nie zauważy Frania. Będziesz potrafił zachować tajemnicę?

- Oh mamó! - oburzył się Jaon.

- Idziemy do pokojów. Ubierzemy się ciepło i będziemy pracowali. Ubrani jak do wyjścia, wkroczyli do mroźnej strefy mieszkania.

Jaon nie tylko zobojętniał wobec zabawek, ale nie lubił ich. Zawstydział się, że tak się ich napraszał u aniołka, którego nie było. Nie mógł Karolci zostawić na niewiadomy los po tylu krzywdach. Ze wszystkich żołnierzy zabierał legionistę. Matka kazała włożyć zabawki do tornistra. Jaon wahał się, czy nie zabrać samochodu pancernego, bo taki spalił się koło pierwszego grobu ojca, ale samochód nie zmieścił się. Wokół tornistra miał okręcony zrolowany koc, jak legionista, którego miał w środku. Jego plecak z uczniowskiego zmieniał się po trochu w wojskowy.

- Masz, włóż do tornistra. Będzie pod twoją opieką - i wręczyła mu motek przedzy, dziwnie ciężki. - Albo nie, ukryję go gdzie indziej. Otworzyła szafy, bieliźniarki i zaczęła wyrzucać rzeczy.

- Gdy dorośniesz nie gromadź nic - nakazywała. - Człowiek troszczy się, zabiega i tylko tworzy rupieciarnię z przedmiotów, których nie używa, a żal mu z nimi się rozstawać. Nie sposób tego udźwignąć, przenieść, przykuwają cię do miejsca.

Niektóre rzeczy ją gniewały. Rzucała je z rozmachem w ką. Inne wzruszały. Rozłożyła adamaszkowy obrus:

- Dostałam go od babki, gdy dowiedziała się, że jadamy z twoim ojcem wigilię na prześcieradle. Prześcieradło też zachowałam na pamiątkę - pokazała mu je. - Kolorowe obrusy są wulgarne. Psują

apetyt, rzucają refleks na nakrycia. Białość podkreśla kolor potraw i napojów. To mojej matki, a twojej babki - wydobyla ze stosu błam futra. - Poprute - ucałowała ukradkiem. - Serce mi się kraje. Dała mi, bym nosiła, ale nie noszę, bo gdy umarła, od twojej drugiej babki, matki twojego ojca dostałam karakuły. Dwie twoje babki były różne jak dwa światy. Moja wina, że ci nie mówię o tej drugiej. W tobie jest coś z niej, czego nie lubię. O, mufka! Mufki przeminęły! Letnia torebka z płótna i skóry. Patrz śliczna! Wyszła z mody w jeden sezon. Koronkowe rękawiczki do łokcia. Jeszcze nie znałam twojego ojca. Miałam szesnaście lat - wsunęła dłoń w rękawiczkę. - O, kartka z zamówionymi tańcami - cisnęła na stos w kąt nie spojrzawszy. - To już się nigdy nie przyda. Dwa stopy rosły na środku pokoju. Na jednym rzeczy warszawskie, na drugim marzeniowskie. Jaon spostrzegł, że matka nie wie gdzie kłaść cenniejsze przedmioty: po jednej, czy drugiej stronie. Czyżby przeczuwała, że jedno z tych miejsc było skazane na zagładę? Nie wiedziała z którymi rzeczami rozstaje się na zawsze. Ale i z tymi, które zabierała na wieś, wydawało się, że żegna się, tak jej się wszystko wydawało niepewne. Wielki dywan zostawał, mały jechał z nimi. Srebra zostawały w Warszawie, platery zabierali. Matka zostawiała najcenniejsze co mieli, jakby składała ofiarę domowym bóstwom, dając im dowód zaufania i licząc, że się odwdzięczą. Bóstwem decydującym była Frania, niewykwalifikowana służąca, która siedziała w więzieniu i była w szpitalu psychiatrycznym. Matka, zrozpaczona, kopnęła stos marzeniowski. - Synu, jak się z tym zabierzemy? Muszę z tego trzy czwarte zostawić. - A jak Frania odkryje tajemnicę? - Ona się teraz tu nie pojawi. Nie było tu dwa miesiące sprzątane. Zostawili wszystko jak było, rozgrzebane, wybebeszone i poszli do gabinetu ojca dzielić dokumenty. Matka zapomniała o celu, w jakim przyszła, o obecności Jaona. Czytała listy ojca do siebie, swoje listy do ojca. - Zabrać je? Nie jest ich tak dużo. Zawsze byliśmy razem. Ordery? Przecież to waży. Dźwigać je? Patrz, książeczka wojskowa, to jest to straszne, puste miejsce, które zatrało ojcu życie: niewypisany przydział, rozkaz tak tajny, że nigdy nie był ujawniony. Może to lepiej, inaczej Niemcy by nas ścigali? A karty Płatnika? - "Co innego znaczą karty w grze, co innego we wróżbie" - mówił przed wojną astrolog, nocą. - Fotografie zostawię. Nie znasz większości tych ludzi. Niedługo nikt nie będzie wiedział kim byli. Trzeba by pisać na odwrotnej stronie nazwiska. Ale czy nie byłoby bezsensu teraz to robić? - A mam panią! Złapałam na gorącym uczynku! Rozpamiętywanie? - krzyczała Frania, która weszła bezszelestnie; wydawało się, że rozrzuci stos zdjęć. - Na klęczkach przed papierzyskami? To nie wróci. Na co się pani zdadzą ci dziadziusiowie, jak nie zostawili nawet folwarczku? - Zostawili dziedzictwo myśli, uczuć, największe bogactwo.

- Tylko się państwo mizdrzyło do siebie. Grzech było robić sobie tyle fotografii, ciągle się przeglądać w lustrach.

Jaon patrzył na zdjęcia, w świetle nieznanego lat wyłonił się przed nim czas, kiedy go nie było; piękniejszy, zaklęty, niedostępny, zazdrośnie strzeżony przed nim przez tych ludzi, którzy jeszcze nie pozwalali mu być między sobą.

Frania tknięta podejrzeniem udała się do dalszych pokoi. Za chwilę wróciła wykrzykując na poły gniewnie, na poły z politowaniem:

- Więc zdrada? Ucieczka? Przygotowania w tajemnicy przed starą Franciszką? Ciekawe, czemuż to pani nic mi nie mówiła? No? No? - dopominała się. - Kto tu powinien się ukradkiem pakować?

- Rzeczywiście Franiu, nastąpiło przestawienie ról: Frania każe mi się przed sobą tłumaczyć.

- Nie mogę dopuścić, żeby pani strzeliła głupstwo. Jak się pani wydostanie z miasta? No? Nie ma pani pojęcia? Na piechotę? Do pociągów szturmują tłumy, ludzi wpychają pod koła. Tylko Łatyński może pomóc.

Matkę musiała zaniepokoić nagła zmiana tonu Frani i jej gotowość, by ułatwić im opuszczenie Warszawy.

- Jest tylko jedna sprawa - odezwała się matka. - Zaufam Frani bezgranicznie. Mam znajomych Żydów, którzy są zdania, że Niemcy gdzieś będą wywozić Żydów, może w umowie z Rosją na Syberię, albo nawet rozstrzeliwać. Chcieliby tu ukryć dziewczynkę, starszą od Jaona, bardzo grzeczną.

- Boże, co to na mnie spada? Dziecko? Dziewczynka?

- Zostawię pieniądze.

- Na co mi pieniądze, jak Niemcy mnie zastrzelą?

- Frania nienawidzi dzieci? - spytała matka.

- Ja się dzieci boję - odrzekła Frania.

- Frania boi się dzieci! Frania boi się dzieci! - wykrzykiwał Jaon.

- Gdybym była mężatką, nigdy bym nie miała dzieci. Na pani miejscu też - odezwała się Frania patrząc znacząco na Jaona.

- Proszę tak nie mówić - ucięła matka, ale Frania nie usłuchała jej:

- Zawsze unikać przykrych słów. Jak Jaon rozdeptał na ścieżce żuczka, powiedział mu "Przepraszam.

- Dziurzynę mama wyrzuciła przeze mnie - prowokował Franię Jaon.

- Wiem, kobiecina poszła na bruk. Lepiej było ją wyrzucić prosto przez balkon - odcięła się Frania. - Jeśli sama mam zostać w tym domu, to zaznaczam, że żadnej małej Żydóweczki tu nie ścierpię. Także uprzedzam, że cenne rzeczy musi pani zabrać. Nie będę odpowiadać za srebra, dywany, futra.

- Część zostawię.

- Za nic nie ręczę. Jak będę głodna, zacznę sprzedawać i co mi pani zrobi?

- Frania obgaduje siebie samą - matka zmieniła temat. - Czy Frania nie zdobyłaby mi trzech kilo słoniny?

- Przed wyjazdem na wieś kupuje pani tłuszcz? Jeszcze pani zabierze doniczki i ziemię wysypie tam, żeby przybyło na polu?

- Franiu, a kto podlewał w czasie bombardowania kwiatki.
- Głupia, głupia, głupia służąca Frania to robiła.
I Frania, poddenerwowana, wyszła po raz drugi do Łatyńskich, może poskarżyć się na swoją pierwszą panią, a może i po to, by wypełnić jej prośbę.
- Frania udobruchana! - wykrzyknęła matka zobaczywszy służącą czerwoną od mrozu i trzymającą paczkę w przedwojennej gazecie.
- Pan Łatyński jest bardzo za panią - odezwała się Frania. - "Chce pani z Marszałkowskiej słoniny - to trzeba jej użyczyć". Chce wyjechać, to pan Łatyński wynajmie jej dwu ludzi: Pójdą torami do Szczęśliwic, zajmą miejsca na górze rozrządowej, gdzie szczepia się pociąg i przyjadą na dworzec w podstawionym pociągu.
Gdy nazajutrz Frania wyszła do pracy do Łatyńskich, matka wymyśla dwa garnki aluminiowe i trzeci postawiła na ogniu, wrzucając pociętą na kawałeczki słoninę.
- Czemu nie każesz Frani topić słoniny? - spytał Jaon.
- Podnieś dwa palce do góry i powtarzaj za matką: - "Na pamięć ojca przyrzekam, że nigdy nikomu nie powiem o tym, co nastąpi".
- "Na pamięć ojca przysięgam" - Jaon zmienił samowolnie słowa na poważniej brzmiące..
- Więc jesteś zaprzysiężony. Twój ojciec składał przysięgę Marszałkowi w 1913 roku. Gdy przyszła niepodległość nie składał przysięgi, bo był na zawsze związany tamtą.
Poszli do gabinetu ojca i matka otworzyła bibliotekę. Wyjąwszy rząd książek, sięgnęła za drugi i wydostała parabellum ojca, zarepetowała sprawdzając, czy nie ma naboju w lufie i wręczyła broń Jaonowi.
- Rozbierz - rozkazała.
Jaon wcisnął i przekręcił lufę, jak robił to przed czyszczeniem broni na strzelnicy ojca, kareta zsunęła się i jednocześnie oddzieliła się lufa.
- Wystarczy - powiedziała matka. - Zanieś do kuchni.
Włożyła do jednego garnka lufę i magazynek, do drugiego karete z rękojeścią. Smalec bulgotał w trzecim garnku. Matka chwyciła go i chlusnęła do jednego garnka, a potem do drugiego, aż tłuszcz przykrył części pistoletu.
- Nasze zapasy - powiedziała z dumą i uściśnęła syna. - Nawet jeśli Niemcy nam to zarekwirują, to zorientują się smarując chleb, że ich dozbrowiliśmy, gdy my będziemy daleko. Myślałam zakopać pistolet w mogile ojca. Ale nie po to przekazał nam broń pułkownik Jamontt.
- Mamo, w Marzeniowie będę tęsknił za Niką Woynicką.
- Nie wypada mi mówić z tobą na ten temat. Ale o jednym chcę cię przestrzec. Nie wyciągaj wniosków na przyszłość. Wielka miłość przyjdzie, przekonasz się. Może do Niki Woynickiej, ale dopiero gdy zobaczysz ją dorosłą. Nie chcę cię rozczarować, ale Nika jest bardzo posłuszna. Część jej sympatii do ciebie wynika z nastawienia, jakie dali jej rodzice.
- Kazali mnie lubić?
- Jaoniczku, nie rób sobie wielkich nadziei co do Niki. Przejęła

się śmiercią twojego ojca. Boi się, by jej to nie spotkało. Może dlatego choruje? Chciałaby wszystko zrobić dla ciebie, by Bóg zlitował się nad nią i oszczędził jej tego, co spotkało ciebie.
Nie rób smutnej miny. Matka musi uświadomić ci, że świat nie jest dekoracją, na tle której rozgrywa się twoje życie. Obserwuję cię. Zadziwia mnie brak ciągłości, brak pamięci. W każdy rano zaczyna się od nowa twoje życie. Co zapamiętasz z tego, co przeżywamy?
- Ciebie.

- Jak siedzę okutana w dwu płaszczach, dwu parach rękawiczek, jedna na drugą? W ohydnej czapce z włóczki?

- Nie. Wspominasz babcię i mówisz, co ona mówiła tobie.

- A ty powtórzysz to swoim wnukom?

- Nie będę miał wnuków. Mówiłem ci! Nie lubię dzieci i nie będę ich miał!

- Nikę lubisz, choć jest dzieckiem.

- Jej nie będę mógł mieć jako dziecka, bo jest córką państwa Woynickich. Mamo, ale gdy raz dałaś mi klapsa przy Nice, nie ja płakałem, a ona.

- Po co robić plany na tak odległą przyszłość, mówić jak postąpisz za dwadzieścia lat. Czy to nie dziecinne?

- Tak, mamo.

Nazajutrz Frania szykując śniadanie dla nich trojga zaczęła dopytywać się, gdzie jest smalec.

- Wyniosłam do pokoju Jaona, bo tam jest chłodniej - odrzekła matka. - To zapasy, których nie pozwolę ruszyć.

- Znoszę żarcie, a pani je ukrywa przede mną - Jestem głodna. Chcę chleba ze smalcem! - Frania podniosła głos, chwyciła płaszcz, okryła się nim, by ruszyć po smalec.

Matka chwyciła za połę płaszcza:

- Zabraniam. Smalec jest dla Jaona na czarną godzinę.

- Dobrze, że już niedługo się pani pozbędzie.

- Gdybym nawet nie chciała wyjechać, musiałabym uciekać przed Franią.

- Nie pogniewam się, bo nie chcę, żeby mnie potem pani przeproszała - odrzekła dumnie Frania.

Mężczyźni, którzy mieli zająć dla nich miejsca przyszli przywiedzeni przez Franię:

- Niech pani się nam przyjrzy. Będziemy w kolejarskich czapkach. Zajmiemy miejsca w pierwszym wagonie dla Polaków, w którym przedziały będą od strony peronu. Ukażemy się w oknie. Nie trzeba rzucać się z tłumem. Mogą panią zepchnąć pod koła. Niech pani nas wypatruje. Odbierzemy pakunki, wciągniemy panią i syna przez okno, a potem sami wyjdziemy.

- Jak wy dostać się na małej stacyjce, gdzie pociąg stoi pół minuty?

- Gdy zacznie hamować, wyrzucać bagaże. Gdy stanie, skakać przez okno. Potem iść wzdłuż torów i zbierać.

- Kiedy jest najmniejszy tłok? - spytała matka.

- W niedzielę, na wieczorny pociąg o godzinie 20.45. Musi pani być na dworcu przed godziną policyjną. W tym pociągu opalają tylko

wagony dla Niemców. Trzeba się ubrać grubo. Futer lepiej nie mieć na wierzchu.

Pobrali sto złotych zaliczki, drugie sto miało być wypłacone, gdy Jaon z matką siadą w przedziale.

Matka przez piątek związała i ugniała dwa tłumoki, zapięła je w rzemienie. Były bardzo ciężkie, miała je nieść z Franią. W sobotę matka włożyła na futro płaszcz i oznajmiła Jaonowi, że jedzie pożegnać grób ojca.

- Ty zostaniesz. Jest wielki mróz.

Było całkowicie ciemno. Do godziny policyjnej zostało dwadzieścia minut, a matka nie wracała. Zegar na kredensie w lodowatej atmosferze wielkiego pokoju śpieszył się co prawda dziesięć minut na dobę. Jaon odliczał te dziesięć minut i coraz bardziej się bał.

A jeśli matkę zabito w pustce cmentarza, by ściągnąć z niej futro?

Po co kolejarz wspomniał o futrze? Jaon mniej by się niepokoił.

Gdy wskazówki zegara nieubłaganie układały się w kąt, który Jaon obliczył na 120 stopni, rozległo się pukanie i dzwonienie jednocześnie. Znak z dawnych czasów. Ojciec tak dobijał się, gdy radosny wracał z banku! Jakby matka mówiła: "Nie wszystko stracone. Masz matkę. Ciesz się tym".

Rzucili się sobie w objęcia. Frania z progu kuchni skarciła ich:

- Po co witać się, jak po latach niewidzenia? Temu dziecku całkiem pokręci się w głowie.

- Ach synu - powiedziała matka, nie zwracając uwagi na Franię. -

Zaczął się od przejazdu przez getto. Synu! - matce załamał się

głos. - Tam umierają na śniegu. My jesteśmy jak królowie, cesarze, magnaci. W bramie cmentarza musiałam się usunąć z drogi.

Wychodziła grupa niemieckich kobiet w różnym wieku, w głębokiej żałobie. Były to pewnie matki, żony, córki, siostry poległych w

boju o Warszawę, które przyjechały z głębi Rzeszy. Niektóre

płakały. Jedna rzuciła na mnie spojrzenie straszne, mściwe, pełne

zaciętości. Były tam, skąd wyrzucono nasze groby. Wsiadły do

wojskowego autokaru, jak makabryczna wycieczka. Cmentarz zasypany

śniegiem wysoko, tylko czubki krzyży sterczą. Szłam, szłam,

patrzę, a tu nie ma grobu twojego ojca. Uczucie, że już raz tak

było, że wszystko się powtarza, tylko białe, jak w negatywie

pozbawionym kolorów, jakby twój ojciec rozplątał się w bieli, czy

ukrył się przede mną obrażony o coś. Zaczęłam odkopywać groby ze

śniegu, by dotrzeć do tabliczki. Ach, ile znajomych nazwisk, ile

tragedii, przy czterdziestej straciłam nadzieję. Byłam mokra, pot

łał się ze mnie. Wtedy zobaczyłam nasze nazwisko, strasznie

znajome, jak woła mnie z daleka. To niemożliwe: skąd tu imię

twojego ojca? Ostatnie trzy lampki, których nie spaliliśmy we

wrześniu, zapaliłam na śnieżnej wydmie, pokrywanej mogiłą. Trzy

światła w zmierzchu wydały się pomarańczowe. Gdy szkła rozgrzały

się, zaczęły powoli zapadać się w śnieg. Światło biło z jego

głębi. Zaczęłam odchodzić i usłyszałam, jak szkło pęka w powłoce

zaspasy, ale światła nie zgasły, odwracam się, a one, jak spod ziemi

świeciły, żegnały mnie, czy ojciec dawał znak? To były jedyne

światła na cmentarzu. Niemieckie groby, gdy mijałam je, spoczywały

w ciszy i ciemności jak polskie.

Potem nastąpiło pojednanie z Franią. Ostatnia butelka "Cinzano" była sygnałem, że trzeba wyjeżdżać.

- Pani powinna była sprzedać to wino Łatyńskiemu. Zwróciłoby się za tych kolejarzy - nie mogła powstrzymać się od gderania Frania, gdy zasiadły ze swoją panią do wina.

- Co tam Franiu, gdy straciło się tyle reszta staje się bezwartościowa - matka upiła łyk wina.

- Bogaci zawsze odzyskają bogactwo. Biedni od początku są wystraszeni. Zgubiłam dwa złote. Ojciec popłakał się. Prosiłam, żeby mnie zbił, ale nie chciał.

- Frania krytykuje wszystko, co wpajam w Jaona. By leciał ponad światem, jak wielki ptak, a nie jak kret, ślepy, drażył wąski korytarzyk.

- O, Jaon to może być jastrzębiem albo sępem.

- A orłem? - wykrzyknął Jaon.

- Kim będzie Jaon, to nawet mnie, służącą, ciekawi. Będzie kimś bardzo złym, upadnie nisko, albo ludzie będą go całować po rękach. Zazwyczaj dziecko jest całkowicie gotowe, jak pąk. Jeśli go pani rozłoży, to wiadomo, jaki kwiat się z niego rozwinie. Co do Jaona nie umiem wróżyć. Inne dzieci wiadomo nawet, jak umrą. Wręcz widziałam starość na ich twarzach. Czy pani pozwoli, bym zajrzała w jego rękę?

- A co tam, niech Frania zagląda.

Frانيا odwróciła lewą dłoń Jaona, a potem prawą i wykrzyknęła:

- Bożyćku miły! To dziecko ma jedną linię: linię losu. Nie ma życia. Wszystko pożarło jego przeznaczenie - zamknęła jego dłoń i gestem, jakby mu je zwracała, odsunęła od siebie. - Żył będzie długo, aż mu się sprzykrzy ostatecznie. Pani tego nie będzie oglądać. Sam zapragnie połączyć się z panią.

- A wojna będzie miała wpływ na jego życie? - spytała matka.

- Wojna ocaliła go. Przyszła w samą porę. Niech Bogu dziękuje, że zabrał mu ojca. Byłby nicponiem. Zmarnowałby się.

- To Frania mówi nie z ręki, tylko dlatego, że Frania nas zna?

Frانيا milczała, wtedy matka dodała:

- Tu był wróżbita, niedługo przed wojną i powiedział zagadkowe słowa: - "Ci wśród nas którzy zostaną". - Tym zapowiedział odejście męża. Zadrżałam, czy nie z kobietą, co też mogło się sprawdzić, ale może także przez śmierć.

- Nigdy tego pani nie wspominałam, ale mi się wydaje, że widzimy się ostatni raz w życiu, więc powiem, że ta pannica tu była dwa razy, gdy myśmy byli na wakacjach. Pytała u dozorczy, czy pan jest, kiedy pan wraca ze wsi. A dozorca Szymański, przecie pani zna go:

- "Ej, bo wezwę policję, niech sprawdzą, czy pani nie złodziejka", a ta w nogi.

- Ile jeszcze Frania ma takich tajemnic?

- Żeby się pani strzegła Dziurzyny.

- Co Frania przez to rozumie?

- Czarowała Jaona.

- Jeszcze wczoraj Frania była łaskawa uzalać się nad jej losem,

skrzywdzonej rzekomo przez Jaona.

- Jak mnie zaczarowała - dopytywał się Jaon senny, przejęty wyjazdem.

- Jaon idź spać - przerwała matka. - Frania jest osobą dorosłą, ale jest równie dziecinna jak Maniunia i Dziurzynia.

Idąc do Łatyńskich, Frania wysłała depeszę do wuja Rudolfa, a drugą, na wszelki wypadek, do dzierżawców, że wyjeżdżają i którym pociągiem. Nie było tam wyraźnej prośby, by wyjechano po nich na stację. Pojawiło się nowe zmartwienie; pociąg przychodził w środku nocy, w czasie, gdy poruszanie się było wzbronione. Co z nimi będzie, gdy wysiądą? Pewnie trzeba będzie czekać do rana na zimnej stacji.

O zmierzchu na podwórzu zajechała riksą Frania. Matka uklękła w przedpokoju, przeżegnała się, spojrzała w lustro żegnając dom, swoje dawne życie i samą siebie, którą była jeszcze tak niedawno. Jaon przejęty podróżą zapomniał rzucić okiem na mieszkanie, by je zachować w pamięci. Dopiero, gdy ładowali się do rikszy zerknął w górę ku balkonowi, wiszącemu tak wysoko i czterem oknom ciemnym i zasnutym lodem, za którym upłynęło dotychczasowe życie Jaona. Rikszarz jechał powoli, nieustannie cicho klnąc. Wyrzedzały ich niemieckie samochody z przyciemnionymi reflektorami, przepełnione wojskiem. Żołnierz cisnął w nich ogryzkiem jabłka.

Z dworca słychać było krzyki. Żandarmi kogoś bili. Rikszarz nie chciał tam podjechać. Musieli nieść toboły przez cały plac, podjazd i przebijać się przez tłum. Woda z rozdeptanego śniegu stała tu do wysokości kilku centymetrów. Gdy byli w środku hali wydało się, że utknęli i nie przejdą. A jednak Frania, brutalnie rozdająca razy zrolowanym dywanem, twardym jak stalowa rura, utorowała im drogę.

Tłum zbity, unieruchomiony swoją gęstością, głowa przy głowie, oczekiwał na peronie na podstawienie pociągu do Krakowa. W lodowatym powietrzu para z oddechów tworzyła mgłę. Nie było widać żadnego dziecka.

- Pani to wcale nie odjedzie - powiedziała Frania.

Wyróżniali się w tym tłumie. Czasem ktoś zerknął na nich z wrogością i politowaniem. Nad ich głowami zacharczał głośnik.

- Achtung! Achtung! Die Personenzug nach Krakau durch Radom, Kielce wird sofort am siebene Peron zu untergechutzt. * (* Uwaga! Uwaga! Pociąg osobowy do Krakowa przez Radom i Kielce zostanie podstawiony na peron siódmy.) - dumna niemczyzna biła z góry. Polskie słowa głośnik wycharczał zniekształcone, jak wstydlive czy nieprzyzwoite.

Masa ludzka poruszyła się i zwróciła się w stronę skąd miano podstawić wagony. Matka sterowała ciągle pod prąd, by nie znaleźć się za blisko pociągu. Nawet mogłaby nie spostrzec okna, z którego wychylają się opłaceni ludzie.

Pociąg, jak na złość tłumowi, wjechał w ostatniej chwili, w pędzie i zahamował gwałtownie z piskiem zatrzymując się tam, gdzie tor się kończył. Bufory prawie dotknęły stalowej zapory. Jęk, przeraźliwe krzyki i ryk - rozległ się nad tłumem. Ktoś wrzasnął

boleśnie, strasznie. Potracano ich, pchano, uderzano. Ujrzeni przez ułamek sekundy znajome twarze wynajętych ludzi, a potem znikły, bo oszalały tłum rzucił się ku oknom. Kolejarze zostali wepchnięci w głąb przedziału. Zamiast nich było widać wsiadających, którzy zapchali okno i nie mogli zejść na podłogę przedziału, bo wypełnili go ci, co przybiegli korytarzem. Ciała tamtych, wychylone do połowy na zewnątrz powodowały, że okna były otwarte i zablokowane przez tych przedsiębiorczych i nieszczęsnych ludzi.

- Nigdzie nie jedziemy - powiedziała matka i zaczęli się wycofywać.

Pociąg ruszył, uwożąc wynajętych przez nich ludzi. Całą noc czekali, stojąc w hali dworcowej w tłumie tych, co nie wyjechali. Gdy z ustaniem godziny policyjnej zaczęły nadjeżdżać riksze Frania pilnowała, by nikt nie wpychał się w kolejkę. Nawet biła się z jakimś mężczyzną. Była to sekunda straszna, wstydliva, gdy Frania zadała mu cios, a on przewrócił się w czarne, zimne błoto. Odjechali z dworca w południe.

Jaonowi wydawało się, że odbył bardzo daleką podróż i wraca do domu. Mieszkanie, gdy weszli do niego po uroczystym pożegnaniu wydało im się zimne, smutne, nagie, ponieważ matka pozdejnowała obrazy. - "Po co było nas żegnać" - mówiły wysokie zimne, zbyt wielkie pokoje. - "Po co było uciekać, gdy znów chronicie się między nas, mury, które chcieliście zdradzić?"

Byli uwięzieni w mieście. Potrzeba ucieczki z Warszawy, zostawienia miasta skazanego na zagładę była teraz gwałtowniejsza. Marzeniów wydawał im się nieosiągalnym zbawieniem. Wiedzieli, że nie zostaną tu, za żadną cenę. W płaszczach, nausznikach, w pomarańczowym świetle południowego słońca siedzieli w swoim domu jak goście, którzy weszli na chwilę i zaraz będą wyproszeni.

Frانيا poszła do pracy, a matka powiedziała do Jaona pierwsze słowa po długim milczeniu tego ranka:

- Gdy pakowałam się i potem, na dworcu, myślałam, że oto wracam, jak pokutną wędrownką, do punktu wyjścia, do miejsca skąd wyfrunęłam przed laty w wielki świat. Ale przecież nic nie zawiniłam. Nie mam niewyznanych grzechów.

- Mamo, czy to wyście nazwali Marzeniów Marzeniowem? Bo marzyliście o sobie?

- Moje kochane, głupie dziecko. Taki mózdzek najdroższy, ograniczony, bo jeszcze mały, zawsze zadziwi. Synu, ktoś, chyba biskup Jazłowiecki założył tam ogrody, jak wyśnione, wymarzone, a według innej wersji, jakiś magnat dostał tę wieś w spadku od biednego szlachcica, który sobie wymarzył obdarować bogacza.

Frانيا przyszła lekko podpita.

- Łatyński nie bierze wódki do ust. Mnie każe za siebie pić, gdy opija załatwione interesy. Tylko pani jeszcze nic nie zauważyła po mnie. Nasi kolejarze dojechali do Okęcia i ledwie się wydostali.

Uważają, że zaliczka przepadła. Ale jestem na tyle trzeźwa, by pani powtórzyć, co kazał Łatyński. On się zawziął i pani dojedzie. Nie ma w tym interesu. Pani kupiła kuropatkę, pani nie potrzebną,

by ratować Łatyńskich. Pan Łatyński dlatego nawiązał kontakty handlowe z pani bratem Rudolfem. Nie potrzebny mu do niczego. Pan Rudolf zostawił adres i telefon na swoją współpracowniczkę.

- Współniczkę? - spytała matka ze zdziwieniem w głosie.

- To pani nie wie? - wykrzyknęła Frania i wyjęła skrawek pakowego papieru z notatką i przesyłabizowała: - Honorata Panicka - Koblontz, czy jak tam się czyta, wszystko jedno. Pani dawne służące w ogóle nie umiały czytać ani pisać, to wiadomo na całej ulicy. Pan Łatyński zatelefonuje do tej pani, by pan Rudolf przyjechał po towar. Wtedy zabierze panią - oznajmiła i poszła znów do Łatyńskich.

- Niepokoi mnie, czy za pomocą Łatyńskiego nie kryje się jakaś zmowa? Może chcą się z Franią nas pozbyć, by zająć mieszkanie? - mówiła wieczorem matka. - Obserwowałam Franię, gdy nie dostaliśmy się do pociągu. Była bardziej przejęta niż to wynikało z sytuacji.

- Może Frania nas lubi?

- Tak sądzisz?

- Była na pogrzebie ojca.

- Masz rację dziecko. Czuję się samotna. Myśli, że odpowiada za nas. Jesteśmy dla niej jedynymi bliskimi istotami na świecie. Może żałuje, że wyjeżdżamy? Przychodziła mi głupia myśl, że dalej nasza rodzina jest trzyosobowa, bo Frania stała się jej członkiem.

Wuj zjawił się trzy dni potem, z pętem kiełbasy, w skórzanym płaszczu, ciepłej pilotce, w towarzystwie kierowcy, któremu prosił, by dać kieliszek wódki. Gdy okazało się, że wódki nie ma, poszedł sam po nią do restauracji i przyniósł w małej butelce w kieszeni. Był zaabsorbowany interesami, że prawie nie zwracał na nich uwagi. Gdy dowiedział się, że chcą zabrać się z nim, powiedział:

- To ostatnia jazda. Niemcy nie pozwolą Polakom używać samochodów. Chcę wziąć maksymalnie dużo towaru, a wy i wasze rzeczy przecież ważycie. Depesze mnie zdziwiły. Czy to pora przyjeżdżać na wieś? W domu ziąb. Mało opału. Tyle, co grzeje przez ścianę do dzierzawców. Lękam się was wyciągać z miasta. Wojna to nie wakacje.

Nie powiedział im, czy ich zabierze. Widać uzależniał to od rozmowy z Łatyńskim. Popatrzył żałośnie na pęto kiełbasy nie widząc, czy go nie odebrać siostrze i nie zanieść kontrahentowi. Wyszedł pewny, że Łatyński odradzi mu wiezienia pasażerów, zamiast towaru. Ale wrócił w odmienionym nastroju.

- Ach, siostrzo, dalej jesteś potęgą - powiedział, ale nie wyjaśnił, co ma na myśli. - Więc z Bogiem. Więc w drogę. Mamy towar i przepustkę na Łatyńskiego. Mamy półciężarówkę. To cud, który Bóg zrządził dla was nie dla mnie. Ach, Łatyński ma starkę, ma wszystko. Przesyła Jaonowi kostkę masła, ale nie wniosłem na górę.

- To bracie pozwól, wezmę jeszcze walizę.

- Ależ siostrzo bierz, proszę.

Matka zaczęła wrzucać różne rzeczy jak popadło, w szale zabierania. Czowała się winna wobec tylu przedmiotów, że je zostawia na niepewny los. Nawet jeszcze raz szybko przejrzała fotografie i

jedną wyjęła, przyciskając do piersi, i kryjąc to przed wujem, który nie zdejmując płaszcza przechadzał się po zimnym mieszkaniu. Kierowca siedział w kuchni, pił herbatę, nie odzywając się do Frani.

Wuj kazał im się ubrać we wszystko, co mają. Ze względu na Niemców on musi jechać w szoferce, jako dysponent wozu. Dlatego matka i Jaon pojadą z tyłu, z towarami. Wuj niecierpliwił się, drżał przed godziną policyjną:

- Nie zdążymy, nie zdążymy - popędzał matkę. - Łatyński się rozgadał. Jestem zależny od jego towaru, więc musiałem słuchać. Matka, na futro po drugiej babce i płaszcz, założyła palto ojca. Na płaszcz Jaona włożyła podbite oposami futro ojca. Teraz mógł się przekonać, jak jeszcze był mały. Podbiegł do lustra, ciągnąc za sobą poły i zobaczył małego ludzika odzianego w strój olbrzyma. Ręce kończyły mu się w połowie rękawów. Matka nawet w takim momencie czujna na to, co się z nim dzieje, powiedziała, przybiegając za nim, ukazując i nękając w lustrze:

- W barach, dzięki Bogu, prawie, prawie pasuje.

Frani i kierowca nieśli rzeczy. Gdy weszli na pakę wozu rozwinęli dywan i okryli się nim. Jaon uświadomił sobie, że nie pożegnał się z Franią, bo samochód ruszył za szybko. Pierwszy raz poczuł za nią tęsknotę. Więc jednak lubił tę Franię! Dlaczego dowiedział się o tym dopiero teraz?

Samochód trząsał i szarpał, a w obramowaniu plandeki widać było znikające ruiny i niebo. Podłoga samochodu przesuwała się pod nimi, przetaczali się. Okrycia spadały z nich i lodowate zimno przenikało przez skórę aż do kości. Wuj nie objaśnił im, jaki towar wiezie. Miejsce dla Jaona i matki wyglądało na niszę, czy legowisko między sześciennymi paczkami starannie owiniętymi w szary papier i owiązanych szpagatem. Dokładność pakowania przypominała dawnego Łatyńskiego.

Matka poruszała wargami. W czasie bombardowania krzyczała do Boga, w czasie pogrzebu szeptała, teraz modlitwa wydobywała się z jej ust bezgłośnie, jakby rozmawiała z kimś niewidzialnym, niesłyszalnymi sylabami.

- Mamo, o co się modlisz, powiedz? - odezwał się.

- Byśmy jeszcze tu wrócili.

Jaon przeszedł dreszcz: więc może na zawsze opuszczają Warszawę? Miałby żyć gdzie indziej, w obcym mieście? "Boże nie pozwól - jego myśli przeszły w modlitwę - żyć wśród nieznanymi ludzi, w małym, marnym świecie, z dala od mojej ulicy, Łazienek, kościoła Zbawiciela".

Wstrząsy samochodu stały się gwałtowniejsze. Ruiny przykryte białymi czapami śniegu znikaly z pola widzenia, pojawił się czasem dach domu i oszronione drzewa. Pomyślał, że już wyjechali za miasto, gdy poczuli z matką hamowanie i drzewa, i domy zatrzymały się.

Słyszał słowa wuja, jego błyskawiczne, jakby z góry przygotowane, łamaną niemiecką, którą rozumiał nawet Jaon.

- Ich habe Passierschein. Bitte. Das ist mein Passierschein. Ich

habe zwei Personen. Das ist meine Schwester und sein Sohn, sehr klein.* (* Ja mam przepustkę. Proszę. To jest moja przepustka. Ja mam dwie osoby. To jest moja siostra i jej syn, bardzo mały.)

"Po co wuj tyle gada" - pomyślał. - Z jego słów wyczytał strach i Niemiec też musiał to czuć. Trwała długa chwila, gdy w lodowatym powietrzu rozległ się szelest papierów. Potem znów zapadła cisza i Niemiec w hełmie zapiętym pod brodę, o opuchniętych oczach i gęstych brwiach, zajął na pakę wozu. Jaon pierwszy raz z bliska widział twarz Niemca. Zobaczył dwa małe otwory z boku hełmu, którymi wychodziło powietrze i namalowaną pod nimi trójkolorową tarczę. Niemiec nie odezwał się i znikł. Widać dał znak, bo ciężarówka ruszyła. Jaon podniósł się na posłaniu. Zobaczył, jak zamyka się za nimi szlaban pomalowany na biało-czarnoczerwono, maleje i niknie. Na szosie uciekającej w tył leżały pasma pożółkłego śniegu, tylko koleiny wyrobione przez samochody, jak w piasku były ciemne.

Dzień był chmurny. Śnieg szary, pożółkły. Czuł silny ciąg samochodu pod sobą. W pustce szosy dochodził go warkot silnika wysoki, wyteżony. Jechali jednostajnie, chyba szybko. Wydawało mu się, że wuj rozmawia z kierowcą. Poczul senność.

Gdy obudził się, widać na skutek snu, który został przerwany i natychmiast zapomniany, wydawało mu się, że jest już po wojnie.

Matka patrzyła w przód przez okienko do szoferki.

- Długi rząd furmanek czeka na kontrolę - powiedziała. Oj, ale Niemcy zobaczyli nasz samochód i dają znaki byśmy je wyprzedzili i podjechali pierwsi.

Z przodu rozległ się gardłowy, młodzieńczy głos. Niemiec nie wymawiał "r" tylko grasejował, tak jak kazała tę głoskę wymawiać Jaonowi w czasie lekcji francuskiego pani Bohusz. To nadawało ton swojskości, jego rzucanym w złości, krótkim, urywanym zdaniom.

- Aussteigen - krzyknął wreszcie.

Wuj, strwożony, z wybałuszonymi oczyma, zajął do nich:

- Wychodźcie. Wyjmujcie pakunki i otwórzcie - wykrzykiwał rozkazująco do nich wuj, jakby przejął część kompetencji Niemca wobec nich. "Gdyby wuj wiedział, co jest w dwóch garnkach ze smalcem" - myślał Jaon radośnie.

Ścierpięty i zmarznięty omal nie upadł stanąwszy na bezwładnych nogach. Płaszcz ojca włókł się za nim. Byli w pustce. Droga biegła nasypem nad sięgającymi horyzontu płaskimi łąkami, przez które płynęła rzeka. Nasyp szedł w górę i prowadził na betonowy nowoczesny most, zabarykadowany, osłonięty workami z piaskiem i kłębami drutu kolczastego. Żelazne kosze, przy których grzali się żołnierze, świeciły rozpalonym do czerwoności żużlem. Pachniało dymem i tłuszczem do smarowania skóry butów i pasów niemieckich. Niemcy mieli hełmy, pod nimi kominiarki. Dwóch podoficerów i trzech szeregowych podeszło do samochodu. Jeden pilnował kierowcy, drugi stał za wujem, trzeci wymierzył broń w matkę i Jaona, a jeszcze jeden początkowo chciał wziąć na muszkę Jaona, ale potem zrezygnował.

- Wo ist dein Mann? - odezwał się do matki podoficer, mówiący jak

się wydawało Jaonowi francuskim akcentem.

- Mein Mann ist in der Kampf gegen Deutschland gefallen - odrzekła matka.

Niemiec opuścił oczy.

- Das ist wirklich ein Witwesland - powiedział żartobliwym tonem do podoficera przeglądającego papiery. - Heute dieses Weib schon ist die zehnte oder

zwölfte Witwe* (* - Gdzie jest twój mąż?

- Mój mąż poległ w walce przeciw Niemcom.

- To prawdziwy kraj wdów. Dzisiaj ta kobieta jest dziesiątą czy dwunastą wdową) i krzyknął w stronę matki Jaona: - Die packen aufmachen!* (*Otworzyć pakunki)

Matka uklękła i odrzuciła najpierw dywan, a potem wyszarpywała wszystko i rzucała Niemcowi pod nogi.

Ich rzeczy, wyjęte na światło dzienne, na śniegu, na poboczu szosy, wydawały się bezbronne i biedne. Niemiec patrzył na nie pogardliwie, z obrzydzeniem i zniecierpliwieniem. Matka mimo pozorów nie działała szybko, otwierała wszystko w takiej kolejności, by tłumok ze smalcem znalazł się na końcu, licząc pewnie, że cierpliwość Niemca się wyczerpie. Ale on był zarazem poirytowany i pełen opanowania. Nieruchomy, śledził rozszłoszczonymi oczyma każdy gest matki i odprowadzał wzrokiem każdy przedmiot. W pewnej chwili wysunął nogę i przygniół sweter Jaona, sprawdzając, czy coś w niego nie jest owinięte. Jaonowi żal było wuja Rudolfa. Nie podejrzewał, że narażają go na śmierć. Z niepokojem, ale ufnie śledził przebieg rewizji. Dopiero, gdy matka wyjęła garnki ze smalcem, wuj drgnął ze złością. Niemiec też zareagował. Wzniósł rękę wstrzymując matkę Jaona, by nie odkładała garnków na bok. Zwrócił się do podoficera, trzymającego papiery wozu i dowody w rękę:

- Ist die Speck grieben in der Lebensmittel liste aus gewähnt und requirieretn werden?

- Ich glaube nicht* (* - Czy topiony smalec znajduje się w wykazie artykułów żywnościowych, które podlegają rekwizycji?

- Wydaje mi się, że nie.) - odrzekł drugi podoficer.

Teraz dopiero prowadzący rewizję Niemiec kopnął garnek ze smalcem.

Potoczył się i podskakując zbliżył się do krawędzi nasypu. Gdyby spadł, połowa pistoletu byłaby stracona. Może potem Niemcy zeszliby po niego i wydobyli ze śniegu. Zagłębiliby noże, chcąc posmarować chleb. Czekaliby ich niespodzianka. Jaon uświadomił sobie, że jego uwaga koncentruje się na jednym: czy Niemcy zapisują ich numer samochodu i personalia. Ale nie robili tego.

Garnek dotoczył się do krawędzi nasypu i tam zatrzymał go śnieg.

Jaon powoli, niedbale ruszył w stronę garnka, podniósł go i podał matce. Rewizja była skończona. Matka jakimś sposobem nie wyjęła z tłumoka motka przedzy, bojąc się widać, że gdyby Niemiec wziął go do ręki, byłby zdziwiony jego ciężarem.

Niemcy nie kazali otwierać paczek z towarem wuja. Ich schludny wygląd, porządek, w jakim leżały uspokoił ich, podczas gdy toboły matki Jaona budziły niechęć i podejrzenie. "A jeśli wuj i pan

Łatyński są w konspiracji i udają, że prowadzą handel, a w paczkach jest broń?" Ale, mimo że był dzieckiem, nieświadomie wiedział coś takiego o wuju Rudolfie, że odrzucił tę myśl.

Jechali powoli przez most przypominający fortecę. Jaon nie wiedział, jaka to rzeka. Ile razy będzie w przyszłości, przejeżdżając tę rzekę, po tym moście, wspominać to, co się nie zdarzyło? Boże, jaki jesteś dobry, tylko my o tym nie wiemy, nie myślimy. Nigdy ci nie dziękujemy, bo nie znamy zła przed którym nas ocaliłeś, ponieważ dzięki Tobie się nie zdarzyło" - modlił się w myśli Jaon. Otulił się dywanem.

Był z panią Bohusz w Paryżu. Poznawał go, jako dobrze znane miasto.

- Ach, ja wcale nie jestem rozstrzelana, jak sądziliście - mówiła pani Bohusz, robiąc aluzję do domniemanej śmierci jego ojca, o którym on i matka też myśleli w czasie wojny, że poległ. Jaon spostrzegł, że pani Bohusz stała się przez ten czas młodzieńcem, ma tyle lat, co on - we śnie jego wiek nie był określony - ma długą suknię do kostek, podobną do cygańskiej i jest śliczna. Mówiła po francusku, a Jaon wszystko rozumiał, co go dziwiło:

- Spieszmy się. Ja nie będę się starzała, tylko młodniała, ubywa mi lat, a panu przybywa i miniemy się.

Objęła Jaona za szyję i zaczęła całować w usta mocno, gwałtownie. Wtedy zza rogu wyszedł żołnierz ołowiany wielkości człowieka. Jaon rozpoznał detale munduru: guziki, plecak, patrzące z boku głowy oko, z karabinem, na którym miał nałożony błyszczący bagnet. Żołnierz złożył się przepisowo, jak do walki i wbił bagnet Jaonowi w serce. Jaon krzyknął i obudził się.

Samochód stał. Było ciemno. Słyszał głos matki, ostry, podniesiony:

- Mój bracie, wszystkiego mogłam się spodziewać, ale nie tego.

- Moja siostrze, nie czas na sentymenty. Do Marzeniowa macie osiem kilometrów. Przejdziecie brzegiem lasu. Was nie zauważą, a samochód ostrzelają i wszyscy zginiemy. My rano przyjedziemy z rzeczami. Jeśli będziecie nocować na pace, zamarzniecie, a ci ludzie nie chcą nas wpuścić do domu, tylko pozwalają wjechać do stodoły. Poszedłbym z wami, ale w razie czego kobieta z dzieckiem będzie bezpieczniejsza. Ja wzbudzę podejrzenia.

- Czemu zatrzymaliście się przed lasem, a nie w osiedlu, które minęliśmy.

- Sądziliśmy, że przegonimy tę ósmą godzinę.

- To ja cofnę się w stronę osiedla.

- Odradzam ci. Znam miejscowe stosunki. Lasem przejdiesz nie zauważona. Tu będziesz szła poboczem szosy, na widoku. Nikt cię nie przyjmie. Ludzie przy głównej szosie boją się przyjmować nieznanym. Nie otwierają po zmroku. Idź, idź jak najszybciej. Rusz się wreszcie. Musisz mnie teraz trochę słuchać. No! No! - dodał pojednawczo. - Nigdzie nie ma bezpiecznego miejsca. Na to podwórko też mogą wpaść i wszystkich rozstrzelać.

Zbliżył się kierowca i powiedział uspokajająco:

- Niemcy w nocy nie lubią jeździć przez tę górę.

Jaon myślał, że przeczuwał to przed wyjazdem: ucieczki nie ma. Ze wszystkich stron, z powietrza, nawet od morza są otoczeni. Wyjazd z Warszawy był bezsensowny, tylko bardziej ich naraził.

- Każda minuta pogarsza twoje położenie - powiedział wuj Rudolf. Matka zdjęła z Jaona futro ojca, rzuciła na pakę i szarpnęła rękę Jaona.

Ruszyli szybko ku leśnemu pustkowiu. Chwilami matka przyśpieszała kroku do biegu. Byli zagrożeni, ale Jaon przypuszczał, że matka nie myśli teraz o niebezpieczeństwie, tylko o zaskoczeniu jakie zgotował wuj Rudolf. Groźba ze strony Niemców malała wobec tego. Jedyna osoba, której była pewna na świecie zaraz po ojcu! Ojciec nie żył, a wuj wywiózł ich z Warszawy i zostawił na środku drogi. Jaon patrzył na jego stanowczość, gniewne oczy i widział inną osobę niż ta, która kupowała za ostatnie pieniądze żołnierzy ołowianych. Należałoby wracać do Warszawy. Ale na to było za późno.

Jaon myślał, że matka naraża go, tak bardzo jest rozgoryczona. Przecież mogła ubłagać tych gospodarzy. Szli ścieżką w śniegu. Po lewej mieli brzeg lasu, po prawej głęboki rów i szosę. Góra nie miała końca. Gdy wydawało się, że znajdują się blisko jej szczytu, ukazywał się dalszy ciąg wzniesienia, jakby góra wyrastała z góry i podnosiła się przed nimi. Las wydawał się gęstszy, drzewa ugięły się pod zlodowaciałymi kłębami. W Warszawie mało wychodzili. Powietrze oszałamiało ich. Od nieba biła ciemność. Światło szło z dołu, od śniegu.

Góra, którą pokonywali była bramą do tej krainy, gdzie mieli znaleźć schronienie. Mieli uczucie, że zło minęło i są ocaleni, gdy ujrzeli dolinę z wklęsłością rzeki, zamkniętą dalekimi, ledwie majaczącymi i zlewającymi się z niebem górami. Ścieżka była śliska i co chwilę tracili równowagę, ale szliby nawet na kłęczkach, pielgrzymując do cudownego miejsca, którym wydawał im się dom w Marzeniowie.

Od tamtej strony usłyszeli warkot silnika. Cisza była tak zupełna, że samochód słychać było z bardzo daleka. Niewidoczny, sunął ku nim. Matka szarpnęła Jaona. Weszli w głęboki śnieg, a potem w las i przebijali się przez krzewy, strącając na siebie lodowate igielki, przenikające za kołnierze. W pewnej chwili matka zatrzymała go:

- Połóż się synu - szeptała, jakby ci nadjeżdżający mogli ją usłyszeć. - Mogą nas oświetlić reflektorem. Leż bez ruchu. Uważaj na parę z ust. Zasłoń sobie usta - wyszeptała matka.

Sama stanęła za drzewem i patrzyła w stronę gdzie silnik samochodu, pokonującego stromiznę pracował na wysokich obrotach. Szosa nie była od nich dalej niż trzydzieści metrów.

Jaon kładąc się, dotknął policzkiem lodowatej, porowatej powierzchni i po chwili zobaczył, że i matka klęka, a potem układa się obok niego. Samochód warczał i wydawało się, że jedzie prosto na nich, specjalnie wysłany, by ich wytropić. Wtedy zobaczyli płomyki ognia i rozległ się trzask serii z kilku pistoletów

maszynowych. Pociski przeszły krzaki, uderzyły w pnie, obsypując matkę i Jaona korą, gałązkami i śniegiem. Nadeszła chwila straszliwa: jedna z serii przeszła tuż koło ich głów, wzniecając tuman śniegu. Więc Niemcy ich widzą! Czekali aż samochód zatrzyma się i Niemcy wejdą do lasu.

Wydało się nie do uwierzenia: samochód jechał dalej. Po chwili usłyszeli serię jedną, drugą i zdali sobie sprawę, że strzelanina się oddała.

- Nie widzieli nas - wyszeptwała matka - a celowali prosto w nas. Warkot samochodu ucichł. Wstali i szli dalej lasem, przebijając się przez młode dęby, świerki i zasy śniegu.

- Strzelali na oślep, by dodać sobie odwagi. Bali się bardziej niż my - szeptała matka.

- Mamo, jak wojna minie, odnajdę te drzewa i wyjmę z nich pociski na pamiątkę.

- Skąd wiesz, co będziesz robił po wojnie? Zapomnisz o tych kulach, które zarosną i najwyżej, gdy zetną drzewo w tartaku pęknie piła, jak bywało po tamtej wojnie. I przestań gadać, bo zaziębisz sobie gardło. Nogi masz przemoczone?

Las się kończył. Matka bała się wracać do szosy i skręciła ku płaskim, pustym przestrzeniom, gdzie pod śniegiem kryła się rzeka. Natrafili na płot do połowy ukryty w śniegu. Jaon wstydził się przyznać matce, że kiedy bywali w Marzeniowie na wakacjach, nie przechodził przez płoty, bo bał się, że nie da rady. Ale i matka nie miała odwagi. Szli więc wzdłuż płotu, odchodząc od celu w bok i zagłębiając się w łąki, aż doszli do rzeki. Matka pamiętała z młodości, że rzeka, niosąc w sobie wodę z ciepłych źródeł, zamarza tylko po wierzchu. Przebijali się przez zasy, idąc w górę rzeki, jej brzegiem. Wreszcie natrafili na zaspę sięgającą Jaonowi po pachy i matka musiała go przeciągać przez to miejsce. Szli zamrażniętymi bagniskami, przekraczali płotki z drutów kolczastych, rozgradzające pastwiska, strumyki dopływające do rzeki.

- Marzeniów dawno powinien się pokazać - odezwała się matka do Jaona. - Co gorsze, tego miejsca w ogóle nie znam. Chyba nigdy tu nie byłam, a to z kolei wydaje mi się niemożliwe. Widocznie nie poznaję znanych sobie okolic. Jesteśmy zmęczeni, czy śniegi wszystko zmieniły? Jak będziemy tak błędzić, stracimy siły i zamrozimy, i znajdą nas, jak przyjdzie odwilż - rozpaczła matka, a jej przerażenie wzmogło się, gdy zaczął padać śnieg. - Jaon idź, idź, za wszelką cenę - mówiła matka. - Ja cię nie uniosę. Odchodzimy od rzeki i idziemy z powrotem tam, gdzie mam nadzieję jest szosa i Marzeniów - oznajmiła matka. Szosa wydawała się teraz bezpieczna.

Śnieg odrywał się od ziemi, dymił, buchał kłębami i ulatywał lżejszy od powietrza ku niewidzialnemu niebu, gdzie zbierało się nad nimi coś ogromnego i groziło, że runie na nich i znikną pod tym, jak pod gruzami.

W śniegu, który zasłonił wszystko, nie byli pewni kierunku. Dokąd szli przy rzece, było łatwo, bo widzieli jej brzeg, gdy znalazła

się za ich plecami mogli orientować się po własnych śladach, na które się oglądali, zasypywanych w okamgnieniu. Łąki były płaskie i nie mogli kierować się wzniesieniem terenu. Zawieja narastała. Biała ściana zamknęła się przed nimi. Jaon zdał sobie sprawę, że ośmieszysz się, umierając w czasie wojny w śniegu. Lepiej by zabili ich Niemcy. "Ale już nie znałbym tej chwili - kalkulował - i może straszliwie pragnął bym ją przeżywać, mimo że jest zimno i grozi mi śmierć". Nagle wszystko wydało mu się piękne, bezcenne i niezwykle. Matka była przy nim, a możliwe, że Niemcy zabiliby tylko jego i w niebie byłby bez matki, i tęskniłby strasznie. Przeraził się takiego nieba.

Pojawiły się jakieś kształty, wysokie na dwa metry, kręcące się jak w tańcu, jak małe, toczące się przy ziemi potworki, ale to były tylko formy, które w śniegu tworzył wiatr.

Nagle wyrosło przed nimi coś podobnego do okrytego szronem drzewa i było to drzewo. Dalej było następne, i za nim następne. Byli na tyłach sadu, a więc dalej musiał być dom, ludzie. Biegli od drzewa do drzewa. Ale sad skończył się i wyszli na coś, co przypuszczali, było polem.

- Będziemy chodzić, nawet do świtu synu - odezwała się matka. - Ani na chwilę nie wolno się nam zatrzymać.

I zaraz coś chlupnęło pod ich nogami i zaśmierdziało. Była to gnojówka. Poczuli, że ohydna maź wlewa im się do butów. Przed nimi, jak cień, wyłonił się wiejski wychodek, a dalej chałupka z dwoma oknami na froncie i drzewami, jakie rysują dzieci w pierwszej klasie.

- Tego domu nie znam - powiedziała matka.

Zaczęli pukać do szybki okiennej, zakutej lodem, za którą widać było pelargonię. Trzeba było walić uporczywie, coraz mocniej, by w górnej szybce zamajaczyła twarz.

- Ludzie! Zbłądziliśmy! Wpuśćcie! - krzyczała matka.

Twarz, rozmazana przez lód znikła. Myśleli, że zaraz otworzą się drzwi, ale to nie nastąpiło. Matka znów zaczęła stukać w szybę. Twarz nie pojawiła się. Matka zaczęła walić pięścią. Sypnął się kit.

- Jeśli nie otworzycie, wybiję okno - krzyczała.

Drzwi uchyliły się i pokazały się w nich dwie twarze - kobiety i mężczyzny.

- Ludzie! Ratujcie dziecko! Zbłądziliśmy! - widząc, że drzwi się powoli zamykają; widać gospodarze ujrawszy kobietę z dzieckiem, przestali się bać, że ktoś wtargnie przez okno, wrzasnęła przeraźliwie:

- Gdzie Marzeniów?

- Tam - powiedziała twarz, wskazując kierunek skąd przyszli i drzwi się zatrzasnęły. Słychać było hałas zasuw.

- Wyjmę zapałki, podpalę strzechę komórki i w tym ciepłe się ogrzejemy - krzyczała matka.

Drzwi znów otworzyły się i wyszedł stary, chudy mężczyzna z obwisłymi wąsami, okryty brudnym kożuchem:

- Odprowadzę was do drogi - powiedział. - To trzy kroki, ale jak

kto nie wie, nie znajdzie.

Poszedł pierwszy i zaraz zatrzymał się. Porył nogą w śniegu i powiedział:

- To droga. Nie ma rowów, więc nie zgubicie się. Dalej będzie wysadzana drzewami, to już traficie do Marzeniowa.

Doszli do miejsca gdzie zaczęły się niskie wierzby. Matka poznała to miejsce.

- Myśmy minęli Marzeniów! - zawołała. - Wchodzimy do niego od drugiej strony. Nasz dom nie jest daleko.

Uszczęśliwieni, zapomnieli, że jest wojna, godzina policyjna, że idą szosą.

Dom dziadków ukazał się przed ich oczyma nagle. Odmieniony, w śniegu, cichy i jak opustoszały. Okiennice były szczelnie zamknięte, a świeże zasy otaczały go zewsząd, jakby od dawna nikt stamtąd nie wychodził. Furtka była przymarznięta. Ale matka chwyciła Jaona za rękę i pokazała mu mały komin na przybudówce: smużka dymu, ledwie dostrzegalna w ciemności, unosiła się w górę. Drzwi otworzyły się nagle na oścież, buchnęło parą, gorącem, zapachem rozpalonego pieca i matka znalazła się w objęciach dzierzawczyni, a Jaon Alinki. Za nią stał Dzidek. Wydał się Jaonowi dorosły. Wprowadzono ich do kuchni, gdzie duży stół był do połowy nakryty obrusem. Obok stołu, z wyrazem nieśmiałości i obawy na twarzy, stała Dziurzynna. Czekwała, aż spostrzeże ją matka Jaona.

Gdy to nastąpiło, matka zawołała:

- A cóż Dziurzynna tu robi?

Dziurzynna padła na klęczki, wołając:

- Niech mnie pani weźmie z powrotem - szła ku matce na klęczkach.

- Już nigdy nie zrobię tak jak robiłam. Już nigdy - wołała.

- Niech pani tylko nie odmawia!

- Ależ Dziurzynno, nam grozi nędza, dlatego wyjechaliśmy z Warszawy, gdzie zostawiliśmy jedyną służącą, a tu Dziurzynna chce być drugą?

Dziurzynna jest bogatsza od nas.

- Pani droga - usiłowała chwycić matkę za rękę. Wczoraj nic nie jadłam. Dopiero tu dostałam trochę.

- Niechże Dziurzynna pomoże mi się rozebrać.

Dziurzynna uważając to za pierwsze polecenie na nowej służbie, zerwała się z klęczek i zdejmowała z matki Jaona futro, płaszcz, swetry, strzepywała z Jaona śnieg, odpięła zamarzniete haftki jego kołnierza.

Dzierżawczyni wniosła wielki chleb.

- Prosto z pieca. Dobry jest gorący chleb, mleko z masłem i cukrem na zmarznięcie.

Jaon pamiętał tylko pulchne wnętrze przekrajanego w pół bochenka, chciał jeść, ale nie mógł, bo usypiał. Jak przez mgłę, czy zaczynające się uśpienie, widział, że Alinka stanawszy za wszystkimi przesyła mu całusa. Czuł, że go niosą, czuł tak dobrze znany zapach siennika pełnego świeżej słomy, lnianych, mocno krochmalonych prześcieradeł, woń rozpalanych kafli, widział krąg światła świecy na bielonym suficie, dwa cienie, chyba matki i Dziurzynny, i wydawało mu się, że tonie w ciepłym śniegu, który

przykrywa pod szyję, zasypuje policzki, usta i oczy.

Obudziło go, że matka trzyma chłodną dłoń na jego czole:

- Dzień dobry Jaoniku. Cześć chłopczyku - zawołała do niego. -

Spałeś czternaście godzin. Już niepokoiłam się. Zdrowy - przesunęła dłonią po jego twarzy - nie zaziębiony. Przed wojną byś chorował. Patrz, wyjrzyj, słońce już zachodzi. Jak pięknie. Trochę smutno i dziwnie. Nie mogłam się doczekać aż się obudzisz.

Ukląkł na łóżku i nie poznał, znajomego widoku. Wydawało mu się, że na wsi zawsze jest lato. Zaspy sięgały okien. Łąki, pola i góry śnieg połączył w jedną bezkresną dal. Biło od niej niebieskawe światło. Czerwone, ogromne słońce zbliżało się do góry za ogrodem, rzucając krwawe i fiołkowe refleksy na ścianę panieńskiego pokoiku.

Na owalnym stole leżały: żołnierz ołowiany i miś Karolcia. Jaon zdziwił się ich obecnością, ale pomyślał, że przecież zabrał je i matka zdążyła wydobyć z bagaży.

- Mamo, tej nocy nic mi się nie śniło - oznajmił. Jakbym był jeszcze dalej we śnie.

Weszła Dziurzyną niosąc patelnię. Ostro zapach przyrumienionej słoniny zapełnił pokój.

- No Jaoniku, zjesz dziś jajecznicę po chłopsku, na smalcu ze skwarkami. Nową potrawę trzeba jeść, jak się jest bardzo głodnym.

Wtedy ją się polubi.

Jaon pomyślał, że Dziurzyną dobrze pamięta jego nienawiść do skwarków, i że od tego dnia na całe życie będzie to jego najulubieńszy przysmak. Dziurzyną przyglądała mu się, jak je, pokiwała głową i rzekła:

- Jaon teraz sierotka. Musi dbać o mamusię, by nie umarła, bo zostanie samiutki na świecie, a takiemu nigdy nie powiedzie się w życiu... Pana to szkoda. Takich panów już nie ma i nie będzie. Pan nie kazał mówić, ale czasem zachodził do kuchni i powiada: - "Której to?" - i pokazuje włos. Włosy to jedyna rzecz, o którą się gniewał, jak były w jedzeniu, ale potem udobruchiwał się i powiadał: - "Jak już ma być, to wolę Maniuni niż Dziurzyny. Siwe mi nie smakują".

- Niech Dziurzyną nie bajdurzy, tylko wytłumaczy, dlaczego ci chłopcy nie chcieli ze mną rozmawiać?

- Chłop musi się namyślić, a pani burzy w szybę, myślą Niemcy, a jak

zobaczyli, kobiecina z dzieckiem i zginie w zawiei, to przecież nie chcieli trupów na swoim polu. Ale przecież lepsi niż pani brat, który wygnał dziecko na strzały niemieckie i zawieję.

- Zawiei jeszcze nie było - sprostowała matka. - Niech Dziurzyną nie ośmiela się krytykować mojego brata.

- Pani nie wie, co w trawie piszczy. Ale ja i tak bym nie powiedziała - odrzekła dumnie Dziurzyną.

Dziurzyną śledziła efekt swoich słów, mając nadzieję, że pani zacznie ją prosić, by opowiedziała.

- Co u Maniuni? - spytała matka.

- O niej nawet nie ma co wspominać.

- Tak się Dziurzynie naraziła?
- Ja tam nie chodzę. Przez niego.
- Przecież Dziurzyna wyswatała Maniunię.
- Teraz on nienawidzi mnie, że niby ja wysłałam Maniunię do Warszawy i miałyśmy u pani "puchy i poduchy", chodziłyśmy na tańce, a przecież, na miłość Boską, Mańka raz tylko tańczyła i to przy Jaoniku - Jaon zdrzał, ale matka nie zrozumiała o czym mówi.
- Mańka powiedziała: - "Niech ciocia nie przychodzi, bo ciocia przypomina mu co było". Pani już jej nie zobaczy. On nie pozwoli. Jak słyszy o państwu, to pięściami niebu grozi. A Maniunia mówi: - "Po co mnie ciotka żeniła, zostałabym przy państwu".
Otworzyły się drzwi i rozległo się pukanie. Tak robiła zawsze Alinka; wiedziała, że trzeba pukać, ale najpierw otwierała drzwi.
- Mogę bawić się z Jaonem? - spytała mamę Jaona.
- Wyczekała się na Jaona - wtrąciła się przymilnie Dziurzyna.
- Możesz, tylko Jaon nie wyjdzie dziś na dwór. Wczoraj bardzo zmarzliśmy - powiedziała matka do Alinki.
- Czy mogę zabrać Jaona do nas? - Alinka nie lubiła bawić się przy dorosłych, a szczególnie krępowała się matki Jaona.
- Tylko niech szybko przejdzie do przybudówki.
- Jaon, w czasie wakacji byłeś niedobry. Nie chciałeś się ze mną bawić - szeptała Alinka prowadząc go przez korytarzyk zwany "tunelem", wiodący do przybudówki, przeszli przez kuchnię i pociągnęła go do następnej przybudówki murowanej, w której był piec chlebowy i pralnia.
Jaon nigdy tu nie był. Zdziwił go rozmiar pieca. Malutkie okienko w górze dawało mało światła. Od pieca biło słabe ciepło. W rogu stały szufle piekarskie, tortownice, brytfanny, blachy do ciast, foremki i drewniany walec z metalową korbką. Alinka chwyciła walec, oparła o ziemię i zakręciła.
- Tym diabeł kręci. Wtedy ciasto się uda. Polewa się z góry mokrą masą, która się oblepia i przypieka, i tak powstaje bankuchen.
Byłam chora. Tu leżałam. Tu było najcieplej. Jak w piekle. Podobno już umarłam i ożyłam. Byłam wypieczona jak ciasto. Nawet włosy mi się przypaliły. Pan doktor nie wiedział, czy to tyfus, czerwonka, czy nieznana zaraza. - Jaon odsunął się od Alinki, ale ona trzymała go za rękę i pociągnęła. - Chodź, wejdziemy do pieca - pochyliła się, przykucnęła i weszła, a Jaon za nią. - Musisz mnie zbadać i powiedzieć mi na co byłam chora. Pokażę ci, jak się bada. Chory musi leżeć - położyła się. - Doktor bada tu - przycisnęła rękę do brzucha. - Tu mnie bolało - przesunęła jego rękę w dół. - Tu było miejsce najbardziej chore... cierpiałam, tu..., o tu... najbardziej... otworzyła mi się rana..., musisz przyłożyć coś, żeby mi się zagoiła..., o czujesz, jaka głęboka rana, zbadaj ją zbadaj, błagam, włóż paluszek, to zobaczysz, jaka głęboka rana, zbadaj ją, zbadaj, to zobaczysz, tu naciśnij, nic nie boli, musisz mnie leczyć, wyleczyć, wyleczyć, wyleczyć, wyleczyć - i nagle Jaon przeraził się, że umarła, bo zeszywniała na chwilę, po czym zerwała się i objawszy Jaona za szyję wyszeptała: - Panie

doktorze, pan uratował mnie. Byłam taka chora. Byłabym umarła. Dzięki panu, panie doktorze będę żyła. Rana się zrosła. Jak dorośniesz, zostaniesz lekarzem i zawsze będziesz mnie leczył. A teraz chodź stąd. Tu jest ciemno i nudno.

Odprowadziła go do głównej części domu. Jaon poczuł się chory. Biło mu serce. Drżał, że zaraził się od Alinki nieznaną chorobą. Wsunął rękę pod spodenki i sprawdził, czy w tym miejscu nie robi mu się rana.

Weszła matka, zagadnęła go: - Masz taką dziwną minę? Dlaczego przestałeś bawić się z Alinką? Pogniewaliście się?

- Nie, przeciwnie mam - i dodał: - Lubię Alinkę, ale nie mogę jej tak polubić jak Niki Woynickiej.

- A propos Alinki - matka zmieniła temat - widziałam, jak zerkąła na Karolcię. Już się nią nie bawisz. Daj ją Alince. Zrobisz jej wielką radość. Ma tylko lalki z gałganków.

Brał mróz potężny, aż zapierało dech, jak mówiła Dziurzynna. Świat znieruchomiały za oknem, granatowy, posypywany z nieba drobnym lukrem złodowaciałych śnieżynek. Jaon poczuł senność. Matka przyłożyła mu dłoń do czoła:

- Czyś ty aby nie chory? - ale nic nie znalazła.

- Dobrze, że chce spać. Inaczej by się rozchorował - powiedziała Dziurzynna ścieląc łóżko.

- Mam, gdzie jest wuj Rudolf? - spytał sennie Jaon.

- Dziurzyno, pan Rudolf nie mieszka w Marzeniowie? - zwróciła się matka do służącej.

- Pani, siostra i nie wie, a ja mam wiedzieć? Przecież widzi pani, że ulubiony jego salonik zimny i na kanapce nie ma pościeli.

W zimie dom był inny. Wieczór trwał bez końca. Żółte światło świec,

zeschnięte bukiety, ich ogromne kuliste cienie na suficie. Niosą świece powoli, ostrożnie, by nie zgasła, a gdy się ją zgasi, niebieskawe światełko spod okiennic bije od śniegu.

Nazajutrz pozwolono Jaonowi wyjść na dwór. Świat zasypany śniegiem był uroczy, jak nakryty białym obrusem babki. Ach, więc to jest zima! Pachniało przestrzenią bez końca, dochodził daleki oddech gór - przyciszony, bo dźwięki pochłaniał śnieg - i szło się po ogrodzie wyżej, co przypominało chodzenie po rozesłanej kołdrze. Góra z domem była jak usypana i wydawało się, że urosła. Jaon szedł śladami zwierząt, które wydeptały ścieżkę ku granicy posesji. Pochylił się, tropił ślady: sarna przemykała się wtedy w poszukiwaniu jedzenia, zające ubiły małe polanki, kuropatwy drążyły płytkie tunele w śniegu.

Doszedł do granicy posesji, odwrócił się i spojrzał w dół. Dom, wydawał się mały, zagubiony, podczas gdy pola i przestrzeń zogromniały. Nie mógł cieszyć się tym. Widział to jak przez mgłę. Bał się iść do nowej szkoły. Przypomnił sobie uderzenie bomby w sąsiedni dom i tęsknił za tą chwilą, gdy był tak dzielny. Gdyby wtedy zginął, nie musiałby iść do nowej szkoły. Wolałby, żeby nadleciały samoloty i rzuciły bomby, niż żeby miał iść do nieznanej szkoły.

Zawrócił. Ganek był zawiany. Wchodziło się przez przybudówkę, szło labiryntem korytarzyków nim dotarło się do sypialni dziadków, którą zajęła matka i przezeń przejść do panińskiego pokoju, w którym mieszkał on. Gdy zbliżył się do drzwi usłyszał znajomy, kobiecy głos, ale nie mógł sobie przypomnieć do kogo należy.

- Jak Jaon zniósł śmierć ojca? - zapytała ta osoba.

Zatrzymał się, słuchał. Chciał znać odpowiedź matki.

- Mogłoby się zdawać, że otrzymał rozkaz od swojego ojca. Jeśli sobie wyobrażam, jaka byłaby wola mojego męża, to dokładnie taka, jak zachował się Jaon.

- Jego dzieciństwo skończyło się.

- Jaon należy widać do istot, które przeżywają głęboko nieszczęście, ale pozostają szczęśliwe. Nie ma w sobie nic z sierotki z ckliwych nowelek.

- Gdy kiedyś panią straci, to też nie wpłynie na niego?

Chciał wejść i zwymyślać tę osobę, więc zawrócił do kuchni, podszedł do Dziurzyny, by spytać, kto jest u jego matki, gdy przypomniał sobie, że głos należy do doktorowej.

Wyszła doktorowa i Jaon dowiedział się, że matka odroczyła wykonanie wyroku do końca mrozów. Doktorowa powiedziała jej, że jego klasa jest w zwykłym domu, w wynajętym pokoju i jest tam zimno.

Szkołę wyobrażał sobie jako zdziczały tłum Dzidków, przepychających się, zaczepnych i groźnych. Pobią go pierwszego dnia i nie będzie musiał tam więcej pójść. Więc może uda mu się od razu nie iść? Wróci do nauki, jak skończy się wojna.

Jaon ukląkł do wieczornego pacierza i prosił Boga: - Boże daj mrozy. Nie pozwól mi iść do szkoły. Jeślibyś zaś dłużej nie mógł utrzymać mrozów, ześlij na mnie chorobę, jak dawniej.

Bóg nie tylko nie wysłuchał go, ale dał mu znak, czyniąc przeciwnie, ostrzegając i zsyłając huragan. Nie spali czekając, że dom runie. Śnieg walił się z dachu, drzew, zamieniał się na ich oczach w wodę, wgniatając dach na ich głowy. Ogród znalazł się pod wodą, ale pod nią był jeszcze śnieg.

- A jeśli to zapowiedź końca wojny? Może będziemy tej wiosny wolni?

- mówiła matka do Dziurzyny, wyglądając przez okno.

- Takiej odwilży nie było od cara Mikołaja - odrzekła Dziurzyna.

Wszystko szemrało, szumiało. Strumienie, rzeczki i rzeki płynęły polami, rowami, szosą. W dole huczała powódź. Niebo było błękitne, jak papierki od przedwojennych cukierków marcepanowych, przemyte jak szyba. Woda odbijała niebo, przez to ziemia stała się niebieska. Z niewiadomych oddali przychodził powiew, wilgotny, prawie gorący. Pachniało korą wierzb i gałązkami brzoź.

Bóg karał go dalej: choroba nie przychodziła. Myślał, czy nie wyjść boso do ogrodu. Ale przez to by umarł. Nie może tego zrobić matce - okłamywał siebie. Nie wejdzie wtopniejący śnieg, bo nie zobaczyłby przyszłości. W miarę jak trwała wojna słowo przyszłość nabierało znaczenia nie tylko dla dzieci, ale i dla dorosłych.

Życie ich zatrzymało się, zawieszono, tymczasowe. A cóż dopiero Jaon, który - jak obliczał - przeżył jedną jedenastą życia i czeka

go niezmierna przestrzeń czasu? Nie wiedział, czy w jego głębi będzie ukryta przez Inków tona brylantów, zamek, gdzie spotka małą dziewczynkę, która go pokocha, czy wróg, którego Jaon zabije spojrzeniem. Ćwiczył się w patrzeniu długo w oczy, aż niektórzy, jak Frania, odwracali się, speszeni i zaniepokojeni jego zachowaniem. Może bali się, że zwariował?

Dziurzyzna wyszła na drogę i pokazała mu dom, gdzie jest jego klasa. Pierwszy raz nie odprowadzano go do szkoły. W Warszawie ciągle dopytywał się, kiedy będzie na tyle duży, by mógł chodzić sam. Teraz, gdy czyhało prawdziwe niebezpieczeństwo w postaci obcych dzieci, wypchnięto go na drogę i opuszczono. Zawstydzalo go wspomnienie, jak chciał uciec z tamtej ukochanej szkoły, nim zaczęły się lekcje. Gdyby przewidział dzisiejszy dzień, topniejące śniegi i zaczerniałe deski szalunku na domu, gdzie miało się dokonać wykonanie wyroku na nim! Zdawał sobie sprawę, że ma miesięczną lukę w nauce i dzieci przez ten czas poszły naprzód, i w nowej szkole ośmieszają się na pierwszej lekcji.

Powitał go wybuch śmiechu. Jakiś chłopak, wyższy o głowę i starszy od Jaona ze trzy lata, podbiegł i zaczął obwąchiwać go i dotykać, udając dzikusa, który zobaczył pierwszy raz białego człowieka. Ręka chłopca przemknęła po piersiach, brzuchu i zatrzymała się na kroczu Jaona.

- To nie dziewczyna - wrzasnął i cofnął się.

Inne dzieci otoczyły go w koło, ale nie dotykały, tylko patrzyły intensywnie, pytająco. Najpierw widział je jak przez mgłę i gdy mgła się rozwiała, okazało się, że są to prawie same dziewczynki, przeważnie wyższe od niego, jakby się znalazł w starszej klasie żeńskiej szkoły. Jedna z nich odważyła się wziąć Jaona za rękę i poprowadziła w głąb klasy.

- Będziesz siedział między nami - powiedziała i wskazała miejsce na czteroosobowej ławce.

Druga dziewczynka wstała grzecznie, by go przepuścić i dygnęła. Miały fartuszki z niebieskiego materiału, który wydał się Jaonowi podszewką i białe kołnierzyki. Fartuszki pod pachami przepoczone były na wylot.

Pierwsza dziewczynka, która miała krosty na twarzy, podsunęła mu zeszyt z nieodrobioną lekcją, wyrwała ostatnią kartkę i wręczyła Jaonowi:

- Szybko dodaj słupki.

Jaona zaskoczyła łatwość zadania. Gdy dodawał, obie dziewczynki nie nadążając przepisywały, postępując cicho, przechylając głowy i wysuwając języki.

Wszedł nauczyciel. Miał na sobie za ciasną marynarkę, którą rozsadało jego muskularne ciało, włosy nieuczesane, czy rosnące w różne strony, były zwichrzzone jak ściernisko. W ręku miał zniszczoną teczkę, z której wystawała linijka.

Dzieci zerwały się i zawołały chórem:

- Dzień dobry panie nauczycielu.

- Dzień dobry dzieci - odpowiedział. - Kto nie odrobił lekcji, ręka w górę - rozejrzał się po klasie. - I tak zaraz sprawdzę. Kto

się nie przyzna, otrzyma podwójną karę.

Jaon nie śmiał się rozglądać, ale zauważył, że kilka rąk się podniosło.

Nauczyciel spojrzął na Jaona:

- Jesteś nowym uczniem. Wiem, zawiadomiono mnie. Dowiedziałeś się, co na dziś zadane i odrobiłeś? Pewnie nie. Jeszcze nie będziesz ukarany. Pierwszy i ostatni raz. A ty, Ruskówna, dlaczego nie podnosisz ręki? - zwrócił się do krostowatej dziewczynki. -

Miałabyś odrobione lekcje? Już podejrzewałem cię, że specjalnie nie odrabiasz lekcji, bo lubisz kary. Hej - krzyknął - dlaczego opuszczacie ręce? Trzymajcie je wysoko w górę i wyjdźcie na środek klasy - zwrócił się do drugiej dziewczynki obok Jaona. - A ty bekso, nie mażesz się? Więc odrobiłeś? - spojrzął podejrzliwie na nią, ale nie skojarzył zaskakujących go wydarzeń z obecnością Jaona.

W czasie gdy ci, co się przyznali, wyszli na środek klasy, nauczyciel przejrzał zeszyty reszty uczniów. Potem zawrócił do katedry, otworzył teczkę, wyjął linijkę.

- Jak wicie mamy nową linijkę. Stara stępiła się na was, nawet drewno się wystrzępiło. Ta zniesie wszystko, bo ma wpuszczony pasek metalu. Ma dwa i pół decymetra długości. Ile to centymetrów? Rozległy się wrzaski. Każde dziecko wykrzykiwało co innego.

Wreszcie zwyciężyli ci, co krzyczeli, że 25 centymetrów.

- Łapa - krzyknął nauczyciel do ucznia, który zaczepił Jaona, a teraz chował się na końcu grupy przygotowanej do egzekucji.

Uczeń wystąpił krok i wysunął dłoń proszącym gestem, jakby łudził się, że spadnie na nią pieniądz, czy cukierek. Nauczyciel chwycił końce palców ucznia w swoją wielką dłoń o czarnych jak szpony paznokciach. Świsnęła linijka i uczeń zawył.

Za to, żeś się przyznał - tylko raz. Na miejsce.

Uczeń biegł, płacząc i dmuchając na bolące miejsce. Następna była dziewczynka, która wpatrywała się w linijkę i zawodziła: - Nie, nie, już nie. Nigdy - jej nogi wykonywały marsz w miejscu, a kolana ocierały się o siebie.

Krostowata dziewczynka obok Jaona zachichotała i łokciem ni to kuksała, ni to przytulała się do Jaona.

- Zaraz jej przyrznie - wyszeptała. - Zaraz, zobaczysz - Oh - krzyknęła i podskoczyła, jakby to jej wymierzono cios, gdy nauczyciel uderzył tamtą.

- O, ooo, oh, oo - zawodziła tamta i uciekając do ławki przycisnęła sobie rękę do ust i Jaonowi wydawało się, że ją ukradkiem całuje.

- Mnie się robi słabo, jak nauczyciel bije - szeptała krostowata dziewczynka, mimo że wzrok nauczyciela padł na nią. - Gdyby nie ty, oberwałabym. Podwójnie by mnie wyłoił, bo nie przyznałabym się.

- Dziś - powiedział nauczyciel - będziemy przerabiać odejmowanie wielu liczb od jednej.

Jaon uczył się tego przed rokiem. Wiedział, że najpierw trzeba dodać do siebie odejmowane liczby, a potem odjąć sumę, która

wyjdzie. Dzieci wzywane do tablicy myliły się w dodawaniu. Wysoki chłopak, który zaczął Jaona nie mógł zrozumieć, dlaczego należy najpierw odejmowane liczby dodać. Nauczyciel kręcił linijką, zastanawiając się, czy zbić ucznia za niepojętność, która go drażniła, czy nie ma to sensu.

- Pan każe odjąć, to odejmuję - jękał się przerażony chłopak.

- To odejmuj, odejmuj - rzekł smutno nauczyciel i zapatrzył się w okno.

Potem drgnął, wyjął z teczki następny przedmiot, którym był miedziany dzwonek i zadzwonił nim, jak ministranci w czasie podniesienia. Dzieci zerwały się i rzuciły ku wyjściu.

Nauczyciel założył nogę na nogę wyjął z teczki metalowe, okrągłe pudełko "Mew" i zapalił. Zapach ostrego dymu przypomniał Jaonowi drugi pogrzeb ojca. Jeden z Żydów, stojący na dole, nie mogąc znieść zapachów trupów, zapalił i Niemiec kopnął go w twarz.

Uświadomił sobie gdzie jest i rozejrzał się. Jego uwadze uszedł moment, kiedy zdejmował z siebie płaszcz: chyba wzięła go z jego rąk krostowata dziewczynka i powiesiła na wieszaku, ciągnącym się wzdłuż tylnej ściany klasy. Płaszcz był, wtłoczony między inne, jak ofiara tortur. Jaonowi wydało się, że to wisi on sam. Trzy duże okna wychodziły na łąki, za którymi ciągnęły się pokryte lasem góry, których wierzchołki nikły w niebieskawej mgle.

Przeciwnie ściana zastawiona była szafami, w których stały rzędami wypchane ptaki. Jeden zerknął na Jaona okiem złotawym, o czarnej źrenicy, identycznym, jak nowe oko Karolci. Tablica była nowoczesna, zielona, rozsuwana. Obok wisiała wielka mapa Australii i Nowej Zelandii; obca w tym miejscu, zakurzona, pomarszczona od wilgoci.

Tylko Jaon siedział w klasie. Nauczyciel nie zwracał na niego uwagi. Może nie widział go. Ale gdy tylko na jego gwałtowne dzwonienie dzieci wróciły, wyciągnął w stronę Jaona zniszczoną książkę, otwartą mniej więcej w połowie.

- Pewnie płynnie czytasz? Czytaj. Czytanka numer dziewiętnaście.

Gdy Jaon stanął naprzeciw klasy, trzy pierwsze rzędy zajmowały dziewczęta w jednakowych fartuszkach z kołnierzykami, uczesane w ciasno splecione warkocze, zwinięte w korony lub ułożone w koszyczki. Jeden rząd na końcu zajmowali chłopcy.

- "Piękny jest świat - zaczął Jaon - piękne jest życie. Dostaliśmy i jedno i drugie w królewskim darze - czytał Jaon powoli i zerknął, na ilustrację obok, która przedstawiała dzieci zrywające jabłka w sadzie. - Uczmy się te dary wykorzystać dla dobra naszego i innych, poznając świat i...".

- Dość - krzyknął nauczyciel z gniewem na Jaona. - To dla nich za trudne. Znajdź numer osiem.

Jaon zaczął: - "Kwa, kwa, kwa" - dzieci krzyczały: - "Znamy ją, zaczyna się od kwakania kaczek" i kwakały przekrzykując Jaona.

Jaon czytał po kolei numery: osiem, dziewięć i dziesięć, a nauczyciel rozpoznając znajome teksty, kiwał głową.

Wstał, podszedł do kontaktu, zapalił światło, bo wielkie chmury przesłoniły niebo, a para wydzielana przez dzieci osiadała na

oknach. Pachniało chłopską chatą, wilgocią, słomą, silnym tytoniem nauczyciela.

Matka nie spytała Jaona, co było w szkole. Jaon nie chciał mówić o ohydnych przeżyciach w chwili, gdy wszedł do klasy. Łatwiej przyznawał się do swoich win, niż że dopuścił, by inni zawinili wobec niego. Przyszła mu myśl, żeby pójść do Dzidka i poprosić, by przyszedł pod szkołę i zbił tego chłopaka. Niedawno nienawidził Dzidka i chciał go zabić, teraz myślał, jak go użyć przeciw nowemu wrogowi. Wobec tego upokorzenia pogodził się z tamtym. Ojciec wstydziliby się za niego. Ale ojciec miał rodziców, a on nie ma ojca, ojciec zostawił go, by radził sobie sam; ze zgrozą spostrzegł, że myśli o ojcu z pretensją. "Ojcze, przebac, znów przeciw tobie zgrzeszyłem" - myślał.

Gdy następnego dnia poszedł do klasy, ten sam chłopak zastąpił mu drogę:

- Siadaj ze mną. Jestem najsilniejszy. Nikt cię nie tknie - mówił, jakby odgadł jego myśli o Dzidku. - Będiesz mówił, kogo bić. Jedyna różnica, że będziesz przychodził wcześniej, bym zdążył wszystko odpisać.

Jaon zrozumiał, że na nic nie zda się sprzeciw, tylko zostanie pobity i pogorszy swoje położenie, ale sekunda wahania nie uszła uwagi tego, który chciał go ochraniać:

- Nie wstydzisz się siedzieć z dziewczynami? Z tyłu można popalić w czasie lekcji.

- Ej! - odezwała się krostowata dziewczyna, która znalazła się nie wiadomo kiedy obok nich. - Ty nam go nie zabieraj. Myśmy go wzięły pierwsze. Spóźniłeś się, Glizdo.

- A ty Mątwa Ośmiornico nie puszczaj swojego ciemnego brudu wokół siebie i nie smródź - rzekł groźnie chłopak nazwany Glizdą.

Zbliżyła się druga dziewczynka wrzeszcząc: - Ty staruchu, ty próchno ławkowe, stara Glizdo Misiuryzdo, Nedorozwojku Pospolity.

- Ty Poczwaro Larwo Muchy Gnojnicy, nietoperz z ciebie wyleci - mówił do niej Glizda mniej pewnie, nieco zająknąwszy się przy nietoperzu.

Mątwa Ośmiornica podskoczyła i kopnęła go w goleń za dużym na nią i podkutym butem, a Poczwaro Larwa dodała strasznego kopniaka w kostkę. Glizda zawył z bólu i usiadł na ziemi, a dziewczynki chwyciły Jaona za ręce i pociągnęły do pierwszych ławek.

Jaon wyrwał się. Wolał siedzieć z tamtym chłopakiem, niż żeby miały go wlec dziewczyny do swojej ławki. Ale Glizda udawał, że nic nie widzi i nie pomógł mu. Dziewczynki trzymały go za ręce:

- Uciekasz głupiutki? Jak cię nazwiemy? Żółwik? Ślimaczek? - zastanawiały się.

- Dla niego nie ma dobrej nazwy - powiedziała Mątwa Ośmiornica. - Dawaj polski - nakazała. - Dla każdej musisz inaczej napisać.

Zostało mało czasu.

"Wymień warzywa" - brzmiał tytuł wypracowania. Jaon zajrzał do swojego i ścierpł. Było tam bezmyślnie powtarzane kilkanaście razy jedno słowo: "warzywa, warzywa, warzywa, warzywa". Najpierw szybko pisał Mątwie Ośmiornicy, starając się sobie przypomnieć sklep

Łatyńskich i ułożenie warzyw w skrzynkach. Dla drugiej dziewczynki napisał w innej kolejności i dodał seler. Gdy pisał dla siebie, dzieci wbiegły do ławek, bo nadchodził nauczyciel. Jaon odniósł wrażenie, że po wczorajszej egzekucji nauczyciel jest zmęczony, może nie miał odwagi pytać, kto odrobił lekcję lub sądził, że uczniowie przestraszyli się i przygotowali lekcję.

- Będzie dyktando. Otwórzcie zeszyty - i przechadzając się od katedry do okna zaczął dyktować: - "Chrząszcz brzmi w trzcinie. Dużo pszczół i szerszeni brzęczy w przestrzeni. Niech da Bóg, by buk wpadł w Bug. Burze odświeżają powietrze. Nietoperze fruwią o zmierzchu. Żuraw skrzywi w południe. Wół runął w dół. Ależ wrzeszczą i krzyczą niegrzeczne dzieci!"

- Bez ciebie byśmy umarli - szeptła do Jaona Mąwa Ośmiornica. - Rozłóż lepiej zeszyt.

Nauczyciel zebrał zeszyty i zaczął wykład.

- Moje dzieci. Nie na wiele zda się mówienie wam o literaturze. Czy kiedy nauczycie się sprawnie czytać? Wojna nie sprzyja dyscyplinie. Nie jesteście tępe. Jesteście zmarnowane. Wasze umysły idą na zatracenie. Żadne z was nic nigdy nie osiągnie w sferze ducha. Gdy dorośnecie, będziecie płodzić dzieci, które gdy dorosną, będą płodzić dzieci - spojrzał w stronę Jaona i Jaon ścierpł na myśl, że i jego obejmuje ten straszny wyrok. - Nigdy nie zabraknie pracy dla nauczycieli. Będą widzieli przez twarze waszych wnuków twarze ich wnuków. Wszystko na nic! Kiedyś słyszeliście wiersze, które stworzyłem. Tak, teraz przeczytam wam opowiadanie, które sam napisałem. Jest oparte na prawdziwym zdarzeniu. To był jedyny dobry uczeń jakiego miałem. I już nie żyje.

Nauczyciel wyjął z teczki plik kancelaryjnego papieru w linię, drobno zapisanego fioletowym atramentem.

- Psze pana nauczyciela, a co się stało z tym uczniem? - wyrwała się Poczwarą Larwa, ośmielona, że ma wypracowanie.

- Utonął - rzekł nauczyciel i zaczął czytać: - "Władca mrówek. Pewien chłopiec zapragnął zostać królem. Ponieważ był mały, nie tylko nie mógł stworzyć własnego państwa, ale nie słuchała go nawet młodsza siostrzyczka, pies, ani nawet kot. Szukał najmniejszych istot, które mógłby objąć we władanie. Wzrok jego padł na mrówki. Za jedną z nich, tropiąc ją w trawie, doszedł do traktu mrówek, który doprowadził go do mrowiska. Wyobraził sobie, że mrówki są zmniejszonymi ludźmi i ma przed sobą wielkie miasto, które jest królestwem. Mianował się ich królem. Swoje panowanie zaczął od wspaniałomyślnego przeniesienia jednej z poddanych z ciężarem, jaki dźwigała w postaci martwego komara, pod bramę cesarstwa. Mrówka w pośpiechu zawróciła do miejsca skąd ją zabrał i z niepokojem szukała komara, który, jak się wydawało tu został. Władca napowietrzną, nieznaną mrówce drogą przeniósł ją z powrotem pod bramę, gdzie leżał komar. Ale mrówka zaczęła biec z powrotem. Myślał, czy jej nie ukarać. Złapał trzy muchy i przyniósł pod bramę. Strażniczki zamiast wciągnąć królewskie dary do środka, zaczęły w wielkim trudzie je uprzętać. Dotknięty, ale jeszcze nie

rozgniewany zasypał na drodze mrówek dół, usunął patyki, które, niby powalone baobaby w dżungli, musiały obchodzić wyrwał trawy. Zrobił mrówkom wygodną szosę. Natychmiast ruch mrówek na drodze ustał. Odrzucały łaski władcy. Postanowił kilka z nich ukarać i wynieść daleko, w kąt ogrodu. Jedna z nich ośmieliła się ugryźć rękę władcy i tę ukarał śmiercią. Był to pierwszy akt władzy, któremu mrówki nie mogły się przeciwstawić. Zbliżył się do mrowiska i zaczął mówić: - "Mogę zrobić z wami, co mi się podoba". Nagle poczuł, że obrończynie mrowiska oblażyły mu nogę i gryzą go. - "Przestańcie. To bunt!" - krzyczał. Mrówki gryzły go dalej. Postanowił unicestwić swoje cesarstwo. Kopnął mrowisko, stopa mu ugrzęzła i setki mrówek znalazło się na nim. Poczuł ból nie do zniesienia. Wyrwał nogę i pobiegł do domu. Trzeba było wezwać lekarza, bowiem jad okazał się niebezpieczny. Gdy chłopiec po kilku dniach choroby poszedł w koniec ogrodu zobaczył, że mrowisko znikło. Mrówki wyniosły się w okolice gdzie nie było cesarza" - nauczyciel patrzył smutno na swoją widownię. Zapadła cisza, a potem dzieci zaczęły krzyczeć, podskakiwać i bić brawo.

- Mnie też pogryzły mrówki! A mnie pszczoły! A mnie pluskwy! - krzyczały dzieci, jedne przez drugie, podnosząc ręce jak do odpowiedzi. - A mnie pchły!

Nauczyciel pokazał palcem Jaona: - A ty nowy, Warszawiak, co sądzisz o tym, co napisałem?

- Że to jest o Niemcach, którzy chcą być naszymi władcami, my nie chcemy od nich nic dobrego, ani złego i pogryziemy ich tak, że zachorują.

- Na miłość boską! - nauczyciel złapał się za głowę. - Zamilknij!

Nauczyciel schował notes, wyjął dzwonek i papierosy. Jaonowi wydało się, że po tym, co powiedział, nie może zostać w klasie z nauczycielem. Obie dziewczynki szły przy Jaonie, jak straż. Dzieci wychodziły na dwór nie wkładając płaszczy i Jaon chciał zrobić to samo, ale Larwa Poczwarą i Mątwą Ośmiornicą pomogły mu się ubrać i wyprowadziły go na wydzielony przez właściciela domu kawałek łąki, który był salą rekreacyjną. Wiał ciepły wiatr, pachniało mokrą ziemią i rozlanymi wodami.

Przyparły go do płotu i szeptały prosto do ucha. Strzegły jak para strażników. Jakaś dziewczynka dygnęła Jaonowi.

- To tylko Gumka Myszka - powiedziała cicho Mątwą Ośmiornicą. - Z nią nie wdawaj się w żadne rozmowy. Ona udaje świętoszkę, ale jest bardzo zepsuta. Pokazuje chłopcom coś, czego nie wolno pokazywać. Wiedz, że w całej klasie tylko mnie rosną cycki.

"Już mnie nic nie bawi już mnie nic nie nęci.

Odkąd się biust mojej ciotki do magła wkręcił" - zanuciła Larwa Poczwarą.

- Piersi wolno pokazać. Jak będziesz codziennie dawał nam zadania, to ci pokażę. Nie wolno ci opuścić ani jednego dnia szkoły - odezwała się Mątwą Ośmiornicą.

- Pozwolisz mu ich dotknąć, prawda? - wtrąciła Poczwarą Larwą.

- Pójdziemy do lasu - odrzekła Mątwą Ośmiornicą i dodała: -

Będziesz mógł zbić Larwę, bardzo leciutko.

- I tylko po pupci - dodała Poczwara Larwa. - I tylko przez sukienkę.

- Dlaczego w naszej klasie jest tyle dziewczynek? - spytał Jaon.

- Ach ty śpioszku, ty tłuscioszku - wykrzyknęły chórem Poczwara Larwa i Mątwą Ośmiornica, a Poczwara Larwa dodała: - Zaczęłam cię jak mojego pieska, ale Gumka Myszka ciągle patrzy tu. Przecież ziemia odmiękła? Tak, czy nie?

- Tak - odrzekł niepewnie Jaon.

- To już są w polu. Kto ma czas chodzić do szkoły? Co ty myślisz? I co im da szkoła? Bardziej ich ogłupi.

- A dlaczego jesteście tacy duzi? - spytał Jaon.

- A dlaczego nam przysłali takiego konusika, jak ty?

- A dlaczego Glizda Miziuryzda jest największy?

- Mózg Glizdy jest tu czwarty rok. Przygotowuje się go do zalania spirytusem w słoju i postawienia obok ptaków. Każda klasa go przesłała. Rok temu bił wszystkich. Teraz miał nas bić, ale mu się znudziło. Zapowiada, że odda nauczycielowi. Powiemy, co mu jest, ale mu tego nie mów, bo dostanie szału.

- Co mu jest? - spytał Jaon.

- Chory na głupotę.

- Samaś chora na bachora - przerwała jej Mątwą Ośmiornica, ale Poczwara Larwa mówiła dalej:

- Jego mózg jest jak wyschnięty orzeszek. Jak się go uderzy w łeb, słycać echo. Chodź. Pukniemy go - ale nie ruszyły się z miejsca.

- Chorował na zapalenie opon mózgowych? - spytał.

- Nie. Ojciec bił jego mamę, gdy hahaha, hahaha - chichotała Poczwara Larwa.

- A jego jak leje - powiedziała z podnieceniem Mątwą Ośmiornica. - Chce mu wybić z głowy głupotę, dlatego pięścią wali go po łbie, aż huczy.

- Ciebie już pan nie zbije - wyzywająco powiedziała Larwa Poczwara do Mątwy Ośmiornicy - bo Ślimaczek-Żółwik odrabia za ciebie lekcje.

- Ale matka mnie wczoraj zbiła - pochwaliła się Mątwą Ośmiornica. - Ojciec podszedł i jeden, jedyny raz mnie ciął paskiem po dupci, to dotąd czuję - dotknęła się tam i potarła.

- Masz pręgę? Pokaż Jaonowi - odezwała się Larwa Poczwara. - Chodźmy po lekcjach do wygodki.

W tym momencie pojawił się w drzwiach sionki nauczyciel z dzwonkiem i dzwonił gwałtownie.

- Ale zły. Pauza była strasznie długa. Coś się musiało wydarzyć.

Nauczyciel nie przestawał dzwonić. Szarpał dzwonkiem niecierpliwie, z wściekłością. Dzieci biegly jak owce spędzane przez złego psa. Spojrzenie nauczyciela wbite było w Jaona. Gdy wszyscy usiedli, nauczyciel wyciągnął palec w stronę Jaona:

- Ty tam, jak się tam nazywasz, wszystko jedno, wychodź tu - uderzył się linią w głąb dłoni, w miejsce gdzie bił dzieci, mocno, że musiało go zabołec.

"Jeśli mnie uderzy, rzucę się na niego i przegryzę mu gardło" -

pomyślał Jaon.

- Gdzie ty niedojdo zabłądziłeś, mały głupcze? Nie umiesz trafić?

- wrzasnął nauczyciel. - Bałwanie. Nie zorientowałeś się, gdzie

jesteś - podniósł linijkę i opuścił ją. - Marsz natychmiast stąd.

Pakuj się. Won. Zabieraj książki.

Jaon odchodząc w stronę ławki pomyślał, że nauczyciel nie śmiał go

uderzyć.

- Dostałem twoje dane. To jakaś bezczelność? Żart ze mnie? -

krzyczał nauczyciel. - Nie masz prawa tu być! Twoja klasa jest na

Szosie Głównej pod jedenastym. Pędź tam do nauczycielki, panny

Wyworkówny. Tu się pchałeś wśród starsze dzieci? Masz się cofnąć o

dwie klasy. Jesteś cofnięty! Cofnięty! - zerwał się od katedry i

nie mogąc opanować wzburzenia, zaczął popychać Jaona, chwycił jego

płaszcz i gdy Jaon wyszedł z sieni, pchnął go tak mocno, że Jaon

przebiegł całą sień, potem nauczyciel rzucił za Jaonem płaszcz,

który przeleciał nad nim i upadł w błoto przed jego nogami. Z

hukiem strzeliły drzwi.

Jaon włożywszy płaszcz, oczyścił go ręką i posłusznie powtarzał w

myślach: "Szosa Główna numer jedenaście, panna Wyworkówna".

Wiedział, że ulica Szosa Główna, to odcinek drogi Warszawa -

Kraków, przechodzącej przez Marzeniów.

Dalej wchodziło się przez sień, przybudówkę, wspólną z

dzierżawcami. Tam czekała na niego Alinka.

- Wiem wszystko - rzuciła się zagrządzając mu drogę. - Miałam cię

zabrać na strych. Ale nie zrobimy nigdy, nigdy tego, co mieliśmy

tam zrobić. Zadałeś się ze wstrętnymi dziewczuchami. Gumka Myszka tu

zdążyła przybiec w przerwie. To najgorsze dziewczuchy w szkole.

Wiesz od czego Larwa ma krosty? Larwa kazała ci się bić? Potem

naskarzy ojcu i ojciec przyjdzie i zbije cię.

W drzwiach korytarzyka między domem, a przybudówką ukazała się

matka Jaona:

- Co tu robisz? Co to za szepty?

Mamo, pan wyrzucił mnie.

Matka roześmiała się: - Chodź dziecko. Przepraszam cię. To wina

twojej matki. Zrobiłam eksperyment, małe oszustwo. Podałam w

sekretariacie, że masz chodzić do czwartej klasy. Ostrzeżono mnie

o niskim poziomie szkoły. Tobie nic nie powiedziałam. Daruj matce.

Nie udało się, trudno.

- Nie będę chodził do tej szkoły.

- Tylko takich rzeczy nie mów - matka pogroziła mu.

- Cofnęli mnie o dwie klasy. Możesz mnie bić, nie wielka strata, w

tej szkole biją - Ale ciebie nie uderzyli?

- Pan zawahał się, ale nie uderzył.

- Ja bym mu oczy wydrapała, spoliczkowałam go - krzyknęła matka.

- Wściekał się, bo okazało się jak niski poziom jest jego klasy.

- Bije dzieci na lekcjach zamiast uczyć, czyta swoje nowelki, jak

chłopiec stał się królem mrówek.

- Co to za bzdury?

- Żeby choć wszedł w głąb mrowiska i wędrował korytarzami, byłoby

ciekawiej. Tam jest chłopiec, który ma trzynaście lat i prawie

same dziewczynki.

- Ale wspomniałeś o jakimś chłopcu, nie rozumiem.

- Mamo, brzydko postąpiłaś i za to musisz mi pozwolić nie iść więcej do szkoły.

- Śmiesz szantażować mnie? - krzyczała matka.

Jaon padł na klęczki:

- Mamo, pozwól mi nie chodzić do szkoły do końca wojny.

- Mój Boże - przestraszyła się matka. - Idź, pobaw się, a ja zastanowię się, albo wiesz, pójde poradzić się doktorowej - matka ubrała się w futro i wyszła.

Wróciła po kilku godzinach. Jaon bał się pytać czy matka coś postanowiła. Nie odzywała się do Jaona.

Przed świtem Jaon zerwał się pod wrażeniem snu, którego nie mógł sobie przypomnieć. Od tej chwili czekał, kiedy wejdzie Dziurzyna, by go budzić do szkoły. Słyszał chodzący w saloniku zegar. Bicie było w nim zepsute od lat. Jaon wolał nie wiedzieć, która godzina i jak najdłużej się łudzić, ale w miarę, jak robiło się widniej, ukazało się słońce grzejąc w okna i ściany, a sikorki stukały dziobami w belki, wybierając korniki, Jaon nabierał nadziei, że straszna godzina minęła. Zaczął przypuszczać, że jest wolny. Może to zawdzięcza wojnie? Przecież gdyby nie ona, byłby w szkole.

Przy śniadaniu matka nie wspomniała o szkole. Jedli w dużej kuchni razem z dzierzawczynią. Dzikka i Alinki nie było, bo poszli do szkoły. Przysiadła także Dziurzyna. Widać było przez okno bezlistny

dąb, zarys góry, szarozielonej, jak zmęczonej zimą. Jak cudownie, jak dobrze było Jaonowi, jakby nie było śmierci ojca.

- ...i ten odrzucony przeze mnie Tumlin ośmielił się przyjść pod dom, gdy zaczęło się moje wesele z Dziurą. Była cała wieś, tak wtedy bywało. Jego jedyne nie zaprosiliśmy. Drużbowie łagodnie go odpychali od furki, a on krzychał: - "Dziura, ty nie masz wstydu, że nie dasz mnie wpuścić". Mój już sobie podpiał i wziął na ambit: - "Niech i on się bawi". Na próżno mój ojciec i matka proszą, by Tumlirowi nie dać przestąpić progu, a ten już był. Wyjął nóż zza kurtki, jeden błysk i mój Dziura już nie żył.

- Dlaczego mi Dziurzyna tego wcześniej nie powiedziała - wykrzyknęła matka. - Dziurzyno i tak czuję się wobec Dziurzyny winna. Myślałam w czasie oblężenia Warszawy: jak przeżyję, to Dziurzynę poproszę o wybaczenie. Ja Dziurzynę oddaliłam za danie Jaonowi wina, a potem sama go poiłam, co prawda po pół kieliszka i na lekarstwo, ale gdy usuwałam Dziurzynę było to dla mnie czymś strasznym.

- Dlatego nie miała pani serca mnie drugi raz odpędzić - rzekła Dziurzyna - wzięła dłoń matki Jaona, by ją ucałować, ale matka zatrzymała jej rękę w uścisku.

- Niech Maniunia przyjdzie - powiedział Jaon.

- Nie przyjdzie tu nigdy - odrzekła Dziurzyna. - Mąż Maniuni by ją zabił. O Jaona zły, że za bardzo go Maniunia wspomina, ale bardziej nie lubi pana Rudolfa.

- Pomówimy o tym kiedy indziej - odezwała się matka Jaona.

- O niejednym można by pomówić, gdyby można - odrzekła Dziurzyną.

- Drugi raz Dziurzyną tajemniczo coś mamrocze. Proszę albo powiedzieć albo milczeć.

Zobaczyli, że na podwórze zajeżdża bryczka jednokonna. Na koźle siedziała kobieta. Zawróciła koniem, zeszła z koźła i uwiązała lejce. Stała tyłem, nie widać było jej twarzy, ale Dziurzyną i dzierzawczyni zerwały się i wybiegły, okrywały derką konia, którego nie wyprzęgano. Matka wstała od stołu i skierowała się w głąb domu.

Jaon zostawał w tyle. Matka chwyciła go za ramię i pociągnęła. Widać rozgniewało ją, że Dziurzyną i dzierzawczyni, mimo że wiedziały, kto przyjechał, nie wyjaśniły tego. Coś się tu działo bez wiedzy matki. Ledwie wyszli rozległo się pukanie do pokoju dziadków, kiedy matka krzyknęła - Proszę - ktoś przeszedł przez tamten pokój i zapukał do pokoju panińskiego.

- No, proszę - odezwała się matka.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich nieznajoma. Była w założonym na bakier filcowym kapeluszu z piórkiem, rozpiętej bekieszy podbitej baranami, pod którą widać było samodziałową jesionkę, i w oficerkach pod same kolana, wyczyszczonych do połysku. Jaon nie umiał jeszcze określić wieku dorosłych kobiet, ale wydawało mu się, że ma około czterdziestu lat. W jej twarzy było coś niedokończonego, to chyba był nos: zadarty, dziecinny, niepoważny, jakby czekał jeszcze na uformowanie się. Natomiast oczy, jasnoniebieskie, ocienione ciemnymi rzęsami, patrzyły pytająco i poważnie. Znał tę panią. Widział ją i wuja idących w Warszawie ulicą blisko ich domu.

- Pani mnie przyjmie? - spytała. - Uznałam za stosowne przyjechać i przedstawić się.

- Słucham uprzejmie - odrzekła matka.

- Domyśla się pani, kim jestem? - dopytywała się.

- Proszę wierzyć, że naprawdę nie wiem, o co chodzi.

- Pierwszy raz przestępuję te progi - powiedziała, bezceremonialnie uchyliła drzwi do saloniku i zajrzała. - Nigdy nie ośmieliłabym się wejść do tego domu, nie otrzymawszy pani zaproszenia. Nie jeden rok czekałam na tę chwilę. Jak tu pięknie, staroświecko. Trochę za ciemno. Trzeba przetrzebić drzewa, inaczej wejdzie wilgoć. Świerk przesłania okno.

- Sadziłam go, gdy byłam niewiele większa od sadzonki, którą przyniosłam na dłoni z lasu. Już mnie przerósł. Proszę, niech pani pozrzuca te płaszcze. Proszę usiąść. Może herbaty z liści malinowych?

- Pani chce mnie przyjąć nie wiedząc kim jestem? - zwróciła się ta pani do matki.

- A cóż mi pozostaje? Przecież doczekam się wyjaśnienia, a pani wydaje mi się na tyle miła, że mam nadzieję, iż nie będzie przykro. Choć od pewnego czasu jakby odwróciła się klepsydra. Skończyła się część szczęśliwa mojego życia i nie ma dnia, by nie przyniósł złych nowin.

- Całe lata obawiałam się i przygotowywałam do tej rozmowy. Toczy

się inaczej niż sobie wyobrażałam. Co jest tego przyczyną? Ktoś zawinił. Albo pani udaje, że o mnie nie wie, albo ktoś nie odważył się o mnie powiedzieć.

- Kto jest tym kimś? - spytała matka.

- Niemożliwe, by ten ktoś kłamał, wyjeżdżając w dzień ostatniej wigilii przed wojną. Zostawił mnie samą przy zastawionym stole dla nas dwoje, przełamawszy się ze mną opłatkiem. Wybiegł jak szalony, wołając, że nie może zabrać mnie do pani. A teraz, gdy gotowa jestem wszystko zrobić dla pani i dla pani dziecka uznałam, że znalazłam pozór, by się pani narzucić.

- Wiem już, kim pani jest! Brat mówił mi o pani, a ja zwlekałam z zaproszeniem. Przepraszam. Mam nadzieję, że osoba, jakiej w pani się domyślałam będzie mi umiała przebaczyć.

- Jeszcze mniej pani wierzę. Pani zdziwienie było szczere, a szybkość z jaką pani wzięła na siebie winę, wzbudza podejrzenia. Niech pani powie jak mi na imię? Gdzie mieszkam? Czym się trudnię?

- Brat wielokroć zamierzał mi o pani opowiedzieć, ale zmieniałam temat.

- Pani o mnie nic nie wie. Ja wiem o pani wszystko. Nie kończący się, wielki temat! Julianna! Mój strach przed panią i jego strach, że pani mnie odrąci.

- Pani go bardzo kocha i ja go bardzo Kocham - powiedziała matka Jaona.

- Chcę pani powiedzieć, że on nie może dowiedzieć się, co wyszło na jaw? Ma to zostać tajemnicą między nami?

- Nie ma tajemnicy. Musi pani wierzyć jemu i mnie, bo potwierdziłam to, co mówił.

- Przelicytuję mnie pani w solidarności z nim? Prowadzi pani do tego, by nie dowiedział się, że wiemy, że kłamał?

- Nie uda się nam okłamać go.

- Myślałam: za brak serca odpłacę się uczuciem, wyciągnę dłoń, a tymczasem zostałam przyprawiona do porządku.

- Nie dopuściłam, by usłyszeć pani imię. Więc teraz chcę...

- Nie lubię go. Honorata. Mówią mi Honiu. Jeszcze wyjaśnienie. Nie mogę poślubić pani brata, dokąd żyje mój pierwszy mąż. Jestem źródłem grzechu pani brata. Nie mamy przez to rodziny, przyjaciół.

Gorszym grzechem jest, że czekamy na śmierć tamtego człowieka. W nocy nadśłuchuję, że mnie obudzi goniec z poczty. Tam gdzie mieszka były mąż opłacałam pewną osobę i koszt telegramu, który ma wysłać, gdy się to zdarzy.

- Od tej chwili masz, Honiu rodzinę - przerwała jej matka.

- Wypadałoby mi, w tym momencie rzucić się pani w ramiona, ale za wiele wycierpiałam. Pani nie ponosi za to winy. Czas, w którym powinnyśmy się poznać, minął.

Matka spojrzała na Jaona:

- A ty, co tu robisz? - krzyknęła, ale zdała sobie sprawę z tego, że zapomniała go usunąć, gdy rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót: - Przedstaw się - nakazała.

Pani Honorata skinęła mu głową i powiedziała:

- Ile razy wyobrażałam sobie was moi państwo. Jak niesamowicie

jesteście inni niż byliście w opowiadaniach Rudolfa i na fotografiach.

- A jacy byliśmy?

- Na zdjęciach mniej ładni. W opowiadaniach Rudolfa groźniejsi.

- Mojego męża już nie poznasz - głos matki przycichł.

- Podejrzewam, że kontaktów ze mną zakazał pani mąż, tak podobno był surowy. Rudolf mówił, że jest niczym wobec niego, tak się nim zachwycał, że pobudził moją ciekawość, która go potem drażniła.

Wracając przekazywał mi pozdrowienia od pani, twierdził, że pani jest mi życzliwa - w co nie śmiałam wierzyć - że przedstawienie mnie pani jest bliskie, ale jeszcze tym razem nie mogło nastąpić.

Nigdy nie było wyraźnie powiedziane, dlaczego. Była jeszcze jedna bolesna sprawa dla mnie: pani przyjaźń z panią Leną.

- Lena była za dumna, by wykorzystywać ją do zbliżenia się z moim bratem.

- Bogu dzięki, mam mniej dumy niż ona.

- Temat, dlaczego poznałyśmy się dopiero dziś, musimy skończyć na zawsze.

- Pani umie tak pokierować wydarzeniami, że nim się zorientowałam, pani mówi mi ty, a do pani zwracam się per pani.

- Przecież wiesz, że na imię mi Julianna! Jak się poznaliście?

- Gdy pani brat wszedł do biura, którym kierowałam i powiedział, że jest moim nowym podwładnym, myślałam, że żartuje, tak był wytwornie ubrany i swobodny. Wyprzedził prezesa, który zjawiwszy się chwilę po nim dał mi do zrozumienia, że ten pracownik jest niepotrzebny i narzucony przez protekcję. To go zraziło do pracy, znenawidził prezesa. Prosiłam pani brata, by okazał się wyższy ponad to. Udało mu się to, dokąd prezes nie powiedział: - "Najlepiej, by pani wzięła pana Rudolfa na pensję". Pani brat wziął moją rękawiczkę i smagnął go po twarzy. Prezes nawet nie wydawał się obrażony, ale pan Rudolf wybiegł, jak stał, z biura. Potem odnalazł moje mieszkanie i przyszedł mnie przeprosić za incydent, który tylko mnie skompromitował. Był samotny i biedny, mimo że miał państwa. W najprostszych słowach zaproponowałam mu, by zamieszkał ze mną. Miałam dwa pokoje. Kompletowałam meble w nadziei, że kogoś spotkam. Mówiliśmy, że Rudolf jest moim sublokatorem. Ciągłe uciekał do Marzeniowa lub Warszawy. Gdy skończyły się działania wojenne, rzuciłam biuro, założyliśmy z Rudolfem przedsiębiorstwo handlowe.

- Czy można handlować, gdy niczego nie ma?

- Tym czego nie ma. Skupiliśmy po przedwojennych cenach duże ilości pozornie niepotrzebnych towarów: sznurowadeł, pasty do butów, kwasku cytrynowego, ekstraktów spożywczych, szarego mydła. Teraz wszyscy poszukują tego. Ceny idą monstrialnie w górę.

- Ale pieniądze tracą wartość.

- Tego śmiecia nie przyjmuję - uśmiechnęła się Honorata, a potem speszyla się. - Te pieniądze, jako niepotrzebne, czy prawie niepotrzebne - wyjęła plik pięćsetzłotówek i położyła na owalnym stole - mam nadzieję, że pani przyjmie?

- Przyjmę - powiedziała matka.

- Podejrzanie nasunęło mi się, gdy minęło parę dni od pani przyjazdu, a Rudolf zwlekał z przywiezieniem mnie i przedstawieniem pani. Może postanowił, że mamy się nigdy nie spotkać?

Matka Jaona zachowała milczenie. Honorata wstała i trzymając się od matki z daleka, tak jakby bała się, że ta ją ucałuje, czy obejmie, wyciągnęła rękę. Jaonowi pomachała z daleka i wyszła. Jej koń długo jeszcze stał na podwórzu, widać odwiedziła dzierżawczynię.

Matka nie utyskiwała, że Jaon był przy czymś nieodpowiednim. Jaon wieczorem był niespokojny, że matka wyda dyspozycje, co do jego rannego wstawania. To oznaczałoby powrót do szkoły. Ale nic takiego nie nastąpiło. Jaon spał zachłannie, głęboko, w przeczuciu, że następny dzień znów będzie wolny od szkoły, ale obudziwszy się pomyślał: - "Co będzie z moją nauką? Moi koledzy każdego dnia idą na przód, a ja cofam się".

Matka spała. Jaon po cichutku przeszedł przez jej pokój na śniadanie. Wstawszy, nie wspomniała o nauce Jaona. Myślał więc o tym, że dziś będzie czytał trzeci tom encyklopedii dziadka, sprzed siedemdziesięciu laty. Ale encyklopedia mogła zmylić Jaona. Od tamtego czasu było tyle odkryć, wynalazków, historia potoczyła się naprzód.

Dziurzyzna wniosła list z Warszawy. Matka ucieszyła się, rozerwała kopertę i twarz jej zmieniła się.

- Synu, za wcześnie uczestniczysz w dorosłym życiu, ale postanowiłam temu nie przeciwdziałać, przeciwnie, będę dzielić się z tobą i wprowadzać cię we wszystko. Oto, co pisze twój stryj Hieronim: "Droga bratowo. Dla mnie, który tak interesuje się Twoim położeniem materialnym, by w razie, nie daj Boże konieczności, nie dopuścić byś cierpieła niedostatek, informacją o równym znaczeniu, co komunikat o zdobyciu przez Niemców Norwegii - jest, że stać cię na to, by trzymać dwie służące: jedną w dotkniętym drożyną mieście, drugą zatrudniłaś po wielkopańsku, zajechawszy na wieś. Motywując to moim domniemanym brakiem zainteresowania tobą, chciałaś ze mną zerwać. Ja na to nie pozwolę. Będę dawał oznaki zainteresowania Tobą, oby zawsze takie jak teraz; gdy stwierdzam Twój dobrobyt. Ukłony, pozdrowienia. Hieronim". Jestem pewna, że ma odpis tego listu jako dowód na po wojnie, gdy władze polskie mogą zażądać sprawowania z opieki nad wdową i sierotą po poległym oficerze - dokończyła z odcieniem groźby w głosie.

- Nie nazywaj mnie sierotą - poprosił Jaon.

- Przepraszam - uśmiechnęła się matka. Ostatnio znów się uśmiechała, ale inaczej niż przed wojną. - Dopóki żyję, nie usłyszysz ode mnie tego słowa. Gdy mnie zabraknie, zawsze będziesz czuł, że matka jest z tobą.

Nazajutrz matka ubrała się i wyszła, nie mówiąc gdzie. Zgadywał, że do doktorowej. Od czasu gdy przyjechali, doktorowa nie była u nich. Matka chodziła do niej. Jaon cieszył się z tego, bo doktorowa nudziła go.

Nagle stanął oko w oko z wujem Rudolfem.

- Dlaczego nie w szkole? - zwrócił się do niego wuj, nie witając się.

Zmiana jaka zaszła w wuju Rudolfie była uderzająca. Był jakby w złym humorze, rozgniewany na Jaona i przy tym okazywał się źle wychowany. Musiał dostrzec zdziwienie Jaona. Oczy wuja zwęziły się z wściekłości, a nozdrza rozszerzyły:

- Nie masz ojca. Ktoś musi ci go zastąpić. Robię to, bo miałem pewne zobowiązania wobec twojego ojca. W dotychczasowym kierowaniu tobą kładziono nacisk na dobre maniere. Jesteś zbyt mało niegrzeczny i to jest odpychające. Przyszły czasy ciężkie, nadejdą cięższe. Może wkroczą bolszewicy. Takie zachowanie będzie niebezpieczne. Od razu każą pokazać ręce. Pójdiesz pod ścianę. Muszę cię oczyścić z tego ugrzecznienia. Przede wszystkim dość z tym pretensjonalnym przewiskiem salonowego pieska. Od dziś powracasz do swojego imienia. Jak ci na imię?

Jaon nie odpowiedział. Wuj Rudolf tupnął nogą aż ugięła się deska podłogi i wrzasnął:

- Odpowiadaj jak cię pytają! Już nie kierujesz rodzicami, wujem, wszystkimi! Dobrano się do ciebie. Zapomniał jak mu na imię! - zatryumfował wuj. - Do tego doprowadziłeś nieszczęsnych rodziców, że bali się wymawiać twojego imienia. Może to pobudzi twoją pamięć - wyciągnął rękę chcąc złapać Jaona za ucho. Jaon cofnął się, a wuj postąpił krok i Jaon znów się cofnął.

Od pewnego czasu Jaon wiedział, że matka stoi w drzwiach. Jak wuj zaskoczył jego, tak teraz matka zaskoczyła wuja nagłym odezwaniem się zza jego pleców:

- Pamiętasz, co mówiła matka? - "Krzyk odbiera sens wypowiedzanym słowom". - Co to za reprimendy wobec Jaona bez uzgodnienia ze mną? - mówiła ostro.

- Od dziś nie ma Jaona tylko Michał - odparł wuj. - Już przed wojną uważałem wychowanie Jaona za szaleństwo, które w przyszłości może go wpędzić w obłąd. Twoja nadmierna miłość wysysa z niego wszystkie siły, absorbuje go, przykuwa, hipnotyzuje. Nie pozwoliłaś mu się urodzić! Nie opuścił twojego łona! Karmi się z pępownicy! Nie wie, że istnieje świat. Ja chcę być jego prawdziwym dobrodziejem, nie w sensie, że będę wam dawał pieniądze. Ja mu otworzę oczy, ślepe jak u szczenięcia.

- Rudolfie, ujmijmy rzecz najprościej: ty jesteś pijany. Czuć od ciebie wódkę.

- Słuchaj, siostrze. Nie obniżaj mojego autorytetu przy szczeniaku, bo może dojść do tego, że odbiorę ci prawa rodzicielskie.

- Bracie, najgrzeczniej jak mogę, proszę cię - mówiła matka - byśmy rozmowę odłożyli.

- Ten chłopiec nigdy nikogo poza tobą nie pokocha.

- Bardzo jesteś przejęty, mój bracie, ale to nie twoja sprawa - odezwała się matka.

- Nie moja sprawa? - wrzasnął wuj. - Albo biorę za was odpowiedzialność, albo się wycofuję.

- No cóż, moda na ultimata. Ale nie wszyscy ulegają.

- Wiedz, że parę dni temu w Warszawie, spotkałem się z Hieronimem.

Przed wojną nie bardzo się lubiliśmy. Teraz doszło do zbliżenia między nami i do rozmowy na wasz temat. Obie rodziny, twoja i Józefa są zgodne co do niepokoju o was, ale w sensie podwójnym: w jakiej jesteście sytuacji, ale i jacy jesteście wobec położenia w jakim się znaleźliście. Michał przejął po was jedno: przedmiot waszej miłości. Kocha tylko siebie. Wyrósł na poganina. Proszę cię, ze względu na opinię w Marzeniowie, by co niedzielę był w kościele.

- Ta rozmowa przejdzie do historii rodziny.

- Jesteście oderwani od życia. Niemcy wygrywają wojnę - spieszył się pod wzrokiem matki i dodał: - A Niemców pokonają bolszewicy. Sprzymierzą się z Amerykanami. Dwaj parweniusze wśród narodów.

- Tobie parweniuszostwo coraz bardziej imponuje. Chciałbyś udawać parweniusza, gdybyś potrafił.

- Muszę znów jechać do Warszawy. Być może nie zdążę wrócić przed godziną policyjną. Czy mogłabyś udzielić mi kluczy, żebym nie był uzależniony od panny Franciszki i bym mógł z kierowcą przenocować u ciebie? Czy coś przywieźć?

- Gdybyś mógł: kołdrę, poprute futerko naszej matki, duży garnek i wszystkie żelazne saganki. Na pawlaczu jest papuga, duża mieniąca się.

- Nie. To już kpiny - wrzasnął wuj. - Ty mnie prowokujesz! Tu wojna, rozstrzelują ludzi, rewizje, a ja mam wozić zabawki?

- Rewizji się nie bój, w tej papudze nic nie ma. - Te słowa były przeznaczone dla Jaona, by przypomniawsobie co wieźli w garnku ze smalcem. - Traktuj nieszczęsną papugę jako środek spożywczy. Jest z czekolady.

Matka wyjęła klucze z torebki i wręczyła wujowi.

- Więc ty cały czas, tu w Marzeniowie nosisz przy sobie klucze warszawskiego mieszkania? - zdziwił się wuj Rudolf. - Nawet w tym jesteś niepraktyczna, bo po co się obciążać?

- Co wuj mówił nim nadeszłam? - spytała matka, gdy wuj odjechał bryczką.

- Nienawidzę wuja - wyszeptał Jaon.

- Jak dobrze, że wychowałam cię bez tajemnic, właściwie od razu na dorosłego.

- Wuj mówił, że źle mnie wychowujesz. Pcha się, by zastąpić mi ojca.

- To, że mówił to tobie, dowodzi, jak mało jest powołany do osądzania cię. Sam nie ma dzieci. Każe ci chodzić do kościoła, a sam nie chodzi. Obawiam się, że list stryja o dwóch służących był inspirowany rozmową z wujem. Jego wściekłość wywołana była tym, że wujenka Honorata była tu. Przypomniały mi się słowa Dziurzyny. Wnoszę z nich, że zakazał jej i dzierżawczyni mówić nam o wujence Honoracie. My synu musimy zewrzeć szeregi.

W tej rozmowie matka też nie wspomniała o szkole. Więc doktorowa stanęła po jego stronie? Co się szykuje w tej sprawie? Zdecydował się nie pytać matki, nie wywoływać tego tematu.

- Idź na strych - powiedziała matka - tam są stosy książek. Znieś, co cię zainteresuje.

Jaon przechodząc przez sień, z której było wejście na strych, zajął do dzierżawców. Alinki nie było. Wszedł do kuchni. Siedziała przy piecu i obierała ziemniaki.

- Alinko, idę na strych - oznajmił Jaon.

Alinka odęła usta i wzruszyła ramionami:

- Dziewczynki mówią, że jesteś najgłupszym chłopcem jakiego widziały - odrzekła.

Pragnął iść z Alinką na strych, a zarazem odczuł ulgę. Dziewczynki w Marzeniowie wiedziały coś bardzo ważnego, czego Jaon nie wiedział. Czuł, że ośmieszyłby się przed Alinką, a ta opowiedziałaby Gumce Myszce, Mątwie Ośmiornicy i Larwie Poczwarze. Zdarzyłby się śmiertelny grzech, a w czasie wojny w każdej chwili może umrzeć i mógłby nie pójść do nieba, i nie spotkać tam ojca i babki. Nazajutrz była niedziela. Czuł, że matka w jednym usłucha wuja - wyprawi go do kościoła.

Zima przechodziła w wiosnę gwałtownie. Następny dzień wydawał się prawie letni. Nagość drzew i brak cienia dziwiła w ostrym gorącym świetle słońca. Dzieci przeganiały dorosłych. Dziewczynki szły najszybciej, z książeczkami do nabożeństwa w rękach. Spod chusteczek wystawały im kokardy, a kilka było w białych pończochach.

Jaon, ufny, pełen nadziei, że spotka go coś niezwykłego wepchnął się ze wszystkimi i stanął pod obrazem, który przejmował go zachwytem i przerażeniem: anioł unosił w ramionach do niebios ponad uśpionym miastem dziecko, które właśnie umarło. Tam, gdzieś wśród tych domów, była jego matka, ojciec, rozpaczający i już tęskniący, a on leciał ku niebu.

Poczuł ciężką rękę, która spoczęła na jego ramieniu, jakby od tyłu zaszedł go drogi anioł i chciał porwać. Zobaczył nad sobą twarz mężczyzny w komży, gniewną, zniecierpliwioną. Był to kościelny. Szarpnął Jaonem i pchał w niewiadomym kierunku. Wszyscy oglądali się i sykali oburzeni. Kościelny przepchnął go na drugą stronę kościoła i tam zostawił. Wtedy Jaon zorientował się, że mężczyźni stoją po lewej stronie, a kobiety po prawej i on początkowo stanął między nimi. Wzdłuż kościoła występowały inne podziały. W ławkach przed ołtarzem siedzieli starcy, dalej stali ludzie w średnim wieku, w środku, pod amboną dzieci, a w drzwiach i na cmentarzu młodzież.

Zapachniało dymem kadzideł, huknęły organy. Ich rury zadudniły jak lufy dział. Od konfesjonału dochodził Jaona szept spowiadającego się mężczyzny: ... "a, czy biłem psa, ksiądz poczyta za grzech?"

Wszedł ksiądz z mszą.

Kościelny zostawił go w tłumie chłopców, a po drugiej stronie przejścia wysłanego czerwonym dywanem tłoczyły się dziewczynki. Zastłuchane, rozmodlone, gorliwe, półprzytomne z przejęcia, niewinne, wydawały się piękne. Czuł, że kocha je wszystkie. O co prosiły? O przyszłe szczęście?

Jaon nie wiedział, o co prosić Boga. Miał ochotę błagać Go, by dał mu poznać te dziewczynki, kochać je wszystkie, gdy będzie dorosły. Wybrał mniejszą od niego dziewczynkę z loczkami, prawie białymi,

niebieskooką, w białej sukience i białych pończoszkach, okrytą czarną pelerynką. Klęczała ze złożonymi rękami i żarliwie się modliła. Ta modlitwa, gwałtowna, czyniąca ją nieobecną, powodowała, że Jaon zakochał się w nieznajomej.

Jej modlitwa skupiła uwagę Jaona. Chciał odczytać po ruchu ust błaganie. Może błagała, by odsunął od niej coś, co ją miało spotkać, choć wiedziała, że tego nie uniknie? Nauczyciel mówił coś takiego, że były wnuczkami babek i babkami przyszłych wnucząt; jeszcze nie ma ich na ziemi, a kiedyś będą takie, jak ta dziewczynka. Jaon nie chciał mieć z tym nic wspólnego i znalazł inną panienkę, starszą od siebie, opartą o mur. Wydawało mu się, że jej włosy były ondulowane. Patrzyła w jeden punkt. Jaonowi wydało się, że jak on, nie modli się. Nie otwierała książeczki do nabożeństwa. Ścisnęła ją w skrzyżowanych na piersiach rękach. Czy możliwe, by myślała o tym, co on? Ale nie widziała Jaona. Nie wiedziała, że Jaon istnieje. Miłość do drugiej dziewczynki przeszła wszystkie fazy, od zakochania się aż po zerwanie, gdy odwrócił od niej wzrok usłyszawszy słowa kończące kazanie:

- ...szykujcie się do uczy przy stole pańskim. Pomyślcie o miliardach ludzi, którzy przy tym samym stole spożywali Ciało Pańskie. Byli wśród nich wasi pradziadowie, dziadowie, będą dzieci i wnuki, prawnuki, praprawnuki, których nie poznacie. Możecie teraz wspólnie z nimi, przy białym obrusie, jeść ten sam chleb niezniszczalny, wiecznie się odradzający."

Zabrzmiały dzwonki na podniesienie. On jeden patrzył w Przenajświętszy Sakrament. Inni mieli nisko opuszczone głowy. Jak mogli wyrzekać się widzenia Boga? Chciał wchłonąć wzrokiem tę białość, jasność, wydawało mu się, że widzi promienie rozchodzące się od hostii. Kielich błysnął światłem wziętym od słońca. Klękający, cofający się przed hostią tłum odsłonił kogoś, kogo przedtem Jaon nie widział.

Była to dziewczynka w jego wieku, szczupła, o trójkątnej twarzyczce, nieco skośnych, zielonych oczach; jej buzia obsypana była piegami; warkocze miała owinięte wokół głowy. Rozpięty płaszczyk odsłaniał krótką - jak nakazywała moda dziecięca 1939 roku - spódniczkę w szkocką kratę. Na jasne pończoszki miała naciągnięte białe podkolanówki, co robiło wiele dziewczynek, które się elegantowały.

Tłum podniósł się i ona powstała. Jaon spostrzegł, że stała między ojcem i matką - Jaon miał skądś pewność, że to jej rodzice - matka po stronie kobiet, ojciec po stronie mężczyzn. By patrzeć na nich Jaon musiał się cofnąć. Niektórzy zauważyli jego drugą, dziwną peregrynację przez tłum, spoglądając karcąco. Rodzice dziewczynki wydawali mu się przeniesieni z Warszawy, czy innej europejskiej stolicy, tajemniczy, potężni. Córka opromieniona tym blaskiem była strzeżona przez ich moc. Tłum trzymał się od nich w pewnej odległości. Ojciec dziewczynki był olbrzymem, o włosach przyciętych prawie do gołej skóry, w okularach oprawnych w złoto. Jej matka, nieskazitelnie gładka, podobna do wielkiej lali nie wyjętej z celofanu, wydała się Jaonowi piękna. Przepraszając swoją

matkę w myślach, musiał przyznać, że była od niej piękniejsza. Jak młode mogą być matki! Córka nie była do niej podobna. Jedna przy drugiej, wyglądały ładnie, wzajemnie użyczając sobie blasku. Wuj Rudolf określiłby ją jako "zjawiskową", zapowiadając przysłą urodę córki, która była ozdobą matki.

Jakie imię nosi ta dziewczynka? Czy jest przejazdem? Czy kiedyś ją jeszcze zobaczy? Gdzie jej szukać? W tym momencie dziewczynka poczuwszy widać czyjś wbity w siebie wzrok, odwróciła głowę i zobaczyła Jaona.

Początkowo mogło wydawać się, że zastanawia się, czy zna tego chłopca, a gdy widziała, że Jaon nie opuszcza wzroku, rzuciła dziecięce wyzwanie, że wytrzyma jego spojrzenie. Jaon nadał swojemu wzrokowi siłę, na jaką go było stać. W jej oczach coś się zmieniło, zjawilo się pytanie: "Czego chcesz?". Już to, iż nie odrywali od siebie wzroku tak długo i coraz dłużej, powodowało, że każda sekunda tego zapatrzenia więcej znaczyła. Połączyli spojrzenia, jakby nie dało się ich oddzielić. Dziewczynka dalej patrzyła. Szczęście Jaona stało się nie do zniesienia. Przymknął oczy i gdy je otworzył, dziewczynka zwrócona była do ołtarza i wydawała się modlić. Więcej na niego nie spojrzała. To mogła być kara za to, że przestał patrzeć. Jaon rozpaczał.

Msza - wydało mu się - urwała się nagle. Wychodził za nimi w tłumie. Podjechała bryczka, wsiedli, dziewczynka usadowiła się na tylnym siedzeniu między rodzicami. Woźnica zaciął konie ruszyli - za nimi Jaon, biegiem. Chciał śledzić, dokąd jadą Co będzie jeśli dziewczynka nagle obejrzy się i ujrzy go w kurzu, za kołami? A gdy nie obejrzała się i nie poszukała go wzrokiem, zrobiło mu się smutno; bryczka wyjechawszy z Kościelnej, przyśpieszyła i znikła mu z oczu. Czy następnej niedzieli dziewczynka będzie w kościele? Tydzień niepokoju, że tak zostanie na zawsze, minie wojna, on będzie dorosły i zawsze będzie marzył o nieznanym dziewczynce.

- Ty nieprzytomny byłeś w kościele? A potem biegłeś jak głupi. Nie widziałeś mnie? - spytała Alinka, doganiając go. - Mątwą Ośmiornica, Larwa i Gumka Myszka też mówiły, że byłeś zagapiony. Modliłeś się do bocznego ołtarza świętej Teresy? Nie pójdziemy na strych, bo przy Pierwszej Spowiedzi wygadasz się, z kim to robiłeś.

Alinka zbrukała tymi słowami jego miłość do nieznanym dziewczynki.

- Nie chcę iść z tobą na strych - powiedział Jaon. - Jestem obrażony na ciebie - dodał, czując, że chce odciąć się od pokusy pójścia z Alinką na strych.

- Ja się bardziej gniewam - powiedziała i wyszła z domu.

- Ja gniewam się na zawsze - powiedział Jaon i krzyknął za nią. - Na całe życie.

- I na śmierć - wrzasnęła Alinka.

Chwilę potem usłyszał, że ktoś jest na strychu. Alinka, tupiąc po polepie nad jego głową, wzywa go? Ogarnęło go coś, jak początek choroby, podobnej do tej, co ciągle wracała przed wojną: dreszcze, chłód, ale zarazem poczucie, że tę chorobę można uleczyć

natychmiast.

Wchodził tak cicho, że nawet dwa ostatnie najbardziej niebezpieczne, skrzypliwe stopnie nie wydawały dźwięku. A on słyszał szelest jedwabiu. Alinka przebierała się w suknie babki i ciotki Justyny. Chyba by się bała? Ale czy teraz ktoś się boi jego matki? Wyjrzał ze schodów i sam się przestraszył. On jeszcze się bał matki. To była bowiem ona i zaraz dostrzegła go. Co by było, gdyby poszli z Alinką na strych i matka ich zastała?

Matka przykłada do siebie suknie z przed tamtej wojny.

- Jaoniku, dobrze że jesteś - powiedziała. - Czy jesteś na tyle silny, by z matką przenieść ten kufer do okienka? Chcę widzieć wyraźnie, co wypełzło, a co można by przerobić.

To było miejsce grzeszne. Nie wypadało mu tu być z matką. Woń jabłek, wilgotnej polepy, stęchłych papierów, starych ubrań, dziwna duszność przypominały mu zapach, jaki poczuł całując Alinkę. Kufer był lekki, ale matka nagle puściła drugie jego ucho:

- Synu, a co to? - wykrzyknęła. Schyliła się i podniosła wielką, grubą kopertę oblepioną znaczkami. - To przyszło dawno. Kto to otworzył? Dlaczego tu ukrył? - wydobyła plik papierów. - Mój Jezu - wykrzyknęła. - Nieznany list mojego dziadka z Ameryki. Spodziewa się, że umrze i wysyła nam akt konfiskaty majątku, i swój pamiętnik... Dokumenty, których szukaliśmy w Stanach Zjednoczonych, cały czas tu były. Ktoś je ukrył pod kufrem ze starymi sukniemi.

- Kto to zrobił?

- Ktoś, kto nas nienawidził, kto nienawidził siebie.

- Kto?

- Twoja nieżyjąca ciotka Justyna. Chciała nas tego pozbawić, nawet za cenę pozbawienia siebie. Jak trafiło to do jej rąk -

zastanawiała się matka. - Pewnie wybiegła do listonosza. Zawsze czekała na jakiś list, który nigdy nie nadszedł, bo nie znała jego nadawcy. List od nieznanego! Gdy szła na spacer, patrzyła w ziemię, licząc że znajdzie coś. Grała na loterii, miała zarezerwowany latami jeden numer, ale tylko pół losu.

- Czemu pół losu, a nie cały?

- Trafiłeś w sedno, taka była - matka odwróciła zeszyt z pamiętnikiem pradziadka Jaona i szukała czegoś na ostatnich stronach: - "...z niskiego, bagnistego lasku wyszliśmy na zbitą, szarą masę kozacką w wysokich papachach. Nie było odwrotu, tylko droga naprzód. Wydałem rozkaz ataku. Ujrzałem szable mojej kawalerii nad głowami i jak konie aż zniżyły się wchodząc prawie od razu w galop. To było ostatnie, co miałem widzieć na ziemi. To, co opiszę, opowiedzieli mi żołnierze. Po krótkim, strasznym zwarciu, gdy żołnierze zobaczyli, że padam, zaczęli się cofać. Nagle okrzyk: "Wódz poległ. Ciało wodza w rękach wroga". Wściekłość, gniew wstąpił w nich. Odwrócili się i uderzyli od nowa. Porwali mnie, unieśli na rękach w górze. Zagrzewałem ich do boju, choć myśleli, że martwy. Wiedzieli, że Kozacy zbeszczęściliby moje zwłoki, załatwiając się na nie, wylupiając mi oczy i serce. Wróg zaskoczony, zaczął się w beładzie cofać, potem

uciekać. Położyli mnie na ziemi i ścigali Kozaków. Gdy wrócili mi kopać grób, jakiś piechur zobaczył, że żyję. Obudziłem się w leśnej chacie..."

- Mamo, czemu mi to przeczytałaś? - chwycił ją za rękę i przytulił do ust.

- Co ci synu? Czemu się tak wzruszyłeś?

Nie odpowiedział. Ryzykowne było wyjaśnienie do końca, dlaczego matka wybrała ten fragment. Zepsułyby wszystko. Matka zaprzeczyłaby. Dała mu znak, na ile nie łamała rozkazu ojca, narzucającego tajemnicę. "Czy matka wcześniej nie znalazła tej koperty i nie czekała na mnie, by odkryć ją powtórnie i przeczytać mi ten fragment pamiętnika pradziadka? Wybrała o tym, jak cały oddział był przekonany, że nie żyje, nieśli go pod kulami jako martwego, kopali mu grób. Musi być w tym wskazówka, co do losów ojca. Matka uważa mnie za bardzo zdolnego, więc sądzi, że tyle wystarczy, by mnie upewnić, że ojciec żyje".

Matka nie zwracała na niego uwagi. Czytała pośpiesznie.

"Gdyby moja babka wyjechała z rodzicami do Stanów, dziadek wyjechałby za nią, pobraliby się i moja matka i tak by się urodziła. Ale jak znalazłby się mój ojciec w Ameryce, by poznać moją matkę? - kalkulował Jaon. - Przecież mogliby mu, jako prawnikowi, zlecić działania w Polsce w sprawie rewindykacji majątku, przyjechałby po dokumenty, omawiać plan odzyskania majątku i tak poznałby moją matkę. Zostałby w Stanach? Czy urodziwszy się tam, byłbym mną? Czy ojciec zabrawszy matkę, wróciłby do Polski i powtórzyło się wszystko, jak jest?"

Pobiegł do kuchni, gdzie Dziurzyną przygotowywała niedzielny obiad, pierogi z kapustą, okraszone olejem słonecznikowym. Jaon odciągnął ją od stolnicy, gdzie wałkowała ciasto na pierogi.

Wolałby powiedzieć to Maniuni, gdyby tu była, ale Dziurzyną była jej ciotką:

- Dziurzyno, ja już nie kocham Niki Woynickiej.

Dziurzyna chwyciła się za głowę umęczonymi dłońmi:

- Co też Jaonik plecie, chyba Jaonikowi pomieszało się w głowie. A zawsze się tego państwo bali. Od wojny Jaonik mniej mówił głupstw, nad którymi wydziwiali wszyscy, a teraz masz, znowu to samo.

Jaon wracał już do pokoju panieńskiego, rozsadzany pragnieniem zwierzeń. Postanowił powiedzieć matce więcej niż Dziurzynie.

Zobaczywszy matkę, zająknął się, bo przyszła mu myśl, że powie dopiero, gdy odnajdzie nieznaną dziewczynkę.

- Mamo po obiedzie będę mógł iść pobiegać?

W tym momencie Dziurzyna zjawiła się z otwartym blankietem depeszy w ręce.

- Niech pani czyta. Jak żyję nie dostałam telegramu. Ktoś umarł.

Ale ja nikogo nie mam na całym świecie.

Matka czytała: "Pani Dziurzyna. Marzeńów 104. Pilna. Dom strawił pożar. Wszystko spalone. Nie przyjeżdżać. Następna wiadomość jutro. Jankowski".

- Ja nie mam nijakiego domu - mówiła Dziurzyna. - Jankowskiego znam, ale jak wyjechał w 1922 roku nie pojawił się.

- Dziurzyno, niech Dziurzyna sobie przypomni - powiedziała matka, a gdy Dziurzyna milczała, matka dodała: - Kto wie, może ja zaczynam rozumieć treść tej depezy?

- Jak pani może wyrozumieć, jak telegrama jest do mnie? -
Dziurzyna

urazona trzymała depezę w ręku, nie wiedząc czy położyć ją na stole, czy zabrać. Matka machnęła ręką każąc jej wyjść.

- Synu mam przeczucie, że coś stało się z naszym domem. Może to pomyłka, może zawalił się, bo nie zauważono jakiegoś pęknięcia. Kim jest Jankowski? Może sąsiad z piątego piętra, który nam się kłaniał na schodach?

W tym momencie usłyszeli stapanie na ganku i walenie w drzwi. Matka wyjrzała przez okno: to wuj, przez pośpiech, czy zapomniawszy, że wchodzi się tylnym wejściem, dobijał się niecierpliwie. Gdy matka uchyliła drzwi, rozepchnął je z całą siłą, wpadł do saloniku i dawał matce znaki, by zamknęła drzwi wiodące w głąb domu.

- Nikt tu nie był? - wypytywał dysząc. - Telegram dostaliście? Ja go nadałem.

Matka pokręciła głową wpatrując się w niego intensywnie, odetchnął głęboko i usiadł ciężko na okrągłym krześle od fortepianu.

- Przygotujcie się na najgorsze. Przykro mi, naprawdę przykro, że muszę was zawiadomić o jeszcze jednym ciosie, jaki na was spadł. Nie macie już domu. Jesteście sieroty, do tego bezdomne. Po skończeniu spraw u Łatyńskich szedłem do waszego domu, by przenocować. Dozorca Szymański zobaczywszy mnie, wyskoczył ze stróżówki i wciągnął do środka. Był zdenerwowany, drżał: wczoraj tuż przed godziną policyjną samochód gestapo wjechał w bramę, tarasując ją, a kilku gestapowców nikogo nie wypuszczało z podwórza, tylko wpuszczali. Tłumacz kazał Szymańskiemu wyjść i poprowadzić do drzwi, gdzie mieszkanie. Gdy szli przez podwórze, Szymański próbował Niemcom wskazywać okna waszego mieszkania, by zwrócić uwagę Frani, ale dostał w tył głowy. Szedł, jak mógł najpowolniej po schodach, znów dostał. Za nim podążał tłumacz, oficer i około dziesięciu gestapowców. Kazali Szymańskiemu dzwonić, a sami przywarli do ściany na klatce schodowej. Szymański zadzwonił, Frania otworzyła i wtedy gestapowcy z impetem wepchnęli go i Franię do środka. Przebiegli cały dom, aż do pokoju Jaona. Szymański stał się mimowolnym świadkiem dalszych wydarzeń. Wszystko odbyło się w dużym pokoju. Gestapowcy zobaczywszy, że nikogo poza Franią nie ma, zaczęli coś mówić do tłumacza, który powiedział Frani uprzejmym tonem:

- "Gdzie jest twój pan?"

- "Mój pan nie żyje" - odpowiedziała.

Tłumacz przełożył to, i zrobiło to silne wrażenie na oficerze, ale opanował się i mówi coś do tłumacza, a ten to przekłada:

- "A gdzie jest twoja pani?"

- "Wyjechała".

Oficer krzyknął coś i wtedy tłumacz:

- "Sama nie wiesz, co bredzisz. Radzę ci natychmiast mówić prawdę.

Gdzie jest twój pan?"

- "Nie żyje".

- "Gdzie rzekomo wyjechała twoja pani?"

- "Nie powiedziała, gdzie jedzie" - odrzekła Frania. Zabrzmiało to przekonywująco.

- "Przypomnij sobie, namyśl się szybko" - powiedział z własnej inicjatywy tłumacz.

Zapadło milczenie. Gestapowcy czekali pół minuty i tłumacz znów się odezwał:

- "Lepiej powiedz teraz, wtedy nic ci nie będzie. Inaczej panowie zabiorą cię ze sobą i tam powiesz. Tam ci wbiją rozżarzony drut w brzuch".

- "Moja pani nigdy nie mówi służącej co robi".

Tłumacz pokręcił głową, dając tym do zrozumienia, że nawet nie warto tego powtarzać i sam powiedział:

- "Masz ostatnią sekundę czasu, by się namyślić".

Wtedy Frania, nim którykolwiek zdążył drgnąć, skoczyła ku drzwiom balkonu, w oka mgnieniu otworzyła je, podobno oficer prawie dotykał jej ręką, gdy była w drzwiach, a potem tylko przerzuciła nogi przez balustradę i poleciała bez krzyku w dół. Szymański usłyszał huk, jakby głucho stęknęcie, gdy Frania uderzyła o asfalt podwórka.

- Boże! Bożeee! - zawołała matka zasłaniając sobie uszy rękami.

- Gestapowcy - wuj Rudolf nie zwracał uwagi na krzyk matki - zapieczętowali mieszkanie i odjechali, każąc Szymańskiemu pilnować go. Szymański wezwał telefonicznie służby miejskie, które zabrały ciało Frani. Od tej chwili wypatrywał, czy kto od was nie idzie. Natychmiast zawróciłem do Łatyńskich. Wiedział, co się stało. Prosiłem go o radę, Łatyński jest wam życzliwy. Powiedział, że w waszej sprawie może radzić tylko brat pana Józefa oraz jego przyjaciel - i tu opisał osobę, w której domyśliłem się pana Woynickiego. Pojechałem do pana Woynickiego. Ale to szalony, nieobliczalny człowiek:

- "Skoro zabezpieczyli mieszkanie, rewizja będzie jutro, a teraz my delikatnie podważymy pieczęć i zabierzemy, co się da" - rzekł. Błagałem, by nie narażał siebie i mnie. Mówiłem, że mniejsza o mnie, ale on nie chce chyba zostawić sieroty, jak świętej pamięci Józef? Na próżno. Już był ubrany i pędził w dół po schodach. Ale w rikszy, ten nieugięty, nieustępliwy, okropny człowiek dalej kombinował. Wymyślił, żeby wstąpić po Łatyńskiego, to więcej się zabierze. To mnie doprowadziło do rozpacz. Mogło zaszkodzić interesom z Łatyńskim. A jak was utrzymam, gdy go sobie narażę? Ale Łatyński ze spokojem odniósł się do tego.

- "Tak trzeba" - odrzekł i ubrał się.

Szliśmy Marszałkowską, budząc zainteresowanie Niemców. Szymański tym razem udał, że mnie nie widzi. Dobrze, że był Łatyński. Wielce się teraz z nim liczą. Przy waszych drzwiach nastąpiła dyskusja, bo pieczęć była mocno przyklejona. Czy ją rozerwać? Mieliśmy ze sobą spirytus, wodę, rozpuszczalnik do kleju. W końcu tylko w jednym miejscu naddarliśmy, a wychodząc złożyliśmy obie części nie

do poznania. Byliśmy 20, może 25 minut, jak złodzieje, czy rabusie, z latarkami. Wszystko było w idealnym porządku, jakbyście dopiero wyjechali, panowała czystość, tylko lodowate zimno, bo drzwi balkonowe zostały uchylone. Zamknęliśmy je. Nie wiem, po co. W ciemności rzucaliśmy się bezładnie, nie wiedząc, co brać. Ja przeglądałem biurko, czy nie ma tam gdzieś zapisanego adresu w Marzeniowie.

- Ordery Józefa wzięłeś? - wtrąciła matka.

- Ordery? W takiej chwili? Przywołuję cię siostró do rzeczywistości. Braliśmy na oślep, co popadnie. Pamiętałem o futrze naszej matki. Nawet Łatyński tracił głowę. Zauważył papugę z choinki, łapie ją, szepce mu do ucha, by ją rzucił, a on na to, że to żona ją lubiła i osobiście dała ją Jaonowi, więc, by mu się nie narażać, zabrałem ją. Wziąłem chińską wazę...

- A obraz?

- Jaki obraz?

- Z rajem, co wisiał nad łóżkiem Jaona.

- Ach, co ty znowu z jakimś rajem?

- Czy możliwe, by gestapowcy wynieśli tylko ten obraz? Przypomnij sobie, przypisywany uczniowi Rafaela, Pietrino de Vega.

- Trzeba było wcześniej mówić. Teraz przepadło.

- A Woynicki? Przecież zna ten obraz.

- Woynicki stał za firanką, patrzył, czy ktoś nie pojawia się w bramie. Byłem pociągami, więc rzeczy zawiozłem do Hieronimów. Co tam jest, sam nie wiem. Przywiozłem tylko papugę, ulegając Łatyńskiemu, bo z resztą nie miałem siły pchać się w ten dziki tłum - sięgnął do kieszeni i wyjął papugę. - Do licha, pognietli ją. Była spłaszczona, jakby połamano jej kości. Czekolada wyzierała z podartego celofanu.

- Do Hieronimów? - spytała z niezadowoleniem matka.

- Mówisz tonem, jakbyś nie ufała Hieronimowi.

- Mieliśmy rozliczenia spadkowe, z których Hieronim nie był zadowolony.

- Dopuszczasz myśl, że zatrzyma twoje rzeczy? - wykrzyknął wuj Rudolf z oburzeniem.

- Twój stosunek do Hieronima całkowicie się zmienił?

- Dzięki wam. Staliście się terenem naszego porozumienia. Hieronim zwrócił mi uwagę, że całe życie byłem zaślepiony wdzięcznością do ciebie. Nadszedł okres, gdy mogę ci się zrewanżować, więc będzie to okres większej jasności w naszych stosunkach. Dlatego nie będę ciągnął tematów rodzinnych, tylko spytam, czy masz jakiegokolwiek przypuszczenia co do przyczyn wizyty gestapo.

- Możliwe, że nasłał ich żebrak spod kościoła Zbawiciela. Józef przed wojną sprzeciwił się udzieleniu kredytu niemieckiemu arystokracie, mającemu dobra na ziemiach polskich... Może w ręce gestapo mogła się dostać lista byłych członków POW?

- Pan Woynicki uważa, że źródło zainteresowania gestapowców tkwi w Berlinie, w związku z pracą Józefa w banku. Międzynarodowa spółka Vaucaire, za którą stoją Niemcy, przejmuje wiele fabryk. Cieszył się, że Józef im się wymknął, i że wy się wymknęliście. Cieszył

się, że gestapo nie jest wszechwiedzące i nie miało informacji o śmierci Józefa.

- Nie mogę przyzwyczaić się do myśli, że jesteśmy bezdomni, że Franja nie żyje - wtrącała matka. - Panicznie bała się więzienia.

- Łatyński ma odnaleźć ją w kostnicy i pogrzebać. Acha, ważny szczegół. Na pieczęci był napis, że każdy, kto chce wejść do mieszkania winien się zgłosić w siedzibie gestapo na Polizeistrasse, pokój 214, II p.

"Wuj się łudzi - myślał Jaon. - Gestapo jest wszechwiedzące. Wie lepiej, co z ojcem się dzieje niż moja matka i ja, i wuj". Wizyta gestapo w ich mieszkaniu była potwierdzeniem jego nadziei, że ojciec żyje. Za cenę ich cierpienia upozorował swoją śmierć, by tym głębiej zejść w podziemie. A jeśli matka to wie i musi udawać rozpacz, cierpienie, nawet przed Jaonem? Gestapowcy wydali mu się mili. Jak on, domyślają się, że jego ojciec żyje. Trzeba ostrzec ojca. Pod tym pozorem odszukałby go w ukryciu. Może to jest sztab podziemnej armii? Jaon wyobraził go sobie dosłownie w podziemiu, w piwnicy pod innymi piwnicami, na piątym piętrze w głębi ziemi. Wuj odjechał i matka pozwoliła mu iść w stronę lasu. Przebiegł uliczki, ale nieznaną dziewczynki nie spotkał.

Najstraszniejsze, jeśli była przejazdem. Przypomniał mu się szczegół, na który w innym wypadku nie zwróciłby uwagi. Wszyscy byli ubrani lekko, nie jak w drogę bryczką. Na tym opierał swoją nadzieję.

W sobotę wieczór poprosił Dziurzynę, by mu nagrzała wody. Mył się w dawnej pralni jak dorosły, a potem w warszawskim szlafroku przechodził przez kuchnię, gdzie stała Alinka z matką. Dawno nie był u fryzjera i jego włosy trzeba było zaczesać za uszy, gdy wstał w niedzielę i szykował się do wyjścia. Ukradkiem wziął flakon "Soir de Paris", który matka przywiozła z Warszawy i bezlitośnie kapnął sobie na czubek głowy jedną z trzech kropelek, które pozostały.

Przed kościołem stała tylko bryczka doktora. Tamtej nie było. Wkładając dłoń do kropielnicy patrzył w głąb kościoła, aż ręka zagłębiła się do mankietu koszuli i poczuł zimno; nie było ich. Jej ojca zobaczyłby z daleka. Tłum dziewczynek już klęczał. Zaśpiewano pieśń tęskną, pełną miłości do Jezusa, ale Jaon tęsknił za nieznaną dziewczynką. Wiedział, że grzeszy, choć ciągle czuł, że ukrywają przed nim, czym jest prawdziwy grzech. Stał w tym samym

miejsku, co tydzień temu, by bez trudu go spostrzegła, jeśli go jeszcze pamięta. Co chwilę zwracał głowę w tę stronę, gdzie powinna się ukazać na tle obrazu przedstawiającego świętą Teresę z liliami. Czytano już Ewangelię ale Jaon nie stracił nadziei.

- Boże spraw, by przyszła. Boże spraw, bym ją poznał - modlił się Jaon. - Błagam Cię. Tyle mi odebrałeś. Daj mi to. Na tym mi zależy.

Odwrócił się raz jeszcze i cud się stał. Dziewczynka była, w tym samym miejscu, co wtedy. Zwróciła główkę ku niemu, ale tylko na ułamek sekundy. Sprawdziła, że jest i nie spojrzała na niego aż do

końca mszy. Czy gniewała się za nie kończące się spojrzenie, które połączyło ich na zbyt długo? Jaonowi wydawało się, że dziewczynka odcina się od niego modlitwą, chroniąc się pod opiekę Boga. Ale on przeciągał Boga na swoją stronę, uniemożliwiał jej ucieczkę nieustannie powtarzaniem błaganiem: "Pozwól mi ją poznać".

Gdy opuszczali kościół, szedł tak blisko, że wydawało mu się, iż dotknął swoim rękawem jej płaszczyka. Potem ich bryczka powoli przeciskała się przez tłum. Jaon miał przed sobą wylakierowany na żółto tył pojazdu, czarny kapelusik matki nieznajomej dziewczynki i potężne bary jej ojca. Wydostawszy się z ulicy Kościelnej, stangret zaciął konia i bryczka zniknęła w kurzu.

Obiad jedli w jadalni, tak ciepły był dzień. Usługiwała im Dziurzynna.

Od jutra zaczynasz naukę - odezwała się uroczyście matka. - Pani doktorowa znalazła ci nauczycielkę. Będzie cię przygotowywała do egzaminu wstępnego do gimnazjum, a jeśli wojna się przeciągnie zaczniesz z tobą kurs gimnazjalny.

- Czy jest stara? - spytał przypomniawszy sobie panią Bohusz i mając w pamięci wiek doktorowej.

- Pomyśl, że matka niedługo też będzie stara. Swoją nauczycielkę jutro o pół do dziesiątej sam zobaczysz - powiedziała matka. - Jej dom jest za naszą górą. Przejdiesz uliczką, gdzie są trzy kapliczki. Na jej końcu jest kilka domów połączonych jednym dachem. Tam zapytasz o panią Bożkę.

- To stara panna?

- Cóż cię tak ciekawi, masz zamiar niedługo się żenić?

- Żenić się nie mam zamiaru nigdy. Żona mi jest do niczego nie potrzebna.

Jego słowa zabrzmiały blado, bo w ostatniej chwili uświadomił sobie istnienie nieznajomej dziewczynki.

- Jednak się zawahałeś - uśmiechnęła się matka. - Nie sądzisz chyba, że wiesz jak postąpisz za dwadzieścia lat?

Godzina, o której kazano Jaonowi przyjść na pierwszą lekcję do nowej nauczycielki, była wiele mówiąca. Ktoś, kto nie kazał mu się zrywać o siódmej, był godny, by żywić co do niego pewne nadzieje.

Jaon włókł się pod górę. Pierwsza kapliczka - obrazek przedstawiający Matkę Boską, ubraną papierowymi kwiatami - zawieszona była na modrzewiu na początku ulicy. Pod szczytem góry odgrodzono kawał ziemi. Stały tam trzy krzyże i nieustannie paliła się lampka oliwna. Trzecia kapliczka, to tkwiąca za płotem pomalowana na biało gipsowa figura Matki Boskiej, kopia wizerunku uważanego w okolicy za cudowny.

Jaon pierwszy raz był po drugiej stronie góry. Wszedł w podwórze posesji, którą opisała mu matka. Pięć domów, dobudowanych do siebie i połączonych drewnianymi pasażami, należało chyba do pięciu osób z jednej rodziny. Wybrał drzwi malowane na niebiesko, ze skrzynką na listy. Zapukał i z głębi odpowiedział mu kobiecy głos. Otworzyła mu drzwi sionki niemłoda kobieta. Poczul żal, że będą go otaczać tylko starzy ludzie, ale wybaczył tej pani, tak serdecznie na niego patrzyła. Jednak wydało mu się, że ta pani

jest dobra, ale nic nie umie. Wtedy zza parawanu stojącego w przeciwległym końcu kuchni rozległ się dziewczęcy głos:

- To ty chłopczyku przyszedłeś?

Jaon onieśmielony kiwnął głową, zapomniawszy, że tej odpowiedzi nie może być słycać.

Zza parawanu rozległo się chlupotanie wody i głos:

- Skoro nie odpowiadasz to na pewno ty. Ja się jeszcze myję. Wejdz do pokoju i pisz wypracowanie.

- Na jaki temat proszę pani?

- Na temat... - za parawanikiem zapadła cisza: - Na temat dowolny.

Pisz o czym chcesz. Co widzisz. Co ci przyjdzie do głowy. Na przykład: "Moja droga do szkoły".

- O papudze może być?

- Masz papużkę? - ucieszyła się za parawanem nauczycielka.

Postąpił krok, nauczycielka pisnęła. Domyślił się, że jest naga.

- Pisz o papudze, pisz o papudze - wykrzyknęła radośnie.

- Ale ja nie mam żywej papugi - wyjaśnił Jaon.

- To pisz o martwej - zaśmiała się nauczycielka. Znow było słycać plusk wody. - Idz już do pokoju, bo chcę się ubrać - i dodała: -

Wiesz chłopczyku, nic nie pamiętam ze szkoły powszechnej. Będę musiała się uczyć. Będziemy się uczyć razem. Mamo rzuć mi ręcznik.

W razie, gdyby coś nie wychodziło, zastosujemy równania, logarytmy, całki i różniczki, i wynik musi się znaleźć.

Słycać było odgłosy tarcia ręcznikiem o ciało nauczycielki.

- A teraz naprawdę wejdz do pokoju i przestań tu wystawać. Mamo, podaj mi pończochy, te ciemnobrunatne i haleczkę, która...

Jaon więcej nie usłyszał, bo był już w pokoju.

Domyślił się, że to jest pokój nauczycielki. Biureczko było zawałone książkami i skryptami. Stał tu krótki, brązowo politurowany fortepian, regał uginający się pod nieporządnie upchanymi książkami i tapczan, zasłany w pośpiechu, bo biały rąbek wystawał spod narzuty.

Otworzył zeszyt, wyjął wieczne pióro ojca, odkręcił je i leciutko naciskając złotą stalówkę pisał: "Wypracowanie. Moja droga do szkoły. Zmiażdżoną w kieszeni wuja papugę zostawiłem w domu i wyruszyłem w mglisty poranek ulicą, by poznać moją nową nauczycielkę, która okazała się młoda..."

Weszła nauczycielka. Włosy miała mokre, rozpuszczone, czarne i oczy ciemne. Jaonowi wydały się różowe. Cerę miała jasną, jakby należała do blondynki. Jaonowi przypomniała się nieznajoma dziewczynka. Zakochałby się w nauczycielce, gdyby nie to, że kochał już nieznajomą.

- O! - wykrzyknęła nauczycielka. - Dzięki Bogu ładny z ciebie chłopczyk. Bałam się, że przyjdzie jakieś przebrzydłe, okropne chłopaczysko.

- A ja bałam się, że pani będzie starą ropuchą. Aż matka mnie skrzyczała.

- Bo widzisz ropuchę już przemienioną - śmiała się nauczycielka.

- Wypracowanie skończysz w domu. Albo pisz dalej wypracowanie, a ja przestudiuję podręczniki, bym zorientowała się w programie.

Jaon podał jej podręczniki, a nauczycielka wykrzyknęła:

- To z jednej klasy, a ja chcę całą powszechną przerobić z tobą w rok, by zacząć gimnazjum. Muzyki chcesz się uczyć?

- Nie, błagam, nie.

- A szkoda, bo uczę pewną ładną dziewczynkę. Wybierasz francuski, niemiecki czy angielski?

- Francuskiego nienawidzę, niemieckiego też nienawidzę, choć wiem, że mógłby mi się przydać.

- Uzgodniłeś coś z matką?

- Wiem, że ona każe uczyć mi się francuskiego - dodał smutno dumny ze swej uczciwości.

Nauczycielka kazała mu przychodzić w poniedziałki, środy i piątki.

- To wystarczy, gdy nie traci się czasu na innych uczniów. Ale trzeba mieć zawsze odrobione lekcje. Na każdej lekcji, z każdego przedmiotu jest się pytany i nie ma od kogo ściągać. Wprowadzimy dorosłe przedmioty: biologię, matematykę, łacinę, historię - zapowiedziała, gdy wychodził.

Kapliczki w odmienionej kolejności ukazywały etapy jego nowej drogi do szkoły. Tą szkołą była jedna nauczycielka i jeden uczeń.

Jaonowi wydało się, że jego życie jest dziwne.

- Synu, i jaka jest nauczycielka? - spytała matka.

- Cudowna. Piękna. Na imię ma Bożka. Zna trzy języki. Kapała się, gdy przyszedłem. Przerobimy w rok całą szkołę. Mam same dorosłe przedmioty. Umie wszystko. Muzykę też. Powiedziałem jej, że myślałem, że jest starą ropuchą. Wiedziała, o co chodzi i powiedziała, że jest odczarowana.

- Wolałabym, żeby jakiś mężczyzna był tym nauczycielem.

W środę wybiegł wcześniej. Powietrze było lodowate. Mgła wypełniała uliczki, drzewa wyglądały jak cienie olbrzymich ludzi, którzy pilnowali drogi. Na szczycie góry mgła wydawała się mlekiem, które wykijało. Przybiegł za wcześnie i otworzyła mu znów matka nauczycielki. W kuchni było duszno i okna zaparowały. Nieuchwytny zapach przedwojennego mydła doszedł do nozdrzy Jaona.

- Ależ jesteś pilnym chłopcem - zawołała Bożka zza parawanu z przyganą. - Idź i pisz wypracowanie.

- Na jaki temat?

- Na temat dowolny - zawołała Bożka. Dało się słyszeć pluskanie i cichutkie nucenie.

Jaon rozłożył zeszyt i pisał: "... szedłem we mgle, która gęstniała i skraplała się na pękach liści klonów, kasztanów i topoli. Na swojej drodze minąłem trzy kapliczki. Jedna jest na modrzewiu, który rosnąc unosi ją coraz wyżej ku niebu. Miałem pewną prośbę, której nie mogę opisać. Dotyczy mojego ojca. Dalej są trzy krzyże. Pod którymi może jest mogiła? Tam proszę, by pani nie sprawdzała mnożenia. Na te lekcje będę musiał mieć wszystko odrobione. Trzecia jest Matka Boska, duża jak prawdziwa kobieta. Do niej najwięcej wszyscy się modlą, bo farba jest zmodlona, starta od błagań. Ją proszę, by mama zawsze była ze mną".

Bożka weszła do pokoju. Pachniała kąpielą Jaonowi wydało się, że włożyła sukienkę na gołe ciało, jeszcze wilgotne. Gdy wychodził po

lekcjach, zerknął w stronę gdzie Bożka się kąpała. Parawan był złożony i odsłaniał dziecienną wanienkę z miedzi.

Chciał zapytać w jakie dni, w której godzinie Bożka udziela lekcji muzyki tej dziewczynce, ale Bożka mogłaby to jej powtórzyć. W dodatku to mogła być inna dziewczynka. A jednak myślał, czy nie zgodzić się na lekcje muzyki?

Szli szybko przez historię. Mijały dni, a oni mijali stulecia i doszli do wojen perskich. "Więc jeden człowiek - mówił sobie Jaon - spowodował klęskę pod Termopilami, zajęcie Attyki, spustoszenie Aten, poddanie się Beocji i środkowej Grecji?"

- Jak się nazywał? - spytał Bożkę.

Bożka spurpurowiała, zamilkła, a potem wyszeptwała:

- Nie wiem - łzy stanęły jej w oczach, a potem zerwała się i wybiegła z pokoju. Po chwili wróciła ocierając oczy: - Niedobry chłopcze! Nazywał się Effialtes. Niewiele o nim wiadomo. W czternaście lat po zdradzie został zamordowany.

W piątek doszli do wojen peloponeskich. W wojnach peloponeskich nie stanął po żadnej stronie. Zateśknił do perskich, bo nienawidził wschodu, który chciał zniszczyć zachód.

Bożka zdjęła z półki książkę, i zaczęła czytać: - "Od tej chwili zaczyna się już wojna między Ateńczykami, a Peloponezyjczykami (...) W moim opisie wypadki biegną po kolei, według pory letniej i zimowej".

- A wiosna i jesień? - przerwał Jaon.

- Też wolisz wiosnę i jesień? - spytała Bożka. - Pory, gdy jest zimno lub gorąco, męczą mnie i nudzą. Kwiecień jest przyrodnim bratem października. Najpiękniejsze przeżycia przypadają na jesień i wiosnę. Zobaczysz kiedyś.

- Co mnie wtedy spotka? Nie umiem zgadnąć.

- Może będziesz szczęśliwy? Może będziesz się podobał kobietom?

Jaona przeniknęło uniesienie, nadzieja na przyszłość, pewność szczęścia.

- Dziś przerobimy zadanie z matematyki, trudne, ale jeśli nauczysz się rozwiązywać tego typu zadania, otworzy ci się droga do matury - usłyszał głos Bożki. "Z miejscowości A wyjechał pociąg osobowy z szybkością 70 km/godz. W trzy godziny potem wyjechał z tej samej miejscowości pociąg pośpieszny, jadący z szybkością 100 km/godz. W jakiej odległości pociąg osobowy musi zjechać na boczny tor, by przepuścić pośpieszny?"

Jaon widział pociąg osobowy ze staromodnymi wagonami, czarny od sadzy i potem wysuwający się z pod szklanego dachu dworca wspaniały, długi, lekko niosący pociąg z długich pullmanowskich wagonów, jak goni tamten, coraz spieszniej. Widział stacyjkę, na której tamten zepchnięto na boczny tor, zarośnięty wysokimi chwastami. Nie sposób rozróżnić twarzy w oknach pośpiesznego, zamazują się, migają. W którym pociągu jadę? Nie ma mnie w żadnym. Jestem na peronie, czekam na kogoś.

Bożka klasnęła w ręce:

- Nie zamyślaj się. Odrób to zadanie i przyjdź w poniedziałek.

Gdy znalazł się w kościele, specjalnie spóźniony, by się nie

męczyć oczekiwaniem, czy nieznajoma przyjdzie, ona już była. Od matki dziewczynki bił zapach perfum, jakich nie używała matka Jaona przed wojną, ani żadna z jej znajomych. Gdy ta woń połączyła się z kadzidłem, Jaonowi wydawało się, że widzi zarys jakiegoś miejsca, jakieś usta, czerwone, coś mówiące. Rozległ się śpiew:

- "Z miłości ta miłość najczystsza
Z szaleństw ten szal najświętszy
Boga kochanie,
Bogu oddanie,
W Bogu ufanie
Świata rzucenie
Ciebie przyjęcie
W tobie stracenie
W tobie zbawienie".

Nieznajoma dziewczynka odwróciła się w momencie, gdy Jaon tego się nie spodziewał, rzuciła na niego błyskawiczne spojrzenie. Po nabożeństwie nieznajoma dziewczynka starała się iść tak, by Jaon nie mógł znaleźć się przy niej i dotknąć rękawą jej płaszczyka.

Nie biegł za bryczką. Banda dziewczynek szła za nim. Wśród nich była Alinka. Udawały, że go nie znają, nie widzą. Szeptały między sobą i wybuchnęły głośnym, niegrzecznym, wyzywającym śmiechem.

- Która godzina? - zawołała do Jaona Alinka.

Jaon odruchowo zrobił ruch, że nie wie, a dziewczynki wykrzyknęły chórem:

- Która godzina? Wpół do komina. Niech pan się wysmarka. Nie mam zegarka.

A potem wszystkie cztery obróciły się, szły tyłem i pokazywały wieżę kościelną, na której zegar wskazywał 10.15. Gumka Myszka zrobiła skok w jego stronę i stanawszy na jednej nodze, zawołała przytłumionym głosem:

- Wszyscy wiedzą, co robiłeś z Jajo-Pajęczycą w ustępie.

Jaon stanął oburzony, dotknięty, ośmieszony tym kłamstwem.

- Co za jakaś Pajęczycą? - zawołał.

- Wydłubywałeś jej kupkę z dziurki - rzuciła Gumka Myszka.

Alinka podbiegła do niego i pisnęła:

- Nie udawaj, że mnie nie znasz - i uciekła do koleżanek.

Podbiegła do niego Mątwą Ośmiornica, wykrzykując tak szybko, jak na zabawie, kto najprędzej powie:

- Jajo-Pajęczycą - bo chodzi z Pajakiem Wackiem, a nie z tobą - i uciekła, a wtedy - widać były umówione z góry - Larwa Poczwarą zwróciła się w jego stronę:

- A jak cię spotkamy, to cię zlejemy - zapowiedziała, po czym uskoczyła do przyjaciółek.

W tej chwili minęła go bryczka z nieznajomą dziewczynką i jej rodzicami. Zadrżał, że dziewczynka widziała wszystko, a może słyszała ostatnie słowa.

Gdy znalazł się w domu, zobaczył kogoś, o kim zapomniał. Był to pan Czyżkowski. Upředzając go grzeczny także dla dzieci, podał rękę Jaonowi, a nawet lekko się uniósł, jakby witał dorosłego, ale nie przerwał rozmowy z matką Jaona.

- Jaoniku? Może byś się przeleciał po ogrodzie? - zaproponowała matka.

To znaczyło, że rozmowa jest ważna. Jaon, znalazłszy się pod granicą posesji, nie mógł zgadnąć, co to za nowa sprawa, o której on nie może wiedzieć. Ponieważ matka nie zakazała mu być w przylegającym do saloniku pokoju, a tylko pobyc w ogrodzie, a on był nawet dalej, uznał, że wypada mu wrócić. Nie było to podsłuchiwanie, o którym matka powiedziała, że jest złodziejstwem, bo rozmowa dochodziła go w postaci cichego szmeru.

Na ganku rozległy się tupania i szurania. Można było poznać po nich wuja Rudolfa. Dawniej, gdy byli na wakacjach, wchodził przez przybudówkę i szedł przez pokoje, pukając cicho do kolejnych drzwi, zagłądając, gdzie ich znajdzie.

- Znowu nie zamiecione na ganku. Coś wam przywiozłem - od wojny mówił głośniej, jakby z gniewem i nie dotyczyło to tylko ich, bo następne słowa musiały odnosić się do pana Czyżkowskiego:

- Po przyjacielsku ci powiem: nie rad cię tu widzę.

- Rudolf? - wykrzyknęła matka.

- Siostró nie mam czasu ani nastroju wyklócać się z tobą. Chodzi o ważną sprawę, którą z Janem najlepiej byłoby załatwić nie w twojej obecności, ale trudno. Jeżeli wykorzystując rozpacz po śmierci męża, wciągnęłaś w coś tę nieszczęśliwą kobietę, wymawiam ci dom. Jej nakazuję się wycofać, inaczej wstrzymam jej pomoc. Ty ją będziesz utrzymywać. Narażasz siebie i ludzi. Nim armie niemieckie wyruszyły w pole, gestapo wiedziało, gdzie kogo szukać. Mamy pewien przykład w rodzinie. Wygarną nas. Niepodległość Polski nie przyjdzie bez upadku Niemiec. Nie pokonaliśmy ich, teraz tym bardziej nie pokonamy. Obowiązkiem jest ocalić jak najwięcej i czekać na zwycięstwo wielkich mocarstw. My już daninę złożyliśmy. Nawet w tym domu jest tego potwierdzenie w nieszczęściu, jakie widzisz.

- Rudolfie - przerwała matka. - Jeszcze ja mam coś do powiedzenia...

- Ty nie masz nic do powiedzenia.

- Panie - zwróciła się matka Jaona do pana Jana - nie chcę, by pan odchodził w takiej chwili. Niech pan poczeka. Podzielę się tym co mam z wami, którzy znów, który to już raz, zaczynacie walkę. Drzwi saloniku otworzyły się gwałtownie, matka przebiegła przez pokój paniński, nie dostrzegając, czy udając, że nie dostrzega Jaona. Jaon w ułamku sekundy domyślił się, co matka chce podarować panu Janowi. Ogarnęło go uniesienie. Przebiegła powtórnie z dwoma garnkami smalcu, jeden był wsunięty w drugi.

- To tylko smalec, ale pozornie - mówiła matka - bo w tym jest najserdeczniejszy przekaz, jakby mój mąż poległ sam wam to przekazywał, by dodać wam sił w walce.

- Co ty pleciesz pleciugo? - wybuchnął wuj. - Pocę się ze wstydu słuchając tych bredni. Zanieś z powrotem smalec.

Zapadła cisza. Matka nie usłuchała. Pan Jan po dłuższej chwili opanowanym głosem powiedział:

- Pani, w swojej sytuacji oddaje nam tyle tłuszczu? Może się

okazać ważniejszy od wszystkiego. Daje przetrwanie, o którym mówił Rudolf.

- Daję go pod warunkiem, by tylko zakonspirowani ludzie go jedli.

Niech nie topią tego smalcu, nie stawiają na ogniu, niech wgłębią nóż i dosięgną skwarków, by równomiernie smarować.

- Przecież Jan myśli, że zwariowałaś. Jan, bierz smalec i idź!

Jaon wybiegł przez przybudówkę do ogrodu, chcąc uniknąć kontaktu z wujem. Wszedł za krzaki dzikiej róży. Otworzyło się okno saloniku i ukazała się w nim matka:

- Jaaaooon! Jaaaooon!

Pobiegł za krzewami, przypadł do domu i posuwając się wzdłuż ściany domu przypadł do okna. Matka, patrząc w głąb ogrodu, drgnęła przestraszona.

- Co za dziecinada? - wykrzyknęła i zaraz zrozumiała: - A, przed wujem się chowasz? Pojechał. Nad naszymi głowami zbierają się chmury. Gdy wyszliśmy na ganek odprowadzić gościa, wuj przy panu Janie powiedział, że widuje się ciebie tylko z dziewczynkami, nawet całą grupą. Pan Jan próbował ciebie bronić: - "Cóż może być piękniejszego? Tylko one są warte zakochania. To wróżki, księżniczki, aniołki. Jestem zdolny pokochać tylko dziewczynę, którą znałem jako dziecko. A prowincjonalne dziewczynki? Tajemnicze. Samotne. Mają tyle sekretów. Gdy byłem w podchorążówce, taka dziewczynka przychodziła na wały cytadeli zbierać kwiatki". Gdy zostaliśmy sami, wuj powiedział, że nakazuje ci wrócić do szkoły, inaczej "nie zdobędziesz nawet świadectwa ze szkoły powszechnej i zmarnujesz się". Jeśli tego nie zrobimy, cofa nam pomoc. Odpowiedziałam, że będę sprzedawać biżuterię. On na to, że żywność drożeje z godziny na godzinę, a ja rozdaję tłuszcz. Ciekawe czy za pierścionek tyle dostanę, by odkupić smalec. Nie ma dzieci. Chce się stać dla ciebie ojcem. Ponieważ nie zna dzieci, nie rozumie ciebie. Miałeś niezwykłego, wspaniałego, dobrego ojca i będziesz go zawsze pamiętał, więc tu nie ma miejsca na żadnego nowego, surowego ojca. Powiedziałam to oględnie wujowi. Wuj rzucił się na mnie: - "Po twoim dzisiejszym zachowaniu wnoszę, że robisz się niezrównowazona. Zastanowię się, czy nie odebrać ci praw rodzicielskich nad Jaonem".

- Co odpowiedziałaś?

- "Mój mąż, a ojciec Jaona opiekuje się nami z wielkiej oddali i nie da nas skrzywdzić. Mogą znaleźć się jego towarzysze broni, którzy zażądają zdania sprawy z opieki nad nami".

- Nie weźmiesz mnie od panny Bożki? - spytał Jaon.

- Nie synu. Sztama? - spytała gwarą uczniacką i wyciągnęła rękę. Jaon chwycił jej dłoń w swoją, potrząsnął, wołając: - "Sztama, sztama" - i ucałował przytulając się do niej twarzą.

- Mamo, powiedziałaś, że ojciec opiekuje się nami z oddali - powiedział Jaon z nadzieją w głosie.

- Syneczku. Jesteśmy sami, ale nie ma większej potęgi na świecie niż my dwoje, zjednoczeni. Zwycięzimy nawet Niemców.

Znienacka otworzyły się drzwi od pokoju dziadków i w progu panińskiego pokoju stanął wuj.

- Zawróciłem. Nie mogę was tak zostawić.

Widać było, że w czasie, gdy odjeżdżał, gniew w nim wezbrał.

- Nie raczyliście zainteresować się, co wam przywiozłem - rzucił się do paczki stojącej pod fortepianem i zaczął szarpać sznurek.

Gdy żadnego z węzłów nie udało mu się rozplątać, przedarł papier i wyszarpnął marynarkę od garnituru marengo, ubranie z chesucy, płaszcz z aksamitnym kołnierzem. Tak znajome! Przypominające wuja, a z dawniejszych czasów ojca, i jego sylwetka spłaszczona, pozbawiona wypukłości, bezcielesna, zmięta przywiodła najboleśniejsze wspomnienie.

- Mało zniszczone. Przebierałem się w nie, gdy jechałem do Warszawy, by wam nie robić przykrości, że ich nie noszę. Teraz możecie je przerobić dla Michała. A ty Michał - wściekłość wuja przybrała na sile aż tracił głos: - Od dziś przestajesz być francuskim pieskiem, pokojową zabaweczką. Po szkole będziesz piłował z synem dzierzawczyni drzewo i sam rąbał, aż urąbiesz zapas na zimę. Siekiera jest w schowku. Oswoisz się z materiałem. Po ukończeniu szkoły pójdziesz do terminu. Stolarz zgodził się ciebie przyjąć już teraz, na dwa dni praktyki w tygodniu.

- Proszę natychmiast przestać - powiedziała matka. - Jaon wyjdź do ogrodu i baw się.

- Mamo, nie zostawię cię.

- Masz, nie słucha cię. Pierwsze oznaki. Niech zostanie. Niech wie, że mielibyście na przetrwanie wojny, ale u was kupowało się najdroższe wino skrzynkami, a potem nie piło się go, miało się dwie służące, nauczycielkę francuskiego, posyłało jedynaka do najdroższej szkoły, gdzie chesne wynosiło tyle, co na uniwersytecie. Na wojnie skorzysta ruski. Stoi na boku. Hieronim, jak nocowałem u niego, pociągnął mnie do okna i pokazywał drzewo w ogrodzie: - "Na nim - powiesz - powiesz mi czerwoni, na tej większej gałęzi, na mniejszej moją żonę. Nie będzie sprawdzania ausweisów. Każdy pokaże ręce".

- Hieronima nie tylko nie powiesz, ale on pierwszy stanie się komunistą, gdy wkroczą Rosjanie - przerwała matka. - Jeszcze żadne jego przewidywanie nie sprawdziło się.

- Co do Michała, okazuje się, byliśmy od początku tego samego zdania.

- Rozmawiacie o nim jakby był dorosłym mężczyzną, czy waszym rywalem? Czemu milczałeś tyle lat?

- Nie chciałem popaść w niełaskę na dworze siostry mojej.

- Bałeś się nas, którzyśmi cię tak kochali? A teraz, kiedy nie ma Józefa, pozwalasz sobie na wszystko?

- O czym wolno było z tobą mówić? Jedyne temat to Lena, albo rozpamiętywanie bez końca przyczyn śmierci Natalii, z ominięciem prawdziwej. Ja ją zdradziłem i przeszedłem na twoją stronę, stronę szczęściarzy, której wszystko słało się pod nogami.

- Co ukrywałeś przede mną?

- Straszysz mnie Józefem. Boję się wymówić tego imienia.

- Co ma do tego Józef? - z niepokojem spytała matka.

- Natalia widziała go przed tobą. To było w kościele. Zakochała

się do szaleństwa, a potem ujrzała was razem.

- Józef nie pokochałby jej.

- Natalie, jakiej nie pokochałby Józef przedtem stworzyłaś ty.

- Ty prowadzisz interesy? Pozostałaś nieuleczalnym romantykiem.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić? Czy w tym jest aluzja, że jestem niedołączy, czy że ktoś mi pomaga?

- Nie to miałam na myśli.

- Przypisujesz sobie zasługę, że poddałaś mi myśl skontaktowania się z Łatyńskim?

- Bracie, bądź znów moim ulubionym Rudolfem! Przestańmy się na siebie gniewać.

- W twojej sytuacji nie powinnaś tego mówić. Upokarzasz się i tylko mnie drażnisz.

Zapadło milczenie. Nagle wuj Rudolf przypomniał sobie o Jaonie.

- Kręcisz się między dorosłymi? Myślisz, że jesteś dorosły? Won stąd - wrzasnął, zrywając się. - No? Już, ale to już - i zamierzył się, chcąc uderzyć Jaona.

Matka Jaona zerwała się i rzuciła między brata i syna, chcąc ich przedzielić, ale Jaon prześlizgnął się między jej rozpostartymi rękami, pochylił się i z rozpędu, całą siłą uderzył wują głową w brzuch. Wuj jęknął z bólu, zdziwienia i oburzenia.

Jaon nastawił pięści, ale matka chwyciwszy wują Rudolfa za ramiona, zaczęła go popychać, aż przyparła go do ściany.

- Najpierw mnie musisz bić, a nawet zabić, nim go tkniesz - powiedziała szeptem. - Idę na grób naszych rodziców. Będę się modlić za nich, za ciebie, za nas wszystkich. Zostanę na cmentarzu, aż nie opuścisz tego domu.

- Na twoim miejscu nie narażałbym zdrowia, ale zrobisz jak zechcesz. Przypominam, że nie masz prawa wypraszać mnie z domu, który w połowie jest moją własnością, a niedługo, ponieważ los cię zmusi do sprzedaży twojej części, będę jedynym właścicielem - odrzekł wuj i usiadł na pluszowym fotelu na znak posiadania domu.

- Dostałam mdłości od tej rozmowy - powiedziała matka.

- To zwymiotuj - odparł wuj Rudolf.

Matka zbladła i przyłożyła dłoń do ust.

- Brzydę się bardziej histerią, udawaniem, niż wymiotami - rzekł wuj. - Proszę, wymiotuj. Widzisz, nie tak łatwo? Nie możesz się zmusić?

- Bracie jesteś taki niemiły, bo gniewasz się na siebie za swoją dobroć, o wydatki dla nas. Znów wydajesz się sobie słaby i dlatego tak srogo do nas przemawiasz.

Znaleźli się w pokoju dziadków. Jaon ukląkł przed matką:

- Mamo, błagam cię, nie chodź na cmentarz. Zaziębiesz się.

- Boisz się, żebym nie umarła? Dobre dziecko, jedyna istota, którą mam, która mnie wspiera i opiekuje się mną. Ale muszę powiedzieć coś twojej babce. Ojciec odjechał, odjechaliśmy go.

- Mamo, dziwnie mówisz. Pójdę z tobą - Jaon zerwał się i zaczął się ubierać.

- Dziecko, ciągle cię włączę po cmentarzach. Wybaczysz mi to kiedyś?

- To nie twoja wina mammo.

- Ale pamiętaj synu, na zawsze, na każdą chwilę przyszłego życia: on miał prawo pójść i nas zostawić. Starożytni, o których się uczysz, uważali, że mężczyzna, który dał ojczyźnie syna, mógł polec dla niej bez wahania. W 1920 roku nie mieliśmy jeszcze ciebie.

- Czyli gdyby mnie nie było, ojciec by nie poległ?

- Głuptasie, na ciebie byłoby już za późno.

Była to jeszcze jedna droga z czasów wojny. Matka wzięła go za rękę. Po chwili poczuł, że to ona trzyma się jego ręki. Poczł dumę i zaraz przypomniało mu się, że przed chwilą stoczył swoją pierwszą walkę w życiu i to z dorosłym mężczyzną. Na cmentarzu matka szła pod górę, aż zatrzymała się przy ogromnym dębie, pod którym był grób, obramowany piaskowcem. Grobowiec uniesiony był przez korzeń dębu, który podważył płytę.

- Mój Boże - wykrzyknęła matka.

Jaon myślał, że matka przejęła się tym, że grób jest rozsadzony przez korzeń drzewa, ale matka mówiła dalej do Jaona, patrząc mu w oczy, ale Jaon niepokoiło, czy go widzi. Mówiła jakby do siebie:

- Co się ze mną dzieje? Idąc tu zapomniałam, że z nimi leży Justyna. Po co tu szłam? Justyna, niech mi wybaczy, słyszy moje myśli, była prześliczna i wszystkich odtrącała: - "Cóż pan widzi we mnie? To jakiś podstęp. Pan sobie kpi ze mnie mówiąc, że mnie kocha". Justyna poczuła ulgę, zobaczywszy mnie z Józefem, bo myślała, że twój ojciec by ją odrzucił, a tak oszczędziłam jej tego. Nieszczęsny Rudolf ze swoimi rewelacjami. Wykupił sobie tu miejsce. Będzie leżał wzdłuż, w nogach twoich dziadków, jak wtedy, gdy był dzieckiem i robiliśmy sobie fotografię. Dla mnie nie ma miejsca. Zresztą chcę być z twoim ojcem. Zapamiętaj. Mogiłka żołnierska pod darnią. Przebacz, przebacz, że to powiedziałam. Polacy mają tylko groby. Ziemia należy do najeźdźców. Na górze może być, co chce, ale metr w głąb ziemi jest Polska. Jaon, nie mogę powstrzymać się od mówienia. Czuję gorączkę. W dodatku muszę iść na stronę, ale natychmiast, mój Boże, przecież to cmentarz, grób matki. Jaon, zostaw mnie. Uciekaj stąd, ale już.

Biegając, słyszał straszne, ohydne odgłosy. Wstyd, zgorszenie i rozpacz opanowały Jaona.

Po jakimś czasie w alejce na dole cmentarza ukazała się matka: blada, ledwie szła.

- Jaon, coś dziwnego się ze mną dzieje. Musiałam się bardzo przejąć

awanturą z twoim wujem. Odprowadź mnie do domu. Tylko jakaś częśćka mnie żyje dla ciebie.

Słaniała się. Jaon chwycił ją pod rękę. Doszedł do niego odrażający zapach. Poła płaszczka matki była uwalana w lepkiej, cuchnącej mazi.

- Gdzieś daleko mnie prowadzisz - utyskiwała matka coraz powolniej idąc i wspierając się na Jaonie. Chwilami zataczali się, jak pijani. Zastanawiał się, co będzie, jak upadnie z matką pod jej ciężarem.

- O? Dom? - powiedziała matka ze zdziwieniem, poznawszy ustawione w czworobok budynki, zatrzymała się i zaczęła niespodziewanie silnym głosem wołać: - Dziurzyna! Dziurzyna!

Jaon wrzeszczał razem z nią. Zobaczywszy wypadającą z domu służącą i dzierzawczynię, matka osunęła się i upadła na szosę.

Zjawił się doktor. Widać posłano po niego Dzidka. Matka była już w łóżku i doktor, nie patrząc na nikogo, zamknął za sobą drzwi od pokoju dziadków.

Jaon położył się na ziemi. Znał akustykę starego domu i wiedział, że przyłożywszy ucho do podłogi słyszy się, co dzieje się w najbliższych pokojach. Matka głosem zachrypniętym tubalnie powiedziała dwa słowa:

- Sram krwią!

Nie używała takich słów. Jaon nie przypuszczał, że je zna. Zaraz zorientował się, że dzieje się coś niewłaściwego, bo spytała:

- Plotę, doktorze? Do czego dochodzi się z biegiem lat! Gdy byłam młodą panną brzydziłam się wyjść za swoją potrzebą, dostałam obstrukcji i pan doktor nie mógł znaleźć przyczyny. Nie dobro mnie interesowało, tylko piękno...

Zapadła cisza. Po kilku minutach doktor wyszedł, zażądał gorącej wody. Podwinąwszy rękawy, mył ręce. Jaon, Dziurzyna i dzierzawczyni wpatrywali się w te czynności czekając co doktor powie. W zupełnym milczeniu wycierał ręce, odwijał mankiety, wkładał marynarkę, wreszcie zwrócił się do nich:

- Jest gorzej niż przypuszczacie. Chora na czerwonkę. Za późno się o siebie martwić. Albo jesteście zarażeni, albo nic wam nie będzie. Na choroby zakaźne zapadają mniej odporni. Zarazki są wszędzie. W tym pokoju jest co najmniej jeden zarazek trądu. W tym klimacie nie może was zaatakować. Niemieckie zarządzenie nakazuje natychmiastowe odtransportowanie chorej do szpitala. Dla niej znaczyłoby to śmierć. Ten przypadek zataimy. Dawać mi znać o wszystkim. W razie najmniejszej zmiany na gorsze, biec po mnie. Budzić w nocy. Chora ma wyższą, niż to bywa przy czerwonce, gorączkę.

- Jeszcze wydam pewne rozporządzenia - usłyszeli daleki wyraźny głos matki.

Jaon pomyślał, że przed śmiercią chce rozporządzić jego losem.

- Mamo! - wrzasnął, rzuciwszy się do pokoju.

Matka podniosła rękę na znak, by milczał.

- Pierwsza rzecz, to wyjdź dziecko. Nie wolno ci się nawet zbliżyć do moich drzwi. No, najmilszy żegnamy się tylko na parę dni.

Chwilę odpoczywała, a potem przywołała Dziurzynę. Nie doszło do jej świadomości, że Jaon stoi w drzwiach. Chciał słyszeć. A jeśli to jej ostatnie słowa?

- Dziurzyno, proszę iść do pani nauczycielki Jaona i powiedzieć jej, nie wchodząc do domu, że Jaon przerwie lekcje. Ani Dziurzyna, ani Jaon nie są zarażeni, ale możliwe, że tę chorobę przenosi się na siebie, będąc zdrowym.

- Jezu, Mario - przeżegnała się Dziurzyna.

Okryła się kraciatą chustą, którą miała w Warszawie. Wychodziła z

ociąganiem, jakby obawiała się, że nie zastanie swojej pani żywej. Mgła przemieniła się w deszcz tak drobny, jakby rozpylała go fontanna. Dziurzyną zszedłszy ze schodów tylnego ganku, odwróciła się do Jaona i pokazując niebo zawołała:

- Bóg wybrał dziś najmniejsze sitko - i przeżegnała się znów.

Jaon zamieszkał na czas choroby matki w alkówce bez okna. Nie mógł tu czytać z powodu ciemności. Pomyślał, że jest w Adenie na kwarantannie, bo podejrzewają u niego dżumę. Zarazem pokoik był kajutą okrętu. Jaon usypiając czuł ruch fal, głębokie kołysanie. Wiedział, że płynie krążownikiem, jako ważna osoba w misji specjalnej do kolonii.

Obudził się oczekując, że przypomni mu się jakiś straszny sen, ale nie sen mu się przypomniał. Zerwał się, przebiegł przez dom i przyłożył ucho do drzwi matki. Były zawiązane gazą. Obok stała miednica, wiadro z wodą i soda do mycia rąk. Za każdym wyjściem z tego pokoju, Dziurzyną myła ręce.

- Całe życie tyle razy nie umyłam się, co przez to rano - przyznała się Dziurzyną komuś, kto na pewno był jego matką i matka żyła: - Ale ręce mam bielutkie, jak sprane, aż mi zmalaty.

Odpowiedzi nie było, widać matka nie miała siły rozmawiać.

Dziurzyną wyszła i zobaczywszy Jaona powiedziała:

- Pani pozdrawia panicza, pyta o zdrowie. Rozporządziła, że panicz Jaonik będzie srał do nocniczka.

Jaona zaniepokoił tytuł, którego użyła wobec niego. Liczyła się ze śmiercią matki, widziała w nim rozkazodawcę, a może chlebodawcę? Jego myśl nie powstrzymana poleciała świętokradczo naprzód: byłoby dziwne mieć własną służącą na rozkazy, jak Murzynkę-niewolnicę. Przyniosła mu nocnik do alkówki.

- Pani osobiście chce widzieć każdą kupę panicza, a ja będę gównonosiła w dwie strony.

Jaon wstydził się, ale cieszył się, że nie ma Maniuni, bo od niej by tego nie zniósł. "Gdyby mama miała umrzeć, lepiej bym się zaraził i umarł w ten sam dzień, nie przed nią, by jej nie krzywdzić" - myślał, ale nie wierzył swoim myślom.

Zahuczały kroki na ganku. Wuj oznajmił w ten sposób swoje przybycie. Jaon zapomniał o nim. Wyjeżdżał od wujenki, czy cały czas był tu? W dawnej kancelarii dziadka, lub w pokoiku nad stajnią? Nie odezwawszy się do Jaona, jakby go nie było, wszedł do pokoju dziadków. Po chwili dał się słyszeć jego głos:

- Siostró, trzeba cię ratować i natychmiast odwieźć do szpitala.

Matka nie odpowiedziała. Była nieprzytomna, nie miała siły, czy uznała, że nie warto. Jaon wbrew zakazowi wszedł do pokoju dziadków. Matka miała zamknięte oczy i chyba była nieświadoma obecności wuja i Jaona. Wuj dalej udawał, że go nie widzi.

- Wuju - powiedział Jaon. - Doktor powiedział, że szpital to pewna śmierć.

- Twój los się też przy okazji postanowi.

- Nie pozwolę mamy wywieźć.

Był gotów do walki. Ale wuj ominął go wzrokiem i nie odpowiedział.

Uchyliła drzwi Dziurzyną:

- Jaonik niech wyjdzie. Tak chciała pani.

Wieczorem goniec z poczty przyniósł telegram, jakby zła wiadomość miała nie wyjść od nich, ale jakby ktoś ich zawiadamiał o chorobie matki. Wuj przyjął depeszę, otworzył, przeczytał i schował.

Wiadomość ucieszyła go. Nie wiadomo dlaczego spojrzął na Jaona z tryumfem.

Jaon ledwie usnął, zobaczył anioła, który nie mógł się wzbic w górę i uderzał bezradnie skrzydłami o ziemię, wzniesając tuman kurzu. Fotografia jego ojca była zawieszona na niebie. Usta w niej poruszały się, mówiły jakieś słowo i Jaon tak natężał wszystkie siły, by je zrozumieć, że obudził się. "Co może mi radzić, czy nakazywać ojciec?" - zgadywał Jaon mokry od potu. Zerwał się i włożywszy na nocną koszulę płaszcz obiegnął naokoło domu, by nie przeszkadzać matce. Cisza w domu dziadków przerażała go. Chciał dowiedzieć się czegoś od Dziurzyny. Był głodny. Przez okno kuchni zobaczył wujka Rudolfa, ciotkę Honoratę i nieznajomą, młodą panią, jedzących śniadanie. Usługiwała im Dziurzyna - co rozżłościło Jaona, bo pomyślał, że powinna zapytać go o dyspozycje. Zawrócił, ubrał się i siadł pod drzwiami pokoju, gdzie leżała matka.

Usłyszał za sobą słowo:

- Pozwól!

Ujrzał nieznajomą panią, którą widział przez okno kuchni. Poczłł niebezpieczeństwo. Przypomnienie dawnego wydarzenia, gdy nieznajoma pani powiedziała do niego: - "Pozwól chłopczyku" - ogarnęło go z całą mocą.

Wprowadziła go do kancelarii dziadka, która pierwszy raz była otwarta. Pokój podzielony był barierką, zachowaną sprzed lat. Stało tu ogromne, zasuwane na żaluzje biurko, wystrzępiony fotel i stół przykryty zielonym sukniem, przy którym zgromadzili się: wuj, wujenka Honorata i nieznajoma pani.

- Długo wysypia się młody panicz - rzekł wuj.

Jaon pocałował w rękę wujenkę i zwrócił się do nieznajomej damy, która była tak nieśmiała, że witając się z Jaonem wstała.

- Jestem twoją daleką, daleką kuzynką, ale nie ciotką, bo wypada, że jesteśmy rodzeństwem cioteczno-cioteczno-ciotecznym - przykucnęła i nadstawiła policzek, który Jaon ucałował skwapliwie. Na ustach poczuł smak pudru. Wuj zrobił gest, dając Jaonowi do zrozumienia, że z nim powitanie jest zbędne i odezwał się:

- Michał zostanie, przyda się na protokolanta. Będiesz zapisywał w streszczeniu, jakie kto zajmuje stanowisko. Prastarą instytucję rady rodzinnej powołałem, by podjąć ważne decyzje, których jako opiekun Julianny i małego Michała sam nie chcę podjąć.

Zgromadziłem wszystkich, którzy z rodziny pozostali, czyli mnie, kuzynkę Lidę, moją współpracowniczkę Honoratę, którą uważam za moją żonę, czyli pełnoprawnego członka rodziny. Rozporządzam dwoma głosami, ponieważ zaproszony jedyny żyjący członek rodu ojca Michała, jego stryj Hieronim oddepeszował następująco: - "Nie mogę przybyć. Głosuję wraz z żoną za postanowieniami opartymi na twoim stanowisku. Hieronim". - Proponuję następujące punkty: pierwszy,

umieszczenie Julianny w szpitalu...

- Nie pozwolę matki zabrać! - zerwał się Jaon.

- Milcz szczeniaku - wrzasnął wuj.

- Jeśli jestem szczeniakiem, to wuj jest starym psem - odparł Jaon.

- Jezus Maria! Co za dziecko! - wykrzyknęła kuzynka Lidia i zapomniawszy imienia Jaona zwróciła się do niego: - Chłopczyku, jesteś paskudny, obrzydliwy.

- Dobrze się stało! - wykrzyknęła wujenka. - Zobaczyła pani, droga kuzynko na własne oczy, jak jest - i zwróciła się karcąco do wuja:

- Mówiłam, byś się nie wdawał z dzieckiem w dyskusje. Sam krytykowałeś, gdy robiła to jego matka. Gdyby nie to, że ma wiedzieć, że nie ma tu żadnych tajemnic i by wiedział, jak troszczymy się o niego, kazałabym mu wyjść. Ale Michałku - zwróciła się do Jaona. - Jeśli masz zamiar przeszkadzać będziesz musiał wyjść i wiedz, że nikt nie ulegnie twoim zachciankom, zostaniesz wyprowadzony siłą. Jeśli chodzi o szpital...

Wuj podniósł dłoń i przerwał wujence Honoracie.

- To, co robimy jest ukrywaniem chorej. Możemy dostać się do obozu.

- Naraziliśmy się podwójnie, przyjeżdżając. To jest dom zadzumiony. Nie mamy prawa godzić się, by dziecko było narażone. Ktoś musi decydować. Nie możemy zdać się na Dziurzynę, która nie ma rozeznania w żadnej sprawie i jest służącą. Ta przykra odpowiedzialność spada na nas. Musimy albo oddać Juliannę do szpitala, albo zabrać dziecko.

- Ja jestem za oddaniem Julianny do szpitala - rzekł wuj Rudolf. - Tu nie ma leczenia. Głosujemy. Moje dwa głosy za. A wasze? Przeciw? Czyli za zabranie dziecka? Michał pakuj się.

Przełamując nieśmiałość odezwała się kuzynka Lidia:

- Chora nie jest nieprzytomna. Może ją zapytamy o zdanie?

- Nie wolno jej denerwować! - wykrzyknął wuj. - Przechodzimy do drugiego punktu narady rodzinnej, który wynika z pierwszego. Los sieroty. Niedługo biedna Julianna wytrzyma na tej ziemi. Pójdzie za Józefem. Kto weźmie Michała na utrzymanie w czasach głodu? Kto weźmie odpowiedzialność? Widziałyście to same, jakie to dziecko, jak wielkie błędy popełniono i jak niezwykle trudnym zadaniem będzie ich odrobienie. Chłopczyk, który nazywa swojego wuja, opiekuna, starym psem. Ostatnia chwila, by go ratować. Nie uczy się. Jakieś fikcyjne lekcje poza programem szkoły z młodą panią...

- Rudolf, nie kończ - przerwała wujenka Honorata i zwróciła się do Lidii: - Nie znasz Rudolfa. To człowiek, który dusi się w czasie pokoju, w latach cichych, bezbarwnych. Jego wielkość wychodzi w latach wojen, nieszczęść.

Jaon miał wrażenie, że wuj i wujenka mówią tylko do siebie, przekonują się wzajem. Zachowywali się, jakby matka dawno nie żyła i była zapomniana, a Jaon sam na świecie.

- Zdanie z depechy Hieronima mówi wyraźnie, że na niego Michałek nie może liczyć. Ma tylko nas. Jest zdany na nas. Musi to

zrozumieć - ciągnęła wujenka. - I my zdecydowaliśmy się mu pomóc. Lidio, przez to nieszczęście, że nie mogliśmy się pobrać i nie mamy dzieci, i dla mnie za późno, by je mieć, chcemy Michałka przyjąć jako własne dziecko. Od dawna interesował mnie i lubiłam go znając z opowieści Rudolfa. Nie danym mi było go ujrzeć, dokąd im się nie zdarzyło nieszczęście. Wiemy, że bierzemy dziecko nad miarę rozpieszczone, które próby okiełznania przyjmie z oporem i już w tej chwili w błysku olśnienia widzimy przyszłość: że za nasze poświęcenie odpłaci nam niewdzięcznością. Ale nam nie brak odwagi, gdy potrzebny jest ratunek.

Wujenka mówiła nie patrząc na Jaona. Jego los planowała przy nim, zwracając oczy ponad jego głową do wuja Rudolfa, który przytakiwał jej z gniewną i tragiczną miną.

Kuzynka Lidia nie patrzyła na Jaona od chwili, gdy nazwał wuja starym psem. Jaon był dumny, że zdolny jest do takiej niegrzeczności. Powziął decyzję, której nikt tu się nie mógł domyśleć. Jeśli matka umrze i on się o tym upewni - lepiej niż to zrobił, gdy widział ojca w trumnie - nie będzie czekać na pogrzeb. Mogliby go potem siłą zawieźć do wujostwa i zamknąć. Ukradkiem pożegna matkę, zabierze motek z biżuterią i popędzi na stację, pod semafor, gdzie zatrzymują się towarniaki. W osobowym zwróciłby uwagę. Może uda mu się wskoczyć w pierwszy idący na północ, który zahamuje na zwrotnicach. Domu już nie ma. Frania nie żyje. Stryj Hieronim jest niebezpieczny. Jaon skieruje się do pana Woynickiego, prosząc by przyjął go do końca wojny. Wręczy mu biżuterię, jako zadatek na koszty utrzymania. Resztę zwróci mu, gdy będzie dorosły, a gdyby państwo Woyniccy nie żyli, będzie się opiekował Niką, a może nawet z wdzięczności z nią się ożeni. Było mu żal, że już jej nie kocha. Miał nadzieję, że będzie go żałować, i że przed snem będzie przychodziła do niego i całowała go.

"Jeśliby mnie chcieli brać zaraz, będę gryzł, pluł, drapał, bił".

Będzie wujowi mówił rzeczy straszne. Spowoduje, że go znienawidzą i pozbędą się go.

- Trzeci punkt - wykrzyknął wuj - sprawa posesji. Ja umożliwię jej łatwe zbycie, w tych czasach, gdy nikt nie kupuje nieruchomości.

Po prostu chodzi o mnie. Ja jestem jedynym amatorem.

- Czy aby pod względem prawnym nasze postanowienia będą ważne? - spytała kuzynka Lidia. - Żeby nie było przykrości. Spłacałam cudze weksle, dopiero wojna mnie uratowała.

- Haaa! - podniósł głos wuj. - Wojna uporządkuje świat. Co było niesprawiedliwe, mętne, zagmatwane, wyrafinowane, słabe, musi zginąć.

Jaon pomyślał, że wuj użył słowa "zginąć" robiąc aluzję do jego ojca. Zerwał się i wykrzyknął:

- Nie myśl wuju, że ojciec mój poległ.

Ośłupienie ogarnęło wujenkę, kuzynkę Lidię i wuja. Jaon mówił dalej:

- Rozgłosiliśmy o śmierci ojca, bo tak kazał schodząc do podziemia. Nie ma go w trumnie. Każdej chwili może się tu zjawić, pomścić matkę i mnie.

Lęk i niedowierzanie odbiło się na twarzy wuja:

- Matce będzie przykro, że papłasz o ojcu co ci ślina przyniesie na język.
- Mama będzie się gniewała, że złamałem rozkaz ojca i zaprzeczy - odrzekł Jaon.
- Mały fantasta! Potwór! To dziecko nie jest normalne!
- wykrzyknęła kuzynka Lidia.
- Tymi bredniami znieważył pamięć ojca - zawołał wuj. - Wyjdź teraz aż cię nie zawołamy - a ciotka dodała, gdy Jaon był w drzwiach:
- Pakuj po trochu rzeczy. Poproś Dziurzynę, by ci pomogła.
- Nie! Ojciec kazał mi tu czekać na siebie! Jestem zarażony! Czuję zaczynającą się gorączkę. Wyjdę, by was nie zarazić - krzyczał Jaon.

Poszedł pod drzwi pokoju dziadków. Matka rozmawiała z kimś cichutko, chyba z Dziurzyną. Czy Dziurzyna wie, co grozi Jaonowi i powiedziała matce? Z życiem czy śmiercią matki decydowało się jego życie. Matka jeszcze żyła, a on poznał pełne sieroctwo.

Dziurzyna nieoczekiwanie wypadła z pokoju matki potrącając go drzwiami. Wynosiła nocnik okryty ścierką. Jaon zajrzał do pokoju. Matka od razu go zobaczyła:

- Syneczku! Nie zbliżaj się. Ta choroba jest wstrętna. Nie chcę byś mnie tak zapamiętał.

Bał się jej powiedzieć, co mu zagraża. A nuż by to ją zabiło? Czy nie jest to ostatnia chwila na ucieczkę? Jak przedstawią matce jego zniknięcie? Powiedzą, że opuścił ją, chorą.

Matka nie miała siły unieść głowy, by na niego patrzeć. Dała mu znak, by odszedł. Czy naprawdę nie trzeba się pakować? Motek i rzeczy ukryłby na strychu nad gankiem, gdzie nikt dorosły się nie przeciwie.

Rada przeciągała się. Może, gdy wyszedł, kuzynka Lidia stanęła po jego stronie? W głowie Jaona zrodziła się myśl, że radę rodzinną zwołano na dziś, bo przewidywano, że dziś jego matka umrze. Ale matka nie umarła, krzyżując ich plany, dała mu wsparcie, którego się nie spodziewali. Może tamci przeciągali obrady, bo liczyli, że w tym czasie nastąpi to, na co czekali.

Jaon obiegł dom. Nie zbliżając się do okien, zauważył, że tamci dalej są w kancelarii i jedzą obiad. Nie miał gdzie się ukryć, wytropiono by go, wydałaby go Alinka, albo znalazłby go wuj, który znał zakamarki posesji. Wszedł do kuchni, poprosił o chleb mówiąc, że jest bardzo głodny i Dziurzyna ukroiła mu dwie, przez cały bochen, grube na trzy palce pajdy, jakich nienawidził jeść, a teraz zaniósł je do pokoiku panińskiego i wyrwawszy kilka kartek z zeszytu, w którym pisał wypracowanie dla Bożki, opakował chleb. Postanowił nie mieć nic w ręku, by nie budzić podejrzeń. Włożył więc parę najlepszych, białych, wełnianych skarpet i koszulę w białe i niebieskie prążki, do drugiej kieszeni płaszcz. Kieszenie były bardzo wypchane. Włożył palto, gotów do ucieczki. Podeszedł pod drzwi. Nie słyhać było oddechu matki. Nie poruszała się. Straszny wyrzut sumienia przejął go: nie być na pogrzebie? Gdy ją

będą zasypywali, wtedy cofając się nieznacznie między nagrobkami zniknie im z oczu, przeskoczy mur i pobiegnie ku torom i semaforowi. Ale czy zaraz podjedzie pociąg? Zatrzymają go, pogoń go osiągnie? Lepiej więc będzie pobiec ku lasowi po drugiej stronie torów i tam się ukryć do zmroku. Zapukać do jakichś drzwi i powiedzieć: - "Jestem zupełnym sierotą. Znajduję się w drodze do Warszawy, do przyjaciół ojca. Przenocujcie mnie". Przechadzając poszukiwania, rano wyruszyłby brzegiem lasów do węzłowej stacji. Czy jednak będą go ścigać? To nie matka kochająca go bezgranicznie, tylko dwie obce panie i jeszcze bardziej obcy i przerażający przez zmianę, jaka w nim zaszła, wuj. Przed wojną, po matce i ojcu kochał najbardziej wuja. Wuja krępowało pewnie to uczucie, chciał, by Jaon go nienawidził. Czy odrzuciwszy pomoc ciotki i wuja, nie skazywał się na nędzę, tułaczkę, a może śmierć głodową? Czy ci chłopcy, do których zapuka, otworzą mu drzwi, czy postąpią jak tamci, gdy szli z matką w zawiei do Marzeniowa? Byłoby śmieszne, gdyby trafił do tych samych, bo to nie było daleko od torów.

Drzwi od saloniku otworzyły się gwałtownie, stanęła w nich kuzynka Lidia:

- Jesteś proszony - powiedziała i ruszyła przodem.

Wuj patrzył przez okno, gdy Jaon wchodził, ciotka wygładzała suknię. Czekali, że Jaon ich przeprosi? Jaon nie wiadomo dlaczego uklonił się, podszedłszy do stołu.

- Usiłowałeś nam obrzydzić siebie i udało ci się to - zaczął wuj, nie odrywając wzroku od dwuszeregu drzew przy drodze, puszczających pąki. - Chcieliśmy jak najlepiej, odtrąciłeś pomocną dłoń. Mamy świadka w osobie kuzynki Lidii. Zawsze twoja nadmierna grzeczność wydawała mi się formą niegrzeczności, budziła moje podejrzenia. Nie daj Boże, w razie czego pójdiesz do sierocińca, sióstr Urszulanek w Kempie. Może tam zrozumiesz, jakie dobrodziejstwo zlekceważyłeś. Tymczasem zostawiamy cię. Zachorujesz czy nie, to sprawa twojej matki.

Wstali, przeszli do kuchni. Ubierali się w ciepłe płaszcze do podróży bryczką. Jaon wyjrzał za nimi na podwórko, chcąc upewnić się, że odjadą. Panie wsiadły pierwsze. Wuj postawił nogę na stopniu, ale nagle zawrócił w stronę Jaona. Dłoń miał ściśniętą w pięść, Jaon cofnął się, myśląc, że wuj chce go uderzyć. Ale ręka wuja zbliżyła się do ręki Jaona. Teraz Jaon zacisnął ją w pięść. Wuj drugą dłonią rozchylił mu palce i wsunął w rękę zwitek papierów, po czym pobiegł z powrotem do bryczki, postawił nogę na stopniu, zatrzymał się i jeszcze raz zawrócił:

- Zrozum chłopcze, chciałem cię ocalić. Wojna, nie wiesz, jak jest straszna - zreflektował się i poprawił: - Mimo nieszczęść, jakie was spotkały, nie przyjmujecie tego do wiadomości. Gestapo może węszyć za wami... Tylko nie myśl, że cię przepraszam.

Koń posuwał się powoli ku otwartej bramie, ciągnąc bryczkę, jakby chciał jak najszybciej się oddalić z tego miejsca. Wuj machnął ręką, dogonił oddalający się pojazd, wskoczył na tylne siedzenie obok pań, chlasnął batem konia i ruszyli gwałtownie.

Jaon zobaczył, co ma w dłoni. Były to trzy banknoty pięćsetzłotowe. Na co te pieniądze? Prosił ją na Boga szepcząc pod jej drzwiami:

- Mamo nie opuszczaj mnie, żyj, proszę.

Zapomniano o jego obiedzie. Wyjął chleb przeznaczony na ucieczkę i jadł.

Nazajutrz obudził go wąty, zduszony krzyk matki, wpadł tam, jak szalony. Matka patrzyła na niego i uśmiechała się.

- Będę żyła - wykrzyknęła radośnie, słabo.

- Pani żyje? - dopytywała się przez drzwi Dziurzynna i usłyszawszy słaby szept, wpadła do pokoju. Rzuciwszy się na kolana przed łóżkiem przytuliła czoło do ręki matki. - Ja bym została sierotą bez pani. Gdzie się podziać? Ja jedna wiem, czemu pani nie umarła. Żeby nas nie wydawać na łaskę złych ludzi.

- Ach, Dziurzyno, Dziurzyno, gdyby Dziurzynna wiedziała, jaką miałam pokusę spotkać się z moim mężem, tam. Ale wybrałam Jaona. Bo tam tęskniłabym za nim.

- A nie mogłaby pani go tam przyzwać, bo by mu tu pani życie przerwała - wtrąciła uczenie Dziurzynna.

"Gdyby matka umarła, umarłbym i ja. To proste, zachorowałbym na czerwone" - wywnioskował Jaon.

Dziurzynna kazała pani spać, Jaona zawołała do kuchni i ucięła mu dwie pajdy chleba przez cały bochenek i posmarowała jedną smalcem, a drugą miodem i dała do obu rąk.

- Idź na dwór i jedz.

Na podwórku dzierzawczyńni wyrzekała w głos:

- Od wojny kury niosą nie wiadomo gdzie, ukrywają jajka, trzeba pół dnia szukać, by jedno znaleźć - i weszła połową ciała pod stodołę, która stała na czterech głazach.

Jaon ugryził kawałek kromki ze smalcem, rozkoszował się smakiem skwarków i świeżego, dopiero co wyjętego z pieca chleba, a potem nie wytrzymał i ugryził pajdę z miodem. Dwa smaki zmieszały mu się w ustach, jak dziwność tego dnia.

Na drugi dzień wędrował na lekcje, nie wiedząc, czy nauczycielka go przyjmie. Czy nie będzie się bała? Czy i chce go dalej uczyć?

Włókł się i modlił przechodząc koło każdej kapliczki. Ale zapomniał podziękować Bogu za ocalenie matki. Cuda, które czyni Bóg polegają na tym, że coś się nie zdarzyło, czego baliśmy się. Przez to przechodzą niezauważalnie.

Okna kuchni były uchylone. Z głębi mieszkania słyszał było grę na fortepianie; poczuł, że przechodzą go ciarki. Była to melodia sobotniego grajka, tęskna, niezapomniana, tajemnicza, a może tylko zdawało mu się, bo moment był podobny: przedwiośnie, coś świątecznego, czy zapowiadającego święto.

- Nie, nie, nie, nie tak, daj ten paluszek, tu, o - rozległ się wysoki, jasny dźwięk. - Och, nie, nie, jednocześnie musisz tym palcem dotknąć tego klawisza.

Słyszał było tylko głos Bożki. Nie wypadało przerywać lekcji.

Usiadł na ławce pod otwartym oknem. Jak cudownie było tu słuchać lekcji muzyki, łowić uchem ciągle powracający fragment,

najbardziej przejmujący. Nie miał ojca, nie miał domu, szkoły. Zateęsknił za przedwojną, dojmująco, jak tęsknią starcy za utraconą młodością. Gdyby matka nie żyła, byłby teraz w drodze, nie wiadomo gdzie. Czy Woynicy by go przyjęli, czy odesłali do stryja Hieronima, który nie wpuściłby go do domu? Melodia powracała i powracała, w coraz większych fragmentach, aż zabrzmiał cały utwór od początku do końca. Ucichło. Drzwi sionki rozwarły się z trzaskiem i ukazała się nieznajoma dziewczynka. Ujrawszy niespodziewanie Jaona, zatrzymała się, a potem pobiegła i znikła w furcie.

Był moment, by pogonić za nią i powiedzieć, że chce się z nią poznać, poprosić, ale o co? Przecież dziewczynka zobaczywszy go zatrzymała się, czyli zdradziła się, że go poznaje. Lepiej by się nie poznali, niż gdyby dziewczynka miała się na niego obrazić.

Bożka wyjrzała przez okno:

- Jesteś? - wyciągnęła rękę i pogładziła go po głowie.

Jaon wstał, patrzył na nią, stojącą w oknie:

- Pani Bożko, kim pani jest?

Bożka roześmiała się:

- Za tydzień jest mój ślub.

- Za kogo pani wychodzi? - spytał Jaon.

- Nie mogę powiedzieć.

- Mogę być na pani ślubie?

- Na nim ma nie być nikogo. Jest wojna.

- Pani Bożko - odważył się Jaon i aż czuł zawrót głowy, gdy wymawiał następne słowa. Miał poczucie niewłaściwości słów, które miał wypowiedzieć: - Czy mógłbym chodzić na lekcje razem z tą dziewczynką?

Bożka przyłożyła mu dłoń do głowy:

- Czyżbyś i ty był chory? Nie. Czoło masz chłodne. Jej rodzice nie zgodziliby się. Nie posyłają jej do szkoły, by ją uchronić od złych wpływów.

Jaon opuścił głowę.

- Proszę na lekcję - w jej głosie pojawiła się stanowczość.

Gdy wrócił, pozwolono mu stanąć w drzwiach. Głowa matki spoczywała bezwładnie na poduszce. "Po tej chorobie już nie odmłodnieje" - myślał Jaon, przerażony. Stał wpatrując się w chorą, która się nie poruszała i nie widziała syna, ale musiała sobie zdawać sprawę, że nie odchodzi.

Zapadł zmierzch.

Nazajutrz ledwie wstał, zjawił się w drzwiach pokoju dziadków.

Matka leżała w tej pozycji co wczoraj, znów uniosła rękę w pozdrowieniu. Było w tym coś żartobliwego i dodającego otuchy.

- Jaki jest dzień? Opowiedz co robiłeś. Pierwszy raz byliśmy od siebie oddaleni - powiedziała matka. - Tęskniłam za tobą.

- I ja mamę za tobą.

- To już się nie powtórzy, matka zawsze będzie z tobą, dopóki będzie żyła i jeśli ty tego będziesz chciał.

- Mamę - rzucił się do niej.

- Jak przyjdzie niedziela, pomódl się w kościele za duszę Frani.

Stała mi przed oczyma w chorobie. Już chwilę nie żyłam. Zobaczyłam Franię, jak czeka tam na mnie ze szczotką do butów i zaraz klęka przy mnie i czyści mi te pantofelki z wężowej skórki, w których wybrałam się w tak daleką drogę i były strasznie ubłocone. "Tak pani nie może tu być" - gderała, jak to ona, a ja mówię: - "Jak to Franiu, to Frania oddała za nas życie, to ja powinnam Frani czyścić buty", chciałam jej odebrać szczotkę i wtedy Frania się obraziła i znikła. A teraz myślę, że nie ojciec witał mnie, tylko wysłał Franię, bo wiedział, że bym została. A wtedy ty... - matce zatrząś się podbródek.

Jaon przyrzekł matce, że będzie cały czas się modlił za Franię, bo z utęsknieniem czekał niedzieli.

Matka dała mu znak, by odszedł.

- Pani ciągle wzywała tamtej Frani - mówiła Dziurzyną do Jaona, przygotowując mu śniadanie w kuchni. - Nie mam żalu, ale nie kto inny, jak ona zajęła moje miejsce i niech sądzi ją Bóg.

Fale ciepła nie ustawały. Doktor mówił, że rozprzestrzenia się dalej czerwonka "choroba lata i jesieni", co jest groźnym symptomem. Pojawiły się wypadki tyfusu. W nieco zamglonej, prześwietlonej przestrzeni zaczynały kwitnąć sady. Jak śnieg, który nie topnieje, pachnący i gęsty, bladoróżowy, kwiaty pokrywały całe przestrzenie. Marzeńiów stał się nieruchomy w białej poświacie. Kwitnące drzewa, jeszcze bezlistne, rzucały cienie słabe, jak od księżycy. Piękna pogoda stała się niepokojąca, nie do wytrzymania.

Jaon szedł wśród ogromnych tłumów. Może to była pierwsza niedziela wojny, gdy objawiła się nowa pobożność? Panował nastrój błagalny i pełen niewytłumaczalnej nadziei. Śpiew uderzył nagle, gwałtownie, jak wybuch. Wiele osób padło na klęczki. Jaon wypatrywał nieznajomej dziewczynki i jej rodziców. Tłok był tak wielki, że ujrzał ich po dłuższej chwili niepokojąco, odepchniętych od ołtarza Św. Teresy. Dziewczynki nie było z nimi. Jaona ogarnęło rozczarowanie, smutek i poczucie krzywdy: do tych wszystkich przykrości, strasznych chwil, które przeżył doszło i to.

W tej chwili tchnienie, lekki oddech z głębi czyjegoś ciała jak oderwana od niego dusza, musnął włosy Jaona. To nieznajoma dziewczynka, uwięziona w tłumie westchnęła głęboko. Stała tuż za nim, oddzielona od rodziców i jakby oddana mu w opiekę. Stali prawie ramię w ramię, on po lewej, ona po prawej stronie. Nie patrzyli na siebie, bo samo to, że byli blisko siebie było już trudne do wytrzymania.

Gdy nadeszło ostatnie błogosławieństwo i używane w owych czasach łacińskie "ite, missa est", jak wyrzucające ich z kościoła, by dali

miejsce innym wiernym, którzy już gromadzili się na kościelnym cmentarzu, Jaon z przesadną ostrożnością, obrócił się. Dziewczynka stała teraz po jego lewej ręce, twarzą zwrócona do ołtarza.

Przyklękła na jedno kolano, przeżegnała się i ruszyła w chwili, gdy Jaon ją mijał. Tak niby razem, a niby nie, przeszli kościół i znaleźli się na zewnątrz. Jak niezmiernie ważne było iść takim

samym krokiem! Najmniejsze przyspieszenie mogło spowodować, że zostałyby w tyle i ta niezwykle krucha i nieuchwytna więź między nimi pękłaby. Nie patrzyli na siebie, jednak całą ulicę Kościelną przestrzegali tego, by nie oddalić się od siebie.

Zarazem

Jaon bał się, że idąc zbyt blisko dziewczynki obraziłby ją. Niepokoił się, że dogoni ich bryczka rodziców dziewczynki i zabierze ją, drżał też, że jego prześladowczynie wypatrzą go w tłumie. Ale ustawiono stragan i tam ujrzał tłoczące się te, których przezwiska chciał zapomnieć. Wydało mu się, że bryczki dziś nie ma. Byłoby cudownie iść do miejsca, w którym dziewczynka skręca do domu. "Nie wypada mi iść obok niej ulicą, nie znając jej" - myślał. Zarazem wypowiedzenie jakiegokolwiek słowa mogło spowodować, że dziewczynka przyspieszy kroku.

Minęli rzekę, most i dziewczynka pozwalała, by szedł przy niej. Znaczyło to wiele. Nabrał szalonej nadziei i odwagi:

- O co się modliłaś? - Jaon usłyszał huczący mu w głowie swój głos, prawie dorosły, ochrypły, pełen strachu, jakby bał się usłyszeć jakąś przerażającą odpowiedź.

- Nigdy ci nie powiem - odrzekła dziewczynka i zerwała się do biegu, zostawiając go na środku drogi.

Włókł się do domu powoli, jakby się cofał, przedłużając tę drogę, rozciągając w nieskończoność chwilę, jakiej nie spodziewał się zaznać. Nie wiedział, że taki rodzaj szczęścia istnieje. Coś nieznanego, podobnie nowe, jak nieszczęście w chwili, gdy dowiedział się o śmierci ojca, spadło na niego.

Słowo "nigdy" wbrew swojemu znaczeniu dawało mu największą nadzieję: żeby było "nigdy" musi być "zawsze" - kiedy będą się widywali, a ona będzie trzymała przed nim w tajemnicy treść modlitwy. Czy największa radość w jego życiu nie zdarzyła się kilka minut temu? Czy ciągle nie będzie tęsknił za chwilą, kiedy idzie i rozpamiętuje słowa nieznanego dziewczynki - jak nadal nazywał ją w myśli, bo nie był pewien, czy ona uważa, że już się znają. Dlatego ukryła przed nim, o co się modliła? Może o to, by jej ojciec i matka przeżyli wojnę?

Pierwszą jego myślą było opowiedzieć o tym matce. Ale tego nie wolno nikomu powiedzieć, nigdy, byłoby to wydaniem najtajemniej szych słów dziewczynki. Poza tym przyrzekł matce pomodlić się za duszę Frani i zapomniał. Czy Frania przez to nie ucierpi? Czy w niebie jest dalej służącą? W kazaniach księża nie mówią, co ludzie robią w niebie.

W następną niedzielę obudził się wcześniej. Wyglądał przez okno. Czubki drzew były intensywnie zielone, niebo aż gęste od błękitu. Przez zimę Jaon wyrósł z wiosennego płaszczyka. Podeszedł do lustra. Nie wiedział, co o sobie myśleć. Ostatni raz przyglądał się sobie, gdy celował z pistoletu do swojego odbicia i mógł dowolnie wpływać na wyraz swoich oczu, które zapamiętał jako zimne i bezwzględne. Teraz było w nich wahanie. Nie było to spojrzenie bohatera. Na próżno wytrzeszczał oczy i marszczył brwi. Cały wysiłek odbijał się na ustach, które krzywiły się. Zawstydział się:

przyglądał się sobie jak dziewczynka. Czy nieznajoma dziewczynka się też sobie przygląda? Czy myśli, że się spotkają? Może robi miny i szuka najśliczniejszej? Jaon pokochał nieznajomą dziewczynkę, gdy się modliła, jej spojrzenie wtedy, którym na chwilę objęła i jego.

Ujrzał dziewczynkę na tej samej marmurowej płycie biało pożyłkowanej, jakby byli umówieni, znieruchomiałą w modlitwie, czy pod jego spojrzeniem, które musiała na sobie czuć. Aby było jak już było, zatrzymał się obok niej na swojej płycie po stronie męskiej. Dziewczynka nie okazywała niczym, że go spostrzegła, a potem uklękła i klęczała całą mszę. Przeprasza Boga za spotkanie w kościele, czy modli się, by Jaon się z nią modlił?

Kazanie jak z daleka docierało do Jaona. Nie padło w nim ani razu słowo Niemiec, ale było tylko o nich: - "Nienawiść do krzywdzicieli byłaby uzależnieniem się od nich i naśladowaniem ich w tym, co w nich najgorsze. Ile człowiek odbiera człowieczeństwa innym, tyle sam go traci. Gnębiciele nie mogą zabrać nam także spokoju serca".

Te zdania oderwały myśli Jaona od nieznajomej dziewczynki. Stwierdził, że nie nienawidzi Niemców, co gorsze Niemcy wydawali mu się wspaniali przez straszliwą groźbę, jaką z sobą nieśli, a zarazem wobec niego i matki bezsilni, bo już upewnił się, że ojciec swoją ofiarą wyczerpał wszystko najgorsze, i że żadne z nich nie zginie.

Drżał, że w czasie wychodzenia z kościoła przywołają ją rodzice, zabiorą do bryczki i uwiozą. Gdy ksiądz pożegnał wiernych i kazał im iść, dziewczynka klęczała. Wychodzący tłum napierał. Mieszkańcy Marzeniowa lekceważyli dzieci. Jaon został gwałtownie szturchnięty łokciem i pchnięty do wyjścia. Stał tak, by nie potrącali nieznajomej dziewczynki.

Nie rozumiał dlaczego ona się jeszcze modli. Przeraził się, że czeka aż on odejdzie. Dopiero gdy ujrzał sylwetki jej rodziców daleko w tłumie, dziewczynka obejrzała się, przeżegnała i wstała. Szli obok siebie, jakby przypadkiem, jak już raz to było, ale bliżej siebie, tak że chwilami dotykali się ramionami.

Za cmentarzem kościelnym, na drodze obsadzonej topolami, które kwitły i rzucały baze podobne do liszek, dziewczynka wyszeptwała:

- Mama zabroniła mi poznawać kogokolwiek.

- Na łąkach, za rzeką... - wyszeptał Jaon.

- Muszę biec za nimi - i uciekła, jak wtedy.

Jaon skręcił na ścieżkę wiodącą wzdłuż łąk. To tu zbłądzili z matką w czasie zawiei. Nigdy by wtedy nie przypuścił, że w tym miejscu będzie czekał na dziewczynkę, którą pokocha. Nawet jeśli by nie przyszła, to sam fakt, że się prawie umówiła, napawał Jaona szczęściem i uczuciem tryumfu.

Różowe kwiatki nadawały kolor łąkom. Nie wiedział, jak się nazywają. Zabrakło ojca, by spytać, co to za kwiatki. Postanowił tu być do zmroku, nawet za cenę niepokoju matki. Ujrzał daleko, na ścieżce prowadzącej z nasypu, przy moście kogoś szybko biegnącego. W ogromnej, pustej przestrzeni ten ktoś kierował się na łąki, ku

Jaonowi. To mogła być tylko nieznajoma dziewczynka. Upewnił się, poznał ją po podskakujących w szybkim biegu kokardach. Rzucił się ku niej i na jednej ścieżce pędzili naprzeciw siebie. Odległość między nimi malała gwałtownie i żadne z nich nie zmniejszało szybkości, i jak szaleni lecieli patrząc sobie w oczy, drżąc, do zderzenia. Jaon w ostatniej chwili wrył nogi w ziemię, aż pojechał po ścieżce, rozpostarł ramiona i dziewczynka wpadła w nie. Jaon poczuł lekkość i kruchość jej ciała, dotknięcie jej włosów. Ułamek sekundy była w jego objęciach, i wyrwała się. Ruszyli w głąb łąk. Jaon próbował objąć nieznajomą dziewczynkę za szyję, ale uchyliła się i zeszła w trawę. Ścieżka była wolna, żadne nią nie szło i jak trzeci towarzysz wiła się między nimi, ale ich nie rozdzielała. Nie znali swoich imion. Nie odzywali się do siebie. To, że są razem, sami w dalekich łąkach było najważniejsze, to że przyszła, ba, biegła do niego, jest z nim, idzie przy nim, jak dorosła kobieta, ufnie, zwyczajnie. Pierwszy raz w życiu siedł z dziewczynką sam. Pachniała perfumami, tymi, których używała jego matka przed wojną. Musiała wziąć je matce i polać się przed wyjściem. Nagle Jaon zauważył przyczynę milczenia nieznajomej dziewczynki. Jej usta pełne były cukierków.

- Mam usta pełne cukierków - wyjaśniła. - Mama kupuje od ludzi, którzy kradną Niemcom. Są tak zbite w bryłę, że trzeba je rąbać młotkiem.

- Od wojny nie jadłem cukierków - wyrwało się Jaonowi.

Nieznajoma dziewczynka spojrzała na niego rozszerzonymi oczyma:

- Nie mam już nic, tylko to co w ustach. To pomarańczowe landrynki. Nie będziesz się brzydził?

Jaon pokręcił głową i już chciał wyciągnąć rękę, gdy dziewczynka przybliżyła buzię do jego twarzy. Jej usta dotknęły jego ust, ale Jaon ich nie otworzył, tylko dotykał wargami jej warg. Trwało to chwilę, aż dziewczynka wepchnęła słodką bryłkę na język Jaona. Rozkosz dotykania ust dziewczynki przeszła w cudowność pomarańczowego smaku, aromatyczniejszego niż pomarańczy, jak je pamiętał, pochłonęła jego zmysły. Ssał unieruchomiony wrażeniem: aż przyszła mu myśl, że ma możliwość doznania jeszcze raz poprzedniego uczucia i wyszeptał:

- Teraz ty - i przysunął swoją twarz do jej, by oddać jej cukierki.

Dziewczynka zamknęła oczy, znów ich wargi złączyły się na chwilę, zlepily od słodczy. Słodka kulka malała i malała, aż rozplynęła się w ustach jej, czy jego?

Mówili cicho, jakby nakazywał to bezmiar łąk, a wszystko było tajemnicą. Każde słowo nabierało ogromnej wagi. Jaon próbował mówić jej do ucha, tak by dotykać jej włosów, choć nie wiedział jeszcze co powie, ale dziewczynka odsunęła się od niego. Nagle wyszeptwała:

- Boże, ratuj!

Ktoś szedł ku nim ścieżką. Jaon poznał piękną panią, która była matką dziewczynki. Mogli uciekać, mógł Jaon przebiec ku lasowi i zniknąć, jednak mężnie czekał. Pani przybliżyła się. Doznał znów

wrażenia, że jest piękniejsza od córki, a zarazem, że dziewczynka jest mu bliższa niż ktokolwiek na świecie, poza jego matką. Pani nie patrzyła na córkę tylko na niego. Nie okazywała gniewu, tylko ciekawość.

- Więc ty jesteś tym narzeczoną mojej córki? - powiedziała. - Panna Bożka opowiedziała mi, że nie jesteś stąd. Straciłeś ojca - w jej słowach wydawało się to okolicznością łagodzącą. Ojciec bronił Jaona swoją śmiercią przed gniewem matki nieznajomej dziewczynki. Pani dalej przyglądała się Jaonowi, otwarcie taksując go, wreszcie uśmiechnęła się:

- Nie jesteś całkowicie niemiły. Myślę, że nie masz żalu do Krysi, że zwierzyła mi się, iż widuje się z tobą?

A więc nieznajomej dziewczynce na imię jest Krysia! I on dowiedział się tego z ust jej matki! Nie miał żalu do Krysi za jej wyznanie, przeciwnie, oznaczało ono, że ich spotkania mają dla Krysi większe znaczenie niż sądził, opromieniło ich miłość i uświęciło wtajemniczeniem tak ważnej osoby.

- Moja córka czuje się tu samotna. Nie zna nikogo. Ty jesteś małym mężczyzną. Czy tak?

- Tak - odrzekł Jaon.

- Wiesz jak postępować przyjaźniąc się z dziewczynką?

- Wiem - odparł Jaon. - Muszę jej bronić.

- Musisz jej bronić - powtórzyła machinalnie matka Krysi i zasmuciła się. Zawróciła; szli jedno za drugim: na początku Krysia, potem jej matka, a na końcu Jaon.

Nazajutrz Bożka przywitała go w towarzystwie młodziutkiej dziewczyny w okularach.

- Przedstawiam cię mojej siostrze Irce - powiedziała Bożka.

- Teraz ciągle kogoś nowego poznaję - przerwał Jaon.

- Przekazuję cię w jej ręce - ciągnęła Bożka. - Teraz ona będzie cię uczyć. Będzie ci z nią trudniej. Jest bardzo wymagająca. Sama od siebie dużo żąda, bez pomocy przygotowuje się do matury. Sądzę, że razem będziecie mogli ją zdać jak wojna się skończy.

- Weźmiemy się ostro do arytmetyki, chemii i fizyki - powiedziała surowo siostra Bożki. - Koniec ze starożytną Grecją.

- Pani Bożko, pozwoli mi pani przyjść na ślub? - spytał Jaon.

Bożka spojrzała na siostrę.

- Co szkodzi, gdy przyjdzie? - odezwała się Irka. - Tylko niech nie mówi nikomu. I nie pyta się za kogo wychodzisz - dodała z uśmiechem.

- A czy ta dziewczynka, która też się tu uczy, będzie?

- Oj, oj - pogroziła mu palcem panna Irka.

Na drugi dzień lekcja odbywała się równocześnie z przygotowaniem do ślubu. Terkotała maszyna do szycia, pachniały pieczone ciasta.

Pannę Irkę ciągle odwoływano w głąb mieszkania.

- Nieporządek zapanował w twojej głowinie. Z jednym mógłbyś iść na uniwersytet, a drugie jest niżej przedszkola. Nie umiesz tabliczki mnożenia - powiedziała i zostawiła mu kilka słupków.

Najtrudniejsze było 217 razy 908. Jaon nie mógł sobie przypomnieć, co się dzieje z liczbami mnożonymi przez zero. Na tym utknął. Jego

myśli pochłaniało zagadnienie, jak przypomnieć o tym, że ma być zaproszony na ślub i dowiedzieć się o godzinę.

Wreszcie panna Irka wróciła i zobaczywszy wyniki obliczeń wybuchnęła śmiechem. Jaon nie bacząc na klęskę, złożył ręce:

- Błagam panią, żeby pani ubłagała pannę Bożkę, by zaprosiła mnie na ślub i zaprosiła też tę dziewczynkę.

- Bożka, Bożka - krzyczała otworzywszy drzwi pokoju w głąb mieszkania. - Uczeń uparł się, by iść na twój ślub. Co prawda liczyć absolutnie nie umie. Chyba niech wstąpi po tę małą dziewczynkę?

Za pięć szóstą Jaon znalazł się pod domem, gdzie mieszkała Krysia. Wydawał mu się niedosiężnym zamkiem, a oni tam mieszkający, więcej niż ludźmi. Krysia pojawiła się prawie natychmiast. Warkocze miała upięte w koronę, płaszcz z beżowego flauszu. Szła ku Jaonowi powoli. Speszona, czy żeby nadać ich powitaniu zwykły charakter, wyciągnęła ku niemu rękę. Jaon skłonił się i wiedziony impulsem, czy wdrożonym mu przez matkę odruchem, pochylił się i pocałował Krysię w rękę. Krysia zaczerwieniła się, jej rączka, jakby była oddzielną, dziką istotą, wyrwała się z jego ręki. Krysia ukryła ją w kieszeni płaszczyka. Jaon wsunął tam rękę, odnalazł dłoń dziewczynki i wtedy Krysia uściśnęła go z całej mocy, aż poczuł ból. Gdy wyszli na ulicę, Krysia odsunęła się od niego.

Przy wejściu na cmentarz kościelny stało dwu mężczyzn w długich butach i myśliwskich kurtkach. Jeden zrobił krok, jakby chciał zawrócić dzieci, ale drugi rozkazującym ruchem nakazał tamtemu, by się cofnął. Przy ścieżce na plebanię zarżał koń.

Kościół był otwarty, ale nie było w nim nikogo. Przed ołtarzem, którego witraże osłonięte były czarnym papierem, ze względu na zaciemnienie paliły się dwie świece. Kolumny rzucały cienie na nawy. Krysia i Jaon usiedli w ostatniej ławce.

Otworzyły się drzwi zakrystii. Pojawił się mężczyzna potężnej budowy, w długich butach, wojskowych bryczesach i wizytowej marynarce. Jego twarz była widoczna przez moment, natychmiast zatrzymał się i odwrócił twarzą do ołtarza. Potem, między matką a siostrą ukazała się Bożka w białej sukni do ziemi, z bukietem kwiatów, jakie rosły na łąkach. Upudrowana twarz Bożki zastygła, jak w oczekiwaniu czegoś groźnego, za nimi ksiądz, w wyszywanym złotem ornacie bez asysty ministrantów. Zostawił uchylone drzwi. Widać było w nich mężczyznę w polskim wojskowym płaszczu, ściągniętym paskiem. U nogi miał niemieckie empi. Za nim, na ułamek sekundy mignęła twarz doktorowej. Zobaczywszy dzieci, cofnęła się gwałtownie.

Ksiądz wypowiadał uroczyste, powoli, wbrew niebezpieczeństwu, jakie ich otaczało, tekst przysięgi małżeńskiej. Bożka powtarzała je głośno, jakby akcentując, że jest nieustraszona.

Jaon pod osłoną pulpitu ławki odszukał rękę Krysi. Najpierw ją cofnęła, a potem pozwoliła trzymać mu koniuszki palców, jakby to był ich ślub. Może czuła to samo, co on? Jaon powtarzał słowa przysięgi. Wewnątrz tajnego ślubu, przeżywał jeszcze tajniejszy, łącząc się z Krysią i zaklinając ją w myśli, by go kochała.

Mężczyzna, gdy doszedł do słów "... i będę ci wierny aż do śmierci", jakby zdał sobie sprawę, że tej wierności może być kilka godzin, bo może nadejść śmierć, zatrzymał się i długo nie mógł ich wymówić.

Jaon zaś łatwo rozporządził całym życiem, przysięgając Krysi. Jego szept stał się tak mocny, że wyglądał jak echo słów pana młodego. Nowożeńcy zwrócili się ku sobie. Jaon zobaczył ich pocałunek czuły i lekki; kiedyś i on tak kogoś pocałuje.

Mężczyzna biorący ślub, ponad wszelką wątpliwość przyszedł z lasu. Może tam, skąd przybył, spotkał jego ojca? Przecież to jasne, że przed nim, dzieckiem ukrywają wszystko. Może ojciec odwiedzał ich, gdy Jaon spał?

Ksiądz zdmuchnął świece. Zrobiło się ciemno. Gdy Jaon i Krysia wychodzili, ksiądz szedł za nimi, by zaryglować główne drzwi. Jaon zrozumiał, że zostawiono je otwarte, by w razie zjawienia się Niemców wszystkie drogi ucieczki były wolne. Dwaj wartownicy na zewnątrz stali bez ruchu. Teraz Jaon dostrzegł ciężki karabin maszynowy, wycelowany w ulicę.

Za kościołem chwilę biegli. Krysia odezwała się:

- Moja mamusia powiedziała, że w dzień ślubu zwolnili się z ojcem z przysięgi. Gdyby jedno chciało odejść, drugie nie będzie go zatrzymywać. Płakałam: "nie mieliście prawa". Mama jeszcze taka młoda.

- Nie masz landrynek? - spytał.

- O biedny! - pożałowała Jaona Krysia, nie odgadując dlaczego chce jeść z nią cukierki. - Mama oddała słodczyce i moje rzeczy, z których wyrosłam żydowskim dzieciom. W kościele było straszno. Było mi go żal. On polegnie. Wiesz, czasem żałuję wszystkich. Jaon odniósł wrażenie, że Krysia może go kocha dlatego, że stracił ojca.

- Mnie nie żałuj - powiedział Jaon kategorycznie.

Poszukała jego ręki. Zaczęli się gładzić lekko, lżej, leciutko, aż ich dłonie stały się całymi nimi. Krysia wyrwała rękę i zawrócili. Patrzył na szczupłe nóżki Krysi i pomyślał, co będzie jeśli przyjdzie jej umrzeć w czasie wojny? Nie będzie nawet wiedziała, co by ją spotkało. Nie pozna tego, co wiedzą jej rodzice. Teraz musi przeżyć całe życie ze starością włącznie, w krótkim błysku niewielu lat. Nie dowie się, kto wygra wojnę. Nie będzie miała wspomnień, nawet ta chwila przepadnie. Umrzeć dzieckiem jest inaczej. To śmierć beznadziejniejsza. Czy można powiedzieć, "ja umarłem"? Co stanie się z nim w życiu Krysi? Zostanie im tylko to, gdyby Niemcy mieli zabić Krysię? Tak bardzo pociągała go własna przyszłość, tajemnicza, nieodgadniona, że nie zdawał sobie sprawy, że boi się o siebie, że mógłby jej nie poznać.

Wróciwszy do domu wpadł do saloniku i zobaczył, że siedzi tam matka i pan Jan. Na jego widok zamilkła.

- Jaoniku, przywitaj się i wyjdź do ogrodu pobawić się.

Jaon znalazłszy się w ogrodzie, natknął się na Alinkę.

- Zobacysz - pogroziła mu pięścią. - Dotąd ci się udawało, bo Larwa Poczwarą, Mątwa Ośmiornica i Gumka Myszka musiały oddać na

tę mszę buty młodszym siostram, a same były na sumie. W tę niedzielę nie damy wam przejść. Nie pozwolimy ci chodzić z obcą, patykowatą zarozumiałą smarkatą. Wyrzucili cię z domu, bo mają tajemnice? Wystarczy jak pójdziesz na strych, położysz się tam, gdzie zaczyna się ganek i przyłożysz głowę do polepy, słysząc każde słowo. Ja z tobą na strych nie pójdę. Chyba, że na Święty Nigdy.

- Nie chcę, byś szła - odrzekł Jaon myśląc, że brzydziłby się Alinki.

- Z nią się nie całuj - ośmielała się mówić o Krysi Alinka. - Po pocałunku dziecko wyskakuje z ust - krzyczała za nim.

Gdy przyłożył ucho do czerwonej, zakurzonej gliny w miejscu gdzie było spojenie ganku z resztą domu, usłyszał głos matki:

- ... Jaon zawsze wpada w najbardziej niewłaściwym momencie.

Jeszcze przed wojną wiedział więcej niż mu się pozwalało.

- Niepokoi nas, jaką drogą dzieci dowiedziały się o ślubie? Jeśli pani chce go ocalić, jak pani zamierzyła, musi go pani bezwzględnie trzymać przy sobie. Gdy zobaczono dzieci, padł strach na tych ludzi. Syn doktorowej poszukiwany jest przez gestapo w całej Polsce.

- Wydało mi się, że doktorowa mnie unika.

- Jest pochłonięta tylko tym. W nasze lasy przeszedł oddział, który nie poddał się Niemcom. Dowodzi nim major kawalerii. Syna doktorowej aresztowało gestapo. Doktor oddał cały majątek, w końcu przed przewiezieniem go z K. do Warszawy dali mu środek przeczyszczający. Musieli się ciągle zatrzymywać. Niemcy nie chcieli, by im zanieczyścił samochód. W końcu zdjął spodnie i półnagi, uciekł im, las był gęsty, otworzyli ogień aż pościnali drzewka. Dołączył do oddziału majora. Uparł się urządzić sobie tu ślub.

- Widziałam go dawno.

- Przed wojną rzadko tu bywał. Ciągle w pułku. Jeszcze mam do dodania, że nigdy w życiu nie smakował mi tak chleb ze smalcem, jak z tym od pani. Z tego garnka pożywił się też syn doktorowej.

- Mój syn niepokoi mnie. Pod słuchuję, gdy mówi przez sen. Mówi o ojcu, jakby żył. Wydaje się nie wierzyć w jego śmierć.

Zapadła cisza. Po chwili pan Jan zaczął powoli dobierając słowa, jakby mu zależało na opinii matki. Dawno nikt z nią tak nie rozmawiał:

- Niech mi pani wierzy, nadmierna ostrożność jest niebezpieczna.

Odbiera otrząskanie z ciężkimi sytuacjami, umiejętność rozróżniania, co naprawdę jest groźne. Lepiej, żeby pani syn czasem coś dla mnie załatwił, niż znalazł był się na tym ślubie.

- Strzegę go dla przyszłości.

- Jeśli wszyscy tak będą robili, przyszłości nie będzie.

- Panie Janie, pewna osoba opromieniona jest wspomnieniem, które przechodzi z pana ojca na pana. On zmienił życie dwojga ludzi, dzięki niemu odnaleźli się, a nigdy by się nie spotkali. To podsuwa mi myśl, by panu zaufać, powoduje, że nie jestem w stanie odmówić pana prośbie. Może mój mąż radziłby mi uznać pana

propozycję za rozkaz? Wolałabym żeby, jeśli to konieczne, oddać dom. Ale nie jako stałą kryjówkę, tylko przerzutową, na noc, dwie.

- Dziękuję. Liczymy się z tym, że małe Getto, które Niemcy utworzyli na końcu ulicy Sprzedażnej, będzie wywiezione, jako jedno z pierwszych. Niektórzy chcą zostać i ukryć się. Nasza organizacja nazywa się Podziemna Organizacja Wojskowa, POW.

Usłyszał krótki szloch matki, rozległo się szurnięcie foteli, stuknięcie drzwi wychodzących na ogród. Jaon zsunął się ze stromych schodów prowadzących na strych i gdy matka obesła dom w jego poszukiwaniu, wyszedł jej naprzeciw zza węgła.

- Przepraszam, synu - powiedziała dziwnie łagodnie matka.

Czuł, że musi się przyznać do podsłuchiwania choćby dlatego, by przestrzec matkę, że rozmowy w saloniku są niebezpieczne, ale odłożył to na wieczór.

Ale usnął natychmiast, bez snów. Może nie miał snów, by nie wygadać się w nich matce? Jeśli pan Jan wie, że jego ojciec żyje? Może zlecił mu opiekę nad nimi? Nic nie odpowiedział na słowa matki. Wiedział, że to dziecinne, szaleńcze rojenia: ale jeśli ojciec jest blisko, w oddziale majora?

Ranek, południe i po południu matka nie wspomniała o tajnym ślubie. Czuł, że zacznie go wypytywać w chwili, gdy poprosi ją o zezwolenie wyjścia na łąki. Bojąc się, że reprimenda potrwa dłużej, a częściowo nie mogąc się doczekać wyjścia na spotkanie z Krysią, zajrzał do saloniku. Zobaczywszy, że zegar wskazuje czwartą, odszukał matkę w ogrodzie, wytyczającą z Dziurzyną grządki. Matka oddała sznur służącej weszła z Jaonem do domu.

- Co dzień przed piątą znikasz? Jesteś punktualniejszy, niż gdy wychodzisz na lekcje. Znalazł się ktoś, kto o wszystkim mi powiedział. Boli mnie, że tym kimś nie byłeś ty.

- Kto ci powiedział?

- Jak dorośniesz i będzie cię to dalej interesowało, powiem ci.

Nie chcę korzystać z żadnych informacji przed tobą, mimo że ty masz przede mną tajemnice. O Nice Woynickiej zapomniałeś?

Jaon opuścił głowę. Przypomniał sobie, jak ważną rolę przeznaczył jej i jej rodzicom w niedawnych planach ucieczki.

- Twoja niemądra tajemniczość to nowy, smutny rozdział w życiu twojej matki.

- Mamo, bardzo chciałem ci opowiedzieć, ale nie jestem pewny, czy ta dziewczynka mnie kocha.

- Zabraniam ci się dziś z nią spotkać.

- Mama tej dziewczynki pozwala jej przychodzić.

- A ja tobie nie. Pozwala jej się włóczyć z tobą po łąkach, a nie zostałeś zaproszony do ich domu.

- Mamo, mogą mieć tajemnicę. Może kogoś ukrywają? Mama Krysi specjalnie przysłała na łąki mnie obejrzeć.

- Ja nie będę chodzić oglądać tej dziewczynki - oburzyła się matka.

- Może mam iść oświadczyć się w twoim imieniu? Dostałbyś kosza. My już nic nie znaczymy synu.

- To ja ją tu zaproszę.

- Lepiej znalazłbyś sobie kolegę? Nie masz ojca, stryj z nami zerwał, wuj nas znienawidził, żyjesz między kobietami: ze mną, Dziurzyną, dzierzawczynią i Alinką, na zewnątrz domu znalazłeś sobie jeszcze jedną. Afiszujesz się ciągle z dziewczynkami. Narazisz się na drwiny miejscowych dzieci.

- Naskarżyła Alinka! - wykrzyknął Jaon zwycięsko.

- Pomyśl. Twojej matce jest smutno tu być bez ciebie. Pomyśl o mojej samotności. Zastąp trochę ojca. Bądź towarzyszem matki.

- Mamo! Ona będzie czekać. Jestem umówiony.

- Umówiony? Ty, mały chłopczyk?

- Mamo, nie możesz mi tego zrobić. Mnie jest tak smutno. Krysia jest ważniejsza niż Szachowski, czy wódz Indian. Nie umiem ci tego wyjaśnić.

- Nie musisz. Nie pójdziesz.

Jaon wypadł z saloniku matki i bez jej pozwolenia sięgnął do walizki - część z nich była nie rozpakowana, jak w oczekiwaniu na koniec wojny i powrót do Warszawy - i sięgnął do pamiątek, gdzie był bilet wizytowy jego ojca. Przekreślił imię Józef i po sekundzie zastanowienia wykaligrafował: "Michał". Na odwrocie napisał: "Krysiu nie będzie mnie na łąkach, bo Mama mnie nie puściła". - "Jaon" umieścił na boku bilecika. Weszła za nim matka zaintrygowana, co robi:

- Mamo, pozwól mi wysłać Dziurzynę do Krysi z wizytówką.

- Jaką wizytówką? wyrwała mu kartonik z ręki. - Zniszczyłeś pamiątkę po ojcu. Jak śmiałeś? Zamazałeś jego imię by pchać się ze swoim?

Zrozumiał, co zrobił. Przekreślił imię ojca, jakby na zawsze.

- Mamo, przebac - rzucił się do niej.

- Sam sobie wybac - przeczytała bilecik. - Mały bałwanie. Listów na wizytówce się nie podpisuje. W dodatku po jednej stronie jakiś Michał, po drugiej jakiś Jaon, jak dwie osoby.

- Mamo, nauczyłaś się ze mnie wyśmiewać.

- Co to za forma wobec matki?

- Mamo - zmienił temat - skoro już zepsułem tę wizytówkę, to może ją wyślemy?

- Jaon, przerażasz mnie. Co się z tobą dzieje?

- Ta dziewczynka będzie czekać tam.

- Jak Dziurzyna się zgodzi, niech idzie - mruknęła gniewnie matka.

Dziurzyna dowiedziawszy się, po co ma być wysłana uniosła rękę do góry:

- Chrystusiku spójrz na mnie! Ciągle mną starą tyrają, gdzieś wysyłają. Ale w dziecińskich sprawach latać nie będę.

Jaon zatupał:

- Musi Dziurzyna!

- Tak to na pewno nie pójde.

- To proszę! - rzekł nie zmieniając rozkazującego tonu.

- Co tam Dziurzyno. Chowamy go na rycerskiego chłopca. Niech zawiadomi tę panienkę, że nie przyjdzie.

Dziurzyna wzruszyła ramionami i wzięła wizytówkę.

- O Jezusiku, czy aby nie zgubię takiego karteluska?

- Proszę mocno trzymać w ręce - surowo rozporządził Jaon. Dziurzyzna zgmiotła bilet w rękę i z dłonią wysuniętą do przodu wyszła. Jaon pomyślał, że wie dobrze - widać od Alinki - gdzie iść. Za chwilę zobaczy tajemniczy dom, wejdzie, zobaczy Krysię. - Synku, powiem ci pewną rzecz, byś w swej naiwności nie zrobił przykrości tej dziewczynce. Pan z którym widzisz jej matkę nie jest jej ojcem. Jej tatuś jest w obozie jenieckim. Dlatego ta panienka nie prosi cię do siebie. Może się kępuje? Może chcą się jej pozbyć z domu i cieszą się z jej randek? Przyjechali, gdzie nikt ich nie zna, nie uciekając przed gestapo, ale przed potępieniem. Atmosfera, w której żyje ta panieneczka jest obca naszemu domowi, twojej matce. Nie powinieneś się z tym stykać. W każdym razie jeszcze nie teraz - w tym momencie matka przerwała i zasłoniła sobie dłonią usta: - Czy dobrze, że ci to mówię? O ile cię znam, dziewczynka może teraz w twoich oczach stać się jeszcze bardziej interesująca.

Jaon skinął głową. Matka miała rację. Aura tajemniczości zageściła się. Zarazem Krysią bez ojca, tak w tym bliska Jaonowi, może samotna, wypędzana z domu, pod władzą obcego pana, który traktuje ją pewnie, jak jego wuj Rudolf potrzebuje opieki i obrony. Niedługo potem Dziurzyzna wróciła, nie zdradzając po sobie niczym, że była w tak ważnym i niezwykłym miejscu. Na pytania Jaona odpowiadała:

- Młode dziecko, porwało karteluszek, pobiegło. Nawet nie zdołałam spojrzeć jak wygląda.

Nazajutrz matka nie wspomniała o łąkach, Jaon zrozumiał to jako pozwolenie. Nie wiedział, czy Krysią będzie. Wychodząc odszukał w kredensie papugę przywiezioną tu przez wuja, zmiażdżoną, bezkształtną. Spod staniolu wyglądała czekolada. Tyle czasu powstrzymywał się od zjedzenia papugi, bo wiedział, że całą wojnę nie spróbuje czekolady. Odkładał chwilę, gdy dozna jej smaku. Ukrył ją przed samym sobą, jak zwierzęta zakopują zimowy zapas. Teraz miał ważny plan.

Na łąkach był pół godziny wcześniej. Chodził we wszystkie strony, zbliżając się aż do lasu. Zobaczył, że ktoś idzie ku niemu. Poznał pana Jana. Pomyślał, że pan Jan chce nakazać mu milczenie na temat ślubu. Skąd wiedział, że Jaon bywa tu? Gdy pan Jan znalazł się blisko niego, nie witając się, sięgnął do kieszeni, wyjął garść banknotów.

- Chłopcze. Pójdiesz na stację. Kupisz bilet trzeciej klasy do Warszawy na dziś, na nocny pociąg. Ja tu czekam.

Jaona aż zatchnęła radość. Otrzymał rozkaz! Pan Jan chciał, by go nie widziano na stacji. Chłopiec z Warszawy kupujący bilet do tego miasta nie wzbudzi podejrzeń. Może na stacji jest gestapo? Pędził jak szalony ścieżynką. Kątem oka ujrzał Dziki Las. Jakże to odległe! Miejsce wydało mu się jak z innego kontynentu. Usłyszał słowa matki: - "Nie wykonuj niczyich poleceń, nie spytawszy mnie o zgodę", ale czyż pan Jan wyraźnie nie pytał ją, czy wolno mu użyć czasem Jaona?

Poczekalnia była pusta. Nikt nie czekał na żaden pociąg, jakby

linia kolejowa była nieczynna. Co prawda pośpieszne mijały Marzeńów w wielkim pędzie, a do Warszawy był jeden pociąg osobowy. Gdy kasjer obojętnie wydawał bilet, Jaonowi przypomniła się zabawa w kolej. Pomyślał, że niedługo będzie miał sen o wymarłym dworcu, w którym całe lata można czekać na odjazd, a tory zarastają zielskiem.

Ściskając brązowy kartonik z napisem "Warszawa" zatęsknił za swoim miastem, które stracił, a zarazem kupienie tego biletu wydawało mu się zapowiedzią, że kiedyś tam wróci. Dla kogo przeznaczony jest bilet? Dla samego majora? Czy dla syna doktorowej? Może dla kogoś z dowództwa POW z Warszawy? Ten ktoś na pewno wsiądzie nie z peronu, ale od strony pól.

Pan Jan wyszedł niespodziewanie z małego wąwozu i odebrał bilet, kiwnąwszy głową Jaonowi.

Wśród niekończących się, bezmiernych łąk, które były u szczytu bujności, widać było tylko jedną istotę, która to pojawiała się, to nikła w trawach. Krysia pochylała się i wyprostowywała zbierając kwiatki. Zobaczywszy Jaona, zamiast podać mu bukiet o czym marzył, upuściła go na ziemię. Zarazem było w tym coś, co dawało największe nadzieje, że gdy Jaon zjawił się, bukiet przestał się liczyć, nawet kwiatki zostały zapomniane. Pociągnął ją ku Dzikiemu Lasowi wąwozem, w którym przed chwilą był pan Jan. Dęby wypuściły liście, które w oślepiającym słońcu wydawały się przezrocyste. Mrówka, jak wzięta z opowiadania nauczyciela, niosła komara. Na starym buku siedział ptak. Nie przestraszył się, gdy usiedli u stóp drzewa i dalej śpiewał. Jaon wyjął papugę. Zdarł łśniący staniol, obłupiając czekoladowego ptaka z piór, puchu i skóry jednocześnie. Na zgniecionej czekoladzie odcisnięte były zarysy skrzydeł, oczu, pazurów.

- To jest ptak ara - objaśnił Jaon. - Kości ma zgruchotane, ale mięso jest niezepsute. Papuzie mięso jest twarde, ciemne, gorzkawe, smakuje jak czekolada.

Odgryzł łepkę papugi i trzymając go w zębach przybliżył twarz do buzi Krysi.

- Nie, Jaon, więcej tak nie róbmy, proszę cię. Jaki ty jesteś straszny, dziki. Nie jedźmy tak tej papugi. Mamusia nie pozwoli więcej mi się z tobą zobaczyć. Myślisz, że jesteś grzeczny.

Zachwyciła się, że przysłała służącą z wizytówką - wygadywała jak nieprzytomna. - Błagam cię. Miałam braciszka, który umarł rok przed moim urodzeniem. Nie zdążyłam go zobaczyć, ale go kocham - patrzyła jak zahipnotyzowana na czekoladę zbliżającą się w ustach Jaona do jej ust. - Od zeszłego lata nie jadłam czekolady - wyszeptwała, powtarzając dawne słowa Jaona o cukierkach, jak na usprawiedliwienie.

Jaon wsunął w jej usta łepkę papugi. Zmiażdżyła go w ząbkach. Usta jej dotknęły ust Jaona, lekko, delikatnie, niewyczuwalnie prawie.

Ułamali jedno skrzydło, drugie, ogon, szpony, po każdym kawałku papugi usta Krysi przyciskały się do ust Jaona mocniej i dłużej się nie cofały. Dwa smaki połączyły się i objadali się pocałunkami coraz gwałtowniej.

Papuga znikła. Między nimi, na leśnym poszyciu zielone, fiołkowe, złote i czerwone strzępki wyglądały jak resztki, jakie na miejscu swojej uczyt zostawia jastrząb.

- Wtedy, gdy zobaczyłam cię w kościele, modliłam się za ciebie -
powiedziała Krysia. Koniec.